POLITYKA NARODOWA

Pismo społeczno-polityczne poświęcone sprawom Narodu
ISSN 1899-4342
CENA 23 zł (w tym 8% VAT)
Nr 25, JESIEŃ 2021 r.



ZMIERZCH HEGEMONA?

USA A CHINY • BLM • AMERYKAŃSKI NACJONALIZM
ROZMOWA Z PROF. GROTTEM • BRZOZOWSKI • MAURRAS

POLITYKA NARODOWA

Pismo społeczno-polityczne poświęcone sprawom Narodu

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

Ameryka istnieje dopiero od niedawna. Została stworzona przez ludzi zewsząd. Nie ma głębi ani korzeni. Ameryka nigdy nie cierpiała, nie została najechana, nie znała rewolucji, głodu ani nieszczęścia. Zachowuje się zawsze jak kraj, który nie wie, co to znaczy cierpieć.

CHARLES DE GAULLE

Redaguje zespół:
Damian Adamus, Piotr Głowacki, Wojciech Niedzielko,
Patryk Oroniewski, Konrad Smuniewski

Sekretarz redakcji:
Konrad Bonisławski

Redaktor naczelny:
Jakub Siemiątkowski
jakub.siemiatkowski@gmail.com

Stali współpracownicy:
dr Przemysław Dulęba, Dawid Dynarowski, prof. Bogumił Grott, Kacper Kita
Michał Kowalczyk, Artur Krawczyk, Leo Marić (Zagrzeb), Łukasz Moczydłowski,
Michał Nowak, dr Mariusz Patey, Adam Szabelak, Balázs Szabó (Budapeszt),
dr Tomasz Szczepański, Michał Szymański

Projekt okładki:
Natalka Olejnik

Redakcja językowa:
Adam Namięta

Skład:
Anna Szarko, e-mail: anna.szarko@gmail.com

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



www.polityka-narodowa.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania edytorskiego nadesłanych tekstów.

Wydawca: Narodowy Instytut Społeczny
Ul. Wilanowska 16/20 lok. 16
00-422 Warszawa

ISSN 1899-4342

Nakład: 1400 sztuk

PORZĄDEK

Upadek mitu

Doniesienia o zmierzchu amerykańskiego imperium nie są sprawą nową. Nigdy jednak nie były one równie prawdziwe jak dziś. Z jednej strony na Dalekim Wschodzie wyrósł Amerykanom najsilniejszy jak dotąd rywal, a z drugiej samo państwo amerykańskie wchodzi w głęboki kryzys wewnętrzny, dotykający już nie tylko wydolności państwa, lecz także samej tożsamości. Jak powinna się do tego faktu ustosunkować Polska?

Poświęcenie jednego z numerów naszego pisma zagadnieniom związanym z USA było kwestią czasu. Jedyne do niedawna supermocarstwo wpływa bowiem poprzez swoją politykę i popkulturę na większość istotnych procesów, będących udziałem również naszego kraju i narodu. Jest tak również dlatego, że od ponad 30 lat polscy decydenci nieustannie zwracają swój wzrok w kierunku Potomaku, doszukując się w Amerykanach nie tyle nawet obrońcy przed zagrożeniem rosyjskim, ile po prostu protektora. Wasalna mentalność dopiero w ostatnich latach została wystawiona na próbę – widać, musiała amerykańska klasa rządząca przekroczyć granice dopuszczalnej arogancji. Tak to jednak bywa w przypadku imperiów i ich satelitów. Miejmy nadzieję, że z otrzeźwienia przynajmniej części społeczeństwa wyjdzie coś konstruktywnego.

Redakcja „Polityki Narodowej" zdecydowała się zająć tematyką amerykańską również dlatego, że polski narodowiec, konserwatysta, prawicowiec bywa zagubiony w natłoku pojawiających się w sprawie USA informacji. Dające o sobie znać coraz częściej teorie spiskowe oraz obecny w wypowiedziach wielu komentatorów dogmatyzm nie przyczyniają się do podniesienia merytorycznego poziomu debaty. Do zagadnienia staraliśmy się więc podejść wszechstronnie.

Nie zabrakło w numerze artykułów na temat amerykańskiego narodu – jego genezy i ewolucji oraz tego, jak ów konstrukt jest obecnie przez liberalną lewicę rozmontowywany. Jakże odległy dziś od prawdy jest bowiem kultywowany w środowiskach polskiej prawicy mit „starej dobrej Ameryki" – wierzącej w Boga, patriotycznej, potencjalnie sprzyjającej analogicznym tendencjom w naszym kraju. W Białym Domu nie ma już bowiem Reagana ani nawet Trumpa, a przecież nawet ten ostatni był nam w stanie przysłać w roli ambasadora tak mało sympatyczną postać jak Georgette Mosbacher. Na amerykańskich uczelniach i w amerykańskich mediach nie znajdziemy już zbyt wielu odwołań do Boga i nacjonalizmu – niepodzielnie dominuje tam nowa lewica. „Należy odrzucić paradygmat, w którym postsolidarnościowe polskie elity polityczne funkcjonują od kilkudziesięciu lat. Dziś bowiem, aby Polska przetrwała, konieczne jest odrzucenie wzorców idących do nas z Ameryki i Zachodu, a nie ich powielanie" – pisze Kacper Kita, analizujący znane nam z ostatnich miesięcy obrazki ze zrewoltowanych ulic różnych stanów USA. Dalej znajdziemy rozważania Adriana Zimnego nad broniącą resztek tradycji amerykańską prawicą oraz próby odpowiedzi na pytanie, czy da się wśród niej znaleźć nurty mogące inspirować prawicę europejską.

Jako najistotniejsze jawi się chyba jednak to, jak bliskie relacje z USA bezpośrednio przekładają się na pozycję międzynarodową naszego kraju. Wywód na temat upadku popularnego w Polsce mitu „starej, dobrej Ameryki" przedstawił wspomniany Kacper Kita. W numerze analizujemy również politykę USA wobec Izraela, Chin i Rosji, zastanawiając się, jak w nadchodzących dekadach może wyglądać słabnięcie dotychczasowego hegemona. Niedawne wydarzenia w Afganistanie, gdzie prestiż USA został nadszarpnięty, mogą być jedynie zwiastunem zjawiska mającego znacznie szerszy wymiar. Wydaje się przeto, że w konfrontacji z zarządzanymi autorytarnie, nacjonalistycznymi Chinami liberalno-demokratyczny model amerykański może się okazać zupełnie dysfunkcyjny. Jak bowiem pisze w swoim artykule redaktor naczelny Nowego Ładu, Damian Adamus,

> nacjonalistycznie nastawione społeczeństwo chińskie […] będzie w stanie przecierpieć w rywalizacji z USA znacznie więcej niż społeczeństwo amerykańskie, gdzie żywe są prądy kosmopolityczne, a dla niemałej części społeczeństwa amerykański imperializm i tradycyjne wartości to powód do wstydu i zbędny balast, który należy zrzucić. […] z perspektywy potęgi państwa jasno należy stwierdzić, że kształtowanie obywateli w duchu cnót obywatelskich, myślenia kategoriami interesu narodowego, patriotyzmu i poczucia odpowiedzialności za wspólnotę wzmacnia siłę państwa.

Polacy powinni więc bacznie obserwować tę rywalizację i umieć z niej wyciągać wnioski także dla swojej polityki wewnętrznej.

Sprawy związane ze Stanami Zjednoczonymi nie są jedynymi międzynarodowymi, które podejmujemy w nowym numerze „PN". W swoim artykule o relacjach frankizmu i Kościoła Rafał Buca kontynuuje rozpoczęte w poprzednim numerze rozważania na temat hiszpańskiej dyktatury, a prof. Bator opis węgierskiej prawicy – niby to bliskiej Polakom, a jednak znacznie bardziej samoświadomej, narodowej nawet w banalnym znaczeniu tego słowa.

W pozostałych działach zajmujemy się myślą Stanisława Brzozowskiego, Erica Voegelina, Karola Stojanowskiego, a nawet Karola Marksa i Antonio Gramsciego. Wychodzimy bowiem z założenia, że świadomie wyznawana idea narodowa zobowiązuje do zgłębiania znajomości także nurtów nam odległych, tym bardziej jeśli – jak w przypadku Gramsciego – wiele można z nich wynieść.

Mocnym punktem numeru jest wywiad z prof. Bogumiłem Grottem, jednym z najwybitniejszych badaczy endecji. Tematyka rozmowy oscylowała wokół zagadnień podjętych przez niego w wydanej kilka lat temu książce *Dylematy polskiego nacjonalizmu. Powrót do tradycji czy przebudowa ducha*. Wywiad pełen jest mocnych tez, które mogą zdziwić czytelnika przyzwyczajonego do stereotypowych ujęć. „Tradycjonalizm młodych narodowców wynikał z integryzmu katolickiego. Gdy czyta się teksty młodych, wszystko jedno czy z ONR-ABC czy endecji, widać tam, że katolicyzm właściwie *połyka* nacjonalizm. […] Według mnie to już właściwie nie jest nacjonalizm w dosłownym tego słowa znaczeniu" – mówi prof. Grott. Historyk skłania czytelnika do konfrontacji tradycjonalistycznego statyzmu myśli „młodych" narodowców pokroju Doboszyńskiego i Frycza z dynamicznym charakterem nacjonalizmu Brzozowskiego i Stachniuka, zastanawiając się nad tym, co możemy

z tej historii wynieść współcześnie. Z kolei Wojciech Niedzielko rozważa, jakie zagrożenia czyhają na współczesny ruch narodowy, jeśli jego działaniom nie będzie towarzyszyła pogłębiona praca ideowa, a Adam Szabelak szuka odpowiedzi na pytanie, które zagrożenia dla naszej tożsamości są najistotniejsze. „Współczesna oś sporu ideologicznego dawno już nie przebiega wzdłuż wyświechtanego podziału *lewica-prawica*. [...] Spór toczy się więc między obiektywizmem a subiektywizmem – którego *świętą trójcę* stanowią trzy zjawiska dominujące naszą epokę: liberalizm, kapitalizm i goszyzm (nowolewicowość)" – zauważa autor tekstu.

W dziale poświęconym kulturze przeczytamy tym razem dwa teksty publicystki portalu Nowy Ład Malwiny Gogulskiej na temat literatury. W pierwszym zmierzymy się z mitem „złego" romantyzmu, który – jak się okazuje – może nieść ze sobą istotne walory wychowawcze. W drugim zaś autorka konfrontuje dwóch poetów symbolizujących XX w. – Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza.

Podobnie jak w poprzednich numerach, także i w tym nie zabrakło działu recenzyjnego. Tym razem zajęliśmy się omówieniem m.in. słownika biograficznego polskiego ruchu narodowego, wydanego przez Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, tomem pism Charles'a Maurrasa i bestsellerową książką Krzysztofa Raka o polityce zagranicznej sanacyjnej Polski. Prof. Grott obszernie omawia z kolei książkę dr. Leszka Pietrzaka o wymierzonych w Polskę działaniach współczesnych Niemiec.

Czytelnikom „PN" przypomnieć należy o naszym siostrzanym projekcie – wspomnianym już portalu Nowy Ład, który niedawno obchodził pierwszą rocznicę istnienia. W ciągu roku ukazało się na nim ponad 200 artykułów, które przeczytało ponad 150 tys. unikatowych użytkowników. Funkcjonujący nieco ponad pół roku kanał portalu na YouTubie zdobył już ponad 120 tys. widzów. Śmiało można więc ogłosić, że rozszerzając formułę swojego działania, środowisko „PN" odniosło sukces. Nie byłby on możliwy, gdyby nie stałe, regularne wpłaty naszych czytelników i sympatyków. Tym mocniej zachęcamy do finansowego wspierania zarówno „Polityki Narodowej", jak i Nowego Ładu.

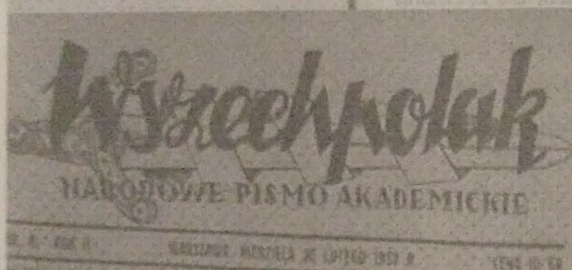
Redakcja „Polityki Narodowej"

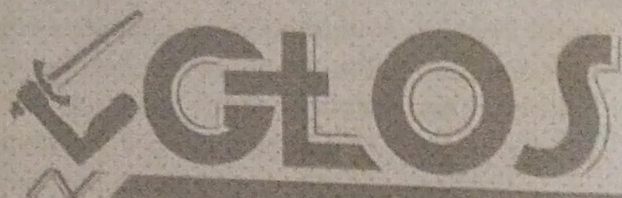
Zasoby Muzeum

Tradycji Ruchu Narodowego

już dostępne w wersji cyfrowej, wejdź na stronę

muzeumtrn.pl


Wszechpolak
NARODOWE PISMO AKADEMICKIE
Po piętnastu latach...

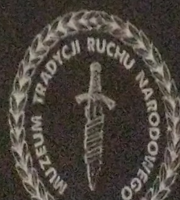

GŁOS

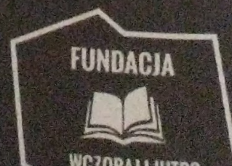
Projekt zrealizowany przez Fundację Wczoraj i Jutro oraz Muzeum Tradycji Ruchu Narodowego.

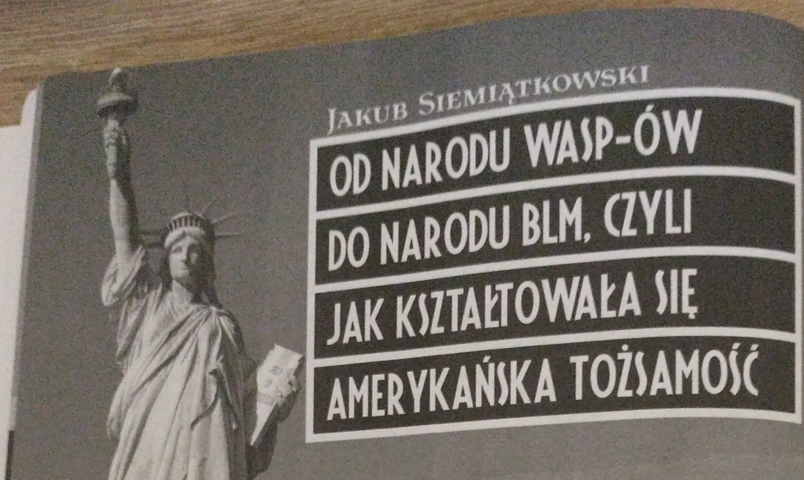
Dofinansowany ze środków Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu w ramach programu Kultura Cyfr



Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu.







Fot. pixabay.com

Jakub Siemiątkowski

Od narodu WASP-ów do narodu BLM, czyli jak kształtowała się amerykańska tożsamość

Naród amerykański uchodzi nieraz za odwołujący się wyłącznie do obywatelstwa, składający się z szeregu różnych mniejszości, wręcz kosmopolityczny – czerpiący dumę z własnej inkluzywności. Jeśli jednak zagłębić się nieco bardziej w historię USA, prawda okaże się znacznie bardziej złożona. Jak twierdzą badacze, dzieje kształtowania się narodu amerykańskiego nie odbiegały aż tak bardzo od analogicznych procesów zachodzących w innych krajach zachodniego kręgu kulturowego. Etniczność była dla dawnych Amerykanów podstawą narodu.

Pogląd o narodzie amerykańskim jako tworze pluralistycznym, nadzwyczaj zróżnicowanym wewnętrznie, upowszechnił w 1830 r. Alexis de Tocqueville w swojej słynnej rozprawie *O demokracji w Ameryce*. W późniejszych czasach inni autorzy powielali ten obraz do tego stopnia, że wizerunek ów stał się w wielu środowiskach powszechny. Jak bardzo odbiega on od rzeczywistości, dostrzeżemy, kiedy zagłębimy się w dzieje USA. W poniższym artykule pochylimy się kolejno nad zagadnieniem początków narodu amerykańskiego, by przejść do opisu asymilacji narodowej kolejnych fal imigrantów z Europy oraz stosunku białych Amerykanów do współistniejącej z nimi na przestrzeni wieków czarnej mniejszości. Ostatnia część tekstu poświęcona jest okresowi przełomowemu dla podjętej tematyki, związanemu z przemianami społecznymi lat 60. i 70. XX w., kiedy to tradycyjne ujęcie narodu amerykańskiego uległo głębokiej redefinicji.

≡ Amerykański mit

Ideały demokratyczne i liberalne, które rzutowały na amerykańską tożsamość przez cały okres istnienia USA, zakorzeniły się w społecznościach osadników

przybywających na nowy kontynent już przed rewolucją amerykańską. Jak podkreślał Tocqueville, gminy w Nowej Anglii ukonstytuowały się w pełni ok. 1650 r. Co prawda, uznawały one zwierzchność zamorskiego monarchy, ale w ich obrębie panowało życie niemalże demokratyczne, republikańskie. Gmina mianowała urzędników, ustalała wysokość podatków i je ściągała. Jak na owe czasy świadomość społeczna musiała stać u osadników stosunkowo wysoko. O ile w Anglii w dobie rewolucji amerykańskiej mniej niż jedna piąta dorosłych mężczyzn miała prawo wyborcze, o tyle już w koloniach były to dwie trzecie – podaje Jill Lepore. Z drugiej strony, przyjmuje się, że generalnie brytyjscy osadnicy zaczęli uważać się nie tylko za mieszkańców kolonii, lecz także za część szerszego amerykańskiego narodu dopiero w dobie samych walk o niepodległość pod koniec XVIII w. Dodać przy tym należy, że republikańskie konotacje miała także religijność osadników – nieraz migrujących do nowego świata z uwagi na religijne prześladowania. Nawet amerykańscy anglikanie byli wspólnotą znacznie mniej hierarchiczną niż w metropolii – pisze badacz zagadnienia Eric Kaufmann.

Co szczególnie ważne, USA powstawały jako konglomerat kolonii opartych na dość jednolitym substracie etnicznym – osadnikach brytyjskich. W 1790 r. biała ludność miała w 60% pochodzenie angielskie, w 80% brytyjskie, a resztę stanowili głównie Niemcy i Holendrzy. Polemizując z popularnym określeniem Amerykanów jako „narodu imigrantów", Samuel Huntington podkreśla, że należałoby tu mówić raczej o narodzie osadników. Tradycyjna kultura USA tworzona była bowiem przez ludzi, którzy przybywali na te ziemie budować nowy porządek – a nie imigrantów, którzy by się do już istniejącego ładu dostosowywali, asymilowani przez rdzennych mieszkańców.

Już u zarania państwa widać było u Amerykanów dążenie do zabezpieczenia jednolitości etnicznej nowego narodu. W 1790 r. przyjęto ustawę naturalizacyjną, która przyznawała prawo do obywatelstwa wyłącznie „wolnym białym mężczyznom" o „nienagannym charakterze moralnym". W przyszłości zjawisko to miało się nasilać.

Jak zasygnalizowano, mówimy tu o społeczności religijnie dość zróżnicowanej, choć niemal wszystkie występujące tu wyznania były protestanckie (od purytanów po anglikanów) – w początkach istnienia USA aż 98% ludności stanowili protestanci. Nowa Anglia – kraj purytański, głęboko religijny – była na swój sposób predestynowana do tego, by wytworzyć pewną formę (proto-)nacjonalizmu. Jak bowiem twierdzi Anthony Smith, tendencje takie objawiały się już w niektórych wspólnotach protestanckich w XVI-wiecznej Europie. Widząc siebie w kategoriach podobnych do tych, w jakich przedstawiony został w Biblii naród żydowski, mesjanistycznie usposobieni purytanie uważali, że są ludem wybranym, przeznaczonym do wzniesienia nowego kraju – w nowej Ziemi Obiecanej.

Zdaniem Kaufmanna kosmopolityczny wizerunek narodu obecny w rozważaniach Tocqueville'a był więc raczej narzędziem retorycznym, któremu nie należy przypisywać istotnego znaczenia w badaniach nad faktycznym kształtem amerykańskiej tożsamości. Sam Tocqueville zresztą podawał, że nie spotkał prawie Amerykanów, którzy nie dowodziliby swojego pokrewieństwa z angielskimi założycielami kolonii. Francuz widział w nich „rasę angielską w Ameryce" lub „Anglo-Amerykanów".

Jeszcze bardziej interesujący jest fakt, że ojcowie założyciele USA, tacy jak George Washington, John Adams czy Benjamin Franklin, powoływali się na stare angielskie wolności z Magna Charta, a nawet z czasów poprzedzających podbój Anglii przez Wilhelma Zdobywcę. Pojawia się w tych odwołaniach Alfred Wielki, a u idącego najdalej Thomasa Jeffersona znajdziemy nawet Hengesta i Horsę – wodzów saskich, którzy najechali Wyspy Brytyjskie w V w. Zdaniem trzeciego prezydenta USA Amerykanie niejako wyzwolili się spod normańskiego jarzma, które utożsamił z panowaniem brytyjskim. Z drugiej strony, Jefferson odwoływał się do tułaczki Izraelitów, którzy po wyjściu z Egiptu w końcu dotarli do nowej ojczyzny. To typowy mit etnogenezy, podobny np. do burskiego.

Również sam liberalizm był dla Amerykanów czynnikiem wzmacniającym poczucie własnej wyjątkowości. Nie było w tym nic z kosmopolityzmu, widzimy tu raczej dumę wynikającą z faktu, że gloryfikacja wolności odróżnia ich od innych narodów – zarówno sąsiednich, jak i tych europejskich. Można wręcz stwierdzić, że liberalizm przyczyniał się do wzmacniania amerykańskiego partykularyzmu etnicznego, choć jednocześnie w kulturze amerykańskiej da się zauważyć pewne napięcie pomiędzy jednym a drugim – pisze Kaufmann. Widać to wśród czołowych przedstawicieli amerykańskiej kultury. Ralph Waldo Emerson z jednej strony stwierdzał, że USA stanowi schronienie dla wszystkich ludów, by w innym momencie zauważać, że Afrykanie, Indianie, Chińczycy, a nawet Irlandczycy nie są przeznaczeni do tego, by zajmować istotne miejsce w rodzinie ludzkiej – zupełnie inaczej niż Anglosasi, przed których energią ugiąć się miał cały świat.

Amerykański nacjonalizm pogłębiała demokratyzacja. Do ok. 1820 r. większość osadników europejskiego pochodzenia stała się świadomymi Amerykanami. Już w 1828 r., w czasie prezydentury populisty Andrew Jacksona, wszyscy biali mężczyźni uzyskali równe prawa wyborcze. Wyłączone z członkostwa w narodzie były oczywiście inne rasy.

Kaufmann podsumowuje, że opisany powyżej anglo-amerykański mit rozprzestrzenił się szeroko w społeczeństwie mniej więcej do 1850 r. Zakładał on, że: Amerykanie wywodzili się od Anglosasów; stanowili egalitarny i demokratyczny lud, wierny Biblii; byli swego rodzaju narodem wybranym, zobowiązanym szerzyć wolność i protestantyzm na zachodniej półkuli; mieli prawo rozszerzać swoje panowanie i zasiedlać ziemie aż do Pacyfiku. Ten ostatni czynnik był szczególnie ważny dla amerykańskiego mitu. Już Jefferson uważał, że przyszłością republiki jest ekspansja. Naród wolnych farmerów miał zasiedlać ziemie leżące na zachód od granic 13 stanów założycielskich. W 1790 r. białych Amerykanów było niecałe 4 mln, a większość z nich mieszkała w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Atlantyku. Do 1800 r. pół miliona ludzi osiedliło się w rejonie rzek Tennessee, Ohio i Cumberland. W 1830 r. białych Amerykanów było już 13 mln, a do 1840 r. 4,5 mln przekroczyło Appalachy, osiadając w dolinie Missisipi. Kolonizacja Teksasu i wygrana z Meksykiem jedynie dowodziły słuszności amerykańskiego misjonizmu. „Uniwersalny naród jankeski może w ciągu kilku lat odnowić i wyzwolić mieszkańców Meksyku: wierzymy, że ucywilizowanie tego pięknego kraju stanowi część naszego przeznaczenia" – można było w 1847 r. przeczytać w „The New York Herald".

Aż do końca XIX w. celem przywódców USA było wypełnienie tzw. Objawionego Przeznaczenia (*Manifest Destiny*), którego treść sprowadzała się w zasadzie do stałej ekspansji na Zachód – najpierw przejmowania kontroli nad kolejnymi ziemiami, chwilę później zasiedlania ich. Po usunięciu Brytyjczyków, skłonnych poszukiwać kompromisu z plemionami indiańskimi, Amerykanie przeszli do bezwzględnego wypychania autochtonów z ich ziem. Żywioł ten był znacznie słabszy demograficznie i mało zaawansowany technologicznie, co skazywało go na klęskę. Walka z rdzennymi mieszkańcami Ameryki cieszyła się nieodmiennie poparciem narodu. Pogromcy Indian, tacy jak Jackson, stawali się bohaterami, którym stawiano pomniki (wizerunek jego samego trafił na banknot 20-dolarowy). W roku 1850, gdy granice USA przypominały już obecne, państwo zamieszkiwało ponad 23 mln ludzi, z czego jedynie nieco ponad 660 tys. Indian. Do ok. 1900 r. ich populacja została zepchnięta do rezerwatów.

Ekspansja, kolejne wojny i kolonizacja ziem zachodnich sprawiały, że amerykańskie poczucie narodowe cały czas rosło w siłę. Dopiero jednak wojna secesyjna miała sprawić, że wysunęło się ono jednoznacznie przed inne tożsamości – lokalne, stanowe, religijne.

≡ SWÓJ CZY OBCY?

Jak pisze Jerzy Surdykowski, „wizja Ameryki plemiennej od początku ścierała się z wizją Ameryki jednonarodowej, a w wyniku tego starcia wciąż poszerzało się mgliste zawsze pojęcie *naród amerykański*; bardzo szybko okazało się, że niemożliwa jest Ameryka WASP-ów [*White Anglo-Saxon Protestant* – białych, anglosaskich protestantów – przyp. JS], w której inni będą obywatelami podrzędnych kategorii". „WASP-owski rdzeń" Ameryki „tolerował imigrantów tylko o tyle, o ile stanowili podatne tworzywo dla *tygla* mającego ujednolicić wszelkie odrębności według przywiezionego na *Mayflower* wzorca".

Początkowo dominowała więc koncepcja asymilacji nazywana anglokonformizmem. Zakładała ona, że w związku z faktem, iż zarówno naród amerykański, jak i same Stany Zjednoczone mają brytyjskie korzenie kulturowe, to brytyjski charakter kultury państwa powinien niepodzielnie dominować. Kolejne fale przybyszów miały po prostu asymilować się do tego modelu. Inną koncepcją był tzw. *melting pot*, zakładający, że Amerykanin nie jest już Europejczykiem – jest nowym człowiekiem, a Ameryka wielkim tyglem, stapiającym różne ludy w jeden[1]. Dopiero znacznie późniejszy koncept pluralizmu kulturowego wynosi odmienności ponad ideał jedności narodowej.

Niezależnie więc od istniejących różnic jasne było dla sfer rządzących, że ideałem, do którego należy dążyć, jest jednolitość etniczna. Gdy więc w 1818 r. Irlandczycy zwrócili się do Kongresu USA z prośbą o wyznaczenie im ziemi, gdzie mogliby zakładać swoje osady, ten odmówił, gdyż „koncentracja ludności obcej

---

[1] W połowie XIX w. Walt Whitman pisał, że Ameryka „nie jest jedynie narodem, ale wrzącym narodem narodów".

w jednym obszarze" stanowić miała zjawisko niepożądane. Nie bez przyczyny decyzję tę uznaje się za przełomową w historii USA.

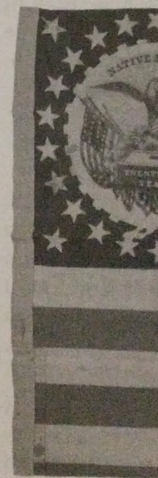
Innym interesującym przypadkiem są Niemcy w USA. Jeszcze przed ogłoszeniem Deklaracji Niepodległości było w Ameryce ok. 100 tys. Niemców. Ich napływ trwał przez cały XIX w. Do 1930 r. przybyło ich tu ok. 6 mln. Mniejszość ta długo zachowywała język i świadomość odrębności. Niemieccy osadnicy w stanach takich jak Pensylwania byli jednak asymilowani pomimo wysiłków na rzecz zachowania własnego języka i kultury. Już przed rewolucją istniało powołane przez Benjamina Franklina towarzystwo dążące do anglicyzacji pensylwańskich Niemców. W toku tego procesu ci zmieniali nawet swoje nazwiska. Przykładowo, Zimmerman zostawał Carpenterem, a Rittinghuysen zmieniał nazwisko na Rittenhouse – opisuje Kaufmann. „Na przestrzeni całej historii Ameryki ludzie, którzy nie byli białymi anglosaskimi protestantami, stawali się Amerykanami przez przyjęcie amerykańskiej angloprotestanckiej kultury i wartości politycznych" – dodaje z kolei Huntington. Nawiasem mówiąc, zjawisko to do złudzenia przypomina procesy frankizacji galo-rzymskiej szlachty w królestwie Merowingów i Karolingów, opisane przez Benedykta Zientarę w słynnym *Świcie narodów europejskich*. Późniejsza o millenium geneza narodu amerykańskiego nie różni się więc znacząco od tego, jak powstawały czołowe narody zachodniej Europy.

W latach 1790–1854 wydano 15 aktów regulujących zasady naturalizacji. Siły sprzeciwiające się imigracji żądały wydłużenia wymaganego okresu zamieszkania do 15–21 lat. W praktyce kończyło się na okresie 2– lub 5-letnim, w trakcie którego imigrant musiał przyswoić wiedzę o instytucjach amerykańskich.

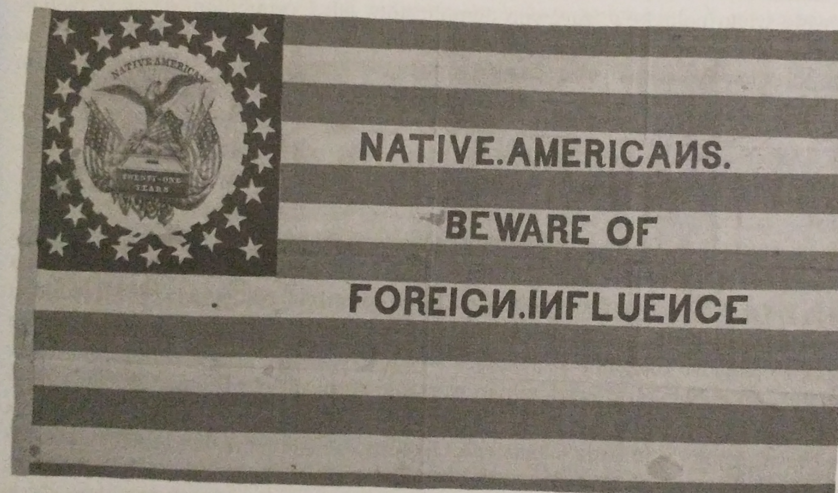
Stały napływ „obcych" rozpalił tęsknotę za rzekomo czystszą republiką, jaką miały być Stany Zjednoczone u swego zarania. Uczucie to było źródłem etnicznego nacjonalizmu, zwanego w USA natywizmem. Mowa tu o takich siłach politycznych, jak Amerykańska Partia Natywistyczna (*Native American Party*), zwana częściej Ruchem Nic Niewiedzących (*Know Nothing movement*), Zakon Gwieździstego Sztandaru (*Order of the Star Spangled Banner*) czy wreszcie Ku Klux Klan.

W wyborach do Kongresu w 1892 r. głosząca hasła natywistyczne i populistyczne Partia Ludowa (*People's Party*) zdobyła 8,5% głosów, rzucając wyzwanie dwóm głównym siłom politycznym. Partia sprzeciwiała się nadaniu praw wyborczych wszystkim, którzy pochodzili z Afryki lub Azji. Rosła wciąż agresja wobec napływających katolików, szczególnie Irlandczyków, którzy zaczęli dominować w niektórych obszarach Nowej Anglii. Kilka lat później nurt natywistyczny reprezentowany przez Williama Bryana zdobył nawet przywództwo w Partii Demokratycznej.

Natywistom nie udawało się jednak powstrzymać imigracji. W XIX w. do USA przybyło łącznie ponad 35 mln migrantów. Jak podaje Zbigniew Lewicki, było to największe w historii przemieszczenie się ludności w czasie pokoju. Problemem stawała się również migracja z Azji. W 1885 r. w Rock Springs w Wyoming biali zaatakowali chińskich górników. Ofiarą masakry stało się 28 z nich. Trzy lata wcześniej, w 1882 r., Kongres uchwalił pierwszą ustawę antyimigracyjną, zakazującą Chińczykom przekraczania granic USA. Stwierdzała ona również, że 14. poprawka do Konstytucji nie obejmuje osób pochodzenia chińskiego. Chińczycy mieli nigdy nie stać się obywatelami USA.



Wprowadzane prawa klasyfikowały białych imigrantów z Europy jako zdatnych do uzyskania obywatelstwa, w przeciwieństwie do Azjatów i Meksykanów. Jednocześnie kwitł opisany powyżej mit anglo-amerykański. W 1889 r., odnosząc się do ekspansji terytorialnej USA, Theodore Roosevelt widział w niej kontynuację ciągu wydarzeń takich jak podbój Brytanii przez Sasów i pobicie hiszpańskiej Armady w 1588 r. Innym razem mówił, że „najpewniejszym sposobem zniszczenia tego narodu, unicestwienia jego narodowej egzystencji byłoby przyzwolenie, by stał się zbieraniną zwaśnionych narodowości". Niejednorodną społeczność trzeba było więc unifikować. Europejscy imigranci mieli stawać się WASP-ami przez przyjęcie języka angielskiego, amerykańskiego rozumienia wolności, protestantyzmu oraz poprzez zawieranie małżeństw z Amerykanami. Zdaniem intelektualistów anglosaska krew i amerykańskie środowisko wręcz zmieniały napływowych, czyniąc ich Anglosasami. Poczucie wyższości było w tych sferach głęboko zakorzenione. Jak twierdził jeden z wykładowców Uniwersytetu Columbia, Germanie i Anglosasi to rasy „w szczególny sposób obdarzane zdolnością ustanawiania państw narodowych [...], dzięki czemu powierzono im misję [...] kultywowania cywilizacji politycznej współczesnego świata".



Na przełomie XIX i XX w. kolejne fale migracji napływały jednak do USA przede wszystkim z południowej i wschodniej Europy. Ameryka musiała się więc zetknąć ze społecznościami wciąż białymi i europejskimi, ale od WASP-owskiego ideału jeszcze bardziej odległymi niż Irlandczycy (nie mówiąc o Niemcach). Mechanizm asymilacyjny generalnie jednak wciąż działał. Z czasem amerykańskimi patriotami stawali się tak wcześniej pogardzani Irlandczycy, a nawet Słowianie czy Włosi. Problemem powoli przestawał być katolicyzm części migrantów. Choć punkt ciężkości amerykańskiego narodu powoli przesuwał się z ideału WASP-owskiego w kierunku ogólnoeuropejskiego, to protestanccy Anglosasi wciąż stanowili rdzeń i elitę narodu. Na korzyść koncepcji asymilacyjnych grał fakt, że mniej więcej

do początków XX w. znaczna część imigrantów nie miała silnej, wykształconej świadomości narodowej. Jak pisał Will Herberg, „imigranci byli nie Włochami, lecz Apulijczykami lub Sycylijczykami, [...] nie Niemcami, lecz Bawarami, Sasami czy Prusakami, nie Grekami, lecz mieszkańcami Tracji lub Ludźmi z Epiru". Przybywając do Ameryki, często nie organizowali się podług podziałów narodowych.

Po I wojnie światowej wciąż sprawą konsensusu był europejski charakter narodu amerykańskiego – asymilującego napływowych Europejczyków do anglosaskiego wzorca. Można tu mówić o nacjonalizmie etnicznym. Konsensus ten trwał w zasadzie aż do lat 60. XX w. W 1924 r. przytłaczająca większość deputowanych do Kongresu poparła ustawę o kwotach poszczególnych nacji wśród imigrantów, jednoznacznie preferującą tych z krajów północno-zachodniej Europy. Środowiska antyimigranckie dążyły nawet do zwiększenia udziału Brytyjczyków w całkowitym napływie przybyszów.

Jednocześnie apogeum potęgi przeżywał reaktywowany w 1915 r. Ku Klux Klan. Organizacja liczyła w szczytowym momencie aż 4 mln członków, w niektórych stanach będąc potężną siłą. Przykładowo, ponad jedna czwarta białych mężczyzn w stanie Indiana była w latach 20. członkami Klanu. Poparcie dla niego deklarowało wielu polityków (zarówno demokratów, jak i republikanów), a w Białym Domu w pokazie słynnych *Narodzin narodu* Davida W. Griffitha uczestniczył nie kto inny jak Woodrow Wilson. Dużo mówi to o kategoriach, w jakich amerykańskie elity postrzegały przynależność do swojego narodu.

≡ Rasizm

Czarni towarzyszyli białym osadnikom niemal od początku istnienia brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej. Pierwszy transport czarnych niewolników trafił do nich już w 1619 r. Populacja ta stale rosła. O ile w 1690 r. stanowili oni 8% ludności angielskich kolonii, o tyle w 1770 r. – już 21%. Może się wydać paradoksalnym fakt, że państwo oficjalnie szermujące hasłami wolności, prowadzące nawet wojny w imię wyzwolenia człowieka, było w stanie sprowadzić obcoplemieńców współistniejących z białymi do rangi *de facto* podludzi. Jak to ujął czarnoskóry historyk z Uniwersytetu Stanforda Clayborne Carson, „niewolnictwo było rewersem amerykańskiej wolności. Biali Amerykanie cieszyli się wolnością, bo zawsze był ktoś inny, kto był jej pozbawiony i kto pracował na ich wolność". Nie jest oczywiście tak, że sprawa ta nie budziła kontrowersji. Działał ruch abolicjonistyczny, a tragizm losu czarnych budził sumienia także za granicą. W swoim klasycznym dziele Tocqueville pisał: „Murzyn ze Stanów Zjednoczonych stracił wszystko; odebrano mu nawet wspomnienie rodzinnego kraju. Nie zna już języka, którym mówili jego ojcowie, wyrzekł się ich religii i zapomniał o obyczajach. Przestał należeć do ziemi afrykańskiej, nie zyskując żadnych praw do dóbr europejskich, zatrzymał się między dwoma społeczeństwami, pozostał samotny między dwiema wspólnotami". Jak dodawał, czarny mieszkaniec Ameryki, „sprzedany przez Afrykę i odrzucany przez Europę, prócz domu swego pana nie ma już nic, co choćby częściowo mogłoby mu zastąpić wyobrażenie ojczyzny".

W mającym podobne nastawienie społeczeństwie nie było mowy o uznaniu Murzynów za część narodu. Jak wprost deklarował pierwszy prokurator generalny USA Edmund Randolph, niewolnicy nie są „członkami naszego społeczeństwa". Podobnie zresztą postrzegano wolnych Murzynów, którym i tak odbierano prawo głosu. Czołowe postaci amerykańskiej historii, takie jak Thomas Jefferson, James Madison czy Abraham Lincoln, popierały emigrację czarnych do Afryki, czego skutkiem było utworzenie Liberii w 1821 r. Ostatni z wymienionych powiedział w 1862 r. pierwszej grupie wolnych Murzynów odwiedzającej Biały Dom, że powinna wyemigrować na Czarny Ląd.

Nad poglądami prezydenta identyfikowanego ze sprawą wyzwolenia czarnoskórych warto się zresztą pochylić chwilę dłużej. Pozwoli to zrozumieć, jak podchodzili do spraw narodu przynajmniej niektórzy abolicjoniści. Jeszcze przed wojną secesyjną w Charlestown w Illinois Lincoln mówił:

> […] nie jestem ani nigdy nie byłem zwolennikiem wprowadzenia jakkolwiek rozumianej równości społecznej i politycznej białej i czarnej rasy; nie jestem ani nigdy nie byłem zwolennikiem tego, by czarni uzyskali prawa wyborcze, zostawali sędziami, urzędnikami czy też zawierali związki małżeńskie z białymi […]. A ponieważ nie wolno im tak żyć, gdy [dwie rasy] pozostają razem, jedna z nich musi być wyższa, a druga niższa; ja zaś, podobnie jak wszyscy, zgadzam się z tym, że owa nadrzędna pozycja przeznaczona jest dla rasy białej.

Z kolei już w czasie wojny, w sierpniu 1862 r., Lincoln pisał:

> Gdybym mógł utrzymać jedność Unii, nie uwalniając żadnych niewolników, zrobiłbym to; gdybym mógł ją utrzymać, uwalniając wszystkich niewolników, uczyniłbym to bez wahania; gdybym mógł to zrobić, uwalniając część z nich, a zostawiając w niewoli innych, tak właśnie bym postąpił. Wszystko, co robię odnośnie do niewolnictwa i ludności kolorowej, robię, aby zachować Unię, a jeśli z czegoś rezygnuję, czynię to, bo nie wierzę, że pomoże to zachować Unię.

Rok wcześniej zresztą sam Kongres niemal bez głosów sprzeciwu uchwalił rezolucję mówiącą, że wojna nie jest prowadzona w celu ingerowania w prawa poszczególnych stanów, ale wyłącznie dla zachowania Unii.

W wyniku zwycięstwa w wojnie secesyjnej doszło jednak do zniesienia niewolnictwa na terytorium całych USA. W 1868 r. 14. poprawka do Konstytucji uznała czarnych za obywateli państwa, a dwa lata później 15. głosiła, że nie można człowiekowi odebrać praw wyborczych na podstawie rasy. Jak jednak podaje w słynnej *Ludowej historii Stanów Zjednoczonych* Howard Zinn, po zakończeniu wojny w dziewiętnastu spośród dwudziestu czterech stanów północnych czarni wciąż nie mieli prawa głosu. Już od lat 90. XIX w. kolejne stany zaczęły uchwalać tzw. prawa Jima Crowa – na różne sposoby ograniczające uprawnienia czarnych, wprowadzające segregację rasową. Do początku XX w. usankcjonowały ją prawnie wszystkie stany Południa.

Rasizm nie dotyczył oczywiście wyłącznie czarnych. Po wojnie z Meksykiem w latach 1848–1849 senator John C. Calhoun sprzeciwiał się uznaniu Meksykanów,

którzy żyli na terenach przyłączonych do USA, za obywateli państwa. „Nasz rząd jest rządem ludzi białych" – mówił. Co ciekawe, także obecny wówczas sprzeciw wobec wojny motywowany był często kwestiami rasowymi. Jeden z kongresmenów (i abolicjonista), Columbus Delano, uważał, że w rezultacie podboju Meksyku Amerykanie zaczną mieszać się z niższymi rasami: „wszystkimi odmianami kolorowych […], [tworząc] smutną mieszankę krwi hiszpańskiej, angielskiej, indiańskiej i murzyńskiej […], co doprowadzi do powstania rasy istot leniwych i głupich".

Rasizm nie był wówczas domeną wyłącznie prawicy. Poglądy tego typu były powszechne również w kręgach amerykańskich środowisk postępowych. Jak podkreślał słynny czarnoskóry działacz emancypacyjny W.E.B. Du Bois, demokratyzacji USA towarzyszył „wzrost nienawiści do ciemniejszych ras". „Białego robotnika zaproszono do udziału w eksploatacji *żółtków i czarnuchów*". Jeszcze w początkach XX w. większość związków tworzących Amerykańską Federację Pracy nie dopuszczała członkostwa czarnoskórych robotników. „Dla Amerykanina śmierć jest lepsza od życia na równi z Chińczykiem" – głosił program Partii Robotniczej z Kalifornii z 1876 r. Kiedy z kolei Theodore Roosevelt zakładał Partię Postępową, na jej konwencję nie wpuszczono czarnych delegatów. Miała to być partia wyłącznie białych.

Sprzyjała temu rehabilitacja Konfederacji. Na przełomie XIX i XX w. doszło do licznych gestów mających zasypać podziały między Południem a Północą. Budowano wspólne pomniki, Kongres zwrócił południowcom ich sztandary wojenne, a Prezydent William McKinley zaoferował dawnym konfederatom wysokie stanowiska w armii. Podczas obchodów 50-lecia bitwy pod Gettysburgiem Wilson przemawiał w duchu pojednania do 50 tys. weteranów Konfederacji i Unii. Czarnych weteranów na uroczystości nie zaproszono.

Dyskryminacja skutkowała różnymi formami reakcji. Pochodzący z Jamajki Marcus Garvey zapoczątkował ruch tzw. czarnego nacjonalizmu, który dążył wówczas do emigracji czarnych do Afryki w celu utworzenia tam państwa narodowego czarnych. Postępowała też migracja Murzynów wyruszających na północ w poszukiwaniu lepszych warunków życia. O ile w 1910 r. 90% czarnych mieszkało w stanach południowych, o tyle już w 1965 r. połowa żyła na Północy.

Jeszcze w latach 30. Franklinowi D. Rooseveltowi, którego *New Deal* cieszył się sporym poparciem czarnych, nie przeszkadzało w żaden sposób to, że na Południu jego demokraci odmawiają im prawa głosu. W czasie II wojny światowej zakazywano czarnym służenia w lotnictwie i piechocie morskiej. W marynarce wojennej mogli służyć jako kucharze i stewardzi. Jak informował sekretarz wojny Henry Stimson, „żołnierz murzyński jest odseparowany od białego żołnierza tak dokładnie, jak to możliwe". Po wojnie Murzyni byli wykluczeni z organizacji weteranów.

Po raz pierwszy wpuszczono czarnego dziennikarza na konferencję prasową prezydenta USA dopiero w 1944 r., a stowarzyszenie korespondentów Białego Domu sprzeciwiało się i temu – pisze Zbigniew Lewicki. Sam wiceprezydent Harry Truman, przemawiając w 1940 r. do Krajowego Stowarzyszenia Kolorowych Demokratów, mówił: „Nie nawołuję do społecznej równości czarnych. Sami czarni tego nie oczekują". Do końca życia mówił o czarnych *nigger* (czarnuch), choć w latach powojennych wydał dwa rozporządzenia desegregacyjne dotyczące zakazu dyskryminacji rasowej w wojsku i administracji federalnej.

≡ ZMIERZCH DAWNEJ AMERYKI

Działania Trumana budziły opór. W odpowiedzi na nie były gubernator Alabamy Frank Murray Dixon stwierdził, że prawa te „uczynią z nas kundli, niższą rasę, o pomieszanej krwi; kpinę z naszego anglosaskiego dziedzictwa". Jeszcze w latach 60. minister finansów Ghany w trakcie wizyty w USA usłyszał, że nie zamówi soku w restauracji, gdyż Murzyni mają zakaz wstępu do niej. Kultura wciąż hołdowała dawnym wzorcom. W latach 50. w amerykańskim kinie – mimo że Hollywood pełne było katolików i Żydów – promowano anglokonformizm. Główni bohaterowie byli na ogół WASP-ami. Pierwszy amerykański prezydent niebędący protestantem (katolik John F. Kennedy) został wybrany dopiero w 1960 r.

Wszystko miało się zmienić w czasie przemian społecznych lat 60. i 70. Pogląd, że Amerykanie stanowią kosmopolityczny w istocie naród imigrantów, zdobył pewne znaczenie w okresie międzywojennym. „Liberalno-kosmopolityczna wizja Stanów Zjednoczonych była w amerykańskiej psychice marginalna, zadomowiła się wśród intelektualistów dopiero w latach 30. i nie zdobyła masowej popularności aż do późnych lat 60." – podsumowuje swoje rozważania Kaufmann. Zdaniem badacza, biorąc pod uwagę to, co dzieje się w zachodniej Europie mniej więcej właśnie od lat 60., doświadczeń Ameryki nie należy postrzegać w tym kontekście jako wyjątkowych. Stanowić miały one bowiem odzwierciedlenie szerszego trendu przebudowy systemu wartości w kulturze Zachodu. Jak z kolei uważa Huntington, to właśnie wtedy inne tożsamości na powrót zaczęły konkurować z amerykańską.

Wskutek ustaw zrównujących prawa czarnoskórych znacząco wzrosła wśród nich liczba głosujących. W 1952 r. w południowych stanach zarejestrowanych było ok. 1 mln czarnych wyborców, co stanowiło jedynie 20% uprawnionych do głosowania. W 1964 r. było to już ok. 2 mln (40%), a w 1968 r. – 3 mln (60%), zrównując się z liczbą białych wyborców. W kolejnej dekadzie znacząco zwiększyła się również liczba czarnych pracujących w administracji. W okresie tym czarna ludność radykalizowała się. Jeśli wierzyć raportom FBI przygotowywanym w 1970 r. dla prezydenta Richarda Nixona, 25% czarnych sympatyzowało z Czarnymi Panterami. Wśród młodzieży odsetek wynosił aż 43%. Obecne powodzenie ruchu Black Lives Matter nie wzięło się najwidoczniej znikąd.

Olbrzymi wpływ na zmierzch starej, WASP-owskiej Ameryki ma demografia. Jak podaje Pat Buchanan, z danych uzyskanych podczas spisu powszechnego w 2010 r. wynika, że już w 2041 r. biali staną się w USA mniejszością. „Biała populacja zacznie się kurczyć, a jeśli obecne wskaźniki urodzeń nie ulegną zmianie, z wolna zacznie wymierać. W grupie osób poniżej dwudziestego roku życia Latynosi już teraz stanowią 42 procent ludności Nowego Meksyku, 37 procent mieszkańców Kalifornii, 38 procent ludności Teksasu i ponad połowę mieszkańców Arizony. [...] Meksyk przemieszcza się na północ. Etnicznie, językowo i kulturalnie. Rozstrzygnięcia z roku 1848 ulegają unieważnieniu" – pisze Amerykanin. Powoli przemija również dominacja protestantyzmu. Jak wynika z badań przeprowadzonych w 2012 r. przez think-tank Pew Forum on Religion and Public Life, protestanci stanowią już tylko 48% społeczeństwa.

Nad opisywanym procesem ubolewali już bardziej lub mniej jawnie nie tylko etnonacjonaliści z ruchu Alt-Right, lecz także paleokonserwatyści pokroju Buchanana, a nawet mainstreamowy Huntington. Wychodząc z pozycji przywiązania do starych amerykańskich wartości, trudno bowiem nie uznawać, że procesy rozpoczęte w latach 60. prowadzą do ich rozkładu. USA staje się państwem skrajnie spolaryzowanym, w którym obrońcy resztek dawnej tradycji ulegają pod naporem radykalnej lewicy. Ta z kolei chce starą Amerykę – lub to, co z niej zostało – nie tyle zmieniać, ile zniszczyć. Zmienić w kraj, który będzie miał z nią jak najmniej wspólnego. Taka Ameryka przestaje być wzorem, do którego równają inni. Jak to ujął jeden z autorów, dawniej przybywano do USA, by stawać się Amerykanami. Dziś po to, by jedynie lepiej żyć, pozostając sobą. Państwo i społeczeństwo, które od przybyszów nie wymagają dostosowania się do dominujących w nim wzorców, tracą podstawy funkcjonowania.

Czy więc Ameryka spod znaku BLM, walki z religią, dekonstrukcji tożsamości narodowej, burzenia pomników amerykańskich bohaterów będzie jeszcze tą samą Ameryką? Wydarzenia lat 2020–2021 każą w to wątpić.

≡ WYBRANA BIBLIOGRAFIA

A. Domosławski, *Ameryka zbuntowana. Siedemnaście dialogów o ciemnych stronach imperium wolności*, Warszawa 2007.

P. Buchanan, *Samobójstwo supermocarstwa. Czy Ameryka przetrwa do roku 2025?*, Wrocław 2013.

S. Huntington, *Kim jesteśmy? Wyzwania dla amerykańskiej tożsamości narodowej*, Kraków 2007.

E.P. Kaufmann, *Ethnic or Civic Nation?: Theorizing the American Case*, „Canadian Review of Studies in Nationalism" January 2000.

H. Kubiak, *Rodowód narodu amerykańskiego*, Kraków 1975.

J. Lepore, *My, Naród. Nowa historia Stanów Zjednoczonych*, Poznań 2020.

Z. Lewicki (red.), *Ameryka: polityka, prawo, społeczeństwo*, Warszawa 2016.

Z. Lewicki, *Historia cywilizacji amerykańskiej. Era konfrontacji 1941–1980*, Warszawa 2017.

J.J. Mearsheimer, *Tragizm polityki mocarstw*, Kraków 2019.

J. Surdykowski, *Dokąd zmierza Ameryka? Czyli drugie czytanie Tocqueville'a*, Warszawa 2001.

A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, Warszawa 2019.

H. Zinn, *Ludowa historia Stanów Zjednoczonych. Od 1492 do dziś*, Warszawa 2016.

Adam Danek

O amerykańskim federalizmie inaczej

John Trumbull, „Deklaracja Niepodległości”

Amerykański federalizm jest, obok federalizmu niemieckiego, odmianą ustroju federalnego, która budzi największe zainteresowanie politologów i konstytucjonalistów, a także pisarzy politycznych rozmaitego autoramentu. Poświęcono mu ogromną liczbę publikacji, a w większości z nich przedstawia się go w duchu aktualnie panującej ideologii – jako jeden z głównych elementów amerykańskiego modelu demokracji i jako element, który stanowi o sile tego ostatniego. Zgadzam się, że federalizm był – bo w tej chwili należy już chyba o nim mówić w czasie przeszłym – zasadniczym atutem amerykańskiej formuły państwowej. W niniejszym krótkim szkicu przedstawię natomiast odmienny od dominującego pogląd na temat jego istoty. Federalizm jest fałszywie przedstawiany jako coś w rodzaju specyficznie amerykańskiego wzmocnienia czy „pogłębienia” demokracji. Pierwotny ustrój Stanów Zjednoczonych nie był przecież wcale demokratyczny.

Stany Zjednoczone jako wielka przestrzeń

Lew Trocki w jednym ze swoich przemówień stwierdził, że Rosja nie jest państwem, lecz kontynentem[1]. Dokładnie to samo można powiedzieć o USA. Tak samo jak Rosja, Stany Zjednoczone ze względu na niezwykłą rozległość swojego

[1] Na tę formułę lubią się powoływać głosiciele eurazjatyzmu – zwolennicy cywilizacyjnej teorii Rosji jako odrębnego świata, bądź to samodzielnego względem Europy i Azji, bądź tworzącego wyższą syntezę najlepszych pierwiastków ich cywilizacji. Zob. S. Grzybowski (red.), *Między Europą a Azją. Idea Rosji-Eurazji*, Toruń 1998; I. Massaka, *Eurazjatyzm. Z dziejów rosyjskiego misjonizmu*, Wrocław 2001; R. Paradowski, *Eurazjatyckie Imperium Rosji. Studium idei*, Toruń 2001; Tenże, *Idea Rosji-Eurazji i naukowy nacjonalizm Lwa Gumilowa. Próba rekonstrukcji ideologii eurazjatyzmu*, Warszawa 1996.

terytorium są tym, co w geopolityce określa się mianem „wielkiej przestrzeni" (*Grossraum*). W porównaniu z każdym z tych dwóch państw cała Europa (jeśli wyłączyć z niej właśnie Rosję) okazuje się tylko stosunkowo niewielkim półwyspem Azji.

Podobnie jak Rosja, USA mają więc obiektywne warunki, by być imperium, bo optymalną formą zarządzania tak rozległymi terytoriami, jakie składają się na „wielką przestrzeń", jest imperialny porządek polityczny. Przekleństwo amerykańskiej historii polega na tym, że Stany Zjednoczone, zamiast pozostać imperium lądowym, kontynentalnym, tellurokratycznym (z natury zachowawczym), przekształciły się w imperium oceaniczne, talassokratyczne i handlowe, w dziedzica i następcę Wielkiej Brytanii – ze wszystkimi tego negatywnymi konsekwencjami dla świata.

Nawet więc gdyby USA trzymały się najzdrowszego kierunku w swojej polityce zagranicznej, jakim był izolacjonizm (popierany głównie przez „twarde" skrzydło amerykańskich środowisk konserwatywnych), same w sobie stanowią imperium lądowe, a imperium musi być w jakimś stopniu spluralizowane wewnętrznie. Tak wielką strukturą polityczną da się rządzić tylko na sposób policentryczny. Ten policentryzm i wewnętrzny pluralizm, wyrażony w pięknej dewizie herbowej Stanów Zjednoczonych – *E pluribus unum* – znajduje swą ustrojową postać w federalizmie. Założyciel ruchu paneuropejskiego, hrabia Richard Coudenhove-Kalergi (1894–1972), przekonywał, że w warunkach epoki nowoczesnej „wielkie przestrzenie" muszą być zorganizowane politycznie na modłę federalną. Jako przykłady wskazywał federację sowiecką i właśnie federację amerykańską; przewidywał, że przyszła Paneuropa również będzie federacją[2].

Co charakterystyczne, w epoce nowoczesnej ustrój federalny zachowywały lub przyjmowały państwa zamieszkane przez najbardziej tradycyjne społeczeństwa, o „archaicznej" strukturze: stara Szwajcaria, Brazylia czy Argentyna (w postaci nadanej jej przez ojca narodu argentyńskiego, dyktatora Juana Manuela de Rosasa). Federalizm bowiem to idea równouprawnienia peryferii względem centrum, a nawet idea wyższości prowincji nad stolicą. Policentryzm amerykańskiej federacji był zasadą łączącą ją ze starym kontynentem; upodabniał ją do Austro-Węgier czy Cesarstwa Niemieckiego (II Rzeszy). Podobieństwa między federacyjnym ustrojem Stanów Zjednoczonych a ustrojem Austro-Węgier dostrzegał liberalny konserwatysta Włodzimierz Spasowicz (1829–1906), który sympatyzował z oboma[3].

Gdyby USA zachowały swój federalizm w jego pierwotnym kształcie, byłyby „rzeszą": odrębnym światem wielu małych, luźno ze sobą związanych państewek. Pamiątka tego stanu rzeczy przechowała się w samej ich nazwie. *United States of America* znaczy przecież: Zjednoczone Państwa Ameryki – a nie „Stany", jak błędnie przetłumaczono ją w XVIII w. Nazwa amerykańskiej federacji podkreśla

---

[2] Zob. R. Coudenhove-Kalergi, *Crusade for Pan-Europe. Autobiography of a man and a movement*, New York 1943; Tenże, *Europe seeks unity*, New York 1948. W języku polskim: Tenże, *Naród europejski*, przeł. A. Piskozub, M. Urbanowicz, Toruń 2000; tenże, *Pan-Europa. Dedykowane młodzieży Europy*, przeł. A. Leśnik, Racibórz 2005.

[3] Zob. W. Spasowicz, *Liberalizm i narodowość. Wybór pism*, Kraków 2010. O autorze: M. Jankowski, *Być liberałem w czasie trudnym. Rzecz o Włodzimierzu Spasowiczu*, Łódź 1996. Filozof S. Brzozowski (1878–1911) lapidarnie scharakteryzował Spasowicza jako liberała z zewnątrz i reakcjonistę wewnątrz (tamże, s. 146).

zatem odrębność i samodzielność jej części składowych. Gdyby pozostały przy tej formule, USA w Nowym Świecie byłyby jak Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego w Starym Świecie. Wprawdzie bez najbardziej wartościowego elementu ustrojowego, jakim jest monarchia, ale też dawna Ameryka nie była demokratyczną republiką, jaką znamy dzisiaj. Senatorowie zasiadali w Waszyngtonie jako przedstawiciele rządów poszczególnych stanów-państewek, a nie ich ludności; nie byli wyłaniani w wyborach powszechnych, lecz wybierani przez legislatywy (parlamenty) stanowe. Z drugiej strony, gubernatorzy stanów w wielu przypadkach nie pochodzili z wyborów, lecz byli odgórnie mianowani przez prezydenta federacji, nie stanowili więc demokratycznego czynnika władzy. Wybory prezydenta miały zaś charakter realnie pośredni i dwustopniowy, to znaczy był on wybierany przez niewielkie kolegium elektorów, a nie – jak dziś – przez ogół wyborców, którzy tylko formalnie oddają głosy na kandydatów na elektorów, a w rzeczywistości na kandydata na prezydenta. Ustroje poszczególnych stanów-państewek nie były przy tym identyczne – występowały między nimi pewne różnice, co również upodabniało amerykańską federację do kontynentalnej „rzeszy".

≡ DEMOKRATYZACJA I CENTRALIZACJA

W drugiej połowie XIX i w pierwszej XX w. doszło do paradoksalnego połączenia dwóch głębokich, negatywnych przewrotów ustrojowych: zniesienia wymienionych wyżej ademokratycznych rozwiązań, a jednocześnie zamiany luźnej struktury federacji na znacznie bardziej spójną. Podkreślmy raz jeszcze, że demokratyzacja i centralizacja dokonały się równocześnie. Pierwszą z nich w 1989 r. tak podsumował Russell Kirk (1918–1994), uważany za jednego z intelektualnych ojców amerykańskiego konserwatyzmu w XX w.: „Myślę, że okaleczyliśmy na przykład nasz polityczny ład, wprowadzając powszechne prawo głosu, wybory bezpośrednie, powszechne wybory do senatu i stosując inne środki obliczone na zastąpienie rządów przedstawicielskich demokracją bezpośrednią"[4]. Druga zmiana dokonała się *de facto* podczas wojny, którą po polsku zwykło się nazywać secesyjną, a którą sami Amerykanie znacznie trafniej nazywają po prostu Wojną Domową (*Civil War*). Im luźniejszą konfederację tworzyłyby Stany Zjednoczone, tym bliższa pozostałaby Ameryka staremu światu i tradycjom kontynentalnym, zachowując swój charakter „rzeszy". Ale w wojnie domowej pokonana została właśnie Konfederacja stanów. W rezultacie ostatecznie utraciły one status odrębnych państewek. Górę wziął centralizm rządu Abrahama Lincolna. Polityk ten, po dziś dzień kreowany na symbol humanitaryzmu, dla rozszerzenia władzy Waszyngtonu na kontynencie wywołał bratobójczą wojnę, w której zginęło więcej Amerykanów niż w II wojnie światowej. Już tylko konsekwencją tego, co uczynił Lincoln, była w następnym stuleciu stopniowa rozbudowa scentralizowanego aparatu administracji federalnej, tzw. *Big Government*. W końcu osiągnął on monstrualne rozmiary i zakres kompetencji, podważające w ogóle federalny charakter państwa.

---

[4] R. Kirk, *Przyszłość konserwatyzmu*, przeł. Borys Walczyna, Warszawa 2005, s. 223.

W drugiej połowie XX w. oczywistym przedmiotem „ostatniej walki” amerykańskich konserwatystów stała się zatem obrona suwerenności poszczególnych stanów, a właściwie próba jej przywrócenia. Nie był to jedynie spór prawno-konstytucyjny, lecz światopoglądowy: racjonalistycznemu menadżeryzmowi i modernizacyjnym zapędom rządu przeciwstawiano wartość prowincji, wiejskość, lokalność, regionalizm. Rolę manifestu sprawy odegrała książka *The sovereign states*, którą w 1957 r. wydał James Jackson Kilpatrick (1920–2010), autor popularnych felietonów prasowych, publikowanych pod wspólnym tytułem *Spojrzenie konserwatysty*. Szczególnie wielu okazji do konfrontacji dostarczyła kwestia segregacji rasowej. Konserwatyści, choć zwykle sami uznawali segregację za anachroniczną i opowiadali się za odejściem od niej, nie zgadzali się jednak, by jej zniesienie odbywało się metodami narzuconymi stanom jednostronną decyzją rządu centralnego. Wiele swoich wystąpień poświęcił temu zagadnieniu katolicki profesor filozofii politycznej Willmoore Kendall (1909–1967)[5]. Ze sprzeciwu wobec naruszania przez władze federalne nawet okrojonej autonomii stanów wyrósł ruch, na którego czele stanął gubernator Alabamy, George Wallace (1919–1998). W 1968 r. Wallace wystartował w wyborach prezydenckich jako jeden z tzw. kandydatów niezależnych, uzyskując 13,5% głosów wyborców oraz 46 głosów w kolegium elektorów.

Z innych względów, to znaczy z uwagi na programowe dążenie do utrzymania bądź przywrócenia segregacji rasowej, w obronę autonomii stanowej angażowały się również środowiska tzw. białych nacjonalistów. Zorganizowana przez nie Narodowa Partia Praw Stanów, której przewodził Jesse Benjamin Stoner (1924–2005), działała do 1987 r.

Siły centralistyczne jawnie demontowały amerykański federalizm od 1913 r., to jest od przyjęcia XVII poprawki do konstytucji, wprowadzającej powszechne i bezpośrednie wybory senatorów w miejsce ich wyboru przez parlamenty stanowe. Od tamtej pory upłynęło wiele czasu, jednak istnieje czynnik, który mógłby doprowadzić do ponownego urealnienia federacyjnej, czyli policentrycznej struktury USA. Są nim silne wstrząsy i napięcia wewnętrzne, destabilizujące porządek polityczny wykrystalizowany przez ostatnie sto lat, a krańcowo odległy od pierwotnego charakteru Zjednoczonych Państw Ameryki.

[5] Zob. teksty zgromadzone w tomie: W. Kendall, *Od agory do Kapitolu*, przeł. M. Pietrzak-Merta, Warszawa 2011.



Kacper Kita

Dekonstrukcja Ameryki

Fot. pexels.com

Stany Zjednoczone Ameryki są państwem jedynym w swoim rodzaju, cudownym dzieckiem oświecenia. Jedni je kochają, inni go nienawidzą. Nie ulega za to wątpliwości, że obecny kryzys polityczny i tożsamościowy USA skupia w sobie jak w soczewce zagrożenia, które mogą w przyszłości czekać państwa Europy, w tym Polskę. Krok po kroku postępuje rozkład Ameryki na poziomie narodowościowym i kulturowym. Aby zrozumieć, dlaczego może zachodzić tak łatwo, trzeba sięgnąć do jej historycznych korzeni.

≡ Ameryka – państwo-eksperyment

Kolonie w Ameryce Północnej, na bazie których powstały później Stany Zjednoczone, były zakładane i zasiedlane głównie przez angielskich protestantów różnych wyznań. Motywacją do opuszczenia Europy były dla nich prześladowania religijne i chęć poprawy swojej sytuacji materialnej. Od początku kolonistom przyświecała też jednak wizja budowy nowego, lepszego, sprawiedliwego świata. To wizja typowa dla protestantyzmu. W końcu kolejne protestanckie wyznania powstawały właśnie poprzez odłączenie się od istniejącego już Kościoła lub istniejących już kościołów protestanckich, które założyciele nowych religii odrzucali, aby samemu stworzyć „prawdziwe chrześcijaństwo". Ameryce od początku towarzyszyła metafora „miasta na wzgórzu" (*a City upon a Hill*), wzięta z ewangelicznego kazania na górze.

> Wy jesteście solą dla ziemi. Lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić? Na nic się już nie przyda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu. Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie (Mt 5, 13-16).

Ameryka miała być tym miastem położonym na górze. Doskonale urządzoną społecznością, która będzie świecić przykładem ludziom na całym świecie. Urządzoną od podstaw, z dala od Europy, tak jak kolejne protestanckie kościoły były urządzane od podstaw, po odcięciu się od katolicyzmu i samodzielnym wyinterpretowaniu z Pisma Świętego zasad „prawdziwego chrześcijaństwa". Gdy Ameryka deklarowała niepodległość, Amerykanami byli praktycznie wyłącznie protestanci – odsetek katolików szacuje się na 1–1,2%, a żydów na mniej niż 1%. Pierwszymi katolikami w przyszłym USA byli Anglicy szukający wytchnienia od prześladowań ze strony rządzących ojczyzną protestantów i otrzymujący na to w latach 30. XVII w. zgodę od stosunkowo prokatolickiego króla Karola I (jego żona była katoliczką, jego syn i następca Karol II przyjął katolicyzm na łożu śmierci).

Na ten protestancki idealizm i chęć zbudowania nowego, bardziej sprawiedliwego świata nałożyło się oświecenie, również w Europie będące zresztą w niemałym stopniu zsekularyzowaną pochodną reformacji. Ojcowie założyciele byli protestantami lub deistami, starającymi się urządzić w Nowym Świecie obywatelską republikę. Stany Zjednoczone są cudownym dzieckiem oświecenia, bo są jedynym narodem naprawdę założonym poprzez zawarcie konkretnej, spisanej umowy społecznej przez konkretnych ludzi w konkretnym czasie. Ojcowie założyciele mieli być typowo oświeconymi mędrcami, którzy na podstawie swojej znajomości historii oraz odkryć ubóstwionego Rozumu Ludzkiego projektują prawa i zasady założonej przez siebie wspólnoty – najlepszej i najdoskonalszej, jaką kiedykolwiek wydała z siebie ludzkość.

Od samego początku w Ameryce mamy do czynienia ze zderzeniem dwóch łatwo wchodzących ze sobą w konflikt zjawisk. Z jednej strony oświeceniowego idealizmu, z drugiej radykalnego często ograniczania wspólnoty na podstawie kryteriów etnicznych i religijnych. Pierwotna Ameryka miała być swego rodzaju protestanckim metakościołem, doskonałą wspólnotą zorganizowaną zgodnie z zasadami wydedukowanymi przez natchnionych ojców założycieli, jednak z rygorystycznymi zastrzeżeniami dotyczącymi członkostwa. Nie każdy może przystąpić do narodu wybranego. Wśród Amerykanów bardzo częste było i jest przekonanie, że stworzona w 1787 r. Konstytucja została dana wprost przez Boga. Dlatego nigdy nie doszło do powołania nowej, a najbardziej konserwatywni Amerykanie uważają ją za święty dokument, który należy interpretować dokładnie w ten sposób. Znów widzimy tu powtórzenie na poziomie narodu mechanizmu kolejnych protestanckich wspólnot i sekt, z których każda uważała się za tę wybraną przez Stwórcę. Warto to podkreślić, bo Polacy są narodem diametralnie innym – formującym się organicznie poprzez setki lat i ukształtowanym w kręgu cywilizacji katolickiej. Katolickiej, czyli odwołującej się, jak sama nazwa wskazuje, do powszechności Kościoła, a tym samym odmiennych, uzupełniających się ról wspólnoty religijnej i narodowej.

≡ KTO MOŻE BYĆ AMERYKANINEM? SPRAWA CZARNOSKÓRYCH

To samo połączenie idealizmu z ekskluzywnością dostrzeżemy w wielu decyzjach i dokumentach wydanych podczas zakładania USA. W 1790 r. pierwszy Kongres USA ograniczył możliwość nabywania amerykańskiego obywatelstwa do

„białych osób o dobrym charakterze moralnym". Stany Zjednoczone zostały więc założone jako państwo ekskluzywne rasowo przez właścicieli niewolników, którzy wierzyli w wyższość białej rasy i chcieli praktykować oświeceniowe i republikańskie ideały w obrębie własnej grupy etnicznej. Thomas Jefferson w Deklaracji Niepodległości z 1776 r. napisał: „Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie stworzeni są równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, że w skład tych praw wchodzą prawo do życia, dążenia do szczęścia i wolność". Jeffersonowi nie przeszkadzało to w posiadaniu czarnych niewolników. Na podstawie ich obserwacji pisał między innymi, że czarni są „rozumowo znacznie niżsi" w stosunku do białych. Z jedną ze swoich niewolnic miał nawet sześcioro dzieci, przez co dziś lewica oskarża go również o bycie gwałcicielem. O Indianach Jefferson pisał jako o „bezlitosnych dzikusach" i popierał podporządkowywanie ich sobie siłą. Indianie otrzymali zresztą obywatelstwo amerykańskie dopiero w 1924 r. Nigdzie w amerykańskiej konstytucji ani w karcie praw (pierwszych 10 poprawkach do konstytucji) nie padają słowa „równość" i „demokracja". Ojcowie Założyciele świadomie nie stworzyli mechanizmu wybierania prezydenta w wyborach bezpośrednich, tylko wymyślili Kolegium Elektorskie. Stany Zjednoczone miały być republiką, rządzoną przez „naturalnie generującą się arystokrację" najbardziej utalentowanych, o której trzeci prezydent USA, Jefferson, pisał w 1813 r. w liście do dawnego rywala, drugiego prezydenta, Johna Adamsa.

Również prezydent USA kojarzony ze zniesieniem niewolnictwa czarnoskórych, Abraham Lincoln, chciał zachowania rasowego ekskluzywizmu Stanów Zjednoczonych. Choć działał na rzecz zniesienia niewolnictwa, które uważał za rażącą niesprawiedliwość, deklarował jasno w 1858 r., podczas słynnych debat ze Stephenem Douglasem:

> Nie jestem i nie byłem nigdy za tworzeniem w jakikolwiek sposób społecznej i politycznej równości białej i czarnej rasy. Nie chciałem nigdy czynić z czarnych wyborców, przysięgłych, pozwalać im sprawować urzędy czy brać śluby z białymi ludźmi. Istnieje fizyczna różnica między białą a czarną rasą, która według mnie wyklucza, by kiedykolwiek te dwie rasy mogły żyć obok siebie na zasadach społecznej i politycznej równości. A skoro nie mogą tak żyć, dopóki pozostają obok siebie, musi istnieć pozycja zwierzchnika i podległego (*superior and inferior*). Nikt bardziej ode mnie nie jest za tym, by pozycja zwierzchnika (*superior*) była przypisana do białej rasy.

Tak, to wszystko Abraham Lincoln. Pytany w 1854 r., co zrobić z czarnoskórymi po tym, jak zostaną uwolnieni, o co przecież walczył, Lincoln mówił: „moim pierwszym impulsem byłoby wysłanie ich wszystkich do Liberii, do ich własnej, rodzinnej ziemi".

≡ REWOLUCYJNA POPRAWKA

W 1857 r., tuż przed wojną secesyjną, Sąd Najwyższy USA orzekł w sprawie Dred Scott vs. Sandford stosunkiem głosów 7:2, że otrzymywanie obywatelstwa

przez czarnoskórych jest wykluczone przez konstytucję USA. Również wyzwoleni niewolnicy czy ich potomkowie nie mogli więc stawać się Amerykanami. Nie wiemy, co sam prezydent Lincoln zrobiłby z byłymi niewolnikami po wygranej wojnie secesyjnej, bo został zamordowany w kwietniu 1865 r., zanim mógł podjąć taką decyzję. Wiemy jednak, że w 1868 r. przyjęto 14. poprawkę do konstytucji USA. To jeden z najważniejszych aktów prawnych w historii Stanów Zjednoczonych. Kluczowa pierwsza sekcja poprawki brzmi: „Wszystkie osoby urodzone lub znaturalizowane w Stanach Zjednoczonych i podległe ich jurysdykcji są obywatelami USA i stanu, w którym mieszkają. Żaden stan nie może wprowadzić ani egzekwować prawa, które ograniczałoby przywileje obywateli USA, żaden stan nie może pozbawić nikogo życia, wolności ani własności bez należytego procesu prawnego ani odbierać komukolwiek pod swoją jurysdykcją równej ochrony prawa".

Celem tej poprawki było umożliwienie nadania obywatelstwa uwolnionym czarnoskórym niewolnikom oraz ich potomkom. Co ciekawe, początkowo nie obejmowano tym prawem Azjatów. W 1898 r. Sąd Najwyższy zdecydował jednak stosunkiem głosów 6:2, że urodzone w USA dziecko Chińczyków, niebędących chińskimi dyplomatami, również otrzymuje w chwili narodzin obywatelstwo amerykańskie. Doszło więc do usankcjonowania prawa ziemi, co miało i ma ogromne znaczenie dla kolejnych fal imigracji w XX i XXI w. Przybysze z całego świata mają bowiem dodatkową motywację – ich płodzone w USA dzieci stają się Amerykanami, mającymi takie same prawa jak potomkowie założycieli państwa. Co więcej, obywatelstwo otrzymują dziś nawet dzieci nielegalnych imigrantów, czyli przestępców, którzy nie powinni znajdować się na terytorium tego kraju. Ogromnie opłaca się więc wedrzeć do Ameryki w ten czy inny sposób. Trump obiecywał w jednej z kampanii zmianę tego stanu rzeczy, ale nic z tym jako prezydent nie zrobił. Oczywiście sprawę musiałby ostatecznie rozstrzygnąć Sąd Najwyższy.

To właśnie na podstawie 14. poprawki wszechwładny Sąd Najwyższy narzucił też wszystkim stanom w 1973 r. aborcję na życzenie (7:2), a w 2015 r. „małżeństwa" homoseksualne (5:4). Te ostatnie przegłosował jednym głosem dzięki przejściu na stronę lewicy nominowanego przez Reagana sędziego Kennedy'ego – choć w aż 32 stanach na 50 w referendach wprowadzono zakaz „małżeństw" homoseksualnych. Tylko w jednym stanie na 33 nie uzyskano większości za takim zakazem, gdy doszło do referendum. Ale zdanie obywateli nie ma znaczenia, gdy pięciu oświeconych mędrców wyinterpretuje sobie ze sformułowania „równa ochrona prawa" „równość małżeńską". Również na podstawie tej „równej ochrony prawa" sędziowie oktrojowali prawo do dzieciobójstwa.

≡ FALE IMIGRACJI – ALE Z EUROPY

Z pierwszą wielką falą imigracji do USA mieliśmy do czynienia między końcem wojny z Wielką Brytanią w 1815 r. a wybuchem wojny secesyjnej w 1861 r. Wówczas przybywali do USA głównie Irlandczycy i Niemcy. Pojawiło się nawet pierwsze ugrupowanie antyimigranckie – Partia Nic Niewiedzących (*Know Nothing Party*), nastawiona przeciwko nowym imigrantom, zwłaszcza katolikom. Konsekwentnie

zwalczano imigrację spoza Europy. Kongres przegłosował nawet dwie kolejne ustawy, zakazujące wjazdu najpierw chińskim kobietom, a po kilku latach także chińskim mężczyznom. Później w ramach porozumienia dyplomatycznego z Japonią rząd w Tokio przestał wydawać wizy swoim obywatelom chcącym osiedlić się w USA. W wielu stanach istniały prawa zakazujące cudzoziemcom posiadania ziemi. Od końca XIX w. do I wojny światowej przez Stany Zjednoczone przechodziła kolejna wielka fala imigracji z Europy – wówczas w Ameryce osiedliło się w poszukiwaniu lepszego życia również wielu Polaków. W 1920 r. biali pochodzenia europejskiego stanowili 88,6% mieszkańców USA, a czarnoskórzy – potomkowie niewolników – 9,9%. Azjatów i Indian było po ledwie 0,2%. Ameryka była specyficznym, ale jednak ewidentnym przedłużeniem Europy pod względem narodowościowym i kulturowym.

Na początku lat 20. wprowadzono rygorystyczne przepisy mające na celu „zachowanie ideału homogeniczności USA". Znów po wielkiej fali imigracji z Europy miała nastąpić pauza, która pozwoli na integrację przybyszy. Ustawy z lat 1921 i 1924 wymierzone były przede wszystkim w niepożądanych w większych ilościach imigrantów z Europy Wschodniej i Południowej – Włochów, Greków, wschodnioeuropejskich Żydów, Polaków i innych Słowian. Co do konieczności takich działań istniał konsensus całej klasy politycznej – ustawy przyjęto w Senacie ogromną większością (90:2 i 69:9). Imigracja ze wschodniej półkuli została ograniczona do 165 tys. rocznie – pięciokrotnie mniej niż przed wojną. Co kluczowe, wprowadzono zasadę kwot narodowościowych. Każdego roku z kraju X nie wpuszczano więcej niż 2% ludności pochodzącej z X i mieszkającej w USA w 1890 r., przed wielką falą. Imigracja z Azji została natomiast całkowicie zakazana. W ten sposób USA miały zachować swój biały, anglosaski i protestancki charakter. Odczuli to również Polacy, dla których wyjazd do USA stał się znacznie trudniejszy.

≡ PODWÓJNY PRZEŁOM LAT 60.

W 1960 r. Stany Zjednoczone nadal były więc bez dwóch zdań krajem białych chrześcijan. Biali pochodzenia europejskiego stanowili 85,4% społeczeństwa, czarni 10,5%, Azjaci 0,5%, a Indianie 0,3%. Pojawiła się istotna mniejszość latynoska – 3,2% społeczeństwa. Podstawowym problemem były nadal relacje między białą większością a czarną mniejszością. Choć niewolnictwo zostało zniesione, a czarnoskórzy mieli obywatelstwo, bardzo długo powszechna była segregacja rasowa – w szkołach, instytucjach publicznych i urzędach, w armii, a nawet w transporcie publicznym, restauracjach czy przy fontannach. Dopiero w 1954 r. Sąd Najwyższy zdecydował jednogłośnie (9:0), że segregacja rasowa w szkołach jest niezgodna z zasadą równości wobec prawa wprowadzoną przez omawianą wyżej 14. poprawkę do konstytucji. Następnie w 1957 r. instytucja ta zakazała również segregacji w transporcie publicznym. Wreszcie w 1967 r. Sąd Najwyższy uznał także zakaz małżeństw mieszanych za niekonstytucyjny, przychylając się do skargi białego mężczyzny i czarnej kobiety, którzy zostali w stanie Wirginia skazani na rok więzienia za wzięcie ze sobą ślubu.

USA z początku lat 60. były krajem opartym na tradycyjnych strukturach społecznych. Ponad 80% zamężnych kobiet z małymi dziećmi nie pracowało. Tylko 3% białych dzieci rodziło się poza małżeństwami. 1% respondentów deklarowało niereligijność, połowa chodziła do kościoła w niedzielę. Przestępczość była niska, praktycznie nie istniał problem narkotyków. Zgodnie z zasadami Związku Filmowców Ameryki, do którego należeli praktycznie wszyscy producenci, filmy musiały spełniać określone standardy moralne, skodyfikowane w *Production Code*. Bohaterowie nie mogli na przykład przywoływać imienia Pana Boga nadaremno, drwić z religii ani się obnażać. Akcja nie mogła przedstawiać seksu pozamałżeńskiego jako atrakcyjnego lub uzasadnionego. Homoseksualizm mógł być przedstawiany jedynie jako perwersja. Aborcja miała być niewspominana wprost, a gdy wspominana, potępiana. Hollywood posiadało restrykcyjne przepisy nakazujące pokazywanie, że przestępczość nie popłaca. W wielu stanach, na przykład w Nowym Jorku, istniały również przepisy zakazujące wydawania książek „poświęconych przedstawieniom wyrodnego seksu lub seksualnej niemoralności".

Druga połowa lat 60. stanowi cezurę – to wtedy nastąpił przełom. Rozpoczął się błyskawiczny rozkład Ameryki jako wspólnoty narodowej i kulturowej. USA zostały otwarte na masową imigrację spoza Europy. Zaczęto wywracać do góry nogami publiczną moralność, a kultura stała się narzędziem w rękach antycywilizacyjnych rewolucjonistów. Nastąpił również rozkład wewnątrz samego amerykańskiego społeczeństwa – zaczęła powstawać jednoznacznie różniąca się od współobywateli klasa liberalnych kosmopolitów, której nie było nigdy wcześniej.

≡ IMIGRACYJNA REWOLUCJA

Zacznijmy od imigracji. W 1965 r. przyjęto nową ustawę, całkowicie zmieniającą przepisy imigracyjne. Dotychczas obowiązujące były bowiem kontestowane jako rasistowskie. Zrezygnowano ze wspierania imigracji z Europy Północno-Zachodniej. Usunięto przepisy dyskryminujące Europejczyków z południa i wschodu, ale przede wszystkim także mieszkańców Azji i Afryki. Priorytetem przestała być homogeniczność Amerykanów, a stały się prawa imigrantów do sprowadzania swoich rodzin oraz ich kompetencje zawodowe. Przegrała logika wspólnoty narodowej, wygrała logika praw jednostek i wolnego rynku. Przeprowadzający rewolucyjne zmiany prezydent Lyndon Johnson określił dotychczasowe przepisy jako „nieamerykańskie (*un-American*)" oraz „okrutne i czyniące zło".

Widzimy tu więc przy okazji radykalną redefinicję amerykańskości. Dotąd składały się na nią postoświeceniowy idealizm, ale również afirmacja konkretnej wspólnoty, często właśnie bardziej rygorystyczna (etnicznie, rasowo) niż w narodach historycznie katolickich. Od tej pory amerykańskie ideały stają się coraz bardziej liberalne i abstrakcyjne, wyprane z konkretnej tożsamości i historii. Ameryka przestaje być krajem pochodzących z Europy chrześcijan, wznosząc swój eksperyment na kolejny poziom. Jej *raison d'être* zaczyna być udowodnienie, że można stworzyć wspólnotę z niemających ze sobą absolutnie nic wspólnego wykorzenionych jednostek. Co więcej, to właśnie w tym, że nie są ze sobą nijak związane,

ma się zawierać ich siła. Zaczyna się kult „różnorodności", która ma być „naszą największą siłą". Dewiza *E pluribus unum* – „z wielu jeden" – zostaje rozszerzona na cały świat, mieszkańców dowolnego zakątka globu. Jedynym, co ich łączy, ma być zaś właśnie liberalny brak wspólnej tożsamości i wspólne przyjęcie, że taka tożsamość jest niepotrzebna. To radykalny indywidualizm ma być przykładem, którym ma świecić na cały świat „Miasto na wzgórzu". Każdy, kto opowiada się za przetrwaniem historycznej Ameryki, wspólnoty europejskich chrześcijan, ma być zgodnie z tą nowomową „nieamerykański", zdradzać „amerykańskie ideały". Ten sam język zaadaptowali na warunki Starego Kontynentu postępowcy przekonujący, że sednem „Europy" jest walka z chrześcijaństwem i otwarcie na imigrację oraz że każdy przeciwnik takich poglądów zdradza „europejskie wartości". Jedyną „zachodnią", „amerykańską", „europejską" wartością ma być pęd do autodestrukcji.

Oczywiście wprowadzający te zmiany politycy nie robili tego w radykalny sposób. Taktyka salami jest stale aktualna. Senator Edward Kennedy przekonywał w 1965 r. podczas debaty: „Nasze miasta nie będą zalewane milionem imigrantów rocznie. [...] Etniczny skład tego kraju nie zmieni się. [...] Zarzuty, które wymieniłem, są wysoce emocjonalne, irracjonalne, nie mają podstaw w faktach". Kennedy mówił tak, bo w 1965 r. zgodnie z ówczesnym sondażem dwie trzecie Amerykanów nie chciały jakiegokolwiek wzrostu imigracji. Ale czy gdziekolwiek kiedykolwiek politycy przejmowali się tym, że zachodnie narody praktycznie nigdy i nigdzie nie chcą wzrostu imigracji?

Po drodze następowały kolejne reformy. W 1986 r. prezydent Reagan udzielił amnestii ok. 3 milionom nielegalnych imigrantów. Mimo to ich liczba stale rośnie. Dziś jest ich już kilkanaście milionów, a kolejne miasta deklarują się jako „sanktuaria", w których ci przestępcy nie są wydawani organom ścigania. Kluczowa jest jednak oczywiście imigracja legalna. Dokładnie tak, jak miało nie być według senatora Kennedy'ego, co roku w USA pojawia się ponad milion nowych osób. „Etniczny skład", który miał się nie zmienić, uległ rewolucji. Amerykanów jest dziś o 85% więcej niż w 1965 r. – przybyło, bagatela, 150 milionów osób. Biali pochodzenia europejskiego stanowią wg danych za koniec 2019 r. jedynie 60,1% mieszkańców. Sam Władimir Putin zauważył zresztą kąśliwie, że „Ameryka w większości nie jest już krajem białych chrześcijan". 18,5% to Latynosi, 12,2% czarnoskórzy, 5,6% Azjaci. Za kolejne 20–25 lat biali mają stanowić już mniejszość. „Amerykański eksperyment" ma polegać na zanegowaniu idei większości asymilującej mniejszość, idei jednej kultury, idei jednej tożsamości narodowej. Ideałem „Miasta na wzgórzu" ma być „różnorodność".

Ten kierunek świadomie popierają polityczne elity. W 1990 r. Kongres i prezydent George Bush senior przy okazji kolejnych ułatwień imigracyjnych wprowadzili „różnorodnościową loterię wizową" (*Diversity visa lottery*) – wizę do USA można wygrać na loterii, o ile jest się z kraju, którego przedstawicieli jest w USA wyjątkowo mało. To dokładne zaprzeczenie zdroworozsądkowych zasad, które obowiązywały kiedyś – faworyzowania imigrantów podobnych do osób żyjących już w USA. Teraz priorytetem nie jest jednak homogeniczność, ale właśnie jej zwalczanie – jak największa „różnorodność". W 1997 r. prezydent Bill Clinton powiedział, że „demograficzna transformacja naszego kraju będzie trzecią wielką rewolucją Ameryki.

Udowodni ona, że możemy żyć bez dominującej europejskiej kultury". Rok później ten sam Clinton zadeklarował: „Za nieco ponad 50 lat w USA nie będzie rasy mającej większość. Żaden inny naród w historii nie przeszedł zmiany demograficznej takich rozmiarów w tak krótkim czasie. Imigranci ożywiają naszą kulturę i rozszerzają naszą wizję świata. Odnawiają nasze najbardziej podstawowe wartości i przypominają nam wszystkim, co to naprawdę znaczy być Amerykaninem". Z kolei Barack Obama, pierwszy niebiały prezydent, podczas swojego inauguracyjnego przemówienia w 2009 r. uroczyście ogłosił, że Ameryka „to nie jest naród chrześcijański", dodając: „jesteśmy narodem chrześcijan, muzułmanów, żydów, hindusów i niewierzących".

≡ NIENAWIŚĆ DO SAMYCH SIEBIE

Tego rodzaju deklaracje i działania wynikają z jednego korzenia, jakim jest rozpowszechnione od końca lat 60. wśród zachodnich postępowych intelektualistów poczucie winy i chęć autodestrukcji, postrzeganej jako dziejowa sprawiedliwość. W mniej lub bardziej świadomy sposób zgadzają się oni ze zdaniem aktywistki Susan Sontag wyrażonym w 1967 r. – „biała rasa jest rakiem ludzkiej historii". Rakiem, który musi być usunięty dla powszechnego dobra. Stąd kult „różnorodności" i systematyczna destrukcja tożsamości historycznej Ameryki. Uderza się w podstawy amerykańskiego mitu założycielskiego, przekonując, że historia Ameryki to historia rasizmu, wyzysku i prześladowań. Symbolem podcinania korzeni jest uroczyste zmienianie patronów szkół przez placówki noszące imiona „kontrowersyjnych" postaci, takich jak… prezydenci USA – Thomas Jefferson, Abraham Lincoln czy George Washington – sam pierwszy prezydent i pierwszy ojciec założyciel. Ameryka tym samym przestaje być konkretnym narodem z konkretną historią, a staje się całkowicie abstrakcyjnym bytem, którego jedyną treścią jest negacja przeszłości i destrukcja tego, co po niej pozostało.

Dlaczego „różnorodność" jest tak atrakcyjna? Dlaczego miliony ludzi daje się jej uwieść i chce się narkotyzować tym postmodernistycznym bożkiem? Ponieważ kult „różnorodności" oznacza skrajną postać społecznego konstruktywizmu. Pełną możliwość przetwarzania materii przez ludzką wolę. Przezwyciężenie wszelkich podziałów niezależnych od człowieka i jego woli. Ostatecznie sprowadza się to do diabelskiej pokusy, której ulegli pierwsi ludzie w Raju – pokusy „bycia jak Bóg". Możliwości nieograniczonego tworzenia i przetwarzania siebie samych oraz świata dookoła. Nie ma narodów, ras, płci, kobiet, mężczyzn – każdy może być, kim i czym zechce. Kraj stworzony z jednostek, których nie łączy absolutnie nic oprócz afirmacji swojego indywidualizmu i liberalnej obyczajowości – to docelowa Ameryka, mająca być realizacją fantazji liberalnych ideologów. W tym właśnie kierunku podążają dziś Stany Zjednoczone.

Degeneracji idei Ameryki nie sposób nie wiązać również z degeneracją jej oryginalnych części składowych – protestantyzmu i oświecenia. Co jest tu bardziej przyczyną, a co bardziej skutkiem? Takie rozważania piszący te słowa zostawia na inną okazję. Na pewno możemy dostrzec, że analogie są uderzające. Protestanckie wspólnoty też były zakładane pod hasłami rygorystycznych zasad

moralnej odnowy i odejścia od zepsucia, którego doszukiwano się w Kościele katolickim. Dziś bardzo wiele z nich popadło ze skrajności w skrajność, inkorporując kolejne przejawy liberalizmu obyczajowego, takie jak afirmacja aborcji i homoseksualizmu, błogosławienie par jednopłciowych, wyświęcanie kobiet czy odrzucanie możliwości potępienia wiecznego. Podobnie oświecenie, które miało zapoczątkować epokę Rozumu tryumfującego nad przesądami i religijnymi zabobonami, doszło dziś do kompletnego odrzucenia rozumu i przyjmowania na wiarę w oczywisty sposób irracjonalnych, ale pasujących do parareligii konstruktywizmu, zabobonnych twierdzeń, takich jak istnienie wielu płci i „orientacji seksualnych" czy mająca umacniać więzi społeczne „różnorodność".

Ameryka przeszła zaś w ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat drogę od Ku Klux Klanu, segregacji rasowej i wsadzania ludzi do więzienia za małżeństwa mieszane do drugiej skrajności – aktywnego sprowadzania jak największej liczby niebiałych imigrantów, systemowego uprzywilejowywania czarnoskórych i Latynosów w szkolnictwie czy wojsku oraz wmawiania na każdym kroku białym Amerykanom poczucia historycznej winy, której nie są w stanie zmazać w żaden inny sposób, niż dążąc do samozagłady. Nietrudno zauważyć, że podobny przeskok od rasizmu i supremacjonizmu do autodestrukcji i złamanego kręgosłupa możemy zauważyć w dwóch pozostałych największych protestanckich krajach – Anglii i Niemczech. Utopijną wiarę w „różnorodność" jako sedno Ameryki wyznaje i promuje polityczny establishment. Bill Clinton twierdził, że „różnorodność Ameryki jest naszą największą siłą". Podobnie George Bush junior – „różnorodność jest jedną z największych sił Ameryki". Media i politycy powtarzają to hasło od lat, dodając, że każdy, kto w nie nie wierzy, jest białym supremacjonistą i rasistą. Imigranci spoza Europy są sprowadzani na nieprawdopodobną skalę – tak jak powiedział Clinton: „Żaden inny naród w historii nie przeszedł zmiany demograficznej takich rozmiarów w tak krótkim czasie". Jednocześnie zachodzące od lat 60. przemiany kulturowe i społeczne, afirmujące egoistyczną jednostkę przeciwko wspólnocie, łączą się z odrzuceniem idei asymilacji. Imigranci nie mają „stawać się Amerykanami", dążyć do bycia jak tubylcy, ale pielęgnować własną tożsamość. To w ten sposób, zgodnie z pokrętną liberalną logiką, będą prawdziwymi Amerykanami – wyrzekając się tożsamości zbiorowej innej niż… wspólne odrzucenie tożsamości zbiorowej. Ideał „różnorodności" ma uczynić z Ameryki pierwszy pełny antynaród.

≡ BAŁKANIZACJA AMERYKI

W rzeczywistości w Ameryce nie powstaje doskonałe „Miasto na wzgórzu", ale społeczeństwo coraz bardziej zatomizowane i skonfliktowane. Ameryka nie świeci dziś przykładem, ale odstrasza – choć oczywiście liberalny establishment i wielkie media będą realizację ideału „różnorodności" przedstawiać jako historię wielkiego sukcesu. Jeden z najbardziej znanych amerykańskich politologów, Robert Putnam z Uniwersytetu Harvarda, już w 2000 r. wydał głośną książkę *Grając w kręgle samemu*. Pokazał w niej, że od lat 60. w USA konsekwentnie spada poziom społecznego kapitału – zaangażowania w sieci związków między członkami społeczeństwa, które

pozwalają mu poprawnie funkcjonować. Spadają aktywność polityczna, frekwencja wyborcza i zaufanie do rządu, zmniejsza się udział w publicznych zebraniach, a także w lokalnych towarzystwach, związkach zawodowych, organizacjach religijnych, edukacyjnych, wojskowych, młodzieżowych i sportowych. Tytuł książki odnosi się do faktu, że choć rośnie liczba Amerykanów grających w kręgle, spada jednocześnie liczba tych uczestniczących w popularnych niegdyś lokalnych ligach kręglowych. Ludzie coraz częściej wybierają rozrywkę samemu. Atomizacja postępuje.

Do kolejnej swojej pracy, *Różnorodność i wspólnota w XXI wieku*, Putnam zbierał dane od 30 tysięcy osób przez 5 lat. Badania Putnama pokazały, że im bardziej dana społeczność staje się różnorodna, tym bardziej spada w niej poziom zaufania. Co ciekawe, nie tylko do członków innej grupy etnicznej, ale również do członków własnej. Putnam porównał ludzi żyjących w etnicznie różnorodnych społecznościach do żółwi, które chowają się do swojej skorupy. W takich miejscach ludzie mniej angażują się w życie wspólnoty, rzadziej udzielają się jako wolontariusze, dają mniej pieniędzy na organizacje charytatywne, mniej wierzą w możliwość dokonania przez siebie społecznej zmiany. Różnorodność etniczna powoduje niższe zaufanie wobec współobywateli i rzadszą interakcję z nimi, a wraz z tym rozwarstwienie w dochodach i wzrost poziomu przestępczości.

Te i inne badania potwierdzają również wiele innych przewidywalnych zjawisk. Wraz ze wzrostem „różnorodności" etnicznej na danym obszarze spada zaufanie do policji. W „różnorodnych" miastach niższe są wydatki na lokalne drogi, infrastrukturę, edukację, nawet na oczyszczalnie ścieków czy wywóz śmieci. Wobec czego jakość życia w „różnorodnych" miastach tym bardziej się pogarsza. Napływ imigranckich dzieci do szkół powoduje zmianę placówki przez dzieci tubylcze – to też potwierdzają badania. Znane jest też zjawisko „białego odpływu" (*white flight*) – biali Amerykanie przeprowadzają się z dzielnic, gdy te stają się „różnorodne", o ile mogą sobie na to pozwolić.

Czytających te słowa pewnie nic tu nie zaskoczyło. Wbrew podniosłym wizjom konstruktywistów ludzie po prostu nie są klockami Lego. Nie da się też ich za pomocą społecznej tresury zmienić w klocki Lego, które można dowolnie przestawiać, łączyć, rozdzielać i które niczym się od siebie nie różnią oprócz koloru. Każdy człowiek ma konkretne tożsamości zbiorowe – jest dzieckiem konkretnych rodziców, urodzonym w konkretnym miejscu i czasie, członkiem konkretnego narodu lub grupy etnicznej, został wychowany w konkretnej religii lub jej braku, praktykuje jakąś konkretną religię lub nie, jest w konkretnym wieku, ma konkretną płeć. Prawie każdy człowiek odruchowo czuje się bardziej komfortowo wśród ludzi, z którymi ma coś wspólnego. Ogromna część jego tożsamości nie jest zależna od jego wyboru. Generał de Gaulle, uzasadniając oddanie niepodległości Algierii, mówił współpracownikowi, że „głoszący integrację mają mózg kolibra, nawet jeśli są wielkimi mędrcami. Proszę spróbować wymieszać olej i ocet. Potrząsnąć butelką. Po chwili znów się oddzielą. Arabowie są Arabami, Francuzi są Francuzami". Podobnie tutaj. Dlatego powstają „czarne" dzielnice, „czarne" szkoły, „czarne" organizacje społeczne, „czarne" sklepy, „czarne" kościoły – i tak samo jest z innymi grupami etnicznymi czy religijnymi.

W skali kraju tak ogromnego jak Stany Zjednoczone prowadzi to do bałkanizacji – tworzenia się regionów, miast, dzielnic zamieszkanych przez przedstawicieli

konkretnej grupy, którzy trzymają się ze sobą i tworzą coraz bardziej zamkniętą społeczność. Grupy mniejszościowe posiadają też rozmaite organizacje reprezentujące ich interesy na zewnątrz, w których członkostwo z zasady ograniczone jest do osób z danej grupy, np. czarnoskórych. Żyjący w zwartych społecznościach przedstawiciele mniejszości etnicznych mają często silną tożsamość i bez wahania zabiegają o interesy swojej grupy.

Dobrze widać to w polityce. W USA jest 25 okręgów wyborczych do Izby Reprezentantów, w których większość mieszkańców jest czarnoskóra lub czarnoskórzy stanowią największą grupę rasową. 24 na 25 okręgów reprezentowanych jest przez czarnoskórych posłów. Kiedyś zależność była stuprocentowa, ale w 2006 r. biały Żyd Steve Cohen został posłem z 9. okręgu Tennessee. Cohen chciał zostać członkiem Parlamentarnej Grupy Czarnych, jak obiecał swoim wyborcom w kampanii, których chciał tam reprezentować, ale odmówiono mu. Poseł William Clay zaznaczył, że jest „konieczne", żeby Grupa pozostała „wyłącznie czarna". Kilka lat później grupa miejscowych czarnych demokratów rozpętała ostrą kampanię przeciwko Cohenowi, starając się zastąpić go poprzez partyjne prawybory. W spocie telewizyjnym przedstawiono go obok członka Ku Klux Klanu w białym kapturze. Twierdzono, że Cohen „wchodzi do naszych kościołów, klaszcząc w ręce" i udając czarnego. Rozpowszechniano ulotki *Dlaczego Steve Cohen i Żydzi nienawidzą Jezusa?* Czarny konkurent Cohena w prawyborach, Willie Herenton, nie ukrywał, że należy go zastąpić, bo nie jest czarny – „nasz okręg stwarza jedyną szansę na wysłanie kompetentnego czarnego posła do białej reprezentacji stanu Tennessee w Waszyngtonie". „Tematem tego wyścigu będzie rasa, reprezentacja i władza". Czarny szef kampanii czarnego konkurenta mówił jasno: „To miejsce zostało odłożone dla osób, które wyglądają jak ja. Nie dla żyda czy chrześcijanina". Cohen utrzymał się jednak na stanowisku, bo w pewnym momencie sam prezydent Obama uznał kampanię przeciwko niemu za szkodliwą dla partii i poparł go.

≡ TRZY ELEMENTY DEKONSTRUKCJI

Na dekonstrukcję Ameryki składają się trzy zachodzące jednocześnie zjawiska. Po pierwsze, masowa imigracja spoza Europy, z najróżniejszych części świata. Imigranci nie są zaś zachęcani do tego, by się asymilować. Są zachęcani do afirmacji i celebracji swojej wyjściowej tożsamości, a nie do stawania się Amerykanami. Ameryka ma być pierwszym sztucznie skonstruowanym antynarodem. Bycie Amerykaninem ma oznaczać bycie jednostką. Jeśli nie jest się białym, może oznaczać również celebrację swojej nieamerykańskiej tożsamości lub tożsamości swoich przodków. Warto pamiętać, że w zgodzie z danymi, które podałem wyżej, dawno do przeszłości odeszła już Ameryka, w której 90% ludności stanowią biali, a mniejszością są czarni, potomkowie niewolników. Dziś biali Amerykanie pochodzenia europejskiego stanowią niewiele ponad połowę ludności, a ich odsetek stale spada. Czarni to też ledwie 12–13%. Reszta to Latynosi, ale także błyskawicznie rosnące inne mniejszości – Azjaci czy Hindusi. Problemy rasowe USA nie sprowadzają się

więc już do dawnego konfliktu między potomkami niewolników a potomkami ich właścicieli, choć białym Amerykanom stale wmawiane jest poczucie winy wobec wszystkich mniejszości i są programowani tak, by pragnąć autodestrukcji.

Po drugie, uderza się w podstawy amerykańskiego mitu założycielskiego, przekonując, że historia Ameryki to historia rasizmu, wyzysku i prześladowań, a teraz należy stworzyć nową, lepszą Amerykę. „Ameryka nigdy nie była wielka", jak liberałowie często odpowiadali na hasło Trumpa, by „uczynić Amerykę znów wielką". Ameryka może dopiero stać się wielka, gdy oczyścimy ją ze wszelkich nieliberalnych, niekonstruktywistycznych elementów. Przede wszystkim z przywiązania do konkretnej historii i kultury z czasów, gdy nie była „różnorodna". Ze związku Ameryki ze stricte europejską kulturą, historią i tożsamością. Ze związku Ameryki z konkretną, chrześcijańską religią. Ameryka może być wielka dopiero wtedy, gdy stanie się konstruktywistycznym antynarodem.

Po trzecie, wszyscy niebiali są zachęcani do identyfikowania się nie poprzez swoje poglądy, ale poprzez swoją rasę i etniczność. Są uczeni, że powinni zawsze głosować na lewicę, bo prawica to rasiści, a także ich naturalni wrogowie. Mniejszość czarnych głosująca na Republikanów jest silnie stygmatyzowana. Krytyczna teoria rasowa i pokrewne twory postmodernizmu redukują jednostkę do roli reprezentanta swojej rasy czy grupy etnicznej, ale też płci lub „orientacji seksualnej". Każdy znajdujący się w grupie „ofiar" ma moralny obowiązek zwalczać „systemowy rasizm", aby być dobrym czarnym/Latynosem, tak jak należy zwalczać „patriarchat", aby być dobrą kobietą. Media, celebryci, uniwersytety i szkoły wywierają stałą presję, stosując bardzo prosty szantaż moralny. Czarnoskóry Amerykanin krytykujący Black Lives Matter jest zdrajcą swojej grupy. Poniekąd postmoderniści w swoim odrzuceniu oświecenia dochodzą do podobnych wniosków co mistrz kontrrewolucji, Joseph de Maistre, piszący, że „nie ma wcale człowieka na świecie. Widziałem w swoim życiu Francuzów, Włochów, Rosjan etc.; wiem nawet, dzięki Monteskiuszowi, że można być Persem; ale co do człowieka, oświadczam, że nie spotkałem go w życiu; jeśli istnieje, to nic o tym nie wiem".

≡ U ŹRÓDEŁ ZAPAŚCI

Nie byłoby dekonstrukcji Ameryki, gdyby nie doszło jednocześnie do otwarcia na masową imigrację spoza Europy i do postmodernistycznych przemian kulturowych. Jedno i drugie ma korzenie w latach 60. Co było pierwsze – jajko czy kura? Oczywiście nadbudowa i baza są ze sobą ściśle powiązane. Wydaje się, że jednak najpierw nastąpiło tąpnięcie kulturowe. Nastąpiła kontestacja tradycyjnych struktur społecznych, takich jak rodzina i naród. Nie byłoby rewolucji seksualnej, gdyby nie wchodząca na początku lat 60. na rynek pigułka antykoncepcyjna, totalnie wywracająca do góry nogami sferę seksualną i relacje między kobietami a mężczyznami, w następstwie czego możliwe stało się doświadczanie rozkoszy bez jakiejkolwiek odpowiedzialności. Wiele napisano na temat Antonio Gramsciego, szkoły frankfurckiej i antycywilizacyjnej kontrkultury. Te zjawiska są jednak takie same w całym świecie zachodnim, nawet jeśli wiele z nich rozpoczęło się w USA.

Specyficzne dla Ameryki były nakładające się na siebie w latach 60. ruch na rzecz praw czarnoskórych oraz wojna w Wietnamie. Jedno i drugie stworzyło ogromne podstawy do kontestacji swojego państwa i narodu przez młodych Amerykanów. W żadnym państwie europejskim nie było na tamtym etapie segregacji rasowej ani w ogóle tak znaczącej tego rodzaju mniejszości. Żadne państwo europejskie nie prowadziło też wówczas wojny, która byłaby tak kontrowersyjna moralnie i do udziału w której w dodatku zmuszane były tysiące młodych Amerykanów w ramach armii poborowej. Wielu z nich ginęło albo wracało kalekami – i po co właściwie? Koniec końców Sajgon i tak upadł. Musiał upaść. Wojna w Wietnamie stanowi pomnik pychy amerykańskich elit, bezsensownie wysyłających na śmierć przez lata tysiące własnych obywateli i zabijających tysiące obcych cywili. Ale potrzebnych było wiele lat, zanim amerykańscy decydenci dali radę po prostu się wycofać. Podobnie segregacja rasowa tworzyła w uzasadniony sposób obraz Ameryki jako państwa i narodu niesprawiedliwego, opartego na wyzysku, prześladowaniach i uprzedzeniach. Tak samo odbierały ją, zresztą z tych samych powodów, tysiące młodych ludzi w Europie Zachodniej, którym jednocześnie Ameryka była przedstawiana jako przywódca „wolnego świata" i całego Zachodu. Te dwa stricte amerykańskie błędy miały ogromny udział w obejmującej cały Zachód antycywilizacyjnej rewolucji z 1968 r. i wszystkich jej późniejszych skutkach, których ciężko doświadczamy do dziś.

Przemiany kulturowe i kontestacja własnego narodu doprowadziły do otwarcia granic. W końcu ustawa odchodząca od modelu imigracji nastawionej na Europę, a przede wszystkim tej części Starego Kontynentu, z której pochodziło najwięcej Amerykanów – ze świata anglosasko-germańskiego – została przyjęta w 1965 r. Przegłosowano ją właśnie pod hasłami zerwania z rasizmem, w ramach pakietu ustaw poprawiających sytuację czarnoskórych i zrywających z segregacją. W imię tworzenia nowej, bardziej sprawiedliwej Ameryki. Niestety, nie udało się nie popaść ze skrajności w skrajność, tj. znaleźć modelu pośredniego między niewolnictwem i segregacją rasową a antyrasistowską fiksacją prowadzącą do celebrowania sukcesywnego zanikania Amerykanów europejskiego pochodzenia i dyskryminowania ich, co obserwujemy dzisiaj. Pokazuje to utopijność liberalnie rozumianego „amerykańskiego eksperymentu", w którym wspólnotę mieli tworzyć ludzie niemający wspólnych przodków, historii, tożsamości, religii ani kultury. Stanowi nauczkę dla wszystkich narodów Europy, której liberalne elity chętnie poprowadziłyby w tym samym kierunku.

Od przełomu lat 60. obserwujemy sprzężenie zwrotne między postmodernizacją kultury i jej przenikaniem przez hasła dekonstrukcji złej, starej Ameryki oraz otwieraniem granic na nieeuropejskich imigrantów. Jedno napędza drugie, a drugie pierwsze. Skoro Ameryka to wyzysk, rasizm, niesprawiedliwość, nie ma wartości w przetrwaniu jej takiej, jaką ona jest. Zasiedlanie jej milionami przybyszów nie stanowi więc niczego złego. Tym bardziej że biali Amerykanie wyrządzili w przeszłości tyle zła czarnoskórym czy Indianom (a niewątpliwie wyrządzili) – teraz czas na dziejową sprawiedliwość, wynagrodzenie wszystkim niebiałym. Choćby i takim, którzy nigdy nijak bezpośrednio nie ucierpieli. Przeciwnie – imigracja stanowi wartość dodaną, ubogaci Amerykę, Ameryka wreszcie stanie się naprawdę wielka. Wielka, bo różnorodna. Wielka, bo będzie pierwszym antynacjonalistycznym antynarodem, prawdziwie skonstruowanym z niezwiązanych krwią

ani religią jednostek. A w drugą stronę masowa imigracja stawia przed faktem dokonanym – mamy miliony ludzi o zupełnie innych przodkach niż założyciele Ameryki i ci, którzy tworzyli ją przez 340 lat, od pojawienia się pierwszych kolonistów do otwarcia na „różnorodną" imigrację. Jeśli chcemy jakoś żyć razem, to po prostu musimy im „ustąpić miejsca" w sferze kultury, polityki – takimi hasłami karmi się Amerykanów. A wiele mniejszości umie się zorganizować, walcząc o swoje prawa i otwieranie granic dla kolejnych przedstawicieli swojej grupy. Sprzeciw wobec masowej imigracji jest bowiem rasizmem i białym supremacjonizmem, a więc największym istniejącym w historii świata złem. „Albo otwarte granice, albo Ku Klux Klan – *tertium non datur*" – do tego się ta propaganda sprowadza.

W 2009 r. w Fort Hood w Teksasie major Nidal Malik Hasan zabił 14 osób, w tym nienarodzone dziecko, i zranił 32 inne, krzycząc „Allahu akbar". Za miesiąc Hasan wraz ze swoim oddziałem miał polecieć do Afganistanu. Hasan wybrał – jak mówił znajomym, jest przede wszystkim muzułmaninem, a dopiero potem Amerykaninem. Nie chce zabijać innych muzułmanów w niesprawiedliwej wojnie. Jak donosił „The Boston Globe" na podstawie wojskowego raportu, który wyciekł do prasy, „wojskowych specjalistów od lat ostrzegano o postępującej radykalizacji majora Hasana, ale nie podjęli działań częściowo dlatego, że cenili rzadką różnorodność posiadania muzułmanina psychiatry". „Ponieważ od 2001 r. US Army przyciągnęła tylko jednego muzułmanina psychiatrę oprócz Hasana, możliwe, że obawiali się stracić taką różnorodność i w związku z tym byli skłonni nie zwracać uwagi na słabości Hasana".

W ten oto sposób irracjonalny kult mistycznej różnorodności doprowadził do największej masakry w historii baz amerykańskiej armii. Prezydent Obama powiedział, że „może być trudno zrozumieć pokrętną logikę, która doprowadziła do tej tragedii". A jednak logika Hasana wydaje się bardzo prosta. Był muzułmaninem, uważał wojnę przeciwko talibom za niesprawiedliwą, uważał swój obowiązek wobec religii za ważniejszy niż wobec USA, kropka. Hasan urodził się w Arlington w stanie Wirginia, całe życie spędził w USA, skończył dobre studia medyczne, w chwili masakry miał 39 lat. Nie był przypadkowym 17-letnim uchodźcą, który nie poznał dobroci Ameryki. W przypadku kultu różnorodności możemy jednak zauważyć mechanizmy typowe dla sekty (co dobrze oddaje wieloznaczne angielskie „cult") – im więcej znaków, że objawiona prawda nie działa, tym goręcej trzeba w nią wierzyć. W telewizji ABC szef sztabu generalnego US Army Bernard Casey, pytany o przyczyny, dla których jego zdaniem Hasan zdecydował się zabić i ranić kilkudziesięciu żołnierzy, nie chciał spekulować. Nie było to jasne. Zaznaczył jednak: „to straszne wydarzenie byłoby jeszcze większą tragedią, gdyby jej ofiarą stała się nasza różnorodność". Innymi słowy, różnorodność jest najwyższym dobrem. Jeśli z jej powodu będą ginąć ludzie, widocznie tak musi być.

≡ BLACK LIVES MATTER I KULT GEORGE'A FLOYDA

Różnorodność zastąpiła stare amerykańskie wartości. „Cancelowanie" Washingtona, Jeffersona czy Lincolna wymaga jednak zastępowania ich nowymi bohaterami. Głośnym przykładem była tu pierwsza od 1929 r. zmiana postaci na amerykańskim

banknocie – w 2016 r. prezydent Obama zapowiedział zastąpienie Andrew Jacksona na dwudziestodolarówce Harriet Tubman. Jackson to amerykański bohater wojenny z czasów wojny z Wielką Brytanią, zdobywca Florydy z rąk Hiszpanii i prezydent w latach 1829–37. Jednocześnie jest też jednak odpowiedzialny za masowe wysiedlenia Indian, zastępowanych białymi osadnikami. Sam posiadał niewolników i sprzeciwiał się ruchowi abolicjonistycznemu. Tubman to z kolei czarna kobieta, która sama uciekła z niewoli i zorganizowała sieć pomagającą czarnym niewolnikom uciekać od swoich właścicieli. Wymiana bardzo symboliczna. Została jednak zatrzymana przez Trumpa, który powiesił sobie nawet w Gabinecie Owalnym portret Jacksona (pomysł Steve'a Bannona), nazywał go „prezydentem ludu" i odwiedził jego grób. Po zmianie władzy Biden oczywiście wznowił i przyspieszył wymianę Jacksona na Tubman, a jego rzecznik uzasadniła to „koniecznością pokazania różnorodności naszego kraju".

Najbardziej znanym bohaterem nowej, różnorodnej Ameryki stał się jednak, rzecz jasna, George Floyd. Sytuacja jest skrajnie absurdalna. O ile wspomniana wyżej Harriet Tubman ma konkretne zasługi i łatwo przedstawić ją jako bohaterkę, o tyle Floyd jest przy najbardziej korzystnej dla siebie interpretacji zdarzeń przypadkową ofiarą niekompetentnego policjanta. A przy tym Floyd był bezrobotnym narkomanem i wielokrotnym przestępcą, mającym na koncie siedem pobytów w więzieniu, napady z bronią czy przykładanie pistoletu do brzucha ciężarnej kobiecie (czarnej zresztą), którą napadł w jej domu, aby ją okraść. Nie przeszkodziło to przewodniczącej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi ogłosić, że „imię Floyda będzie na zawsze synonimem sprawiedliwości". Do nowej religii w typowy sposób wciągane jest chrześcijaństwo, czyli religia nierozerwalnie związana z tożsamością historycznej Ameryki. W miejscu śmierci Floyda prowadzone są parachrześcijańskie modły i obrzędy, w tym chrzty, a „chrześcijańskie" media donoszą, że dochodzi tam rzekomo do cudów i zjawisk nadprzyrodzonych. Floyd przedstawiany jest jako męczennik za sprawę, którego śmierć „Bóg wykorzystuje do czynienia dobra". Ta sama Pelosi, stara aborcjonistka deklarująca się jako głęboko wierząca katoliczka, wprost mówiła, że Floyd „złożył ofiarę ze swojego życia". Pamiętajmy – największym zagrożeniem dla chrześcijaństwa nie są ci, którzy otwarcie deklarują się jako jego wrogowie, ale wilki w owczej skórze starający się przejąć je od środka i zwasalizować.

To jednak właśnie w imię sprawiedliwości dla Floyda w Stanach wybuchły masowe protesty, zamieszki i burdy. Płonęły ulice, samochody, przypadkowe budynki, niszczone i okradane były liczne sklepy. Zajęto siłą komisariat policji w Minneapolis. Doszło do wielu starć uczestników zamieszek z policją i Gwardią Narodową. Tydzień po śmierci Floyda już w ponad 200 amerykańskich miastach wprowadzono godzinę policyjną, a 100 tysięcy żołnierzy Gwardii Narodowej zostało zmobilizowanych w ponad 30 z 50 stanów. Demonstracje pod hasłem funkcjonującego od 2013 r. ruchu Black Lives Matter – „Czarne życia mają znaczenie" – odbyły się w tysiącach miast w USA. Według sondażowych szacunków wzięło w nich udział między 15 a 26 milionami Amerykanów, co czyniłoby z nich największe protesty w całej historii USA.

Wszystkie media głównego nurtu, ogrom demoliberalnych autorytetów z celebrytami z pierwszych stron gazet na czele oraz liczni politycy Partii Demokratycznej

zaangażowali się w promocję protestów i samego ruchu Black Lives Matter. Media takie jak CNN na każdym kroku starały się przedstawiać demonstracje jako uzasadnione i pokojowe. Sprawa Floyda miała być dowodem na systemowy rasizm panujący w Ameryce, a szczególnie wśród policji. Protesty były obok pandemii COVID-19 głównym tematem kampanii wyborczej, w której urzędujący prezydent Donald Trump mierzył się z Joe Bidenem. Trump starał się wykorzystać sytuację do przedstawienia się jako kandydat „prawa i porządku" stający naprzeciw chaosu, wandalizmu i burd. Media i demokraci uderzali zaś w niego jako przedstawiciela złej, rasistowskiej Ameryki.

Doszło do tego wszystkiego, mimo że na żadnym etapie śledztwa w sprawie śmierci Floyda nie widzieliśmy niczego, co wskazywałoby na to, że jego kolor skóry odegrał rolę w samym zdarzeniu. Sklepikarz, który wezwał z powodu Floyda policję, też był czarny. Prokurator generalny stanu Minnesota, który osobiście włączył się w sprawę, wschodząca gwiazda Partii Demokratycznej i pierwszy piastujący tak wysokie stanowisko muzułmanin, czarnoskóry Keith Ellison, sam przyznał w wywiadzie dla CBS po wyroku, że „nie było żadnego dowodu na to, że rasa Floyda miała znaczenie dla działań Dereka Chauvina (policjanta skazanego za jego zabicie – KK.)". Po uznaniu Chauvina winnym prezydent Joe Biden powiedział w orędziu, że proces pokazał, iż w Ameryce obecny jest systemowy rasizm – choć podczas procesu kompletnie niczego tego rodzaju nie wskazano. Sprawie Floyda, przyczynom jego śmierci i procesowi Chauvina poświęciłem osobny tekst na portalu Nowy Ład.

Równolegle szkoły i uniwersytety przejmowane są przez postmodernistów, szerzących twory takie jak „krytyczna teoria rasowa", promująca nigdy niekończącą się walkę z „białym supremacjonizmem". Krytyczna teoria rasowa w charakterystyczny sposób otwarcie podważa liberalne, oświeceniowe zasady, takie jak równość wobec prawa czy jego neutralność. Otwarcie odrzuca też podejście „ślepoty na kolor skóry" – nie, nie chce już, by kolorowi byli traktowani jak biali, jak niczym nieróżniący się obywatele. Za typowo postmodernistycznym bełkotem kryje się chęć prostego uzasadnienia prawa do uprzywilejowywania ludności „historycznie wyzyskiwanej" wobec „historycznie winnych" białych. Jednostka ma być nierozerwalnie związana ze swoją etnicznością. Czarni są zastępczym proletariatem, biali zastępczymi oprawcami.

≡ NOWI „IDEALNI, RÓŻNORODNI AMERYKANIE". AMERYKA JAKO PIERWSZY ANTYNARÓD

Magiczne hasło „różnorodności" coraz częściej otwarcie służy do dyskryminacji białych. W czerwcu tego roku iHeartMedia, największy właściciel stacji radiowych w USA, w ogłoszeniu o pracę wprost informował, że „tym razem jesteśmy zainteresowani jedynie zatrudnieniem opartym na różnorodności". Czyli białych nie chcemy. Wszystko to oczywiście w imię walki z rasizmem, która – jak gonienie króliczka – nigdy się nie kończy. W negacji nie ma spełnienia. Establishmentowe media bardzo aktywnie promują polityków i aktywistów spełniających ideał różnorodności. Przykładem tego zjawiska był oczywiście Barack Obama, wielki herold

„nowej, różnorodnej Ameryki". Warto wspomnieć także o Sonii Sotomayor, czyli latynoskiej sędzi Sądu Najwyższego, nominowanej przez tegoż Obamę. To wybitna orędowniczka trybalizacji Ameryki. Establishmentowy „The New York Times", a więc w żadnym razie nie źródło jej nieprzychylne, pisał, że „Sotomayor podkreślała znaczenie brania pod uwagę rasy i etniczności przy przyjmowaniu na uczelnie, zatrudnianiu, a nawet wybieraniu sędziów na praktycznie każdym etapie swojej kariery". Już jako studentka Sotomayor napisała skargę do ministerstwa, domagając się, by jej szkole nakazano zatrudnienie latynoskich nauczycieli. Protestowała, gdy Sąd Najwyższy w 1978 r. sprzeciwił się używaniu kwot rasowych na uczelniach. SN stanął wówczas po stronie białego kandydata odrzuconego przez Uniwersytet Kalifornijski, mimo że mężczyzna ten miał wyższe wyniki egzaminu niż praktycznie wszyscy przyjęci niebiali. Jeszcze jako sędzia federalna Sotomayor orzekła, że prawo stanowe w Nowym Jorku zakazujące więźniom głosowania w wyborach łamie konstytucję. Powód? W więzieniach jest nadreprezentacja czarnoskórych i Latynosów. W 2001 r. Sotomayor otwarcie odrzuciła tezę starej daty lewicowej aktywistki i zarazem sędzi SN Ruth Bader Ginsburg, że „w decydujących kwestiach mądry stary mężczyzna i mądra stara kobieta dojdą do tego samego wniosku". Zdaniem Sotomayor „mądra latynoska kobieta dzięki bogactwu swojego doświadczenia częściej dojdzie do właściwych wniosków niż biały mężczyzna, który nie żył jej życiem". Innymi słowy, przedstawiciele grup „wyzyskiwanych" z definicji są lepsi niż „wyzyskiwacze". A nie ma większych wyzyskiwaczy niż demoniczni biali mężczyźni.

Otwarta deklaracja Sotomayor – „płeć i pochodzenie będą miały znaczenie w naszym orzekaniu" – odpowiada zresztą faktom. Badanie 22 lat decyzji sądów federalnych w sprawach o dyskryminację na tle rasowym pokazało, że powód przegrywał 54% spraw, gdy sędzia był czarnoskóry, ale 79% spraw, gdy sędzia był biały. Inne badanie 556 spraw o molestowanie seksualne i dyskryminację płciową w federalnych sądach apelacyjnych pokazało, że powódka miała 2 razy większe szanse wygrać, jeśli w panelu sędziowskim była inna kobieta. Sama Sotomayor nie ukrywała, że jest dzieckiem akcji afirmatywnej – polityki wspierania czarnoskórych i Latynosów przy dostawaniu się na uczelnie. Mówiąc o możliwości dostania się do Princeton i Yale normalną drogą, przyznała: „byłoby wysoce wątpliwe, czy bym się dostała. Moje wyniki egzaminów nie były porównywalne z tymi, które osiągnęli moi koledzy z klasy". Beneficjentem akcji afirmatywnej był też zresztą sam Barack Obama. Latynoska prawniczka ze swojej pozycji dożywotniego sędziego Sądu Najwyższego wspiera teraz podobne przywileje członków swojej grupy. W końcu jej zdaniem Latynosi są mądrzejsi niż biali. Prezydent demokrata ostatni raz nominował do Sądu Najwyższego białego chrześcijanina albo chrześcijankę prawie 60 lat temu, w 1962 r. Od tego czasu demokraci konsekwentnie „uróżnoradniają" SN – wprowadzili do SN czworo Żydów, dwie Latynoski i jednego czarnoskórego. Dla porównania Republikanie w tym samym czasie nominowali tylko białych chrześcijan i chrześcijanki oraz jednego Clarence'a Thomasa, wybitnie konserwatywnego czarnoskórego katolika.

W ramach akcji afirmatywnej czołowe amerykańskie uczelnie wspierają przedstawicieli mniejszości etnicznych. Russell B. Nieli z Princeton podsumował badania przeprowadzone na ośmiu czołowych uczelniach, które wprost pokazały

dyskryminację wobec białych… i Azjatów. Czarnoskóry kandydat na studia potrzebował średnio 1100 punktów na egzaminie SAT, Latynos 1290, biały 1410, a Azjata aż 1550. Te same badania Thomasa Espenshade'a i Alexandrii Radford z tegoż Princeton pokazały też głębokie uprzedzenia wobec białych konserwatywnych chrześcijan na czołowych amerykańskich uczelniach. Warto zwrócić uwagę także na sytuację innych grup etnicznych, np. Amerykanów pochodzenia włoskiego, czyli generalnie białych katolików. Stanowią oni 8% ludności Ameryki, ale jedynie 3% członków samorządów studenckich elitarnej Ivy League i mniej niż 1% pracowników akademickich. Są oni jednak biali, więc zaliczają się do kategorii uprzywilejowanych „wyzyskiwaczy". Amerykanie pochodzenia włoskiego nie będą nigdy mieli swojej akcji afirmatywnej, choć są w stosunku do ogólnego odsetka populacji bardziej niedoreprezentowani niż Latynosi czy czarnoskórzy. Historyczny argument o niewolnictwie czarnych i ich wykorzystywaniu przez białych Amerykanów został tu przeniesiony na grupy etniczne, które nie mają z nim nic wspólnego. Z jakiej racji bowiem nastolatek z Wietnamu ma być traktowany jako uprzywilejowany wobec nastolatka z Haiti? Jakie są historyczne winy Polaka traktowanego gorzej niż Portorykańczyk?

Dziś ulubienicą establishmentowych mediów jest Kamala Harris. Płeć i kolor skóry są dokładnie jedynymi zaletami urzędującej pani wiceprezydent, ale w zupełności wystarczają. Zabawne w tym jest to, że Harris zaliczyła kompletną klapę w prawyborach prezydenckich, również wśród „swoich" czarnoskórych, uzyskując poparcie na poziomie 1%. Wiceprezydent jest jednak nominowany z góry i nie musi mieć żadnego mandatu. A media już same dbają i będą dbały przez kolejne lata, żeby czarnoskórzy i w ogóle przedstawiciele mniejszości uważali bezideową Kamalę za swoją bohaterkę. Docelowo Ameryka ma być pierwszym w dziejach antynarodem. Wspólnotą, której nie łączy dokładnie nic oprócz ideału braku wspólnych więzi. Następuje tu przejęcie oświeceniowego uniwersalizmu leżącego u korzeni historycznej Ameryki oraz wdrożenie go w rewolucyjną walkę o destrukcję tradycyjnych struktur społecznych, takich jak naród i rodzina. Na jego czele mają zaś stać bezideowi administratorzy, przedstawiciele demoliberalnej elity. Harris nie jest żadną „komunistką". Jest po prostu szarym, demoliberalnym aparatczykiem.

≡ WYALIENOWANE ELITY

Jeszcze jedną kluczową przemianą, która zaszła w Ameryce w ostatnich dekadach, jest wytworzenie się wyraźnie oddzielonych od siebie klas społecznych. Znakomicie procesy te opisał Charles Murray w *Coming Apart. The State of White America 1960–2010* (*Rozpadanie się. Stan białej Ameryki 1960–2010*). Murray pokazał, że po 1960 r. w USA po raz pierwszy powstały funkcjonujące w radykalnie odmienny sposób elita oraz biedota (moglibyśmy powiedzieć *white trash*, tj. białe śmieci). Przedstawiciele elit żenią się między sobą, żenią między sobą swoje dzieci, kończą i posyłają swoje dzieci do tych samych szkół. Mieszkają w tych samych, zamkniętych społecznościach. Innymi słowy, funkcjonują w oderwaniu od rzeczywistości zwykłych Amerykanów. Co ciekawe, wewnątrz tych elitarnych

społeczności mamy znacznie mniej rozwodów, więcej małżeństw, większą szansę na wychowywanie dziecka przez dwoje rodziców, wyższe zaangażowanie społeczne, niższą przestępczość. Jednocześnie w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zjawiska odwrotne do tych opisanych wyżej, a więc procesy zdecydowanie negatywne, nasiliły się w powstałej białej biedocie. To w dużym stopniu ta biedota głosowała na Trumpa, a wyalienowane, żyjące komfortowo elity na Bidena.

≡ AMERYKA JAKO ŚWIATOWY HEROLD POSTĘPU

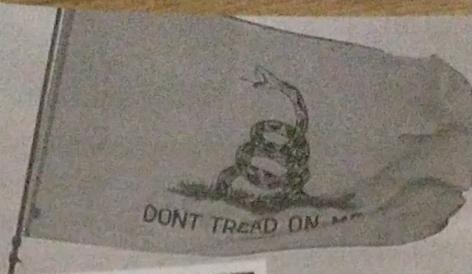
Ameryka ma być przywódcą Zachodu, a narody Zachodu przetwarzane na takie same konstruktywistyczne antynarody. Wszystkie te wzorce – hedonizm, permisywizm, konsumpcjonizm – mają być i są już aktywnie promowane przez amerykańskich polityków, amerykańskie firmy, amerykańskie banki, amerykańskie media, amerykańską popkulturę. Otwarte granice czy agenda LGBT mają być uniwersalnymi zachodnimi wartościami, które powinien przyjąć każdy kraj. To właśnie one mają być promowane przez „świecące miasto na górze". Za nimi będzie zaś szło pogłębianie się zjawisk takich jak destrukcja narodu i rodziny czy tworzenie się zamkniętej, wyalienowanej elity. Niestety zachodni uniwersalizm jest dziś językiem właśnie tych środowisk. Dla Polski i innych europejskich narodów oznacza to konieczność gruntowej redefinicji swojego stosunku do mitu historycznej Ameryki i ideału Zachodu. Należy odrzucić paradygmat, w którym postsolidarnościowe polskie elity polityczne funkcjonują od kilkudziesięciu lat. Dziś bowiem, aby Polska przetrwała, konieczne jest odrzucenie wzorców idących do nas z Ameryki i Zachodu, a nie ich powielanie.

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

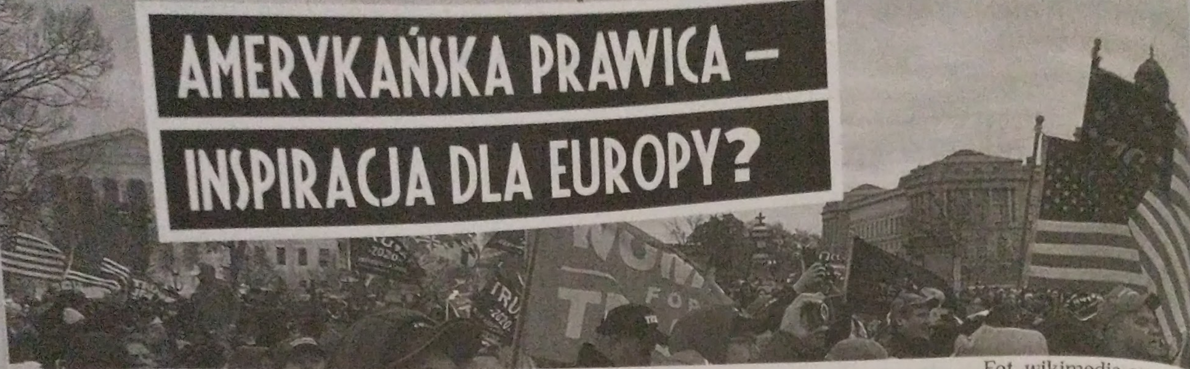
Ohydną karykaturą ustroju jest państwo, w którym bogaczy uważa się za elitę.

CYCERON

ADRIAN ZIMNY



AMERYKAŃSKA PRAWICA – INSPIRACJA DLA EUROPY?



Fot. wikimedia commons

W POLSCE OD DAWNA ISTNIEJE SILNA FASCYNACJA STANAMI ZJEDNOCZONYMI I ZNACZNA DOZA SYMPATII WOBEC TEGO KRAJU. CHARAKTERYZUJE TO ZARÓWNO PRAWICĘ, JAK I LEWICĘ. TA PIERWSZA WYWODZI SIĘ PRZECIEŻ CIĄGLE Z ANTYKOMUNISTYCZNEJ OPOZYCJI DOBY POLSKI LUDOWEJ, A WÓWCZAS SIŁĄ RZECZY NADZIEJE NA ZMIANY WIĄZANO ZE STANAMI ZJEDNOCZONYMI. TA DRUGA, Z PRZYCZYN, KTÓRYCH OMAWIANIE PRZEKROCZYŁOBY RAMY NINIEJSZEGO ARTYKUŁU, W LATACH 90. XX W. RÓWNIEŻ ZDECYDOWAŁA SIĘ DOŁĄCZYĆ DO OBOZU ATLANTYCKIEGO, CHOCIAŻ, PRZYNAJMNIEJ POCZĄTKOWO, PRÓBOWAŁA BALANSOWAĆ I UTRZYMYWAĆ DOBRE RELACJE TAKŻE Z ROSJĄ. WŁAŚCIWIE JEDYNYMI ŚRODOWISKAMI, KTÓRE NIE PAŁAJĄ MIŁOŚCIĄ DO USA, SĄ NIELICZNE RADYKALNE GRUPY, CZY TO PO LEWICY, CZY PRAWICY, NIEMNIEJ W TYM DRUGIM PRZYPADKU RÓWNIEŻ ZNAJDZIEMY TENDENCJE ODMIENNE. CIĄGLE WIDAĆ SYMPATIĘ DO STARYCH, DOBRYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH, GDZIE JAK WIADOMO – KOWBOJ ZE STRZELBĄ I KOLTEM PRZEMIERZAŁ PRERIĘ. TAMTA AMERYKA CZĘSTO UCHODZI JESZCZE ZA KRAJ KONSERWATYWNY I BLISKI PRAWICOWYM IDEAŁOM.

≡ KORZENIE AMERYKAŃSKIEJ PRAWICY

Nakreślony powyżej kontekst nakazuje zwrócić zatem uwagę na te środowiska, które w Stanach Zjednoczonych uchodzą za konserwatywne lub radykalnie prawicowe, oraz przedstawić ich krótką charakterystykę. Warto jednak zacząć od historii. W czasach wojny o niepodległość i na wczesnym etapie dziejów USA za najbardziej konserwatywne i prawicowe środowisko uchodzili federaliści z Johnem Adamsem, późniejszym drugim prezydentem, na czele[1]. Program federalistów

[1] R.B. Ripley, *Adams, Burke, and Eighteenth-Century Conservatism*, „Political Science Quarterly" 1965, nr 80, t. 2, s. 216–235. Artykuł zdigitalizowany pod adresem: https://www.jstor.org/stable/2147740 (dostęp: 31.07.2021).

zakładał przewagę rządu nad poszczególnymi stanami, protekcjonizm w gospodarce, a w polityce zagranicznej – orientację na Wielką Brytanię[2]. Stronnictwo to przestało jednak praktycznie istnieć na skutek wojny 1812 r., po której nastał kilkunastoletni okres dominacji jednej partii (demokratyczno-republikańskiej). W 1833 r. jako jej rywalka ukonstytuowała się Partia Wigów, która również uchodziła za konserwatywną i w wielu elementach powtarzała program federalistów, ale za ważny komponent swojej wizji Ameryki uważała demokrację.

Ten krótki opis pozwala dostrzec niemałą liczbę „grzechów założycielskich" amerykańskiej prawicy. Po pierwsze, możemy zaobserwować operowanie na matrycy pojęciowej stworzonej przez Oświecenie, które miało przecież kluczowy wpływ na sam fakt wybuchu wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych czy ustanowienie konstytucji tego państwa. Nie ma nic odkrywczego w stwierdzeniu, że USA wywodzą się z oświeceniowej tradycji, ale trzeba podkreślić, że to samo będzie dotyczyło amerykańskiej prawicy, albowiem każdy naród jest zakładnikiem swojej historii. Znajdziemy tutaj więc i wolność, i koncepcję praw człowieka (pierwszych dziesięć poprawek do konstytucji USA nosi zresztą nazwę *Bill of Rights*), i demokrację. Lista obowiązków wobec państwa jest krótka, a trzecia poprawka wprost zakazuje narzucania obywatelom obowiązku kwaterunku żołnierzy.

Grunt więc to wyjątkowo dla prawicy niesprzyjający. Zauważmy, że w dokładnie tym samym momencie dziejów po przeciwnej stronie Atlantyku formowała się ona w ramach sprzeciwu wobec tego wszystkiego, co stanowi fundament amerykańskich tradycji – tj. w obronie praw monarchy, w opozycji do podmiotowości politycznej poddanych, czyli również przeciw demokracji. Wolność konserwatyści europejscy również cenili, ale rozumieli inaczej. Miała być ona dostosowana do konkretnych społeczności, odpowiadać ich charakterowi.

≡ KONSTYTUCYJNY KONSERWATYZM

Oszczędzając czytelnikowi długiego opisu kierunków rozwoju amerykańskiej prawicy, co przerosłoby ramy niniejszego artykułu, przejdźmy do nurtów dziś istniejących. Powyższy opis jako pierwszych nakazuje wymienić tzw. konstytucyjnych konserwatystów. Zgodnie z nazwą uważają oni, że należy bronić zasad wyrażonych w konstytucji Stanów Zjednoczonych i konstytucjonalizmu. Najważniejszą z wartości konstytucji jest dla nich oczywiście wolność[3]. Ów pogląd ściśle łączy się z tzw. oryginalizmem, czyli przekonaniem, że konstytucję USA należy interpretować w duchu oryginalnej myśli ojców założycieli Ameryki[4]. Ten nurt amerykańskiej prawicy ma nawet własną reprezentację partyjną, czyli Partię Konstytucji, przed 1999 r. znaną jako Partia Podatników, co samo w sobie już wiele wyjaśnia.

---

[2] M. Lind, *Hamilton's Republic*, New York 1997.
[3] P. Berkowitz, *Constitutional Conservatism*, Stanford 2013, s. 5.
[4] M.A. Graber, *A New Introduction to American Constitutionalism*, Oxford 2015, s. 76.

I tak, partia domaga się odwołania 16. poprawki, zgodnie z którą rząd federalny ma prawo nakładania podatku dochodowego[5], a w ślad za powyższym popiera znaczne cięcia w administracji, reformę systemu podatkowego celem zmniejszenia obciążeń fiskalnych, oparcie waluty na złocie i zniesienie rezerwy cząstkowej[6]. Cięciami objęta ma być również działalność socjalna państwa[7].

Oczywiście ograniczenie się do powyższego byłoby dla Partii Konstytucji krzywdzące. Posiada ona także stanowisko w sprawach instytucjonalnych. Sprzeciwia się zniesieniu Kolegium Elektorskiego[8] i popiera odwołanie 17. poprawki, na mocy której senatorowie są wybierani w wyborach bezpośrednich[9]. Partia kwestionuje zachodzące zmiany klimatu, a przede wszystkim wpływ na nie człowieka[10]. W końcu, w sprawach, które obecnie należy uznać za najistotniejsze, partia jest przeciwna aborcji i eutanazji[11], w przedmiocie kary śmierci decyzję pozostawia zaś stanom[12]. Program partii wskazuje także na chrześcijańskie korzenie Ameryki i łączy się z przekonaniem, że prawo w USA powinno być interpretowane zgodnie z Pismem Świętym[13].

Z programowych postulatów Partii Konstytucji wyłania się zatem obraz ugrupowania wolnościowego, jednak opartego do pewnego stopnia na tradycyjnych wartościach. Zwolennicy tego nurtu konserwatyzmu źródła tych wartości upatrują jednak w Konstytucji Stanów Zjednoczonych – tworze głęboko oświeceniowym – i przez ten pryzmat starają się je interpretować. Dostrzegają pewne pola zwarcia z siłami liberalnymi – jak np. kwestię kolegium elektorskiego, które istotnie jest korzystne dla słabo zaludnionych, konserwatywnych stanów, jednak zdają się nie widzieć źródła problemów, które tkwi we wszechogarniającym Amerykę, w tym również ich własną partię, liberalizmie. Opowiadając się za kartą praw, są właściwie jego obrońcami.

---

5 *Congressional Reform*, https://web.archive.org/web/20140221205124/http://www.constitutionparty.com/congressional-reform/ (dostęp: 31.07.2021).

6 *Constitution Party. Taxes*, https://web.archive.org/web/20140219063712/http://www.constitutionparty.com/taxes/ (dostęp: 31.07.2021).

7 *Constitution Party. Welfare*, https://web.archive.org/web/20140221204953/http://www.constitutionparty.com/welfare/ (dostęp: 31.07.2021).

8 *Constitution Party. National Platform, April 15, 2016*, https://web.archive.org/web/20160915175728/https://www.constitutionparty.com/assets/2016-2010_National_Platform.pdf (dostęp: 31.07.2021).

9 *Constitution Party. Congressional Reform*, https://web.archive.org/web/20140221205124/http://www.constitutionparty.com/congressional-reform/ (dostęp: 31.07.2021).

10 *Constitution Party. Environment*, https://web.archive.org/web/20140401051035/http://www.constitutionparty.com/environment/ (dostęp: 31.07.2021).

11 *Constitution Party. The Sanctity of Life*, https://web.archive.org/web/20160929075855/http://www.constitutionparty.com/the-sanctity-of-life-2/ (dostęp: 31.07.2021).

12 *Constitution Party. Crime*, https://web.archive.org/web/20140218210453/http://www.constitutionparty.com/crime/ (dostęp: 31.07.2021).

13 *Floyd is Constitution Party convention delegate*, „The Magee Courier" 2004, 15 czerwca, https://www.newspapers.com/clip/59157300/the-magee-courier/ (dostęp: 31.07.2021).

≡ WEAVER, KIRK, GOLDWATER

W USA funkcjonują oczywiście również radykalniejsze nurty konserwatyzmu. W latach 40. Richard M. Weaver wydał publikację pt. *Idee mają konsekwencje*, w której przedstawił postępującą od średniowiecza degenerację kultury Zachodu. Za źródło tego kryzysu Weaver uznał filozofię Wilhelma Ockhama, a jako jego przejawy w czasach mu współczesnych podał okrucieństwo wojny (w szczególności Hiroszimę), bezsens sztuki nowoczesnej, apatię społeczeństwa wobec sprawiedliwej w jego mniemaniu wojny z Niemcami, a także konsumpcjonizm (choć nie nazwał go w ten sposób). Podobne poglądy w pracy *Conservatism revisited* wyraził Peter Viereck. W kolejnych latach ruch ten wspierali tacy autorzy, jak Eric Voegelin, Robert A. Nisbet, Clinton Rossiter i wreszcie Russell Kirk.

Ten ostatni wkrótce został uznany za intelektualnego przywódcę ruchu (by uniknąć słowa „ideolog", którego konserwatyści nie lubią). W 1953 r. Kirk sformułował sześć zasad konserwatywnego myślenia. Były to: (1) przekonanie, że społeczeństwem rządzi Boży zamysł, w konsekwencji czego zagadnienia polityczne w gruncie rzeczy stanowią kwestie religijne lub moralne; (2) zamiłowanie do różnorodności i tajemniczości tradycyjnego życia w opozycji do zuniformizowanego, egalitarnego i utylitarnego stylu społeczeństw nowoczesnych, (3) przekonanie, że cywilizowane społeczeństwo wymaga porządku i klasowości; (4) przekonanie, że wolność i własność są nierozerwalnie związane, a poziom ekonomiczny nie stanowi postępu; (5) wiara w sprawdzone rozwiązania, sceptycyzm wobec scjentyzmu; (6) zrozumienie, że zmiana i reforma nie są pojęciami tożsamymi[14].

Ruch ten miał swoje pięć minut w latach 60., kiedy to uzyskał wpływ na Barry'ego Goldwatera, kandydata republikanów w wyborach prezydenckich 1964 r. Goldwater wydał wówczas broszurę *Sumienie konserwatysty* (*The conscience of a conservative*), której rzeczywistym autorem był Leo Brent Bozell Jr. Praca ta w pierwszej kolejności krytykuje zjawisko konserwatywnego liberalizmu, które zostaje przez autora dostrzeżone u takich polityków jak prezydent Eisenhower czy wiceprezydent Nixon. Mieli oni być konserwatywni w sprawach gospodarczych, a liberalni w sprawach społecznych – przy czym przez konserwatyzm gospodarczy w USA rozumie się zbilansowany budżet, niskie podatki i wolny handel. Zamiast tego zaproponowano formułę: tyle wolności, ile to możliwe, tyle porządku, ile to konieczne.

W dalszej części broszury krytykowano New Deal – nie tylko ze względów gospodarczych, ale również instytucjonalnych, widząc w nim zagrożenie dla tradycyjnego ustroju USA i przyznanie państwu zbyt licznych kompetencji. Jako przeciwwagę proponowano m.in. walkę o prawa stanów i obronę praw obywatelskich (w tym prawa rodziców do decydowania o edukacji dzieci), bynajmniej niepostrzeganych jako przeszkoda w utrzymaniu segregacji rasowej, za którą również się opowiadano. Krytyce poddano również obciążenia nakładane na rolników, którzy, jako żywiciele Ameryki, powinni płacić niższe podatki, a ich branża w wysokim stopniu miała być zderegulowana tak, by jak najmniej czynników zakłócało

[14] R. Kirk, *The Conservative Mind: From Burke to Eliot*, Washington D.C. 1953, s. 7–8.

produkcję rolną. Cały rozdział poświęcono też wolności pracy i krytyce obowiązkowego uczestnictwa w związkach zawodowych. Autor negatywnie odnosił się do wydatków państwa, wysokości podatków i państwa dobrobytu.

W dziedzinie polityki zagranicznej w *Sumieniu konserwatysty* prezentowano pogląd o konieczności zaostrzenia zimnej wojny ze względu na agresywną postawę Związku Sowieckiego. Była to krytyka ugodowej polityki i prób porozumienia się z ZSSR, które zaowocują *détente* w latach 70. Z drugiej strony broszura była nieprzychylna wobec pomocy udzielanej sojusznikom, ponieważ drenowała budżet Stanów Zjednoczonych, środki często finalnie trafiały zaś do krajów mało przydatnych w rywalizacji ze Związkiem Sowieckim. Wreszcie znalazła się w niej krytyka Organizacji Narodów Zjednoczonych, jako instytucji postępującej wbrew interesom USA[15].

W *Sumieniu konserwatysty* widać kilka faktycznie konserwatywnych elementów, takich jak kontrola rodziców nad edukacją, obrona praw stanów (faktem jest bowiem, że rząd centralny narzucał im postępowe rozwiązania), segregacja rasowa, krytyka ONZ. Giną jednak one w morzu liberalnych pomysłów, takich jak wyeksponowanie wolności jednostki jako najważniejszej z zasad amerykańskiego społeczeństwa. Autor próbuje to wprawdzie godzić ze wspólnotowością, słusznie zarzuca dotychczasowemu establishmentowi republikańskiemu nadmierny liberalizm, choć najbardziej obszerne rozdziały książki poświęcone są sprawom ekonomicznym – sam więc poniekąd wpada we własne sidła.

Te sprzeczności dobrze zobrazował krytyk programu Goldwatera z grona tradycjonalistycznych konserwatystów, Peter Viereck. Jego zdaniem postulaty te nie były tradycjonalistyczne, ale liberalne – tyle że ze wcześniejszego etapu rozwoju liberalizmu. Porównał program z pustą skorupą, w której zamieszkała poczwarka wrogiego gatunku. Dla Vierecka najważniejszymi wartościami konserwatywnymi były organiczna jedność społeczeństwa oraz zakorzeniona wolność, tymczasem postulaty wyborcze republikanów z roku 1964 były wrogie organicyzmowi, ponieważ proponowały „atomistyczny manchesteryzm" oraz… wrogie wolności, w jakiś sposób w opisanym powyżej programie Viereck dopatrzył się bowiem sprzeczności z piątą poprawką[16]. W tym miejscu wypada wspomnieć, że cytowany autor był przeciwnikiem autorytaryzmu i uważał demokrację za wartość konserwatywną[17].

Wreszcie trzeba dodać, że sam Barry Goldwater był zwolennikiem wolności jednostki do tego stopnia, że popierał prawo kobiet do aborcji[18].

≡ NARODZINY ALTERNATYWNEJ PRAWICY

W obu omówionych do tej pory nurtach radykalnej prawicy amerykańskiej widzimy silne odchylenie wolnorynkowe. Dla przedstawicieli tych ruchów wynika

[15] B. Goldwater, *The conscience of a conservative*, Shepherdsville 1960, https://babel.hathitrust.org/cgi/pt?id=mdp.39015046344738&view=1up&seq=128 (dostęp: 31.07.2021).

[16] P. Viereck, *Conservatism revisited*, 1962, s. 149–151.

[17] https://web.archive.org/web/20060517203955/http://www.mdx.ac.uk/WWW/STUDY/America.htm#1939 (dostęp: 31.07.2021).

[18] R.A. Goldberg, *Barry Goldwater*, New Haven 1995, s. 331.

ono zresztą z tradycji amerykańskich, choć trzeba powtórzyć, że przywołani na początku federaliści byli sceptyczni wobec nieskrępowanej wymiany handlowej, a w stosunkach zewnętrznych opowiadali się wprost za protekcjonizmem. Tak silne wychylenie domagało się reakcji i w latach 70. takowa się pojawiła. Był nią tzw. współczujący konserwatyzm (ang. *compassionate conservatism*). Twórcą tego nurtu i jego pierwszym przedstawicielem był Doug Wead[19]. Notabene reakcja ta dotyczyła też spraw światopoglądowych. W 1992 r. Wead ubiegał się o krzesło senatorskie z Arizony, które opuszczał właśnie Goldwater, ten ostatni poparł jednak kandydata demokratów z powodu antyaborcyjnych poglądów Weada[20].

Zwolennicy „współczującego konserwatyzmu" byli szczególnie aktywni w latach 80., kiedy to przyjmowali krytyczne pozycje wobec polityki społecznej Ronalda Reagana. „Nie kwestionuję konserwatyzmu tego rządu, kwestionuję jego osiągnięcia na drodze do osiągnięcia współczującego konserwatyzmu w społeczeństwie podzielonym klasowo i rasowo"[21], stwierdził w 1981 r. Vernon Jordan.

Ruch ten jednak nie wypracował żadnej doktryny i nie wskazał dokładnie, czym miałby być ów współczujący konserwatyzm. Termin był popularny w okresie prezydentury George'a Busha młodszego, którego doradcą był Doug Wead, ale zniknął wkrótce potem, zwłaszcza w obliczu socjalnej polityki Baracka Obamy, kiedy to na popularności zyskał konserwatyzm konstytucyjny, zorganizowany w półformalnym ruchu w ramach Partii Republikańskiej, zwanym Partią Herbatki Bostońskiej (*Tea Party*). Poza sporem Weada z Goldwaterem o aborcję niewiele też wiadomo o zapatrywaniach współczujących konserwatystów na kwestie moralne.

Do pewnego przełamania schematów, opierających prawicowość na kulcie amerykańskiej konstytucji, przyczynił się dopiero ruch alt-right. Jego genezy można szukać już w myśli zmarłego w 2005 r., powiązanego z czołowym przedstawicielem paleokonserwatyzmu Patem Buchananem, pisarza politycznego Samuela Francisa – antyestablishmentowego nacjonalisty, postulującego odrzucenie nie tylko liberalizmu, ale pojęcia „konserwatyzm". Do nasilenia tendencji, których skutkiem był rozwój alternatywnej prawicy, doszło właśnie w latach prezydentury Busha juniora. Podkreślić należałoby dwa czynniki. Po pierwsze, demografia Stanów Zjednoczonych działa na niekorzyść republikanów, w konsekwencji czego partia, aby pozyskiwać głosy wyborców, musi łagodzić swój przekaz, szczególnie w sprawach światopoglądowych. Z drugiej jednak strony, jej tradycyjny elektorat jest na tyle liczny, że uważa to za zdradę. W ten sposób narodziła się krytyka ugodowości mainstreamowego republikanizmu. Poza tym neokonserwatywna polityka zagraniczna Busha zaczęła być postrzegana jako awanturnictwo szkodzące interesom samej Ameryki, podejmowane w obronie Izraela, który czerpał z tego wyłączne korzyści (i to w sytuacji, w której Żydzi w Ameryce są w ogromnej większości wyborcami Partii Demokratycznej). Wreszcie sama kwestia demograficzna miała niebagatelne znaczenie – fakt kurczenia się białej populacji Stanów Zjednoczonych stał się asumptem do przyjęcia postawy nacjonalistycznej w rozumieniu rasowym.

---

[19] D. Wead, *The Compassionate Touch*, Bloomington 1977.

[20] S. Yozwiak, *Goldwater jolts GOP, backs Democrat*, „Arizona Republic" 1992, 30 października.

[21] „New York Times" 1981, 23 lipca, s. 17.

Ruch ten na tle swoich poprzedników wyróżniał się kilkoma nietypowymi dla USA cechami. Alternatywnej prawicy nieobce było odrzucenie egalitaryzmu (zarówno rasowego, jak i równouprawnienia kobiet) oraz spuścizny ideologicznej oświecenia, klasycznego liberalizmu czy liberalnej demokracji. Wśród postaci na, które powołuje się alt-right, znajdziemy myślicieli takich jak Oswald Spengler czy Julius Evola.

W dziedzinie polityki zagranicznej również odrzucono dotychczasową doktrynę amerykańskiej prawicy. Alt-right opowiadał się przeciwko syjonizmowi, interwencjom na Bliskim Wschodzie i w innych regionach, popierał powrót do izolacjonizmu. W sprawach gospodarczych jego przedstawiciele również zakwestionowali dotychczasową, mainstreamową linię Partii Republikańskiej i popierali protekcjonistyczną politykę Donalda Trumpa, nastawioną na wspieranie rodzimego handlu i rodzimej produkcji. Co jednak ważniejsze, kwestie te nie były dla alt-rightu szczególnie istotne, ustępowały bowiem pola sprawom światopoglądowym. Z tych też powodów ruch ten był krytyczny wobec libertarianizmu, także a może zwłaszcza, prawicowego.

Jednocześnie trzeba zwrócić uwagę na pewne niedomagania omawianego nurtu. Nie odbiega bowiem zapewne wiele od prawdy stereotyp mówiący, że przeciętny zwolennik alt-rightu to uzależniony od Internetu mizantrop, spędzający całe dnie na forach i wrzucający tam bazujące na specyficznym poczuciu humoru memy. Raczej nie należy widzieć w tym dobrego narzędzia ewangelizacji i zapewne stanowi to jeden z czynników, które doprowadziły do dezintegracji alt-rightu w toku kadencji Donalda Trumpa. Uchodzący czasem za łabędzi śpiew ruchu szturm na Kapitol ze stycznia 2021 r. dobrze zresztą pokazuje indolencję amerykańskiej radykalnej prawicy – oto pierwszy raz w historii Stanów Zjednoczonych udało się protestującym zająć budynek Kongresu, jednak co zrobić dalej, zabrakło pomysłów. Można było usłyszeć, że media kłamią, a chwilę później nadciągnęła Gwardia Narodowa, która przy minimalnym oporze spacyfikowała to wesołe towarzystwo.

W przeciwieństwie do tradycyjnych republikańskich konserwatystów ruch alt-right niewielką wagę przykładał też do zagadnień moralnych. Mówimy tu o ruchu raczej obojętnym religijnie. Akceptując kulturowe znaczenie chrześcijaństwa, składa się w znacznej mierze nawet nie z neopogan (których znajdziemy sporo wśród jego zwolenników), ale z ateistów – co zresztą może dziwić, jeśli brać pod uwagę fakt, że dość znaczny odsetek Amerykanów to praktykujący regularnie chrześcijanie. Aborcję niektórzy przedstawiciele tego ruchu wprost popierają, ponieważ – jak wynika ze statystyk – najczęściej w USA korzystają z niej kobiety kolorowe, widziano więc w tym możliwość utrzymania w ryzach niebiałej populacji. W tym kierunku szły wypowiedzi czołowych ideologów ruchu, takich jak Jared Taylor czy Richard Spencer. Również homoseksualizm bywał akceptowany (choć nie było tu jednolitego stanowiska), o ile nie wiązał się z tym, co po naszej stronie oceanu nazywamy ideologią LGBT. Nawiasem mówiąc, jeden z czołowych celebrytów amerykańskiej prawicy, identyfikowany na pewnym etapie z alt-rightem, Milo Yiannopoulos, jest homoseksualistą (choć ostatnimi czasy twierdzi, że wyleczył się z tej przypadłości). Odcinające się od białego nacjonalizmu środowiska, z dziennikarzami takimi jak Gavin McInnes czy wspomniany Yiannopoulos na czele, chcąc odróżnić się od uchodzącego za skrajny ruchu alt-right, przyjęły na pewnym etapie nazwę alt-lite (względnie

alt-light). W tym też nurcie sytuować należy organizację Proud Boys, która zasłynęła manifestacjami poparcia dla Trumpa czy wspomnianym atakiem na Kapitol.

≡ W STRONĘ EKSTREMIZMU

W opisie złożoności świata amerykańskiej radykalnej prawicy nie można nie wspomnieć o wciąż dość silnym ruchu neonazistowskim. Ze względu na pierwszą poprawkę w Stanach Zjednoczonych nigdy nie udało się zakazać publicznego głoszenia poglądów narodowosocjalistycznych i faszystowskich. Paradoksalnie często mowa tu o osobach mających poglądy bliskie libertarianizmowi, które jednak lubią określoną estetykę oraz nie pałają sympatią do czarnych i Meksykanów. W USA istnieje kilka grup neonazistowskich, spośród których największą jest obecnie Ruch Narodowo-Socjalistyczny (*National Socialist Movement*), na którego przykładzie omówimy ten nurt amerykańskiego ekstremizmu.

Program NSM składa się z 25 punktów[22]. Punkt 1. sprowadza się do poglądu, że w Ameryce mieszkać i rządzić powinni Amerykanie. Jednocześnie zakłada się tam, że również inne grupy etniczne powinny mieć prawo do samostanowienia. Domniemywać można, że NSM opowiada się za koncepcją państwa etnicznego, nawet jeśli miałoby to doprowadzić do podziału Stanów Zjednoczonych. Ideą białych Amerykanów powinien być oczywiście narodowy socjalizm. Partia, co ciekawe na amerykańskiej prawicy (choć wspólne z alt-rightem), jest nastawiona proekologicznie. Opowiada się także za upublicznieniem służby zdrowia (4), gwarancjami mieszkaniowymi (5), nacjonalizacją strategicznych gałęzi gospodarki (6) i określa się jako pro-life (9).

Co ciekawe, stronnictwo to opowiada się za utrzymaniem dotychczasowych gwarancji wolności słowa (22), popiera też swobodny dostęp do broni palnej (23), a w sprawach ustrojowych zamierza utrzymać demokrację, choć w nieco zmienionej, bardziej wodzowskiej formie. Utrzymane ma być również Kolegium Elektorskie (11). Również dotychczasowa polityka względem religii, którą określa się mianem „przyjaznej separacji", ma być utrzymana (12). Ciekawy jest pogląd NSM na imigrację – mianowicie kluczowym kryterium w tym względzie ma być rasa. Biali imigranci są nie tylko tolerowani, ale wręcz mile widziani (13). Ma to zapewne związek z niekorzystną dla białych sytuacją demograficzną USA.

Nawet więc tak radykalny ruch jest głęboko zakorzeniony w amerykańskich wartościach, takich jak wolność słowa, demokracja czy rozwój poprzez imigrację. Trzeba przy tym brać poprawkę na fakt, że nawet jak na standardy amerykańskie środowisko należy ocenić jako ekscentryczne. Koszulki ze swastyką, cytaty z Adolfa Hitlera, zbroje, tarcze i hełmy przywodzące na myśl zloty fanów fantastyki – to wszystko wystarczy, by nikt NSM nie traktował poważnie. Podobno w 2016 r. partia podjęła decyzję o zastąpieniu swastyki runą odal[23] – właśnie w celu wypłynięcia

---

[22] Jest dostępny pod adresem: *25 point plan of american national socialism*, https://www.nsm88.org/25-point (dostęp: 31.07.2021).

[23] *An Alt-Right Makeover Shrouds the Swastikas*, https://www.nytimes.com/2016/12/10/us/alt-right-national-socialist-movement-white-supremacy.html (dostęp: 31.07.2021).

na szersze wody amerykańskiej polityki, choć krótka wizyta na jej stronie internetowej w żaden sposób tego nie potwierdza.

≡ AMERYKAŃSKA PRAWICA SKAZANA NA LIBERALIZM?

Po dokonaniu przeglądu radykalnej i niemainstreamowej części amerykańskiej prawicy można pokusić się o próbę podsumowania. W pierwszej kolejności rzuca się w oczy, że zdecydowana większość opisywanych środowisk za swoje ideowe źródło uważa Konstytucję Stanów Zjednoczonych i jej wartości, takie jak republikanizm, demokracja, wolność słowa i *last but not least* wolność indywidualna. Zarówno konserwatyści konstytucyjni, jak i tradycjonalistyczni uważają, że wartości te w toku dziejów Ameryki uległy pewnym wypaczeniom i powinny zostać przywrócone do swojego pierwotnego znaczenia (ten sposób interpretacji konstytucji, jak zostało to już wskazane, nazywa się oryginalizmem). Jednocześnie nie dostrzegają oni, że są to wszystko wartości oświeceniowe, które obaliły dawny porządek, w tym przekonanie o fundamentalnym znaczeniu wartości moralnych i ich niezmienności, o autorytecie władzy, która swoje posłannictwo pełni z woli Bożej dla dobra społeczeństwa – w oczy rzuca się zresztą fakt, że takim pojęciem jak „społeczeństwo" amerykańska prawica posługuje się niezwykle rzadko. W państwie amerykańscy konserwatyści widzą nie najwyższą formę organizacji społecznej i wspólnotę wspólnot, ale wroga, przed którym trzeba się bronić – zupełnie jak ich przodkowie w XVIII w., którzy podnieśli bunt przeciw Jerzemu III.

Wyjątkiem na tym tle jest niewątpliwie alt-right, który wyrósł z dogłębnej krytyki oświecenia i liberalizmu. Pod tym względem jest to najciekawszy i najbardziej godny uwagi nurt amerykańskiej prawicy, jednak i on ma swoje słabe strony. Na tle wcześniej wspomnianych, rzekomo bardziej umiarkowanych, nurtów jest dość indyferentny religijnie, nie poświęca większej uwagi sprawom moralnym, można też odnieść wrażenie, że jest wręcz nihilistyczny. Antydemokratyzm alt-rightu wydaje się nie mieć żadnej treści, nie proponuje on żadnej formuły pozytywnej. Nie odpowiada na pytanie, co powinno nastać w miejsce demokracji. Być może właśnie niewielkie przywiązywanie wagi do spraw moralnych czy aksjologicznych utrudnia wypracowanie takiej formuły.

Wreszcie trzeba zwrócić uwagę, że konserwatyzm, czy nawet szerzej: prawicowość – są zawsze zakorzenione w danej kulturze. W Europie jest to od dawna oczywiste, wszak różnorodność tradycyjnych społeczeństw Starego Kontynentu, wynikających z tego ustrojów czy katalogu praw i obowiązków sprawia, że czym innym jest angielski *high toryism*, czym innym francuski legitymizm, a czym innym karlizm. Nawet młodsze nurty prawicy są od siebie różne, czym innym jest przecież nacjonalizm polski, czym innym nacjonalizm niemiecki, czym innym włoski itd. Inna była Hiszpania Franco, inne były Włochy Mussoliniego, inna jeszcze Austria Dollfussa. Ameryka tymczasem nie ma innej tradycji niż Deklaracja Niepodległości i Konstytucja. Nawet Skonfederowane Stany, cieszące się zdecydowanie większą sympatią prawicy na świecie niż Unia, odwoływały się do tych dokumentów.

Powyższe sprawia, że trudno znaleźć w USA formułę, która byłaby jednocześnie konserwatywna i amerykańska. Do takiej konkluzji doszedł zresztą wybitny

myśliciel Fryderyk Wilhelmsen z Uniwersytetu w Dallas, który z tego tytułu został karlistą, widząc w tym nurcie najlepszą realizację paradygmatu tradycjonalistycznego. Ale nie da się być karlistą, nie będąc Hiszpanem[24] – jest to nurt ściśle związany z historią, kulturą i mentalnością hiszpańską, nienadający się do przeniesienia na cudzy grunt. Tu zatem znów ujawnia się liberalny charakter Ameryki, w której można być, kim się chce – niezależnie od tego, czy ma to w ogóle jakiś głębszy sens.

Zbytnie zapatrzenie w stosunki na drugim brzegu Atlantyku oddziaływa też negatywnie na preferowane rozwiązania ekonomiczne. Prawica europejska od swojej prehistorii w okresie feudalnym, przez samouświadomienie wieku XVIII i dalsze epoki była wspólnotowa, co przekładało się również na krytykę liberalnego kapitalizmu w XIX w., a także próbę znalezienia rozwiązań zapobiegających plutokracji i wyzyskowi. Taki charakter w państwach katolickich miała nauka społeczna Kościoła, w Bismarckowskich Niemczech ustawodawstwo socjalne, w Wielkiej Brytanii – *one nation conservatism*. Rozwiązania te miały zapobiegać wykorzenieniu warstw niższych wobec wymuszanej nowymi stosunkami ekonomicznymi masowej migracji ze wsi do miast i związanym z tym reperkusjom. Nurty amerykańskiej prawicy, zacietrzewione na punkcie indywidualnej wolności, zdają się w ogóle nie dostrzegać tego problemu. Recepcja takich poglądów w Polsce, podobnie jak głoszenie haseł obrony instytucji takich jak wolność słowa, prowadzi do osłabiania przekazu i dryfu ku centrum – swoją drogą widocznego na przestrzeni minionych dwóch lat w szeregach partii Konfederacja.

Również idee alt-rightu nie mają zbyt dobrego przełożenia na realia europejskie. Mimo nasilających się ostatnimi czasy problemów z imigrantami Europa (a przynajmniej nasza jej część) nie zmaga się z problemem rasowym – a w każdym razie nie w tej skali, by konieczne stało się stosowanie segregacji rasowej czy wprowadzanie zasad separatyzmu rasowego. Wyjątkowe w realiach amerykańskich odrzucenie przez alt-right demokracji liberalnej w Europie nie jest niczym nadzwyczajnym, od dawien dawna bowiem tutejsza prawica była sceptyczna w stosunku do ludowładztwa.

Reasumując, ufundowane na liberalnych wartościach oświecenia Stany Zjednoczone są państwem programowo liberalnym, tak jak swego czasu Związek Sowiecki był programowo państwem socjalistycznym. Wprawdzie nie przeszkadza to w zaistnieniu pojedynczych grup, a nawet stronnictw politycznych sprzeciwiających się co bardziej liberalnym tendencjom, jednakże z uwagi na genezę amerykańskiego państwa i społeczeństwa sprzeciw ten będzie raczej szukał wypaczeń systemu niż go całkowicie zakwestionuje. Nie może to zresztą dziwić, albowiem tradycja zawsze jest czymś konkretnym i wynikającym z warunków lokalnych. W tym zaś kontekście ruchy krytyczne wobec fundamentów amerykańskiego ustroju i formy politycznej są w dłuższej perspektywie skazane na negowanie własnej tożsamości i pogrążanie się w nihilizmie. Ameryka jest więc gruntem prawicy wrogim i próba czerpania z niej wzorców nie dość, że trąci absurdem, to jeszcze wydaje się skazana na niepowodzenie.

[24] Przez Hiszpana rozumiemy tu jednak poddanego korony, a zatem także Baska, Katalończyka czy mieszkańca Ameryki Łacińskiej.

Damian Adamus

Rywalizacja USA – Chiny. Co zadecyduje o jej wyniku?

Fot. kremilin.ru

Globalna rywalizacja pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Chinami nabiera tempa. Kurs kolizyjny wynika z elementarnych rozbieżności interesów, tak więc obaj aktorzy stosunków międzynarodowych skazani są na wielopłaszczyznowe starcie, które nie wyklucza jednocześnie kooperacji na niektórych polach. W poniższym artykule chciałbym skoncentrować się na zagadnieniach mało eksponowanych w debacie publicznej, jednak w moim przekonaniu istotnych dla wyniku tej rywalizacji.

≡ Wszystko jest polityką. Geoekonomia i mobilizacja zasobów do celów politycznych

Pomiędzy modelem chińskim a amerykańskim występuje ogromna różnica w organizacji systemu władzy, relacji pomiędzy państwem a kapitałem, a także zdolności mobilizacji zasobów do realizacji celów politycznych.

W amerykańskiej tradycji nieufność do państwa jest głęboko zakorzeniona. Ideał liberalnego państwa minimum jest wciąż żywy, stąd wszelkie regulowanie życia gospodarczego często utożsamiane jest z nieefektywnym interwencjonizmem, który to z kolei zaburza mechanizmy optymalnej alokacji zasobów przez siły rynkowe. Kapitał posiada więc szeroką autonomię. Gospodarka i polityka państwa to w liberalnym ideale ciała rozłączne, posługujące się odrębną logiką funkcjonowania.

Firmy w zachodnim „kapitalizmie akcjonariuszy" wpisują się w apolityczną logikę ekonomiczną, kładąc nacisk na maksymalizację zysków w krótkim terminie, bez szerokiego uwzględniania celów politycznych kraju pochodzenia. To podejście nie tylko apolityczne, lecz także nierzadko antyrozwojowe. Ta krótkowzroczność obecna w zachodnim modelu gospodarowania jest zresztą jedną z przyczyn

sukcesu Chin – zachodnie korporacje chętnie bowiem wchodziły na rynek chiński, maksymalizując krótkoterminowe zyski dzięki taniej sile roboczej. Nie zważano przy tym na transfer technologii do chińskich partnerów, co skutkowało wyrośnięciem konkurencji ze strony tamtejszych przedsiębiorstw.

Tak jak cechą dojrzałych wspólnot politycznych jest zdolność do odroczenia nagrody w czasie, tak cechą dojrzałych przedsiębiorstw, rozumujących w kategoriach długofalowych, powinna być umiejętność odroczenia nagrody i skupienie się na długofalowym rozwoju zamiast krótkoterminowej maksymalizacji zysków.

Dopiero ostatnie lata przynoszą w tej kwestii otrzeźwienie. Chiński program *Made in China 2025*, wyznaczający ambitne cele w wysokotechnologicznych gałęziach gospodarki, dotychczas zdominowanych przez zachodnie przedsiębiorstwa, czy przejęcie przez chiński kapitał niemieckiego lidera robotyki przemysłowej, firmy Kuka, były sygnałem alarmowym dla zachodnich polityków i liderów biznesowych. Chiny z dostarczyciela taniej siły roboczej stały się poważnym gospodarczym rywalem, zdolnym do konkurencji w zaawansowanych sektorach gospodarki.

Oczywiście logika akumulacji, maksymalizacji nagrody „tu i teraz" jest w pewien sposób naturalna dla ułomnej natury ludzkiej. Powinna być ona jednak poskramiana przez menedżerów i kierowników myślących w kategoriach długofalowego rozwoju (kapitalizm akcjonariuszy niejako zniósł ciążenie w tym kierunku, ponieważ sukces, za którym idą sowite premie, zależy od maksymalizacji wartości dla akcjonariuszy).

Jak pokazują przykłady azjatyckie, państwo za pomocą różnych narzędzi może nakłaniać przedsiębiorstwa do realizacji długofalowych strategii. Silne firmy, nastawione na długoterminowy rozwój technologiczny, zamiast maksymalizacji krótkoterminowych zysków, mogą być istotnym atrybutem siły państwa. W takim układzie w zamian za parasol ochronny państwa i dostęp do licznych przywilejów firmy realizują cele państwowe w zakresie rozwoju określonych sektorów gospodarczych czy technologii. Państwo posiada nie tylko „marchewkę" w postaci różnych przywilejów, lecz także kij, czyli możliwość „ukarania" firm za postępowanie niezgodne z kierunkiem rozwojowym wyznaczonym przez państwo. W Chinach takim kijem mogą być wszelkie arbitralne decyzje polityczne (przykładem może być sprawa Ant Group, opisana w dalszej części tekstu). W Korei Południowej w czasie autorytarnych rządów Park Chung-hee był to m.in. nadzór państwa nad systemem bankowym, regulującym dostęp czeboli do kapitału. Jak pisze prof. Kightley:

> za pomocą subsydiów, zwolnień podatkowych, przyspieszonej amortyzacji, licencji, przywilejów, protekcji oraz pożyczek Park nakłaniał czebole do realizacji przyjętych planów gospodarczych, a więc podejmowania działalności i wzrostu inwestycji w desygnowanych sektorach, kluczowych z punktu widzenia rozwoju przemysłu. Działania rządu prowadziły do uzyskania wysokiego poziomu inwestycji w wybranych obszarach oraz powiązania ich tak, żeby tworzyły łańcuchy produkcyjne pozwalające na efektywną produkcję. Początkowo były to głównie gałęzie przemysłu lekkiego, substytuujące import i produkujące na eksport. W drugiej zaś fazie rozwoju przedsięwzięcia znacznie bardziej ryzykowne w obszarze przemysłu ciężkiego, chemicznego, a także elektronicznego. [...] Państwo, koordynując kompleksowy rozwój gospodarki

oparty na powiązaniach międzysektorowych, obarczało sektor prywatny realizacją przedsięwzięć, których ten nie podjąłby się w oparciu o wąską jednostkową kalkulację bez wyraźnej ingerencji administracji[1].

Gospodarka była podporządkowana długoterminowym celom rozwojowym państwa, gdyż istotne były „nie efekty finansowe, ale rozwój aparatu wytwórczego w wyselekcjonowanych obszarach i wprowadzanie nowoczesnych, konkurencyjnych na rynkach międzynarodowych metod wytwarzania, które w przyszłości miały skutkować sukcesem finansowym"[2] . Wyciągnięcie krajowych gigantów technologicznych ze „strefy komfortu" i zaprzęgnięcie ich do realizacji celów rozwojowych państwa – również to próbuje obecnie robić Państwo Środka. Zanim przejdziemy do rozwinięcia tej kwestii, warto przybliżyć nieco specyfikę chińskich relacji pomiędzy kapitałem a władzą.

W Chinach panuje niekwestionowany prymat polityki nad gospodarką. Prof. Grosse w pracy *Paliwo dla dominacji. O ekonomicznych podstawach supremacji geopolitycznej* o chińskiej strategii modernizacyjnej pisze, że miała ona orientację geoekonomiczną. „Podstawowym celem była akumulacja kapitału oraz endogeniczny rozwój krajowych przedsiębiorstw, a tym samym podniesienie potencjału geopolitycznego. [...] W Azji rozwinęła się kultura silnego państwa kontrolującego społeczeństwo i gospodarkę. Nic więc dziwnego, że na przełomie XX i XXI w. geoekonomię znacznie lepiej rozwinęły państwa azjatyckie" – podkreśla[3].

Idea silnego państwa jest elementem historycznego dziedzictwa krajów konfucjańskich Azji Wschodniej. Jak pisze Francis Fukuyama w książce Ład polityczny i polityczny regres,

> chińscy władcy mieli do dyspozycji przedwcześnie rozwinięte nowoczesne państwo [W Chinach już w II w. p.n.e. istniały scentralizowany rząd i biurokracja, podobna konstrukcja państwowa tworzyła się w Europie dopiero od końca XVI w. do XVIII w. – przyp. DA], zdolne przeszkodzić wyłonieniu się w późniejszym okresie nowych aktorów społecznych, którzy mogliby chcieć się przeciwstawiać ich zamiarom, takich jak organizacje religijne, arystokracja rodowa [...] lub burżuazja kupiecka rządząca sama sobą w wolnych miastach. W efekcie tradycyjne azjatyckie rządy mogły być o wiele bardziej absolutystyczne od tych w Europie. [...] W relacjach państwo-społeczeństwo, których szala w innych częściach świata przechylała się zdecydowanie na stronę społeczeństwa, w Azji Wschodniej mocno faworyzowane było państwo. Organizacje społeczne, które mogły służyć jako przeciwwaga siły państwa istniały, ale były ściśle kontrolowane i rzadko pozwalano im rozkwitnąć. Ten wzorzec utrzymuje się do dziś[4].

---

[1] M. Kightley, *Polityka i reformy Park Chung Hee jako źródło gospodarczego skoku Korei Południowej*, Warszawa 2013, s. 115–116.

[2] Tamże s. 118.

[3] T.G. Grosse, *Geoekonomia Chin*, [w:] *Paliwo dla dominacji. O ekonomicznych podstawach supremacji geopolitycznej*, Warszawa 2020, s. 137.

[4] F. Fukuyama, *Ład polityczny i polityczny regres*, Poznań 2015, s. 382–383.

Wielowiekowa spuścizna historyczna do dziś mocno oddziałuje na organizację państwa i relacje państwo – społeczeństwo, państwo – gospodarka we Wschodniej Azji. Inaczej niż w systemie demokratyczno-liberalnym, gdzie polityka państwa i gospodarka to dwie – można by rzec równorzędne – sfery rządzące się osobną logiką, w Chinach logika jest tylko jedna: jest to logika polityczna, której podporządkowuje się wszystkie inne sfery. Kontrola nad gospodarką jest więc zdecydowanie głębsza, a bez „czerwonego kapelusza", czyli błogosławieństwa Komunistycznej Partii Chin, nie można zrobić w tym kraju poważnego biznesu. Wciąż aktualną metaforą tego systemu jest ta użyta przez Chen Yuna, który nazwał gospodarkę „ptakiem w klatce". Ptak może latać, posiadać pewną swobodę, ale jest ograniczony przez klatkę, czyli partyjną kontrolę. A kiedy ptak zbyt mocno obija się o klatkę, próbując ją opuścić, musi się liczyć z tym, że partyjna klatka może go w mgnieniu oka zgnieść.

Różnice leżące u samych podstaw relacji pomiędzy władzą polityczną a kapitałem dobrze pokazuje kwestia chińskich gigantów cyfrowych. Jak mówił dr Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich w wywiadzie dla Spider's Web, „w Stanach Zjednoczonych mogul skasował prezydenta wirtualnie [nawiązanie do usunięcia kont D. Trumpa z platform społecznościowych – przyp. DA], a w Chinach prezydent może skasować mogula w realu [nawiązanie do zniknięcia Jacka Ma, o czym więcej w dalszej części tekstu – przyp. DA]"[5].

≡ KAPITAŁ W SŁUŻBIE PAŃSTWA

Podporządkowanie gospodarki celom politycznym powoduje, że staje się ona mocną kartą w orężu polityki zagranicznej, konsekwencje „weaponizacji" powiązań gospodarczych mocno odczuła niedawno Australia. Jasna hierarchia w relacjach władza – kapitał i nadrzędność celów politycznych powodują, że system chiński traci mniej energii na zarządzanie grupami interesu, a władza posiada szerokie narzędzia do łamania oporu kapitału i powiązanych z nim lobby. Teraz łamany jest opór chińskich gigantów technologicznych, co wywołuje niemały popłoch. Jeśli zestawić sytuację znaną z Chin z niekończącymi się dyskusjami o uregulowaniu gigantów cyfrowych w USA, uderzająca jest różnica w politycznej sprawczości.

Rozpędzająca się kampania regulacyjna chińskiego sektora technologicznego pogłębia kurs podporządkowania kapitału realizacji długofalowych celów politycznych. Symbolicznym początkiem kampanii było ubiegłoroczne zniknięcie z przestrzeni publicznej założyciela Alibaby, Jacka Ma. On sam niejako przyczynił się do tego, krytykując chińskie regulacje bankowe. Na to władze odpowiedziały zablokowaniem (na ostatniej prostej)debiutu na giełdzie Ant Group, spółki zależnej Alibaby. Miał to być największy debiut giełdowy w historii, w wysokości 37 miliardów dolarów. Następnie, w kwietniu, Alibaba zapłaciła potężną karę w wysokości 2,8 mld

---

[5] *W Chinach zarżnęli kurczaka, żeby przestraszyć małpy. Big Techy dostały sygnał, kto tu rządzi. Rozmowa z Michałem Boguszem*, https://spidersweb.pl/plus/2021/02/jakc-machiny-parta-komunistyczna-bigtech-cyfrowe-korporacje-regulacje (dostęp: 6.09.2021).

dolarów za praktyki monopolistyczne. Sygnał był jasny: gwałtowne rozrastanie się imperium technologicznego w połączeniu z ekspansją działalności we wrażliwym (i przez to ściśle kontrolowanym przez KPCh) sektorze finansowym i pośrednią krytyką partii to już za wiele.

To był zresztą dopiero początek, a kampania regulacyjna zatacza coraz szersze kręgi. Ukarano m.in. DiDi (chiński odpowiednik Ubera) czy Tencent, największą obok Alibaby chińską spółkę technologiczną. Nie obyło się to bez wpływu na wyceny giełdowe. Wartość Tencent spadła o 60%, Alibaba straciła 25% wartości, a DiDi aż 50% w ciągu dwóch miesięcy.

Xi Jinping wziął pod lupę sektor technologiczny z kilku powodów. Po pierwsze, „wiedza to władza". Korporacje technologiczne dysponujące potężnymi zbiorami danych o chińskich obywatelach, biorąc pod uwagę trend do konsolidacji sektora i przechwytywania kolejnych terabajtów danych, stają się zbyt potężnymi graczami w ściśle kontrolowanym mechanizmie politycznym ChRL. Wobec rosnącego znaczenia sektora cyfrowego w gospodarce ChRL (szacuje się, że udział gospodarki cyfrowej wzrośnie do 55% całej gospodarki Chin w 2025 r., w porównaniu z około 38% obecnie[6]) niezbędne są działania mające na celu „rozlanie się" władzy na ten sektor, zaciśnięcie wcześniej wspomnianej metaforycznej „klatki" i ukrócenie obijania się cyfrowych ptaków o „klatkę". Na to nakłada się kwestia walk frakcyjnych w KPCh. Xi zdaje też sobie sprawę, że rosnące monopole i oligopole sektorowe nie służą gospodarce i konsumentom. Największe platformy handlu internetowego zmuszają producentów do oferowania swoich produktów na wyłączność, zabraniając umieszczania ich na kilku różnych platformach sprzedażowych, czy też manipulują cenami za pomocą algorytmów, oferując odmienne ceny różnym użytkownikom. Dominacja potężnych podmiotów w różnych sektorach gospodarki powoduje, że rosną bariery wejścia na rynek dla małych firm, które skazane są na przejęcia przez potężnych gigantów, mających ugruntowaną pozycję na rynku. Dzieje się to ze szkodą dla konkurencji i innowacyjności.

Za uderzeniem w wysokodochodowy sektor IT widać również tło walki ze społecznym rozwarstwieniem. Biorąc na celownik zajmującą się dostawami żywności firmę Meituan czy też wspomnianą DiDi, chińscy regulatorzy upomnieli się o sprawiedliwe płace i prawa pracownicze szeregowych pracowników sektora „gig economy". Władza uważa, że samowolę korporacji, pozwalającą na bogacenie się kosztem społeczeństwa i dobra publicznego, należy ukrócić. Stąd też ogłoszona przez Xi Jinpinga idea „wspólnego dobrobytu", mająca na celu sprawiedliwszą dystrybucję wypracowywanego bogactwa.

Kluczowy dla naszych rozważań jest ostatni powód zwiększenia nadzoru nad gigantami technologicznymi. Xi Jinping próbuje zaprząc ich do realizacji celów państwowych i budowania potencjału technologicznego Chin, zwłaszcza w dziedzinach wrażliwych, gdzie kraj ten jest uzależniony od obcych technologii. Partia chce, by korporacje, zamiast zbierać „nisko wiszące owoce" w postaci np. maksymalizacji zysków ze sprzedaży gier wideo, realizowały projekty dziś mniej dochodowe, lecz

[6] *Pekin walczy z technologicznymi gigantami*, https://www.bankier.pl/wiadomosc/Pekin-walczy-z-technologicznymi-gigantami-8173250.html (dostęp: 6.09.2021).

bardziej perspektywiczne, użyteczne z punktu widzenia rozwojowego (jak badania nad sztuczną inteligencją czy analizą Big Data). Louis Gave twierdzi, że działania te spowodowane są poczuciem zagrożenia ze strony USA i presją przywództwa na maksymalizację wysiłków w celu osiągnięcia samowystarczalności technologicznej przez Chiny. „Jeśli chińskie kierownictwo wierzy, że USA zamierzają odciąć Chiny od technologii – a rząd USA rzucił Huawei na kolana – to rząd chiński musi zmusić najbystrzejsze umysły kraju do rozwiązania najpilniejszych wyzwań: budowy krajowego przemysłu półprzewodników, postępu w produkcji zaawansowanych materiałów itd. Tworzenie gier wideo lub znajdowanie sposobów na umieszczanie reklam w internetowych filmach o kotach może poczekać"[7] – twierdzi Gave. I choć z perspektywy państwowej rywalizacji takie podejście wydaje się racjonalne, to cienka granica dzieli regulacyjne „podduszanie" w imię realizacji racji stanu od regulacyjnego „uduszenia" technologicznych kur znoszących złote jaja.

Podsumowując ten wątek, można powiedzieć, że w Chinach relacje między kapitałem i władzą są inne niż na Zachodzie, tj. nastawione na długofalowy interes polityczny. W Państwie Środka to „pies macha ogonem" – inaczej jest w USA, gdzie duży kapitał hojnie sponsoruje obie strony sceny politycznej, posiadając ogromny wpływ na politykę. Jak pisałem kilka miesięcy temu na portalu Nowy Ład, „połowę datków na amerykańskie partie polityczne przeznacza nieco ponad sto najbogatszych amerykańskich rodzin, a zinstytucjonalizowany lobbing zmienia amerykańską demokrację w plutokratyczny system zarządzany w interesie najbogatszych"[8]. W Stanach Zjednoczonych to „ogon macha psem", a kapitał i jego lobbing powodują marnotrawienie zasobów na wewnętrzną walkę. Władza nie posiada narzędzi mogących twardo podporządkować kapitał realizacji celów politycznych, co ułatwia Chinom wdrażanie strategii „dziel i rządź". Do poskramiania ofensywnych, antychińskich kroków części amerykańskiego establishmentu wykorzystywane są przy tym różne, „żyjące z Chin" sektory amerykańskiej gospodarki. A kroki te wydają się niezbędne, jeśli Stany Zjednoczone chcą spowolnić tempo nadrabiania zaległości technologicznych przez ChRL i opóźnić wyrównywanie się potencjału chińskiego smoka względem Ameryki. Powiązania gospodarcze USA z Chinami i brak podporządkowania kapitału długofalowym interesom politycznym tworzą gorset ograniczający realizację strategicznych zamierzeń względem Państwa Środka.

Czy USA odnajdzie sposób na poskromienie krótkoterminowych interesów kapitału i podporządkowanie ich długofalowym celom politycznym? To pytanie ważne, kluczowe dla przetrwania amerykańskiego imperium, sterowności amerykańskiej polityki i stabilności społecznej. Niezbędne, by realizować spójną strategię na kierunku chińskim.

[7] W. Pesek, *Reckoning with Xi's new Great Wall of China*, https://asiatimes.com/2021/08/reckoning-with-xis-new-great-wall-of-china/ (dostęp: 6.09.2021).

[8] D. Adamus, *Komunistyczna Partia Chin – partia, która stworzyła nowoczesne Chiny*, https://nlad.pl/komunistyczna-partia-chin-partia-ktora-stworzyla-nowoczesne-chiny/ (dostęp: 6.09.2021).

CHINY MAJĄ STRATEGIĘ

Chiński system polityczny przez brak kadencyjności i demokratycznych wyborów wzmacnia myślenie w kategoriach strategicznych. Choć oczywiście nie jest on wolny od przewagi doraźnych interesów, to sam fakt braku demokracji powoduje, że projektowanie polityki nie jest obarczone grzechem kadencyjności. Nieuczestniczenie w demokratycznym *theatrum* pozwala również na skoncentrowanie uwagi na wysiłkach modernizacyjnych i rozwojowych.

W Ameryce, zwłaszcza po trzydziestu latach „jednobiegunowej chwili”, kiedy po upadku ZSRR na horyzoncie nie było widać poważnych wyzwań w walce o globalną dominację, nastąpił wyraźny uwiąd myśli strategicznej. Jak pisze Graham Allison w książce *Skazani na Wojnę? Czy Ameryka i Chiny unikną Pułapki Tukidydesa*,

> w Waszyngtonie myślenie strategiczne marginalizuje się lub wręcz wyśmiewa. Prezydent Clinton zażartował kiedyś, że w świecie, który podlega tak szybkim przemianom, politykę zagraniczną można porównać do muzyki jazzowej: stała się sztuką improwizacji. Jednym z najgłupszych stwierdzeń jednego z najmądrzejszych prezydentów Ameryki – Baracka Obamy – było powiedzenie, że śledząc tempo zmian w dzisiejszym świecie, *już nie potrzebuję George'a Kennana*. Bo chociaż staranne planowanie nie jest gwarancją sukcesu, to brak koherentnej, długofalowej strategii jest prostą drogą do porażki. [...] jedynym pomysłem Waszyngtonu na Chiny są wielkie, polityczne aspiracje z krótką listą potencjalnych działań. W kwestii Chin amerykańscy politycy wydają się jedynie próbować utrzymać status quo – *Pax Americana* – powstałe po II wojnie światowej. Waszyngton nieprzerwanie przypomina Chińczykom, że doprowadził do najdłuższego w historii okresu pokoju i największego wzrostu ekonomicznego, jakich kraje azjatyckie – a w szczególności Chiny – doświadczyły. Ale takie status quo nie zostanie utrzymane, kiedy motywowana dobrobytem ekonomicznym przewaga polityczna tak mocno przechyla szalę na stronę Chin. Wygląda na to, że prawdziwą amerykańską strategią w tym wypadku jest nadzieja.

Wiązać należy to także z miałkością nie tylko amerykańskich, lecz także w ogóle zachodnich elit politycznych oraz z nasilającym się procesem „showbiznesyzacji” polityki.

Na globalny triumf Amerykanów w latach 90. nałożyło się wiele mód intelektualnych, dodatkowo rozbrajających umysłowy arsenał myślenia w kategoriach strategii i politycznego realizmu. Rozpowszechnienie myśli liberalnej w analizowaniu stosunków międzynarodowych, teza o końcu historii i uniwersalizmie demokracji liberalnej, przecenianie roli współzależności gospodarczej w niwelowaniu konfliktów – to tylko kilka z przykładów błędów w ocenie globalnej sytuacji i wiary, że odwieczne mechanizmy rywalizacyjne rządzące światem odeszły wraz z końcem historii.

Na tych błędnych założeniach Zachód ufundował podwaliny chińskiej potęgi gospodarczej. Amerykańska polityka „zaangażowania” zakładała, że Chiny w końcu się zliberalizują, trzeba tylko włączyć je w globalny system gospodarczy

odpowiednio dużo zainwestować, a wtedy rosnąca klasa średnia stanie się motorem zmian politycznych w kierunku demokracji liberalnej. Tak się oczywiście nie stało. Liberalne elity doprowadziły do ogromnego błędu, jakim było wpięcie Chin w globalny system gospodarczy i uzyskanie przez nie statusu mocarstwa, przed czym przestrzegała część amerykańskich politycznych realistów z Johnem Mearsheimerem na czele. Pisał on w wydanej w 2001 r. (w tym samym roku Chiny dołączyły do Światowej Organizacji Handlu) słynnej książce *The Tragedy of Great Power Politics*: „To oczywiste, że najniebezpieczniejszym scenariuszem dla Stanów Zjednoczonych w początku XXI w. jest ten, w którym Chiny stają się potencjalnym hegemonem w Północno-Wschodniej Azji. [...] Powinniśmy oczekiwać, że Chiny spróbują zdominować Japonię i Koreę tak jak innych regionalnych aktorów poprzez budowę siły militarnej tak silnej, że regionalni liderzy nie odważą się rzucić Chinom wyzwania".

Innym problemem liberalnego myślenia jest nadawanie nadmiernego znaczenia kooperacji przy jednoczesnym lekceważeniu rywalizacji wynikającej z różnic interesów. Establishment strategiczny USA zaczął postrzegać świat na podstawie kategorii liberalnych. Widać tu wyraźny odchył w stronę strategii kooperacyjnych oraz ignorowanie strategii rywalizacyjnych, gier o sumie zerowej, a nawet ujemnej. Jak mówił Radosław Pyffel, elity chińskie „były na ten konflikt ze Stanami przygotowywane od wielu lat i absolutnie nie są zaskoczone". „Mam wrażenie, że to bardziej elity amerykańskie są zdziwione rozwojem sytuacji i przedłużającą się konfrontacją. Walka o bycie pierwszorzędnym mocarstwem to był chiński plan polityczny, realizowany od dawna" – dodaje[9].

Państwo Środka nie uległo intelektualnym astrategicznym modom. Ciągle przyświecał mu jasny cel, jakim jest odbudowa chińskiego imperium. Elity KPCh nie dały się zwieść liberalnej frazeologii, pozostawały trzeźwe w oglądzie sytuacji, w przeciwieństwie do Amerykanów i szerzej – elit zachodnich. Elity chińskie doskonale rozumiały, że historia się nie kończy, wszystko płynie, a rywalizacja, także na polu ideologicznym i modelów modernizacji, trwa dalej.

≡ SPÓJNOŚĆ WEWNĘTRZNA I GŁÓD ZWYCIĘSTWA

W analizie nie sposób pominąć czynnika ludzkiego. To jednostki i całe społeczeństwa kształtują rzeczywistość polityczną każdego kraju i mają na nią, zależnie od systemu politycznego, większy lub mniejszy wpływ. Pytania o wewnętrzną kondycję społeczeństw, środowisko socjalizacji elit państwowych, spójność kulturową, gotowość jednostek do wyrzeczeń w imię realizacji wspólnego celu czy odporność na polaryzację i informacyjną dywersję przeciwnika to pytania o zdolność państw do rywalizacji i akceptacji jej kosztów w dobie rosnącej roli walki informacyjnej.

Chiny posiadają stabilniejszy system polityczny, zdolny do twardego reagowania w sytuacji zagrożenia. Walka z pandemią doskonale to pokazała, a monopol

[9] *Rozmowa Nowego Ładu: Radosław Pyffel*, https://nlad.pl/rozmowa-nowego-ladu-radoslaw-pyffel/ (dostęp: 6.09.2021).

informacyjny partii powoduje, że w sytuacji eskalacji napięć utrudnione jest prowadzenie wojny informacyjnej mającej na celu osłabienie chińskiego społeczeństwa i podkopanie fundamentów legitymizacji KPCh.

Amerykański system wykazuje się natomiast sporą chwiejnością i wewnętrzną polaryzacją. Gwałtowne protesty ruchu Black Lives Matter połączone z licznymi aktami wandalizmu i grabieżami czy z drugiej strony atak na Kapitol są dobrym potwierdzeniem tej tezy. Poziom wewnętrznych napięć i polaryzacji w Stanach Zjednoczonych jest nieporównywalnie wyższy niż w Chinach. Nieżyjący już prof. Gawlikowski dobrze ilustrował podglebie filozoficzne, które moim zdaniem jest przewagą Chińczyków. Powołując się na badacza Chin Randalla Peerenbooma, pisał, że „kluczowe jest akceptowanie pluralizmu na Zachodzie, a w Chinach dążenie do jedności społeczeństwa jako ideału. W związku z tym u nas kluczową wartością jest *prawo do myślenia* (*right to think*) samodzielnie, w tradycji chińskiej zaś *słuszne myślenie* (*right thinking*) w skali całego społeczeństwa”[10].

Wspominałem wcześniej o amerykańskiej plutokracji. Z perspektywy materialnej, utylitarnej, Chińczyk bez oporów stanie do walki o utrzymanie państwa, które zapewniło mu przez ostatnie 40 lat ogromny awans cywilizacyjny i materialny. Inaczej może być z Amerykaninem (z klasy średniej bądź niższej), który nie dostąpił praktycznie żadnego awansu materialnego w ostatnich dekadach, mając przy okazji świadomość puchnięcia portfeli wąskiej oligarchii medialno-finansowej, używającej państwa do utwierdzania swojej ekonomicznej dominacji.

W Stanach Zjednoczonych mamy do czynienia z głębokim kryzysem tożsamościowym. Destrukcyjne dla wspólnoty prądy ideologiczne rosną w siłę, podkopując podstawy amerykańskiej tożsamości. Tzw. *cancel culture* i nasilający się terror poprawności politycznej paraliżuje debatę, a doskonałym przykładem pękania amerykańskiej wspólnoty jest obalanie pomników amerykańskich ojców założycieli. Podboje i kolonializm są powodem do wstydu, nie dowodem cywilizacyjnej witalności. Nie ma już praktycznie bohaterów, wokół których można budować tożsamościowy mit. Jak przy tak głębokich wyzwaniach wewnętrznych zewrzeć szeregi przeciwko rosnącemu w siłę zewnętrznemu wyzwaniu?

Niall Ferguson w interesującym eseju dla „The Economist”[11] porównuje epokę międzywojenną, kiedy następowała erozja brytyjskiej potęgi, z dzisiejszymi Stanami Zjednoczonymi. Twierdzi on, że podobnie jak Brytyjczycy w latach 30. XX w., obecnie Amerykanie już nie kochają swojego imperium i nie chcą jego odrodzenia. Ferguson przypomina bunt brytyjskiej inteligencji przeciwko tradycyjnym wartościom, który następował przy jednoczesnym zafascynowaniu komunizmem i nazizmem. Elity wrogich państw mogły uznać, że Brytyjczycy ulegli nienawiści wobec samych siebie. Czy i dziś nie jest podobnie? Progresywistyczna część amerykańskich elit oraz znaczny procent liberalnie nastawionej części społeczeństwa ulegają nienawiści do samych siebie, uprawiając masową „pedagogikę wstydu”. Następują

---

[10] K. Gawlikowski, *Zachodni indywidualizm a konfucjańska apoteoza wspólnoty i tożsamości grupowej*, „Azja-Pacyfik” 2020, nr 23, s. 36-76.

[11] *Niall Ferguson on why the end of America's empire won't be peaceful*, https://amp.economist.com/by-invitation/2021/08/20/niall-ferguson-on-why-the-end-of-americas-empire-wont-be-peaceful (dostęp: 6.09.2021).

polaryzacja i bunt przeciw tradycyjnym wartościom przy jednoczesnej fascynacji szeroką gamą kosmopolitycznych, humanistycznych prądów myślowych. Tak jak wtedy naziści i komuniści widzieli w tym dowód wewnętrznej słabości Brytyjczyków, tak i dziś Chińczycy odbierają to jako świadectwo braku cywilizacyjnej witalności. To jest mentalne „miękkie podbrzusze" Ameryki, czego Pekin nie zawaha się rozgrywać w celu wewnętrznego skłócania i osłabiania przeciwnika. W 1933 r. po debacie na Oxford Union (stowarzyszenie dyskusyjne zrzeszające głównie osoby powiązane z Uniwersytetem Oxfordzkim) Winston Churchill wspominał, iż owo stowarzyszenie „odmawia walki o króla i ojczyznę". Czy także i dziś liberalna inteligencja USA nie odmawia podobnej walki? Jaki wpływ może mieć to na chińskie kalkulacje?

W samych zaś Chinach społeczeństwo żyje emocjami nacjonalistycznymi ożywianymi przez media. Za ekspansję nikt nie zamierza przepraszać, a władze promują hasła Wielkiego Renesansu Narodu Chińskiego, zakładające odnowę chińskiej cywilizacji i zjednoczenie ziem chińskich (w tym Tajwanu). Wielki Renesans oznacza, że Chiny zajmą należne im, najważniejsze miejsce w świecie. Nacjonalizm chiński jest coraz bardziej znaczącym elementem legitymizacji władzy KPCh.

Postawię tezę, że nacjonalistycznie nastawione społeczeństwo chińskie, w którym wspomnienie „stu lat narodowego poniżenia" (1839–1949), jest wciąż żywe, będzie w stanie przecierpieć w rywalizacji z USA znacznie więcej niż społeczeństwo amerykańskie, gdzie żywe są prądy kosmopolityczne, a dla niemałej jego części imperializm i tradycyjne wartości to powód do wstydu – zbędny balast, który należy zrzucić.

Choć sama mentalna gotowość do rywalizacji to za mało, to z perspektywy potęgi państwa wartości i poglądy dominujące w debacie publicznej mogą być jego siłą bądź słabością. Kształtowanie obywateli w duchu cnót obywatelskich, myślenia kategoriami interesu narodowego, patriotyzmu i poczucia odpowiedzialności za wspólnotę wzmacnia siłę państwa. Odwrotnie liberalne kształtowanie obywateli w duchu kosmopolityzmu, prymatu hedonizmu, negacji poświęcenia dla wyższych celów, wolności bez obowiązków i nieustannego podmywania fundamentów wspólnoty.

≡ PODSUMOWANIE

Intencją artykułu było przybliżenie czytelnikom pewnych, z perspektywy autora istotnych, choć mało eksponowanych czynników wpływających na rywalizację amerykańsko-chińską. Chciałem przedstawić perspektywę nieco odmienną od dominującej w mainstreamowym przekazie.

Przed nami wielka rywalizacja i wiele politycznych niewiadomych. Jednym z elementów tej rywalizacji jest starcie dwóch różnych modelów społeczno-politycznych i modernizacyjnych, których niektóre elementy starałem się zarysować. Dziś jesteśmy dopiero u początku tego maratonu, w interesie całego świata jest zaś, by nie przeistoczył się on w bokserską walkę obliczoną na znokautowanie przeciwnika.

Kacper Kita

Koniec amerykańskiego mitu a sprawa polska

Fot. prezydent.pl

Ameryka przez dekady była najważniejszym punktem odniesienia dla polskich elit politycznych i intelektualnych. Być w sojuszu z Ameryką oznaczało być częścią Zachodu, a od tego nic nie było ważniejsze. To USA miało nam zapewniać bezpieczeństwo. To Ameryka fascynowała kolejne pokolenia Polaków wyjeżdżających za ocean i żyjących amerykańską popkulturą. Czy jesteśmy właśnie świadkami końca tej epoki?

≡ Historyczne podglebie proamerykańskiego sentymentu

Polacy byli związani z Ameryką, zanim powstały Stany Zjednoczone. Za datę osiedlenia się tam pierwszych Polaków przyjmuje się 1 października 1608 r. – nasi rodacy pojawili się wtedy w kolonii w Jamestown. Wszyscy słyszeliśmy o udziale Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki w amerykańskiej wojnie o niepodległość. Mimo powstania Stanów Zjednoczonych nie doszło wtedy jednak do nawiązania stosunków dyplomatycznych, bo dwa państwa „rozminęły się" – Polska przestała istnieć mniej więcej wtedy, kiedy USA powstały i zaczęły układać sobie relacje z innymi krajami.

W XIX w. Polacy odgrywali w świadomości zachodnich narodów podobną rolę co obecnie Kurdowie. Byliśmy dużym narodem nieposiadającym własnego państwa. Współczuło nam wielu artystów czy literatów, ale politycy kierowali się oczywiście interesem swoich państw. Tak było w wypadku Francji, ale po części również Stanów Zjednoczonych. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, amerykańskie gazety relacjonowały je na bieżąco. Amerykański pisarz Edgar Allan Poe, wówczas ledwie 22-letni, chciał zaciągnąć się do oddziałów obcokrajowców ruszających na pomoc Polakom, które miały być zorganizowane we Francji – ostatecznie nie zostały. Akcję zbierania pomocy finansowej dla powstańców organizował inny pisarz,



wówczas już z dorobkiem, James Fenimore Cooper. Rząd cara Mikołaja I formalnie zwrócił się do amerykańskiej dyplomacji o potępienie artykułów w amerykańskiej prasie, powszechnie przedstawiających Rosjan w złym świetle. Obietnice rozprowadzenia oświadczeń o tym, że Rosjanie nie są przedstawiani w sposób sprawiedliwy, złożył carowi ówczesny ambasador USA w Rosji, później sekretarz stanu i prezydent, James Buchanan. Powstanie styczniowe zbiegło się z kolei w czasie z wojną secesyjną w USA. Prezydent Abraham Lincoln również zdecydował się nie interweniować w rosyjskie tłumienie tego zrywu, chcąc zachować wsparcie Rosji dla swojej strony w domowym konflikcie. Obawiał się bowiem, że Francja i Wielka Brytania, wówczas skonfliktowane z Rosją i krytyczne wobec jej działań w Polsce, mogłyby zbliżyć się do Skonfederowanych Stanów Ameryki.

Pierwsza naprawdę duża fala Polaków w Ameryce pojawiła się dopiero później, w latach 70. XIX w. Byli to głównie mieszkańcy zaboru niemieckiego, w którym po wojnie francusko-pruskiej rozpoczęła się intensywna germanizacja i tępienie polskości. Do USA przybywali jednak z powodów politycznych i ekonomicznych mieszkańcy wszystkich trzech zaborów. Ameryka wielu z nich kojarzyła się z ideałami wolności, której nie doświadczali w prześladowanej ojczyźnie. Silna była też wiara w możliwość znalezienia lepszego życia i dorobienia się w Nowym Świecie, motywująca do emigracji za ocean również przedstawicieli innych europejskich narodów.

≡ ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI

Powrót Polski na mapę świata w 1918 r. również – tak jak ponad wiek wcześniej jej zniknięcie – zbiegł się z ważnymi przemianami za oceanem. Przede wszystkim trzeba odnotować, że polscy imigranci przyjeżdżający do Ameryki na przełomie XIX i XX w. byli częścią „nowej" fali imigracji, która zmieniała skład narodowościowo-religijny USA, co było negatywnie odbierane przez wielu dotychczasowych Amerykanów. Polacy, Irlandczycy czy Włosi nie byli Anglosasami i protestantami. Pojawiające się wówczas problemy skutkowały wprowadzeniem systemu kwotowego, radykalnie ograniczającego możliwość przyjazdu między innymi właśnie Polakom. Warto pokrótce odnotować pojawiające się wówczas wśród „starych" Amerykanów pseudonaukowe opracowania wykazujące niższość intelektualną czy wrodzoną emocjonalność Słowian, które miały czynić ich dodatkowo niepożądanymi. Imigracja z Polski niepokoiła również dlatego, że Polacy wyjątkowo licznie się rozmnażali. Według danych Kongresu z 1911 r. to mieszkańcy USA polskiego pochodzenia mieli najwyższy wskaźnik dzietności ze wszystkich grup narodowościowych. Co roku na 1000 Polaków przypadało 40 nowych dzieci, podczas gdy na 1000 nie-Polaków jedynie 14.

Również przyszły prezydent Woodrow Wilson – pierwszy od wojny secesyjnej i w ogóle drugi w historii demokrata, który zasiadał przez dwie nieprzerwane kadencje w Białym Domu – miał na koncie nieprzychylne wypowiedzi na temat „nowych" imigrantów. W 1902 r., jeszcze zanim wszedł w politykę, Wilson wydał książkę *Historia narodu amerykańskiego*, w której Polaków, Węgrów i Włochów nazwał „ludźmi gorszego sortu", nieposiadającymi „umiejętności, energii ani jakiejkolwiek wyostrzonej inteligencji". Później Wilson przeprosił za swoje słowa,

choć można zastanawiać się, na ile szczerze, a na ile ze względu na chęć pozyskania głosów rosnącej liczebnie Polonii. Jak wiadomo, w 1913 r. Wilson został prezydentem, a w 1917 r. – wbrew swoim obietnicom wyborczym z kampanii o reelekcję – wprowadził Amerykę do I wojny światowej.

W styczniu 1918 r. Wilson wygłosił swoje słynne czternaście punktów, określających cele Stanów Zjednoczonych w wojnie. Trzynasty mówił o powstaniu niepodległego polskiego państwa z dostępem do morza. Jak wiadomo, wielkie zasługi w lobbowaniu na rzecz sprawy polskiej miał Ignacy Jan Paderewski. Sprawiedliwość wobec Polaków znakomicie wpisywała się w idealistyczny program Wilsona, promujący zasadę samostanowienia narodów. 28. prezydent USA jest zresztą upamiętniony w centrum Warszawy, nawet jeśli warszawiacy wypowiadają jego nazwisko w sposób, który by go mocno zaskoczył. Wilson był pod wieloma względami przełomowym prezydentem dla historii Ameryki, a jego kadencja odbiła się wyjątkowo mocno również na polityce zagranicznej kolejnych pokoleń Amerykanów. Na jej opisanie przyjdzie jednak czas kiedy indziej.

Warto odnotować także amerykańską pomoc dla odbudowującej się po wojnie Polski. Powołana przez Kongres Amerykańska Administracja Pomocy (*American Relief Administration*), wspierana przez amerykańskiego podatnika i prywatnych darczyńców, przekazywała zboże, tłuszcze, mleko, odzież i sprzęt techniczny potrzebującym w dotkniętych konfliktem krajach. 20% całości trafiło właśnie do Polski – przede wszystkim do dzieci, repatriantów czy emerytów, ale również do żołnierzy uczestniczących w wojnie polsko-bolszewickiej, za co krytykowano szefa ARA Herberta Hoovera. Jeszcze w 1919 r. jedną z ulic w centrum Warszawy nazwano imieniem Hoovera, który otrzymał także honorowe doktoraty Uniwersytetów Warszawskiego, Jagiellońskiego i Lwowskiego oraz Honorowe Obywatelstwo Rzeczypospolitej. Później, w 1929 r., ten sam Hoover został prezydentem USA, ale ze stanowiska już po jednej kadencji zmiótł go wielki kryzys gospodarczy.

USA w tym samym czasie przyczyniły się więc do powstania, uznania międzynarodowego Polski i udzielenia jej pomocy oraz zamknęły swoje granice na polskich imigrantów. Ta druga decyzja nie była jednak przecież niekorzystna dla polskiego narodu – dzięki niej więcej zdolnych Polaków pozostało w odrodzonej ojczyźnie. Administracja Wilsona uznała rząd II RP już 22 stycznia 1919 r., a więc przed Francją (24 lutego) i Wielką Brytanią (25 lutego). Premierem Polski był wówczas dobrze znany w Waszyngtonie Paderewski. To właśnie na ręce wybitnego pianisty pełniącego jednocześnie obowiązki ministra spraw zagranicznych, oświadczenie o uznaniu polskiego rządu złożył szef amerykańskiej dyplomacji Robert Lansing.

≡ PRL I UFORMOWANIE SIĘ WSPÓŁCZESNEJ AMERYKANOFILII

Jak wiadomo, historię odrodzonej Rzeczypospolitej przerwał wybuch II wojny światowej. Zajęcie Francji i zagrożenie Wielkiej Brytanii, a wcześniej katastrofa września 1939 r. i poczucie porzucenia przez te dwa państwa spowodowały, że wielu polskich patriotów zaczęło szukać oparcia właśnie w Stanach Zjednoczonych. To do Ameryki udał się choćby Ignacy Matuszewski. W czasie wojny

i bezpośrednio po niej pojawiła się za oceanem kolejna fala Polaków, uciekających tam z oczywistych powodów politycznych.

Od momentu pierwszej utraty niepodległości pod zaborami kolejne pokolenia Polaków szukały wśród państw zachodnich protektora, który pomógłby nam przeciwstawić się zaborcom. Teraz to Waszyngton wydawał się wschodzącym mocarstwem, które będzie wywierać decydujący wpływ na losy świata po wojnie. Do podobnych wniosków dochodziło zresztą równolegle wielu działaczy ruchu syjonistycznego, wcześniej orientujących się często na Wielką Brytanię, a teraz przenoszących się za ocean. Ich starania okazały się ostatecznie skuteczniejsze – Izrael powstał, a Polska znalazła się w strefie wpływów sowieckich. 5 lipca 1945 r. administracja Harry'ego Trumana oficjalnie wycofała uznanie polskiego rządu na uchodźstwie, od tej pory utrzymując stosunki dyplomatyczne z komunistami, których legitymizacją do władzy były sowieckie czołgi.

Poczucie krzywdy z powodu „zdrady w Jałcie" nie zmieniło jednak faktu, że to USA bezsprzecznie stały się po 1945 r. numerem jeden w świecie Zachodu. Tym samym były również niewątpliwie numerem jeden wśród państw, na których pomoc w zrzuceniu jarzma sowieckiej niewoli liczyli Polacy. To właśnie okres PRL wydaje się piszącemu te słowa decydujący dla uformowania się współczesnej amerykanofilii. Polscy patrioci, ciężko doświadczani przez komunistyczny reżim i podległość Moskwie, byli wyjątkowo podatni na zero-jedynkowy obraz świata, w którym dobra Ameryka, utożsamiana z wolnością i normalnością, przeciwstawiała się sowieckiemu „imperium zła".

Równolegle rozwijały się relacje rządów USA i PRL. W 1959 r. odbyła się pierwsza w historii wizyta wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w Polsce – tego debiutu dokonał Richard Nixon, zastępca Dwighta Eisenhowera. Nixon kilka tygodni wcześniej odwiedził Moskwę, w której starł się z przywódcą ZSRR Nikitą Chruszczowem podczas słynnej „kuchennej debaty". Chruszczow twierdził wówczas, że wnuki Nixona będą żyły w komunizmie, a Nixon, że wnuki Chruszczowa będą żyły w wolności. Wiadomo, komu historia przyznała rację. W Warszawie Nixon spotkał się z pierwszym sekretarzem Władysławem Gomułką, a na ulicach tysiące Polaków witało entuzjastycznie jego limuzynę. Towarzyszący Nixonowi brat prezydenta, Milton Eisenhower, napisał w raporcie z wizyty, że Polska „wydaje się piętą achillesową obozu socjalistycznego".

W 1972 r. ten sam Nixon został pierwszym prezydentem USA, który odwiedził Warszawę. Republikański polityk przez całą swoją karierę był bardzo zaangażowany w politykę międzynarodową i wręcz specjalizował się w pragmatycznym, wyrachowanym szukaniu nieoczywistych partnerów, z którymi nawiązanie kontaktów byłoby opłacalne dla Waszyngtonu. Z tego w końcu wzięła się jego słynna wizyta w Chinach. Pod tym względem, jak zauważył później w swojej *Dyplomacji* szef dyplomacji Nixona, Henry Kissinger, Nixon był jedynym prezydentem od czasów wspomnianego wyżej Woodrowa Wilsona, który wyraźnie odchodził od jego idealizmu – choć jednocześnie czuł się związany jego dziedzictwem na tyle, że powiesił sobie portret tegoż Wilsona w gabinecie.

W Warszawie Nixon spotkał się z nowym przywódcą PRL, Edwardem Gierkiem, który dwa lata później, w październiku 1974 r., został pierwszym polskim przywódcą

składającym oficjalną wizytę w USA w czasie pokoju. Wcześniej takie spotkania od-
bywały się jedynie podczas II wojny światowej – Amerykę odwiedził czterokrotnie
Władysław Sikorski jako premier i raz Stanisław Mikołajczyk. Polskie nadzieje
związane z USA podsyciła wreszcie nominacja Zbigniewa Brzezińskiego na stano-
wisko doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego w gabinecie Jimmy'ego Cartera.
Polska była trzecim krajem, który odwiedził Carter jako prezydent – wyprzedziły
nas jedynie Wielka Brytania i Szwajcaria. Cartera również przyjął pierwszy se-
kretarz Edward Gierek. Ciekawostka – prosto z Warszawy prezydent Carter udał
się do Teheranu, gdzie spotkał się z szachem Mohamedem Rezą Pahlawim. Była
to ostatnia w historii wizyta amerykańskiego przywódcy w Iranie – rok później
wybuchła rewolucja islamska. To właśnie za kadencji Gierka poluzowano Polakom
możliwości wyjazdu na Zachód, w tym do USA. Wcześniej, w 1965 r., w Stanach
Zjednoczonych dokonano przełomowych zmian w polityce migracyjnej, kończąc
z kwotowym systemem, pilnującym narodowościowej spójności amerykańskiego
społeczeństwa. Tym samym rozpoczęła się kolejna fala rozrastania się Polonii.

Apogeum entuzjazmu wobec Ameryki przypada w Polsce jednak na okres
prezydentury następcy Cartera, Ronalda Reagana. Administracja Reagana mocno
wsparła „Solidarność" przeciw PRL, któremu po wprowadzeniu stanu wojennego
odebrano status państwa uprzywilejowanego w stosunkach handlowych z USA
(*most-favored-nation*). Amerykański Kongres, rząd i CIA przeznaczyły miliony do-
larów na wsparcie opozycji antykomunistycznej i budowę kontaktów w jej struktu-
rach. CIA oprócz dawania opozycjonistom pieniędzy prowadziła również szkolenia
dla nich czy wyposażała ich w sprzęt przydatny np. do działalności propagandowej.
Jednocześnie Amerykanie dążyli do pokojowej transformacji, a w przyszłej Polsce
znaczącą rolę przewidywali również dla ludzi systemu PRL. Charakterystyczne,
że już w 1987 r. ponownie przyznano PRL status *most-favored-nation*. Później
to prezydent George H.W. Bush, przez 8 lat wiceprezydent u Reagana, dążył do
prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego, przewidywanej początkowo na sześć lat.
Przeciętny polski patriota-opozycjonista miał jednak kryształowy obraz amerykań-
skiego udziału w obaleniu PRL.

Wyidealizowany obraz Zachodu i przewodzącej mu Ameryki, a także zrozu-
miały odruch dążenia do zabezpieczenia się przed Moskwą, powodowały ogromne
poparcie dla „westernizacji" czy wręcz „amerykanizacji" Polski. Polacy chcieli czuć
się częścią Zachodu, którego niezaprzeczalnym liderem był Waszyngton. Chcieli
wobec tego słuchać amerykańskiej muzyki, oglądać amerykańskie filmy i seriale,
kupować amerykańskie produkty, ubierać się jak Amerykanie. Na płaszczyźnie
politycznej oznaczało to ogromne poparcie dla starań o wstąpienie do NATO i UE.
Były to również zgodne cele praktycznie całej polskiej klasy politycznej po 1989 r.
Dziś możemy odnieść wrażenie, że na tych celach myślenie znacznej jej części się
wyczerpało. Skoro już dowartościowaliśmy się i czujemy się częścią wyśnionego
Zachodu, to wystarczy trwać.

W marcu 1999 r. Polska oficjalnie stała się sojusznikiem Stanów Zjednoczonych
w ramach Paktu Północnoatlantyckiego. Później, w 2003 r., Polska była jednym
z ledwie trzech państw, które dołączyły swoje siły zbrojne do amerykańskiej in-
wazji na Irak Saddama Husajna. Warto sobie uświadomić, jak bardzo osamotnieni

byliśmy w tej decyzji na arenie międzynarodowej. W koalicji rozpoczynającej inwazję znalazły się USA, Wielka Brytania, Australia i Polska. A więc sami inicjatorzy operacji, dwa najbliższe Amerykanom kulturowo i politycznie państwa anglosaskie oraz... Polska. Busha nie poparło do tego stopnia dokładnie żadne państwo, które odzyskało niepodległość wraz z upadkiem żelaznej kurtyny, ani dokładnie żadne państwo kontynentalnej Europy Zachodniej. Polacy bardzo chcieli jednak być blisko Waszyngtonu i pokazać się jako jego najlepsi sojusznicy. To samo myślenie doprowadziło później do zgody na budowę w Polsce tajnych więzień CIA. Obie te decyzje podejmowali zresztą byli komunistyczni aparatczycy, tacy jak Aleksander Kwaśniewski i Leszek Miller. Wiadomo, że również w polskich służbach specjalnych po 1989 r. liczni byli funkcjonariusze starego systemu, którzy z prosowieckości nawrócili się na proamerykańskość.

≡ Polski patriotyzm a rola moralności w polityce. Skąd zachwyt Trumpem?

Trudna historia Polski XVIII, XIX i XX w. spowodowała niestety zrośnięcie się naszego patriotyzmu z przecenianiem roli moralności w polityce. Utrata niepodległego państwa i wszystkie cierpienia, jakich nasi przodkowie doznali ze strony zaborców, wytworzyły w Polakach silne poczucie krzywdy. Prześladowania jakoś trzeba było znosić. Nic nie prowadzi człowieka do rozpaczy tak, jak bezsilność. Nikt nie chce cierpieć nadaremno. W takich okolicznościach w zrozumiały sposób podglebie znalazły w naszym kraju teorie o pozytywnej roli cierpienia i krzywdy w życiu narodu i wiara w to, że koniec końców Dobro zatryumfuje. Polska miała być Chrystusem (ewentualnie Winkelriedem) narodów – w ten czy inny sposób, ale jej cierpienie miało mieć sens i przynieść ostateczne zwycięstwo Dobra nad złem (albo i Złem, Carem lub inną figurą zsekularyzowanego Szatana). Karykaturalną postacią tej wiary była przepowiednia z Tęgoborza, wedle której po długich cierpieniach miała nastąpić sprawiedliwa klęska znienawidzonych zaborców, Niemców i Rosjan, oraz nagroda dla dzielnych Polaków, wokół których oczywiście zjednoczą się inne ciemiężone narody – „Warszawa środkiem ustali się świata". Finałowa zwrotka przepowiedni brzmi:

> Powstanie Polska od morza do morza.
> Czekajcie na to pół wieku.
> Chronić nas będzie zawsze Łaska Boża,
> Więc cierp i módl się, człowieku.

Tworzona w celu przetrwania i ku pokrzepieniu serc wizja przyszłego wynagrodzenia krzywd doznawanych przez polskich patriotów pod zaborami i w PRL stworzyła grunt pod wiarę w ostateczne zwycięstwo „sił dobra" i decydujące znaczenie czynnika moralnego w polityce. Stąd główny nurt polskiej prawicy był w 1989 r. i później wyjątkowo podatny na mniej lub bardziej świadome myślenie kategoriami końca historii, które zazwyczaj było najatrakcyjniejsze dla liberałów i postępowców wierzących w ostateczne zwycięstwo końca historii.

Niewątpliwie radykalnym, ale poniekąd reprezentatywnym przykładem ślepego zapatrzenia polskiego patrioty w Amerykę jest książka Tomasza Sakiewicza, wieloletniego redaktora naczelnego „Gazety Polskiej" – *Testament I Rzeczypospolitej* z 2014 r. Sakiewicz przedstawia tam rzeczywistość w groteskowo wykrzywiony, skrajnie zero-jedynkowy sposób. Przykładowo, rozdział VII nosi tytuł *Czy Polska to Ameryka?* Sakiewicz pisze w nim: „w powstaniu USA dostrzegam wyraźny wpływ Polaków. Pierwsi osadnicy w Ameryce Północnej byli Polakami, nie tylko, rzecz jasna, ale było ich na tyle dużo, że kilka lat po założeniu słynnego miasta Jamestown (1607 r.) potrafili zorganizować bodaj pierwszy w historii tego kontynentu strajk. Drodzy Anglicy, nikt nie odbiera wam tego, że osadników przywiózł statek Jej Królewskiej Mości. Ale wasz kapitan John Smith uganiał się za swoją Pocahontas, w czasie kiedy moi rodacy ciężko pracowali, by coś z tej Ameryki wyszło". W rzeczywistości Smith przywiózł w 1603 r. ze sobą 6 (słownie: sześciu) Polaków. W 1619 r., podczas strajku, Polaków wraz z rodzinami było 50. O źródło informacji, że ta garstka ludzi pracowała ciężej niż tysiące osiedlających się w Nowym Świecie Anglików, lepiej nie pytać. Dalej w tym samym rozdziale Sakiewicz twierdzi też, że Amerykanie, tworząc swoje państwo, „wzór czerpali z I Rzeczypospolitej".

Siła myślenia życzeniowego Sakiewicza jest nieprawdopodobna – a nie jest to przypadkowy rozentuzjazmowany internauta, ale jedna z najważniejszych postaci świata mediów polskiej prawicy. W tej samej książce Sakiewicz snuje natchnioną wizję, jakby wprost wziętą z przepowiedni z Tęgoborza – „Przyjdzie czas, że trzeba będzie przesunąć część europejskich instytucji do Jagiellońskiego Krakowa, gdzie są groby królów Polski, Węgier, Czech oraz władców Litwy i Rusi. Ten proces można spowalniać, jak robią to obecnie Niemcy, albo niszczyć siłą, tak jak Rosja, ale zatrzymać się go nie da". Sakiewicz wmawiał sobie – pisząc to za czasów Obamy, jeszcze przed Trumpem! – że Polska ma „zdolności polityczne, ale przede wszystkim niesłychanie atrakcyjny projekt kulturowy z czasów I Rzeczypospolitej i współpracy ludzi różnych narodów, religii i obyczajów, [który] zjednoczyłby ludy naszego regionu we wspólnym dążeniu do wolności. Ten projekt jest dzisiaj niesłychanie atrakcyjny dla polityki amerykańskiej, a także dla otaczających nas krajów (poza Niemcami)". Sakiewicz wierzył, że Obama „chce odtworzenia koncepcji jagiellońskiej", a Polska jest dla niego ważniejszym krajem niż „Niemcy, tradycyjny sojusznik USA w Europie, który w przemówieniu Obamy został całkowicie pominięty". Mowa o przemówieniu z czerwca 2014 r. I wtedy, i później, w lipcu 2017 r., dla wielu czołowych ludzi polskiej prawicy liczyły się piękne słowa, a nie konkretne czyny. Funkcjonowali i funkcjonują oni w świecie swoich marzeń, narkotyzując się wizją rzekomo nadchodzącego dnia ich ostatecznej realizacji, gdy Polska rzeczywiście siłą sprawiedliwości dziejowej „będzie od morza do morza".

Charakterystyczne również jest zdanie Sakiewicza, że wojna w Wietnamie została przez Amerykanów przegrana, bo „prowadzili ją bez dostatecznej determinacji". Widzimy tu dwa kluczowe elementy tego niezwykle szkodliwego sposobu myślenia o polityce. Po pierwsze, niezachwiana wiara w amerykańską potęgę. Po drugie, wiara w możliwość przemiany rzeczywistości siłą woli przez „siły Dobra". Gdyby tylko Amerykanie chcieli, mogliby wygrać w Wietnamie. Wcale nie ładowali tam bezskutecznie przez lata absurdalnych, często większych niż podczas

II wojny światowej, ilości bomb i żołnierzy. Sakiewicz wróży też utrzymanie hegemonii amerykańskiej *ad infinitum*: „Na obszarze USA, Kanady i UE wraz z krajami stowarzyszonymi mieszka prawie miliard ludzi. Wytwarzana jest tutaj połowa światowego PKB. Wiele wskazuje na to, że rozpęd gospodarczy Azji nie będzie już aż tak wielki, by to szybko zmienić". Apogeum wywodu Sakiewicza jest być może twierdzenie, że „śmiertelny proces" upadku Rosji jest już „nieodwracalny" i jest „kwestią czasu", kiedy „słabnąca Rosja" będzie „musiała" wskazać winnych „zamachu smoleńskiego". Zmusi ją do tego sojusz Polski, Ukrainy i USA.

Oczywiście nie wszyscy publicyści są aż tak oderwani od rzeczywistości i myślą podobnie życzeniowo. Jednak Donald Trump rzeczywiście był dla wielu przedstawicieli głównego nurtu polskiej prawicy powtórką pięknych wizji z dawnych lat – Reaganem 2.0 lub, jeśli ktoś woli, Napoleonem 5.0. Patrzyli na niego i widzieli to, co chcieli widzieć. Tak jak Ignacy Rzecki z *Lalki*, personifikacja poczciwego polskiego patriotycznego myślenia życzeniowego, który marzył o księciu Napoleonie IV, wspominając swoją wojowniczą młodość z czasów Wiosny Ludów. Przemówienie Trumpa w Warszawie pozwoliło na chwilę ponownie uwierzyć, że marzenia się spełniły, czas wyczekiwania się skończył, a Zachód znów ma silnego przywódcę, który przywróci go na drogę „tradycyjnych wartości", najlepiej odwołując się do Reagana i Jana Pawła II. Polacy wreszcie poczuli się docenieni przez przywódcę Zachodu, uroczyście przyjęci w jego szeregi, a nawet postawieni jako przykład dla innych narodów.

Rzeczywistość okazała się jednak brutalna. Trump poległ. Nie nastąpił „nasz" koniec historii. Nie tylko zgniły Zachód z demoniczną Angelą Merkel na czele odrzucił amerykańskiego prezydenta. Odrzucili go koniec końców także właśni wyborcy. Rzeczywistość doczesna kolejny raz okazała się niedoskonała.

Nie nastąpił więc „nasz" koniec historii z punktu widzenia głównego nurtu polskiej prawicy. To pierwsza lekcja dla tego środowiska i każdego innego, które dojdzie w Polsce do władzy. Tak jak historia USA nie wypełniła się w trumpizmie, tak historia Polski nie wypełniła się w kaczyzmie. Gdyby jeszcze Trump przegrał z lewicowym rewolucjonistą mającym atrakcyjną wizję w rodzaju Sandersa, dałoby się to wytłumaczyć. Ale Trump przegrał z nudnym, centrowym aparatczykiem. Z personifikacją bezideowego establishmentu, który rządził Ameryką przez poprzednie dekady.

To jest druga lekcja – dla wszystkich nurtów prawicy w Polsce i na świecie, które z nadzieją przywitały w 2016 r. wybór Trumpa. Szczególnie tej najbardziej identyfikującej się jako antyestablishmentowa. Tryumf Trumpa niewątpliwie był wielkim wydarzeniem. Negacją postępowego determinizmu. Zamiast wyczekiwanej „pierwszej kobiety w Białym Domu" dostaliśmy wulgarnego samca alfa samoidentyfikującego się jako „amerykański nacjonalista". Lud pokazał poprawności politycznej środkowy palec. Zwycięstwo Trumpa dało wiarę setkom środowisk szeroko pojętej kontestatorskiej prawicy na całym świecie – wszyscy zobaczyliśmy, że postępowy walec da się zatrzymać.

Nie nastąpił jednak koniec także historii *à rebours*. Wielu prawicowców zachłysnęło się zwycięstwem Trumpa. Główny ideolog trumpizmu, Steve Bannon, snuł wizję nowej polityki, w której liczą się tylko „prawicowi populiści" à la Trump

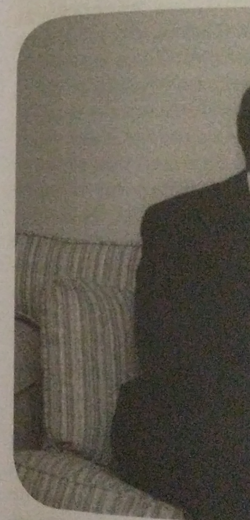
i „lewicowi populiści" à la Sanders. Wielu chciało wierzyć, że oto nastąpił historyczny moment – populus obudził się i zrzucił liberalne jarzmo. Zwykli ludzie zrozumieli, że elity są ich wrogami, a do starego świata z lat 1991–2016 nie ma już powrotu. Nie nastąpił liberalny koniec historii, ale wielu uwierzyło w jego odwrotność – „populistyczny" koniec historii. Tryumf Bidena to zimny prysznic. Stary centrowy aparatczyk pokonał po kolei Sandersa i Trumpa. Realista wie jednak, że także to zwycięstwo elit nad kontestatorami jest tylko kolejną bitwą w wojnie, która nie będzie miała naturalnego końca.

Teraz czas na trzecią lekcję. Trump nie przegrał, bo był groźnym populistą z radykalną agendą. Na porażkę Trumpa złożyło się wiele czynników, na których rozważenie przyjdzie czas. Na dziś wydaje się jednak, że oprócz pandemii (czynnik zewnętrzny poza jego kontrolą) zdecydowało to, że był nieudolny. Nie wypracował spójnej agendy ani zgranego zespołu ludzi gotowych ją systematycznie realizować. Okazał się świetny jako trybun ludowy, orator i fenomen kulturowy, ale mierny jako prezydent. Dlatego najgorsze, co nieestablishmentowa prawica może zrobić, to powrócić do bycia „grzeczną" i „umiarkowaną". Należy przeprowadzić dokładną analizę tego, co było właściwe, a co niewłaściwe w programie Trumpa oraz co jako prezydent zrobił dobrze, a co źle. A następnie rozważyć, co wynika z tego dla nas – kontestatorów *status quo* funkcjonujących w innym kraju i uwarunkowaniach. Nie dajmy się jednak komentatorom z głównego nurtu zamknąć w postpolitycznych zaklęciach w rodzaju „Trump przegrał, bo dzielił ludzi", „był po niewłaściwej stronie historii" albo „był zbyt radykalny, podczas gdy wybory wygrywa się, idąc do centrum".

≡ ODWRÓT OD AMERYKI?

Porażka Trumpa była wydarzeniem przykrym również dla polskiego rządu, który przez poprzednie 4 lata sporo zainwestował w bliskie relacje z 45. prezydentem USA. Po zmianie administracji w Białym Domu mogliśmy zaobserwować intensyfikację ruchów polskiej dyplomacji w kierunku Pekinu. Rząd PiS zaczął być nawet w przedziwny sposób oskarżany przez publicystów takich jak Witold Jurasz o zerwanie sojuszu z USA. Na dziś trudno powiedzieć, jak będzie w przyszłości wyglądać polska polityka zagraniczna. Wydaje się jednak, że największą korzyścią z porażki Trumpa może być właśnie przyspieszenie procesu mentalnego upodmiotowienia się polskich elit politycznych. Kolejne osoby zaczynają zdawać sobie sprawę, że wzorce myślenia ukształtowane w okresie PRL są już dziś anachroniczne.

Świadczą o tym wypowiedzi takie jak ta prof. Zbigniewa Krasnodębskiego, jednej z ważniejszych postaci intelektualnego zaplecza PiS. Prof. Krasnodębski powiedział, że „odwrót z Afganistanu to wielka klęska USA i kolejny dowód słabości tego kraju". „Porażką zakończyła się próba zbudowania tam stabilnego rządu i demokracji. To kryzys idei eksportowania wartości i stylu życia Zachodu na inne kontynenty i kolejny dowód na słabość Stanów Zjednoczonych. Nie jest to też pierwsza klęska Waszyngtonu. Wystarczy sobie przypomnieć Syrię czy Libię". Krasnodębski zauważa również, że „ta tradycyjna Ameryka, z wartościami takimi



jak patriotyzm, religijność, wytrwałość, gotowość do walki za swój kraj, odeszła w przeszłość. Dziś społeczeństwo amerykańskie jest bardzo spolaryzowane, zróżnicowane, zatomizowane i – w wielkich metropoliach – zblazowane. Także elity amerykańskie to ludzie o zupełnie innych postawach życiowych niż jeszcze dwie czy trzy dekady temu, kiedy ciągle były żywe tradycyjne wartości amerykańskie". Intelektualista przewiduje, że „tendencje izolacjonistyczne będą się w USA pogłębiały w najbliższych latach".

Głęboki kryzys wewnętrzny USA wspomniany tu przez Krasnodębskiego szerzej opisałem w swoim drugim artykule zamieszczonym w tym numerze „Polityki Narodowej". Przewartościowanie stosunku do USA i Unii Europejskiej powinno łączyć się z szeroką refleksją na temat tego, jak Polska ma się odnosić do politycznego, ale również kulturowego Zachodu jako takiego. Musimy wyzwolić się z postkolonialnego stosunku do państw i środowisk, które nie mają nam dziś w warstwie aksjologicznej do zaoferowania dokładnie nic. Realizacja wzorców (anty)cywilizacyjnych, aktywnie stawianych nam dziś za wzór przez amerykańskie firmy i amerykańską dyplomację, oznacza bowiem ni mniej ni więcej, tylko destrukcję polskiej wspólnoty narodowej.



Fot. domena publiczna

Patryk Okoniewski

Żelazna Kopuła dolarów

Fot. U.S. Embassy Jerusalem

Kiedy piszę te słowa, w polskiej debacie publicznej ponownie zagościła kwestia roszczeń żydowskich. Wiele już o tym napisano i pewnie jeszcze nieraz temat ten powróci. Wydaje się wszelako, że jest to dobra okazja, żeby przyjrzeć się temu zagadnieniu z trochę innej strony. Chociaż lewica próbuje je bagatelizować, to z pewnością uwadze sumiennego obserwatora nie umknie, że w 2019 r. 88 ze 100 amerykańskich senatorów podpisało się pod apelem do ówczesnego sekretarza stanu, Mike'a Pompeo, o podjęcie działań zmierzających do „wypłacenia odszkodowań ofiarom Holokaustu lub zwrotu nieruchomości". Dochodzimy w tym miejscu do kluczowej kwestii zaangażowania ośrodków proizraelskich w amerykańską politykę. Ktoś, kto nie ma dużego pojęcia o amerykańskich realiach, mógłby stwierdzić, że podejmowanie tego zagadnienia jest niedorzeczne, postaram się jednak udowodnić, że problem jest warty uwagi każdego, kto chce rozumieć współczesną politykę.

Zacząć należałoby od zarysowania obrazu sytuacji państwa Izrael, a trzeba przyznać, że wygląda ona dla niego nad wyraz korzystnie. Od lat 70. XX w. Izrael jest jednym z największych odbiorców pomocy zagranicznej USA, która wynosiła średnio na rok ok. 3 mld dolarów. W 2019 r. suma ta sięgnęła już 3,8 mld dolarów. Izrael korzysta również z szacowanych na ok. 8 mld dolarów gwarancji kredytowych. Warto zaznaczyć, że Amerykanie istotnie przyczynili się m.in. do powstania Żelaznej Kopuły, której możliwości mogliśmy obserwować podczas tegorocznego ostrzału rakietowego. Na ten cel przeznaczono 235 mln dolarów. Stany Zjednoczone wspierają również Izrael na arenie międzynarodowej. W 2011 r. administracja Obamy zawetowała rezolucję ONZ, która uznała izraelskie osiedla na Zachodnim Brzegu za nielegalne. Kilka lat później USA przeniosły swoją ambasadę do Jerozolimy. Ten krótki przegląd mógłby sugerować, że stosunki między dwoma

państwami układają się wzorcowo, ale i w tym wypadku dochodzi do pewnych napięć. Przykładem tego może być przegłosowanie w 2016 r. rezolucji ONZ wzywającej do położenia kresu nielegalnym osiedlom na ziemiach palestyńskich.

≡ CZYM JEST AIPAC?

Nie jest moim celem wykazywanie, że wszystkie te stosunki są efektem nacisku grup proizraelskich. Nie trzeba jednak przeprowadzać dogłębnej analizy geopolitycznej, żeby stwierdzić, że relacje amerykańsko-izraelskie nie należą do typowych. Kluczową dla zrozumienia tego fenomenu organizacją jest *Amerykańsko-Izraelski* Komitet Spraw Publicznych (*American Israel Public Affairs Committee, AIPAC*). Pod tą niewiele mówiącą nazwą kryje się zarejestrowana grupa lobbingowa. Założył ją w 1951 r. były pracownik izraelskiego ministerstwa spraw zagranicznych oraz kierownik oddziału Amerykańskiej Rady Syjonistycznej, Izajasz L. Kenen. Obserwatorzy zwracają uwagę, że organizacja urosła w siłę dopiero w latach 70. i 80. Do czasów nam bliższych AIPAC zapewnił sobie silną pozycję. Magazyn „Fortune" w 1997 r. uznał go za drugą najbardziej wpływową organizację w USA[1]. Bill Clinton stwierdził, że AIPAC jest „oszałamiająco skuteczny" i „lepszy niż którykolwiek inny lobbysta"[2]. Rosnąca siła organizacji zaczęła niektórych niepokoić. W 1992 r. nowojorski deweloper Haim Katz doprowadził do opublikowania rozmowy z prezydentem AIPAC-u, w której ten chwalił się załatwieniem gwarancji kredytowych dla Izraela. Katz powiedział, że jako Żyd obawia się, iż mała grupa ma tak nieproporcjonalnie dużą władzę, dodał też, że społeczeństwo powinno o tym wiedzieć. Z dużo większym skandalem wiąże się nazwisko pracownika Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych. Lawrence Franklin został oskarżony o przekazanie Izraelowi tajnych informacji. Steven J. Rosen oraz Keith Weissman, którzy pełnili odpowiednio funkcje dyrektora ds. polityki oraz analityka ds. Iranu AIPAC, mieli otrzymać tajne informacje dotyczące obrony narodowej związane z potencjalnymi atakami na siły amerykańskie w Iraku. Franklin ostatecznie przyznał się do winy i został skazany na 13 lat więzienia oraz grzywnę w wysokości 10 tys. dolarów. Proces został również wytoczony wspomnianym urzędnikom. Wszystkie zarzuty zostały wycofane, ale ostatecznie organizacja ich zwolniła.

≡ DLACZEGO ŻYDOWSKIE LOBBY ZNACZY TAK WIELE?

Wobec powyżej przytoczonych faktów należałoby postawić pytanie, z czego wynika siła lobby? Warto zwrócić uwagę, że Żydzi cieszą się największą frekwencją wyborczą ze wszystkich grup etnicznych. Aż 94% amerykańskiej populacji żydowskiej mieszka w trzynastu kluczowych stanach kolegium wyborczego. Jednym z istotnych aspektów sprawy, na który należałoby zwrócić szczególną uwagę, jest

---
[1] J. Mearsheimer, S. Walt, *The Israel Lobby and U.S. Foreign Policy*, Cambridge 2006, s. 117.
[2] Tamże, s. 153.

stosunkowo duży udział Żydów w finansowaniu partii. Były szef sztabu Jimmy'ego Cartera, Hamilton Jordan, w 1990 r. zapisał, że spośród 125 członków Demokratycznej Narodowej Rady Finansów ponad 70 jest narodowości żydowskiej. W 1976 r. ponad 60% najhojniejszych darczyńców Partii Demokratycznej stanowili Żydzi. Ponad 60% pieniędzy zebranych przez Nixona w 1972 r. pochodziło od ofiarodawców żydowskich, a w przypadku kampanii Humphreya z 1968 r. – ponad 75%. Ponad 90% pieniędzy zebranych przez Scoopa Jacksona w demokratycznych prawyborach też miało takie źródło[3]. Chociaż prawdą jest, że lobby proizraelskie wspiera głównie Demokratów, to niemałe pieniądze wędrują także do Republikanów, którzy mogli liczyć na 30% funduszy wspomnianego lobby w latach 90. Poziom ten systematycznie wzrastał, żeby osiągnąć 47% w 2016 r. Od tego czasu wzrosła również suma wszystkich proizraelskich funduszy – od 4 mln dolarów w latach 90. do 31 mln dolarów w 2020 r.[4] Jeffrey S. Helmreich z Jerusalem Center for Public Affairs twierdzi, że w całej omawianej sprawie najistotniejsza jest spora zdolność wyborców żydowskich do zmiany popieranej partii, co może wpływać na przechylenie szali głosów i wygrane wybory[5].

Chociaż AIPAC deklaruje, że nie przekazuje pieniędzy bezpośrednio kandydatom, to jego działalność spotyka się z coraz częstszą krytyką. W 2019 r. kongresmenka Ilhan Omar zasugerowała, że poparcie dla Izraela jest napędzane datkami na kampanię od prominentnej proizraelskiej grupy. Polityk za swoje słowa przeprosiła, ale jednocześnie dodała, że podtrzymuje zdanie o problematycznej roli lobbystów w Ameryce, bez względu na to, czy mowa o AIPAC-u, NRA (Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie) czy o przemyśle paliw kopalnych. AIPAC doczekał się krytyki również ze strony Berniego Sandersa, który odmówił uczestnictwa w kongresie organizacji. Jeden z głównych kandydatów w prawyborach demokratów określił organizację jako platformę do wyrażania fanatyzmu.

Lepsze światło na zagadnienie pozwala rzucić fragment z głośnej książki *Lobby izraelskie i polityka zagraniczna USA*, autorstwa Johna Mearsheimera i Stephena Walta:

> Sukces AIPAC wynika z jego zdolności do nagradzania prawodawców i kandydatów do Kongresu, którzy popierają jego program, oraz karania tych, którzy go kwestionują. [...] AIPAC zapewnia swoim przyjaciołom silne wsparcie finansowe od niezliczonych proizraelskich komitetów. Z drugiej strony ci, którzy są postrzegani jako wrogo nastawieni do Izraela, mogą być pewni, że AIPAC skieruje datki na kampanie do ich przeciwników politycznych. [...] Konkluzja jest taka, że AIPAC, który jest *de facto* agentem zagranicznego rządu, trzyma w uścisku Kongres USA. Nie ma tam otwartej debaty na temat polityki USA wobec Izraela, mimo że polityka ta ma ważne konsekwencje dla całego świata[6].

---

[3] Tamże, s. 407.

[4] *Pro-Israel: Long-Term Contribution Trends*, https://www.opensecrets.org/industries/totals.php?cycle=2018&ind=Q05#nav (dostęp: 10.07.2021).

[5] J.S. Helmreich, *The Israel Swing Factor: How the American Jewish Vote Influences U.S. Elections*, https://www.jcpa.org/jl/vp446.htm (dostęp: 11.07.2021).

[6] J. Mearsheimer, S. Walt, dz. cyt., s. 17-19.

Wątek, który szczególnie powinien przykuć naszą uwagę, to kwestia otwartej debaty. Autor za przykłady tego zjawiska podaje oskarżenia o antysemityzm. Jednym z bardziej kuriozalnych przykładów takiego zachowania może być wydanie w latach 80. przez szefa Ligi przeciw Zniesławieniom, Nathana Perlmuttera, i jego żonę książki pod tytułem *Prawdziwy antysemityzm w Ameryce* (*The Real Anti-Semitism in America*). Autorzy przekonują w niej, że dowodem na powrót antysemityzmu jest presja na Izrael, aby zawarł pokój z Arabami. Możemy się także dowiedzieć, że chociaż wiele działań nie jest umotywowanych wrogością do Żydów, to mogą one zaszkodzić interesom Żydów do tego stopnia, że ułatwią powrót prawdziwego antysemityzmu. Trudno zaakceptować również tezy z opublikowanego w 2007 r. przez American Jewish Committee artykułu profesora Uniwersytetu Indiany Alvina H. Rosenfelda, który zidentyfikował grupę liberalnych Żydów jako antysemitów ze względu na formułowaną przez nich krytykę Izraela i syjonizmu. Z kolei gdy prawnik żydowskiego pochodzenia oraz były dyrektor Human Rights Watch Kenneth Roth tłumaczył strategię armii izraelskiej, przywołując formułę „oko za oko", „The Jerusalem Post" zarzucił mu powielanie klasycznych antysemickich stereotypów. Na łamach „The New York Times Magazine" pisarz Ian Buruma zwrócił zaś uwagę, że czasami trudno jest mówić „krytycznie i beznamiętnie" o Izraelu, gdyż „nawet uzasadniona krytyka Izraela lub syjonizmu jest często szybko potępiana jako antysemityzm". Szerokim echem odbiła się wypowiedź byłego prezydenta Jimmy'ego Cartera, który stwierdził, że „wiele kontrowersyjnych kwestii dotyczących Palestyny i drogi do pokoju jest intensywnie dyskutowanych wśród Izraelczyków i innych narodów – ale nie w Stanach Zjednoczonych. Ta niechęć do krytykowania polityki rządu izraelskiego wynika z nadzwyczajnych wysiłków lobbingowych AIPAC-u i braku jakichkolwiek znaczących sprzeciwów"[7]. Wątek oskarżeń o antysemityzm ma również polski akcent. 3 października 2006 r. prof. Tony Judt na zaproszenie stowarzyszenia Network 20/20 miał wygłosić w salach konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej referat pt. *Lobby izraelskie i amerykańska polityka zagraniczna*. Wydarzenie to jednak nie doszło do skutku ze względu na telefoniczną interwencję Ligi Przeciwko Zniesławieniu na godzinę przed planowanym spotkaniem. Ten precedens spotkał się z reakcją intelektualistów. Mark Lilla i Richard Sennett opublikowali w „The New York Review of Books" list otwarty, który potępił działania Ligi. Pod listem podpisali się m.in. Eric Alterman, Benjamin Barber, Ian Buruma, Peter Beinart i Franklin Foer (redaktorzy „The New Republic"), Timothy Garton Ash, Jan Tomasz Gross, Rashid Khalidi, Ivan Krastev, Steven Lukes, Avishai Margalit.

Jedną z kwestii[8], która zdaje się wzbudzać najwięcej kontrowersji, jest zaangażowanie lobbingu na rzecz interwencji w Iraku. Chociaż AIPAC deklaruje, że nie popierał wojny, to wspomniany John Mearsheimer twierdzi, że deklaracje te nie przeszłyby testu zdrowego rozsądku. Na poparcie swojej tezy naukowiec przytacza m.in. słowa ówczesnego dyrektora wykonawczego AIPAC-u, Howarda Kohra,

---

[7] J. Carter, *Speaking frankly about Israel and Palestine*, https://www.latimes.com/news/la-oe-carter8dec08-story.html (dostęp: 11.07.2021).

[8] J. Mearsheimer, S. Walt, dz. cyt., s. 243–253.

który w styczniu 2003 r. w oświadczeniu dla „The New York Sun" przyznał, że cichy lobbing w Kongresie za zatwierdzeniem użycia siły w Iraku był jednym z „sukcesów AIPAC-u w ciągu ostatniego roku". Kiedy rok później, w maju 2004 r., prezydent Bush wygłosił przemówienie dla AIPAC-u, w którym bronił swojej polityki wobec Iraku, otrzymał 23 owacje na stojąco. Profesor twierdzi, że siłą napędową interwencji była mała grupa neokonserwatystów, którzy już od połowy lat 90. opowiadali się za obaleniem Saddam Husseina. Kiedy w 2001 r. należący do tego grona Paul Wolfowitz został wybrany na zastępcę sekretarza obrony, „The Jerusalem Post" donosił, że „żydowska i proizraelska społeczność skacze z radości". Wspomniany urzędnik miał być na tyle aktywny na polu wsparcia dla interwencji, że wiceprezydent Dick Cheney musiał mu powiedzieć, by „przestał agitować za atakowaniem Saddama". Najdobitniej sprawę ujął w 2003 r. felietonista „The New York Times" Thomas Friedman, który określił interwencję w Iraku „wojną, której chcieli neokonserwatyści… wojną, którą reklamowali neokonserwatyści… Mogę podać nazwiska 25 ludzi (z których wszyscy znajdują się obecnie w promieniu pięciu przecznic od tego biura [w Waszyngtonie]), których wygnanie na bezludną wyspę półtora roku temu poskutkowałoby brakiem wojny w Iraku".

≡ SKALA ZJAWISKA

Należy jednak podkreślić, że zjawisko lobby proizraelskiego nie jest fenomenem ściśle etnicznym. Badania Pew Research Center wykazały, że jedynie 38% amerykańskich Żydów wierzy, że Izrael szczerze dąży do pokoju. 44% natomiast uważa, że budowa nowych osiedli w Palestynie szkodzi bezpieczeństwu narodowemu Izraela. Mearsheimer określa lobby jako luźną koalicję osób i organizacji bez centralnej siedziby. Same organizacje również nie zawsze bywają zgodne. W 2006 r. Israel Policy Forum, Americans for Peace Now, Jewish Voice for Peace i Brit Tzedek v'Shalom otwarcie wystąpiły przeciw AIPAC-owi ze względu na sponsorowaną rezolucję kongresu (HR 4681), która miała nałożyć jeszcze większe ograniczenia pomocy dla Palestyńczyków, niż chciał sam Izrael. Z drugiej strony, mamy do czynienia z nastawionymi prosyjonistycznie protestantami. Amerykański historyk i wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego Philip Earl Steele podkreśla rolę organizacji Christians United for Israel, która ma przeszło 7 mln członków: „CUFI jest w Ameryce wszechobecne, m.in. przez mobilizację pastorów i prowadzenie ogólnokrajowych akcji i imprez masowych na rzecz Izraela. Często na tych spotkaniach chrześcijanie tańczą, wymachując flagami USA i Izraela. Poza mobilizowaniem rzesz chrześcijan ewangelikalnych do wsparcia Izraela CUFI rocznie przekazuje temu państwu dziesiątki milionów dolarów. Żydowska organizacja AIPAC, która ma ok. 100 tys. członków, w ogóle nie może się z nim równać"[9].

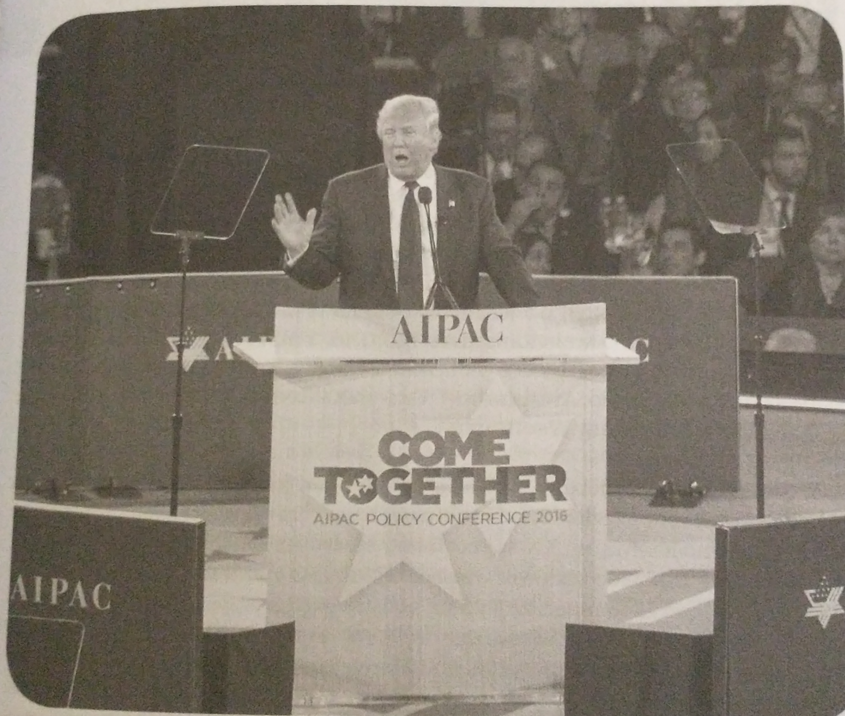
Z powyższego obrazu wyłania się ugruntowana pozycja na amerykańskiej scenie politycznej grup reprezentujących interesy Izraela. Ameryka oczywiście pozostaje

---

[9] P.E. Steele, *O Żydach wierzących w Jezusa*, https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/swiat/1564923,1,o-zydach-wierzacych-w-jezusa.read (dostęp: 10.07.2021).

pod presją innych problemów, które w przyszłości mogą okazać się decydujące dla biegu wydarzeń na arenie międzynarodowej. Wystarczy wspomnieć epidemię COVID-19, problemy wokół przeprowadzenia wyborów w 2020 roku albo rosnącą pozycję Chin. Nigdzie nie jest jednak powiedziane, że w obliczu przyszłych wydarzeń interes Izraela okaże się mniej istotny.

Z całą pewnością od lobby żydowskiego można się uczyć. Polska polityka wsparcia jednego kandydata w wyborczym wyścigu w USA nad wyraz kontrastuje z elastycznym podejściem AIPAC-u i pokrewnych organizacji. Miałkość naszej polityki zagranicznej może oznaczać w przyszłości większy nacisk światowego mocarstwa na realizację roszczeń żydowskich.



Fot. wikimedia commons

Michał Nowak

Destabilizacja poprzez stabilizację. Bilans polityki Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie

Fot. US Nav

Wyjście amerykańskich wojsk z Afganistanu[1] w sierpniu 2021 r. ma swój wymiar symboliczny. Oto niemal równo 20 lat po zamachach na World Trade Center i inwazji na ten kraj globalny żandarm właściwie oddaje władzę tym, których formalnie wówczas pokonał. Wydarzenia te wpisują się w ciąg spektakularnych wydarzeń w świecie islamskim, do których doszło wskutek interwencji zbrojnych USA bądź amerykańskich działań politycznych. Jak oceniać całokształt dwóch dekad polityki Stanów Zjednoczonych w pasie państw od Libii po Afganistan? Czy uzasadniona jest teza o klęsce Ameryki na Bliskim Wschodzie?

Pogłębiająca się destabilizacja Bliskiego Wschodu jest wynikiem oddziaływania szeregu czynników, począwszy od arbitralnego wytyczenia sztucznych granic przez europejskie mocarstwa w XX w., co miało służyć utrzymaniu pozycji imperiów kolonialnych i zapobiec budowie własnej tożsamości zamieszkujących region narodów. Nie można zapominać, że jedną z podstawowych przyczyn wewnętrznej niestabilności tej części świata są podziały religijne, stanowiące podstawę większości konfliktów na tym obszarze w ciągu co najmniej ostatnich 50 lat.

Oprócz podziałów religijnych należy również wspomnieć o kwestiach tożsamości plemiennej, etnicznej i narodowej, które w ostatnich dekadach coraz częściej wychodziły na pierwszy plan. Nie można wreszcie zapomnieć o dwóch kluczowych graczach, wokół rywalizacji których ogniskowały się niemal wszystkie mniejsze i większe konflikty. Spór Iranu i Arabii Saudyjskiej zdominował bowiem

---

[1] Afganistan nie jest w sensie ścisłym państwem należącym do Bliskiego Wschodu, ale względy religijno-kulturowe, aktywność fundamentalistów islamskich oraz zaangażowanie zbrojne USA sprawiają, że w omawianym kontekście jest to kraj, który można rozpatrywać łącznie z Syrią czy Irakiem.

wydarzenia na Bliskim Wschodzie na ponad 40 lat. Nie zapominając o zagadnieniach takich jak podziały kulturowe, odmienne systemy wartości czy globalny konflikt Północy z biednym Południem, należy jednak zwrócić uwagę na szczególną rolę innego państwa, które poprzez swoje działania w kierunku stabilizacji regionu istotnie przyczyniło się do jego destabilizacji.

INTERWENCJONIZM DROGĄ DO DESTABILIZACJI

W celu zrozumienia logiki stojącej za amerykańską polityką wobec Bliskiego Wschodu należy skoncentrować się na kolejnych ingerencjach i interwencjach USA, a nie ograniczać się do samego demonizowania tego państwa jako takiego przy jednoczesnym pomijaniu wewnętrznych problemów i regionalnych konfliktów na Bliskim Wschodzie. USA nie ponoszą wyłącznej odpowiedzialności za wszelkie problemy w regionie. Nawet bez amerykańskiego interwencjonizmu Bliski Wschód nie byłby obszarem mlekiem i miodem płynącym, niemniej jednak polityka USA wobec regionu w znacznym stopniu zwiększyła skalę destabilizacji, którą możemy obecnie obserwować.

Hipokryzją jest więc popularne w mediach głównego nurtu twierdzenie, że muzułmanie kreują problemy polityczne, społeczne, etniczne etc., i to one są jedynym powodem narastających konfliktów. Błędne byłoby też ograniczenie się do stawiania tez rodem z Huntingtona o zderzeniu cywilizacji i tłumaczenie konfliktów odwieczną rywalizacją pomiędzy Wschodem a Zachodem – islamem a chrześcijaństwem. Wiele obecnych problemów regionu wynika z błędów amerykańskiej polityki, z których część popełniono przypadkiem, a część – z wyraźną premedytacją. Poczynając od pomocy udzielonej mudżahedinom w Afganistanie i Saddamowi Husajnowi w wojnie z Iranem, przez inwazję na Irak i obalenie wspomnianego dyktatora, po udział w zamordowaniu Kaddafiego i wsparcie udzielone Saudom w Jemenie czy rebeliantom w Syrii – kluczem do zrozumienia tych działań jest jednak przekonanie amerykańskich elit o konieczności demokratyzacji Bliskiego Wschodu i zaniesienia tam ideałów oświeconego Zachodu. Skutki tej nieodpowiedzialnej polityki widzimy w regionie do dziś.

Jednym z jej rezultatów było wzmocnienie się Al-Kaidy w Iraku, a kilka lat później powstanie Państwa Islamskiego, które z niej wyewoluowało. To amerykańska interwencja w Iraku oraz późniejsze wsparcie udzielone tzw. rebeliantom w Syrii stworzyło grunt, na którym swoją siłę mogli budować sunniccy dżihadyści. Oczywiście między bajki należy włożyć spiskowe teorie o tym, że Stany Zjednoczone stworzyły tę organizację terrorystyczną. Powstała ona dlatego, że w danym czasie i miejscu istniało idealne podłoże społeczne, ekonomiczne i religijne do jej utworzenia. Nie można oczywiście pomijać milczeniem odpowiedzialności reżimów w Damaszku i Bagdadzie, bo faktem jest, że prowadzona przez nie polityka miała charakter sektariański i klientowski, co prowadziło do wzmocnienia istniejących podziałów. Jednocześnie jednak dalekie od prawdy są twierdzenia Waszyngtonu – oparte na braku poczucia jakiegokolwiek samokrytycyzmu – że trwające wojny domowe i powstanie organizacji terrorystycznych są wyłącznie efektem polityki prowadzonej przez Damaszek, Bagdad czy Teheran.

ZMIERZCH HEGEMONA?

Polityka Stanów Zjednoczonych wobec regionu oparta była na założeniu, że celem ingerencji, a często interwencji wojskowej, jest pomoc bliskowschodnim narodom w walce o swoją wolność, wsparcie gospodarcze regionu poprzez zintegrowanie go z zachodnią gospodarką, promowanie wolności i demokracji czy świeckich instytucji oraz zabezpieczenie swoich partnerów i strategicznych sojuszy w celu ustabilizowania całego regionu. Efektem miało być włączenie Bliskiego Wschodu do strefy wpływów Zachodu. Niezależnie od publicznych oświadczeń i motywacji, musimy oceniać politykę na podstawie jej wyników, a nie czystej retoryki.

Analizując kwestię realizacji celów postawionych sobie przez kolejne amerykańskie administracje w ramach bliskowschodniej polityki, można zastanowić się na tym, czy region ten jest dzisiaj stabilniejszy, niż był na przełomie wieków XX i XXI, kiedy rozpoczęły się kolejne interwencje USA. Odpowiedź wydaje się w tym przypadku dość oczywista. Irak do dziś jest państwem znajdującym się na granicy upadku, a pozycja rządu centralnego jest bardzo osłabiona. Jeszcze kilka lat temu w kraju tym trwała krwawa wojna domowa, a niedługo później blisko połowę jego obszaru opanowali bojownicy Państwa Islamskiego. Regularnie dochodzi tam do zamachów terrorystycznych, porwań i mordów politycznych, a Bagdad jest w znacznym stopniu uzależniony od Teheranu.

Radykalna zmiana reżimu, drastyczne uderzenie w pozycję sunnitów, którzy przez dziesięciolecia niepodzielnie rządzili Irakiem, oraz brak jakiejkolwiek wizji przyszłości tego państwa po obaleniu Saddama Husajna sprawiły, że stało się ono dogodnym obszarem do rozwoju ugrupowań terrorystycznych. Upadek stabilności i bezpieczeństwa szedł w parze ze wzrostem znaczenia Al-Kaidy, co kilkanaście lat później pozwoliło z łatwością rozwinąć się w Iraku dżihadystom z ISIS.

Libia pod rządami Muammara Kaddafiego była skorumpowaną dyktaturą, w której znaczna część ludności nie miała możliwości realizacji swoich podstawowych potrzeb. O ekscesach nieżyjącego już dyktatora rozpisywały się media na całym świecie. W błędzie jest jednak ten, kto sądzi, że wraz z jego odejściem Libijczycy obrali kurs na demokrację, a państwo się rozwija, dając obywatelom możliwości, o jakich wcześniej mogli tylko marzyć. Stało się odwrotnie – kraj pogrążył się w trwającej do dzisiaj wojnie domowej. Odrodziły się w nim niewidziane od dekad organizacje dżihadystyczne. Swoje oddziały uformowało w Libii Państwo Islamskie. Libia nie zdołała wreszcie powołać stabilnego rządu, bo kraj jest obecnie podzielony pomiędzy dwa ośrodki władzy, a każdy z nich uznawany jest na arenie międzynarodowej przynajmniej przez część czołowych graczy. Libia stała się wreszcie głównym szlakiem przerzutowym tzw. uchodźców w kierunku Europy. Za pośrednictwem działających tam siatek przerzutowych każdego miesiąca na Stary Kontynent trafia do kilku tysięcy migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Na rządy Kaddafiego nie można patrzeć bezkrytycznie, lecz jako przywódca zdołał on *de facto* zainicjować libijski proces narodotwórczy i utrzymać jedność państwa. Nie oznacza to, że w Libii dominowały sprawiedliwość i prawa człowieka, ale również Arabia Saudyjska i państwa Zatoki Perskiej, wspierane wymiernie przez Stany Zjednoczone, takich praw swoim obywatelom nie oferują. Ostatecznym rezultatem przemian, które określamy mianem Arabskiej Wiosny, jest to, że mieszkańcy państw, przez które przetoczyły się gwałtowne protesty, są dziś w znacznie gorszej

sytuacji niż przed 2011 r. Libia jest dziś idealnym przykładem państwa upadłego. Bez zaangażowania USA i koordynacji działań wojsk Francji oraz Wielkiej Brytanii Kaddafi prawdopodobnie zdołałby utrzymać się u władzy. Libia daleka byłaby od demokracji, ale jest wysoce prawdopodobne, że byłaby państwem stabilnym. Dziś nie funkcjonują w niej ani demokracja, ani inne rządy prawa, a zamiast tego stała się wylęgarnią terroryzmu i przestrzenią do prowadzenia wojen zastępczych pomiędzy światowymi i regionalnymi potęgami.

Dalsze przykłady można mnożyć. Po 20 latach amerykańscy żołnierze opuszczają Afganistan. Jakie były efekty tej interwencji? Poza zrujnowanym państwem i śmiercią niezliczonej liczby cywilów państwo to ostatecznie wydaje się wracać do punktu wyjścia. Obaleni przez amerykańskie wojska talibowie kontrolują obecnie niemal całe państwo. Finalnie dla wszystkich państw zaangażowanych w tym rejonie świata jasne jest, że do władzy wracają talibowie. Stąd zresztą wizyta delegacji Talibanu w Chinach czy Iranie. Państwa te wydają się działać metodą ruchów wyprzedzających. Ostatecznie więc talibowie nie tylko powrócili do władzy, lecz także będą zapewne partnerami dla strategicznych rywali Stanów Zjednoczonych.

Syria po trwającej już ponad 10 lat krwawej wojnie jest państwem, które cofnęło się w rozwoju o kilka dekad. Setki tysięcy osób zostały pozbawione życia, a miliony całego swojego dobytku. Cała polityka Stanów Zjednoczonych oparta na dążeniu do usunięcia Baszara al-Assada zakończyła się klęską, a jego pozycja jest dziś właściwie niepodważalna. Assad nie tylko zdołał utrzymać się u władzy, ale też sprawił, że dziś wizerunek Stanów Zjednoczonych w Syrii jest najgorszy w najnowszej historii. Regularnie media obiegają zdjęcia amerykańskich konwojów wojskowych, które są atakowane kamieniami przez Syryjczyków. Równie często mieszkańcy poszczególnych wiosek blokują drogi i uniemożliwiają wjazd amerykańskich żołnierzy do swoich miejscowości.

Syria i Irak w drugiej dekadzie XXI w. stały się swoistym przyczółkiem dżihadystów, a słabość centralnej administracji i wojska spowodowana wieloletnimi konfliktami wewnętrznymi, które były sprowokowane czy podsycane przez USA, ułatwiła eksport terrorystów nie tylko do innych państw regionu, lecz także do Europy. Ostatecznym efektem działań wspierających tzw. Wolną Armię Syryjską, zapoczątkowanych niedługo po jej utworzeniu, oraz agresji na Irak w 2003 r. było powstanie Państwa Islamskiego, największej i najgroźniejszej w dziejach islamskiej organizacji terrorystycznej. Stworzyło to ogromne zagrożenie dla bezpieczeństwa regionalnego i globalnego, ułatwiło rozprzestrzenienie się terroryzmu po niemal całym globie i przemodelowało cały Bliski Wschód.

Już od momentu powstania pierwszych zbrojnych organizacji dążących do obalenia Assada i zmiany Syrii z państwa świeckiego na oparte w całości na prawie koranicznym amerykańskie służby szkoliły, dozbrajały i finansowały ich działania. Przez granicę z Turcją i Jordanią CIA przekazywała rebeliantom nie tylko sprzęt łączności, medykamenty i żywność, lecz także broń i amunicję, w tym nowoczesną kierowaną laserowo broń przeciwpancerną. Amerykanie ponadto przymykali oko na wsparcie udzielane rebeliantom przez Ankarę, Rijad czy Dohę. Ostatecznie znaczna część dostarczonego sprzętu trafiła do grup terrorystycznych, które uzyskały go albo po pokonaniu wspieranych przez USA ugrupowań, albo po tym, jak te

się do nich przyłączyły. Późniejsze zdjęcia i nagrania przedstawiające dżihadystów z Hayat Tahrir al-Sham (wcześniej Jabhat al-Nusra) czy z Państwa Islamskiego wykorzystujących nowoczesną amerykańską broń nie oznaczały bynajmniej, że otrzymali ją bezpośrednio od Stanów Zjednoczonych. Będąc sprawiedliwym, należy otwarcie przyznać, że brak jest jakichkolwiek dowodów na bezpośrednie wsparcie udzielane tym ugrupowaniom przez USA, ale faktem jest, że wiele organizacji, które takie zaopatrzenie otrzymało, w późniejszym czasie dołączyło do grup uznawanych przez USA za terrorystyczne. Zresztą należy też przyznać, że znaczna część dotowanych przez USA organizacji w niewielkim stopniu różniła się od dżihadystów z Państwa Islamskiego. Członkowie wspieranych przez USA ugrupowań byli wielokrotnie oskarżani nie tylko o wymuszenia, kradzieże i morderstwa, lecz także o zbrodnie wojenne, czystki etniczne i dokonywanie egzekucji.

≡ Cele nie zostały osiągnięte, ale czy zostały sprecyzowane?

Jeżeli efektem amerykańskiej polityki nie jest, jak już ustaliliśmy, większa stabilizacja regionu, to może przynajmniej jego mieszkańcy cieszą się większą wolnością i demokracją oraz korzyściami płynącymi z gospodarki rynkowej? W tym przypadku odpowiedź też musi być negatywna. Żadne przemiany polityczne i ustrojowe wspieranej przez USA tzw. Arabskiej Wiosny nie utrzymały się do dnia dzisiejszego. Krótki epizod przygody Egiptu z demokracją zakończył się przejęciem władzy w państwie przez islamistów z Bractwa Muzułmańskiego. Zresztą rządy Bractwa były wyjątkowo krótkie, bo już po niecałych dwóch latach prezydent Mursi został obalony przez armię, która do dziś dzierży władzę autorytarną w Egipcie. Wspomniane wcześniej Libia i Syria pogrążyły się w krwawych wojnach domowych. Nawet Tunezja, która brana była na sztandary jako idealny przykład przejścia od autorytaryzmu do demokracji, po 10 latach zakończyła swój romans z tym ustrojem. Z ustrojem, który – dodajmy – był wielce nieskuteczny. W ciągu 10 lat kolejne demokratyczne rządy nie były w stanie przezwyciężyć problemów w postaci bezrobocia, kryzysu gospodarczego i pauperyzacji. Nic dziwnego, że finalnie rozdrobniona klasa polityczna została zastąpiona rządami prezydenta, który – przy poparciu społecznym – sięgnął po pełnię władzy.

Ostatecznym efektem działań USA obliczonych na wspieranie demokratyzacji państw bliskowschodnich było albo umocnienie władzy reżimów autorytarnych, albo ponowne przejęcie władzy przez autokratów po krótkotrwałych rządach quasi-demokratycznych. W dalszej kolejności problem masowego napływu uchodźców do Europy, rozprzestrzenienie się islamskiego terroryzmu i wzmocnienie ogromnych kryzysów ekonomicznych i humanitarnych, które dotknęły mieszkańców tych państw.

Być może jednak efektem polityki Waszyngtonu było przynajmniej osłabienie wpływów w regionie jego głównych rywali w postaci Rosji, Iranu i Chin? I w tym wypadku amerykańscy decydenci muszą być wielce rozczarowani, bo po dwudziestu latach to pozycja Stanów Zjednoczonych jest wyraźnie słabsza. Poprzez swoją interwencjonistyczną politykę Amerykanie stracili w oczach bliskowschodnich

społeczności, a próba narzucenia siłą własnego systemu wartości zakończyła się odrzuceniem Stanów Zjednoczonych jako takich. Pozycja Iranu w Iraku czy państwach Lewantu jest dziś znacząco silniejsza niż w 2001 r. Po wojnie irackiej, na skutek zdobycia władzy w Bagdadzie przez szyitów, pozycja Iranu w tym kraju się wzmocniła – Irak stanowi okresowo wręcz marionetkowe państwo pod kontrolą Teheranu. Syria, będąc pod presją wspieranych przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników rebeliantów, musiała skorzystać ze wsparcia irańskiego, co spowodowało uzależnienie się Damaszku od irańskiej protekcji. Przed 2014 r., a więc przed zajęciem niemal połowy Iraku przez bojowników Państwa Islamskiego, amerykańscy decydenci wskazywali na Iran jako państwo stojące za destabilizacją regionu, a prezydent Bush zaliczył ten kraj do tzw. osi zła. Już kilka lat później Waszyngton był zmuszony do współpracy z Teheranem w celu wspólnego pokonania salafitów al-Baghdadiego.

Przed 2012 r., a więc przed rozpoczęciem się wojny w Syrii, pozycja Rosji na Bliskim Wschodzie była bardzo ograniczona. Moskwa posiadała co prawda stałą bazę morską w Syrii, ale możliwości wpływania na politykę regionu były właściwie zerowe. W 2015 r. Władimir Putin zdecydował się na całkowicie nieprzewidywalny krok w postaci interwencji zbrojnej w celu wsparcia chwiejącej się władzy Bashara al-Assada. Efektem było nie tylko uzależnienie go od siebie, ale rozszerzenie swoich wpływów na cały region. Obecnie niemal żadna znacząca decyzja wobec regionu nie może być podejmowana bez konsultacji czy aprobaty ze strony Moskwy. Rosjanie zdołali zbudować trwałe relacje z Kairem, Ankarą i Tel Avivem – stolicami, które w przeszłości były ściśle związane ze Stanami Zjednoczonymi. Również Chiny poprzez swoją pragmatyczną politykę są w stanie podpisywać kolejne intratne kontrakty nie tylko z państwami będącymi rywalami USA, jak Iran i Syria, lecz także z jego naturalnymi sojusznikami w postaci Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

W takim razie być może należy ograniczyć się do stwierdzenia, że celem interwencji Stanów Zjednoczonych była anihilacja ugrupowań terrorystycznych? Abstrahując od tego, że ugrupowania te powstały na skutek wcześniejszej polityki USA wobec Bliskiego Wschodu, i w tym wypadku ocena działań Waszyngtonu będzie nie po myśli amerykańskich decydentów. Al-Kaida mimo rozbicia jej oddziałów i zabicia Osamy bin Ladena nie została unicestwiona i przez ostatnie lata odbudowywała swój potencjał. Wiele wskazuje na to, że ponownie operuje w górach Afganistanu, korzystając z utrwalonego sojuszu z talibami. Zresztą pozycja tej organizacji jest wielokrotnie silniejsza niż przed 2001 r. Obecnie orbitują wokół niej dziesiątki mniejszych i większych organizacji dżihadystycznych. Al-Kaida posiada swoje odziały lub zależne od siebie organizacje na obszarze od Algierii po Pakistan i od Afganistanu po Jemen. Ograniczenie skali i liczby zamachów terrorystycznych w państwach zachodnich wynika wyłącznie ze zmiany taktyki tej organizacji i skupienia się na walce z wrogami wewnętrznymi.

Podobnie Państwo Islamskie, mimo upadku w wymiarze terytorialnym i śmierci swojego twórcy oraz lidera, nie zostało ostatecznie zniszczone i odbudowuje swój potencjał na niedostępnych obszarach pustynnych Syrii i Iraku. Z każdym miesiącem liczba zamachów i ataków na pozycje armii tych państw się zwiększa i tylko kwestią czasu jest przejęcie przez dżihadystów kontroli nad konkretnym,

dającym się wskazać na mapach obszarem w tych krajach. USA i ich sojusznicy poprzez swoją interwencjonistyczną politykę w wymiarze krótkotrwałym zdołały wymiernie osłabić potencjał operacyjny islamskich organizacji terrorystycznych, ale długodystansowo doprowadziły do wzmocnienia islamskiego fanatyzmu i destabilizacji obszaru od Pakistanu, przez Bliski Wschód i Afrykę Północną, po część Afryki Subsaharyjskiej.

W istocie interwencjonistyczna polityka Stanów Zjednoczonych, szczególnie wobec Syrii, była czynnikiem tworzącym problem terroryzmu sunnickiego. Przed 2011 r. problem terroryzmu wywodzącego się z Syrii nie istniał, a po atakach z 2001 r. wywiad syryjski współpracował z CIA i przekazywał Amerykanom informacje wywiadowcze na temat Al-Kaidy. Syryjskie służby kontrolowały sytuację w kraju i przed 2011 r. Syria była jednym z bezpieczniejszych państw na Bliskim Wschodzie, a zamachy terrorystyczne, których doświadczał sąsiedni Irak, były dla Syryjczyków czymś całkowicie nieznanym. Dopiero dążenie do odsunięcia Assada od władzy poprzez wsparcie dla tzw. umiarkowanych rebeliantów zmieniło Syrię ze stabilnego państwa w wylęgarnię światowego dżihadyzmu. Z drugiej strony działania Waszyngtonu ostatecznie doprowadziły również do wzmocnienia pozycji Hezbollahu, szyickiej organizacji uważanej w USA za terrorystyczną. Wobec dezercji i rozbicia własnych oddziałów Assad musiał oprzeć swoje wysiłki zbrojne właśnie na żołnierzach Hezbollahu i innych szyickich milicjach sponsorowanych przez Iran. W efekcie Hezbollah stacjonuje dziś w pobliżu Wzgórz Golan i stanowi realne zagrożenie dla bezpieczeństwa Izraela, o czym państwo to mogłoby się przekonać w razie wybuchu konfliktu podobnego do tego z 2006 r.

≡ POLITYKA PODWÓJNYCH STANDARDÓW

Przesadne wydają się twierdzenia, że powstanie czy też wzrost znaczenia różnych dżihadystycznych ugrupowań na Bliskim Wschodzie były zaplanowane przez liderów USA. Polityka Stanów Zjednoczonych wobec regionu miała na celu systemowe działanie w celu utrzymania politycznego, gospodarczego i strategicznego związku regionu z Zachodem, co wykluczało jakąkolwiek możliwość odbudowy suwerenności narodowej w stylu Nasera z lat 60. lub irańskiej rewolucji z 1979 r., która wynikła z braku zgody na integrację z Zachodem. Destabilizacja mogła być celem, tylko jeśli jej efektem byłoby uzależnienie regionu od Zachodu. Wydaje się jednak, że ostateczne negatywne efekty polityki USA są najzwyczajniejszymi wypadkami przy pracy oraz skutkiem ślepej wiary w dziejową misję demokratyzacji regionu.

Co znamienne, polityka USA wobec regionu opierała się na dość arbitralnym podejściu do określonych reżimów. W tym samym momencie, gdy amerykańscy politycy grzmieli przeciwko realnym lub też rzekomym zbrodniom dokonywanym w Syrii na tzw. umiarkowanych rebeliantach (którzy w istocie nigdy nie istnieli), ci sami politycy zachowywali zgodne milczenie w stosunku do wydarzeń w Bahrajnie, gdzie saudyjskie czołgi krwawo stłumiły masowe protesty szyickiej większości. Barack Obama nie zastosował wobec króla Bahrajnu Hamada ibn Isa al-Chalifa takich samych reguł jak wcześniej wobec Muammara Kaddafiego,

Baszara al-Assada czy Hosniego Mubaraka i nie wezwał go do ustąpienia w związku ze złamaniem praw człowieka. Obama nie zagroził również nałożeniem sankcji na Bahrajn czy wspierające go Arabię Saudyjską i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Zamiast tego raptem kilka tygodni po krwawym stłumieniu buntu szyitów Bahrajn odwiedzili znaczący członkowie administracji USA, sekretarz obrony Robert Gates oraz doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Tom Donilon, którzy rozmawiali z królem na temat wspólnych wysiłków w celu odsunięcia Assada od władzy.

Wydarzenia z tego wyspiarskiego państwa podporządkowanego Arabii Saudyjskiej były niezgodne z wizją rzeczywistości, którą chciała widzieć i którą prezentowała swoim obywatelom amerykańska administracja. Sojusznikom Waszyngtonu wolno było wyraźnie więcej. Podobnie zresztą Amerykanie przez długie lata milczeli wobec zbrodni wojennych, a takimi przecież były umyślne naloty na cele cywilne, dokonywane przez saudyjskie wojsko w Jemenie. Dla USA Arabia Saudyjska jest jednym z najważniejszych polityczno-strategicznych sojuszników na Bliskim Wschodzie oraz najważniejszym partnerem w dziedzinie energetyki i dostaw ropy naftowej. Ponadto Rijad traktowany jest przez Waszyngton jako główna przeciwwaga dla hegemonicznych dążeń Teheranu w regionie. Gdy więc na fali wzrastających protestów szyickiej większości w Bahrajnie do tego państwa wkroczyło ponad 1000 saudyjskich żołnierzy i około 5000 emirackich policjantów w celu ich stłumienia, próżno było szukać potępienia ze strony USA. We wspólnym interesie Waszyngtonu i Rijadu było zachowanie status quo w regionie i niedopuszczenie do przejęcia władzy w Bahrajnie przez szyitów, co związałoby to państwo z Iranem. W pewien sposób ten brak reakcji na działania sojuszników USA w regionie należy łączyć z kontraktami wojskowymi podpisanymi niedługo później. We wrześniu ogłoszono sprzedaż Bahrajnowi sprzętu wojskowego o wartości 53 mln dolarów, a pod koniec grudnia 2011 r. ogłoszono podpisanie kontraktu z Rijadem na sprzedaż i modernizację samolotów wojskowych o wartości około 30 miliardów dolarów.

Ostatecznie amerykańskie wspieranie dżihadystycznych ugrupowań w Syrii poprzez dostawy broni oraz finansowanie, a także przymykanie oka na takie same działania prowadzone przez Turcję, Katar czy Arabię Saudyjską doprowadziło do otwarcia puszki Pandory. To prawda, że wzrost znaczenia dżihadystycznych ugrupowań oraz destabilizacja Bliskiego Wschodu wpłynęły negatywnie na interesy głównych rywali USA, a więc Iranu, Rosji oraz Chin, wymiernie wzmacniając bezpieczeństwo Izraela (który nie musi obawiać się przez następne lata konfliktu z Syrią). Z drugiej strony doprowadziło do osłabienia stabilności głównych sojuszników Waszyngtonu w regionie. Ostatecznie polityka siłowej demokratyzacji i obalania niesprzyjających USA autorytarnych reżimów trwale zmieniła Bliski Wschód, który jeszcze przez długie lata nie będzie w stanie wkroczyć ponownie w okres stabilizacji.

Polityka Stanów Zjednoczonych wobec Bliskiego Wschodu w wykonaniu ostatnich prezydentów tego mocarstwa wymaga dość gorzkiej oceny. Amerykanom nie udało się zrealizować swoich głównych założeń, stojących za często interwencjonistycznymi działaniami, wobec obszaru MENA (*Middle East and North Africa*). Demokratyzacja i stabilizacja polityczno-ekonomiczna Bliskiego Wschodu okazały się całkowitą fikcją. Chęć siłowego wprowadzenia w państwach regionu

ustroju demokratycznego zakończyła się klęską i kompromitacją. Żadne z państw, przez które przetoczyła się rewolta Arabskiej Wiosny, nie zmieniło trwale swojego ustroju, a Egipt i Tunezja wróciły do sprawdzonego wzorca rządów autorytarnych. Podobnie sytuacja ma się w kwestii unicestwienia zagrożenia ze strony terroryzmu islamskiego. Po 20 latach od rozpoczęcia wojny z terroryzmem islamscy dżihadyści mają się wcale nie gorzej. Ostatecznym skutkiem wspieranej przez Waszyngton Arabskiej Wiosny było powstanie Państwa Islamskiego i upadek Syrii, Jemenu oraz Iraku, a także długotrwały konflikt zbrojny w tym ostatnim kraju.

Działania USA na Bliskim Wschodzie nie sprawiły, że region ten stał się bezpieczniejszy lub że zbliżył się do demokracji. Zasadne wydają się więc słowa Zbigniewa Brzezińskiego, który zrozumiał zależności pomiędzy interwencjonistyczną polityką USA a wzrostem zagrożenia terrorystycznego. „Demokrację można wspierać, ale nie można jej narzucać. Trzeba ją pielęgnować powoli, uwzględniając subtelne zróżnicowanie historycznych procesów i zależności [...] terroryści nie rodzą się terrorystami, ale są kształtowani przez odpowiednie warunki, a w Iraku tym warunkom pomogły ukształtować się Stany Zjednoczone" – stwierdził Brzeziński[2].

USA, dążąc do rozwiązania jednych konfliktów na Bliskim Wschodzie, kreowały nowe. Upowszechnianie zasad demokratycznych opierało się na wykorzystywaniu istniejących i tworzeniu nowych podziałów w bliskowschodnich państwach. Ostatecznym celem było zabezpieczenie własnych interesów w regionie, co jak się wydaje, również nie zostało w pełni zrealizowane i omawiany region jest dziś generalnie dużo mniej przychylny Waszyngtonowi niż przed 2001 r. Próba siłowego narzucania modelu demokratycznego poprzez operacje militarne i arbitralne wspieranie określonych sił doprowadziły do narastania spirali przemocy, której konsekwencją były upadek części państw i rozpowszechnienie się radykalnych ideologii.

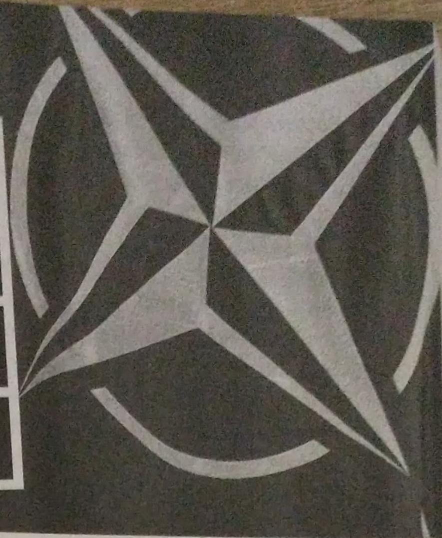
IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

> ***Wszystkie antyliberalne siły łączą się przeciw wszystkiemu, co liberalne.***
>
> **ARTHUR MOELLER VAN DEN BRUCK**

[2] Z. Brzeziński, *USA mają pełnię sił, nie mają pełni mądrości*, „Dziennik Polska-Europa-Świat" 2006, 19 kwietnia, nr 16.

Adam Szabelak

Ekspansja wpływów USA na obszarze postradzieckim: rosyjska perspektywa



Fot. NATO

Polityka USA wobec Rosji od 30 lat ignoruje we wzajemnych relacjach takie kluczowe czynniki, jak historia, kultura, geografia i przede wszystkim wymogi bezpieczeństwa – w ten sposób widzi to Moskwa. Z jej punktu widzenia od trzech dekad Waszyngton prowadzi de facto jednostronną, nierealistyczną politykę hegemona, którego arogancka postawa wielokrotnie prowadziła do konfliktów, w tym konfliktów zbrojnych.

Stany Zjednoczone cały czas odmawiają zaakceptowania Rosji taką, jaką jest. Świadczą o tym wciąż ponawiane inicjatywy reform i przebudowy jej systemu politycznego. Ponadto USA nadal twierdzą, że NATO jest jedyną legalną organizacją bezpieczeństwa dla Europy i Eurazji oraz podejmują próby rozszerzenia euroatlantyckiej architektury bezpieczeństwa na eurazjatycką przestrzeń otaczającą Rosję, co w oczach Moskwy jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego. Nie bez powodu Władimir Putin określił upadek ZSRR mianem największej „katastrofy geopolitycznej XX w." Dla Rosji upadek imperium wiązał się nie tylko z obniżeniem statusu i prestiżu, lecz także z utratą strategicznej głębi i poczucia bezpieczeństwa. Nasz wschodni sąsiad oczywiście nie jest „świętoszkiem", jednak celem poniższego artykułu jest ukazanie, zazwyczaj przemilczanej, rosyjskiej perspektywy na wydarzenia polityki międzynarodowej. Bez wzajemnego zrozumienia nigdy nie uda się osiągnąć trwałego pokoju w naszym regionie.

Relacje amerykańsko-rosyjskie zdeterminowane są przez podstawowe założenia przyjęte przez oba państwa. Rosjanie postrzegają swój kraj jako potęgę, jeśli nie globalną, to przynajmniej regionalną z pewnymi możliwościami punktowego oddziaływania na całym globie (Wenezuela, Sudan, Republika Środkowoafrykańska), w efekcie mają prawo do własnej strefy wpływów. Nie akceptują amerykańskiego prymatu i chcą przyspieszyć przejście od świata jednobiegunowego do wielobiegunowego, ponadto odrzucają fasadę demokracji liberalnej jako narzędzie kontrolowanej przez USA zmiany reżimu. Stany Zjednoczone z kolei po zakończeniu

zimnej wojny cieszyły niezaprzeczalnym (choć chwilowym) prymatem w świecie jednobiegunowym. Ta hegemoniczna pozycja wiązała się z narzucaniem swojego „stylu życia"– demokracji liberalnej – podmiotom znajdującym się w amerykańskiej strefie wpływów. Upadek radzieckiego imperium znacząco osłabił zdolności projekcji siły Rosji, jednak nie pozbawił jej całkiem potencjału. W efekcie Rosja stała się zbyt słaba, aby walczyć o światowy prymat, ale zbyt silna, by pozwolić sobie dowolnie dyktować warunki gry. „Olbrzymie bogactwa naturalne i geograficzna skala Syberii, populacja przewyższająca liczebność któregokolwiek z europejskich narodów, imponująca armia i strategiczna autonomia zabezpieczona bronią nuklearną – łączne zdolności Rosji są wystarczające, aby domagać się poszanowania jej interesów i wartości w ramach dowolnego porządku międzynarodowego" – zauważył, niebezpodstawnie, dyrektor programowy Klubu Dyskusyjnego „Wałdaj" (intelektualnego zaplecza Kremla) Timofiej Bordaczow na łamach periodyku „Rossija w globalnoj politikie". Mimo wszystko Amerykanie dążą do wciągnięcia tego kraju we własną strefę wpływów, co ma, mimo całej potęgi USA, nikłe szanse powodzenia.

Wydaje się, że w Waszyngtonie wciąż panuje szeroki konsensus, wedle którego współczesna Rosja jest godną następczynią „imperium zła" – inwazja na Gruzję, aneksja części terytorium Ukrainy, wtrącanie się w amerykańskie wybory w 2016 r. i w wybory sojuszników USA w Europie, zerwanie traktatu INF, poparcie dla niedemokratycznych reżimów Baszara al-Assada w Syrii i Nicolása Maduro w Wenezueli oraz szereg głośnych akcji wywiadowczych poza swoim terytorium – to wszystko wpływa na negatywny obraz Rosji wśród amerykańskich decydentów.

≡ RELACJE ROSYJSKO-AMERYKAŃSKIE PO ZAKOŃCZENIU ZIMNEJ WOJNY

W styczniu 1991 r. ówczesny prezydent USA, George H.W. Bush, przemawiając przed Kongresem, wyraził pragnienie „dalszego budowania trwałych podstaw" współpracy z Rosją. Był to moment pauzy w historii, pełen optymizmu co do przyszłości. W krótkim czasie udało się wynegocjować traktat o zredukowaniu strategicznej broni jądrowej (START II), podpisano Traktat o siłach konwencjonalnych w Europie (CFE), uzgodniono warunki zjednoczenia Niemiec i ich dołączenia do NATO, zawarto porozumienie ws. karty bezpieczeństwa i stabilności w Europie po zimnej wojnie. Wspólnie zorganizowano także dużą konferencję nt. Bliskiego Wschodu w Madrycie, skutecznie poradzono sobie z agresją Iraku na Kuwejt. Jednak ten duch partnerstwa nie trwał długo. Rozpad ZSRR doprowadził Rosję do chaosu, a w efekcie do tymczasowego wycofania się z aktywnej polityki międzynarodowej. W takim układzie Kreml nie mógł stanowić dla USA równorzędnego partnera w dziele budowy nowego ładu. Tę słabość wyczuła administracja kolejnego prezydenta USA. Bill Clinton, przemawiając w Vancouver w kwietniu 1993 r. podczas szczytu z ówczesnym prezydentem Rosji, Borysem Jelcynem, stwierdził: „Panie prezydencie, nasz naród nie będzie stał na uboczu, jeśli chodzi o demokrację i Rosję. [...] Jesteśmy z rosyjską demokracją, jesteśmy z rosyjskimi reformami, jesteśmy z rosyjskimi rynkami. Popieramy wolność sumienia, słowa i religii. Wspieramy szacunek dla mniejszości etnicznych. Aktywnie wspieramy reformy i reformatorów oraz ciebie

w Rosji". Reformy jednak Rosja ostatecznie odrzuciła. Na przełomie września i października doszło do gwałtownych starć na ulicach Moskwy, a po ich zakończeniu Jelcynowi udało się przeforsować nową konstytucję, która w wyraźny sposób wzmocniła pozycję prezydenta. Jesienią rosyjscy decydenci zdecydowanie opowiedzieli się przeciwko dalszemu rozszerzaniu NATO, co jawiło się jako główny filar polityki USA w Europie. Zresztą już w 1990 r. dyplomaci ze Stanów Zjednoczonych (oraz przedstawiciele Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii) mieli udzielić podczas negocjacji nt. zjednoczenia Niemiec sowieckiemu przywództwu gwarancje, że NATO nie będzie rozszerzało się na wschód. Mimo to w 1999 r. do Sojuszu przyjęto Polskę, Węgry i Czechy, a w 2004 r. Bułgarię, państwa bałtyckie, Rumunię, Słowację i Słowenię.

W 1994 r. Kreml rozpoczął kampanię militarną przeciwko separatystom w Czeczenii i doszło do eskalacji napięcia między Rosją a Stanami Zjednoczonymi w związku z groźbą nalotów NATO na bośniackich Serbów w Sarajewie, co ostatecznie doprowadziło do kryzysu latem 1999 r. podczas kampanii w Kosowie, rozpoczętej przez USA bez mandatu Rady Bezpieczeństwa ONZ, zablokowanego przez rosyjskie weto. Takie postępowanie Waszyngtonu odebrane zostało w Moskwie jako przejaw jednostronnego działania bez poszanowania dla prawa międzynarodowego. Rosyjscy komentatorzy zwracali wtedy uwagę na ryzyko podobnej kampanii USA w Czeczenii, usprawiedliwianej jako interwencja humanitarna. Obawy te zostały spotęgowane, gdy w Stanach Zjednoczonych odezwały się głosy określające sytuację w Czeczenii jako niewiele różniącą się od Kosowa. Ponadto amerykańskie doradztwo w zakresie reform gospodarczych nie przynosiło spodziewanych rezultatów i zostało skompromitowane po kryzysie finansowym 1998 r., który zmusił Rosję do dewaluacji rubla i ogłoszenia niewypłacalności długu państwowego. Stosunki między państwami oziębły po odejściu ze stanowiska prezydenta Borysa Jelcyna pod koniec 1999 r., przejęciu urzędu przez Władimira Putina i utracie perspektywy na ustanowienie w Rosji demokracji. Do chwilowego ocieplenia doszło po przejęciu władzy w USA przez George'a W. Busha i atakach z 11 września 2001 r. W listopadzie Bush i Putin ogłosili, że kraje „rozpoczęły nowe stosunki na miarę XXI w., oparte na przywiązaniu do wartości demokracji, wolnego rynku i praworządności".

W relacjach ponownie pojawiło się napięcie z powodu sprzeciwu Rosji wobec, dokonanej na podstawie dość wątłych przesłanek, inwazji na suwerenne państwo – Irak – w marcu 2003 r. i za sprawą zarzutów ze strony USA dotyczących zdrady przez Putina ideałów demokracji i praw człowieka. Kolejne zgrzyty we wzajemnych relacjach pojawiły się wraz z poparciem ze strony USA dla „kolorowych rewolucji" w Gruzji w 2003 r., na Ukrainie w 2004 r. i w Kirgistanie w 2005 r.

≡ KONIEC ZŁUDZEŃ

W 2007 r. na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium Władimir Putin rzucił wyraźne wyzwanie Zachodowi, stwierdzając, że „dla współczesnego świata model jednobiegunowy jest nie tylko nie do przyjęcia, jest wręcz nierealny", przede wszystkim dlatego, że „u jego podstaw nie ma i nie może być moralno-etycznej bazy współczesnej cywilizacji". „Jednostronne, często bezprawne działania nie rozwiązały żadnego

problemu. Co więcej, stały się generatorem nowych ludzkich tragedii i obszarów na
pięć" – stwierdził Putin, zauważając, że „dotarliśmy do tego decydującego momentu,
w którym powinniśmy się poważnie zastanowić nad całą konstrukcją globalnego bez
pieczeństwa". „Nawiasem mówiąc, nas, Rosję, ciągle uczą demokracji. Ale ci, którzy
nas uczą, sami jakoś nie za bardzo palą się do nauki" – zauważył. Ponadto rosyjski
przywódca poddał poważnej krytyce działania NATO, które nazwał „prowokacją ob
niżającą poziom wzajemnego zaufania". „Co się stało z zapewnieniami naszych za
chodnich partnerów po rozwiązaniu Układu Warszawskiego? Gdzie te deklaracje
dzisiaj?" – pytał Putin w odniesieniu do kolejnych rozszerzeń Sojuszu na wschód.
Rosyjski prezydent przytoczył także fragment wystąpienia sekretarza generalnego
NATO Manfreda Wörnera z Brukseli z 17 maja 1990 r., który powiedział wówczas
„Sam fakt, że jesteśmy gotowi nie rozmieszczać wojsk NATO poza granicami teryto
rium RFN, daje Związkowi Radzieckiemu twarde gwarancje bezpieczeństwa". Rok po
przemówieniu Putina na szczycie w Bukareszcie w kwietniu 2008 r. NATO odmówiło
zaoferowania Gruzji i Ukrainie szybkiej ścieżki do członkostwa, ale zapewniło oba
kraje, że ostatecznie przystąpią do Sojuszu, co jednak przyniosło skutek w postaci
rosyjskiej inwazji w 2008 r. na tę pierwszą. Wszystkie te działania postrzegane były
na Kremlu jako amerykański plan okrążenia Rosji i maksymalnego zmniejszenia jej
strefy wpływów – jednocześnie Kreml nie widział przecież problemów z uczestnic
twem wielu krajów poradzieckich w programie Partnerstwa dla Pokoju NATO. Rok
wcześniej wobec planów rozmieszczenia elementów tarczy antyrakietowej w Polsce
i Czechach Putin podjął decyzję o zawieszeniu uczestnictwa Rosji w traktacie CFE.

Prezydentura Baracka Obamy w USA i Dmitrija Miedwiediewa w Rosji (od
2008 r.) przyniosła kolejną próbę „resetu". Miedwiediew, pozornie bardziej zorien
towany na reformy, zakreślił ambitny plan zmian gospodarczych i politycznych.
W czasie tzw. rządów tandemowych, z Miedwiediewem jako prezydentem i Putinem
jako premierem, doszło do faktycznej poprawy stosunków między oboma krajami, co
doprowadziło do zawarcia traktatu Nowy START o redukcji zbrojeń strategicznych.
Odwilż ta zakończyła się w 2011 r. wraz z nadejściem Arabskiej Wiosny Ludów. Rosja
co prawda wyraziła zgodę w RB ONZ na interwencję w Libii, jednak Amerykanie
z sojusznikami przeprowadzili ją w sposób dla Kremla nieakceptowalny, wyraźnie
wspierając jedną ze stron konfliktu. Kolejnym punktem zapalnym stało się wsparcie
USA dla opozycji wobec prezydenta Syrii Baszara al-Assada, współpracującego z Ro-
sjanami. Gdy Putin ponownie został prezydentem w 2012 r., zmienił kurs polityki we-
wnętrznej, co wpłynęło na stosunki z USA. Wszelkie działania Miedwiediewa na rzecz
reformy rosyjskiego systemu zostały zaniechane. Ukrócono m.in. działalność organi-
zacji pozarządowych promujących „społeczeństwo obywatelskie" (będących de facto
narzędziem Zachodu służącym promocji zachodniego postrzegania świata w Rosji).

W 2014 r. doszło do wspieranej przez Zachód rewolucji na Ukrainie. To oczy-
wiście nie jedyny powód jej wybuchu, ale przypomnijmy – przybliżamy rosyjską
perspektywę. Asystent sekretarza stanu USA ds. Europy i Eurazji Victoria Nuland
przyznała, że w latach 1991–2014 rząd USA wydał na ukraińską demokrację 5 mld
dolarów. W początkowym okresie wspierano wszelkie formy działań, które dopro-
wadzały do uwidaczniania odrębności religijnej i narodowej Ukrainy od rosyjskiej
tradycji tego obszaru. Nie zważano więc, do kogo trafiają pieniądze, i w ten sposób

„dokarmiano" przeróżne organizacje nacjonalistyczne. Rosja nie mogła pozwolić, aby Ukraina dołączyła do zachodnich struktur, takich jak NATO – strategicznie postawiłoby ją to w bardzo niewygodnej pozycji, potencjalnie wrogie wojska znalazłyby się bowiem w odległości mniejszej niż 500 km od Moskwy. Ponadto utrata zdolności operacyjnych związanych z rozmieszczeniem sił zbrojnych na Krymie praktycznie zlikwidowałaby możliwości skutecznej projekcji siły na Morzu Czarnym, a co za tym idzie – na Morzu Śródziemnym, osłabiając w ten sposób także możliwości działania w rejonie Bliskiego Wschodu oraz Afryki. Dlatego też Rosja zareagowała agresją mającą na celu destabilizację Ukrainy (powstanie separatystycznych republik, „wojna hybrydowa") i przejęcie kontroli nad strategicznym półwyspem. Trzeba też podkreślić, że z punktu widzenia Kremla Ukraina i Białoruś mają kluczowe znaczenie nie tylko jako bufor przeciwko potencjalnym najeźdźcom, lecz także jako ważne szlaki tranzytowe dla rosyjskiego eksportu węglowodorów do Europy. Eksport ropy i gazu miał kluczowe znaczenie podczas całej prezydencji Putina, przyczyniając się do ożywienia gospodarczego kraju. Stanowił średnio około 60 proc. rosyjskiego eksportu od 2000 r., a w niektórych latach po 2006 r. ponad 50 proc. rocznych dochodów budżetu federalnego Rosji.

Rosyjska ingerencja w amerykańskie wybory w 2016 r. była elementem realizacji strategii rozbijania jedności i destabilizacji sytuacji wewnętrznej Zachodu, który ustawił się swoimi działaniami do 2011 r. na pozycjach jawnej wrogości wobec Moskwy. Nie, żeby Donald Trump miał być jakoś specjalnie prorosyjski – chodziło po prostu o maksymalną polaryzację społeczeństwa USA. Na tej samej zasadzie Rosjanie wspierali Marine Le Pen we Francji, kampanię propagującą Brexit czy, z pewną dozą prawdopodobieństwa, protesty przeciwko zmianom w sądownictwie w 2017 r. (w tym przypadku m.in. przez promowanie metodą astroturfingu odpowiednich wpisów w mediach społecznościowych). Wszystko to jest realizacją „dywersji ideologicznej", starej metody rosyjskiego wywiadu, polegającej na wykreowaniu maksymalnego chaosu, przygotowaniu sprzyjających sobie kadr (Rosjanie bardzo aktywnie działają wśród przeróżnych zachodnich grup okołokonserwatywnych) i ostatecznym przejęciu kontroli w kraju. Są to operacje specjalne rozpisane na dekady.

≡ NOWA ZIMNA WOJNA I CHIŃSKIE ZAGROŻENIE

Za prezydentury Donalda Trumpa stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Rosją przebiegały wedle cyklów koniunkturalnych wyznaczonych przez poprzedników. Na początku Trump wyrażał sporą aktywność w zakresie poprawy stosunków z Moskwą. Jednak Kongres zdecydował o przedłużeniu i pogłębieniu całego szeregu sankcji za ingerencję w wybory, agresję na Ukrainę czy łamanie praw człowieka, a w strategii bezpieczeństwa narodowego z 2017 r. określono Rosję jako jedno z głównych zagrożeń geopolitycznych dla USA. Sprzeciw Kongresu wobec zacieśniania więzi USA z Rosją nasilił się w następstwie szczytu Trump-Putin w Helsinkach w lipcu 2018 r., kiedy to Trump publicznie zakwestionował ustalenia wywiadu USA dotyczące ingerencji Rosji w wybory w 2016 r. Relacje

po raz kolejny osiągnęły dno, a niektórzy komentatorzy opisywali je nawet jako nową zimną wojnę, która przejawiała się m.in. sankcjami nakładanymi na Nord Stream II. Ponadto w 2019 r. doszło do wycofania się USA, a następnie Rosji z układu o całkowitej likwidacji pocisków rakietowych pośredniego zasięgu – INF.

Ostatnim atakiem na bezpośrednią rosyjską strefę wpływów i państwo kluczowe dla bezpieczeństwa Moskwy było wsparcie Zachodu dla protestów na Białorusi, które wybuchły w sierpniu 2020 r. To wsparcie dokonywało się przede wszystkim za pośrednictwem Polski – nie bez kozery były oficer GRU, ppłk Siergiej Kozłow stwierdził: „Jak Amerykanie działają przez kogoś we własnym interesie? Wysyłają Polaków”. Z naszego kraju operują popularne opozycyjne kanały na Telegramie „Nexta” i „Nexta Live”, z naszego kraju nadaje „Biełsat”, to w naszym kraju miał tworzyć się „rząd na uchodźstwie”. Wystarczy rzut oka na mapę, aby uświadomić sobie, jak demokratyzacja Białorusi (co oznaczałoby również otworzenie Zachodowi furtki w rozwijaniu tam swojego lobby i instytucji na rzecz „społeczeństwa obywatelskiego”) wpłynęłaby negatywnie na bezpieczeństwo Rosji. Z perspektywy Kremla poparcie Zachodu dla białoruskiej opozycji wpisało się po prostu w długą tradycję wspierania „kolorowych rewolucji” w krajach postsowieckich.

Wraz z ostatnią zmianą ekipy rządzącej w Białym Domu i wzięciem sterów władzy przez Joe Bidena nastąpiła jeszcze wyraźniejsza reorientacja na Pacyfik i rywalizację z Chińską Republiką Ludową – a w tym starciu USA potrzebuje Rosjan, jeśli nie po swojej stronie, to przynajmniej poza chińskim obozem. Przy czym, co należy wyraźnie zaznaczyć, potężne Chiny mogą być dla Rosji potencjalnie większym zagrożeniem niż Stany Zjednoczone, wszak są to państwa ze sobą graniczące, a nie oddzielone oceanem. Prawdopodobnie więc nastąpi w końcu ocieplenie stosunków rosyjsko-amerykańskich, oparte na wspólnych interesach, czego pierwszym zwiastunem jest decyzja o braku dalszych sankcji na budowę Nord Stream II, kosztem swoich sojuszników z Europy Środkowo-Wschodniej – co nie znaczy oczywiście, że USA nagle przestaną wspierać Polskę czy Ukrainę. Stanom potrzebne są kraje, które będą barierą dla dalszego rozwoju wpływów Rosji w regionie. W lutym 2021 r. przedłużono również traktat Nowy START.

Ociepleniu relacji sprzyja… słabość Rosji, która stanowi zagrożenie dla USA tylko dzięki statusowi mocarstwa nuklearnego, żaden kraj nie ma bowiem porównywalnego arsenału atomowego. Rosyjskie wydatki na obronę w odniesieniu do PKB są raczej porównywalne z wydatkami Francji i Wielkiej Brytanii niż USA. Oczywiście to, że większość pieniędzy trafia do rosyjskich producentów, zmienia w pewnym stopniu perspektywę, ale mimo wszystko rosyjska armia jest wciąż znacznie mniej dofinansowana niż amerykańska. W rzeczywistości rosyjskie zagrożenie dla bezpieczeństwa USA – poza domeną nuklearną – ma przede wszystkim charakter niemilitarny.

≡ PODSUMOWANIE

Rosja nie akceptuje amerykańskiego prymatu ani w swoim sąsiedztwie, ani w skali globalnej. Amerykanom przez ostatnie trzy dekady nie udało się zachęcić Rosji do uczestnictwa w systemie międzynarodowym pod przywództwem USA

Kreml nie przyjął poglądu, że porządek wewnętrzny powinien zostać oparty na liberalnych wartościach i normach, które Stany Zjednoczone próbują zaimplementować Rosji po upadku ZSRR – ta wyraźnie wyznacza własną ścieżkę, niezależną od wzorców płynących z Zachodu. I co najważniejsze – dystrybucja globalnej potęgi zmieniła się z jednobiegunowego świata skupionego wokół Stanów Zjednoczonych na bardziej rozproszoną konfigurację władzy. Krajobraz geopolityczny obejmuje obecnie także silne ośrodki w postaci Chin, Rosji, Iranu, Turcji czy Indii. W takim świecie unilateralizm Stanów Zjednoczonych stał się nie do utrzymania.

Rosyjska polityka zagraniczna dąży do realizacji trzech głównych, powiązanych ze sobą celów – zapewnienia bezpieczeństwa, stabilności wewnętrznej i dobrobytu gospodarczego. Brak skutecznej realizacji jednego wpływa na pozostałe, a z perspektywy Kremla Zachód uderza we wszystkie – rozszerzenie NATO jako jedynej legalnej organizacji bezpieczeństwa dla Europy i Eurazji jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego Rosji; promocja demokracji w Rosji i w państwach znajdujących się w jej sferze wpływów jest zagrożeniem dla stabilności wewnętrznej; zagrożeniem dla koniunktury gospodarczej są próby ograniczenia rosyjskiego wykorzystania energii jako narzędzia polityki zagranicznej i udziału Rosji w europejskim rynku energii, a także sankcje.

Dlatego też Rosja traktuje Zachód jako wroga, który dąży do jej całkowitego podporządkowania. Stąd jej operacje ofensywne (nie tylko militarne) skierowane w tym kierunku. Jednak obecnie, gdy mocarstw zdolnych do podważenia pozycji USA w wymiarze globalnym i regionalnym przybywa, rodzi się pytanie o nowy układ sił. Hegemonia USA jest już przeszłością, narasta rywalizacja na linii Pekin-Waszyngton, która zapewne zdominuje najbliższe dekady. W takiej sytuacji Rosja będzie potrzebna USA w celu przezwyciężenia potężnego azjatyckiego rywala. Trudno sobie jednak wyobrazić, żeby Rosjanie zajęli taką pozycję z „dobrego serca". Stany będą musiały więc poczynić poważne ustępstwa w celu pozyskania nowego sojusznika. Obecnie dzieje się to jedynie w sferze gospodarczej – jeśli chodzi o bezpieczeństwo fizyczne kraju zaobserwować można wzmożoną współpracę NATO i Ukrainy, co z pewnością zaowocuje konfliktami w przyszłości, a w obszarze stabilności wewnętrznej niedawno mieliśmy do czynienia ze wspieraną przez Zachód falą prodemokratycznych protestów w całej Rosji, do których doszło po otruciu Aleksieja Nawalnego. Przypuszczać można, że w pewnej chwili Biały Dom postanowi jednak zrezygnować z „mesjanistycznego" stosunku do Kremla, aby uzyskać wsparcie w rywalizacji z Chinami. To – siłą rzeczy w obliczu równoczesnego zbliżenia Niemiec i Francji z Rosją – wpłynie także na konieczność rewizji stosunku Polski do wschodniego sąsiada, jeżeli ta nie chce pracować jako amerykański „pionek", służący USA jako „karta przetargowa" w realizacji swoich interesów w regionie.

Szymon Wiśniewski

Od Ukrainy po Wenezuelę – amerykańsko-rosyjska rywalizacja na światowej szachownicy



Fot. World Economic Forum

Chociaż bipolarny świat odchodzi do lamusa, bezpośrednie starcie zbrojne Stanów Zjednoczonych i Rosji jawi się dziś jako niemożliwe, a w przestrzeni międzynarodowej dominować zaczyna wielobiegunowość, to spory Waszyngtonu i Moskwy wciąż budzą zainteresowanie całego świata. Mimo że konfrontacje tych dwóch państw nie mają już tak dużego znaczenia dla układu stosunków na międzynarodowej szachownicy, to pojawienie się nowych zarzewi konfliktu zawsze wywołuje ekspertów i analityków do tablicy, a społeczność międzynarodowa z zapartym tchem obserwuje bieg zdarzeń.

≡ Iluzja partnerstwa

Po kilkudziesięciu latach atmosfery wrogości i napięcia pierwsze oznaki normalizacji stosunków amerykańsko-rosyjskich możemy dostrzec jeszcze przed rozpadem ZSRR, tj. w 1985 r., który uważa się za początek pierestrojki, czyli procesu przekształceń ekonomicznych, społecznych i politycznych zakończonych upadkiem mocarstwa. W głoszonych przez Michaiła Gorbaczowa hasłach przebudowy, przyspieszenia i jawności USA widziały możliwość, po pierwsze, demokratyzacji i „ucywilizowania" Związku Radzieckiego na modłę Zachodu, po drugie, zerwania z dominującą w stosunkach bilateralnych problematyką bezpieczeństwa i zbrojeń, po trzecie natomiast – przerzucenia punktów ciężkości na zagadnienia związane z gospodarką, postępem naukowo-technicznym, a także polityką kulturalną. Chodziło o wciągnięcie ZSRR na pole politycznej gry, której zasady – teoretycznie – są kształtowane na gruncie praw człowieka oraz gospodarki rynkowej, natomiast w praktyce przez transnarodowe podmioty posiadające ogromny kapitał. Gry, o której Związek Radziecki nie miał bladego pojęcia. Mimo wszystko

na przełomie lat 80. i 90. XX w. Kreml podjął decyzję o odejściu od militarystycznego i konfrontacyjnego stosunku do Stanów Zjednoczonych na rzecz tzw. strategicznego partnerstwa[1].

Zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie na początku lat 90. XX w. dążyli do budowy tzw. partnerstwa strategicznego, jednocześnie mając inne cele budowy sojuszu. O ile rosyjskie elity po upadku ZSRR w ten sposób dążyły do odzyskania pozycji równorzędnej w stosunku do USA, a więc statusu supermocarstwa, o tyle politycy amerykańscy, uzyskując akceptację propozycji sojuszu na swoich warunkach, otrzymywali poparcie do odgrywania roli hegemona w świecie, a także wyrażali zgodę dla rosyjskich reform z pozycji suwerena. Fundamentalną zasadą polityki zagranicznej Rosji prowadzonej przez prezydenta Borysa Jelcyna i ministra spraw zagranicznych Andrieja Kozyriewa na początku lat 90. XX w. było budowanie tzw. partnerstwa strategicznego z USA – państwem traktowanym jako naturalny sojusznik w przestrzeni międzynarodowej. W dniach 31 stycznia–1 lutego 1992 r. Borys Jelcyn udał się w pierwszą wizytę do Stanów Zjednoczonych jako prezydent Federacji Rosyjskiej, podczas której spotkał się z ówczesnym prezydentem USA, Georgem H.W. Bushem. Strony porozumiały się w sprawie kontynuowania procesu redukcji strategicznej broni jądrowej i współpracy w zakresie nieproliferacji broni masowego rażenia. Na zakończenie spotkania głowy państw podpisały deklarację z Camp David, którą uważa się za dokument kończący okres zimnej wojny[2]. Państwa zapowiedziały, że nie postrzegają siebie jako potencjalnych przeciwników, a wzajemne relacje będą od tej pory charakteryzować się przyjaznym stosunkiem, szacunkiem oraz wspólnym zaangażowaniem na rzecz rozwoju demokracji oraz wolności gospodarczej. USA oraz Rosja będą pracować nad usunięciem wszelkich pozostałości wrogości z czasów zimnej wojny i aby to osiągnąć, podejmą kroki mające na celu zmniejszenie arsenałów strategicznych. Prezydenci zadeklarowali, że zrobią wszystko, co w ich mocy, by promować wzajemny dobrobyt narodów oraz rozszerzać relacje. „Otwartość i tolerancja powinny być znakiem rozpoznawczym stosunków między naszymi narodami" – czytamy w dokumencie[3]. Deklaracja z Camp David odnosiła się również do zagadnień gospodarczych – Jelcyn i Bush zapowiedzieli, że będą aktywnie promować wolny handel oraz współpracę gospodarczą między państwami. „Dołożymy wszelkich starań, aby wspierać wartości demokratyczne, praworządność, poszanowanie praw człowieka, w tym praw mniejszości, poszanowanie granic i pokojowe zmiany na całym świecie" – stwierdzili[4]. Ponadto dokument przewiduje, że państwa będą współpracować w celu zapobiegania rozprzestrzenianiu się broni masowego rażenia, zaawansowanej broni konwencjonalnej, dążyć do pokojowego rozstrzygania konfliktów regionalnych,

[1] M. Raś, *Ewolucja polityki zagranicznej Rosji wobec Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej w latach 1991–2001*, Warszawa 2005, s. 60.

[2] *Как закончилась холодная война: 25 лет Кэмп-Дэвидской декларации*, https://tass.ru/mezhdunarodnaya-panorama/3987084 (dostęp: 29.05.2021).

[3] *Text of the Camp David Declaration on New Relations by President Bush and Russian President Boris Yeltsin*, https://www.upi.com/Archives/1992/02/01/Text-of-the-Camp-David-Declaration-on-New-Relations/1093696920400/ (dostęp: 29.05.2021).

[4] Tamże.

przeciwdziałać terroryzmowi, powstrzymywać handel narkotykami oraz zapobiegać degradacji środowiska[5].

17 czerwca 1992 r. prezydenci George Bush oraz Borys Jelcyn podpisali kartę amerykańsko-rosyjskiej współpracy i partnerstwa. Dokument zakładał, że państwa będą dążyć do stworzenia solidnego fundamentu dwustronnych relacji, „ścisłego przestrzegania zasad i praktyk demokratycznych, w tym praworządności oraz poszanowania praw człowieka i podstawowych wolności, w tym praw osób należących do mniejszości". USA i Rosja zadeklarowały chęć „zbudowania demokratycznego świata, który jednoczy całą społeczność państw demokratycznych"[6]. Podczas negocjacji osiągnięto szereg innych porozumień, jak choćby zniesienie ograniczenia dotyczącego liczby pracowników placówek dyplomatycznych. Rosja ponadto otworzyła przestrzeń dla międzynarodowego ruchu lotniczego nad Syberią Wschodnią, a USA przekazały Rosji 4,5 mld dol. pomocy gospodarczej[7]. Jak zwraca uwagę Maciej Raś:

> nowa Rosja przyjęła rolę «globalnego sojusznika» USA w opozycji do dawnej radzieckiej postawy «globalnego przeciwnika» Stanów Zjednoczonych. Sprzymierzeńca chcącego wraz z Waszyngtonem ponosić odpowiedzialność za kształtowanie ładu międzynarodowego w takich dziedzinach jak rozbrojenie, nieproliferacja broni masowego rażenia, stworzenie mechanizmów rozstrzygania konfliktów regionalnych czy instytucjonalizacja ochrony praw mniejszości[8].

Warto zwrócić uwagę, że mimo deklaracji o otwarciu się na zachodnie wartości i zasady Rosja nie do końca miała sprecyzowany plan na odnalezienie się w nowej rzeczywistości geopolitycznej, czego przykładem jest historia przytaczana przez wieloletniego szefa rosyjskiej dyplomacji Jewgienija Primakowa. Na początku lat 90. były prezydent USA Richard Nixon poprosił ówczesnego ministra spraw zagranicznych Rosji, Andrieja Kozyriewa, by ten nakreślił mu, jak wyglądają interesy Rosji na arenie międzynarodowej. Dyplomata miał odpowiedzieć: „Wiesz... jednym z problemów Związku Radzieckiego było to, że byliśmy za bardzo zapatrzeni w interesy narodowe. Teraz myślimy bardziej o uniwersalnych wartościach. Ale jeśli masz jakieś pomysły, to możesz nam podpowiedzieć, jak powinny wyglądać nasze interesy narodowe, będę ci bardzo wdzięczny"[9].

Z biegiem czasu rosyjskich decydentów coraz bardziej zaczęła irytować postawa triumfalizmu związana ze zwycięstwem Stanów Zjednoczonych w zimnej wojnie. Zdali sobie oni sprawę, że model równorzędnej współpracy z USA w ówczesnych uwarunkowaniach na arenie międzynarodowej oraz w związku z utratą znacznej

---

[5] Tamże.

[6] *Хартия российско-американского партнерства и дружбы*, http://biblioclub.ru/index.php?page=dict&termin=869146 (dostęp: 05.06.2021).

[7] *Российско-американские отношения в 1992-1996 годах. Справка*, https://ria.ru/20110404/360851191.html (dostęp: 29.05.2021).

[8] M. Raś, *Ewolucja polityki zagranicznej...*, s. 60.

[9] *Теперь мы больше думаем об общечеловеческих ценностях*, https://ria.ru/20110403/360861715.html (dostęp: 29.05.2021).

części potencjału politycznego jest niemożliwy do zrealizowania. Kreml miał jednocześnie świadomość, że powodzenie podjętych na przełomie lat 80. i 90. reform jest w dużym stopniu uzależnione od wsparcia politycznego i gospodarczego Stanów Zjednoczonych, gdyż Waszyngton miał ogromny wpływ na funkcjonowanie takich instytucji jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju czy Światowa Organizacja Handlu[10]. Warto zauważyć, że postawa koncyliacyjna polityków rosyjskich doprowadziła do udzielenia kredytu na korzystnych warunkach przez MFW[11].

Moskwie zależało na zachęceniu amerykańskich i zachodnioeuropejskich przedsiębiorców do inwestowania na terytorium Federacji Rosyjskiej oraz na pozyskaniu amerykańskiego know-how, które mogłoby przyczynić się do wzrostu gospodarczego państwa. Bez wątpienia Amerykanie byli zainteresowani zasobami surowców energetycznych znajdującymi się w rosyjskiej glebie, w szczególności gazem ziemnym oraz ropą naftową. Odstraszały ich jednak regulacje prawne, które przewidywały dużą rolę państwa w sektorze paliwowo-energetycznym.

Jednym z istotnych problemów poruszanych podczas spotkań głów państw była kwestia broni jądrowej. Pojawienie się nowych państw na arenie międzynarodowej po rozpadzie ZSRR spowodowało, że broń jądrowa, która dotychczas znajdowała się na terytorium jednego państwa, dostała się w ręce niezależnych graczy: Białorusi, Kazachstanu oraz Ukrainy. W wyniku presji ze strony USA oraz Rosji 23 maja 1992 r. w Lizbonie podpisany został protokół do układu START I (dokument został zawarty 31 lipca 1991 r. przez USA oraz ZSRR, zakładający redukcję zbrojeń strategicznych), zgodnie z którym byłe republiki radzieckie posiadające na swym terytorium broń jądrową zadeklarowały przyłączenie się do układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej z 1968 r., a także pozbycie się broni jądrowej lub przekazanie jej pod rosyjską kontrolę[12]. 3 stycznia w Moskwie podpisany został drugi układ z serii START, który m.in. zabronił użycia rakiet balistycznych z wieloma głowicami.

Na początku kwietnia 1993 r. została powołana rosyjsko-amerykańska komisja ds. współpracy gospodarczej i technologicznej, zwana także Komisją Gora-Czernomyrdina. Zakres jej działalności skupił się wokół zagadnień związanych z rozwojem przedsiębiorczości, przemysłem obronnym, ochroną środowiska, nauką i techniką, ochroną zdrowia oraz rolnictwem. Funkcjonowała ona do lipca 1999 r. W wyniku prac komisji nastąpił zauważalny wzrost handlu dwustronnego i przekształcenie Stanów Zjednoczonych w największego inwestora zagranicznego w Rosji. Od 1992 do 1998 r. USA zainwestowały w rosyjską gospodarkę 7,7 mld dol., co stanowiło około jednej trzeciej inwestycji zagranicznych[13]. W dniach 9–10 lipca 1993 r. podczas szczytu G7 w Tokio, na który zaproszono Borysa Jelcyna, na wniosek prezydenta USA Billa Clintona ogłoszono wsparcie finansowe dla Rosji w formie pożyczki stabilizacyjnej w wysokości 6 mld dol.

---

[10] Tamże, s. 61.

[11] Tamże, s. 63.

[12] M. Raś, A. Włodkowska, *Bezpieczeństwo obszaru WNP*, [w:] R. Zięba, *Bezpieczeństwo międzynarodowe po zimnej wojnie*, Warszawa 2008, s. 333.

[13] *Российско-американская комиссия „Гор – Черномырдин". Справка*, https://ria.ru/20090706/176412710.html (dostęp: 11.06.2021).

ZMIERZCH HEGEMONA?

Na Kremlu stopniowo narastała atmosfera rozczarowania współpracą z Waszyngtonem. Było to spowodowane po pierwsze faktem, że Rosja podejmowała próby przystąpienia do zachodniej wspólnoty polityczno-gospodarczej wyłącznie na nie swoich warunkach. Wspólne spotkania głów państw, podpisywane deklaracje, wygłaszane oświadczenia – wszystko to było dokonywane z wykorzystaniem pojęć obcych rosyjskiej kulturze politycznej. Do tego dochodziło również pojawiające się coraz częściej przekonanie, że reguły gry nie są kształtowane wspólnie, lecz dyktowane przez Waszyngton. Rosja uważała, że USA wcale nie traktują jej jak równorzędnego partnera, zdolnego kolektywnie kształtować pozimnowojenny ład światowy, ale co najwyżej młodszego brata, który choć jest większy, to mniej inteligentny i nie do końca rozumie zasady panujące w transatlantyckiej rzeczywistości i w związku z tym wiele kwestii należy mu wytłumaczyć. Po drugie, mimo obiecywanego dobrobytu, jaki miały przynieść liberalne reformy gospodarcze, społeczeństwo rosyjskie doświadczyło czegoś zupełnie przeciwnego. Radykalne zmiany ekonomiczne doprowadziły do zawirowania i chaosu, które skutkowały pauperyzacją ludności. Nastąpił wzrost cen, Rosjanie masowo tracili pracę, nie otrzymywali na czas wypłat, szalała przestępczość.

≡ WALKA Z TERRORYZMEM

O ile lata 90. XX w. w stosunkach amerykańsko-rosyjskich upłynęły pod znakiem reform gospodarczych, liberalizacji handlu i nieproliferacji, to pierwsze lata nowego tysiąclecia przyniosły nowe problemy w bilateralnych stosunkach. Głównymi zagadnieniami podejmowanymi podczas rozmów między państwami były m.in. walka z terroryzmem, bezpieczeństwo energetyczne, dążenie do rozmieszczania na terytorium państw europejskich systemu obrony przeciwrakietowej, a także konflikty w Palestynie, Gruzji oraz na Ukrainie.

Rok 2000 zapoczątkował erę rządów Władimira Putina, którego nadrzędnym celem były przywrócenie mocarstwowej pozycji Rosji na arenie międzynarodowej oraz odbudowa znajdującej się w bardzo złym stanie gospodarki kraju. Natomiast w 2001 r. w Stanach Zjednoczonych do władzy doszedł George W. Bush, którego prezydentura skupiła się na zaangażowaniu na Bliskim Wschodzie. Pierwsze spotkanie prezydentów odbyło się w czerwcu 2001 r. w stolicy Słowenii, Lublanie. To właśnie wówczas przywódca USA „spojrzał w oczy" Władimirowi Putinowi, „poczuł jego duszę" i zobaczył w nim „osobę bezpośrednią i godną zaufania". Natomiast prezydent Rosji określił Busha jako „miłego towarzysza" i „zupełnie normalną osobę, która postrzega rzeczywistość w sposób realistyczny"[14].

Wydarzeniem, które zadecydowało o zbliżeniu w relacjach Stanów Zjednoczonych z Rosją, był zamach terrorystyczny z 11 września 2001 r. Władimir Putin jako pierwszy zagraniczny przywódca udzielił wsparcia prezydentowi USA[15]. Moskwa

---

[14] *«Я заглянул ему в глаза и увидел его душу»*, https://www.kommersant.ru/doc/1202710 (dostęp: 07.06.2021).

[15] P. Pacuła, *USA-Rosja. Współpraca czy rywalizacja*, „Bezpieczeństwo narodowe", Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, 5–6/2007, s. 131.

bez wahania stanęła po stronie Waszyngtonu, dołączając do stworzonej przez USA koalicji antyterrorystycznej, powołanej w celu walki z reżimem talibów w Afganistanie. Rezultatem okresu zacieśniania relacji było utworzenie – na mocy ustaleń zawartych w Deklaracji Rzymskiej 28 maja 2002 r. – Rady Rosja-NATO[16]. Oczekiwano wówczas, że kolejnym krokiem integracji Rosji ze strukturami transatlantyckimi będzie przystąpienie do sojuszu wojskowego. Zbliżenie amerykańsko-rosyjskie było możliwe m.in. z tego względu, że George Bush nie uważał Putina za swojego głównego przeciwnika, co więcej, potrzebował on wówczas prezydenta Rosji do walki z terroryzmem. Warto odnotować, że dwustronne relacje zostały zakłócone już w grudniu 2001 r., kiedy to Stany Zjednoczone jednostronnie zapowiedziały wycofanie się z traktatu ABM (o ograniczeniu systemów antybalistycznych), który został zawarty w 1972 r. między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. USA tłumaczyły decyzję koniecznością podjęcia odpowiednich działań w związku z zamachami z 11 września 2001 r. i w obawie przed szantażem ze strony terrorystów[17]. Natomiast dla Federacji Rosyjskiej akt ten stanowił czynnik destabilizujący globalny ład. 13 czerwca 2002 r. USA przestały być stroną traktatu ABM, a w odpowiedzi dzień później Rosja wycofała się z traktatu START II[18].

W 2003 r. Rosja wespół z Niemcami i Francją skrytykowała amerykańską inwazję na Irak. Przede wszystkim ze względu na fakt, że Stany Zjednoczone ominęły procedurę z udziałem Rady Bezpieczeństwa ONZ. Wówczas Moskwa liczyła na zbudowanie sojuszu z Paryżem oraz Berlinem, jednakże wkrótce państwa europejskie poparły działania Waszyngtonu. W 2012 r. podczas konferencji prasowej Władimir Putin stwierdził, że to właśnie okoliczności interwencji USA w Iraku były powodem pogorszenia bilateralnych relacji[19].

≡ RYWALIZACJA NA OBSZARZE PORADZIECKIM

W 2004 r. dwustronne stosunki znów zostały wystawione na próbę. Do Sojuszu Północnoatlantyckiego przystąpiło siedem nowych państw Europy Środkowo-Wschodniej, w tym trzy będące niegdyś republikami związkowymi – Litwa, Łotwa oraz Estonia. Rozprzestrzenianie się NATO na wschód, które zapoczątkowane zostało w 1999 r. przyjęciem do organizacji Czech, Polski oraz Węgier, było interpretowane przez Moskwę jako zagrożenie dla rosyjskiej strefy wpływów przez zbliżanie się sojuszu do granic państwa, natomiast USA uważały to za naturalny proces będący konsekwencją zwycięstwa w zimnowojennej rywalizacji, oznakę

---

[16] P. Fritch, *Partnerstwo NATO-Rosja: więcej niż widać na pierwszy rzut oka*, https://www.nato.int/docu/review/2007/issue2/polish/analysis1.html (dostęp: 07.06.2021).

[17] *ABM Treaty Fact Sheet, Statement by the Press Secretary, Announcement of Withdrawal from the Abm Treaty*, https://georgewbush-whitehouse.archives.gov/news/releases/2001/12/20011213-2.html (dostęp: 08.06.2021).

[18] START, https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/START;3979162.html (dostęp: 07.07.2021).

[19] *Путин не заметил „перезагрузки"*, https://www.vedomosti.ru/politics/articles/2012/12/20/putin_ne_zametil_perezagruzku (dostęp: 07.07.2021).

atrakcyjności zachodniego modelu politycznego, wojskowego oraz gospodarczego, a także wyraz suwerenności państw i autonomicznie podjętej przez nie decyzji.

Rok 2004 w relacjach na linii Rosja–Zachód upłynął także pod znakiem ukraińskiej pomarańczowej rewolucji. Protesty wybuchły po sfałszowanych wyborach prezydenckich, w których starli się prozachodni Wiktor Juszczenko oraz popierany przez Rosję Wiktor Janukowicz. Moskwa oskarżała Zachód o inspirowanie wydarzeń przez USA oraz ich sojuszników. Jak zauważa Mirosław Minkinia:

> Prawdą jest, że w pomarańczową rewolucję zaangażowani byli zarówno Zachód, jak i Rosja, którzy wzajemnie oskarżali się o ingerencję w wybory i podżeganie do protestów. Rosyjska ingerencja w wybory miała jednak znaczenie szerszy wymiar tak ilościowy, jak jakościowy niż wsparcie Zachodu. [...] Według Kremla była to geopolityczna operacja specjalna, polegająca na ulokowaniu swojego kandydata na czele państwa, tak jak dokonywała tego CIA w różnych krajach na świecie[20].

Zachód odnotowywał nieprawidłowości już podczas pierwszej tury wyborów prezydenckich. Hanne Severinsen, przedstawicielka Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, stwierdziła, że kampania wyborcza była „najbrudniejsza z możliwych"[21]. Proces demokratyczny został także skrytykowany przez obserwatorów OBWE, z którymi zgodził się Departament Stanu USA. Oburzenie wyrażała również UE. Prezydent George Bush wyznaczył nawet senatora Richarda Lugara jako swojego przedstawiciela w trakcie drugiej tury wyborów. „Ukraińcy mają prawo i zasługują na możliwość podjęcia decyzji bez strachu i obaw" – stwierdził przywódca Stanów Zjednoczonych, jednocześnie dodając, że taka sytuacja nie miała miejsca podczas pierwszej tury[22]. Zaangażowanie zarówno polityków amerykańskich, europejskich, jak i rosyjskich trwało podczas całego procesu wyborczego – aż do zwycięstwa Wiktora Juszczenki w „trzeciej turze". Rosja bardzo negatywnie odnosiła się do ingerencji w sprawy wewnętrzne Ukrainy, uważając ją za swoją strefę wpływów.

Jak zauważa Minkinia:

> Żadne państwo przestrzeni poradzieckiej nie ma takiego strategicznego znaczenia dla Federacji Rosyjskiej jak Ukraina. Państwo to jest nie tylko istotne z perspektywy rosyjskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, lecz także zajmuje znaczące, żeby nie rzec – centralne miejsce w pojmowaniu rosyjskiej tożsamości, dziedzictwa kulturowego oraz tradycji. Z geopolitycznego punktu widzenia kontrola nad terytorium Ukrainy oznacza kontrolę nad wschodnią częścią Europy, a jednocześnie dostąp do głębi kontynentu. Terytoria Ukrainy mają wreszcie istotne znaczenie dla rosyjskiej mitologii narodowej. To Kijów był stolicą średniowiecznego państwa ruskiego, do którego to dziedzictwa poczuwają się również Rosjanie. Tutaj też dokonywali szlachetnych czynów bohaterowie ruskich poematów ludowych – tzw. bylin – Ilja Muromiec,

[20] M. Minkinia, *Kolorowe rewolucje w przestrzeni poradzieckiej. Geneza, Istota, Skutki*, Siedlce 2018, s. 89–90.

[21] V. Avioutski, *Aksamitne rewolucje*, Warszawa 2007, s. 89.

[22] Tamże.

Dobrynia Nikiticz i Alosza Popowicz, którzy uzyskali w kulturze rosyjskiej status porównywalny z europejskim rycerstwem[23].

Na początku 2008 r. relacje amerykańsko-rosyjskie znów uległy pogorszeniu. Wszystko to za sprawą apeli o gotowości przystąpienia do NATO, jakie wystosowali do kierownictwa organizacji przywódcy Ukrainy oraz Gruzji. Jednakże podczas szczytu sojuszu w Bukareszcie byłe republiki Związku Radzieckiego nie zostały objęte Programem Działań na rzecz Członkostwa (Membership Action Plan). Juszczenko i Saakaszwili usłyszeli od sekretarza generalnego NATO Jaapa de Hoopa Scheffera podczas spotkania, że „staną się pewnego dnia jego członkami"[24]. Oczywiście działania te wywoływały jednoznaczny sprzeciw Rosji, próbującej wówczas odbudować mocarstwowy status na arenie międzynarodowej. Jurij Bałujewski, szef sztabu sił zbrojnych Rosji, stwierdził wtedy, że Rosja podejmie działania wojskowe wzdłuż swoich granic, jeżeli byłe republiki radzieckie – Ukraina i Gruzja – dołączą do Sojuszu Północnoatlantyckiego[25]. W podobnym tonie wypowiedział się minister spraw zagranicznych, Siergiej Ławrow, który oznajmił, że Moskwa zrobi wszystko, co w jej mocy, aby oba kraje, kierowane przez prozachodnie rządy, nie stały się członkami NATO[26]. Natomiast Władimir Putin zapowiedział zamiar wsparcia Abchazji oraz Osetii Południowej, których przywódcy skierowali do niego komunikaty wyrażające zaniepokojenie działaniami Saakaszwilego na forum organizacji międzynarodowej[27]. Właśnie w kontekście m.in. tych wydarzeń należy interpretować rozpoczęcie wojny pięciodniowej w Gruzji w sierpniu 2008 r.

Kolejny etap rywalizacji amerykańsko-rosyjskiej na obszarze poradzieckim związany jest z wojną na Ukrainie oraz aneksją Krymu w 2014 r. Tym razem głównym instrumentem oddziaływania Stanów Zjednoczonych wobec sprzecznej z prawem międzynarodowym aktywności wojskowej Federacji Rosyjskiej było stosowanie różnego rodzaju sankcji. Miało to na celu przede wszystkim wyizolowanie Rosji na arenie międzynarodowej, a przez to osłabienie siły jej oddziaływania na forum europejskim. Warto zaznaczyć, że sankcje gospodarcze były bardzo często nakładane w porozumieniu z innymi państwami. Już w marcu 2014 r. decydenci z Waszyngtonu zdecydowali o nałożeniu sankcji, które zakazywały podróżowania osób odpowiedzialnych za aneksję Krymu, a także zamrażały ich aktywa znajdujące się w USA[28]. 28 kwietnia Stany Zjednoczone nałożyły nowe sankcje na siedmiu rosyjskich urzędników, w tym Igora Sieczina, prezesa rosyjskiego koncernu naftowego

---

[23] M. Minkinia, *Kolorowe rewolucje…*, s. 84.

[24] *Ukraina i Gruzja w poczekalni NATO*, https://tvn24.pl/swiat-24-7-ukraina-i-gruzja-w-poczekalni-nato,54144,s.html?h=144c, (dostęp: 12.07.2021).

[25] *Russia army vows steps if Georgia and Ukraine join NATO*, https://www.reuters.com/article/newsOne/idUSL1143027920080411 (dostęp: 13.07.2021).

[26] Tamże.

[27] *Путин обещает предметно поддержать Абхазию и Южную Осетию*, https://iz.ru/news/422147#ixzz3aV2E3Gyz (dostęp: 13.07.2021).

[28] *Council Decision 2014/145/CFSP of 17 March 2014 concerning restrictive measures in respect of actions undermining or threatening the territorial integrity, sovereignty and independence of Ukraine*, https://eur-lex.europa.eu/LexUriServ/LexUriServ.do?uri=OJ:L:2014:078:0016:0021:EN:PDF, (dostęp: 17.07.2021).

Rosnieft, oraz siedemnaście przedsiębiorstw powiązanych z Kremlem[29]. W odpowiedzi na eskalację działań w Donbasie 17 lipca 2014 r. Stany Zjednoczone nałożyły sankcje na dwa kluczowe dla rosyjskiej gospodarki przedsiębiorstwa energetyczne, Rosnieft oraz Novatek, a także na dwa banki – Gazprombank i Wnieszekonombank. 12 września sankcje zostały zastosowane wobec m.in. Sbierbanku, Rostecu, Gazpromu i Łukoilu[30].

Łukasz Jureńczyk zauważa, że

> reakcja prezydenta Baracka Obamy na aneksję Krymu przez Rosję i wojnę w Donbasie wpisuje się w koncepcję realizmu. Była ona zachowawcza i wstrzemięźliwa, a przede wszystkim nie obejmowała gróźb przeprowadzenia akcji zbrojnej na Ukrainie na rzecz przeciwdziałania rosyjskiej interwencji. Waszyngton nie dawał się sprowokować kontrowersyjnym działaniom i retoryce Moskwy. Gdy pod koniec lutego 2014 r. Rosja zaczęła gromadzić siły zbrojne przy granicy z Ukrainą, prezydent Obama uznał to wprawdzie za próbę zastraszenia Ukrainy, jednak jednocześnie stwierdził, że działania te są w obszarze suwerenności Rosji. Liczył jednocześnie, że Moskwa nie zdecyduje się naruszyć suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy[31].

Prezydent USA zwrócił wówczas uwagę, że rosyjskie zagrożenie wynika przede wszystkim ze słabości, a nie z siły państwa. Jednocześnie Barack Obama stwierdził, że Moskwa nie jest głównym zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych[32]. Przywódca USA potępiał rosyjskie wsparcie dla działań militarnych w Donbasie oraz sprzeciwiał się głoszonym przez Rosję tezom o podobieństwie wydarzeń ze wschodniej Europy do operacji NATO w Kosowie.

W Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA z lutego 2015 r. czytamy:

> Pogwałcenie przez Rosję suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy – jak również jej agresywna postawa wobec innych sąsiednich państw – zagraża międzynarodowym normom, które po zakończeniu zimnej wojny uznawane były za oczywiste. [...] Agresja Rosji na Ukrainę jasno pokazuje, że bezpieczeństwo europejskie oraz międzynarodowe zasady i normy dotyczące agresji terytorialnej nie mogą być brane za pewnik. [...] Będziemy wspierać takich partnerów jak Gruzja, Mołdawia i Ukraina, aby mogli coraz intensywniej współpracować ze Stanami Zjednoczonymi i NATO oraz by mogli zapewnić sobie bezpieczeństwo[33].

---

29 *U.S. Levels New Sanctions Against Russian Officials, Companies*, https://www.haaretz.com/u-s-to-levy-new-russia-sanctions-1.5246473 (dostęp: 17.07.2021).

30 *U.S. intensifies sanctions on Russia over Ukraine*, https://www.reuters.com/article/us-ukraine-crisis-usa-sanctions-idUSKBN0H71N320140912 (dostęp: 17.07.2021).

31 Ł. Jureńczyk, *Postawa Stanów Zjednoczonych wobec aneksji Krymu przez Rosję i wojny w Donbasie w perspektywie pozimnowojennej – konflikt wartości w tle konfliktu interesów*, „Zeszyty Naukowe KUL" 62 (2019), nr 1 (245), s. 11.

32 B. van Apeldoorn, N. de Graaff, *American Grand Strategy and Corporate Elite Networks. The Open Door since the End of the Cold War*, London-New York 2016, s. 220.

33 *National Security Strategy, February 2015*, https://obamawhitehouse.archives.gov/sites/default/files/docs/2015_national_security_strategy_2.pdf (dostęp: 17.07.2021).

Natomiast w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Federacji Rosyjskiej z grudnia 2015 r. stwierdzono, że

> wzmocnienie Rosji odbywa się na tle nowych zagrożeń dla bezpieczeństwa narodowego, które mają złożony, wzajemnie powiązany charakter. Prowadzenie przez Federację Rosyjską niezależnej polityki zagranicznej i wewnętrznej wywołuje sprzeciw Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników, dążących do utrzymania dominacji na arenie światowej. Prowadzona przez nich polityka powstrzymywania Rosji przewiduje wywarcie nacisku politycznego, gospodarczego, militarnego i informacyjnego. [...] Stanowisko Zachodu, nastawione na przeciwstawianie się procesom integracyjnym i tworzenie ognisk napięć w regionie euroazjatyckim, negatywnie wpływa na realizację rosyjskich interesów narodowych. Poparcie Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej dla antykonstytucyjnego zamachu stanu na Ukrainie doprowadziło do głębokiego rozłamu w społeczeństwie ukraińskim i wybuchu konfliktu zbrojnego. Wzmocnienie skrajnie prawicowej ideologii nacjonalistycznej, celowe kształtowanie wizerunku wroga w osobie Rosji wśród ludności ukraińskiej, otwarte działanie nastawione na siłowe rozwiązanie sprzeczności wewnątrzpaństwowych, głęboki kryzys społeczno-gospodarczy czynią z Ukrainy w długiej perspektywie źródło niestabilności w Europie i bezpośrednio przy granicach Rosji[34].

Wobec impasu, w jakim znalazł się tzw. format normandzki, oraz zmiany na stanowisku prezydenta USA, który podczas kampanii wyborczej wielokrotnie opowiadał się za poprawą relacji z Moskwą, duża część społeczności międzynarodowej, a w szczególności władze ukraińskie, podzielała obawy co do dalszych losów procesu uregulowania sytuacji politycznej i militarnej we wschodniej części Europy. Negatywne emocje w Kijowie zostały wyciszone po wizycie sekretarza stanu USA Rexa Tillersona w Ukrainie w lipcu 2017 r., który podczas konferencji prasowej stwierdził: „Celem Stanów Zjednoczonych jest przywrócenie integralności terytorialnej i jedności Ukrainy, której od początku kryzysu przekazaliśmy już 600 milionów dolarów. W moich rozmowach z rosyjskimi przywódcami wielokrotnie stwierdzałem, że Moskwa powinna zrobić pierwszy krok w kierunku deeskalacji, w szczególności zapewnić zawieszenie broni i wycofanie ciężkiego sprzętu"[35].

Przemawiając na posiedzeniu Rady Atlantyckiej w grudniu 2017 r., sekretarz stanu USA Rex Tillerson powiedział, że Stany Zjednoczone utrzymają istniejący reżim sankcji do czasu zakończenia rosyjskiej inwazji na Ukrainę i przywrócenia jej integralności terytorialnej[36]. W lipcu 2018 r. sekretarz stanu USA Mike Pompeo wydał tzw. deklarację krymską, w której stwierdzono, że Stany Zjednoczone będą nadal dążyć do przywrócenia integralności terytorialnej Ukrainy. Pompeo podkreślił, że USA stosują się do swojej wieloletniej zasady odmowy uznania roszczeń

---

[34] *Указ Президента Российской Федерации от 31.12.2015 г. № 683*, http://www.kremlin.ru/acts/bank/40391/page/1 (dostęp: 18.07.2021).

[35] *Рекс Тиллерсон заглянул в Киев по двум делам*, https://www.kommersant.ru/doc/3350777 (dostęp:18.07.2021).

[36] *«Мы вернемся к теме Крыма»*, https://www.kommersant.ru/doc/3495144?from=doc_vrez (dostęp: 18.07.2021).

ZMIERZCH HEGEMONA?

Kremla dotyczących suwerenności nad terytorium zajętym siłą z naruszeniem prawa międzynarodowego, i wezwał Rosję do zakończenia okupacji Krymu. Sekretarz stanu powiedział też, że Waszyngton zamierza utrzymać w mocy sankcje związane z aneksją Krymu do czasu przywrócenia półwyspu pod kontrolę Ukrainy[37].

≡ CASUS WENEZUELI

W styczniu 2019 r. przedłużający się kryzys polityczny w Wenezueli, który rozwijał się już od 2009 r. w związku z problemami gospodarczymi państwa, przeszedł w ostrzejszą fazę. W kraju powstały dwa ośrodki władzy. Przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, Juan Guaidó, na wielotysięcznych wiecach protestacyjnych, które rozpoczęły się po inauguracji Nicolasa Maduro na drugą kadencję prezydencką, ogłosił, że pełni obowiązki prezydenta. Obecny prezydent powiedział, że pozostanie na stanowisku do końca swojej kadencji w 2025 r.[38] Wydarzenia w Wenezueli spowodowały zaostrzenie się kolejnej konfrontacji między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, oskarżającymi się nawzajem o próby interwencji w zaistniałą sytuację[39].

Po symbolicznej przysiędze Guaidó prezydent USA uznał go jako pełniącego obowiązki prezydenta Wenezueli. Natomiast Nicolasa Maduro określił jako „nielegalnego" przywódcę. Trump stwierdził także, że „będzie wykorzystywał całą dyplomatyczną i ekonomiczną siłę Stanów Zjednoczonych w celu walki o przywrócenie wenezuelskiej demokracji"[40]. W odpowiedzi Maduro zerwał stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi. Administracja USA natychmiast przystąpiła do budowy szerokiej międzynarodowej koalicji na rzecz zmiany reżimu w Caracas.

28 stycznia Stany Zjednoczone ogłosiły nałożenie sankcji na wenezuelską państwową spółkę naftową PDVSA[41], która dostarczała do USA około 500 tys. baryłek ropy naftowej dziennie, a według danych za okres od stycznia do października 2018 r. było to 6,4% amerykańskiego importu ropy naftowej. Według ówczesnego doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, Johna R. Boltona, sankcje będą kosztować Wenezuelę ponad 11 miliardów dol. utraconych dochodów z eksportu w ujęciu rocznym[42].

W lutym 2019 r. Stany Zjednoczone zorganizowały dostawę pomocy humanitarnej na granicę kolumbijsko-wenezuelską, jednakże armia Wenezueli zablokowała

---

[37] *«Крымская декларация»: США никогда не признают российскую аннексию Крыма*, https://ru.krymr.com/a/29391360.html (dostęp: 18.07.2021).

[38] *„Tymczasowy" prezydent Wenezueli zdobywa coraz większe poparcie, ale jego rywal się nie poddaje*, https://businessinsider.com.pl/polityka/wenezuela-tymczasowy-prezydent-juan-guaido-styczen-2019/tf1k1p2 (dostęp: 19.07.2021).

[39] *«Развитие кризиса в Венесуэле диктуется не имеющим тормозов грубым внешним воздействием»*, https://www.kommersant.ru/doc/3880483 (dostęp: 19.07.2021).

[40] *Trump recognizes Venezuelan opposition leader as nation's president*, https://edition.cnn.com/2019/01/23/politics/trump-juan-guaido-venezuela/index.html (dostęp: 19.07.2021).

[41] *Treasury Sanctions Venezuela's State-Owned Oil Company Petroleos de Venezuela S.A.*, https://home.treasury.gov/news/press-releases/sm594 (dostęp: 20.07.2021).

[42] *Форс-мажор на $11 млрд: что будет с нефтью из-за санкций против Венесуэлы*, https://www.rbc.ru/economics/30/01/2019/5c518f829a7947e58efaf94f (dostęp: 20.07.2021).

przejście graniczne, co uniemożliwiło dostawę towarów. Sytuacja ta spowodowała, że wiceprezydent Mike Pence ogłosił nowe sankcje przeciwko czterem gubernatorom stanów Wenezueli, którzy – według USA – uczestnicząc w blokadzie, przyczynili się do pogłębienia kryzysu humanitarnego w kraju. 1 marca kolejne sankcje zostały nałożone na sześciu funkcjonariuszy państwowych, którzy również brali udział w tworzeniu blokady[43]. 11 marca rząd Stanów Zjednoczonych nałożył sankcje przez zamrożenie aktywów na rosyjski bank Evrofinance Mosnarbank, którego właścicielami były rosyjskie i wenezuelskie przedsiębiorstwa państwowe. USA oskarżało bank o bycie ekonomicznym kołem ratunkowym dla reżimu Maduro. Zawieszono także członkostwo banku w międzynarodowych systemach płatniczych Visa i Mastercard[44]. Rząd Stanów Zjednoczonych w kolejnych miesiącach systematycznie nakładał nowe sankcje na wenezuelskie przedsiębiorstwa oraz osoby związane z władzami, dążąc do wywarcia presji gospodarczej na reżimie Maduro.

Zgoła inną postawę przyjął prezydent Władimir Putin, który zadzwonił do Nicolasa Maduro w celu wyrażenia poparcia „dla legalnych władz Wenezueli"[45]. Rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych skrytykowało postępowanie USA i zadeklarowało gotowość do współpracy ze wszystkimi państwami, które przyczyniłyby się do znalezienia kompromisu w kryzysowej sytuacji. Siergiej Ławrow powiedział, że Rosja jest gotowa do współpracy ze wszystkimi siłami politycznymi w Wenezueli, które wykazują odpowiedzialne podejście i są gotowe do współpracy z międzynarodowymi graczami[46]. Moskwa stwierdziła, że Waszyngton swoimi działaniami dąży do „wytworzenia chaosu i zniszczenia wenezuelskiej państwowości". „Wydarzenia w Wenezueli wyraźnie pokazują, jak postępowa społeczność zachodnia w rzeczywistości traktuje prawo międzynarodowe, suwerenność i nieingerencję w wewnętrzne sprawy państw" – zaznaczyła rzeczniczka prasowa rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa[47].

≡ PUTIN I BIDEN

16 czerwca 2021 r. w Genewie odbyło się pierwsze spotkanie nowego prezydenta USA, Joe Bidena, z Władimirem Putinem. Przywódcy państw przez dwie i pół godziny rozmawiali m.in. o stabilności strategicznej, o kontroli zbrojeń jądrowych, konfliktach międzynarodowych w Syrii czy Ukrainie, sytuacji na Białorusi czy o bezpieczeństwie informacyjnym. Spotkanie było przełomowe, ale miało

---

[43] *Treasury Sanctions Security Officials Associated with Violence and Obstruction of Humanitarian Aid Delivery*, https://home.treasury.gov/news/press-releases/sm619 (dostęp: 20.07.2021).

[44] *Treasury Sanctions Russia-based Bank Attempting to Circumvent U.S. Sanctions on Venezuela*, https://home.treasury.gov/news/press-releases/sm622 (dostęp: 20.07.2021).

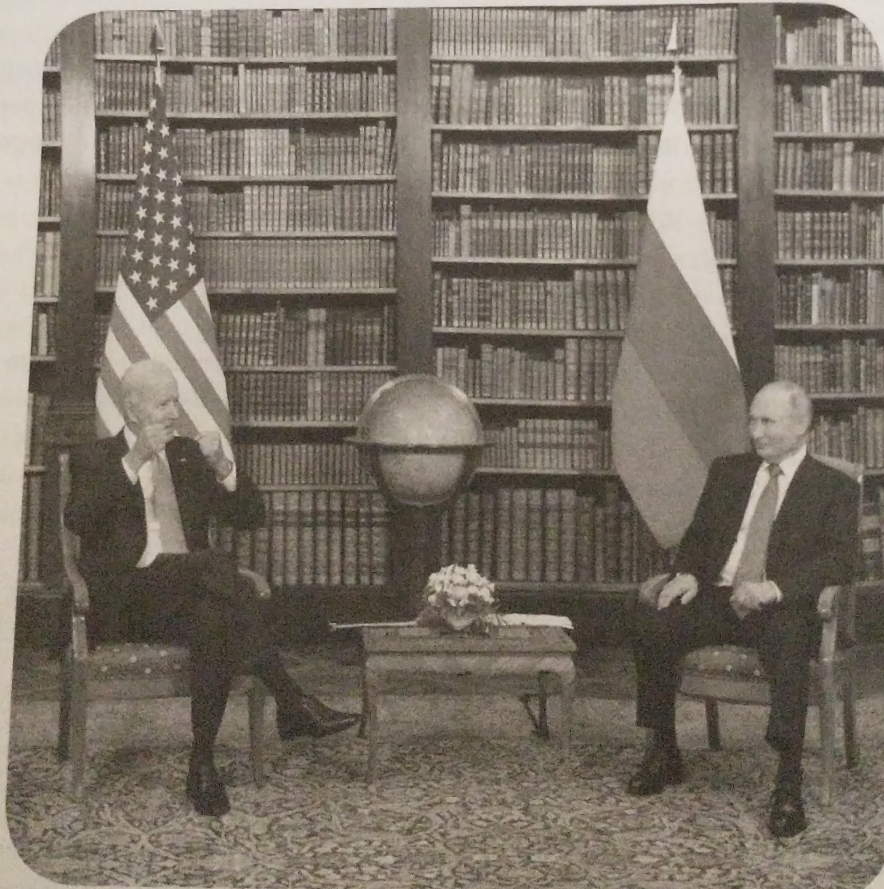
[45] *«О каком-либо признании самопровозглашенного президента Венесуэлы не может идти речи»*, https://www.kommersant.ru/doc/3862270 (dostęp: 20.07.2021).

[46] *Россия вызвалась стать посредником между оппозицией и властями Венесуэлы*, https://www.rbc.ru/politics/25/01/2019/5c4b02279a7947c1a7bd0ee6 (dostęp: 20.07.2021).

[47] *Военные не поддержали переворот в Венесуэле*, https://www.kommersant.ru/doc/3861715#id1700152 (dostęp: 20.07.2021).

z jednej strony dać społeczności międzynarodowej przekonanie o rozwoju relacji między mocarstwami, z drugiej zaś wyznaczyć główne trendy ewolucji polityki międzynarodowej w latach 20. XXI w. Ponadto chodziło o wykorzystanie spotkania do komunikacji globalnej i zaznaczenia stanowisk w najważniejszych dla państw kwestiach. Przywódcy Rosji i Stanów Zjednoczonych uznali, że tylko strategiczna przewidywalność może zmniejszyć ryzyko konfliktów zbrojnych i groźby wojny nuklearnej, w szczególności w kontekście rozwoju nowoczesnej technologii. Prezydenci zgodzili się rozpocząć wszechstronny dialog na temat stabilności strategicznej, który podłoży podwaliny pod dalszy rozwój kontroli zbrojeń. Jednocześnie należy zdawać sobie sprawę, że dynamika stosunków międzynarodowych wielokrotnie już dowodziła, że rzeczywiste interesy państw i deklaracje wygłaszane na wspólnych spotkaniach należą do zbiorów rozłącznych, więc ważniejsze od czytania wspólnych oświadczeń i deklaracji jest czytanie między wierszami i rzeczywista ocena potencjałów poszczególnych krajów.

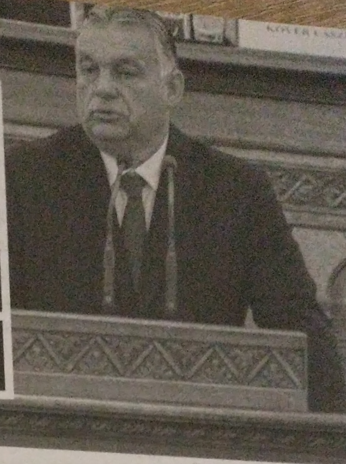
W najbliższym czasie nie powinniśmy spodziewać się resetu w relacjach między Rosją i USA. Bo cóż on miałby znaczyć? Przystąpienie Rosji do NATO? Zrezygnowanie Stanów Zjednoczonych z promowania wartości demokratycznych na arenie międzynarodowej? Odejście od kontroli stref wpływów? A może wspólną walkę z Chinami? Oba kraje za dużo mają do stracenia, by rezygnować z ustawienia swoich pionków na szachownicy. Zbyt długo i zbyt ciężko na to pracowały.



Fot. en.kremlin.ru

Wiesław Bator

Socjoetniczne i historyczne inspiracje polityki Viktora Orbána. Część II[1]



Fot. Twitter

≡ 4) Węgry regenta Horthyego (1920–1944)

Państwo pozbawione jakichkolwiek sojuszników, ściśnięte w sztucznych i niemożliwych do obrony granicach, ograniczone w transporcie, pozbawione większości bogactw naturalnych i blokowane gospodarczo przez zaborców, wydawało się skazane na zagładę lub co najmniej beznadziejną egzystencję. Dlatego też, niezależnie od ostatecznej oceny rządów Horthyego trzeba pochylić czoła przed jego zasługami na polu politycznym, społecznym i ekonomicznym[2].

Mimo że Miklós Horthy był z natury konserwatystą, a swoją władzę postrzegał jako kontynuację dawnej monarchii, to w rzeczywistości jego baza polityczna znacznie różniła się od przedwojennej. O ile poprzednio stanowiła ją arystokracja sprzymierzona z oligarchią finansową, o tyle obecnie do głosu doszły średnia i uboższa szlachta, inteligencja[3] oraz zamożni włościanie, a zarówno oficjalna ideologia, jak i powszechna świadomość społeczna stały się mniej europejskie, a bardziej narodowe.

Odbudowując Węgry, Horthy nawiązał zarówno do starego planu, jak i polityki Deáka. Pierwszym krokiem do odrodzenia Węgier było przełamanie blokady ekonomicznej i odrodzenie gospodarcze kraju. Dokonał tego zręczny premier István Bethlen, sprawujący swój urząd przez całe dziesięciolecie (1921–1931).

---

[1] Część I artykułu ukazała się w 24. numerze „Polityki Narodowej".

[2] Wprawdzie jego próba częściowej naprawy krzywdy wyrządzonej Węgrom w Trianon zakończyła się ostatecznie niepowodzeniem, a II wojna światowa zgotowała jego ojczyźnie kolejną katastrofę, ale stało się to wbrew jego woli i prawdopodobnie byłoby nie do uniknięcia przez jakąkolwiek ekipę rządzącą Węgrami bez względu na jej orientację. Nie ulega natomiast wątpliwości, że kilkuletnie ponowne przyłączenie do ojczyzny zabranych terytoriów zamieszkałych przez Węgrów przerwało wysiłki asymilacyjne zaborców i znacząco przyczyniło się do przetrwania świadomości narodowej Madziarów aż do chwili obecnej.

[3] I. Romsics, *Historia Węgier*, Poznań 2018, s. 366.

Dzięki stabilizacji rządu, sympatii brytyjskich konserwatystów i wytrwałej pracy premiera udało się w tym czasie uzdrowić walutę i ustabilizować finanse, pobudzić rozwój ekonomiczny kraju i doprowadzić go do stanu porównywalnego z przedwojennym, a nawet przewyższającego go w pewnych dziedzinach.

Wobec nieukrywanej niechęci amerykańskiej i francuskiej masonerii wobec Węgier oraz istnienia polityczno-militarnej Małej Ententy (sojusz Czechosłowacji, Rumunii i Jugosławii) i pozostawania odrodzonej Rzeczypospolitej w sojuszu z wrogimi Węgrom Rumunią i Francją jedynym możliwym sojusznikiem wydawały się rosnące w potęgę Włochy Mussoliniego, uważające się za protektora reżimów autorytarnych i poszukujące politycznego partnera w rejonie alpejskim i w Kotlinie Karpackiej.

Sojusz ten przyniósł doraźnie Węgrom wielkie korzyści gospodarcze i polityczne, choć ostatecznie, w momencie zbliżenia się Włoch do Niemiec, sprowadził kraj na drogę katastrofy. Jakkolwiek realizowana przez Mussoliniego idea silnego państwa musiała imponować węgierskim nacjonalistom, to jednak trudno podejrzewać, aby konserwatywny regent przejawiał sympatię dla radykalnych eksperymentów społecznych i ekonomicznych włoskiego dyktatora[4].

Poczyniono też ogromny postęp na drodze konsolidacji narodowej, gdyż wraz ze zmianą granic w potrianońskich Węgrzech znikł problem obcych mniejszości narodowych, z których w znacznej liczbie pozostały tylko dwie: żydowska i niemiecka. Stopień ich asymilacji był jednak tak wielki, że nie dążyły one ani do autonomii, ani emancypacji, i do czasu uchwycenia władzy w Niemczech przez Hitlera nie stanowiły poważnego problemu[5].

Problemem stała się natomiast mniejszość węgierska zagrożona wynarodowieniem w państwach zaborczych. Rząd przedwojennych Węgier zrobił więc wszystko, co możliwe, aby z jednej strony umacniać wśród zniewolonych współbraci świadomość narodową, a z drugiej nagłaśniać wyrządzane im krzywdy. Polityka narodowa wymagała też jasnego określenia stosunku do traktatu w Trianon. I tu Horthy sięgnął do wypróbowanej zasady Deáka: „Odzyskanie tego, czego naród dobrowolnie się wyrzeknie, jest trudne, a nawet niemożliwe". Węgry wyrzekały

---

[4] O braku sympatii regenta do modelu włoskiego państwa faszystowskiego świadczy dobitnie konflikt z późniejszym premierem Gömbösem, który usiłował zaprowadzić podobne porządki na Węgrzech. Ponadto Horthy, który czerpiąc z doświadczeń I wojny światowej wolał unikać przyjaznych kontaktów z Niemcami, nie mógł przewidzieć, że wyraźnie germanofobiczny Duce stanie się w przyszłości ich głównym sojusznikiem. W każdym razie pomysł związania się ze znaczną siłą polityczną Europy, która wydawała mu się jednakowo wroga w stosunku do bolszewizmu, zachodniego liberalizmu, niemieckiego nacjonalizmu a potem narodowego socjalizmu i Małej Ententy wydawała mu się zbawienna i trudno go za to ganić. Ponadto znany z anglofilii premier Bethlen zdołał w czasie pełnienia swego urzędu pozyskać dla Węgier sympatię konserwatywnych kół brytyjskich obawiających się (jak już wspomniano) francuskiej hegemonii w Europie, a jeszcze bardziej wyraźnie lewicowych lub progresywnych zapędów niektórych polityków III Republiki. Zob. W. Bator *Nacjonalizm węgierski. Zarys problemu* [w:] *Różne oblicza nacjonalizmów*, pod redakcją Bogumiła Grotta, Kraków 2010, s. 427.

[5] Po doświadczeniach Republiki Rad stosunek regenta do Żydów daleki był od życzliwości, lecz utrzymanie poprawnych stosunków z ich protektorką – Wielką Brytanią – wykluczało wobec nich politykę otwartych represji. Natomiast da się zauważyć w poczynaniach regenta dążenia do ograniczenia politycznego i ekonomicznego wpływu Żydów do rozmiarów proporcjonalnych do ich populacji. Zob. I. Romcsics, dz. cyt., s. 372.

się więc rewizji niesprawiedliwych granic na drodze militarnej, ale jednocześnie oficjalnie zastrzegały sobie prawo do ich zmiany na drodze pokojowej (nieustanne propozycje plebiscytowe).

Warto też wspomnieć o miejscu Polski w polityce regenta. Było ono ważne, gdyż Polskę postrzegał jako naturalną zaporę przeciw bolszewizmowi, a jednocześnie możliwego sojusznika przeciw Czechosłowacji, która w 1919 r. zdradziecko zagarnęła nienależący się jej Śląsk Cieszyński. Horthy wiedział też, że Polska (najpewniej z tego powodu) nie podpisała krzywdzącego Węgry traktatu w Trianon. Dlatego też na samym początku swych rządów Horthy udzielił Polsce ogromnej pomocy materialnej w decydującym momencie bitwy warszawskiej. Jednak na przeszkodzie większemu zbliżeniu węgiersko-polskiemu stał sojusz wojskowy Polski z Rumunią, a zwłaszcza początkowo uległa polityka wobec swego głównego sojusznika – Francji, którą Węgrzy uważali za głównego sprawcę swego nieszczęścia.

Rządy premiera Bethlena wykorzystały maksymalnie czas światowej prosperity przed Wielkim Kryzysem, ale wraz z jego wybuchem wyczerpała się też formuła rozwoju w warunkach wolnej konkurencji i wolnego rynku. I chociaż jej skutki były na Węgrzech, powiązanych gospodarczo z Włochami, mniej odczuwalne niż w zachodniej Europie i w Niemczech, to jednak przyhamowała tempo rozwoju gospodarczego, i tak jak wszędzie musiano temu sprostać na drodze interwencjonizmu i państwowych inwestycji.

Dokonał tego nowy premier Gyula Gömbös (1932–1936), czerpiący inspiracje do swych pomysłów gospodarczych z doświadczeń włoskiego korporacjonizmu. Znacznie większe (a w konsekwencji złowrogie) znaczenie miało dla Węgier przejęcie władzy w Niemczech przez Hitlera (1933), którego radykalne i totalitarne poglądy niewątpliwie zaniepokoiły konserwatywnego regenta, ale jednocześnie silnie oddziaływały na młodszą generację Węgrów, którą niecierpliwiło zbyt łagodne jej zdaniem traktowanie Żydów i zbyt powolne tempo przygotowań do rewindykacji granic.

Natomiast nic nie zapowiadało nawiązania bliskich stosunków z III Rzeszą. Węgry (podobnie jak ich sojusznik Mussolini) były żywotnie zainteresowane istnieniem państwa austriackiego. Pierwszy narodowo-socjalistyczny zamach w Austrii i pierwsza próba Anschlussu zostały zablokowane przez Włochy i omal nie zakończyły się wojną między obydwoma dyktaturami (1934). Horthy poparł wówczas politycznie Mussoliniego, ale gwałtowny rozwój gospodarczy III Rzeszy spowodował niebawem wzrost wzajemnych stosunków handlowych z Węgrami i stopniowo niemieckie państwo stało się pierwszym partnerem gospodarczym Węgier. A nawiązanie takiej współpracy pociągało za sobą również w nieunikniony sposób nawiązanie bliższych stosunków politycznych, do czego zresztą parł także premier Gömbös[6].

Rok 1935 ujawnił światu całą grozę komunistycznego zagrożenia. Pokazowe manewry Armii Czerwonej pod Kijowem, w których ukazano po raz pierwszy zmasowany atak tysięcy czołgów i gigantyczny desant powietrzny jednostek specjalnych, jakimi nie dysponowała wówczas żadna armia świata – wstrząsnęły opinią ówczesnych zachodnich ekspertów, a niebawem także i polityków, którzy odtąd

---

[6] W. Bator, dz. cyt., s. 433–434.

w obawie przed tym zagrożeniem skłonni byli przymknąć oko na zbrojenie się Niemiec i łamanie przez Hitlera kolejnych ograniczeń wersalskich. Nieomal jednocześnie doszło do ochłodzenia stosunków pomiędzy Włochami i Wielką Brytanią, gdy ta przyłączyła się do sankcji nałożonych na kraj Mussoliniego z powodu agresji na Etiopię, czego nie omieszkał wykorzystać Hitler, oficjalnie popierając w tej sprawie włoskiego dyktatora.

Decydujące zbliżenie niemiecko-włoskie było skutkiem zwycięstwa lewicowych Frontów Ludowych we Francji i w Hiszpanii (1935–1936) i nawiązania przez socjalistyczny rząd francuski sojuszu ze Związkiem Sowieckim i tego ostatniego z Czechosłowacją. To ostatnie również Horthy odebrał jako bezpośrednie zagrożenie dla Węgier. Wreszcie antyklerykalne ekscesy nowego rządu ludowego w Hiszpanii i rozpętany przezeń terror doprowadziły w lipcu 1936 r. do prawicowego puczu generała Franco, który szybko przekształcił się w nacjonalistyczne powstanie i wojnę domową. Po stronie nacjonalistów interweniowali wspólnie Hitler i Mussolini, a po stronie rządu republikańskiego – nie tylko Stalin i sterowany przez niego światowy ruch komunistyczny, lecz także antykatoliccy liberałowie całego świata. Współdziałanie Włoch i Niemiec stało się faktem i pociągnęło to za sobą także w stronę Niemiec wszystkich dotychczasowych sojuszników włoskich, a więc i Węgry.

Natomiast polepszenie stosunków niemiecko-polskich i zawarty w 1934 r. pakt o nieagresji, który spowodował ochłodzenie na linii Warszawa-Paryż, otwierał przed Horthym drogę do nawiązania przyjaznych relacji z Polską, którą starał się zainteresować sprawą ewentualnej wspólnej granicy obydwu państw.

W marcu 1938 r. Niemcy przy milczącej akceptacji Włoch wchłonęły Republikę Austriacką, uzyskując w ten sposób granicę z Węgrami, co umocniło ich wpływy w środowisku radykalnych węgierskich nacjonalistów. Niechętny wszelkim ekstremizmom Horthy zareagował na to dymisją popierającego ten ruch premiera Imrédyego, a przywódca ruchu narodowo-socjalistycznego, Ferenc Szálasi, został osadzony i skazany na więzienie za wzniecanie niepokojów społecznych, nawoływanie do zamachu stanu i podżeganie do wojny.

Niebawem, w lecie 1938 r., wybuchł kryzys czechosłowacki, a regent dojrzał w tym szansę do realizacji planu odzyskania części terytorium straconego w 1920 r. Nie ulega wątpliwości, że nieszczęście głównego wroga Węgier – czeskiego prezydenta Edwarda Beneša – nie zmartwiło węgierskiego regenta. Wystarczy wspomnieć, że to właśnie Edward Beneš był inicjatorem ścisłego antywęgierskiego sojuszu państw zaborczych (Małej Ententy) i gorliwym propagatorem szybkiej asymilacji Węgrów pozostałych w Czechosłowacji, Jugosławii i Rumunii oraz bezwzględnych represji w stosunku do ich działaczy mniejszościowych. Włączenie się do kryzysu czechosłowackiego było dla Węgier ryzykowne, ale pozostawanie z boku pozbawiało ich jakiejkolwiek szansy na upragnioną rewizję granic. Napięcie polityczne niosło ze sobą co prawda ryzyko wybuchu wojny europejskiej, ale regent Węgier, dysponujący danymi uzyskanymi przez własny wywiad, wiedział, że jest to mało prawdopodobne. Z jednej strony Hitler nie dysponował wówczas siłą pozwalającą na prowadzenie wojny z uzbrojoną po zęby Czechosłowacją i jej potężnymi sojusznikami, a z drugiej – jej rychły wybuch nie leżał w interesie pacyfistycznie nastawionej Francji ani obawiającej się komunistycznej

Rosji Wielkiej Brytanii, ani nawet sowieckiego dyktatora, który potrzebował czasu, aby odtworzyć kadrę dowódczą własnej armii, wyniszczoną przeprowadzonymi przezeń czystkami. Do wojny światowej przy boku Niemiec nie palił się również wówczas sojusznik Niemiec – Mussolini.

Ponieważ Horthy wiedział, że Hitler najwyraźniej blefuje, szantażując zachodnie mocarstwa widmem wojny, postanowił z zaistniałej sytuacji wyciągnąć maksimum korzyści, lecz bez zbytecznego przedwczesnego angażowania się w tę sprawę. Trzymając się zasady realizacji rewizji granic na drodze pokojowej, regent Węgier nie wysunął żadnych roszczeń do Czechosłowacji przed zasadniczym rozstrzygnięciem konferencji w Monachium, ale wystąpił z nimi dopiero w momencie, gdy mocarstwa zadecydowały o oddaniu spornego terytorium Sudetów Niemcom. Mocarstwa nie chciały podjąć tej sprawy, ale przekazały ją w ręce niemiecko-włoskiego arbitrażu, który przyznał w listopadzie 1938 r. Węgrom pograniczne ziemie Czechosłowacji zamieszkałe przez Madziarów.

Regent triumfował – mocarstwa cofnęły się przed konfrontacją, znienawidzona Czechosłowacja została upokorzona, szmat straconej ziemi odzyskany, a setki tysięcy rodaków wyzwolone. Zapewne mniej ucieszyły go energiczne działania Niemców podjęte prawie natychmiast potem, mające na celu zaktywizować słowackich i rusińskich nacjonalistów do ogłoszenia niepodległości pod opiekuńczymi skrzydłami Hitlera. Powstanie takich państw stanowiłoby bowiem zaporę dla wszelkich dalszych węgierskich wysiłków rewindykacyjnych, a ponadto odcinałoby Węgry od życzliwej dla nich Polski i skazywało na rolę nic nieznaczącego satelity Rzeszy. Węgry były za małe i za słabe, aby te dążenia zablokować własnymi siłami. Jednak w tym trudnym momencie Rzeczpospolita Polska wystąpiła z koncepcją wspólnej granicy z Węgrami przez poparcie ich roszczeń do oddzielającej obydwa państwa Rusi Karpackiej. Oficjalnym powodem (zresztą zgodnym z życzeniami obydwu narodów) było przywrócenie tysiącletniego dobrego sąsiedztwa i sprawiedliwości dziejowej oraz usunięcie przeszkody w rozwoju przyjaznych stosunków miedzy „bratankami"[7].

Wspólną granicę polsko-węgierską uzyskano w marcu 1939 r., natomiast nie udało się Horthyemu zapobiec powstaniu satelickiej wobec III Rzeszy Słowacji. Stosunki pomiędzy nowo powstałym państwem a Węgrami stały się jednak od razu tak napięte, że wkrótce przerodziły się w otwartą, choć krótką wojnę[8]. Niebawem jednak pojawiło się dla Polski i Węgier daleko większe niebezpieczeństwo.

Natychmiast po zlikwidowaniu Czechosłowacji Hitler przedstawił Rzeczypospolitej ofertę nie do przyjęcia, a wobec jej stanowczego odrzucenia zerwał z nią pakt o nieagresji. Ponieważ Hitler, zagarniając Czechy, ostatecznie ujawnił swoją nieobliczalną naturę, a Polska nie zamierzała ustąpić na wzór Czechosłowacji, widmo wojny stało się nagle realne.

---

[7] Rzecz jasna, w grę wchodziły także o wiele aktualniejsze sprawy: 1) zarówno Polska, jak i Węgry nie pragnęły dwustronnego objęcia przez niebezpiecznego sąsiada i jego satelitów (dla Polski z zachodu i południa, a dla Węgier z zachodu i północy. 2) nowe państwo karpatoruskie stałoby się naturalną bazą dla antypolskiej akcji ukraińskich nacjonalistów, a być może i sterowanych z Moskwy miejscowych komunistów.

[8] Była to tzw. mała wojna, zob. L. Deák: *Malá vojna* (*The Little War*), Bratislava 1993.

MIĘDZYNARODOWO

Odradzające się z takim trudem Węgry, które doświadczyły w niedawnej Wielkiej Wojnie największej katastrofy w swoich dziejach i zapłaciły w niej największą cenę za nie swoje winy, nie mogły pragnąć ponownej wojny grożącej im całkowitą zagładą. Regent zdawał sobie sprawę, że jej wybuch nie tylko przekreśli wszystkie nadzieje na odrodzenie Węgier, lecz także zakończy ich sen o suwerenności, i to niezależnie od tego, jak postąpią.

Udział po stronie Niemiec przekreśli tradycję dobrych odwiecznych stosunków z Polską, a ponadto po przegranej wojnie (Horthy nie miał wątpliwości, że konflikt zbrojny z mocarstwami zachodnimi skończy się tak jak poprzednio!), a Węgry podzielą los pokonanych. Z drugiej strony złamanie układów z Niemcami i wojna przeciw nim będzie również katastrofalna, ponieważ niezależnie od ostatecznej klęski Niemcy z pewnością zdążą wcześniej zniszczyć zarówno Polskę, jak i Węgry, a zachodnie demokracje, urządzając świat po wojnie, i tak w pierwszej kolejności odrodzą swojego czechosłowackiego pupila oraz nie zezwolą na jakiekolwiek zmiany rewidujące zasady dyktatu trianońskiego. Gwarancje udzielone Polsce przez Wielką Brytanię mogłyby być skuteczną próbą powstrzymania Hitlera, ale tylko wtedy, gdyby stała za nimi realna siła militarna i gdyby Hitler kierował się rozsądkiem.

Horthy wiedział, że Wielka Brytania nie dysponuje żadnymi siłami mogącymi uchronić Polskę od katastrofy, i wiedział też, że nie ruszy Polsce na pomoc pacyfistyczna Francja, a co do Hitlera – uznawał go za skrajnego hazardzistę, który może nie cofnąć się nawet przed najwyższym ryzykiem. Ponadto była jeszcze inna, gorsza ewentualność. Intencją brytyjskich gwarancji mogło być utwierdzenie Polski w odrzuceniu niemieckich żądań po to, aby skierować przeciw niej cały impet niemieckiego uderzenia i tym samym opóźnić jego rozprawę z Zachodem. Co więcej, Horthy podejrzewał, że Brytyjczycy zakładają przy tym, iż nieuniknione bezpośrednie sąsiedztwo Niemiec ze Związkiem Sowieckim po zniszczeniu Rzeczypospolitej doprowadzi do wojny między nimi. W takim wypadku demokracje zachodnie mogłyby dla wyczerpania się obydwu sojuszników wspierać stronę przegrywającą i ostatecznie włączyć się w konflikt w najdogodniejszym dla siebie momencie w charakterze wyzwoliciela od totalitarnych i autorytarnych reżimów. Taka perspektywa byłaby dla Węgier i osobiście regenta jeszcze bardziej katastrofalna od poprzednich.

Jak postąpić w tej arcytrudnej sytuacji? Ostatecznie podjęto następującą decyzję: Węgry nie zerwą układów z Niemcami, ale nie przystąpią w żadnym wypadku pośrednio ani bezpośrednio do wojny z Polską i spróbują przekonać do podobnego stanowiska największego sojusznika Hitlera, czyli Włochy Mussoliniego. Szanse na uniknięcie wojny będą nadal niewielkie, ale być może niemiecki dyktator nie zdecyduje się na nią w całkowitym osamotnieniu. O podjętej decyzji Horthy poinformował zarówno Niemcy, jak i Polskę, a w sierpniu 1939 r. również Włochy ogłosiły, że nie wezmą czynnego udziału w wojnie.

Niestety nie tylko Węgry i Włochy, lecz także mocarstwa zachodnie nie przewidziały tego, co wydawało się niemożliwe – Hitler obszedł się bez dotychczasowych sojuszników i zawarł przymierze ze Stalinem, wynagradzając go za to większością ziem skazanej na zagładę Polski. Wszystkie nadzieje na pokój prysły.

Pierwszego września rozpoczęła się wojna. Horthyemu nie pozostało nic innego, jak tylko powstrzymywać Węgry od udziału w kataklizmie tak długo, jak tylko się da. W sprawie Polski dotrzymał słowa i nie tylko powstrzymał się od działań przeciw niej, lecz także nie dopuścił do tego, żeby Hitlerowi w jakikolwiek sposób ułatwić jej podbój. Po agresji sowieckiej (17 września) nakazał otworzyć granicę dla wszystkich – cywilnych i wojskowych – uchodźców. Nieoficjalnie wsparł ewakuację internowanych żołnierzy Rzeczypospolitej do Francji, a cywilom zapewnił jak najlepsze warunki egzystencji. Interweniował też osobiście w sprawie uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego uwięzionych w obozie koncentracyjnym[9]. Nakazał węgierskim siłom okupacyjnym we wschodniej Galicji chronić Polaków zagrożonych rzezią ze strony ukraińskich nacjonalistów. Tolerował też przeloty alianckich samolotów, które niosły pomoc powstaniu warszawskiemu. Utrzymywał też z polskimi władzami stosunki dyplomatyczne aż do niemieckiej okupacji Węgier, czyli do 19 marca 1944 r.

Z drugiej strony nie zdecydował się na zerwanie układów z Niemcami i nadal pozostawał formalnie sojusznikiem Rzeszy. Powstrzymywanie się od udziału w wojnie przychodziło mu i jego premierowi, Telekiemu, coraz trudniej. W czerwcu 1940 r. skapitulowała Francja i Hitler stał się faktycznie nieograniczonym decydentem w Europie – od Oceanu Atlantyckiego po Bug i Dniestr.

Również Stalin zrzucił ostatecznie maskę „obrońcy światowego pokoju" i rozpoczął bezwzględną akcję likwidacji niepodległych państw nad Bałtykiem (pochłonięcie Litwy, Łotwy i Estonii i nieudany zamach na Finlandię) i coraz wyraźniej wdzierał się na Półwysep Bałkański, usiłując narzucić swą dominację Rumunii (wymuszenie cesji Besarabii i północnej Bukowiny) oraz Bułgarii i uzyskać wpływ na Jugosławię.

Odstąpienie bez próby oporu znacznej części państwa spowodowało w Rumunii potężny kryzys polityczny i jej nagły zwrot w kierunku Berlina uświadomił zarówno Węgrom, jak i Bułgarii, że nadeszła pierwsza i ostatnia okazja do rewindykacji ziem utraconych po Wielkiej Wojnie. Osłabiona i zszokowana Rumunia nie była wprawdzie w stanie stawić skutecznego oporu, ale mógł to zrobić jej nowy opiekun, zainteresowany nieograniczonym dostępem do ropy naftowej sojusznika i ewentualnym wykorzystaniem jego zasobów do spodziewanej walki na przyszłym froncie wschodnim.

Regent zdawał sobie sprawę z ryzyka narażenia się Niemcom, którzy uważali nowo pozyskanego satelitę za swój wyłączny łup, ale wobec powszechnego oczekiwania poddanych swego królestwa i siedmiogrodzkich Węgrów i Seklerów nie mógł się cofnąć. Aby nie dopuścić do konfliktu zbrojnego i niekorzystnych komplikacji w rejonie dunajskim, Hitler zdecydował się na drugi arbitraż wiedeński, który przyniósł Węgrom przyłączenie Północnego Siedmiogrodu, co oczywiście nie zadowoliło żadnej ze stron, zwłaszcza że niemiecki dyktator w zamian za dobrą usługę narzucił obydwu stronom przystąpienie do Osi i wzajemny sojusz.

---

[9] W polskich opracowaniach prawie nie mówi się o tym, że wszelkie akcje propolskie w latach 1939–1944 były organizowane na rozkaz regenta. Uważani za dobroczyńców Polaków: premier Pál Teleki, minister spraw wewnętrznych Ferenc Keresztes-Fischer i komisarz rządowy do spraw uchodźczych w randze ministra József Antall byli tylko wykonawcami jego poleceń.

Tymczasem w grudniu 1940 r. Mołotow podczas przyjacielskiej wizyty w Berlinie ujawnił zainteresowanie Moskwy nie tylko Rumunią, Bułgarią, Jugosławią i tureckimi cieśninami, lecz także Węgrami. Zbyt wielkie apetyty sowieckiego dyktatora wstrząsnęły Hitlerem, który uznał wówczas rozprawę z sowiecką Rosją za nieuniknioną, a zarówno niemiecki, jak i węgierski wywiad odkryły istnienie sowieckiego, agresywnego planu ofensywnego pod kryptonimem „Burza", skierowanego nie tylko przeciw Niemcom, lecz także przeciw wszystkim zachodnim sąsiadom ZSRR. Pomimo obłudnego zapewniania się o „przyjaźni" i dotrzymywaniu paktu z 23 sierpnia 1939 r. obie strony zaczęły przygotowywać się do ostatecznej rozprawy.

Wobec wyraźnych symptomów naciągającej burzy Węgry starały się trzymać od niej z dala tak długo, jak będzie to możliwe. Choć groźba inwazji bolszewickiej była jak najbardziej realna, to jednak udział w ewentualnej niemieckiej operacji uprzedzającej był nie mniej niebezpieczny. I nie chodziło już nawet o to, że w tym momencie Związek Sowiecki posiadał kolosalną przewagę techniczną i materiałową nad Niemcami, lecz o to, że Wielka Brytania i czekające na włączenie się do wojny Stany Zjednoczone z całkowitą pewnością nie dopuszczą do całkowitego złamania stalinowskiego imperium, ponieważ uczyniłoby to z Hitlera przeciwnika nie do pokonania. O ile pokonanie bogatej w surowce, zindustrializowanej i uzbrojonej po zęby Rosji wydawało się Horthyemu wątpliwe, o tyle jej wsparcie przez największą finansową i przemysłową potęgę świata czyniło taki scenariusz zupełnie nieprawdopodobnym. Niezależnie więc od początkowego przebiegu przyszłej wojny klęska Hitlera wydawała się Horthyemu pewna i nie miał najmniejszej ochoty dzielić jego losu.

Toteż w pierwszym dniu realizacji niemieckiego planu „Barbarossa" regent wprawdzie nie omieszkał ogłosić mobilizacji i złożył sojusznikowi gratulacje z okazji szybkich postępów w wojnie, lecz przezornie nie przyłączył się do inwazji, odkładając kłopotliwą decyzję z dnia na dzień. Wreszcie 27 czerwca 1941 r. sowieckie samoloty SB-2 zbombardowały należące do Węgier Koszyce. Wśród ofiar nalotu znalazły się setki osób cywilnych. Wobec tak jawnego aktu agresji rząd z pominięciem parlamentu ogłosił stan wojny między Królestwem Węgier i Związkiem Sowieckim. W ten sposób czas kruchego pokoju dobiegł końca, a jedyną korzyścią ekipy Horthyego było to, że Węgry przystępowały do niej jako strona zaatakowana, a nie agresor[10]. Było jednak nader wątpliwe, czy Sowieci i zachodnie mocarstwa zechcą o tym pamiętać po zwycięstwie.

Miklós Horthy osiągnął szczyt sukcesów w latach 1938–1940. W ciągu osiemnastu lat jego dotychczasowych rządów zdołał podnieść Węgry z całkowitej ruiny, izolacji i zwątpienia, zintegrować naród, odrodzić go gospodarczo i przystąpić do

---

[10] Przez całe lata zarówno na Węgrzech, jak i w Polsce obowiązywała teza, że nalot na Koszyce był prowokacją niemiecką wykonaną przez lotnictwo rumuńskie za pomocą... polskich Łosi przejętych w 1939 r. Jednak już w 1992 r. Rosja przyznała się do dokonanego bombardowania, których dokonały samoloty SB2. Rzekomo sowieccy piloci pomylili się bo dysponowali przedwojennymi mapami, na których Koszyce znajdowały się w Czechosłowacji, więc myśleli, że bombardują Słowację. Wersja z Łosiami była zresztą od początku absurdalna, gdyż węgierski wywiad wojskowy penetrował Rumunię od połowy lat 30. i doskonale znał jej stan uzbrojenia, a i Łosie były Węgrom doskonale znane z wystaw międzynarodowych i oferty zakupowej z 1938 r. Tak czy inaczej sprawa jest jasna – Sowieci atakując Koszyce, dokonali agresji na Węgry, które nie były z nimi w stanie wojny.

stopniowego lecz bezkrwawego[11] wyzwalania rodaków odciętych od ojczyzny przez brutalny trianoński rozbiór. Proces ten został nagle przerwany przez wybuch drugiej wojny światowej, na co regent nie miał, rzecz jasna, najmniejszego wpływu. Zrobił, co tylko mógł, aby go oddalić, a kiedy wybuchła, starał się jak najdłużej trzymać swój naród z dala od niej. Stało się niestety inaczej i następne lata (1941–1944) były już tylko rozpaczliwą walką o ratowanie przed nieuchronną katastrofą tego, co jeszcze dało się uratować.

Było to zadanie niezmiernie trudne, gdyż oszałamiające sukcesy militarne Hitlera przysporzyły mu w pierwszych latach wojny wielu zwolenników wśród młodego pokolenia Węgrów, a nawet wśród członków sztabu generalnego. Młodzi uważali osiągnięte przez regenta sukcesy za zbyt małe, a politykę rządu za zbyt ostrożną. Narodowo-socjalistyczna partia strzałokrzyżowców wciąż rosła w siłę, a polityków kierujących się zdrowym rozsądkiem ubywało.

W prowadzeniu polityki minimalnego zaangażowania wspierał regenta najbardziej uzdolniony premier, Pál Teleki, któremu udało się przeprowadzić bezkrwawą rewindykację części terytoriów Górnych Węgier, przekreślić hitlerowskie plany wciągnięcia Węgier do akcji przeciw Polsce, odzyskać Północny Siedmiogród i co najważniejsze – przez nieomal dwa lata nie dopuścić do udziału Węgier w konflikcie światowym.

Koniec marca 1941 r. przyniósł ze sobą kryzys jugosłowiański, a Węgry stanęły znów w obliczu wyboru mniejszego zła, gdyż opór przeciw niemieckim żądaniom włączenia się do akcji przeciw temu państwu był niemożliwy. Opinia publiczna, nie rozumiejąc skrupułów rządu, była wówczas zdecydowanie przychylna akcji, więc Teleki, nie widząc możliwości uniknięcia złamania niedawnego traktatu zawartego z Jugosławią, popełnił samobójstwo. Tragiczna śmierć niezłomnego premiera uaktywniła na tyle zwolenników porzucenia neutralności, że pod naciskiem Hitlera Horthy musiał powierzyć urząd szefa rządu sympatykowi narodowego socjalizmu – László Bárdossyemu.

Regent był też pierwszym decydentem w obozie Osi, który już po pierwszej klęsce Niemców w bitwie o Moskwę (grudzień 1941) podjął próbę odstąpienia od zgubnego przymierza i nawiązania bezpośrednich kontaktów z aliantami celem wyprowadzenia Węgier z wojny. Jego decyzji nie zmieniła nawet zwycięska letnia ofensywa niemiecka, która dotarła aż do Stalingradu i Kaukazu. Właśnie w czasie jej trwania udało mu się zdymisjonować mało błyskotliwego, proniemieckiego premiera Bárdossyego i zastąpić go zręcznym i bardzo niechętnym Rzeszy, a przyjaznym Polakom Miklósem Kállayem, który natychmiast energicznie przystąpił do stopniowego wycofywania wojsk węgierskich z frontu wschodniego i do realizacji porozumienia z aliantami. I na pewno nie jest to winą Horthyego ani Kállaya, że Brytyjczycy nie wykazali należytego zainteresowania propozycjami węgierskimi,

[11] Najważniejsze sukcesy Horthyego na tym polu odbyły się na drodze dyplomatycznej (odzyskanie pogranicznego pasa na granicy ze Słowacją (1938) i północnego Siedmiogrodu), a dwie pozostałe (Ruś Karpacka i Bacska) – wskutek akcji militarnej o bardzo ograniczonych skutkach bezpośrednich, które nie mogą być w żaden sposób porównywane co do rozmiarów z akcjami serbskimi, czeskimi i rumuńskimi w 1918 i 1919 r., wskutek których tereny te przypadły Czechosłowacji, Królestwu SHS i Rumunii.

a za to Niemcy okazali się czujni[12]. Widząc brak entuzjazmu w działaniach ofensywnych i stopniowe wycofywanie oddziałów na Węgry, co stwarzało dla nich niebezpieczne sytuacje na tyłach frontu, zażądali wprost wielokrotnego zwiększenia kontyngentu w Rosji do rozmiarów pełnej armii.

Ponieważ Niemcy posiedli dowody „niewłaściwych zachowań" węgierskiego sojusznika, a właśnie stali u szczytu potęgi, wszelki opór był niemożliwy i regentowi nie pozostało nic innego, jak tylko przeciągać pertraktacje w tej sprawie tak długo, jak się da, a wreszcie – ustąpić. Dzięki tej zwłoce udało się uniknąć udziału tej armii w niemieckiej letniej ofensywie[13], ale nie udało się uchronić jej od ciężkiej klęski w styczniu 1943 r., gdy została osaczona przez sowiecką kontrofensywę. Co prawda, w odróżnieniu od niemieckiej 6 Armii, która skapitulowała w Stalingradzie, węgierska 2 Armia zdołała się wyrwać z kotła, ale straciła przy tym 75 proc. stanu osobowego i 90 proc. sprzętu.

Wykorzystując pierwsze miesiące niemieckiego szoku po katastrofie stalingradzkiej, Horthy zdołał wyprowadzić z Rosji resztki 2 Armii i większość sił okupacyjnych oraz zintensyfikować kontakty z aliantami, zaproponował też Anglikom udział w wojnie przeciw Niemcom pod warunkiem utworzenia na Bałkanach Drugiego Frontu (Plan Kállaya) w celu przyspieszenia katastrofy Niemiec i jednocześnie niedopuszczenia bolszewików do Europy Środkowej.

Wprawdzie Churchill skwapliwie podchwycił ten plan[14], który po lądowaniu aliantów na Sycylii i kapitulacji Włoch wydawał się całkiem realny, ale oczywiście nie mógł się on spodobać Stalinowi, który z poparciem prezydenta Roosevelta storpedował go skutecznie podczas spotkania Wielkiej Trójki w Teheranie. Rzecz jasna, Anglicy, mając na uwadze korzyści, jakie czerpali z nieoficjalnego przerwania działań skierowanych przeciw nim przez Węgrów, nie zamierzali ich poinformować o podjętych na tym spotkaniu decyzjach i mamili ich nadal niekończącymi się technicznymi ustaleniami i politycznymi targami.

Nie ulega wątpliwości, że tragedia Węgier i regenta Horthyego polegała w tym momencie na tym, że demokracje zachodnie, a właściwie ich ostoja – Stany Zjednoczone pod rządami prezydenta Roosevelta – dały się w 1943 r. uwieść Stalinowi i jego koncepcji tworzenia nowego, postępowego ładu demokratycznego w Europie i z pełną świadomością skazały na śmierć wszystkie rządy konserwatywne i prawicowe w Europie Środkowej, co zaowocowało wydaniem tego całego rejonu w ręce totalitarnego systemu – bynajmniej nie lepszego od zwalczanego przez nie nazizmu i faszyzmu. Przywódca Węgier, nie mając pojęcia o ustaleniach zapadłych w Teheranie, przez większą część 1943 r. i pierwsze miesiące 1944 r. usilnie

---

[12] W wielu publikacjach zachodnich wprawdzie wspomina się o tej próbie Horthyego, lecz zarzuca mu się... zbyt ostrożne i powolne działania.

[13] Po przybyciu do Rosji objęła ona tereny opuszczone przez Sowietów i zajęła się głównie zadaniami porządkowymi i utrzymywaniem już osiągniętej linii frontu nad Donem. Zob. P. Szabó, *Łuk Donu 1942–1943*, „Bellona", Warszawa 2000, s. 94–114.

[14] Churchill chwalił się, że idea frontu bałkańskiego jest jego pomysłem i że pracował na tym już od 1941 r. Owszem pracował – tyle że front ten miał powstać w Grecji przy współudziale Turcji, co było zupełnie nierealne. Zob. A. Fedorowicz, *Ten plan Churchilla mógł całkowicie zmienić przebieg II Wojny Światowej i powojenną rzeczywistość Polski*, https://www.newsweek.pl/wiedza/historia/historia-alternatywna-genialny-plan-churchilla/3qsb3wg

przygotowywał grunt pod polityczną woltę przeciw III Rzeszy i na przyszłe współdziałanie z aliantami na Bałkanach, czemu miało służyć wstępne porozumienie z jugosłowiańską partyzantką Draży Mihailovicia i ponownie nawiązane kontakty z polską Armią Krajową[15].

Tymczasem mijały kolejne miesiące ustaleń i pertraktacji z Brytyjczykami, podczas których na Froncie Wschodnim zarysowała się już wyraźnie katastrofa Niemiec, cofających swoją linię frontu w kierunku zachodnim na coraz to nowe, „lepsze i z góry upatrzone pozycje". Wobec stale rosnącej materiałowej przewagi Sowietów i coraz większej skuteczności realizowania przez nich kolejnych planów strategicznych stawało się sprawą oczywistą, że mogą oni „wyzwolić" całą Europę Środkową, zanim alianci zdecydują się na działania na terenie Bałkanów[16].

Co gorsza, wielka aktywność tajnej dyplomacji Horthyego została zauważona przez Hitlera, który mając za sobą świeże doświadczenie z włoskim sojusznikiem, nie zamierzał dopuścić do powtórki tego samego scenariusza w Budapeszcie[17] i przygotował skuteczne środki zaradcze. Regent Horthy został przezeń zaproszony do Klessheim w celu „omówienia dalszej współpracy", gdzie poinformowano go o wkroczeniu wojska niemieckich na Węgry i ich okupacji w celu zabezpieczenia przed bolszewizmem i żydowskimi machinacjami. Zaskoczonemu węgierskiemu przywódcy pokazano skwapliwie zbierane dowody zdrady, czyli istnienia tajnych porozumień między Budapesztem i Londynem, i wezwano do usunięcia „zdradzieckiego" premiera Kállaya, zwinięcia „parasola ochronnego" nad mniejszością żydowską i poddania węgierskich sił zbrojnych pod nadzór niemiecki.

Ponieważ inwazja już się rozpoczęła, o pomocy aliantów nie było co marzyć, a opór rozproszonych sił węgierskich byłby bezskuteczny i naraziłby ludność cywilną na straszliwe represje – regent zmuszony był przyjąć niemieckie ultimatum, zastrzegając jedynie niedopuszczenie do władzy strzałokrzyżowców. Hitler łaskawie przyjął te warunki i polecił na stanowisko premiera dotychczasowego ambasadora w Berlinie, Döme Sztójaya, który okazał się bezsilną marionetką w ręku wszechwładnego pełnomocnika Rzeszy Edmunda Veesenmayera i szefa SS Adolfa Eichmanna, wyznaczonego przez wodza Trzeciej Rzeszy do ostatecznego załatwienia na Węgrzech kwestii żydowskiej.

[15] Horthy wychodził z błędnego przekonania, że prawicowe i konserwatywne emigracyjne rządy Polski i rezydujące w Londynie cieszą się całkowitym poparciem konserwatywnego premiera Wielkiej Brytanii i z pewnością, jako znany wróg komunizmu, nie dopuści on do politycznej katastrofy swych sojuszników i nie wyrzeknie się wpływu na tę jakże ważną część Europy. Myśl, że potężne Imperium Brytyjskie stało się po prostu zakładnikiem amerykańskim i satelitą nowego supermocarstwa zapewne nie przyszła ani regentowi, ani jego najbliższym współpracownikom do głowy. Tym bardziej nie mógł się spodziewać, że największy wpływ na decyzje prezydenta Roosevelta ma... sowiecki agent zainstalowany u jego boku jako ekspert od spraw europejskich. Zob. *Jak sowiecka agentura obezwładniła Roosevelta. Cel: pozbawić Polskę suwerenności*, https://niezlomni.com/jak-sowiecka-agentura-obezwladnila-roosevelta-cel-pozbawic-polske-suwerennosci-wideo/. Z tego doświadczenia wyciągnął jednak wnioski premier Orban i zawsze bierze je pod uwagę w stosunkach z unijnymi i amerykańskimi partnerami.

[16] Pewną nadzieją dla Polaków i Węgrów było jednak w tym czasie lądowanie aliantów na Sycylii i kapitulacja Włoch.

[17] J. Kochanowski, *Węgry*, Warszawa 1997, s. 108–109.

Niemieckie władze okupacyjne rozpętały też represje, które objęły nie tylko dotychczasowych przywódców partii opozycyjnych, lecz także wiele osób oddanych regentowi. Kilkaset tysięcy Żydów (zarówno miejscowych, jak i uchodźców z całej Europy) wywieziono do obozów zagłady, a wszelkie kontakty z aliantami zostały przerwane. Regentowi, który utrzymał swoje stanowisko, nie pozostało nic innego, jak tylko – z wykorzystaniem podległej mu administracji – spowalniać akcję „wysiedlania Żydów" i blokować oczekiwane przez Niemców zmiany personalne w armii. Sytuację poprawiła nieco klęska Niemiec w wielkiej bitwie pod Kurskiem. Cała ich uwaga skupiła się na walącym się froncie na Białorusi i Ukrainie, a kontrola polityczna na okupowanych Węgrzech wyraźnie zelżała.

Wykorzystując to, regent odzyskał znaczną część władzy i zdołał zablokować wywóz 200 000 Żydów z Budapesztu, a także wymóc odwołanie Eichmanna. Gdy w Warszawie wybuchło powstanie, kategorycznie zakazał oddziałom węgierskim prowadzenia jakichkolwiek akcji przeciw partyzantom Armii Krajowej. Jednocześnie (ciągle licząc na porozumienie z zachodnimi aliantami) prowadził akcję stopniowego wycofywania wojsk stacjonujących w strefie przyfrontowej na umocnioną linię Karpat, gdzie spodziewał się stawić skuteczny opór Sowietom aż do czasu zawarcia rozejmu z aliantami.

Wydarzenia toczyły się w takim tempie, że przekreśliły jego rachuby. W lipcu i sierpniu zawalił się ostatecznie front na odcinku mołdawskim i armie sowieckie przekroczyły przedwojenną granicę Rumunii, gdzie 23 sierpnia 1944 r. doszło do politycznego przewrotu – dyktatura marszałka Antonescu upadła, a nowy rząd powołany przez króla Michała nie tylko zerwał z dnia na dzień sojusz z Niemcami, lecz także wypowiedział im oraz Węgrom wojnę. Również i w sąsiedniej Słowacji wybuchło powstanie przeciw Niemcom, na którego stronę przeszła znaczna część armii rządowej. Do węgierskiego Siedmiogrodu zaczęły od strony Wołoszczyzny i Mołdawii napływać tysiące zdemoralizowanych i pokonanych żołnierzy III Rzeszy, szukając tu ocalenia.

Na całych Węgrzech sytuacja odwróciła się z dnia na dzień. Tak butne do niedawna wojska okupacyjne nagle spokorniały, oczekując ratunku od „zdradzieckiego" sojusznika i nader chętnie poddawały się pod rozkazy węgierskiego dowództwa. Wykorzystując to, Horthy natychmiast pozbył się narzuconego przez Niemców premiera Sztójaya (29 sierpnia 1944)[18], mianując na jego miejsce względnie wiernego regentowi generała Gézę Lakatosa, i ponownie nawiązał zerwane rokowania z aliantami. Hitler, zszokowany wybuchem powstania warszawskiego, niedawnym zamachem Stauffenberga i katastrofą na froncie rumuńskim, milcząco zaakceptował te decyzje, licząc na niedający się pogodzić antagonizm węgiersko-rumuński, a także na to, że niepewne Węgry i tak będą teraz musiały podjąć walkę w obronie własnych granic.

I rzeczywiście tak właśnie się stało. Rozmowy z aliantami, rozpoczęte już 1 września 1944 r., a toczące się w Bernie, Rzymie i Londynie, zakończyły się bowiem fiaskiem. Amerykanie w ogóle nie kwapili się do jakichkolwiek rozmów, a Brytyjczycy zrzucili wreszcie maskę życzliwości i wprost oświadczyli Węgrom,

---

[18] M. Sowa, *Siedmiogród 1944*, Warszawa 2005, s. 62.

że znalazły się one w przyszłej sowieckiej strefie wpływów, i życzliwie doradziły zwrócenie się o zawieszenie broni wprost do Moskwy.

Stanowisko takie było dla Horthyego ciężkim ciosem, a wobec prób wdzierania się Rumunów i Rosjan do północnego Siedmiogrodu i braku nadziei na utrzymanie go w powojennych granicach nie pozostało nic innego jak kontynuacja wojny. Wycofanie się z niej na warunkach stawianych przez Stalina było teraz niezmiernie trudne, ponieważ Węgrzy, którzy przedtem nie przejawiali wielkiego zapału do przelewania krwi za interesy butnego sojusznika, teraz z zapałem i determinacją przystąpili do skutecznej obrony własnych granic w Karpatach Wschodnich, a na południowych rubieżach, nieoddzielonych od Rumunii żadną naturalną przeszkodą, gotowi byli uprzedzić atak rumuńsko-sowiecki.

Horthy, licząc na to, że pomyślna ofensywa ukazująca siłę Węgier i militarną wartość ich armii uzmysłowi aliantom ich błędną politykę i skłoni do zmiany decyzji oraz przyjęcia zawieszenia broni na korzystnych dla Węgier warunkach, a w najgorszym razie – nawet z Rosjanami lepiej będzie rokować w korzystniejszej sytuacji militarnej niż w chwili ostatecznej klęski. Ostatnia militarna ofensywa wojsk węgierskich w dotychczasowej historii kraju rozpoczęła się 13 września 1944 r., a w ciągu kilku następnych dni osiągnęła znaczne sukcesy w południowej części Siedmiogrodu, lecz nie zrealizowała zamierzonego celu politycznego – zachodni alianci nie zmienili stanowiska, a Stalin nie był skłonny do zmiany warunków zawieszenia broni – wycofania się Węgier na granice sprzed 1937 r. i natychmiastowego wypowiedzenia wojny Niemcom[19].

Nastąpił koniec złudzeń. Horthy zrozumiał, że sprawa utrzymania państwa w etnicznych granicach jest stracona i gra toczy się już tylko o ocalenie kraju przed zniszczeniem i zachowanie resztek suwerenności politycznej. Dlatego pod koniec września przedstawił sztabowi generalnemu swój nowy (i ostatni w jego karierze) plan polityczno-militarny: 1) Węgry w najbliższym czasie zwrócą się do Rosjan z prośbą o zawieszenie broni, 2) wojska węgierskie pozostaną na swoich pozycjach, aby umożliwić Niemcom ewakuację z Węgier, 3) Niemcy zostaną poinformowane o zawartym zawieszeniu broni, a ich wojska bez walki opuszczą terytorium Węgier, nie dokonując żadnych zniszczeń i aktów przemocy, 4) po wycofaniu się Niemców Węgrzy przyłączą się czynnie do walki z III Rzeszą na terenie Austrii i udostępnią Armii Czerwonej szlaki komunikacyjne niezbędne do dalszego prowadzenia wojny, 5) Armia Czerwona będzie traktowała Węgry jak kraj sprzymierzony, wystrzegając się w nim wszelkich aktów przemocy, 6) zostanie powołany nowy rząd z udziałem przedstawicieli partii lewicowych, 7) Węgry ewakuują swe wojska na granice z dnia 31 grudnia 1937 r., 8) o przyszłości ustrojowej Węgier zadecydują wolne wybory parlamentarne, a o powojennych granicach – konferencja pokojowa.

28 września 1944 r. w tajemnicy przed Niemcami z takimi prepozycjami wyruszyła do Moskwy węgierska delegacja, którą Stalin przyjął 8 października, w zasadzie akceptując przedłożoną mu propozycję. Domagał się jednak szybszego

[19] Wydarzenia te opisał w literaturze węgierskiej I. Milotay, *Egy élet Magyarországért*, Gede Kiadó, Budapest 2001. W polskiej literaturze w sposób najdokładniejszy, lecz najbardziej niekorzystny dla regenta Horthyego: T. Olszański, *Spotkania z Węgrami*, Warszawa 1982, s. 28–34.

przystąpienia Węgier do walki z Niemcami. Ostatecznie Horthy warunki te przyjął z wyjątkiem punktu o uderzeniu na Niemców w chwili ich wycofywania się z Węgier, na co Rosjanie wyrazili zgodę, uznając, iż bezkrwawe dotarcie na przedpole Wiednia jest więcej warte niż demonstracja militarna. Uzgodniono, że Rosjanie 12 października wstrzymają działania ofensywne przeciw Węgrom, aby umożliwić przerzucenie znacznej części oddziałów węgierskich w rejon Budapesztu, a ogłoszenie zawieszenia broni i wypowiedzenie sojuszu z Niemcami nastąpi w południe 15 października 1944 r.

Pomimo zachowanych środków ostrożności działania te nie uszły uwadze Niemców, którzy biorąc pod uwagę niedawne wydarzenia we Włoszech i Rumunii, opracowali przeciw nim własny plan awaryjny (operację „Panzerfaust"), polegający na porwaniu jedynego syna Horthyego, zaszantażowanie starego regenta, a w najgorszym razie opanowanie jego rezydencji – Wzgórza Zamkowego w Budzie – i przejęcie dowództwa nad armią węgierską za pomocą oddanych narodowo-socjalistycznych oficerów – sympatyków partii Szálasiego.

W umówionym dniu ogłoszenia zawieszenia broni niezawodna grupa niemieckich spadochroniarzy dowodzona przez Otto Skorzennego całkowicie zaskoczyła w Budapeszcie siły wierne regentowi, który pomimo porwania syna zdążył nadać przygotowany komunikat radiowy, zanim sam dostał się w ręce Niemców, którzy wymogli na nim zrzeczenie się pełnionej funkcji i przekazanie stanowiska premiera Szálasiemu. Trwająca 24 lata era Horthyego dobiegła tragicznego końca.

Zawieszenie broni zostało odwołane, oficerowie wierni regentowi usunięci, strzałokrzyżowcy rozpętali nieograniczony terror, całe terytorium państwa zostało stopniowo zalane przez „wyzwalające je" oddziały radzieckie, dopuszczające się wszędzie masowych gwałtów i zbrodni, a Budapeszt w wielkiej części obrócono w ruinę[20].

Regent nigdy już nie powrócił na Węgry. Uwięziony przez Niemców, został na wiosnę 1945 r. uwolniony przez Amerykanów. W procesie norymberskim zeznawał jako świadek niemieckich zbrodni. Nie ufając zachodnim liberalnym demokracjom, osiadł wreszcie na stałe w salazarowskiej Portugalii, gdzie zmarł w wieku 90 lat w 1957 r.

Przez długie dziesięciolecia zarówno lewica, liberałowie, Żydzi, konserwatyści, jak i skrajna prawica odmalowywali go i czas jego rządów w najczarniejszych barwach. Komuniści zarzucali mu „biały terror", jaki miał rozpętać po stłumieniu Republiki Rad, oraz udział w wojnie ze Związkiem Sowieckim; konserwatywni monarchiści – uniemożliwienie restauracji monarchii Habsburgów w 1921 r.; Żydzi – ustawy antyżydowskie i brak sprzeciwu wobec wywózki do obozów zagłady; skrajna prawica – za mało zdecydowany antysemityzm i chronienie Żydów oraz ograniczenie rewizji granic do terytoriów etnicznie węgierskich; liberałowie – udział w rozbiorze ich ukochanej, wzorowej demokracji, tj. Republiki Czechosłowackiej, nacjonalizm i rewizjonizm, a także brak odwagi w stanięciu po właściwej stronie w drugiej wojnie światowej, a intelektualiści – dopuszczenie do zniszczenia Budapesztu i narażenie milionów Węgrów na cierpienie z powodu sowieckiej okupacji.

---

[20] J. Kochanowski, dz. cyt., s. 112–113.

Nie pamiętano o tym, że biały terror był tylko spontaniczną odpowiedzią rodzin ofiar poprzedniego czerwonego terroru dyktatury Béli Kuna, a do wojny ze Związkiem Radzieckim Horthy przystąpił bez entuzjazmu dopiero po bezpośrednim ataku sowieckiego lotnictwa na Koszyce. Ograniczone ustawy antyżydowskie były odpowiedzią na masowy udział Żydów w przewrocie komunistycznym i powołanym przez niego aparacie terroru. Rzekomy brak reakcji na wywóz setek tysięcy Żydów do obozu zagłady jest ewidentną nieprawdą, gdyż przez pierwsze lata wojny regent nie tylko nie ograniczał swobody miejscowej ludności żydowskiej, lecz także udzielał schronienia uchodźcom z sąsiednich krajów, a w czerwcu 1944 r. jego bezpośrednia interwencja powstrzymała wywózkę 200 000 Żydów. Chociaż jest prawdą, że od marca do czerwca 1944 r. z Węgier wywieziono setki tysięcy Żydów na śmierć, to przecież kraj był w tym czasie okupowany, a sam regent odsunięty od jakichkolwiek decyzji. Z kolei rzekomy filosemityzm regenta i jego zbyt skromne żądania terytorialne wobec sąsiadów i ograniczenie się do terytoriów etnicznie węgierskich podyktowane były realizmem i chęcią uchronienia Węgier przed zemstą spodziewanych zwycięzców. Udział w rozbiorze Czechosłowacji nastąpił po konferencji monachijskiej, w której liberalne mocarstwa zachodnie wydały ją cynicznie na łup Hitlerowi, i ograniczył się jedynie do żądania odstąpienia terytorium bezspornie zamieszkałego przez Węgrów, co nastąpiło bez użycia przemocy militarnej. Rzekomy brak odwagi w zerwaniu przymierza z Niemcami jest zupełnie absurdalny, gdyż Węgry w 1939 r. zrobiły wszystko, co w ich mocy, aby oddalić wojnę w czasie kampanii wrześniowej, zdobyły się na ryzykowne działania propolskie i ostatecznie udzieliły Polsce i Polakom większej pomocy niż którykolwiek z jej oficjalnych sojuszników. Natomiast po upadku Polski zostały całkowicie otoczone przez III Rzeszę i państwa od niej zależne. Każda akcja antyniemiecka byłaby w tych warunkach oczywistym samobójstwem. Wojnę ze Związkiem Sowieckim Horthy podjął wbrew sobie i z konieczności, a kontakty z aliantami i próby wycofania się z wojny i przejścia na stronę przeciwników Hitlera podjął już na wiosnę 1942 r., a więc jeszcze przed klęską stalingradzką. Na to, że nie zakończyła się ona sukcesem, nie miał żadnego wpływu – cała wina za niepowodzenie tego przedsięwzięcia spada wyłącznie na premiera Churchilla, który nie chciał się wówczas narazić Stalinowi, a po konferencji w Teheranie cynicznie zwodził Horthyego w dalszych pertraktacjach, ukrywając przed nim fakt, że wraz ze swym potężniejszym aliantem, Rooseveltem, oddali całą Europę Środkową w wyłączne władanie Stalinowi. Nie był też Horthy w żaden sposób odpowiedzialny za zniszczenie Budapesztu i cierpienia narodu węgierskiego. Przeciwnie, zrobił, co tylko mógł, aby uratować stolicę i swoich rodaków – ograniczał ich udział w wojnie do minimum i nie chciał dopuścić do zmagań niemiecko-sowieckich na ziemiach Węgier. Wykonanie tego (najzupełniej realnego planu) uniemożliwiła mu błyskawiczna kontrakcja niemiecka, która zakończyła jego karierę polityczną. Regent nigdy nie popierał węgierskich narodowych socjalistów i ich wodza Szálasiego, których zawsze trzymał z dala od władzy, a samego przywódcę permanentnie izolował w więzieniu. W żaden sposób nie odpowiada więc ani za ich szaleństwa, ani za zbrodnie.

Trzeba też powiedzieć, że mimo całego ogromu klęski, jaką była dla Węgier II wojna światowa, to tylko dzięki umiejętnej polityce Horthyego ich los był i tak

lepszy niż po I wojnie światowej. W stosunku do przedwojennego stanu terytorialnego straciły tylko trzy wsie na przedpolu Bratysławy, a nie 3/5 terytorium, a kilkuletnia przerwa w obcej okupacji, jaką uzyskał dla swych rodaków w Górnych Węgrzech, północnym Siedmiogrodzie i w Baczce, na trwale przeszkodziła w ich dalszym wynarodowieniu i ostatecznie umożliwiła obecnemu rządowi węgierskiemu wiele działań na rzecz ich praw i związku z ojczyzną. Co prawda Węgry czekał potworny czas stalinowskiej dyktatury Rákosiego, stłumione powstanie 1956 r., nowa okupacja sowiecka i represje kadarowskie, ale nikt po drugiej wojnie światowej nie kwestionował ich istnienia w nowych granicach, jak to miało miejsce w 1919 r. Sam regent, choć nigdy nie doczekał się wdzięczności rodaków za życia, został w nich wreszcie oficjalnie doceniony po śmierci – w 2017 r.[21].

Jakie wnioski wyciągnął naród węgierski z doświadczeń rządów Miklósa Horthyego?

Po pierwsze: Węgry podniosły się w ciągu kilkunastu lat ze stanu całkowitego upadku militarnego, gospodarczego i moralnego dzięki porzuceniu nowoczesnego, europejskiego republikańskiego kosmopolityzmu, liberalizmu i komunizmu na rzecz tradycyjnej ideologii narodowej ucieleśnionej w najświętszym symbolu – Koronie Świętego Stefana, co pozwoliło im się oderwać od dna i podjąć współzawodnictwo z innymi narodami na polu techniki, nauki, kultury i sportu.

Po drugie: sukces był możliwy dzięki umiarkowanej polityce wewnętrznej regenta, opartej na etyce chrześcijańskiej, a odrzucającej wszelkie skrajności.

Po trzecie: sukcesy w polityce zagranicznej osiągnięto przez twarde stawianie własnego interesu narodowego ponad abstrakcyjnymi hasłami wspólnotowymi, wytrwałe poszukiwanie politycznego partnera, pozwalające na wyrwanie się z izolacji, na które skazały Węgry Francja i państwa zaborcze, oraz konsekwentne okazywanie troski o los rodaków na ziemiach odebranych i dążenie do ich wyzwolenia na drodze pokojowej.

Po czwarte: nieszczęściem Miklósa Horthyego okazało się całkowite otoczenie Węgier przez potężnego partnera i sąsiada, który pchał je wbrew woli regenta w kierunku nieuniknionej katastrofy. Dlatego należy dbać o to, aby Węgry nigdy nie znalazły się ponownie w takiej sytuacji, w której zostaną ze wszystkich stron otoczone przez mocarstwo mające ambicje uniwersalne i pragnące uszczęśliwić świat kolejną „jedynie słuszną, postępową" ideologią.

Po piąte: podobnie jak w przypadku Wiosny Ludów, wypadków z 1918 r. i 1919 r., a także 1942–1944 r., okazało się, że zachodnie mocarstwa liberalne są Węgrom nieprzyjazne i chętnie poświęcają je na rzecz własnych interesów. Nie można ani dać się uwieść ich indywidualistycznej ideologii, promującej postępowe i rzekomo uniwersalne wartości, ani zawartym z nimi umowom i traktatom.

---

[21] Z okazji przypadającej w 2017 r. 150. rocznicy urodzin regenta premier Orban wyraził uznanie dla niego w następujących słowach: „Druga i trzecia dekada XX wieku stanowiły poważne wyzwania w węgierskiej historii. Były to przegrana w wojnie światowej, 133 dni Czerwonego Terroru, Traktat z Trianon – jeśli nie zmiażdżyły nas pod stopami historii, to stało się tak dzięki garstce wyjątkowych mężów stanu, regentowi Miklósowi Horthyemu, premierowi Istvánowi Bethlenowi i ministrowi Kuno Klebelsbergowi. Bez regenta nie byłoby premiera. A bez premiera nie byłoby ministra. Ten fakt nie może być podawany w wątpliwość, bez względu na smutny udział Węgier w drugiej wojnie światowej" (Zob. *Viktor Orbán chwali rządy Horthyego*, https://kresy.pl/wydarzenia/regiony/europa-srodkowa/viktor-orban-chwali-rzady-horthyego/).

≡ 5) Doświadczenia okresu dyktatury Szálasiego, drugiej republiki liberalnej, komunistycznej, stalinowskiej dyktatury Rákosiego, powstania 1956 r. i socjalizmu gulaszowego Jánosa Kádára (1944–1989).

Następne czterdziestopięciolecie dziejów Węgier jest dobrze znane i w olbrzymiej większości opracowań i komentarzy oceniane negatywnie[22], dlatego nie ma potrzeby omawiać go tu tak dokładnie jak poprzedniego okresu.

Półrocze wspólnych rządów Szálasiego i niemieckiego dowództwa wojskowego oraz nieudolność sowieckich dowódców, wysyłających na śmierć coraz to nowe fale swych podkomendnych, doprowadziły Węgry do ruiny. Pod ciosami czerwonoarmistów umierały stare Węgry i ich tradycyjna struktura społeczna, a przede wszystkim bardzo liczna patriotyczna warstwa drobnej szlachty (*gentry*) i powołanych do życia przez Horthyego witeziów, na których opierało się odrodzenie międzywojennego dwudziestolecia. Cywilna administracja węgierska podległa Rządowi Tymczasowemu gen. Béli Miklósa von Dálnokiego[23], obejmująca stopniowo tereny, z których wyparto Niemców i nilaszowców, ani nie potrafiła obronić ludności przed sowieckimi gwałtami, ani przed świeżo sprowadzonymi i panoszącymi się wszędzie działaczami partii komunistycznej. Jej autorytet był zerowy. Sowieci zupełnie ją lekceważyli, komuniści ignorowali, a zwykli ludzie – gardzili nią.

Po zakończeniu działań wojennych całe Węgry znalazły się pod wyłączną kontrolą Armii Czerwonej, choć oficjalnie nadrzędną władzą mającą nadzorować okupowany kraj była Komisja Międzysojusznicza, działająca w imieniu wszystkich zwycięskich mocarstw. Stan ten miał trwać aż do pierwszych całkowicie wolnych wyborów. W rzeczywistości (tak jak wszędzie w krajach okupowanych przez Stalina) miały być dalekie od wolności, gdyż od razu wykluczono z nich partie faszystowskie, przez co rozumiano wszelkie organizacje skupiające sympatyków regenta i formacje zachowawcze.

Dopuszczono więc tylko dawną opozycję lewicową złożoną z socjaldemokracji i partii chłopskich, co spowodowało, że głównym rywalem startujących również w wyborach komunistów stała się Niezależna Partia Drobnych Posiadaczy[24], wsławiona zdecydowanym oporem przeciw Niemcom i narodowym socjalistom na polu parlamentarnym w okresie wojennym.

---

[22] Z wyjątkiem całego morza publikacji powstałych w czasach dominacji sowieckiej. Poza urzędowymi pochwałami zawartymi w pracach pisanych na zamówienie władz zarówno Polski, jak i Węgier warto tu przytoczyć cytowaną już książkę T. Olszańskiego (*Spotkania z Węgrami*, Warszawa 1982), stanowiącą prawdziwy hymn pochwalny na cześć genialnego Kádára i stworzonego przezeń systemu. Szczególnie zabawny jest rozdział *Jak Węgry wyszły z kryzysu*, napisany już w czasach, gdy system zaczął się walić i sami aparatczycy byli zdania, że „gospodarka Węgier znalazła się w stanie śmierci klinicznej”.

[23] J. Kochanowski, dz. cyt., s. 115.

[24] Węg. – *Független Kisgazdápart*. Słowo *kisgazda* tłumaczone jest zwykle jako „drobny rolnik”, stąd częste określenie tego ruchu jako Niezależna Partia Drobnych Rolników (NDPR), ale nie wydaje się to właściwe. *Gazda* oznacza bowiem człowieka posiadającego własne gospodarstwo lub własny zakład pracy, czyli „gospodarza” lub ściślej „posiadacza”. Stąd skrót występujący w tym opracowaniu – NPDP (Niezależna Partia Drobnych Posiadaczy).

Międzynarodowo

Pierwsze powojenne wybory odbyły się 6 listopada 1945 r. i pomimo licznych nadużyć i szantażu politycznego ze strony sowieckich władz okupacyjnych skończyły się one spektakularnym zwycięstwem NPDP (57 proc.), dobrym wynikiem socjaldemokratów (17,4 proc.) i mizernym wynikiem komunistów, których przedstawiano przed wyborami jako faworytów (16,9 proc.).

Mimo to wszechmocny Stalin nie dopuścił do powstania większościowego rządu NPDP, który miał prawo obsadzić wszystkie ministerstwa, lecz wymógł powołanie „gabinetu pojednania narodowego", w którym komunistom przypadły trzy kluczowe ministerstwa, z resortem spraw wewnętrznych na czele, oraz specjalne ministerstwo stanu dla przewodniczącego partii, Matyasa Rákosiego (wł. Rosenfelda). Zwycięska NPDP uzyskała stanowisko premiera[25] i osiem ministerstw. Cztery przypadły socjaldemokratom, a jedno komunizującej Narodowej Partii Chłopskiej.

Z punktu widzenia komunistów najważniejsze było uzyskanie ministerstwa spraw wewnętrznych, gdyż umożliwiło im to stworzenie wyłącznie im podległego sprawnego aparatu represji. O tym, jak mało liczono się ze zdaniem premiera, świadczyło szalone tempo wprowadzania kolejnych reform, które całkowicie przeobrażały dotychczasowy ustrój gospodarczy (nacjonalizacja przemysłu i banków). Następnie, 1 lutego 1946 r., formalnie zniesiono monarchię i dawne godło państwowe, proklamując Republikę Węgierską i nowe godło państwowe (tzw. herb Kossutha bez Korony Świętego Stefana).

Druga Republika też formalnie odzyskała suwerenność, ale była to fikcja, bo Stalin mimo to zastrzegł sobie stałą obecność wojsk sowieckich na Węgrzech, aby zapewnić łączność komunikacyjną ze strefą okupacyjną w Austrii.

Zresztą już wkrótce też kolejny eksperyment liberalny miał zakończyć się podobnie jak pierwszy, to znaczy przekazaniem władzy komunistom. Przyczyną był nie tylko nacisk Stalina w postaci wojsk sowieckich i sprawny aparat represji w rękach komunistów, lecz także – a może nawet przede wszystkim – niska jakość polityków NPDP, Socjaldemokracji i brak wśród nich jakiejkolwiek silnej osobowości, która mogłaby się przeciwstawić tym naciskom i umiejętnym intrygom Rákosiego (tzw. taktyka salami).

W efekcie drugi premier republiki, Ferenc Nagy, został oskarżony o zdradę stanu, zmuszony do rezygnacji i emigracji, kierownictwo partii przeszło w ręce ludzi chwiejnych i uległych wobec komunistów, a sama NPDP popadła w kryzys wewnętrzny i uległa licznym podziałom.

W tej sytuacji doszło do kryzysu parlamentarnego i nowych wyborów (31 sierpnia 1947 r.), które oczywiście wygrali komuniści, choć i teraz ich wynik nie był imponujący (22,3 proc. głosów i 100 mandatów w parlamencie). Partie niekomunistyczne uzyskały co prawda 78 proc., ale były teraz rozproszone (NPDP uzyskała wśród nich najlepszy wynik – 15,4 proc.) i beznadziejnie skłócone. Zaskakujące było to, że nawet w takiej sytuacji komuniści nie sięgnęli po urząd premiera, lecz odstąpili go „wspaniałomyślnie" słabemu dotychczasowemu premierowi z ramienia NPDP – Lajosowi Dinnyésowi. Powodem było ogłoszenie 10 lutego 1947 r. warunków pokoju paryskiego, narzuconego wszystkim byłym sojusznikom

[25] Został nim prezes NPDP – Zoltán Tildy.

III Rzeszy. Dla Węgier okazał się on niezmiernie podobny do znienawidzonego dyktatu z Trianon i komuniści (pomimo ich deklarowanej pogardy dla nacjonalizmu) nie chcieli się obciążać koniecznością złożenia pod nim podpisu.

NPDP stała się tylko żałosną i bezsilną atrapą, maskującą na zewnątrz komunistyczną dyktaturę, a proces przemieniania liberalnej republiki w „demokrację ludową" potoczył się teraz w tempie błyskawicznym. 12 czerwca 1948 r. komuniści wchłonęli na zjeździe zjednoczeniowym swojego największego socjaldemokratycznego konkurenta, a 20 sierpnia 1949 r. przyjęto nową konstytucję, która stanowiła wierną kopią sowieckiej konstytucji stalinowskiej, i nowe godło, zaprojektowane osobiście przez Rákosiego[26]. W ten sposób narodziła się najdoskonalsza kopia „ojczyzny komunizmu" z „najlepszym uczniem Stalina" na czele.

Lata 1949–1953 należą z pewnością do najczarniejszych w historii Węgier. Nie dość, że całkowicie straciły suwerenność, a współrodacy na ziemiach zabranych zostali poddani przy całkowitej obojętności ze strony Budapesztu bezwzględnej asymilacji, to jeszcze cały kraj i jego ludność zostały w każdej dziedzinie poddane obłędnemu marksistowskiemu eksperymentowi, który miał z nich wykorzenić dotychczasową tożsamość.

Ponadto psychopatyczny „genialny przywódca" Rákosi przeprowadzał systematyczną fizyczną likwidację „elementów wstecznych" i „wszystkich potencjalnych wrogów", poczynając od „niedobitków faszystowskich ery Horthyego", poprzez „V kolumnę reakcji w ruchu robotniczym", czyli socjaldemokratów, „ostatnią nadzieję wstecznego kułactwa, czyli działaczy NPDP", „czarnosukienkową reakcję wa-tykańską", czyli Kościół katolicki z prymasem Mindszentym na czele, aż po „ohydnych titoistowskich agentów, którzy wkradli się do zdrowego ciała Węgierskiej Partii Pracujących, aby ją zniszczyć na podobieństwo nowotworu", czyli najbardziej uzdolnionych towarzyszy, którzy mogli być w przyszłości konkurencją dla „najlepszego ucznia Stalina"[27].

W efekcie tych rewolucyjnych kroków Rákosi osiągnął tylko jedno – powszechną nienawiść Węgrów do komunizmu i jego sowieckich nosicieli. Dopiero nagła śmierć Stalina przytłumiła nieco szaleństwa „czerwonego karła" i wraz z dyrektywami nowego kolektywnego kierownictwa z Moskwy zmusiła go do pewnego poluzowania systemu i podzielenia się władzą z reformistycznie nastawionym Imre Nagyem, odgrywającym w Węgierskiej Partii Pracujących rolę nieco podobną do Władysława Gomułki w Polsce[28].

Węgierska skromna „odwilż" trwała jednak zaledwie rok i zakończyła się powrotem Rákosiego do władzy, a Nagy, propagujący „komunizm z ludzką twarzą", został za „oportunizm" i „prawicowe odchylenie" pozbawiony stanowiska i wyrzucony

Międzynarodowo

---

[26] J. Kochanowski, dz. cyt., s. 125–126.

[27] Monstrualny emblemat doskonale wyrażał pogardliwy stosunek dyktatora do Węgier i do narodu węgierskiego – centrum wypełniała tarcza z sierpem i młotem zwieńczona czerwona gwiazdą. Elementem narodowym była tylko znajdująca się pod tarczą wąska trójkolorowa wstążka.

[28] Obydwaj uważali się za proletariackich patriotów, prowadzili bardzo skromny, nieomal ascetyczny tryb życia i obydwaj (co było wśród komunistów wyjątkiem) nie popierali kolektywizacji rolnictwa.

z partii. Rákosi, który przez wzgląd na nowego przywódcę światowego komunizmu przestał być „najlepszym uczniem Stalina", nie zdołał jednak poprzednimi metodami opanować narastającej fali oporu społecznego i dlatego wreszcie w lipcu 1956 r. na skutek bezpośredniej interwencji sowieckiego wicepremiera Anastasa Mikojana został pozbawiony władzy i wywieziony do ZSRR, gdzie zmarł w zapomnieniu w 1971 r.

Odjeżdżając, Mikojan polecił na następcę usuniętego dyktatora jego współpracownika, Ernő Gerő, który okazał się nie mniej dogmatyczny od poprzednika, natomiast był od niego o wiele mniej sprytny.

Efekty nie dały na siebie długo czekać. Wydarzenia październikowe w Polsce spotkały się na Węgrzech z ogromnym poparciem społecznym i poskutkowały wielkimi demonstracjami, które w wyniku prowokacji ze stronty służby bezpieczeństwa (AVH) doprowadziły 23 października 1956 r. do wybuchu powstania narodowego przeciw znienawidzonej władzy, a to wkrótce przekształciło się w walkę z interweniującymi w jej obronie wojskami sowieckimi.

Dopiero rozszerzające się powstanie i jego pierwsze sukcesy zmusiły komunistów do przeprowadzenia zmian personalnych na najwyższym szczeblu, ale nie zdołało to uratować skompromitowanej partii przed rozwiązaniem, a nowo utworzony rząd premiera Nagya musiał pod naciskiem chwili zgodzić się na wprowadzenie systemu wielopartyjnego, przywrócenie godła Kossutha i wycofanie wojsk sowieckich z Węgier, a na koniec na ogłoszenie ich neutralności[29].

Sowieci, których pierwsza interwencja militarna w Budapeszcie zakończyła się klęską (30 października 1956 r.), pozornie zgodzili się na to wszystko i zaprosili węgierską delegację rządową i wojskową na przyjacielskie rozmowy mające ustalić harmonogram wycofywania wojsk do ZSRR.

Jednakże był to tylko podstęp mający pozbawić Węgrów kadry dowódczej w momencie nowej interwencji. Delegacja została uwięziona, a rankiem 4 listopada 1956 r. nastąpiła druga, o wiele potężniejsza interwencja zbrojna, która w ciągu kilku dni stłumiła wszelki opór. Trzynastodniowy premier Imre Nagy i jego najbliżsi współpracownicy zdołali schronić się w ambasadzie Jugosławii, nie zdając

---

[29] Ponieważ po upadku powstania największą rolę wśród emigracji na Zachodzie odegrali lewicowi inteligenci, stworzyli tam mit lewicowej rewolucji przeciw wypaczeniom systemu. Zachód jest do dziś przekonany, że ofiarami represji Rákosiego, a także głównymi bohaterami wydarzeń 1956 r. byli nieprawomyślni ideowi komuniści: stracony w 1949 r. Lászlo Rajk, premier Imre Nagy i generał Pál Maléter. Przykładem jest: V. Sebestyen, *Twelve Days: Revolution 1956*, London 2006. I jakoś nikomu nie przychodzi do głowy, że Rajk był w latach 1946–1948 bezwzględnym ministrem spraw wewnętrznych, odpowiedzialnym za terror komunistyczny w tym kluczowym okresie, łagodny Imre Nagy nie tylko był w młodości członkiem Czeka i plutonu egzekucyjnego, który eksterminował cara Mikołaja II wraz z rodziną, ale w pierwszych dniach powstania usiłował stłumić je siłą, a Pál Maléter nawet fizycznie walczył przez pewien czas z powstańcami. Oczywiście nie zmienia to faktu, że Rajk zginął jako ofiara Rákosiego po sfingowanym procesie, Nagy uznał racje powstańców i przywrócił system wielopartyjny, za co zapłacił głową, a Maléter przeszedł na stronę walczących o wolność i skutecznie tą walką kierował. Rzecz tylko w tym, że nikt nie pamięta, iż tysiące powstańców „nie chciało komunizmu", lecz narodowych Węgier, a najdłużej broniący się przywódca Narodowego Frontu Niepodległościowego, József Dudàs, walczył od pierwszej do ostatniej chwili powstania, a potem był nieludzko torturowany i zamordowany w sposób o wiele bardziej upokarzający od lewicowych bojowników. Nikt mu nie stawia pomników, nie ma skweru ani ulicy, nikt nawet go nie wspomina.

sobie sprawy z tego, że belgradzki dyktator już wcześniej sprzedał ich Sowietom podczas spotkania z Chruszczowem na wyspie Veliki Brijun.

Sowiecka interwencja zbrojna musiała się, rzecz jasna, odbyć zgodnie z odwieczną rosyjską tradycją na zaproszenie „miejscowych patriotów". Rolę szefa węgierskiej targowicy odegrał niegdyś więziony przez Rákosiego i współpracujący z Imre Nagyem założyciel odnowionej partii komunistycznej – cyniczny oportunista János Kádár, którego w nagrodę wszechwładny Nikita Chruszczow desygnował na „namiestnika" ujarzmionego kraju.

On też, dzięki niesłychanej giętkości politycznej i szybkości dokonywania kolejnych wolt, zgodnych z aktualnymi tendencjami dominującymi w Związku Sowieckim (decentralizacja, centralizacja, kolejna centralizacja i wreszcie liberalizacja i decentralizacja gospodarki), a także za wiernopoddańcze gesty składane kolejnym gensekom (Chruszczowowi, Breżniewowi, Andropowowi, Czernience i wreszcie Gorbaczowowi), zdołał utrzymać się u władzy nieomal do końca komunizmu.

Zanim jednak poświęcimy kilka słów opisowi i ocenie jego epoki, godzi się jeszcze wspomnieć o niechlubnej roli Stanów Zjednoczonych i ich europejskich sojuszników w przeddzień powstania 1956 r., w jego trakcie i w czasach represji po jego stłumieniu, gdyż to doświadczenie ma zasadnicze znaczenie w zrozumieniu obecnej polityki premiera Viktora Orbána wobec liberalnych demokracji Zachodu. Otóż władze USA w miesiącach i tygodniach poprzedzających wybuch powstania w Budapeszcie niewątpliwie w ogromnym stopniu przyczyniły się do tragicznych wydarzeń, wzywając Węgrów za pośrednictwem rozgłośni Radia Wolna Europa do radykalnych działań i nie szczędząc im konkretnych obietnic pomocy.

Ponieważ ta rozgłośnia cieszyła się w czasach dyktatury Rákosiego ogromną popularnością i zaufaniem, otwarte wezwania do obalenia systemu i podjęcia walki odnosiły piorunujący skutek. Kiedy powstanie wybuchło, RWE nieomal czynnie włączyło się do akcji, wpływając pośrednio na zawrotne tempo wydarzeń, eskalację oczekiwań walczących Węgrów oraz podobną eskalację zadań grup powstańczych[30] i nacisk na ich realizację przez nowo utworzony rząd Nagya.

Było to tym bardziej cyniczne i wątpliwe moralnie, że w tym samym czasie, w którym RWE nadawało gorące apele wzywające do walki i obiecujące poparcie „wolnego świata", prezydent Eisenhower zapewnił Chruszczowa, że USA uważają Węgry za wyłączną strefę wpływów sowieckich i nie dążą do żadnych zmian na terenach oddanych pod protekcję ZSRR w układzie jałtańskim. Zarówno jedno, jak i drugie miało fatalny wpływ na podjęcie przez Chruszczowa 30 października 1956 r. natychmiastowej decyzji o zduszeniu węgierskiego ruchu na drodze bezpośredniej interwencji zbrojnej, z jednej strony uznał on bowiem, że wypadki na Węgrzech mogą się rozejść jak zaraza po wszystkich krajach satelickich, a z drugiej był pewien, że najazd na Węgry spotka się nie tylko ze zrozumieniem uzależnionych państw tzw. demokracji ludowej (do czego dołączyła również niezależna titoistowska Jugosławia), lecz również całkowitą biernością i akceptacją ze strony USA i NATO. Obłuda administracji Eisenhowera posunęła się tak daleko, że pomimo

Międzynarodowo

[30] V. Sebestyen, *Dwanaście dni. Rewolucja 1956*, „Magnum", Warszawa 2006, s. 99–100 i 281–282.

zawartej umowy z Chruszczowem podległa im RWE już po dokonaniu inwazji 4 listopada i w następnych dniach nadal wzywała do kontynuowania zbrojnego oporu i oczekiwania na pomoc, która oczywiście miała nigdy nie nadejść.

Stanowisko USA w czasie powstania 1956 r. i następującej po nim ponownej okupacji Węgier i represji kadarowskich po raz kolejny rozczarowało Węgrów i pozbawiło ich złudzeń co do intencji i możliwości liberalnych demokracji oraz wykopało w ich psychice nieufność, niechęć, a nawet przepaść, która nie została zasypana do dzisiaj. W ten sposób Eisenhower dołączył do galerii prezydentów USA uważanych przez Węgrów, obok Wilsona i Roosevelta, za czarne charaktery XX w.

Nieujawniana oficjalnie, lecz niewątpliwie istniejąca niechęć Węgrów do USA jest większa niż niechęć do Rosji, gdyż uważają oni, że o ile nie można się od wroga spodziewać niczego dobrego, to zdrada ze strony kogoś, kto deklaruje się jako przyjaciel i obrońca wolności, jest niewybaczalna. **I jest to obecnie największa różnica pomiędzy Węgrami i premierem Orbánem a bezwarunkowo proamerykańskimi Polakami i Jarosławem Kaczyńskim.**

Trzydziestodwuletnie rządy Kádára znane są na świecie pod nazwą „socjalizmu gulaszowego", co ma oznaczać podniesienie poziomu konsumpcyjnego społeczeństwa oraz stopniową liberalizację i mniejszą opresyjność (hasło: „Kto nie jest przeciw nam – ten jest z nami")[31].

W rzeczywistości „socjalizm gulaszowy" ograniczał się do lat 1964–1976, czyli orzystniejszej koniunktury w czasie odbudowy zniszczeń powojennych i popowstaniowych, a także zmniejszenia wymagań ze strony Związku Sowieckiego, który uznał to za cenę spokoju w buntowniczym społeczeństwie. Trwał więc zaledwie 12 z owych 32 lat. Natomiast liberalizacja trwała, z pewnymi wahnięciami w stronę zamordyzmu, nieco dłużej, bo od 1964 do 1981 r., czyli 17 lat i nie wynikała bynajmniej z dobrej woli Kádára i jego osobistych przekonań, których nigdy nie posiadał, ale z konieczności – uważał ją za swoisty wentyl bezpieczeństwa.

Zanim jednak do tego doszło, w latach 1956–1963 Kádár rozpętał bezwzględny terror wobec uczestników „wydarzeń 1956 r.", który był jeszcze bardziej nieludzki od osławionego reżimu Rákosiego. Szczególnie odrażające były przypadki przetrzymywania w więzieniach młodocianych uczestników wydarzeń i wykonywanie na nich wyroków śmierci dopiero po osiągnięciu przez nich pełnoletności[32].

---

[31] Głównym apologetą epoki „gulaszowego socjalizmu" w Polsce był T. Olszański (dz. cyt.), który opisał dziesięciolecia rządów dyktatora jako jedno wielkie pasmo sukcesów (dz. cyt., s. 79–211), a życie jego poddanych nieomal jako rajskie bytowanie. To ogólne wrażenie burzy jednak niewielki rozdziałek jego „dzieła", zatytułowany *Tragiczny raport*, z którego jasno wynika, że szczęśliwi mieszkańcy rajskiej krainy z niewiadomych przyczyn przodują na świecie w liczbie samobójstw (dz. cyt., s. 165–171). Rzeczywisty obraz oraz skutki „szczęśliwego trzydziestolecia" opisuje obiektywnie I. Romcsics (dz. cyt., s. 393–401), a głębokie spustoszenie moralne i długotrwałe skutki ówczesnej planowej demoralizacji społeczeństwa – V. Orbán (*Ojczyzna jest jedna*). Prawdziwe oblicze zbrodniczego, komunistycznego dyktatora ujawniono polskiej opinii publicznej dopiero niedawno (*Janosz Kadar*, https://historia.wikia.org/pl/wiki/Janosz_Kadar).

[32] Przykładem może być urodzony w 1941 r. bohater Péter Mansfeld, skazany na śmierć w 1957 r. (w chwili popełnienia „przestępstwa" miał zaledwie 15 lat!). Wyrok wykonano w jego 18 urodziny 21 marca 1959 r. Zob. M. Horvath, *1956. Rozstrzelana rewolucja*, wyd. Arkadiusz Vignert i Przedsięwzięcie Galicja, Kraków 2006 (wkładka ze zdjęciem i ulotka).

Natomiast ostatnie dwanaście lat to czasy narastającego kryzysu, spowodowanego załamaniem gospodarczym.

Wizja Kádára jako „gospodarnego i dobrotliwego dyktatora cieszącego się znacznym poparciem społecznym", jaką lansowały w latach 70. zachodnie środowiska lewicowe, a po dziś dzień kultywują węgierskie środowiska postkomunistyczne, ma niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Ożywienie gospodarcze i ogólne podniesienie poziomu życia w latach 70. Węgrzy zawdzięczali nie narzuconemu przywódcy, lecz po prostu swojej własnej zaradności i ciężkiej pracy oraz ogólnemu podniesieniu się poziomu życia w skali światowej. Natomiast żadne osiągnięcia kulturalne czy naukowe tego okresu nie miały nic wspólnego z jego intencjami i wynikały z ustanowionego w tym okresie wspomnianego „wentyla bezpieczeństwa".

Zachodni lewaccy liberałowie najbardziej chwalą Kádára za jego otwartość na kontakty gospodarcze z „wolnym światem" i tolerowanie nowego stylu młodzieżowego, przy czym nader chętnie porównują z siermiężnym Gomułką, który usiłował je zwalczać.

„Badacze" ci nie zadają sobie jednak trudu, aby dokładniej zanalizować to zjawisko, choć to dyskretne wspieranie najnowszych trendów ze „zgniłego Zachodu" miało prozaiczną i łatwą do rozszyfrowania przyczynę. Otóż głównym zagrożeniem dla Kádára nie były rozpasany konsumpcjonizm Zachodu i rozwiązła rewolucja seksualna, ale kryptonacjonalizm kultywowany w prowincjonalnych środowiskach rodzinnych. Ostoję tego groźnego, „wstecznego" patriotyzmu stanowiły wieś i tradycyjna rodzina. Z odwiecznym modelem wsi (osady typu *tanya*) poradzono sobie łatwiej, gromadząc ludność (pod pozorem modernizacji) w dużych i nowoczesnych miastach rolniczych, a przede wszystkim ściągając ją do wielkich miast przemysłowych. Natomiast z rodziną był większy kłopot, gdyż chłopi przenosili jej hierarchiczny model do nowych siedzib. Atrakcyjna kultura młodzieżowa, pochodząca w dodatku z „wolnego świata", wydała się Kádárowi doskonałym narzędziem do rozbicia tradycyjnych struktur – podważała bowiem autorytet starszego pokolenia i przez propagandę wolnej miłości i nieskrępowanych rozwodów uniemożliwiała powstanie silnej rodziny wspartej powagą sakramentu. Ponadto ruch ten był kosmopolityczny, propagował bezmyślne naśladownictwo obcych wzorów i niósł ze sobą pogardę dla rodzimej, zaściankowej kultury i izolowanego języka ojczystego. Trzeba przyznać, że polityka ta połączona z propagandą umiarkowanego konsumpcjonizmu szybko przyniosła owoce w wielkich miastach (zwłaszcza w Budapeszcie) i dlatego po dziś dzień są one nadal mentalnie kosmopolityczne i programowo odcinają się od prowincjonalnej rodzimości. Nic więc dziwnego, że to, co było śmiertelnym zagrożeniem dla pozującego na patriotę Gomułki, było sprzymierzeńcem w oczach Kádára, walczącego z przeżytkami nacjonalizmu i tradycją.

Porównując otwartego i nowoczesnego Kádára ze współczesnym mu skąpym, siermiężnym i autarkicznym Gomułką, trzeba nieustannie pamiętać, że choć obydwaj osiągnęli władzę w tym samym roku (1956), to ich mentalny stosunek do panującej ideologii, a także zaplecze polityczne w partii i w narodzie były zupełnie różne. Gomułka doszedł do władzy na fali buntu robotniczego, chłopskiego niezadowolenia i patriotycznych, antyradzieckich nastrojów, które starał się wytrwale zmienić

na antyniemieckie i antyzachodnie, a z przekonań był komunistą wierzącym w słuszność idei. Natomiast Kádár został zainstalowany na swym stanowisku przez militarną interwencję sowiecką, która stłumiła autentyczny bunt klasy pracującej, odwołującej się do wzorców i symboli tradycyjnych i patriotycznych.

Ponadto Gomułka mógł wykorzystać do umacniania swej władzy hasła patriotyczne i obawę przed ewentualną utratą Ziem Odzyskanych, czyli nabytków zachodnich ofiarowanych w 1945 r. przez Stalina. Natomiast Kádár nie miał takiej możliwości – Węgrzy żadnych nabytków terytorialnych dzięki Sowietom nie uzyskali i nie obawiali się utraty następnych, a każde odwołanie się do patriotyzmu czy wzorców historycznych otwierało drogę do kontestacji i buntu.

W przeciwieństwie do upartego i pryncypialnego Gomułki Kádár był oportunistą akceptującym każdą aktualną linię polityczną Wielkiego Brata, a jedyną drogą ratunku była dlań ucieczka w konsumpcjonizm wedle dwóch zasad: 1) patrzmy w przyszłość i 2) syty poddany nie buntuje się.

Ponieważ węgierski dyktator nie miał oparcia w żadnej historycznej warstwie ani klasie społecznej, które co najwyżej tolerowały go z konieczności, musiał sobie dopiero własne zaplecze polityczne stworzyć. I rzeczywiście udało mu się w ciągu kilkunastu lat uformować sprawną ekipę nowego aparatu, tak samo oportunistyczną i bezideową jak on. Jedynym jej celem było utrzymanie władzy i osiąganie coraz to wyższych szczebli kariery, a środkiem – spacyfikowanie Węgrów i utrzymywanie ich w stanie umiarkowanego zadowolenia z konsumpcji i strachu przed pogorszeniem sytuacji materialnej. Kádár i jego zaplecze byli więc pod względem metod, celów i mentalności o wiele bliżsi późniejszej od niej technicznej ekipie Gierka niż narodowo-komunistycznemu i siermiężnemu zapleczu Gomułki. O ile więc rządy Gomułki były „dyktaturą ciemniaków", o tyle panowanie Kádára było „dyktaturą cwaniaków".

Różnica między nimi uwidoczniła się wyraźnie w sprawie „internacjonalistycznej pomocy zbrojnej" udzielonej w 1968 r. buntującej się Czechosłowacji. Podczas gdy Gomułka wyraźnie palił się do udziału w najeździe na ten kraj, a polskie środowiska opozycyjne i ogół społeczeństwa popierały pokojowe wprowadzanie przez Czechów „socjalizmu z ludzką twarzą", to Kádár, do którego kraju nie dotarł w 1968 r. żaden bunt lewicującej inteligencji, wolałby nie brać w tym udziału, aby nie obudzić wśród Węgrów starych antyczeskich resentymentów i tęsknot rewizjonistycznych. Toteż interwencja w Czechosłowacji była przyjęta w Polsce z zadowoleniem władz partyjnych przy ogólnym niezadowoleniu społecznym, a na Węgrzech całkiem odwrotnie – z obawą i lękiem przez ekipę Kádára, natomiast przy cichym zadowoleniu społecznym (zwłaszcza Madziarów żyjących w Czechosłowacji).

Zupełnym paradoksem epoki „socjalizmu gulaszowego" było natomiast to, że Kádár, programowo zacierający pamięć historyczną Węgrów dotyczącą ich historii najnowszej, w ramach liberalizacji musiał w końcu dać zielone światło dla etnologów i historyków średniowiecza, co w konsekwencji musiało doprowadzić do odrodzenia tępionego przezeń nacjonalizmu, w ich badaniach szczególną rolę zaczął bowiem odgrywać istny skansen węgierskości, czyli „zacofany" Siedmiogród.

Zapewne w intencji Kádára badania tak odległych epok miały odciągnąć opinię publiczną od zainteresowania niebezpiecznym okresem XIX i XX w., natomiast

skutek był odwrotny – zainteresowanie historią, kwestią pochodzenia Węgrów[33] i folklorem Siedmiogrodu obudziły dumę narodową i poglądy nacjonalistyczne.

Jeszcze bardziej paradoksalne było to, że megalomańska, szowinistyczna polityka komunistycznego dyktatora Rumunii Nicolae Ceaușescu (tępiącego zajadle mniejszość węgierską), która doprowadziła go do konfliktu z apodyktycznym gensekiem Breżniewem, sprawiła, że nagle antyrumunizm stał się politycznie poprawny.

Sytuację tę natychmiast wykorzystali węgierscy historycy i intelektualiści, którzy z satysfakcją wyciągnęli na światło dzienne sprawę permanentnego łamania praw mniejszości węgierskiej przez rumuńskiego dyktatora. Ponieważ w oficjalnej doktrynie nacjonalizm był nie do pogodzenia z marksizmem, Kádár nie miał żadnej możliwości, aby takie działania potępić. W każdym razie Ceaușescu, szukając rozluźnienia zależności od Moskwy, tracił tym samym parasol ochronny, jaki rozciągnięty był nad nim dotąd w państwie Kádára i trianońska krzywda Węgier przestała być tematem zakazanym, a przesuwała się coraz bardziej w kierunku tematu „tolerowanego", a w końcowym etapie WRL – nawet „popieranego"[34].

Historia i etnografia stały się nagle popularne wśród młodzieży i szybko doprowadziło to do wytworzenia się oryginalnej popkultury, łączącej nowoczesne trendy muzyczne ze starymi motywami i tradycją. W siedemdziesiątych latach pojawił się też w środowiskach wiejskich fenomen tzw. tanchazów, czyli domów tańca ludowego, które szybko wyparły z ośrodków prowincjonalnych popularne dotąd kosmopolityczne dyskoteki, a młodzieżowe zespoły bitowe zaczęły masowo adaptować i unowocześniać stare pieśni bojowe i patriotyczne. Ogromną popularnością zaczęły się cieszyć tzw. rock opery nawiązujące do tematyki historycznej[35]. Kosmopolityczna kultura zachodnia, naśladownictwo trendów zachodnich i luźny styl bycia (bardzo popularny w drugiej połowie lat 60. i w pierwszych latach siódmego dziesięciolecia XX w.) zaczęły oddolnie się kurczyć, aż wreszcie w latach 80. zawęziły się do samego Budapesztu i odwiedzanych przez cudzoziemców miejscowości letniskowych wokół Balatonu.

Na nieszczęście Kádára nieomal jednocześnie rozpoczął się kolejny kryzys ekonomiczny, który rychło pochłonął dotychczasowy względny dobrobyt i stabilizację życiową ogółu ludności. Około 1980 r. okazało się, że kádárowski „gulasz" składał się głównie z wody.

Ponieważ jednocześnie próba zniszczenia tradycyjnych struktur społecznych za pomocą dyskretnej promocji wzorców kulturowych Zachodu nie osiągnęła celu, starzejący się przywódca utracił dwa podstawowe filary swojego panowania – pomimo

---

[33] Na nowo rozgorzała wówczas tradycyjna walka między „ugrofinistami" a „turanistami". Pierwsi reprezentowali nurt liberalny i kosmopolityczny, akcentujący związki z Europą i jej decydującą rolę w uformowaniu państwa węgierskiego, a drudzy, reprezentujący nurt narodowy – związki Prawęgrów z Wielkim Stepem i wynikającą stąd odrębność, dumę i wyjątkowość Węgrów. B. Ablonczy, *Keletre, magyar! A magyar turanizmus története*, Budapest 2016; J. Kessler, *Turanism and Pan-Turanism in Hungary: 1890–1945* (Ph.D. thesis), Berkeley 1967; M. Kowalczyk, *Hungarian Turanism. From the Birth of the Ideology to Modernity – an Outline of the Problem*, „Historia i Polityka" 2017, nr 20 (27).

[34] J. Kochanowski, dz. cyt., s. 183; W. Bator, dz. cyt., s. 440.

[35] Najsłynniejszą z nich jest „święty Stefan" (węg. *Istvan a kiraly*), wystawiony po raz pierwszy publicznie w 1984 r.

spektakularnych prób pojednania się z Kościołem Katolickim i sprowadzenia do ojczyzny najważniejszego symbolu narodowego – Korony Świętego Stefana przechowywanej w charakterze „łupu wojennego" w USA (1978 r.).

Co gorsza, nie okazali mu wdzięczności ani amnestionowani uczestnicy powstania z 1956 r., ani nawet stworzona przez niego warstwa aparatczyków, która chętnie uwłaszczyłaby się na majątku narodowym, odrzuciła zupełnie jej obojętną marksistowską fasadę i przekształciła w kapitalistyczną oligarchię[36].

O dalszych losach Węgier przesądził niewątpliwie wybór ostatniego generalnego sekretarza KPZR, Michaiła Gorbaczowa. Co prawda giętkiemu Kádárowi udało się uzyskać akceptację kolejnego władcy sowieckiego imperium i utrzymać stanowisko, lecz proklamowana przez nowego genseka „pierestrojka" i „głasnost'" podważyły podstawy systemu sowieckiego i spowodowały gwałtowne zmiany, które rozsadziły Związek Rad i cały dotychczasowy porządek jałtański.

W 1987 r. stało się oczywiste, że dalsze utrzymywanie umierającego systemu jest niemożliwe i na Węgrzech, podobnie jak w Polsce, władze zaczęły szukać sposobu na osiągnięcie jakiegoś kompromisu z częścią „konstruktywnej opozycji"[37] po to, aby zapewnić sobie bezkarność i uzyskać jak największe wpływy w nowej epoce, która miała niebawem nadejść. W roku tym funkcję premiera przejął z woli Kádára bezideowy, lecz zręczny Károly Grósz, który niespełna rok później zastąpił starego przywódcę na stanowisku sekretarza generalnego. Z kolei dla partii niewygodny, a nikomu innemu niepotrzebny János Kádár został odesłany na polityczną emeryturę, zachowując nic nieznaczący tytuł przewodniczącego partii. Nieco wcześniej, w końcu 1986 r., zalegalizowany został Instytut Badania Społeczności Węgierskiej na Obczyźnie, utworzony przez węgierskich obrońców rodaków uciskanych w krajkach zabranych. Stał się on wkrótce pierwszym ośrodkiem skupiającym antysystemową opozycję.

Ostateczny i nieodwracalny demontaż systemu rozpoczął się już 27 czerwca 1988 r. Wówczas to na wieść o wejściu w życie zbrodniczego planu Ceauşescu, który miał położyć kres istnieniu 8 tysięcy węgierskich wsi w Siedmiogrodzie, na wezwanie IBSWO zebrało się na Placu Bohaterów w Budapeszcie nie mniej niż 50 000 demonstrantów niosących flagi narodowe Węgier i Kraju Seklerów, śpiewających zakazane dotąd pieśni patriotyczne i rewizjonistyczne i wznoszących okrzyki antyrumuńskie i antysystemowe.

Była to pierwsza wolna i zupełnie spontaniczna demonstracja od listopada 1956 r., władze (oficjalnie nadal komunistyczne!) nie tylko jej zaś nie potępiły, ale podejmując z opozycją walkę o popularność, po raz pierwszy od zakończenia wojny ujęły się za uciskanymi rodakami, a we wrześniu 1988 r. udzieliły oficjalnie azylu dwunastu siedmiogrodzkim Węgrom, którzy schronili się w ambasadzie WRL w Sofii. Rozwścieczony Ceauşescu zareagował natychmiast wydaleniem węgierskiego ambasadora w Bukareszcie, na co Węgrzy zareagowali identycznym

---

[36] V. Orban, dz. cyt., s. 40–41.

[37] W Polsce była nią, jak wiadomo, większa część działaczy „Solidarności" i blisko z nią związanej grupy lewicowej opozycji, wywodzącej się z przywódców marcowej rewolucji studenckiej 1968 r., a na Węgrzech amnestionowani uczestnicy powstania 1956 r. i pozostająca pod ich wpływem grupa intelektualistów ze środowisk akademickich.

krokiem. Granica między obydwoma państwami została praktycznie zamknięta, a po obydwu jej stronach stanęły wozy pancerne[38].

Wydarzenia te przyspieszyły akcję liberalnych ugrupowań opozycyjnych, domagających się uznania wypadków 1956 r. za powstanie narodowe i pełnej rehabilitacji ofiar Rákosiego i Kádára, aż wreszcie w atmosferze wzajemnego przelicytowania się w procesie dekomunizacji przez stale rządzącą WSPR (która spektakularnie odrzuciła marksizm i przeistoczyła się w reformistyczną Węgierską Partię Socjalistyczną) i środowiska opozycyjne wprowadzono 18 października 1989 r. ustrój wielopartyjny, a 23 października – Republikę Węgierską.

Zapowiadane pierwsze wolne wybory odbyły się w dwóch turach (25 marca i 8 kwietnia 1990 r.) i przyniosły zwycięstwo umiarkowanie prawicowemu Węgierskiemu Forum Demokratycznemu (WFD), kierowanemu przez niezmiernie popularnego Józsefa Antalla – syna zasłużonego dla Polski i Polaków hortystowskiego ministra z czasów II wojny światowej. Na drugim miejscu uplasowali się popierani przez zachód liberałowie (Związek Wolnych Demokratów), a postkomunistyczna WPS zajęła dopiero trzecie miejsce. Na czwartym znalazł się Związek Młodych Demokratów pod wodzą Viktora Orbána.

Podsumowując epokę dominacji sowieckiej, głównym doświadczeniem historycznym narodu węgierskiego w tym czasie były:

1) fiasko narzucenia Węgrom obcego im antynarodowego systemu i ideologii na drodze „prania mózgów", przemocy i represji;
2) kolejne rozczarowanie zachodnią demokracją liberalną z powodu jej niegodnego i perfidnego zachowania w czasie powstania 1956 r. i flirtu z oportunistyczną ekipą Kádára;
3) uświadomienie sobie siły patriotyzmu i tradycyjnych wartości narodowych, które wywołały lawinę zmiatającą narzucony i niechciany system.

≡ 6) Doświadczenia Trzeciej Republiki liberalnej oraz zachłyśnięcie się i rozczarowanie Unią Europejską (1990–2010)

Pierwszym premierem postkomunistycznych Węgier został, jak wspomniano, cieszący się znacznym autorytetem József Antall, na którego barki spadło trudne zadanie zbudowania nowego porządku na gruzach resztek „gulaszowego socjalizmu" Kádára.

W swoim *exposé* nakreślił on następujące cele na najbliższą przyszłość: budowę i wzmocnienie instytucji państwa prawa, zażegnanie kryzysu gospodarczego i stworzenie „społecznej gospodarki rynkowej", wystąpienie Węgier z organizacji bloku wschodniego i akcesję do struktur zachodnioeuropejskich, współpracę regionalną przy jednoczesnym wsparciu mniejszości węgierskiej poza granicami kraju.

[38] Wprawdzie nie doszło wówczas do wojny, ale Ceaușescu rozpętał fizyczne represje wśród mniejszości węgierskiej, oskarżając jej liderów o zdradę i szpiegostwo, co ostatecznie w grudniu następnego roku doprowadziło do wybuchu powstania w Temeszwarze, do którego przyłączyli się również Rumuni, mający dość rządów paranoika, który niebawem został obalony i zgładzony.

Z narodowego punktu widzenia najważniejsze było jednak to, że zaproponował, aby nie przywracać herbu Kossutha, używanego w 1918 r. przez republikę Karolya i w bardzo krótkim okresie rządów Nagya w październiku i listopadzie 1956 r., ale powrócić do przedwojennego godła z koroną symbolizującą ciągłość historyczną państwa. Spowodowało to od razu gwałtowny atak ze strony zarówno socjalistów, jak i liberałów ze Związku Wolnych Demokratów, którzy pragnęli, aby nowe Węgry były państwem laickim, kontynuującym „postępowe" tradycje Karolya i niekojarzonym z „faszystowską" epoką Hortyego. Po długiej dyskusji premier zdołał jednak postawić na swoim ku zadowoleniu konserwatywnej i patriotycznej części własnego elektoratu.

Jednak już to pierwsze starcie zapowiadało znaczne trudności w realizacji wytyczonych celów, gdyż społeczeństwo podzieliło się na trzy różne orientacje, a każda z nich miała swoją wizję kraju – niemożliwą do pogodzenia z pozostałymi.

Nastawiona patriotycznie umiarkowana prawica, mająca oparcie na prowincji, pragnęła budowy państwa opartego na tradycji historycznej, zbliżonej do najlepszych czasów przedwojennych (premierostwa Bethlena). Faworyzowani przez Zachód liberałowie (wspierani dyskretnie przez socjalistów) dążyli do odrzucenia „wstecznych tradycji" i maksymalnego upodobnienia Republiki Węgierskiej do świeckich państw Europy Zachodniej i otwarcia kraju dla obcego kapitału. Rzesze pracowników najemnych i ludność wiejska oczekiwały roztoczenia nad nimi parasola socjalnego, pozwalającego przeżyć trudne reformy, a mniejszość węgierska w Krajach Zabranych liczyła na referendum w sprawie przynależności państwowej lub co najmniej na wywalczenie przez rząd węgierski autonomii terytorialnej.

Sytuację komplikowały też ogromne zmiany w najbliższym otoczeniu Węgier. W 1993 r. rozpadła się Czechosłowacja i rozbudzone nadzieje mniejszości węgierskiej w tym kraju czekała ciężka próba starcia z rodzącym się młodym słowackim nacjonalizmem, a w Jugosławii wybuchła krwawa wojna domowa, zakończona w 1995 r. powstaniem nowych państw graniczących lub bliskich granicy z Węgrami: Słowenii, Chorwacji, Bośni i Nowej Jugosławii (która rozpadła się ostatecznie na Serbię i Czarnogórę). Choć sam fakt rozpadu Jugosławii węgierskie społeczeństwo przyjęło z zadowoleniem, to jednak sytuacja ich mniejszości w serbskiej Wojwodinie uległa poważnemu pogorszeniu.

W sumie relacje z sąsiadami posiadającymi mniejszość madziarską nie ułożyły się w tym czasie pozytywnie, gdyż miały one zamiar budowy własnych państw narodowych z wzorcem jednolitego narodu politycznego, a Węgrom skłonne były przyznać jedynie prawo swobodnego kultywowania tożsamości narodowej w sferze prywatnej.

Przeprowadzona pod dyktando węgierskich i zachodnich liberałów gwałtowna rabunkowa prywatyzacja majątku narodowego, a także napływ obcego kapitału i kredytów konsumpcyjnych spowodowały (jak we wszystkich innych państwach postkomunistycznych) upadek własnej wytwórczości, zalanie kraju tanimi produktami zagranicznymi, wzrost bezrobocia i postępujący upadek kwitnącego przedtem rolnictwa. Jak zwykle w takich przypadkach koszty transformacji dotknęły przede wszystkim najuboższych, wywołując ogromny spadek popularności rządu. Nieuniknioną klęskę rządzącego Forum Demokratycznego przyspieszyła też śmierć powszechnie szanowanego Antalla (11 grudnia 1993 r.), którego na stanowisku premiera zastąpił bezbarwny Péter Boross.

Toteż na wiosnę 1994 r. w kolejnych wyborach parlamentarnych spektakularny sukces odniosła Węgierska Partia Socjalistyczna (54 proc. głosów), liberalny Związek Wolnych Demokratów osiągnął drugie miejsce, pogarszając swoje „posiadanie głosów" o dwie trzecie, a rządzące dotąd WFD osiągnęło słaby wynik, kurcząc się w parlamencie czterokrotnie. Swoje zwycięstwo socjaliści zawdzięczali przede wszystkim ogromnym socjalnym oczekiwaniom wyborców, dotkniętych przemianami, oraz życzliwości ze strony nacjonalistów, którzy pamiętali zdecydowane antyrumuńskie kroki ostatniego rządu WRL w 1988 r. Kontrastowały one z nieudolnością poparcia Węgrów Siedmiogrodzkich przez dotychczasowe władze, panicznie bojące się jakichkolwiek działań, które w światowej opinii publicznej mogłyby być uznane za nacjonalistyczne.

Nowy gabinet, który zyskał szybko przychylność światowej opinii publicznej, sformowano z koalicji socjalistyczno-liberalnej (liberałowie wprawdzie byli bardzo niepopularni w kraju, ale za to równie popularni w zagranicznych salonach) z Gyulą Hornem jako premierem. Rząd ten wprawdzie całkowicie zawiódł społeczne oczekiwania, ale mimo to udało mu się dotrwać do końca kadencji. Pracownicy najemni oraz rolnicy nie doczekali się od niego żadnej realnej pomocy i ulegali dalszej pauperyzacji, a wyprzedaż majątku narodowego za psi grosz osiągnęła szczyty. Na domiar złego w zawrotnym tempie wzrastało zadłużenie zagraniczne. Tradycje i symbole narodowe były przez władze lekceważone, a poważnym problemem stała się też przestępczość cygańska[39].

Ponieważ WFD politycznie zbankrutowało, opozycja wobec rządzących socjalliberałów skupiła się wokół narodowo-liberalnego programu Związku Młodych Demokratów i Viktora Orbána, którzy osiągnęli sukces w następnych wyborach (1998 r.). Pierwszy rząd Viktora Orbána odniósł znaczące sukcesy zarówno w polityce gospodarczej, jak i zagranicznej, ale jego wsparcie dla rodzimej przedsiębiorczości zostało odebrane przez oligarchię finansową i uzależnionych od niej polityków Zachodu jako próba protekcjonizmu zagrażającego ich interesom, a poważne wsparcie dla węgierskiej mniejszości narodowej w krajach sąsiednich (usunięcie w 2001 r. tzw. karty Węgra) – jako przejaw ukrytego nacjonalizmu.

Z tego powodu grono to wsparło w następnych wyborach WPS ogromnymi środkami finansowymi i niezwykle nasiloną propagandą w mass mediach, a wreszcie ledwie skrywanymi naciskami oficjalnych czynników zagranicznych. Niezdolne mimo to osiągnąć zwycięstwa przy urnach (46 proc. WPS wobec 48,5 proc. Fideszu), uciekło się do manipulacji wynikami. Nowy rząd utworzyli, zgodnie z pragnieniami Zachodu, socjaliści, ale odsunięty Fidesz nie posiadał się z oburzenia, a jego wyborcy ostatecznie porzucili wszelkie sympatie, jakie dotąd żywili w stosunku do zachodnich demokracji liberalnych. Węgrzy poczuli się po raz kolejny oszukani, a Viktor Orbán znacznie się zradykalizował. Jednocześnie zaczęli się organizować skrajni nacjonaliści, co doprowadziło do stworzenia nowego ruchu, Jobbiku, oraz paramilitarnej Gwardii Węgierskiej (*Magyar Gárda*), mającej powściągnąć rozpasaną przestępczość cygańską na prowincji. W takiej atmosferze w 2004 r. Węgry zostały przyjęte do Unii Europejskiej, a wynik

[39] V. Orbán, dz. cyt., s. 25–43.

referendum w tej sprawie WPS poczytała sobie za sukces, choć w rzeczywistości głównym motywem głosowania za akcesją nie były żadne spodziewane korzyści gospodarcze, lecz perspektywa zniesienia ograniczeń w ruchu między Węgrami i państwami sąsiedzkimi, co miało im zapewnić nieskrępowaną łączność z rodakami w krajach zabranych.

W kolejnych wyborach (2006 r.) sytuacja się powtórzyła. Socjalliberalny Zachód po raz kolejny wsparł swoich pupilów, pozwalających na nieograniczoną eksploatację Węgier, a bezczelne i kłamliwe szermowanie wyborczymi obietnicami bez pokrycia przyniosło socjalistom ponowny sukces. Tym razem miało to jednak o wiele poważniejsze konsekwencje. Gdy niespodzianie ujawniono przemówienie premiera Gyurcsánya – wygłoszone na tajnym posiedzeniu swojego klubu parlamentarnego – w którym przyznawał się do wielokrotnego kłamstwa w celu utrzymania władzy, na ulice Budapesztu wyszły tysiące jego przeciwników, domagając się natychmiastowej dymisji rządu, a próba rozpędzenia demonstrantów przez policję przekształciła się w prawdziwe burdy i walki uliczne, w których setki osób zostało rannych i doszło do znacznego zniszczenia mienia. Sytuację pogorszył fakt, że działo się to w czasie obchodów 50. rocznicy powstania 1956 r., a siły porządkowe odcięły Węgrom barierami dostęp na plac przed parlamentem, gdzie tradycyjnie ją obchodzono. Wydarzenia te powszechnie porównywano z tragicznymi wypadkami sprzed pół wieku i wprost mówiono, że podobnie jak wówczas Węgry pierwsze powstały przeciw przemocy i tyranii komunistycznej, tak i obecnie pierwsze powstały przeciw przemocy socjalliberałów i obcemu dyktatowi.

Pomimo skandalu ujawniającego kłamstwa premiera i rozlanej krwi parlament udzielił mu wotum zaufania, a środki masowego przekazu w całym świecie, zdominowane przez wszechwładne lobby bankowe, potępiło „wybryki nacjonalistów", stając po stronie skompromitowanej władzy. Oznaczało to zapowiedź końca dominacji całego dotychczasowo układu socjalliberalnego i „III Republiki" .

W następnych wyborach (2010 r.) przy niesłychanym nasileniu proliberalnej propagandy unijnej i opadnięciu emocji politycznych socjaliści zostali całkowicie rozgromieni (zaledwie 15 proc. głosów), a liberałowie (ZWD) wyeliminowani na zawsze ze sceny politycznej. Bezspornym zwycięzcą został Fidesz, który osiągnął większość konstytucyjną, a doskonały wynik osiągnął też otwarcie nacjonalistyczny Jobbik (12 proc. głosów). Umiarkowani konserwatywni nacjonaliści z Fideszu i radykalni z Jobbiku opanowali więc całkowicie parlament, spychając swych politycznych przeciwników do nic nieznaczącego folkloru politycznego.

Viktor Orbán odzyskał władzę, którą utrzymuje bez przerwy do dzisiaj, i ogłosił natychmiast program budowy demokracji nieliberalnej, stawiając na pierwszym miejscu w swych dążeniach silne państwo oparte na tradycji i wartościach narodowych. Natychmiast przystąpił też do opracowywania nowej konstytucji, która nie tylko przekreślała dotychczasowe próby upodobnienia Węgier do reszty państw UE, ale ponadto zmieniała oficjalną nazwę państwa z Republiki Węgierskiej na bez przymiotnikowe Węgry. W ten sposób III Republika upadła.

Najważniejszym doświadczeniem historycznym tego czasu była kolejna, ostateczna kompromitacja liberalnego modelu państwa i zaufania do elity utrzymującej władzę we współczesnym zachodnim świecie.

Podsumowując ten nieco nużący przegląd doświadczeń dziejowych, jakie stały się udziałem Węgrów w ciągu ostatnich dwóch wieków, wypunktujmy główne wnioski, jakie z nich wyciągnęli:

1) Największym skarbem Węgrów jest ich tożsamość narodowa, zbudowana na poczuciu wspólnoty i odmienności etnicznej od otaczających je ludów, a także na historycznie ukształtowanej tradycji. Każda ideologia, która kwestionuje jej znaczenie albo pragnie ją zmienić i przekształcić, jest zagrożeniem dla bytu narodu.
2) Największą siłą umożliwiającą odzyskanie i utrzymanie suwerenności jest mobilizacja wszystkich sił narodu oraz cierpliwe i wytrwałe dążenie do celu bez względu na przeszkody i pokusy zadowolenia się drobnymi korzyściami.
3) Suwerenności Węgier nie da się pogodzić z ich przynależnością do jakiegoś większego, centralnie sterowanego, obcego organizmu – może natomiast istnieć w warunkach konfederacji, czyli związku państw, w którym Węgrzy zachowają własny charakter narodowy, własne prawa i możność decydowania o sobie we wszystkich sprawach, jakie ich dotyczą (doświadczenie dualizmu).
4) Suwerenność Ojczyzny jest najcenniejszym dobrem i nie wolno jej narażać przez jej wciągnięcie do wojny toczonej w obcym interesie (doświadczenie obydwu wojen światowych).
5) Żadna idea uniwersalna ani doraźna korzyść ekonomiczna nie jest warta tego, aby dla niej narazić byt i przetrwanie narodu bądź też poświęcić dla niej rodaków oderwanych siłą od Ojczyzny i zrezygnować z odzyskania tego, co zostało zabrane (doświadczenia epoki rewolucji zakończonej rozbiorem w Trianon, epoki dominacji sowieckiej i najnowszej republiki liberalnej).
6) Węgry mogą uczestniczyć tylko w takim sojuszu czy układzie politycznym, który oparty jest na rzeczywistej wspólnocie interesów obydwu stron i obydwie strony solidarnie ponoszą w nim to samo ryzyko. Nie wolno uczestniczyć w takim sojuszu, który realizuje jedynie interesy „sojusznika", a zwłaszcza w takim, w którym interesy sojusznika są sprzeczne z narodowym interesem Węgier. Nie wolno dopuścić do tego, aby powierzyć los Węgier w ręce sojusznika, ani do tego, aby los Węgier mógł być przedmiotem przetargów między mocarstwami (doświadczenia drugiej wojny światowej, a zwłaszcza Teheranu i Jałty oraz epoki dominacji sowieckiej).
7) Nie wolno ufać zachodnim demokracjom liberalnym, które w przeszłości wielokrotnie zawiodły Węgrów i były głównym inicjatorem katastrofy w Trianon, a ponadto ich progresywna, ahistoryczna, kosmopolityczna, laicka i indywidualistyczna ideologia jest nie do pogodzenia z węgierską tożsamością, zbudowaną na poczuciu wspólnoty, solidarności i poszanowaniu tradycji historycznej (doświadczenia całego minionego dwusetlecia).
8) Aby utrzymać suwerenność, nie wolno dopuścić do związania się wyłącznie z jednym sojusznikiem i powierzenia swego losu w jego ręce ani do sytuacji, w której Węgry zostałyby otoczone przez jeden organizm lub układ polityczny (doświadczenie II wojny światowej i ostatniego dziesięciolecia).

≡ PODSUMOWANIE

Obserwując poczynania Viktora Orbána, a zwłaszcza jego reakcje na najważniejsze wydarzenia zachodzące w świecie w ostatnim dziesięcioleciu, nie sposób nie dostrzec, że właśnie te osiem podstawowych nauk, jakie Węgrzy wynieśli z lekcji swej najnowszej historii, mają dlań zasadnicze znaczenie, a nawet, mówiąc wprost, są dla niego drogowskazem na drodze, po której prowadzi Węgry.

Krytycy węgierskiego przywódcy zarzucają mu nieraz nie tylko rzekome cwaniactwo i nielojalność wobec partnerów z UE, lecz także brak logiki i konsekwencji w działaniach. Zarzuty te można ująć w sześciu głównych pytaniach:

1) Dlaczego węgierska liberalna opozycja w ostatnich latach dominacji sowieckiej skupiła się w dwóch organizacjach (przy czym jedną z nich kierował właśnie młody wówczas Orbán), a nie zadowoliła się jedną?
2) Dlaczego Viktor Orbán, stypendysta fundacji należącej do George'a Sorosa, nie okazał mu wdzięczności, ale wystąpił przeciw swemu dobroczyńcy?
3) Dlaczego Viktor Orbán, będąc po raz pierwszy premierem, zdecydowanie dążył do integracji Węgier z Unią Europejską, a kiedy znalazł się na czele późniejszych rządów, stał się głównym obrońcą idei „Europy Ojczyzn" i bojownikiem walki o suwerenność narodowych państw członkowskich?
4) Dlaczego pomimo ciągłego konfliktu z liberalną elitą UE, dążącą do jej przemiany w państwo federalne, Viktor Orbán nie dąży do wyprowadzenia Węgier z UE?
5) Dlaczego w pierwszych latach ery postkomunistycznej Viktor Orbán, który był jednym z najgorliwszych zwolenników zbliżenia z Zachodem, dokonał za czasów swojego drugiego i trzeciego rządu otwarcia Węgier na Wschód[40]?

---

[40] Dowodem na ogromne zaniepokojenie „światowej opinii publicznej" jest imponująca ilość
ataków medialnych na Orbána za jego otwarcie na Wschód. Przytoczymy tylko ich drob-
ną część: *Amerykański dyplomata: stosunek Orbána do Ukrainy wynika z jego wizji*
„wielkich Węgier", https://kresy.pl/wydarzenia/regiony/ameryka/amerykanski-dyploma-
ta-stosunek-Orbána-doukrainy-wynika-z-jego-wizji-wielkich-wegier/ (dostęp: 4.01.2020);
Amerykańskie władze coraz bardziej poirytowane polityką Węgier wobec Rosji, https://
wpolityce. pl/polityka/432412-usa-coraz-bardziej-poirytowane-polityka-wegier-wobec-rosji
(dostęp: 11.07.2019); A. Ámon, A. Deák, *Hungary and Russia in economic terms – love,*
business, both or neither?, http:// real.mtak.hu/33228/1/Amon_Deak_Hungary_and_Rus-
sia.._u.pdf (dostęp: 21.08.2019); M. Bánkuti, G. Halmai, K.L. Scheppele, *Hungary's illi-*
beral turn. Disabling the Constitution, „The Journal of Democracy" 23 (2012), no. 3;
J. Bielecki, *Orbán staje jednak po stronie Waszyngtonu*, https://www.rp.pl/Dyploma-
cja/190219870– Orban-staje-jednak-po-stronie-Waszyngtonu.html (dostęp: 9.09.2019); *Clin-*
ton zaniepokojona stanem węgierskiej demokracji. Napisała list do Orbána, https://
www. gazetaprawna.pl/wiadomosci/artykuly/579220,clinton-zaniepokojona-stanem-wegier-
skiejdemokracji-napisala-list-do-Orbána.html (dostęp: 10.08.2019); M. Clute, *Illiberal Part-*
ners? Understanding Orbán's Pivot to Russia, Chapel Hill 2018, https:// cdr.lib.unc.edu/
indexablecontent/uuid:d26ec662-d8a8-4def-9222-5a09633f20a4 (dostęp: 21.08.2019); A. Czyż,
S. Kubas, *Doświadczenia węgierskiej transformacji ustrojowej. Od Jánosa Kádára do*
Viktora Orbána, Katowice 2011; M. Dangerfield, *Economic Relations Between Visegrad*
Group, Countries and Russia: How Much Has Changed?, Boston 2015, http://aei.pitt.
edu/78981/1/Dangerfield.pdf; *Do Hungarians like Russians?*, https://www.quora.com/Do
-Hungarians-like-Russians (dostęp: 22.08.2019); A. Erőss, K. Kovály, P. Tátrai, *Effects of*
the Ukrainian Crisis in Transcarpathia: the Hungarian Perspective, Warszawa 2016,
https://depot.ceon.pl/bitstream/handle/123456789/11158/ WP92150.pdf?sequence=1&isAl-
lowed=y (dostęp: 3.09.2019); B. Góralczyk, *Aksjologiczna dezintegracja w UE? Przypadek*

6) Dlaczego Viktor Orbán, który rozpoczął karierę jako zdecydowany rusofob, w konflikcie rosyjsko-ukraińskim stanął po stronie Putina i sprzeciwia się nakładaniu na Rosję sankcji?

Jeśli jednak uwzględnimy przedstawione w niniejszym artykule cechy charakteru narodowego Węgrów (czyli samego obecnego premiera i popierającej go większości narodu) i wnioski, jakie wyciągnęli z opisanych tu doświadczeń historycznych, to okaże się, że zarzucany brak logiki i konsekwencji nie istnieje.

Ad 1) Podział liberałów w latach 80. XX w. wynika z tego, że jedna z nich, skupiająca młodzież akademicką, wyznawała poglądy zakorzenione w myśli narodowego liberalizmu XIX w. (Széchenyiego, Kossutha, Deáka i Tiszy), natomiast druga prezentowała progresywną, kosmopolityczną linię, identyczną ze współczesnymi środowiskami socjalliberalnymi Zachodu i wyrosłą na światowej fali sprzeciwu w 1968 r. Przyczyną zarzutu o działalność rozłamową i karierowiczostwo Młodych Demokratów jest nieznajomość węgierskiej historii i nieświadomość istnienia wśród Węgrów nurtu narodowo-liberalnego.

Ad 2) Victor Orbán skorzystał ze stypendium fundacji George'a Sorosa, które pozwoliło mu studiować w Wielkiej Brytanii na zasadach ogólnych i niczego owemu „filantropowi" w zamian nie obiecywał. Prawdopodobnie Soros liczył na to, że węgierscy stypendyści zachłysną się wspaniałościami Zachodu, przejmą się jego ideologią i staną się narzędziami w jego ręku, lecz w przypadku Orbána po prostu zwyczajnie się pomylił, gdyż ten wprawdzie nie szczędził wysiłków, aby ową ideologię i plany poznać (a przy okazji opanować biegle język angielski), lecz wcale nie po to, aby ją przejąć i krzewić. Przeciwnie – bez trudu dostrzegł, że jest poważnym

---

Węgier, „Studia Europejskie" 2015, nr 4; B. Góralczyk, *Partie polityczne państw Grupy Wyszehradzkiej wobec UE: kierunki myślenia i działania w obliczu kryzysu*, „Studia Europejskie" (2019), nr 3; B. Góralczyk, *Powrót Historii, czyli rewolucja antyliberalna*, „Studia Europejskie" 2017, nr 1; G. Gricius, *Hungary's Relationship with Russia Poses a Risk for Europe*, https://globalsecurity-review.com/hungarys-growing-relationship-russia/ (dostęp: 16.12.2019); J. Groszkowski, T. Iwański, A. Sadecki, współpr. T. Dąborowski, *Sąsiad odkrywany na nowo. Stosunki Czech, Słowacji i Węgier z Ukrainą*, Warszawa 2017, https://www.osw.waw.pl/sites/ default/files/raport_pl_sasiad_odkrywany_net.pdf (dostęp: 13.09.2019); *Growing anti-Russian sentiment in Hungary*, http://hungarianspectrum.org/2017/04/23/grow– ing-anti-russian-sentiment-in-hungary/ (dostęp: 23.08.2019); L. Győri, P. Krekó, *Hungary: a state captured by Russia*, https://www.boell.de/en/2017/10/11/hungary-state-captured-russia (dostęp: 25.08.2019); L. Győri, P. Krekó, *Rosyjska dezinformacja i ruchy ekstremistyczne na Węgrzech*, https://warsawinstitute.org/pl/rosyjska-dezinformacja-ruchy-ekstremistyczne-na-wegrzech/ (dostęp: 24.08.2019); D. Hegedus, *The Kremlin influence in Hungary. Are Russian Vested Interests Wearing Hungarian National Colors?*, „DGAP Kompakt" (II 2016), no. 8; H.G. Heinrich, *From Horthy to Orbán: Neo-Authoritarianism in Hungary Liberal*, [w:] *New Authoritarianism. Challenges to Democracy in the 21st Century. The Miracle of Reconciliation*, ed. J.J. Wiatr, Berlin–Toronto 2019; D. Hejj, *Po spotkaniu Trump-Orban – więcej wątpliwości aniżeli konkretnych deklaracji*, „Komentarze IEŚ" 2019, nr 24; D. Hejj, *Polityka zagraniczna Węgier A.D. 2016*, http://www.rodm-krakow.pl/index.php/tek– sty/136-polityka-zagraniczna-wegier-a-d-2016 (dostęp: 29.07.2019); *Hungarian reactions to the Russian-Ukrainian conflict*, http://hungarianspectrum.org/2018/11/27/ hungarian-reactions-to-the-russian-ukrainian-conflict/ (dostęp: 22.07.2019); T. Iwański, A. Sadecki, *Ukraina–Węgry: narastający spór o prawa mniejszości węgierskiej*, https:// www.osw.waw.pl/pl/publikacje/komentarze-osw/2018-08-14/ukraina-wegry-narastajacy-spor-o-prawa-mniejszosci-wegierskiej (dostęp: 21.08.2019); W. Jakóbik, *Turkish Stream ma klienta w UE. Węgry wspierają Gazprom w grze o Bałkany*, https://wjakobik.com/2017/10/09/turkish-stream-ma-klienta-w-ue-wegry-wspierajagazprom-w-grze-o-balkany/ (dostęp: 21.07.2019).

zagrożeniem dla węgierskiej tożsamości narodowej i trzeba się jej przeciwstawić, budując własny, konkurencyjny i atrakcyjniejszy program. George Soros jako finansista podjął ryzykowną grę i postawił w niej na młodych, węgierskich liberałów, jednak w grze pomylił karty i przegrał. Takie jest ryzyko każdej gry.

Ad 3) Viktor Orbán, będąc premierem na przełomie tysiącleci, działał w zupełnie innej sytuacji politycznej i ekonomicznej niż w czasach swych późniejszych, kolejnych rządów. Pamięć dominacji sowieckiej była zbyt świeża, a zagrożenie ze strony liberalnych demokracji Zachodu dopiero kiełkowało. Nowo utworzona Unia Europejska reklamowała się jako Europa Ojczyzn, w której każdy z krajów członkowskich zatrzyma swoją tożsamość i suwerenność oraz otrzyma w niej takie same prawa. Dopiero po akcesji wyszło na jaw, że celem jej decydentów jest budowa silnie zintegrowanego imperium europejskiego z centralą w Brukseli, w którym świadomość narodów historycznych ma się rozpłynąć, zastąpiona przez nową wspólnotową tożsamość, opartą na laickiej ideologii progresywnej, a zasada równości partnerów zostanie zastąpiona koncepcją proporcjonalną, czyli mali zostaną podporządkowani dużym. Unia, do której młody premier Orbán chciał wprowadzić Węgry, różniła się zasadniczo od tej, do której wprowadzili ją jego socjalistyczni następcy, a ta okazała się również inna od tej, jaką zastał Viktor Orbán na początku drugiego urzędowania (2010 r.). Do tego władze UE zachowały się skandalicznie w stosunku do węgierskiego protestu 2006 r., wspierając moralnie tych, którzy splamili się oszustwem wyborczym i przelali krew swych współobywateli. Oczywiście takiej wizji UE ani Viktor Orbán, ani żaden jego rodak poczuwający się do węgierskości nie mogli wspierać, ani się z nią pogodzić. Konkludując, premier Węgier nie jest przeciwnikiem UE, ale walczy o taką, jaka miała być w momencie akcesji.

Ad 4) Pomimo ciągłych konfliktów z Brukselą i zimnej wojny z jej decydentami Viktor Orbán nie dąży do wystąpienia Węgier z UE, gdyż odbiłoby się to niekorzystnie na mniejszości węgierskiej mieszkającej w krajach UE: w Słowacji i Rumunii, dla której korzystne jest otwarcie granic wewnątrzunijnych. Wystąpienie Węgier ze wspólnoty odcięłoby je od Ojczyzny i nasiliłoby proces jej wynarodowienia.

Ad 5) Przyczynami są: ogólne rozczarowanie polityką Zachodu wobec Węgier, niepoczytalna polityka ekonomiczna w krajach liberalnej demokracji, która doprowadziła do krachu w 2008 r., gigantyczna skala przejmowania gospodarki przez zachodnie firmy, nierzetelność informacyjna i niedozwolona, ordynarna socjotechnika w tzw. wolnych mediach, nachalna promocja „zachodnich wartości" w sektorze oświaty w latach 2002–2010 i nieustanne obrażanie w nich tradycji narodowych oraz zmiany polityczne na całym globie spowodowane agresywną polityką „demokratycznego świata" (szczególnie w latach 2002–2016), a także konieczność większego zwrotu przez rząd w kierunku nacjonalistycznym w związku z aktywną działalnością partii Jobbik. Ponadto zmiany polityczne wywołane przez bezpośrednią ingerencję Zachodu („arabska wiosna", prozachodni przewrót na Ukrainie i nieudana próba obalenia prezydenta Erdoğana w Turcji) wywołały cały szereg skutków, które bezpośrednio dotknęły Węgrów (pogorszenie się sytuacji mniejszości madziarskiej na Rusi Karpackiej, najście ogromnej fali „uchodźców" z Bliskiego Wschodu, dla których Węgry były głównym krajem tranzytowym, i nieustanne próby obalenia rządu Orbána przez organizowanie „spontanicznych"

protestów w Budapeszcie. Ponadto zgodnie z doświadczeniami historycznymi Orbán nie mógł dopuścić do całkowitego okrążenia Węgier przez państwa formalnie lub nieformalnie należące do jednego systemu politycznego. I właśnie to ostatnie w największym stopniu spowodowało gospodarcze i polityczne otwarcie Węgier na Wschód (z jednej strony współpraca gospodarcza z Rosją, Chinami, Japonią i innymi „azjatyckimi tygrysami" oraz polityczno-kulturalna z krajami autorytarnymi: Turcją, Azerbejdżanem, Kazachstanem itd.). Skoro okazało się, że największe niebezpieczeństwo dla suwerenności Węgier i ich jedności narodowej niesie ze sobą współpraca z liberalną demokracją Zachodu – zwrócenie się ku nieliberalnym demokracjom Wschodu było zupełnie naturalne.

Ad 6) Przyczyna jest prawie identyczna jak w poprzednim punkcie. Orbán zaczynał jako polityczny rusofob, ponieważ wówczas warunkiem odzyskania suwerenności było obalenie dominacji ZSRR w Europie Środkowej. Jednakże po przemianach w latach 90. nowa Rosja została wyparta z całego rejonu, a głównym niebezpieczeństwem dla suwerenności Węgier i ich samodzielnego rozwoju stały się demokracje zachodnie, nachalnie ingerujące w wewnętrzne sprawy państw wyzwolonych od komunizmu. Rosja mogła być zagrożeniem dla Węgier dopiero w przyszłości, natomiast brutalna ingerencja polityczna i ekonomiczna UE i USA odbywała się w czasie teraźniejszym. Przewrót na Ukrainie, który zamykał wokół Węgier krąg rządzonych przez liberałów państw UE oraz ich najnowszych klientów (Ukraina, Serbia), nakazywał dla równowagi utrzymywanie jak najlepszych stosunków z konkurencyjną wobec nich Rosją oraz silnymi ekonomicznie Chinami. Niewątpliwie najważniejszą przyczyną okazał się wspomniany przewrót na Ukrainie. Powołany w jego wyniku „demokratyczny" antyrosyjski rząd szybko pod wpływem drapieżnych nacjonalistów dopuścił się ograniczania i prześladowania ludności węgierskiej w obwodzie zakarpackim, co z kolei pociągnęło za sobą nieunikniony konflikt dyplomatyczny między wspieraną przez USA i UE Ukrainą i Węgrami. Wreszcie, bezkrwawe przejęcie Krymu przez Federację Rosyjską odbyło się zgodnie z ulubioną przez Węgrów zasadą samostanowienia narodów, co podważało równie niemiłą dla Węgrów zasadę nienaruszalności granic, nieszanujących ani kryteriów etnicznych, ani woli ludności. Pamięć roku 1956 również nie stanęła na przeszkodzie rozwojowi wzajemnych stosunków, ponieważ Rosja dwukrotnie przeprosiła Węgry za ówczesną interwencję, natomiast USA nigdy nie wyraziły żadnej skruchy ani ubolewania z powodu niezwykle podłej postawy prezydenta Eisenhowera wobec tego zdarzenia.

Jak więc z powyższego widać, rzekome „niekonsekwencje" polityki Orbána są logiczną konsekwencją wyciągnięcia przez niego wniosków z doświadczeń historycznych jego ojczyzny oraz spowodowanych przez Zachód zmian politycznych. To nie Węgry zmieniły swój stosunek do zagadnienia wolności i suwerenności, lecz przeciwnie – liberalne demokracje zachodnie wstąpiły na drogę narzucania siłą całemu światu nowego „jedynie słusznego" ustroju polityczno-gospodarczego i tym samym zboczyły z drogi promocji wolności w kierunku liberalnego zamordyzmu.

Wydarzenia ostatnich miesięcy (wybuch pandemii wywołanej zdaniem węgierskiej opinii publicznej przez te same wpływowe kręgi oligarchii światowej, które oskarżała uprzednio o promocję depopulacji i wywołanie kryzysu imigracyjnego,

a także wybór na prezydenta USA fanatycznego zwolennika lewicowego liberalizmu Joe Bidena, który oficjalnie zapowiada zdecydowaną rozprawę z „autorytarnymi" reżimami Europy Środkowej) nie wróżą szybkiego zakończenia sporu progresywnych liberalnych demokracji z Węgrami.

Ponieważ Węgrzy okazali się zupełnie niepodatni na wszelkie zabiegi socjotechniczne (nieporadna mobilizacja skompromitowanej opozycji socjalistycznej, próby wymuszenia dymisji rządu przez „masowe protesty" oraz nagłaśnianie „afer gospodarczych" i „obyczajowych" przypisywanych Fideszowi), nacisk polityczny władz UE i szantaż ekonomiczny Brukseli – szybkie odsunięcie Orbána od władzy musiałoby się odbyć na drodze blokady gospodarczej lub interwencji siłowej, a każdy, kto zna historię Węgier, wie, jak się skończy każda próba obalenia rządu popieranego przez znaczną większość tego dzielnego narodu.

W każdym razie, jeśli rządzone przez liberalnych fanatyków demokracje Zachodu nie zmienią swego stosunku do obecnych Węgier i nie zaniechają swoich szalonych planów skierowanych przeciw państwom i tradycjom narodowym (a wcale się na to nie zanosi), to rozdźwięk między Budapesztem a Brukselą i Waszyngtonem będzie się stale powiększał, a zwrot polityczny Węgier na Wschód przybierze na sile. Z przykrością należy na koniec stwierdzić, że nie rokuje to również dobrze na utrzymanie się dotychczasowego sojuszu Fideszu z PiS-em i Węgier z absolutnie proamerykańską i rusofobiczną Polską, a wtedy pozostanie tylko nadzieja, że tradycyjna przyjaźń między naszymi narodami przetrwa w warunkach wyboru przez nie przeciwstawnych opcji politycznych, jak to się nieraz już zdarzało w przeszłości.

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

Dawniej władza polityczna nie zdołała zawładnąć zjawiskami ekonomicznymi. Ich funkcjonowanie wymykało się jej brutalnej ignorancji i duża część ludzkiej swobody chroniona była przez pewien rodzaj ślepej niezależności natury rzeczy. Naszym zaś czasom przypadło w udziale być świadkiem, jak władza finansowa ujarzmia władzę polityczną.

MAURRICE BARRÈS

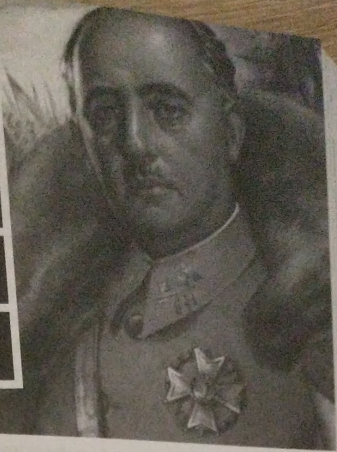
lewicowego libera-
prawę z „autorytar-
ończenia sporu pro-

e zabiegi socjotech-
cjalistycznej, próby
śnianie „afer gospo-
olityczny władz UE
władzy musiałoby
owej, a każdy, kto
rządu popieranego

mokracje Zachodu
ą swoich szalonych
wym (a wcale się
ą i Waszyngtonem
hód przybierze na
również dobrze na
ęgier z absolutnie
o nadzieja, że tra-
ach wyboru przez
ało w przeszłości.

zdołała
cznymi.
ię
zęść
a przez
ści
om
iem,

RRICE BARRÈS



Rafał Buca

Franco i Kościół katolicki – od przyjaźni do nieodwzajemnionej miłości

Katolicyzm był istotnym czynnikiem wpływającym na tworzenie się narodu hiszpańskiego, będącego zlepkiem ludów z różnych królestw i regionów Półwyspu Iberyjskiego. Potomkowie Izabeli Kastylijskiej i Ferdynanda V Aragońskiego przez wieki nieśli chwałę Hiszpanii i Chrystusa na dalekie, zamorskie lądy, czując na sobie brzemię chrystianizacyjnej misji swojego narodu. W XVI w. Hiszpania stała się największym imperium na świecie. Zasiadający na tronie monarchowie czuli się zobowiązani do obrony wiary, która wydawała się nierozłączna z *Hispanidad*. Czasy te stały się ideałem Hiszpanii gen. Franco. Dyktator prywatnie był gorliwym katolikiem, a Katolicka Nauka Społeczna stała się fundamentem dla jego praktyki politycznej. Nawet gdy podejście Stolicy Apostolskiej do jego rządów uległo gwałtownej zmianie, Franco nadal starał się pozostawać wierny Watykanowi. Z drugiej strony często katolicyzm stawia się w opozycji do przypisywanych tej postaci inklinacji faszystowskich. Jak było naprawdę? W poniższym artykule zajmę się opisem stosunku gen. Franco do katolicyzmu i Kościoła katolickiego.

Kościół w II Republice

Nie da się w pełni ująć zagadnienia stosunków państwo-Kościół we frankistowskiej Hiszpanii bez opisania stanu tych relacji w Hiszpanii prefrankistowskiej, zwłaszcza w obliczu faktu, że większość praw dotyczących kwestii wyznaniowych i obowiązujących w II Republice Hiszpańskiej znajdowała się na antypodach późniejszego ustawodawstwa *Estado Español*[1]. W grudniu 1931 r., gdy premierem

---

[1] Państwo Hiszpańskie – oficjalna nazwa Hiszpanii pod rządami frankistów (1939–1976).

został lewicowy polityk Manuel Azaña, państwo powzięło antyklerykalny kurs. Nowa konstytucja ogłaszała rozdział Kościoła od państwa, a premier ogłosił, że „Hiszpania przestała być katolicka". Wprowadzono świeckie małżeństwa i rozwody oraz rozwiązano zakon jezuitów. Zaczęto nawet zamykać katolickie szkoły.

Nie mniej istotnym od spraw legislacji problemem był popularny wśród kręgów rządowych oraz organizacji anarchistycznych i komunistycznych bojowy antyklerykalizm. Już w maju 1931 r. zaczęły się pierwsze antyklerykalne rozruchy. Anarchiści z organizacji CNT (Krajowa Konfederacja Pracy) i FAI (Iberyjska Federacja Anarchistyczna) w ciągu trzech wiosennych dni spalili ponad 100 kościołów. Rząd nie zareagował w żaden sposób na te ataki. Nie wsparł duchownych ani wojskiem, ani policją. Odmawiając pomocy, Azaña (jeszcze wówczas minister) uzasadnił swoją decyzję słowami: „wszystkie klasztory w Madrycie nie są warte życia jednego republikanina".

Ataki na świątynie spowodowały mobilizację prawicy, która zjednoczyła się w ramach Konfederacji Prawicy Autonomicznej (CEDA) i wygrała wybory w 1933 r., nie zdobywając jednak pełni władzy. Gdy prawdopodobne stało się przejęcie teki premiera przez narodowo-konserwatywnego lidera CEDA, José Maríę Gil-Roblesa, lewicowy prezydent Alcalá-Zamora rozwiązał parlament. Następne wybory, w 1936 r., wygrała wspierana przez anarchistów koalicja socjalistów, komunistów i mniejszych lewicowych ugrupowań, nazywana Frontem Ludowym. Znaleźli tam swoje miejsce zarówno rewolucjoniści z POUM i Hiszpańskiej Partii Komunistycznej, jak i bardzo radykalna wówczas socjalistyczna partia PSOE. We Froncie Ludowym odnajdywali się również separatyści z Katalonii i Kraju Basków oraz bardziej umiarkowana lewica republikańska.

Po zwycięstwie lewicy tłumy wznoszące rewolucyjne hasła zaczęły przejmować niektóre miasta i palić kościoły. Do końca marca 1936 r., czyli w zaledwie ponad miesiąc, spalono 160 budynków, głównie kościołów lub związanych z Kościołem, a prawie 200 splądrowano. Aż 269 osób zostało w tym krótkim okresie zabitych, przede wszystkim przez anarchistów z CNT. Odnotowano też 1287 napaści. W obliczu tych wydarzeń i ogólnego chaosu panującego na ulicach, spotęgowanego zamordowaniem przez rządową policję jednego z liderów prawicy – José Calvo Sotelo, wybuchła hiszpańska wojna domowa.

≡ Kościół podczas krucjaty – zawiązanie sojuszu

Jak wiemy, w trakcie hiszpańskiej wojny domowej Kościół katolicki oficjalnie poparł rząd narodowy, utworzony przez nacjonalistów. Kościół nie zdecydował się na to jednak od razu – stało się to pokłosiem antykościelnych zbrodni strony przeciwnej.

W trakcie działań wojennych strona republikańska postanowiła zniszczyć na kontrolowanych terytoriach wszystko, co było związane z Kościołem katolickim. Warto też dodać, że wśród strony nazywanej „republikańską" zwolennicy republiki stanowili mniejszość, dominowali zaś komuniści chcący obalić „republikę burżuazyjną" oraz anarchiści, przeciwni państwowości w ogóle. Jeden z istotniejszych hiszpańskich działaczy III Międzynarodówki, Jose Diaz, powiedział: „W prowincjach, w których mieliśmy władzę, Kościół już nie istnieje. [...] Kościół

w dzisiejszej Hiszpanii został zniszczony". Nie stało to daleko od prawdy, strona republikańska, a głównie anarchiści i wzburzone przez nich klasy niższe, z bestialstwem walczyły z Kościołem katolickim. Księża byli mordowani przez uduszenie wpychanymi w gardło krucyfiksami lub zwyczajnie rozstrzeliwani, a zakonnice zbiorowo gwałcone. W kościołach zakazano odprawiania Mszy Świętych, a część przerabiano na stajnie i inne miejsca świeckie. Wśród lewicowych wojskowych istniały nawet specjalne funkcje do walki z samym Kościołem, np. osoby wyznaczone jedynie do burzenia świątyń. W samej diecezji Walencja w proch obrócono ok. tysiąca świątyń. Strona republikańska zamordowała aż 4184 księży, 13 biskupów oraz 2648 braci i sióstr zakonnych. Niektóre diecezje straciły nawet 80% wszystkich duchownych, a diecezja Barbastro w północnej Hiszpanii niemal 88%. Nie można zapomnieć o osobach, które za pomoc kapłanom zapłaciły najwyższą cenę. Szacuje się, że lewica dokonała egzekucji ok. 4 tysięcy Hiszpanów niosących ratunek księżom.

W tym samym czasie po stronie narodowej żołnierze masowo uczestniczyli w codziennych Mszach Świętych, a wielu z nich ginęło z karlistowskim hasłem *Por dios por la patria y el rey*[2] na ustach. Choć Kościół nie podważał wcześniej władzy II Republiki, to w obliczu jawnej wrogości jednej ze stron i szczerego przywiązania drugiej do wiary katolickiej poparcie nacjonalistów jawiło się jako naturalne. Już w 1936 r. pojawiły się napisane przez biskupa Pampeluny i arcybiskupów Valladolid oraz Salamanki listy pasterskie, w których jednoznacznie opowiadano się po stronie nacjonalistów. Na uwagę zasługuje również użycie słowa „krucjata" [hisz. *Cruzada*], rozpropagowanego przez karlistów. *Cruzada* oznaczać miała walkę o wielką i katolicką Hiszpanię, taką jak w XVI i XVII w., gdy Hiszpanie nieśli Chrystusa za ocean. Sam Franco uważał, że ma nad sobą Bożą opatrzność i że jest namaszczony do przywrócenia Hiszpanii jej dawnego blasku.

Pod koniec 1936 r. prymas Hiszpanii Isidro Goma podpisał porozumienie z Franco. Umowa była podwaliną pod przyszły, wyznaniowy charakter państwa. Następnie prymas Goma, pisząc list pasterski pt. *Katolicki sens wojny*, rozpowszechnił wśród kościelnych hierarchów ideę powstania jako wojny w obronie wiary katolickiej. Przełomowym wydarzeniem było napisanie i rozpowszechnienie listu hiszpańskich biskupów do hierarchów kościelnych z całego świata, w którym jednoznacznie przedstawiono frankistów jako obrońców wiary oraz podkreślono wpływy masonerii i marksizmu w szeregach strony przeciwnej. Przetłumaczone na aż 14 języków pismo pozyskało dla strony narodowej wielu sympatyków wśród katolików z całej Europy i nie tylko. W następstwie rozpowszechnienia dokumentu i poczynań obu stron konfliktu Watykan uznał rząd narodowy w Burgos. Franco uzyskał wówczas legitymizację Kościoła, na której opierał swój reżim aż do momentu jego rozkładu, gdy poparcie Kościoła zaczęło zanikać. Mimo szeregu udogodnień i przywilejów, jakie rząd narodowy musiał powierzyć biskupom, nie można powiedzieć, aby strona powstańców była stratna. Uznanie reżimu przez Watykan oznaczało bardzo wiele, zwłaszcza po II wojnie światowej, gdy Hiszpania często postrzegana była jako relikt faszyzmu, niedobitek, którym zająć się powinny armie „wolnego świata". Przyjazne

MIĘDZYNARODOWO

---

[2] „Za Boga, Ojczyznę i Króla" (kolejność ma tutaj znaczenie – oznacza hierarchię wartości).

stosunki z Watykanem, a później również ze Stanami Zjednoczonymi skutecznie chroniły Hiszpanię Franco przed inwazją „antyfaszystów”.

Oczywiście dochodziło również do tarć. Problemem byli zwłaszcza księża z prowincji takich jak Katalonia czy Kraj Basków, niechętni wobec unitarnego charakteru państwa. Niektórzy z nich popierali republikę. Część z nich za tę decyzję została stracona. Najbardziej jaskrawym przykładem może być egzekucja 14 księży przez wojska frankistowskie w Kraju Basków. Z drugiej strony, po wojnie nawet księża popełniający przestępstwa i działający w opozycji do Franco byli specjalnie traktowani – posiadali oddzielne cele, a sprawy duchownych były otoczone szczególną tajnością.

1 kwietnia 1939 r. zakończyła się wojna domowa. W dzień triumfu Franco papież Pius XI wysłał mu osobiste gratulacje, a Hiszpania została nazwana przez Ojca Świętego „przedmurzem wiary katolickiej”.

≡ OTWARCIE NA ŚWIAT – PODBUDOWA

Po zwycięstwie gen. Franco dążył do unormowania stosunków z Kościołem katolickim. Trwała już jednak II wojna światowa i Stolica Apostolska wciąż była niepewna trwałości rządów frankistów, wolała więc przeczekać burzliwy, wojenny okres. Pewne postanowienia normujące sytuację Kościoła w Hiszpanii były jednak konieczne i w 1941 r. podłożono fundament pod przyszły konkordat, podpisując specjalną konwencję z Watykanem. Zobowiązywała ona (co ciekawe, tylko Hiszpanię) do podpisania konkordatu w najbliższych latach, przywracając cztery pierwsze punkty konkordatu Izabeli II z 1851 r. W myśl jego zapisów katolicyzm stawał się na powrót „wiarą całej Hiszpanii”, co dało Kościołowi ponownie duże wpływy na edukację i finansowanie z państwowych pieniędzy. Ponadto rząd frankistowski otrzymał prawo mianowania biskupów spośród trzech kandydatów proponowanych przez papieża. W międzyczasie, m.in. w latach 1946 i 1950, wprowadzono kilka drobniejszych konwencji regulujących stosunki na linii państwo-Kościół.

W latach 50. Hiszpania zaczęła otwierać się na resztę świata, który przestawał postrzegać ją jako faszystowski reżim. Pierwszym znaczącym tego przejawem było spotkanie Franco z Tomem Connallym, dowódcą amerykańskiej floty, w rodzinnej miejscowości generała – El Ferrol del Caudillo[3]. Prezydentowi Eisenhowerowi zależało na dobrych relacjach z Hiszpanią, która wydawała się cennym sojusznikiem w walce z komunizmem. Amerykanom zależało także na budowie baz wojskowych na Półwyspie Iberyjskim. Prezydent Eisenhower w 1959 r. przybył nawet do Madrytu na spotkanie z *Generalissimusem*. Znacząco ocieplało to wizerunek Hiszpanii Franco w oczach świata zachodniego. Sojusz z USA stał się kolejnym krokiem milowym w legitymizacji reżimu, ułatwiającym mu wejście do organizacji międzynarodowych, w których wcześniej „faszystowska” Hiszpania była niemile widziana. W 1950 r. ONZ uznała rządy frankistów, głosując za wysłaniem dyplomatów

---

[3] Drugi człon nazwy miasta został nadany na cześć Francisco Franco w 1938 r. Odwołanie do *El Caudillo* usunięto dopiero w roku 1982.

do Hiszpanii. W 1952 r. Franco określił strategię polityki międzynarodowej Hiszpanii, gdzie obok zbliżenia do państw arabskich i Ameryki łacińskiej oraz sojuszu z USA podkreślał konieczność przyjaźni i bliskich stosunków z Watykanem.

Lata 50. to również czas, gdy na znaczeniu tracą narodowo-radykalni falangiści, a partia rządząca zmienia nazwę z tej odwołującej się do dziedzictwa ruchu „joseantoniańskiego" na Ruch Narodowy. Do rządu wchodzą katoliccy technokraci związani z Opus Dei, których reprezentowało aż ośmiu ministrów. Hiszpania odchodzi od gestów i haseł kojarzących się z faszyzmem. Warto zaznaczyć, że konflikt pomiędzy narodowo-radykalnymi falangistami a stronnictwem, które zbiorowo można nazwać „katolikami", trwał już od lat 40. Zarówno jedni, jak i drudzy byli zniesmaczeni zbyt dużymi (w swym mniemaniu) wpływami przeciwnej grupy. Ostatecznie to katolicy, głównie za sprawą przenikających przez wszelakie instytucje działaczy Opus Dei, zdominowali administrację państwową, wypierając Falangę.

Kościół, widząc stabilizację reżimu, decyduje się wówczas na podpisanie pełnego konkordatu z państwem Franco. Tekst konkordatu opracowano już w 1951 r., w setną rocznicę podpisania konkordatu Izabeli II. Negocjacje nad niektórymi spornymi aspektami (jak choćby sprawa mianowania biskupów przez głowę państwa) trwały do 1953 r.

≡ Franco a katolicyzm

Niektórzy zarzucają *Generalissimusowi*, że traktował Kościół instrumentalnie, wykorzystując legitymizację, jaką dawała mu ta instytucja. W myśl tej narracji wszelkie działania wobec Kościoła motywowane miały być charakterystycznym dla *Caudillo* pragmatyzmem. Jeśli jednak przyjrzymy się życiorysowi Franco, dojdziemy do wniosku, że jego katolickie poglądy były szczere. Wynikały one z wychowania i zamiłowania do katolickiej tradycji Hiszpanii imperialnej, o której wskrzeszeniu marzył generał. Wymowna jest anegdota odzwierciedlająca silne tradycje katolickie w domu przyszłego przywódcy krucjaty, według której matka generała, mająca największy wpływ na wychowanie syna, posiadała w lokalnym kościółku swój własny klęcznik, podpisany jej imieniem. W zamieszkałej przez wojskowych okolicy kobieta znana była ze swej pobożności. Jeśli wierzyć ustnym przekazom współpracowników Franco z czasów wojny domowej, uczestniczył on w Mszy Świętej każdego dnia.

Młody Franco był też naocznym świadkiem narodowej tragedii Hiszpanii, czyli upokarzającej porażki z 1898 r., gdy wojska hiszpańskie zostały rozgromione przez flotę USA bez oddania ani jednego celnego strzału, tracąc tym samym panowanie nad koloniami – na Filipinach i Kubie. Był to dla Hiszpanów wstrząs, który spowodował kryzys ekonomiczny, ale przede wszystkim kryzys wiary w samą Hiszpanię. Klęska zrodziła nowy, nacjonalistyczno-modernistyczny prąd kulturowy nazywany Pokoleniem '98. W przeciwieństwie do jego przedstawicieli Franco nie widział jednak szansy na przywrócenie wielkości Hiszpanii w modernizmie. Marzył o powrocie Hiszpanii Królów Katolickich; imperium, nad którym nie zachodziło słońce. Ten tradycjonalistyczny rys bardzo mocno zaciążył na praktyce jego rządów.

Już po objęciu sterów państwa w swoich przemówieniach bardzo często podkreślał nierozerwalność katolicyzmu i hiszpańskości. Katolickie korzenie narodu były dla Franco czymś nie tylko integrującym wszystkie prowincje państwa, ale również źródłem zasad i charakteru narodowego wszystkich Hiszpanów. To właśnie szczere katolickie przekonania, a nie jedynie pragmatyzm *Caudillo*, były głównym źródłem inspiracji dla stworzenia katolickiego państwa. Sam też nigdy tego nie krył: „Poczucie katolickie inspirowało wszystkie poczynania naszego ruchu. Nasze prawa i rozporządzenia były impregnowane tym duchem[4]". Większe znaczenie od słów mają jednak czyny – również na tym polu przywiązanie generała do katolicyzmu jest bardzo widoczne. Zbudował on państwo, które oficjalnie oparło się na katolickiej moralności i katolickiej nauce społecznej. Kościół otrzymywał ogromne dotacje od państwa, które zagwarantowało mu szerokie wpływy (zwłaszcza w szkolnictwie), a członkowie katolickich stowarzyszeń robili często karierę w instytucjach państwowych. Nawet w latach pontyfikatów nieprzychylnych Franco, tj. papieży Jana XXIII i Pawła VI, był on im posłuszny i mimo swojego głębokiego konserwatyzmu respektował postanowienia choćby Soboru Watykańskiego II.

≡ PAŃSTWO KATOLICKIE

Już podczas wojny domowej rząd narodowy w Burgos uchylił antykatolickie prawa na zajmowanych przez nacjonalistów terenach, wprowadzając prawodawstwo oparte na doktrynie katolickiej. Zakończyły się prześladowania księży oraz wspólnot zakonnych. Od 1937 r. dzieci na okupowanych terenach uczyły się już z nowych podręczników, zgodnych z wykładnią Kościoła. Franco był zwolennikiem znaczącego udziału Kościoła w wychowywaniu dzieci, licząc na ponowne ukształtowanie katolickiego społeczeństwa, wychowanego w duchu zasad religijnych. Miał nadzieję na odbudowę jedności narodowej wokół Wiary i nacjonalizmu. Frankiści zabrali się więc również za przywrócenie katolickiego charakteru małżeństwa, wycofując republikańskie prawo z 1932 r., które stanowiło, że ważne w świetle hiszpańskiego prawa są jedynie małżeństwa cywilne. W 1938 r. instytucja małżeństwa ponownie stała się sprawą Kościoła, a w 1939 r. zniesiono też republikańskie prawo do rozwodów. Hiszpańscy katolicy za czasów republiki musieli ślubować dwa razy – przed ołtarzem oraz cywilnie, aby ślub był uznany przez państwo. Rząd narodowy uznawał takie śluby. Nie uznawano natomiast tych, które zawarte zostały jedynie w urzędzie. Stopniowo święta katolickie stawały się świętami państwowymi. W 1940 r. stały się one dniami wolnymi od pracy.

W narodowym państwie demokracji organicznej – jak nazywano frankistowską Hiszpanię – funkcję, którą w krajach demoliberalnych pełniła konstytucja, stanowiły Ustawy Fundamentalne. Powstawały one stopniowo. Najważniejsze, stanowiące filary ustroju, uchwalono w latach 1938–1947. Były to: Karta Pracy (1938 r.), Ustawa Konstytuująca Kortezy (1942 r.), Karta Praw Hiszpanów (1945 r.), Ustawa o Referendum Narodowym (1945 r.), Ustawa o Sukcesji (1947 r.). Dwie ostatnie

---

[4] Przemówienie Francisco Franco rozpoczynające kongres Ruchu Narodowego w 1967 r.

czyli Ustawa o Zasadach Ruchu Narodowego i Ustawa Organiczna Państwa, powstały kolejno w 1958 i 1967 r. Niemal każdy z wymienionych dokumentów jasno określał znaczenie roli Kościoła katolickiego w państwie. Czyniły one Hiszpanię państwem wyznaniowym, oficjalnie mającym za zadanie realizowanie misji ewangelizacyjnej Kościoła. Monarchia hiszpańska ponownie została jednoznacznie określona monarchią katolicką (Ustawa o Sukcesji). Obrządek rzymsko-katolicki był jedynym legalnym w sferze publicznej, jednak prywatne wyznawanie innych religii nie było sankcjonowane karnie – gwarantowała to Karta Praw Hiszpanów. Dokument ten gwarantował wolność myśli i poszanowanie godności jednostki, kierując się personalizmem chrześcijańskim. Zagwarantowano również wolność słowa, o ile artykułowane poglądy nie uderzały w fundamenty ustroju, oraz szczególną ochronę instytucji rodziny. Ustawa o Referendum Narodowym podkreślała, że w Hiszpanii panuje reżim chrześcijański. Nawet w odnoszącej się głównie do praw pracowniczych i sprawiedliwości społecznej, wynikającej z programu Falangi, Karcie Pracy, a dokładniej – w preambule, znajduje się wspomnienie o „odnowieniu tradycji katolickiej". Duch katolicki w państwie Franco był wszechobecny.

Status Prawa Kardynalnego posiadał również konkordat ze Stolicą Apostolską (1953 r.), który już w pierwszym artykule uznawał, że rzymski katolicyzm to jedyna religia dopuszczalna w Hiszpanii. Dalej czytamy, że *Estado Espana* widzi w hierarchicznym charakterze Kościoła wzór dla idealnego społeczeństwa. Uznaje też duchowy prym tej instytucji nad narodem i pełną swobodę w nauczaniu. Hiszpania oficjalnie uznała też Watykan za międzynarodowy podmiot prawny oraz zapewniła stałą siedzibę nuncjuszowi apostolskiemu w Madrycie. Analogicznie Watykan miał zapewnić przestrzeń dla działań ambasadora hiszpańskiego. Państwo było też zobligowane do propagowania i obrony religii za pomocą środków masowego przekazu. W treści konkordatu wyszczególnione są te najistotniejsze, czyli telewizja i radio. Wszelkie prawa sprzeczne z postanowieniami konkordatu w chwili jego wejścia w życie traciły ważność, co podkreślało istotę i pozycję prawną tego dokumentu. Potwierdzono też obowiązywanie umów zawartych przez Franco i Watykan na przestrzeni ostatnich lat, m.in. w kwestii mianowania przez niego biskupów z zapewnieniem papieżowi prawa do sugerowania kandydatów na ten urząd.

Poza samym Kościołem ogromny wpływ na państwo miały stowarzyszenia katolickie. Były to głównie wcześniej wspomniane Opus Dei oraz Akcja Katolicka. Miały one dostęp do znacznych dotacji oraz bezpośredni udział w administracji państwowej. Zwłaszcza działacze Opus Dei odcisnęli swoje piętno na polityce Państwa Hiszpańskiego. Byli zwolennikami ordoliberalizmu i zajadłymi przeciwnikami falangizmu. To oni w dużej mierze stali za przeobrażeniem Hiszpanii Franco z monopartyjnego państwa zdominowanego przez narodowych radykałów w prawicowo-katolicką dyktaturę, by następnie wziąć udział w procesie demokratyzacji ustroju. Byli też przeciwni ideologizacji społeczeństwa. Zamiast tego woleli usypiać polityczne odruchy narodu wysokim wzrostem gospodarczym, który nastąpił wskutek podejmowanych przez nich reform. Co niespotykane w systemach takich jak frankistowski, byli oni zewnętrzną (niezależną od Ruchu Narodowego) siłą mającą ogromny wpływ na państwo. Działacze Dzieła Bożego stanowili niemal połowę

wykładowców w hiszpańskich szkołach wyższych i od lat 50. zajmowali wiele stanowisk ministerialnych. Mieli też własne przedsiębiorstwa, a nawet kontrolowali banki.

≡ Kryzys relacji

Wyznaniowy charakter państwa Franco nie oznacza, że nie dochodziło do sporów na linii *Caudillo*-kler. Przeciwnie, z czasem było ich coraz więcej. Niektórzy księża już podczas wojny domowej poparli republikę ze względu na sympatie separatystyczne. Znanym przykładem są baskijscy kapłani, którzy otrzymali od strony republikańskiej rządową koncesję na odprawianie Mszy Świętej. Również później niektórzy księża nie zgadzali się z unitarnym charakterem państwa. Nie było to na początku zjawisko masowe, z czasem jednak zaczęło przybierać na sile. Salki organizacji katolickich stały się też z czasem miejscem spotkań komunistów i całej lewicowo-demokratycznej opozycji. Opozycjoniści przeniknęli szeregi katolickich organizacji, nie mogąc oficjalnie formować socjalistycznych grup. Znamiennym faktem jest, że w klasztorach dochodziło nawet do obchodzenia rocznic śmierci komunistycznych dowódców, np. Che Guevary.

W połowie lat 50., gdy Hiszpania znajdowała się jeszcze w złej sytuacji gospodarczej, Akcja Katolicka organizowała antyrządowe protesty, rzekomo w obronie interesów społecznych. Młodzi, niepamiętający wojny duchowni zaczęli inspirować się demokratycznymi trendami z Zachodu oraz socjalizmem, co zaowocowało dużym poparciem dla teologii wyzwolenia.

Prawdziwym ciosem dla relacji Hiszpania-Watykan był jednak Sobór Watykański II (1962–1965), który w zasadzie odebrał legitymizację Kościoła dla ustroju panującego w Hiszpanii. Jak wspomniano, papieże Jan XXIII oraz Paweł VI byli znacznie mniej przychylnie nastawieni do Franco niż ich poprzednicy. Sobór Watykański II sprzeciwił się koncepcji państwa wyznaniowego. Głosił tolerancję religijną oraz dialog międzyreligijny. Watykan stanął na gruncie liberalnej demokracji. Sobór podważył też warunki zawartego w latach 50. konkordatu, czego *Caudillo* nie chciał zaakceptować. Przede wszystkim nie zamierzał rezygnować z prawa do mianowania biskupów, tym bardziej że kandydaci Watykanu coraz mniej odpowiadali kanonom frankizmu.

System frankistowski stracił swój najistotniejszy filar. Kadra duchownych powoli ulegała wymianie. Starsi, wierni ustrojowi, zaczęli być przenoszeni przez Watykan na emerytury. Ich miejsce zajmowali młodzi moderniści, otwierający drzwi salek kościelnych antyrządowym buntownikom. Już w latach 60. Akcja Katolicka otwarcie nawoływała do zmiany ustroju na demoliberalny. Lewicowo-katolicka opozycja zaczęła się grupować i w 1964 r. stworzyła wspólny front antyfrankistowski – Unię Demokratyczno-Chrześcijańską. Kościół apelował o łaskę dla skazywanych na śmierć komunistów oraz terrorystów baskijskich z ETA. Do apelów dołączał się cały demoliberalny świat. Hiszpania znów oddalała się od zachodu, który jeszcze nie tak dawno przyjął ją w swoje szeregi. Kryzys relacji Państwa Hiszpańskiego z posoborowym Kościołem przyniósł też kryzys powołań w Hiszpanii. Na początku lat 60. aż ⅔ seminarzystów zrezygnowało z dalszej formacji.

Same seminaria były infiltrowane przez grupy komunistów oraz socjalistów, którzy mieli upowszechniać tam swoje idee.

Papież Paweł VI oraz Hiszpański Episkopat w 1967 r. otwarcie wzywali do zwiększenia autonomii dla mniejszości narodowych oraz do zmiany prawa religijnego w duchu soborowym. Oznaczało to zniesienie dominującej pozycji rzymskiego katolicyzmu nad innymi wyznaniami w Hiszpanii. Papież wciąż domagał się również zrzeczenia się przez Franco prawa do mianowania biskupów. Dyktator konsekwentnie tego odmawiał, wiedząc że skończyłoby się to całkowitym przemodelowaniem hiszpańskiej hierarchii kościelnej w duchu modernizmu.

Mimo to Franco wciąż deklarował wolę współpracy ze Stolicą Apostolską oraz zapewniał, że Hiszpania przyjmie zalecenia II Soboru Watykańskiego. W 1966 r. powołana została komisja mająca na celu przebudowę religijnej części Karty Praw Hiszpanów. Efektem prac była Ustawa o Wolności Religijnej z 1967 r. Katolicyzm przestał być „jedyną religią narodu hiszpańskiego", a stał się jedną z wielu religii egzystujących we wzajemnej równości wobec siebie. Praktykowanie niekatolickich religii stało się nieograniczone poza drobnymi wyjątkami: Kult religijny nie mógł uderzać w ustrój frankistowski, porządek publiczny oraz miał być tolerancyjny względem innych wyznań. Nowe prawo przyznawało też równość w kwestiach administracyjnych; poza stanowiskiem głowy państwa zapewniało o braku dyskryminacji dla niekatolików ubiegających się o pracę w administracji państwowej. Osoby niebędące katolikami mogły też rejestrować swoje wspólnoty religijne jako podmioty prawne, a pracodawcy byli zobowiązani do zezwalania na dni wolne w niekatolickie święta.

Mimo że katolicyzm cały czas był podstawą ustroju oraz wyznaniem dominującym, przestał być jedyną religią mającą pełnię praw kultu publicznego – przestał być „religią wszystkich Hiszpanów". Konfesyjna wizja jedności narodowej wykuta przez Franco legła w gruzach.

Jeszcze w latach 60. w opozycji do autorytarnego modelu państwa zaczęli stawać członkowie Opus Dei. Ich ideolog (choć sam nigdy nie chciał się tak nazywać) Calvo Serer odszedł od popierania frankizmu, kreśląc ideę katolickiej technokracji, mającej odpowiedzieć na potrzeby demokratyzującego się świata. Działacze Dzieła Bożego poparli modernistyczne zmiany, kreowane w duchu soboru.

W 1971 r. umarła też idea Krucjaty. Hiszpańscy księża oficjalnie przeprosili za swoją postawę podczas wojny domowej. Niektórzy duchowni wciąż bronili „starego ładu", jednak byli oni zdominowani przez wspieranych przez Watykan i opozycję modernistów. Spory wewnątrz Kościoła spowodowały też upadek Akcji Katolickiej, z której szeregów na przełomie lat 60. i 70. odeszła miażdżąca większość działaczy. Warto przypomnieć, że w 1966 r. stowarzyszenie liczyło pół miliona członków. Zostali nieliczni.

W 1975 r. generał zakończył swoją ziemską wędrówkę, przekazując wcześniej władzę królowi Juanowi Carlosowi. Następstwem rządów króla był demontaż ostatniego narodowo-katolickiego państwa w Europie. Generał Franco w ostatnich latach swojego życia najpewniej widział kierunek, w jakim zmierza stworzone przez niego państwo. W swoim testamencie napisał: „W mojej ostatniej chwili chciałem połączyć imię Boga i Hiszpanii". Hiszpania postfrankistowska rozpoczęła jednak drogę w zupełnie innym kierunku.

≡ Zakończenie

Franco uważał, że faszyzm przegrał przez to, że był oddalony od Boga. Bóg nie mógł pozwolić, by zwycięskie chorągwie wznieśli ci, którzy zdeptali boskie sztandary. Idąc za tą tezą, można zadać sobie pytanie: dlaczego upadł frankizm? Był on przecież wierny doktrynie katolickiej (a nawet modernistycznym, krytykującym go papieżom) do samego końca.

Kościół katolicki miał ogromne zasługi dla hiszpańskich nacjonalistów w momencie, gdy władza Franco dopiero krzepła. Stał się on głównym źródłem legitymizacji ustroju. Założenie, by oprzeć swoją władzę na tym, co wieczne – a nie na chwiejnej woli ludu, tak jak w reżimach demokratycznych – wydawać się może sensowne. Problem pojawił się w momencie, gdy to, co wydawało się wieczne, zostało „zreformowane" przez duchownych chcących przystosować Kościół do nowego, liberalnego świata. W momencie, gdy Kościół wycofał swoje poparcie, a nawet przeszedł na pozycje wrogie generałowi, system zaczął się rozpadać. Mimo to nikt nie obalił Franco – postać cieszącą się długo autorytetem. Taką formę legitymizacji nazywa się „charyzmatyczną". W momencie śmierci generała, a wcześniej morderstwa jego naturalnego zastępcy – Carrero Blanco, legła ona w gruzach. W tym czasie poparcie dla systemu ze strony episkopatu pozostawało znikome, w zasadzie więc jedyną możliwością przetrwania ustroju w jakiejś formie było zbudowanie silnej pozycji obejmującego tron Juana Carlosa. Tak się jednak nie stało. Król zdradził generała Franco i dokonał reform liberalnych. Jeszcze bardziej chyba uderza fakt, że frankizmu w trakcie przeobrażeń ustrojowych niemal nikt nie bronił. Tutaj Franco wpadł w pułapkę własnych ideałów, których wyrazem była organizacja narodu przeciwna zarówno postulatom faszystowskiej „totalnej mobilizacji", jak i demokratycznego „społeczeństwa obywatelskiego". Masy społeczne we frankizmie miały pozostać bierne. Totalistyczne tendencje, obecne w początkowych fazach rozwoju systemu, z czasem zaczęły ustępować na rzecz technokracji. Z drugiej strony, ideałem konserwatywnego Franco było społeczeństwo niezaangażowane politycznie, żyjące spokojnie, chodzące do Kościoła, pracujące, nieprzeżywające politycznych rozterek. Mimo to naród hiszpański szybko uległ demoliberalnej i ateistycznej narracji.

Zmiany wspierali przedstawiciele środowisk katolickich, którzy u schyłku działania państwa Franco niemalże je przejęli. Głosili przy tym poglądy klasyczne dla chadecji i katolicyzmu posoborowego. Organizując się głównie w środowiskach inteligenckich, wykształcili intelektualną kadrę opozycji chrześcijańsko-demokratycznej. W skład rządu piastującego władzę w latach 1969–1973 wchodziło aż 10 ministrów wywodzących się z Opus Dei. Była to ponad połowa wszystkich ministerstw. Opanowali oni też katedry uniwersyteckie, więc mieli wpływ na kształtowanie inteligencji. Do tego, jak wcześniej wspomniano, posiadali liczne banki i przedsiębiorstwa. Tak potężna grupa wpływu, nazywana nieraz „białą masonerią", mająca poglądy sprzeczne z pryncypiami reżimu, musiała w końcu go osłabić.

Czy Franco mógł być świadomy takiego biegu wypadków? Z pewnością wiedział o pewnych, niesprzyjających mu tendencjach, które zdobywały uznanie wśród aktywnych społecznie katolików. Problem zgłaszali też członkowie Ruchu

Narodowego. *Caudillo* nigdy nie ograniczył jednak praw żadnej organizacji katolickiej. Przykład Opus Dei oraz salek katechetycznych wypełnionych opozycjonistami każe się głębiej zastanowić nad zagadnieniem.

Hiszpania w trakcie transformacji podupadła duchowo. Poza rozmyciem doktryny katolickiej i opustoszeniem wielu tradycyjnych organizacji katolickich Hiszpanie zwyczajnie przestali poważać Kościół. Liczba regularnie praktykujących, hiszpańskich katolików, która w roku 1970 wynosiła 65%, w 1978 r. spadła poniżej 40%, a w latach 80. momentami nawet poniżej 30%[5]. To spadek o ponad połowę w niecałe 10 lat po śmierci *Caudillo*. Konserwatyści zrazili się do Kościoła przez „czerwonych proboszczów", a liberałowie i socjaliści zamienili salki katechetyczne na sale konferencyjne i mównice parlamentarne. Hiszpania zaczęła się drastycznie laicyzować, a procesu tego dopełnili rządzący krajem od 2004 r. socjaliści z PSOE.

W 2021 r. pojawiły się doniesienia, że 160 z 208 parafii w Katalonii ma zostać zlikwidowane. Jest to najbardziej zlaicyzowany region kraju, gdzie bardzo wiele dzieci nie jest nawet ochrzczonych, a część świątyń pozostaje zwyczajnie pusta. Brakuje też powołań kapłańskich. Pomimo tego, że oficjalnie 68,5% Hiszpanów to katolicy, w całej Hiszpanii tylko 14% z nich uczęszcza co niedzielę na Mszę Świętą, a tylko 2% robi to częściej[6]. Deklarowanie religii katolickiej dla wielu Hiszpanów stało się już tylko pustym przyzwyczajeniem. Nie widać też wielkich nadziei na zmianę tej tendencji, ponieważ ateistami są głównie ludzie młodzi – w 2017 r. brak przywiązania do jakiejkolwiek religii wykazało aż 53,5% Hiszpanów w wieku 18–24[7]. Od lat 70. hiszpański Kościół, który z wojny domowej wyszedł obronną ręką, obumiera, a szans na ponowne odrodzenie nie widać. W 2019 r., podczas ekshumacji Franco z jego grobu w Dolinie Poległych, Kościół nie zdobył się na protest w obronie swojego wybawcy. Czas współpracy z Franco dziś dla kościelnych hierarchów pozostaje raczej niechętnie przywoływanym wspomnieniem.

≡ WYBRANA BIBLIOGRAFIA

S. Dawidowski, *Francisco Franco 1892–1975. Pragmatyczny autorytaryzm*, t. 1–2, Warszawa 2020.

J. Allen, *Opus Dei i polityka*, „Christianitas" 2006, nr 26.

M. Mizerska-Wrotkowska, *Polityka zagraniczna Hiszpanii w latach 1833–1914*, „Przegląd Europejski" 2013, nr 1.

P. Ryguła, *Wolność religijna w Hiszpanii na tle przemian społeczno-politycznych w latach 1931–1992*, Katowice 2009.

P. Skibiński, *Państwo generała Franco*, Kraków 2004.

W. Turek, *Stosunki państwo-Kościół we Włoszech (1870–1939) i Hiszpanii (1931– 1975)*.

A. Wielomski, *Hiszpania Franco. Źródła i istota doktryny politycznej*, Biała Podlaska 2012.

M. Wrostek, *Hiszpania za czasów generała Franco*, Kraków 2009.

Międzynarodowo

---

[5] J.M. Montero, *Religiosidad, ideología y voto en España*, 2005.

[6] *Hiszpania: statystyki na temat religijności*, https://opoka.news/hiszpania-statystyki-na-temat-religijnosci (dostęp: 20.07.2021).

[7] Źródło: Fundació Ferrer i Guàrdia.

Krzysztof Arton

Ewolucja poglądów Stanisława Brzozowskiego na katolicyzm

Fot. pexels.com

Zagadnienie katolicyzmu cieszyło się szczególnym zainteresowaniem Stanisława Brzozowskiego. Świadczą o tym już przeobrażenia zachodzące w filozofii pracy, u których źródeł możemy doszukiwać się ewolucji stosunku polskiego myśliciela do Kościoła. Punktem wyjścia „wczesnego" jej wariantu była wszak negacja wszelkiej „rzeczywistości pozaludzkiej", „późnego" natomiast – rozpoznanie w religii przejawów nadprzyrodzoności. Tytułową problematykę niniejszego eseju zdecydowano się zrekonstruować poprzez pryzmat analizy kwestii problemowych: wiary Brzozowskiego oraz wyrażanych w różnych okresach jego życia poglądów na religię.

≡ Wiara Brzozowskiego

Wśród fragmentów *Pamiętnika* Brzozowskiego poświęconych wierze szczególnie istotny okazuje się zapis z 29 października 1910 r. To właśnie w nim filozof wspomina utratę wiary religijnej. „Pamiętam, w tym roku po raz pierwszy *zrealizowałem*, jak mówi Newman, co znaczy materializm i niewiara w nieśmiertelność duszy, i już od lat napastowały mnie wątpliwości – a właściwie silne ataki strachu i rozpaczy związane z przedmiotami religijnymi"[1] – relacjonuje. Jako kwestia już nie tak jednoznaczna jawi się natomiast nawrócenie Brzozowskiego. I nawet jeśli pod koniec życia filozof przyjmuje sakramenty, to refleksja zawierająca się w jego

---

[1] S. Brzozowski, *Pamiętnik*, Gdańsk 2000, s. 21. Istotny jest także wpis z 5 stycznia: „Prowadziłem wtedy także dziennik, którego zaniechałem, gdyż ojciec mój czytał go i kilka razy wspomniał z ironią (zasłużoną aż nadto zapewne) jakiś szczegół (zdaje się mój *sceptycyzm religijny*). Może jednak był to tylko dogadzający mi pretekst, a przyczyną zaniechania był brak wprawy, lenistwo i choroba całej mej młodości: rozrzutne niechlujstwo zainteresowań umysłowych". Tamże, s. 33.

tekstach z pewnością utrudnia sformułowanie jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy ostatecznie stał się on człowiekiem wierzącym. W dyskursie filozofa poglądy na temat chrześcijaństwa jako „prawdy nadprzyrodzonej"[2], „nadprzyrodzonego ludzkiego faktu"[3] przeplatają się bowiem z *explicite* wyrażonymi deklaracjami braku wiary: „prócz katolicyzmu: kultury, jest katolicyzm, droga do świata nadprzyrodzonego. I ta jest dla mnie zamknięta"[4]. Gdyby spojrzeć na religijność Brzozowskiego pod kątem jednego z ostatnich zapisów *Pamiętnika*, należałoby stwierdzić, że jego pragnienie Boga, owa „tęsknota metafizyczna" – chyba jednak uległy zaspokojeniu. „Źle, słabo może, ale wierzę, wierzę w tej chwili"[5] – stwierdza filozof, zdając sobie sprawę z odległości dzielącej własną wiarę od katolickiej ortodoksji. Taką ocenę może sugerować także charakter późniejszej refleksji pisarza: podjęcie próby przekroczenia myślenia o religii jedynie poprzez pryzmat jej kulturowego wymiaru. „Jest Bóg, żyje prawda"[6], stwierdzi filozof, w innym miejscu zauważając, że: „głęboka harmonia między ziemskim i niebiańskim faktem chrześcijaństwa jest jakby stwierdzeniem jego prawdy"[7]. Warto jeszcze zapytać – jak do nawrócenia Brzozowskiego ustosunkowują się badacze jego spuścizny?

Andrzej Walicki zdaje się podważać autentyczność nawrócenia Brzozowskiego. Za przyczynę tego „aktu" uznaje bowiem śmiertelną chorobę, mającą skłaniać filozofa do „szukania pociechy w religii jako dziedzinie spraw ostatecznych"[8]. Należałoby jednak zaznaczyć, że zwrot Brzozowskiego ku religii historyk rozpatruje przede wszystkim w wymiarze poszukiwań intelektualnych, które finalnie mają się okazać niemożliwymi do pogodzenia z wypracowanym przez niego systemem. Konkluzja Walickiego jest następująca: „U Brzozowskiego właśnie rozum teoretyczny torował drogę akceptacji prawdy nadprzyrodzonej, przygotowywał argumenty na jej rzecz, brakowało mu jednak Newmanowskiego *przeświadczenia wiary*"[9]. Dostrzegłszy niemożność rozpatrywania procesu religijnego jako „czysto intelektualnego"[10], zgoła odmienne stanowisko zajmuje Teresa Landy. Akcentując konieczność zwrócenia uwagi na podłoże „psychiczno-moralne" twórczości Brzozowskiego, w jego nawróceniu Landy rozpoznaje jeszcze nieusadowioną na fundamencie pewności wiarę, mającą „skłaniać ku duszy umęczonej miłosierdzie Boga"[11]. Nawrócenie Brzozowskiego jest czymś „autentycznym" również dla Agaty Bielik-Robson[12]. W konstatacji

---

[2] Tamże, s. 30.
[3] Tamże, s. 16.
[4] Tamże, s. 34.
[5] Tamże, s. 54.
[6] Tenże, *Legenda Młodej Polski*, s. 219, https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/legenda-mlodej-polski.pdf (dostęp: 01.03.2021).
[7] Tenże, *Pamiętnik*…, s. 30.
[8] A. Walicki, *Stanisław Brzozowski – drogi myśli*, Kraków 2011, s. 292.
[9] Tamże, s. 300.
[10] T. Landy, *Stanisława Brzozowskiego drogi do Rzymu*, [w:] M. Urbanowski (red.), *Jest Bóg, żyje prawda*, Warszawa 2012, s. 163.
[11] Tamże.
[12] A. Bielik-Robson, *Inne nawrócenie. O specyficznym katolicyzmie Stanisława Brzozowskiego*, [w:] *Brzozowski. Przewodnik Krytyki Politycznej*, Warszawa 2011, s. 168.

Tożsamościowo

filozofa: „Religia twoja nie powinna być nawróceniem. Strzeż się, strzeż się tego i tamtego błędu. Katolicyzm niewątpliwie, ale ani momentu nie wolno ci uronić"[13]. W swych rozważaniach rozpoznaje ona „zmodernizowaną formę konwersji". Bielik-Robson koncentruje się przede wszystkim na osobliwości zwrotu pisarza ku Bogu. Należy się z nią zgodzić, że konwersja Brzozowskiego nie jest czymś radykalnym, totalną zmianą dotychczasowej egzystencji, ale raczej zmianą perspektywy, w świetle której dokonuje się nowego odczytania własnej biografii.

≡ Poglądy Brzozowskiego przed „nawróceniem"

Wczesna publicystyka Brzozowskiego charakteryzuje się ambiwalentną oceną religii. Poddawszy krytyce jej wymiar instytucjonalny, filozof z aprobatą odnosił się do wiary charakteryzującej się żarliwością oraz autentycznością uczuć religijnych[14]. Ten aspekt jego myśli należałoby zapewne odczytywać w świetle, jak zwięźle to ujął Marian Zdziechowski, afirmacji „pierwiastków irracjonalnych w duszy człowieka"[15], co łączyło się z negacją racjonalizmu. Szczególnie dystynktywny dla „wczesnej" myśli Brzozowskiego jest zupełnie negatywny stosunek do Polski jako państwa sklerykalizowanego. Oczywiście, autor *Płomieni* później wielokrotnie da wyraz temu zapatrywaniu, nawet jeszcze u progu śmierci deklarując: „nie skleszałem"[16]. Bez wątpienia należy jednak stwierdzić, że w omawianym okresie pogląd ten zamanifestował się najdobitniej; poprzez wiarę w możliwość wytępienia polskiej formuły religijności[17]. Nie bez powodu Bielik-Robson określiła ją mianem „walcząco-antyklerykalnej"[18]. Niniejsze rozważania wymagają zwrócenia uwagi także na zarzuty sformułowane przez filozofa przeciw Henrykowi Sienkiewiczowi. Autor trylogii nie tylko miał kreślić szlachecko-klerykalną wizję Polski, lecz także ukazywać religię w świetle redukującym jej status do zjawiska odartego z metafizycznej głębi[19]. Z tą narracją wiązała się ponadto wizja Kościoła jako siły reakcji. „Walka przeciw Kościołowi, przeciw rojalistycznym formom nie roznamiętnia sama przez się umysłów. Człowiek nowoczesny dowiaduje się z pewnym zdziwieniem: to jest jeszcze papież, są jeszcze królowie! I nawet go to bawi"[20] – stwierdzał Brzozowski w *Ludzkości i narodzie*.

Jak dowodzi wielokrotnie przytaczany Walicki, zmiana w myśleniu Brzozowskiego o religii następuje wraz z akceptacją „bezreligijnego i zdecydowanie

---

13 Tamże, s. 162.

14 Więcej na ten temat zob. A. Walicki, dz. cyt., s. 271–273.

15 M. Zdziechowski, *Gloryfikacja pracy. Myśli z pism i o pismach Stanisława Brzozowskiego*, [w:] M. Urbanowski (red.), dz. cyt., s. 94.

16 „Jasne wypowiedzenie się, które staje się dla mnie konieczne, a zobaczycie, że nie skleszałem, choć niestety zabobon o Bogu jest u mnie nieuleczalny". S. Brzozowski, *Pamiętnik...*, dz. cyt.

17 A. Bielik-Robson, dz. cyt., s. 167.

18 Tamże.

19 Więcej na ten temat zob. A. Walicki, dz. cyt., s. 273.

20 S. Brzozowski, *Ludzkość i naród*, [w:] S. Brzozowski, *Pisma polityczne. Wybór*, Warszawa 2011, s. 413.

wrogiego tradycyjnym formom religijności" światopoglądu socjalistycznego[21]. Dowodem tego jest refleksja zawierająca się w *Religii i społeczeństwie*, problematykę religijną Brzozowski rozważa z dwóch perspektyw: „filozofii czynu" gdzie oraz formuły Feuerbacha, która głosi: „teologia jest antropologią". Na marginesie niniejszych rozważań warto podkreślić, że między „filozofią czynu" a systemami religijnymi istnieje już spór dotyczący kwestii najbardziej rudymentarnej – wartości. Nietzscheańskiego motywu „filozofii czynu", pojmowania człowieka jako ich stwórcy, nie sposób przecież pogodzić z obiektywistyczną aksjologią chrześcijaństwa. Echo tej sprzeczności wybrzmiewa w omawianej publikacji. Czyniąc człowieka zależnym od tego, co zewnętrzne, wiara ma bowiem sytuować się w opozycji do rozumienia człowieka jako autonomicznego podmiotu, który poprzez swój czyn kształtuje otaczającą rzeczywistość. Ówczesny stosunek filozofa do „nadprzyrodzonego" dobrze oddaje pytanie retoryczne: „Mieć życie i czuć, że jest ono w każdym drgnieniu zależne od czegoś poza nami, być tylko miazgą kształtowaną przez żelazne tryby mocy, zmieniających w jednym dniu w perzynę miasta, głodem ściskających setki tysięcy ust: czy nie jest to stan graniczący z szaleństwem?"[22]. W duchu tego przeświadczenia, polemizując z pragmatycznym pojmowaniem religii Williama Jamesa, Brzozowski stwierdzi ponadto, że religia „unicestwia" działanie, a przynajmniej czyni je wątpliwym[23].

≡ POGLĄDY BRZOZOWSKIEGO W TRAKCIE „NAWRACANIA SIĘ"

Ewolucję poglądów Brzozowskiego na katolicyzm można odczytywać jako konsekwencję przekształceń zachodzących w obrębie samej filozofii pracy. Z drugiej strony, niebezzasadnym wydaje się przyjęcie innej perspektywy postrzegania tej kwestii. Można bowiem sądzić, że to właśnie spotkanie Brzozowskiego z modernizmem katolickim czy historiozofią Vica[24] rozpostarło przed nim horyzonty intelektualne, w świetle których dokonywał kolejnych odczytań wypracowanego przez siebie systemu.

Rehabilitacja światopoglądu katolickiego w ramach filozofii pracy stanowiła tak naprawdę finalną fazę poglądów Brzozowskiego. Za błędny należałoby jednak uznać pogląd głoszący, że odkrycie modernizmu katolickiego było tożsame z zajęciem przez pisarza stanowiska jednoznacznie afirmatywnego wobec wyznania lwiej części Polaków. Ewolucyjność namysłu Brzozowskiego dobrze oddaje refleksja zawierająca się w *Legendzie Młodej Polski*, zwłaszcza kontrast występujący pomiędzy jej początkowymi i końcowymi rozdziałami. Kwestią dla nas najistotniejszą jest odejście od pojmowania wiary, które zostało wyłożone w *Religii i społeczeństwie*,

TOŻSAMOŚCIOWO

---

[21] A. Walicki, dz. cyt., s. 279.

[22] S. Brzozowski, *Religia i społeczeństwo*, [w:] S. Brzozowski, *Pisma...*, s. 488.

[23] Tamże, s. 494.

[24] Zdaniem Walickiego na przewartościowanie poglądu Brzozowskiego na katolicyzm wpływ wywarła przede wszystkim historiozofia Vica. To właśnie ona miała zaprowadzić Brzozowskiego do uznania wyższości katolicyzmu nad protestantyzmem, rozpoznania w Kościele najtrwalszej z wytworzonych wspólnot ludzkich. Zob. A. Walicki, dz. cyt., s. 291.

o czym świadczy chociażby dostrzeżenie atrakcyjności filozoficznej katolicyzmu, a także powtórzenie za Alfredem Loisym, że chrześcijaństwem prawdziwym jest chrześcijaństwo historyczne[25]. Podkreślenia jednak wymaga fakt, że na kartach *Polski zdziecinniałej*, w trzecim rozdziale omawianej publikacji, uwaga autora wciąż koncentruje się na negatywnych aspektach katolicyzmu, zwłaszcza jego polskiej specyfiki. „Głęboką wzgardę i obrzydzenie" wzbudza u Brzozowskiego banalizacja wyznania, któremu tak wiele zawdzięczają Mickiewicz, Cieszkowski, Hoene-Wroński i którego głębia pozostaje niedostępna dla „przeciętnego Polaka-katolika"[26]. Jak zapewne z ubolewaniem konstatuje Brzozowski: „Jesteśmy katolikami i zagadnienia, które świat cały szarpią, załatwione są dla nas w symbolu wiary"[27]. Myśliciela opowiadającego się za egalitarną wizją społeczeństwa mierzi także polaryzacja występująca w obrębie polskiego katolicyzmu, swoista dychotomia na katolicyzm „maluczkich" i katolicyzm „doktorów", która uderza w jedność narodu polskiego[28].

Opisywany dotąd dyskurs ulega załamaniu w dalszych partiach *Legendy Młodej Polski*. Ukazując katolicyzm w kontekście wyznania kultywującego wartości uniwersalne, filozof wiąże z nim nadzieję na przezwyciężenie tego, co dzieli Polaków. Co więcej – dowodzi, że katolicyzm jest fundamentem kulturowym polskości. Wręcz do rangi emblematu urastają słowa Brzozowskiego, że „prócz chrześcijańskiej – a gdybym miał tu miejsce, broniłbym tezy, że prócz katolickiej – nie posiadamy żadnej innej kultury". Zbieżność poglądów entuzjasty Newmana z poglądami Romana Dmowskiego wydaje się nieprzypadkowa. „Jestem nacjonalistą, prawie narodowym demokratą" – brzmi przecież chyba wciąż niezbyt popularna deklaracja Brzozowskiego, wcześniej określającego endecję mianem „trądu"[29]. Zauważmy jeszcze, że podobnie jak Henryk Elzenberg czy Józef Maria Bocheński misji dziejowej Polski filozof doszukuje się w „utożsamieniu sprawy katolicyzmu i kultury zachodniej na wschodzie z naszym narodowym istnieniem"[30].

Należałoby jeszcze zwrócić uwagę na kwestię zdecydowanie bardziej frapującą pod kątem filozoficznym: próbę pogodzenia katolicyzmu z pryncypiami filozofii pracy. I znów powtarza się wyżej zarysowany schemat. W *Polsce zdziecinniałej* Kościół ukazano jako instytucję „pasożytniczą", ze względu na ignorowanie przez nią wytwórczości. Ma on bowiem być biernym odbiorcą tego, co dotąd wytworzyła ludzkość. Argument ten wybrzmiewa szczególnie doniośle w kontekście namysłu nad jezuityzmem, który odrzuca „pracę i trud, odpowiedzialność i mękę, sam mękę tę potęguje, lecz przyswaja sobie wynik, czyni przedmiot użycia i wygody dla swych wiernych z rezultatu pracy, dokonywanej poza ich obrębem, wyklinanej przez

---

25 S. Brzozowski, *Legenda…*, s. 35.

26 Wymownie w tym kontekście jawią się słowa Brzozowskiego: „polska beztroskliwa połanieczczyzna, która ukuła sobie religię po prostu z niechęci myślenia, zastanawiania się nad czymkolwiek, która rezygnuje ze wszystkiego, byle się jej dobrze spało, jest rzeczą wzbudzającą głęboką wzgardę i obrzydzenie". S. Brzozowski, *Legenda…*, s. 34.

27 Tamże, s. 33.

28 Tamże.

29 Por. S. Brzozowski, *Trąd wszechpolski*, [w:] S. Brzozowski, *Pisma…*, dz. cyt.

30 *Listy Stanisława Brzozowskiego. Z dziejów nowoczesnej krytyki literackiej w Polsce (1909–1911)*, „Krokwie" 1920, listopad, Warszawa, s. 6.

nich"[31]. Również ta narracja ulegnie odwróceniu, a świadczy o tym treść przedmowy popełnionej przez Brzozowskiego do polskiego przekładu *Przyświadczeń wiary* Newmana. To, co wcześniej nazwano „pasożytnictwem", stanie się teraz manifestacją siły Kościoła, który „nie posługuje się żadnym wybiegiem jezuickim, lecz doprowadza do świadomości swe odwieczne metody wobec życia, jakie udało mu się wcielić w siebie i opanować, ujawnia tylko zasadnicze prawo swego istnienia i wzrostu"[32]. Ponadto, w duchu Charles'a Maurrasa, z którego myślą Brzozowski zresztą obcował[33], w *Pamiętniku* to właśnie Kościół zyskuje miano depozytariusza kultury klasycznej, spuścizny grecko-rzymskiej[34]. Poddawszy namysłowi korespondencyjność filozofii pracy i światopoglądu katolickiego, Brzozowski dojdzie do wniosku, że katolicyzm jest tak naprawdę niezbędny, aby człowiek mógł zaangażować się w przekształcenie rzeczywistości. Aby mógł tego dokonać, konieczne jest opanowanie swoistego „chaosu" tkwiącego w jego wnętrzu. Chaos ten pozwala przezwyciężyć dyscyplina katolicka. Nie bez znaczenia pozostaje również ustosunkowanie Kościoła do rzeczywistości: negacja buntu oraz wpajanie odpowiedzialności i wysiłku. Dając człowiekowi ramę psychologiczną i duchową, Kościół zmusza go do „poważnego" traktowania własnej egzystencji w świecie. Albowiem Bóg ocenia nas na podstawie naszych działań.

≡ PODSUMOWANIE

Ewolucja poglądów Brzozowskiego na religię – z całą pewnością intrygująca intelektualnie – nie stanowi tendencji, która byłaby nieznana filozofii. Wręcz przeciwnie. Znamy przecież wielu myślicieli, tworzących zwłaszcza na przełomie wieków: XIX i XX, którzy przeszli podobną ścieżkę co zmarły w wieku 33 lat pisarz. Przypadek Brzozowskiego wydaje się jednak szczególny. Wydaje się bowiem, że niewiele jest przykładów tak dynamicznego oddziaływania wiary na filozofię, które nie prowadziłoby do jej totalnej kapitulacji. Uznanie katolicyzmu – jak ujął to Bohdan Cywiński – za „ideowy zwornik całego programu"[35] nie podważyło przecież tego, co przesądziło o istocie wypracowanego przez Brzozowskiego systemu: dowartościowania pracy i tworzenia w życiu ludzkim.

TOŻSAMOŚCIOWO

[31] S. Brzozowski, *Legenda...*, s. 35.
[32] Tenże, *John Henry Newman*, [w:] J.H. Newman, *Przyświadczenia wiary*, Lwów 1915, s. 14.
[33] Zob. Tenże, *Legenda...*, s. 211.
[34] Tenże, *Pamiętnik...*, s. 88.
[35] B. Cywiński, *Problematyka religijna w pismach Stanisława Brzozowskiego*, [w:] M. Urbanowski (red.), *Jest Bóg, żyje prawda*, Warszawa 2012, s. 334.

Wszerad Kowalski

Endecja a niemiecki rasizm. Przypadek Karola Stojanowskiego

Okładka książki „Ziemia gromadzi prochy" Józefa Kisielewskiego, Londyn 1941

Jednym z ciekawszych intelektualnie myślicieli i publicystów narodowych lat 30. był Karol Stojanowski. Harcmistrz, etnolog, uczeń prof. Jana Czekanowskiego, światowej klasy antropologa, reprezentant tzw. lwowskiej szkoły antropologicznej. Przedstawiciel nauki, popularyzator eugeniki (w wersji soft), oficer i działacz społeczny.

Przyszedł na świat 3 maja 1895 r. w Kobyłowłokach, zmarł 9 czerwca 1947 r. we Wrocławiu, do końca pozostając sprawnym pisarzem. Student Uniwersytetów w Wiedniu i w Krakowie, uczestnik I wojny światowej (jako legionista) i wojny 1920 r. Po zamachu majowym 1926 r. zrywa z obozem Piłsudskiego i wiąże się z endecją. W latach II wojny światowej był uczestnikiem kilku organizacji podziemia narodowego (w tym Narodowych Sił Zbrojnych jako członek Prezydium Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej, notabene był współtwórcą koncepcji przyłączenia i zagospodarowania Ziem Zachodnich). Po zakończeniu wojny Stojanowski brał udział w nieudanej próbie zalegalizowania Stronnictwa Narodowego w PRL. Jego życie prywatne nie było burzliwe, był żonaty z psycholog Wandą Ćwiklińską, nie doczekali się potomstwa.

Wprawdzie dokonania naukowe Stojanowskiego nie mogą równać się z dokonaniami mistrza światowej sławy, jakim był i jest do dziś Jan Czekanowski, jednak prócz nauki antropologicznej Stojanowski zasłużył się również w politycznym wykorzystaniu zebranej wiedzy. Jego długa lista publikacji obejmuje m.in. pozycje na temat niemieckiego ruchu rasowego. Ta publicystyka, mająca na celu informowanie opinii publicznej w Polsce o niemieckim zapleczu ideowym ruchu narodowo-socjalistycznego, jest dla nas źródłem wiedzy na temat stosunku polskiego ruchu narodowego do nazizmu. W dobie kwestionowania ofiar narodu polskiego w czasach II wojny światowej jest niezwykle istotne, by przypominać miejsce Polaków (i ogólnie ludności słowiańskiej) w wizji i systemie III Rzeszy Niemieckiej.

W obecnej dyskusji publicystycznej i dziennikarskiej (i niestety również na-ukowej) polski ruch narodowy – szeroko pojęta endecja (w którym to pojęciu mieszczą się przedstawiciele tak różnych nurtów, jak liberalny Roman Rybarski czy faszyzujący Bolesław Piasecki) – jest praktycznie zrównywany z niemieckim naro-dowym socjalizmem. Jako ruch nacjonalistyczny, jest rozpatrywany w kategoriach nurtu tej samej, skrajnie prawicowej ideologii, w ramach której ewolucja biegnie od nacjonalizmu do nazizmu. W lewicowo-liberalnym dyskursie publicystycznym wydaje się, że jest to rozwój zdeterminowany jakąś koniecznością. Pomija się przy tym wszelką specyfikę czy też endemiczność nacjonalizmu germańskiego. Bo czy do nurtu ewoluującego w kierunku nazizmu zaliczymy taką postać jak Kwame Nkrumah, nacjonalista z Ghany? Obojętnych na ideę rasy nacjonalistów z krajów śródziemnomorskich czy wreszcie samych syjonistów, którzy byli ofiarami nazizmu?

Najważniejsze dla naszych rozważań będą tu dwie publikacje Karola Stojanow-skiego: *Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie* (wyd. 1934) i *Polsko-niemieckie za-gadnienia rasy* (wyd. 1939), pisane odpowiednio na początku i końcu lat 30., gdy w Niemczech władzę zdobyła partia NSDAP i stworzyła jedyne w swoim rodzaju państwo totalitarne o podłożu rasistowskim.

Stojanowski swą analizę zaczyna od genezy antagonizmu germańsko-słowiańskiego. Pod względem geopolitycznym żywioł niemiecki wbił w Słowiańszczyznę trzy kliny:

- austriacki,
- śląski,
- wschodniopruski.

Niemcy osiągnęli to przez wyższy poziom kulturalno-cywilizacyjny (który za-wsze służył usprawiedliwianiu ich barbarzyństwa wobec narodów słowiańskich). Ich działanie charakteryzował również nieustannie „duch zaborczy". Przez wieki Słowianie przyjmowali niemieckich chłopów, rzemieślników i… rządzące nimi dy-nastie. Poczucie niższości cywilizacyjnej Słowian było powodem wykształcenia po-jęcia tzw. *Herrenvolk* (idei narodu panów) i poczucia misji w Europie Wschodniej (*Mitteleuropa*). Jednym z kluczy niemieckiego sukcesu był sposób dziedziczenia w społeczeństwie niemieckim – dziedziczenie całego majątku przez jednego syna. Reszta potomstwa, która nie uczestniczyła w dziedziczeniu majątku ziemskiego, musiała szukać szczęścia gdzie indziej. System ten tworzył istne masy ludzkie, które były wyrzucane poza Niemcy. Tak doszło do sformowania m.in. mieszczań-stwa niemieckiego i środkowo-europejskiego, a także wielkich rzesz rycerstwa, służących we wschodnich marchiach.

Zaborczość Niemców przez wieki przybierała takie formy, jak:

- marchie feudalne (zmilitaryzowane, zajmujące się ekspansją terytorialną),
- Hanza,
- Zakon Krzyżacki,
- Hakata,
- Pruska Komisja Kolonizacyjna.

Posługiwano się w ekspansji najróżniejszymi metodami, takimi jak:

- wojny konwencjonalne,
- podstępne napady,
- wymuszenia,

- zdrady sojuszników,
- mordy polityczne,
- manewrowanie interesami dynastycznymi,
- wykorzystywanie sojuszników Słowian przeciw innym narodom słowiańskim.

Od momentu pierwszego zetknięcia się ze Słowianami Niemcy uczestniczą w budowaniu i utrwalaniu różnic między nimi. W czasach bliższych Stojanowskiemu również takie siły jak międzynarodowa masoneria i Żydzi wspierały rozwój niemieckiej potęgi na wschodzie Europy. Pokusa wchodzenia w sojusze z Niemcami była silna wśród Słowian, lecz zdradliwa. Obok takich narodów jak Słowianie Połabscy i Czesi, którzy byli z Niemcami w nieustannym konflikcie, są narody, które wchodzą w sojusze z Niemcami, nic na tym nie zyskując. Są to: Rosja, Ukraina i Bułgaria. Polacy swoje rozterki polityczne (okresowe sojusze z Niemcami) przypłacili stratami terytorialnymi na zachodzie.

W 1933 r. Słowiańszczyzna ponownie staje w obliczu agresji niemieckiej. Zdobycie władzy przez Hitlera Stojanowski określa jako nowe „przegrupowanie ofensywne przeciw Słowiańszczyźnie". Technika działania została przez Hitlera i nazistów przejęta z ruchu socjalistycznego. To, co jest jednak zupełnie nowe w nacjonalizmie, to właśnie „naukowy" rasizm. Ruch rasowo eugeniczny, początkowo ograniczony do kręgów medycznych i naukowych, stał się nagle „kuźnią idei, haseł i pomysłów, z których hitlerowcy stworzyli podstawę swego polityczno-społecznego poglądu na świat" – pisał Stojanowski w pracy *Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie*. W krajach słowiańskich ruch ten był jeszcze mało znany w tym czasie i niezbyt popularny.

Genezę hitlerowskiego rasizmu Stojanowski wywodzi ze średniowiecza, ze sporów monogenistów z poligenistami. Ci pierwsi głosili pogląd, że cała ludzkość, a więc wszystkie rasy, wywodzi się od pierwszej pary ludzi – Adama i Ewy (jest to pogląd ortodoksyjny dla całego katolicyzmu i chrześcijaństwa – w 1512 r., na fali sporów o dusze rozumne Indian amerykańskich, dogmatycznie potwierdzony przez papieża). Przedstawicielami tego ruchu byli ojcowie Kościoła, m.in. św. Augustyn, a w późniejszych czasach także biskup Bartolomeo Las Casas (obrońca Indian amerykańskich) czy jezuita o. Joseph Lafitau (misjonarz Ameryki Południowej). Zwolennicy poligenizmu głosili, że od Adama i Ewy wywodzi się tylko część ludzi. Przede wszystkim byli to Izraelici (jednak dla nich było to pojęcie szersze niż sam naród żydowski, obejmujące, zdaje się, Europejczyków i Azjatów), reszta natomiast jest zrównywana ze światem zwierząt. Wśród tego typu myślicieli dominowali sekciarze i przeciwnicy katolicyzmu, m.in. Giordano Bruno, Isaac de la Peyrere.

Prawdziwym przełomem dla myśli rasistowskiej było pisarstwo Arthura hr. de Gobineau. On pierwszy usystematyzował myśl rasistowską, przede wszystkim jako wzór doskonałości stawiając jasnowłosych Germanów – reprezentantów rasy aryjskiej. We Francji, kraju kultury śródziemnomorskiej z tradycjami demokratycznymi, myśl ta nie zyskała zwolenników. Natomiast w Niemczech czasów Bismarcka zrobiła furorę. Tłumacz i fascynat tez *Eseju o nierówności ras* Arthura hr. de Gobineau, Ludwig Schemann, założył w 1894 r. prężnie działające Gobineau Vereinigung, będące też częścią ruchu pangermańskiego. Myśl rasistowską następnie pogłębili Otto Ammon i Ludwig Woltmann, opierając ją na ewolucjonizmie darwinistycznym. Ten drugi myśliciel był odstępcą ruchu marksistowskiego. Wedle

Stojanowskiego można go śmiało nazwać ojcem ruchu narodowo-socjalistycznego.

Najsłynniejszym antropologiem fizycznym ruchu nazistowskiego był uczony monachijski Hans F.K. Günther. To właśnie z nim polemizowali zarówno Karol Stojanowski, jak i Jan Czekanowski. Ów uczony i ideolog dostarczył nazizmowi naukowej legitymacji. Z informacji biograficznych w Internecie wynika, że raczej nie dotknęła go denazyfikacja – wykładał do lat 50. Hans Günther widział Słowian jako rasową mieszankę wschodnich typów europejskich z lekką domieszką nordyczną. Według niego odbiło się to fatalnie na psychice narodów słowiańskich, przez co typowe dla nich są: anarchizm, złodziejstwo, gnuśność itp. Domieszka nordyczna był u nich nieliczna, lecz odpowiadała za wszystko, co można kojarzyć z cywilizacją, w tym oczywiście podstawy państwowotwórcze (Waregowie).

Jan Czekanowski w swojej polemice przeciw antropologii zachodniej wykazywał, że w Polsce jest o wiele więcej typu nordycznego niż zakładano we wcześniejszych badaniach (nawet 20 proc. populacji). Na terenie naszego kraju miała się znajdować jedna z kilku europejskich prowincji nordycznych. Jego zdaniem typ subnordyczny (charakterystyczny dla Polski i powstały jako skrzyżowanie typu nordycznego z presłowiańskim, specyficznym dla ludności kultury łużyckiej), który wyłączano z przedstawicieli rasy nordycznej, czyniąc z niego jakiegoś Ost-Europida, jest normalnym przedstawicielem rasy nordycznej, podobnie jak typ falicki (mieszanka nordyczno-śródziemnomorska), popularny w Niemczech.

Jak na złość niemieckim rasistom, badania ucznia Czekanowskiego, polskiego Żyda Salomona Czortkowera (miał on organizować katedrę antropologii na Uniwersytecie Hebrajskim, na co nie pozwoliła mu śmierć w wyniku holocaustu), znaczna część niemieckich Żydów reprezentowała wcale nie orientalny typ antropologiczny, lecz właśnie… nordycki.

Polemika Karola Stojanowskiego szła innym tropem. Stojanowski przede wszystkim wątpił w nadzwyczajne walory rasy nordyjskiej, wskazując na powolny rozwój i częste samobójstwa wśród niej, a także kwestionując jej nadzwyczajną siłę fizyczną. Dowartościował natomiast licznie obecny w Polsce tzw. typ alpejski – w postaci niskiego, przysadzistego bruneta, doskonale radzącego sobie w handlu i predestynowanego do zajmowania się gospodarką, zaradnego życiowo. Taki typ byłby idealny dla postulatów endecji – zwiększenia szeregów rzemieślników miejskich, handlarzy i ogólnie mieszczaństwa. Stawia go to blisko nacjonalistów śródziemnomorskich, wolnych od rasowych, aryjskich fascynacji.

≡ ORGANIZACJA RUCHU NORDYCZNEGO

Naziści zorganizowali ruch eugeniczny wśród młodzieży, którym kierował Führerrat, o popularności idei świadczy zaś sprzedaż publikacji Günthera *Rassenkunde des deutsches Volkes* – w latach 1922–30 14 wydań sprzedanych w 49 000 egzemplarzy. Prócz tego liczne były różne czasopisma na ten temat i ośrodki wydawnicze popularyzujące eugenikę i rasizm. Ruch ten brany jako całość proponował:

- zahamowanie procesu wyradzania się rasy nordycznej,
- polepszenie jakości narodu (*aufnordung*).

Zaznajomieniu narodu niemieckiego z ideą eugeniczną i rasową miały służyć tzw. Familienbuchy, umożliwiające śledzenie w rodzie dodatnich i ujemnych eugenicznie cech.

Koncentrowano się na sztucznym zwiększeniu liczby ludności nordycznego typu (wysokich, blondwłosych i błękitnookich osobników). Proces ten nazwano *aufnordnung*. W ramach tej akcji propagowano wczesny ożenek u ludzi nordycznego typu; zniechęcano kobiety odpowiadające temu typowi do studiów wyższych, gdyż przeszkadzało to w rodzeniu i wychowywaniu potomstwa. Propagowano również odpowiednie kanony piękna. Sam Adolf Hitler miał rozkazem formalnym zachęcać członków SS do ożenku z tego typu kobietami.

Aby odnowić rasę nordyczną rasiści chcieli przede wszystkim odbudować silny stan chłopski. Zwłaszcza Otto Ammon i Wilhelm Darré propagowali ten pomysł. Podawano przykłady historyczne, w tym starożytne: Sparta, Rzym, Prusy, wszystkie potęgi militarne to państwa chłopskie. Rasiści nie poprzestali na ideach. Ustawą z 29 września 1933 r. Ustanowiono „Reichserbhofgesetz". Zatwierdzono ponad pół miliona dziedzicznych gospodarstw rolnych objętych protekcją państwa – nie można ich było ot tak odsprzedać czy dzielić. Dziedziczył to gospodarstwo jeden potomek. Tak jak przed wiekami, dążono do stworzenia w ten sposób sztuczne przeludnienia i podjęcia ekspansji na wschód. Wybrano chłopstwo, nie szlachtę, gdyż ta, będąc nordyczną w średniowieczu, potem wyrodziła się i podupadła przez chrześcijaństwo.

Darré poprzez propagowanie „Hegehofów" proponował odrodzenie i wyhodowanie nowej nordycznej szlachty. Miałoby się to dokonać przez organizację specjalnych gospodarstw, wyłączonych z obrotu, specjalny dobór dziewcząt, służących jako żony szlacheckie, i propagowanie specjalnych wartości, takich jak wiara, miłość i nienawiść, braterstwo języka, państwa i rasy. Oczywiście do tego wszystkiego dochodził jeszcze militaryzm, wyrażający się w postulatach uzbrojenia męskiej ludności i wojny o ziemię (*Drang nach Osten*).

Dla rasistów nie do zaakceptowania były następujące kategorie ludzi, określane jako *Untermensch*: chorzy, obciążeni dziedzicznie, zbrodniarze, pacyfiści; a także rasowo – Murzyni, Chińczycy i Żydzi. Należy zaznaczyć, że znaczna część rasistów zwalczała Żydów nie z powodu ich niższości, lecz obcości, a nierzadko wyższości.

Niezwykle ciekawym ustępem w publikacji Stojanowskiego *Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie* jest opis zwrotu ku nacjonalizmowi pism rasistowskich:

> Po objęciu władzy przez Hitlera obserwuje się w pismach nordycznych zwrot [...] ku niemieckiemu nacjonalizmowi. Powstała na ten temat pewnego rodzaju dyskusja, a nawet polemika. Zachodzi tylko pytanie, czy mamy tu do czynienia ze zwrotem istotnym, czy tylko z manewrem taktycznym. Wiele danych przemawia za tym, że jest to tylko taktyka.

Widać istotną rzecz: ruch rasistowski jako taki był wyraźnie oddzielony od niemieckiego nacjonalizmu, nierzadko zajmując stanowisko polemiczne wobec niego. W dalszej perspektywie liczył się dla niego przyszły pannordyczny naród, a nie naród niemiecki, który w połowie składał się z domieszek alpejsko-śródziemnomorskich, wyznających na dodatek katolicyzm.

To, co jest niebezpieczne dla pokoju całego kontynentu, to również fakt, że ruch nordyczny nie ogranicza się wyłącznie do Niemiec. Miał swoje przedstawicielstwo i ośrodki sympatyzujące w licznych krajach germańskich północnej Europy: Danii, Szwecji i Norwegii, a także w Holandii. Wydawano również czasopismo „Deutsches-Nordisches Jahrbuch", poświęcone propagowaniu idei nordycznych za granicami Niemiec. W 1926 r. w Danii powstaje koło dyskusyjne nad dziełami Hansa F.K. Günthera, następnie zakon i partia polityczna NS. W Norwegii działali tacy przedstawiciele jak Vidkun Quisling czy Jon Alfred Mjöen, autor *Race hygiene* z 1915 r. Wydawano też czasopismo „Gymn-clubb". W Szwecji narodowi socjaliści mieli swoją organizację i wpływy, natomiast holenderskie stowarzyszenie zostało wykpione w prasie i nigdy nie zdobyło większych wpływów. Próbowano również pozyskać narody bałkańskie, co było skierowane przeciw ZSRR, a stowarzyszenie zwolenników na Litwie (*Kriwje-krivjete*) miało liczyć 5000 ludzi wraz z naczelnym „kapłanem".

≡ Ziemia i krew

Słowianie przez ich młodość cywilizacyjną w Europie i peryferyjne usadowienie wobec centrów kulturowych byli obiektem niechęci zachodnich antropologów i rasistów. Wobec Słowian proponowano *Lebensraum* (organizację przestrzeni życiowej na wschodzie, tradycyjnym kierunku niemieckiej ekspansji). Było to częściowo sztuczne, gdyż od końca XIX w. tak naprawdę następował proces wyludniania dzisiejszych Ziem Zachodnich. Ludność niemiecka tych terenów emigrowała na zachód do przemysłowej Nadrenii i USA. Wielu demografów i antropologów (w tym Jan Czekanowski) przyznawało, że reslawizacja Dolnego Śląska, Ziemi Lubuskiej i Pomorza Zachodniego jest już tylko kwestią czasu. Szukanie *Lebesraumu* Stojanowski określił jako jedno wielkie przygotowanie rabunku na wielką skalę.

Podstawą doktryny rasowej niemieckich myślicieli był postulat Niemców jako narodu, w którym jest najwięcej typów rasowych nordyckich czy też aryjskich. Wysokich, szczupłych blondynów o niebieskich oczach, łączących tężyznę fizyczną z inteligencją. Śladów germańskiej cywilizacji – racjonalnych, irracjonalnych i absurdalnych – dopatrywano się dosłownie wszędzie, gdzie widziano ślady, rzeczywiste czy domniemane, jasno pigmentowanej ludności. Ludy starożytnej Grecji i Rzymu, a nawet Indii, Egiptu czy Chin i Tybetu, miały reprezentować właśnie ten typ fizjologiczny. W Europie istniało kilka podstawowych typów antropologicznych, których mieszanki tworzyły narody. W zależności od antropologów (Czekanowski, Deniker, Günther) można wymienić:

- typ nordyczny (Skandynawia),
- typ falicki (Niemcy, Holandia).
- typ atlantycki (wybrzeża Atlantyku),
- typ subnordyczny (liczny u Słowian, skrzyżowanie typu presłowiańskiego i nordycznego),
- typ alpejski (presłowiański, liczny u Polaków, Czechów, południowych Niemców, Francuzów),
- typ dynarski (liczny u Serbów, Chorwatów i Ukraińców),

- typ armeński,
- typ śródziemnomorski (charakterystyczny dla Włochów, Hiszpanów, południowych Francuzów),
- typ uralski (ludy ugrofińskie, bułgarskie, etc.),
- typ orientalny (Arabowie, Żydzi orientalni).

U różnych antropologów fizycznych typy nakładały się wzajemnie na siebie, wyodrębniano również wśród nich osobne (nordyczny dzielił się na hallsztadzki i celtycki). Dosyć często tworzono również portrety psychologiczne danych typów, co stawiało jedne typy jako bardziej pożądane dla eugeniki, a inne mniej. Na Zachodzie nieustannie kwestionowano również oczywistą nordyczność północnych Słowian: Polaków, Białorusinów, Rosjan. Robiono tak ze względu na szkodliwe uogólnienia wyników badań przeprowadzonych przez antropologów galicyjskich (Julian Talko-Hryncewicz i in.). Późniejsze wyniki badań Jana Mydlarskiego (ucznia Czekanowskiego), antropologa wojskowego, który badał rekrutów wojskowych II RP, wykazały już coś zupełnie przeciwnego. W latach 20. i 30. antropologia fizyczna wespół z eugeniką miały wielkie znaczenie w niektórych państwach. W USA np. wprowadzono pewnego rodzaju limity na emigrantów z niektórych krajów. Od początku polemizowano z wynikami badań antropologów, zwłaszcza z tymi, które miały charakter ideologicznych uogólnień. Należy zwrócić uwagę na badania amerykańskiego antropologa żydowskiego pochodzenia Franza Boasa, który wykazywał, że rozwój pewnych cech fizjologicznych, jak np. wzrost, jest zależny od warunków zewnętrznych, np. diety.

Całe dzieje cywilizowane można opisać jako konflikt rasy nordycznej i przednioazjatyckiej (do której zaliczają się oczywiście Żydzi). Dla odnowy rasy nordycznej według rasistów potrzeba oczyszczenia cywilizacji europejskiej z kilku typowo wschodnich nabytków, które są dziełem rasy przednioazjatyckiej. Tym typowo wschodnim nabytkiem jest np. prawo rzymskie [sic!]. Według Günthera i spółki prawo literalne jest czymś obcym Germanom, ci kierują się wszak pojęciem honoru i prawem zwyczajowym. Rasizm niemiecki czerpał również z pesymizmu historycznego Oswalda Spenglera.

≡ GENOTEIZM

Efektem rozważań teoretyków rasizmu jest próba przebudowania światopoglądu religijnego ludności niemieckiej. Próbę stworzenia nowej religii, opartej na rasie, K. Stojanowski nazywa genoteizmem. „Już sama bezgraniczna, a często i bezkrytyczna wiara w wartość rasy nordycznej ma w sobie coś z wierzenia religijnego. W wierze tej tkwi moment irracjonalny, podstawa wszystkich wierzeń religijnych" – pisał. Wedle L. Schemanna religia jako taka jest wytworem rasy. Dla Państwa pannordycznego nie do pomyślenia jest jakakolwiek religia uniwersalistyczna, gdyż te (chrześcijaństwo, islam, buddyzm) są wobec wszystkich ras inkluzywne, obojętne rasowo.

Chrześcijaństwo jako takie, przede wszystkim zaś w postaci katolickiej, należy odrzucić jako produkt rasy przednioazjatyckiej. Bóg Jedyny, Stwórca, jest pojęciem obcym duszy Aryjczyka. Chrześcijaństwo rozłożyło pewne poglądy świata

pogańskiego, jak biologiczne ujęcie wspólnoty czy kult ciała, wynosząc na piedestał miłosierdzie, równość ludzi i niebieskie obywatelstwo. Doszło do tego nie tylko u zdegenerowanych ludów rzymskich, lecz także u „świeżych" Germanów.

Dla rasy aryjskiej wedle Schemanna bardziej odpowiednie są religie oparte na dualizmie czy panteizmie. W pozytywnym świetle zostały ukazane najprzeróżniejsze sekty chrześcijańskie działające przeciw katolicyzmowi:

- messalianizm,
- satanizm,
- kataryzm.

Dowartościowany wśród chrześcijańskich odłamów jest protestantyzm, jako ekspozytura ducha aryjskiego w Kościele, „przeciwdziałającego żydowskiemu duchowi religijnemu". Rewolucja Marcina Lutra z 1517 r. była największym powstaniem świata germańskiego, jednak niedoprowadzonym do końca.

Ciekawe jest również ustosunkowanie się rasistów do postaci Jezusa Chrystusa. W świecie niemieckim, zdominowanym przez protestantyzm, nie można Go było wprost odrzucić, zrobiono więc z Jezusa Aryjczyka, Germanina (sic!). Powoływano się na opowieści talmudyczne jako źródło. Już Brytyjczyk zafascynowany Niemcami, H.S. Chamberlain, drugi po Gobinaeau wielki teoretyk rasizmu, przypisywał Jezusowi aryjskość i wpływy buddyjskie. Analizując nauczanie Ewangelii, wskazywał jego obcość duchowi żydowskiemu. Za Chamberlainem poszedł oczywiście Günther.

Rasiści pragnęli stworzyć pewnego rodzaju syntezę religijną ze starych wierzeń nordyckich, hinduskiego panteizmu i irańskiego dualizmu. Odnowienie religii aryjskiej powinno się dokonać na podstawie trzech kierunków:

- germańsko-nordycznego (Felix Dahn i Ryszard Wagner chcieli odnowić chrześcijaństwo na podstawie starej religii germańskiej);
- religii hinduskiej, prądu nastawionego panteistycznie (Arthur Schopenhauer, Franz Hartmann, Arthur Drews);
- religii irańskiej (Gobineau, Friedrich Nietzsche, Wilhelm Erbt).

L. Schemann podkreśla, iż nie chodzi mu o całkowite odrzucenie chrześcijaństwa, lecz o wytworzenie pewnej syntezy z chrześcijaństwa i tych trzech kierunków. Do sojuszu religijnego miano zaciągnąć stare pruskie loże masońskie. Wspólnym mianownikiem aryjskiej syntezy religijnej miał być kult światła (Słońca). Religia taka opierałaby się oczywiście na podłożu rasowym, jest ona też pewnego rodzaju koniecznością, gdyż po rewolucji politycznej 1933 r. musi zajść rewolucja religijna.

Odpowiedź: Państwo Zachodnio-Słowiańskie

Stojanowski pragnął dać odpór powyższym ideom przez ideę Państwa Zachodnio-Słowiańskiego. Postulował pogodzenie się z Czechami i reslawizację wschodnich terenów Niemiec przez pozyskanie ich części dla polskości, a częściowo odbudowanie narodu serbołużyckiego. Jednocześnie mimo uprawiania antropologii i eugeniki Stojanowski nie był rasistą. Pojęcie rasy postrzegał inaczej niż Niemcy – odrzucał podłoże antropologiczno-biologiczne oraz przyjmował definicję humanistyczną i etniczną pojęcia rasy – zrównując ją po prostu z narodem.

„Jakkolwiek w Polsce posiadamy co najmniej tyle samo, jeśli nie więcej ludności rasy nordycznej jak Niemcy, to nie uważałbym za stosowne transplantować ideologię nordyczną na nasz grunt. Przyjąwszy myśl i ruch nordyczny, moglibyśmy łatwo ulec wszystkim albo też niektórym sugestiom związanym z nimi" – pisał. W innej publikacji, *Polsko-niemieckie zagadnienia rasy* z 1939 r., Stojanowski podkreślił pewną fascynację niemieckim ruchem rasowym: „trudno będzie Polsce sąsiadującej z Niemcami uchronić się całkowicie od naśladownictwa niemieckiego rasizmu". Stojanowski radził przeto wybrać lepsze strony tego ruchu. Jako nieaktualne dla Polski uznał: eugenikę i ruch nordyczny, jako aktualne – zagadnienie przyrostu naturalnego i „odżydzanie Polski". Pytanie, czy ta krótka myśl wyrażona w publikacji zawiera w sobie chęć naśladownictwa całości systemu represji antyżydowskich III Rzeszy, z zakazem ożenku, pozbawieniem praw obywatelskich i mienia, etc. pozostaje otwarte. Jak wielu ówczesnych polityków, był antysemitą, problem żydowski traktował jako problem gospodarczy i społeczny, jako przeszkodę ku ustanowieniu państwa narodowego, jakim byłaby przyszła Polska. Co ciekawe, Stojanowski nie traktował Żydów polskich jako mniejszości narodowej. Twierdził, że są oni cudzoziemcami, gośćmi, którzy z konieczności czasowo przebywają na ziemiach Polski i którym należy otworzyć drogę do emigracji z Polski.

Państwo skupiające zachodnich Słowian nie mogłoby samotnie stawić czoła Niemcom. Musiałoby się oprzeć na Rosji Sowieckiej. Stojanowski mimo komunizmu wschodniego sąsiada broni go w swoich pismach przed nazistami; wskazuje, że nie doceniają oni zdolności państwowotwórczych Rosjan. Stabilizacja ZSRR za czasów Stalina było wzmocnieniem żywiołu słowiańskiego. Po I wojnie światowej Rosja pozbyła się elementu niemiecko-bałtyckiego, wpływowego w polityce.

Prognozy polityczne Stojanowskiego były prorocze wtedy, kiedy jeszcze sporo osób na Zachodzie wierzyło w pokój, politykę ustępstw wobec Hitlera i jego dobrą wolę: „Rys ten psychiki Hitlera jest na przyszłość o tyle niebezpieczny, że może on stać się podstawą nieobliczalnej decyzji politycznej, która nie spełniając nadziei, może Europę drogo kosztować".

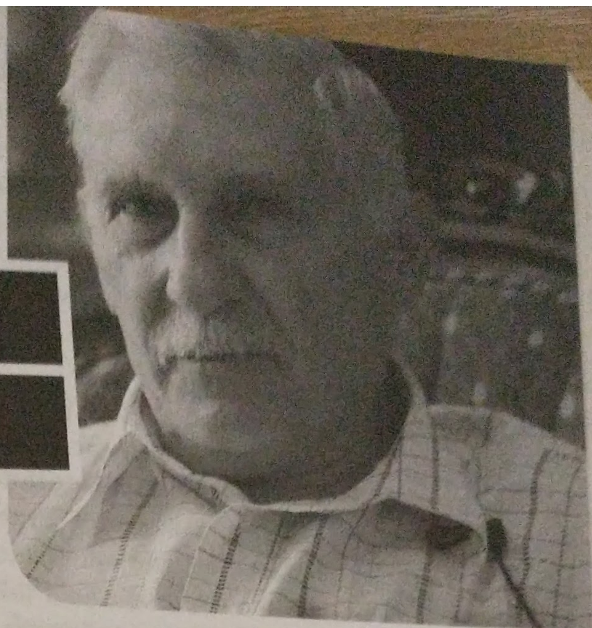
Jak widać z referowania powyższych dwóch pism, wiele prognoz polityczno-społecznych i religijnych Karola Stojanowskiego się sprawdziło. Sojusz z ZSRR dał Polsce konkretne korzyści materialne w postaci odzyskania Ziem Zachodnich, co było postulatem narodowców w czasie wojny. Widać również, że nazizm poprzez swoje rasistowskie oblicze można określić jako coś endemicznego pośród ruchów nacjonalistycznych, a na pewno oddziela go to od nacjonalizmów śródziemnomorskich czy polskiego, który z wielu powodów (uniwersalistyczny katolicyzm, struktura antropologiczna, położenie geograficzne) nie mógł przyjąć tych idei za swoje.

≡ WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Polski Słownik Biograficzny, t. XLIV, Warszawa, Kraków, 2006, s. 19–21.
Karol Stojanowski, *Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie*, Poznań 1934.
Karol Stojanowski, *Polsko-niemieckie zagadnienia rasy*, Katowice 1939.
Michał Musielak, *Nazizm w interpretacjach polskie myśli politycznej okresu międzywojennego*, Poznań 1997

Czy młodzi endecy byli nacjonalistami?

Z prof. Bogumiłem Grottem rozmawia Jakub Siemiątkowski


Fot. grott.info

W książce *Dylematy polskiego nacjonalizmu*[1] pisze Pan, że ONR-ABC i młodzież SN „głosiły ideały neośredniowieczne. Brak tam było wizji budowania potężnej infrastruktury, która by potrafiła zrównoważyć przypuszczalne odrodzenie się potęgi niemieckiej po klęsce poniesionej w pierwszej wojnie światowej. W świecie wyścigu technicznego rzeczywistość wymagała czegoś więcej niż budowy państwa sprawiedliwego społecznie o charakterze rolniczo-przemysłowym". Czy można uznać, że tradycjonalizm brał tu górę nad nacjonalizmem?

Tradycjonalizm młodych narodowców wynikał z integryzmu katolickiego. Gdy czyta się teksty „młodych", wszystko jedno, czy z ONR-ABC, czy endecji, widać tam, że katolicyzm właściwie „połyka" nacjonalizm. Przykładowo, Karol Stefan Frycz pisał, że Polska jako taka nie jest właściwie wartością samoistną. Spełnia pewną funkcję w ramach cywilizacji łacińskiej i jej rola właśnie na tym polega. Pod koniec okresu międzywojennego można było w „Myśli Narodowej" przeczytać teksty gloryfikujące średniowieczne cesarstwo niemieckie, jako krzewiące chrześcijaństwo. A to cesarstwo przecież wojowało z nami, kiedy już byliśmy chrześcijanami, oraz zniszczyło Słowian połabskich, którzy sięgali aż po przedpola Hamburga. Polskość występująca w tej narracji schodzi na dalszy plan, istotne jest to, kto był heroldem chrześcijaństwa i łacińskości. Tego typu głosów było dużo. Właśnie w tym kierunku szedł rozwój ruchu narodowego. Pamiętam jedną ze swoich rozmów z prof. Ryszardem Benderem, który stwierdził, że efektem tej ewolucji było stale postępujące zlewanie się myśli endeckiej z myślą katolicką i zanikanie pierwiastków *stricte* nacjonalistycznych. Sytuację zmieniła wojna.

---

[1] B. Grott, *Dylematy polskiego nacjonalizmu. Powrót do tradycji czy przebudowa narodowego ducha*, Warszawa 2015.

Czy w takich przypadkach można jeszcze właściwie mówić o nacjonalizmie?

Według mnie to już właściwie nie jest nacjonalizm w dosłownym tego słowa znaczeniu. Historyk młodej endecji Jerzy J. Terej mawiał, iż endecja weszła w rolę chadecji. Nawiasem mówiąc, zupełnie nie dostrzega tego wielu historyków. Publicyści „młodych" nieraz ciepło pisali o sarmatyzmie, a nawet o czasach saskich, o demokracji szlacheckiej, o złotej wolności. Trudno to nazwać nacjonalizmem sensu stricto.

Jak do tego doszło? Można przecież założyć, że na początku lat 30. to sam Dmowski był inspiratorem ewolucji ruchu narodowego nie tylko ku dowartościowaniu samego katolicyzmu, ale także tych pierwiastków, które należy uznać za wsteczne. Przed Doboszyńskim to właśnie Dmowski pisał, że kapitalistyczna cywilizacja industrialna się kończy, zaletę widział zaś w tym, że Polska nie jest tak mocno uprzemysłowiona jak kraje zachodnie. Pisał Pan, że „widoczna jest rozbieżność wartości demonstrowanych w pracach Dmowskiego z okresu zakładania OWP oraz jego ocen ówczesnej kultury i cywilizacji w stosunku do tych, jakie wygłaszał na przełomie XIX i XX w., publikując swoje *Myśli nowoczesnego Polaka*". Jak Pana zdaniem mogło dojść do tego, że tak twardo stąpający po ziemi myśliciel polityczny pchnął ruch narodowy w takim kierunku?

Odpowiadając na to pytanie, odwołałbym się do jednego z napisanych u mnie doktoratów, dotyczącego endecji na północnym Mazowszu. W dawniejszych czasach nie było oczywiście Internetu ani telewizji, więc prasa, szczególnie ta lokalna, miała daleko większe znacznie niż dziś. Jak się okazuje, w takich pismach nie znajdzie się wypowiedzi podobnych do publikowanych w pierwszym „Przeglądzie Wszechpolskim" czy w *Myślach nowoczesnego Polaka*. Tam tego zupełnie nie ma. Mówię tu o inteligencji prowincjonalnej, o działaczach lokalnych, którzy poglądy uznawane za typowe dla endecji lat 30. wyznawali już wcześniej.

Jak rozumiem, mówimy tu o poglądach katolickich, bogoojczyźnianych.

Tak, ludzi całkowicie odwracających się od katolicyzmu było w skali całego polskiego społeczeństwa przełomu XIX i XX w. jednak bardzo niewielu. Z kolei sama „pozytywistyczna" inteligencja w sprawach etyki społecznej reprezentowała poglądy podobne do tych, którymi się odznaczali ludzie chodzący do kościoła. Ktoś mógł wątpić w istnienie Boga, albo nawet wierzył w Boga, niekoniecznie uznając wszystko to, czego naucza Kościół, nie był jednak na ogół człowiekiem o znacząco odmiennym światopoglądzie. W związku z tym bardzo łatwo było wyjść z tego stanu w następnym pokoleniu.

Czyli laicyzacja pozytywistycznej inteligencji była jednak bardzo powierzchowna?

Tak. Poza tym nie dotyczyła, jak mi się wydaje, samego systemu wartości. W każdym razie nie zmieniała go znacząco. Ludzie faktycznie wyłamujący się z tego wzorca stanowili niewielki ułamek społeczeństwa. Mówimy tu o najbardziej zażartych socjalistach, materialistach.

Odnosząc się do samego Dmowskiego, zaskakujące w jego publicystyce jest to, że w pewnym momencie jego działalności kończy się u niego ta krytyka Polaków i polskości, charakterystycznych dla nich bierności czy statyzmu. Zaczynają się za to pojawiać nawiązania bardziej idealistyczne. To właściwie dwie różne narracje. Nieprzypadkowo w „Zadrudze" opublikowano później tekst pt. *U źródeł zaprzaństwa Dmowskiego*. Ten krąg oczywiście przyznawał się do tego wszystkiego, co głosiła do pewnego momentu endecja – do tego, co napisano w *Myślach nowoczesnego Polaka*.

Wydaje mi się, że Dmowski nie tyle się zmienił, ile przystosował się do sytuacji. Doszło do tego w momencie dla endecji dość krytycznym, gdy władzę przejął Piłsudski. W pierwszych wyborach po przewrocie majowym endecja dostała przecież zaledwie 8% głosów.

Dmowski uznał więc, że trzeba szukać nowej formuły dla ruchu narodowego?

Tak, konieczne było poszukiwanie nowej drogi i najpewniej stąd ta metamorfoza. Zresztą właściwie już po roku 1905, który jest ważną datą, bo zaczynają się wybory do Dumy, trzeba zacząć dbać o głosy mas. Wtedy opinie twardo nacjonalistyczne zaczynają się rozmywać. Jest to też okres nieco słabszy pod względem wydawniczym. Narodowcy zajęli się działalnością innego rodzaju, bo i nowe możliwości się wtedy pojawiły. Tekstów głębszych, ciekawszych było już nieco mniej.

Był to również okres, w którym endecja zmieniła swoją bazę. Wcześniej opierała się na grupach radykalnej inteligencji, a teraz zaczęła odwoływać się do szerszych mas. Przestała być ugrupowaniem kontestującym wiele stron polskiej rzeczywistości, weszła zaś na drogę pewnej ograniczonej, ale jednak ugodowości.

Endecja zaczęła się wtedy stawać ugrupowaniem właściwie konserwatywnym.

W *Dylematach polskiego nacjonalizmu* pisał Pan również, że w sprawach społeczno-ekonomicznych Ruch Narodowo-Radykalny „Falanga" przejawiał „znacznie więcej realizmu" niż ONR-ABC i młodzi SN. Brzmi to przewrotnie, gdyż RNR uchodzi często za ekstremistyczny odłam ruchu narodowego, być może najbardziej oderwany od rzeczywistości, podczas gdy ONR-ABC – za bardziej umiarkowany. Na czym polegał ten realizm?

Tzw. oderwanie od rzeczywistości niekoniecznie musi się pokrywać z brakiem realizmu. Jeśli człowiek stawia duże wymagania, to jest szansa oderwania się od ogółu. To jest w pewnym sensie naturalne. Na czym polegał realizm RNR? Krytykowano tam wypowiedzi statycznej, tradycjonalistycznej, reprezentującej główny nurt części obozu narodowego. Pojawiała się krytyka *Gospodarki narodowej* Doboszyńskiego. Krytykowano, a nawet wykpiwano tezy wyłożone przez Jędrzeja Giertycha w *Tragizmie losów Polski* – Wasiutyński napisał tekst *Tragizm i komizm książki Giertycha*. Mówiono wyraźnie, że należy postawić na uprzemysłowienie, lansowano idee gospodarki planowej, co zapewne oznaczałoby jakiś sposób uporczywego ściągania środków ze społeczeństwa na rozbudowę siły ekonomicznej kraju. Ideologom RNR odległe były tony, w które uderzał Frycz – uważano, że naród

Tożsamościowo

musi być silny. Podkreślano także, że aby być moralnym i stać na gruncie obrony tejże moralności, to przede wszystkim trzeba istnieć. Jeśli nie będzie się istnieć, nie będzie się miało sił wykonawczych, to trudno myśleć o czymkolwiek innym. Trafność tych tez pokazała później historia. Nie mając odpowiedniej siły, doczekaliśmy się sytuacji, w której zamiast po wykonaniu odpowiedniego minimum pracy oddać się kontemplacji, jak to doradzał Karol Górski w rozdziale *Wychowania personalistycznego* poświęconym wychowaniu gospodarczemu, mogliśmy „kontemplować" na Kołymie i w Auschwitz. Najpierw trzeba zapewnić sobie warunki do tego, by przetrwać. Dopiero potem można myśleć o kształtowaniu świata w taki sposób, który uznaje się za właściwy. Uważam, że to jest spojrzenie realne. Nierealistyczne było to, że grupa niemająca przecież odpowiedniej siły – a jak wyliczał prof. Majchrowski, RNR liczył ok. 5 tys. działaczy i członków – snuła tak śmiałe wizje. Faktem jest, że nie budziły one zachwytu przeciętnego Polaka, nawet mającego poglądy narodowe. Wymagały bowiem zbyt wielu ograniczeń i wysiłku.

Ten specyficzny realizm RNR widać też chyba w stosunku do tradycji narodowej i charakteru narodowego. RNR była wobec nich krytyczna, chciała ten charakter zmieniać, podczas gdy ONR-ABC i „młodzi" SN już niekoniecznie. Czy można więc powiedzieć, że w pewnym sensie RNR była bliższa korzeniom ruchu narodowego niż główny nurt młodych? Dmowski również krytykował polskość, chciał zmieniać naszą mentalność, czynić nas mocniejszymi, niż jesteśmy.

Na pewno można tak powiedzieć. Z drugiej strony, gdy się przegląda pisma RNR, należy stwierdzić, że werbalna propaganda katolicyzmu była tam najsilniejsza. Najmniej było tego tonu w ONR-ABC, nieco więcej w młodej endecji.

Może więc znaczy to, że przywódcy RNR, rozumując odwrotnie niż Zadruga, uważali, że w Polsce nie można odcinać nacjonalizmu od katolicyzmu?

Być może tak było, choć trudno powiedzieć to na pewno. Zapewne jednak przywódcy Falangi nie byli ludźmi kluczącymi, to byli ludzie szczerze wierzący. Była to swoista interpretacja katolicyzmu, a takich może być wiele. Dla przykładu powiem, że niedawno wpadła mi w ręce książka o Opus Dei – jak w niej czytamy, opanowywanie Ziemi, która została dana człowiekowi przez Boga, powinno być jednym z głównych celów doczesnej egzystencji ludzi. Daleko tu do statyzmu, który charakteryzuje wielu tradycjonalistów.

W czasie okupacji w kręgach „Sztuki i Narodu", a więc związanych ze środowiskiem postfalangistowskiej Konfederacji Narodu popularny stał się Stanisław Brzozowski ze swoją filozofią pracy. Jak pisał Pan, można widzieć w tym „strumyk świadomości o potrzebie innego spojrzenia" na postawy ludzkie. Czy jest przypadkiem fakt, że takie tendencje pojawiły się w kręgu będącym okupacyjnym przedłużeniem RNR-u?

Chyba nie jest to przypadek. Bardzo możliwe, że wiąże się to z faktem, iż właśnie ta frakcja ruchu narodowego inaczej patrzyła na wspomniane sprawy. Należy

...ru jednak zaznaczyć, że według autora książki o Brzozowskim, prof. Bogdana Suchodolskiego, był on człowiekiem, który przeszedł cztery etapy rozwojowe: liberalny, socjalistyczny, nacjonalistyczny i katolicki. To, co tak bardzo interesowało Trzebińskiego i jego kolegów, to właśnie okres nacjonalistyczny. Suchodolski pisał ...u o „nacjonalizmie proletariackim". W okresie tym na stronach m.in. *Legendy młodej Polski* czy *Głosów wśród nocy* Brzozowski sformułował mnóstwo interesujących myśli, ale nie można powiedzieć, że stanowią one w całokształcie spójny system. Zastanawiałem się kiedyś, dlaczego krąg „Sztuki i Narodu" zajął się Brzozowskim – chyba było tak dlatego, że formułował on myśli, z których można było wyciągać idące w różnych kierunkach wnioski. Stąd jego popularność w różnych nurtach. Inspirowało to do innego stylu działania, propagowania innych wartości niż te obecne w spuściźnie młodej generacji endeków. To był moim zdaniem kierunek pozytywny, chociaż niewystarczający.

A czy Pana zdaniem dziś myśl Brzozowskiego może być pomocna środowisku narodowemu, jeśli będzie ono chciało szukać odpowiedzi adekwatnych do wyzwań, które stawia nam współczesność?

Myślę, że tak. Trzeba jednak ogół tych myśli odpowiednio uporządkować, zinterpretować. Zbudować coś w rodzaju systemu. Według Ludwika Frydego „pisma Brzozowskiego budziły niepokój, głód światopoglądowy, nie zaspakajając go. Legenda porywa czytelnika patosem swego stylu, rozpala go do wielkich nieokreślonych spraw i rozegzaltowanego, bezbronnego – opuszcza".

Można powiedzieć, że Stachniuk próbował zbudować taki system.

Tak. Gdy rozmawiałem z działaczami przedwojennej Zadrugi, często słyszałem wypowiedzi, że myśl tego środowiska w dużej mierze opiera się właśnie na odpowiedniej interpretacji i rozbudowaniu myśli Brzozowskiego. Przy czym o ile Brzozowski nie dawał konkretnych odpowiedzi na pytania, co robić, to Stachniuk stworzył tzw. prawdę totalną, którą chciał narzucić narodowi. Oczywiście inspirował się w tym nie tylko Brzozowskim, lecz także Maxem Weberem, który brał na warsztat wpływ religii na życie gospodarcze. Wydaje się, że twierdzenie, iż protestantyzm, będąc pod wpływem doktryny o predestynacji, odpowiednio wpływa na rozwój ekonomiczny, zdeterminowało stosunek Stachniuka do spraw religii. W Polsce mieliśmy za to szlachcica i magnata, który zdzierał z chłopów, co się dało, a praca nie przedstawiała dla niego wartości. Miasta się nie rozwijały, właściciel ziemski żył z ludu, którego byt kształtował się na bardzo niskim poziomie. Jak mi się wydaje, to spowodowało, że Stachniuk rzucił anatemę na katolicyzm, który według niego nie wygenerował odpowiedniej kultury pracy i twórczości. Co prawda protestantyzm też jest chrześcijaństwem, ale lider Zadrugi uważał, iż stanowi on krok w lepszym kierunku. W kontrze do gloryfikujących cywilizację łacińską młodych narodowców Stachniuk zaczął pisać o Słowiańszczyźnie i dlatego znajdujemy u niego akcenty neopogańskie. Jednocześnie pojawił się w jego publicystyce model przypominający do pewnego stopnia ten znany z praktyki ZSRR. Nie przyjmując marksizmu, uważał państwo sowieckie za kapitalistę, wyposażonego w nieograniczoną władzę, który

był w stanie wygenerować odpowiednie środki potrzebne do przeprowadzenia planowej industrializacji. Pozbawiona takich narzędzi II Rzeczypospolita mogła się zdobyć jedynie na stosunkowo niewielkie inwestycje, które – co Stachniuk podkreślał niejednokrotnie – były bardzo dalekie od potrzeb wynikających z jej położenia geopolitycznego.

Uważał, że państwo położone między totalitarnymi, zindustrializowanymi Niemcami i Rosją może nawiązać z nimi konkurencję, jeśli również przyjmie model totalny.

Bezpośrednio o totalizmie nie pisał wiele. Jednak jego teksty poświęcone sprawom społeczno-gospodarczym wskazują, że jego system miałby charakter totalny. Świadczą o tym jego artykuły, np. o „piatiletce", oraz gospodarcza książka *Heroiczna wspólnota narodu*, wydana w rok po *Gospodarce narodowej* Doboszyńskiego. Takie myślenie oczywiście nie było pozbawione sensu, jeśli patrzeć na liczby, wyniki produkcji itd. Jednocześnie wiemy, że to wszystko, co działo się wtedy w Sowietach, było straszne. Tak więc w myśleniu Stachniuka co prawda widać sporo realizmu, jednak należy wątpić, czy proponowany przez niego system w ogóle dałoby się wprowadzić w Polsce.

Dlatego że byłby opór społeczny?

Oczywiście. Pamiętajmy o działaniach Sowietów wobec ludności ZSRR, o wielkim głodzie na Ukrainie i Powołżu. To był gwałt na ludności. Traktowano ją jak niewolników, a średnia jej intelektualnego rozwoju była niska, w związku z czym łatwo było jej wpierać różne rzeczy. Z drugiej strony przecież, państwo sowieckie w taki sposób realizowało swoje cele i znajdowało dla nich środki. Jak piszą historycy wojskowości, Polska w 1939 r. posiadała 4,5 mln mężczyzn kategorii A. Mniej więcej tyle wynosiła liczebność armii niemieckiej na frontach II wojny światowej. Gdyby tych ludzi odpowiednio uzbroić, ryzyko związane z atakiem na Polskę byłoby przecież znacznie większe, być może niewarte podejmowania, a zapewne i Anglicy zachowywaliby się inaczej w roli sojuszników II Rzeczypospolitej.

Wracając do endecji – czy wspominane przez Pana kwietyzm, statyzm i adynamiczność, charakteryzujące ideologię narodowców w latach 30., nie tłumaczą faktu, że główny nurt ruchu narodowego nie miał spójnej wizji ubiegania się o władzę? Nieco tylko uogólniając, walka o władzę w II RP wyglądała tak, że Piłsudski przejmował ją, kiedy zechciał. W 1918 r. wpadła mu ona w ręce, w 1926 r. – abstrahując od sporu o kulisy zamachu majowego – przejął ją zbrojnie. Endecji pozostawały wtedy jałowe raczej protesty, w okresie tzw. sejmokracji sam ZLN wdawał się nieustannie w parlamentarne przepychanki, można chyba powiedzieć, że okres ten został w dużej mierze przez narodowców zmarnowany. Z kolei po 1926 r. „młodzi" właściwie nie do końca wiedzieli, jak o tę władzę zawalczyć. Z jednej strony pojawiały się hasła narodowej rewolucji, w praktyce natomiast obowiązywała narracja,

że należy kształtować kadry, przy czym przecież w latach 30. wpływy narodowców na porządek polityczny, wyjąwszy przestrzeń akademicką, nie rosły istotnie. „Młodzi" kanalizowali swoją aktywność, koncentrując się na tematach dość bezpiecznych, przede wszystkim na walce z Żydami. W tym czasie znacznie bardziej energiczni piłsudczycy sprawowali władzę, umacniali wpływy w wojsku, narzucali ogółowi swoją wolę. Widać u nich było tego ducha zdobywania, wzrostu.

Myślę, że wiele o tym mówi już sam zmierzch Obozu Wielkiej Polski w latach 1932–1933, który odbył się bez wielkiego wstrząsu. Upadek tej organizacji świadczy o mentalności tych ludzi, o ich zdolności do oporu. Przypuszczalnie jest to kwestia kulturowa. Z drugiej strony należy wskazać, że struktury endecji rosły. Bezpośrednio przed 1939 r. SN liczył ponad 200 tys. członków regularnie płacących składki. Nie licząc Obozu Zjednoczenia Narodowego, który był budowany w dużej mierze sztucznie, była to w ostatnich latach międzywojnia najliczniejsza partia w Polsce. Miało to swoje konsekwencje. Endecja, wewnątrz której odbywał się w latach rządów sanacji „proces zespalania nacjonalizmu z katolicyzmem w jedną całość ideową", przyciągała ludzi, którzy w innych warunkach skłanialiby się ku chrześcijańskiej demokracji. Tymczasem sama chadecja była wtedy w Polsce jednak słaba, marginalna. To był pewien typ człowieka, który nie był rewolucjonistą, do zaciekłej walki się nie palił.

Jest to o tyle interesujące, że aktywistyczny, dynamiczny model działalności reprezentowali w Polsce piłsudczycy, będący w polskiej polityce elementem (mówiąc Gumilowem) pasjonarnym, najbardziej energicznym, wręcz nietzscheańskim, i to pomimo faktu, że u schyłku życia sam Piłsudski był już człowiekiem pod wieloma względami nieumiejącym myśleć w kategoriach ówcześnie dominujących w polityce. Niemniej jednak był to zupełnie inny typ człowieka niż ogół przywódców endecji, stawiających na organizację, działania ewolucyjne, mniej zdolnych do przemocy. Kontrastuje to również z sytuacją znaną z innych krajów Europy, gdzie (obok komunizmu) to nacjonalizm był właśnie siłą rewolucyjną.

Niewątpliwie tak było. W II RP poszło to w kierunku tradycjonalistycznym, w kierunku wizji Polski jako kraju małych warsztatów. Był to zresztą pomysł fatalny, można się cieszyć, że nie doszło do jego wdrożenia. Co prawda, mamy też przykład chiński. Swego czasu sporo mówiło się o realizowaniu różnych projektów infrastrukturalnych w Chinach przy pomocy np. okolicznych chłopów, którzy nosili w koszach ziemię, budujących w ten sposób tamy, czy o wytapianiu rudy żelaza w czymś na kształt średniowiecznych dymarek itd. Raczej jednak nie robiono z tego wielkiej idei, traktując taką praktykę wyłącznie pragmatycznie. Było to skutkiem braku kapitału i nadmiaru rąk do pracy. Być może miało to więc jakiś sens. W Polsce z kolei tego typu pomysły podniesiono do rangi wielkiej cnoty. Dla Doboszyńskiego pogoń za zyskiem była czymś niemoralnym, a tzw. człowiek interesu budził sprzeciw i był przeciwstawiany „zbożnym rolnikom". W 1934 r. Doboszyński pisał, że Polska jest krajem już właściwie wystarczająco

uprzemysłowionym. Myślący w ten sposób ruch narodowy był może liczny, ale chyba trudno mówić tu o sile zdolnej dokonać istotnych zmian.

Gdzie jeszcze zatem, poza Brzozowskim i niektórymi wątkami myśli Stachniuka, szukać inspiracji?

Można zwrócić się np. w kierunku Stanisława Szczepanowskiego, który formułował wiele interesujących myśli gospodarczo-cywilizacyjnych. Trzeba pamiętać, że każda rewolucja, nawet jeśli nie jest tak krwawa jak bolszewicka, ma to do siebie, że burzy podstawy porządku. Jeśli społeczeństwo jest tworzone w myśl jakichś zasad, to ewentualny przewrót nieraz uderza w samych ludzi. To sytuacja trudna, szczególnie jeśli chce się uniknąć terroru. Ludzie boją się zmian, w Polsce widać to szczególnie dobrze. Gdy w 1926 r. doszło do zamachu majowego, to w jednej z prowincjonalnych gazet pomorskich padł pomysł, by dołączyć Pomorze do Wolnego Miasta Gdańska, dlatego że ta nowa Polska trącić będzie bolszewizmem. Charakterystyczny był wydźwięk tego tekstu – uciekajmy od takiej Polski, Gdańsk to takie neutralne miasto. Nawet taki przewrót przerażał wielu ludzi, bojących się ewentualnych przemian społecznych, gospodarczych itd.

Czy problemy, o których mówimy, są dziś aktualne? W niektórych kręgach narodowych widać dziś koncentrację na sprawach wyłącznie obyczajowych, związanych z religią. Z kolei takie zagadnienia jak wzmacnianie materialnych podstaw narodu budzą znudzenie. Dmowski w *Myślach nowoczesnego Polaka* zakładał, że wraz z wkroczeniem chłopów w życie narodowe, naród polski stanie się mniej bierny, odrzuci charakterystyczne dla szlachty wady. Jak pisał Stachniuk, wcale się to nie udało. Czy widzi Pan możliwość przezwyciężenia tego dziś?

Zacznę może od Doboszyńskiego. On w swojej ostatniej pracy *W pół drogi* pisał, że w 1918 r. najwyżej 1/3 ludności mówiącej po polsku czuła się Polakami. Nie miała tego poczucia większość chłopstwa i duża część klasy robotniczej. W innym miejscu stwierdzał, że okres międzywojenny bardzo poważnie zmienił tę sytuację, ale ten proces nie został dokończony, nie sięgnął zbyt głęboko. Potem przyszli Niemcy. Z tego, co Doboszyński pisze w sposób bardziej rozproszony, ale wynika to logicznie z wywodu jego i innych, z którymi się spotkałem, sytuacja ta miała paradoksalnie również dobre strony. Niemcy „wychowali" ludzi – niejeden chłop w konfrontacji z wrogiem tak mocno uderzającym w polskość wyszedł z wojny „uobywatelniony". Później nastał komunizm i ten proces zaczął się cofać. Myślę, że stare elity, które zostały wyniszczone, jakkolwiek miały wiele wad, niosły pewne wzorce. Dziś nasze społeczeństwo jest w dalszym ciągu „niedokończone". Dlatego dla wielu ludzi jest wciąż istotne to, co powiedzą o nas na Zachodzie, a nie to, co jest tutaj, co jest nasze. Ten naród nie jest chyba wciąż do końca ucywilizowany. Właściwie sam sobie siebie obrzydza. Nie ma zakorzenionego poczucia polskości, które pozwala być odpornym na wszelkie dostrzegane błędy i wady. Widać to na przykładzie wielu Ślązaków, mających labilną tożsamość, w zależności od koniunktury przyznających się do polskości bądź wyrzekających się jej na rzecz innych tożsamości. Korzystają na tym obcy. Być może

demokracja nawet wzmacnia te słabości. Dla odpowiednio głębokich zmian rząd musi mieć odpowiednią siłę.

W przypadku sukcesów Chin w rywalizacji z USA być może coraz bardziej popularny, także w Europie, będzie stawał się model silnej władzy, odrzucający liberalną demokrację i prymat pluralizmu politycznego.

Dziś jest jeszcze tak, że wielu odrzuca to, co przychodzi z Chin, nie zwracając uwagi na fakt, iż głębokie różnice, jakie pojawiają się między standardami panującymi w Europie i w Azji wynikają z odmiennego podłoża cywilizacyjnego. Z drugiej strony kraje Dalekiego Wschodu pokazały, że lepiej radzą sobie z kryzysami takimi jak ten wywołany pandemią. Z czegoś to przecież wynika. Karność, poczucie więzi, to są inne zasady kulturowe. Stachniuk mylił się, krytykując konfucjanizm, a to przecież konfucjanizm, powodując skłonność do wiary we wspólnotę, współdziałanie, jest istotną przyczyną tak dużej wydajności społeczeństw azjatyckich.

Dziękuję za rozmowę.

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

Odwieczne nasze rozdwojenie polityczne, odwieczny konflikt pomiędzy dwoma postawami i temperamentami, między Trauguttem a Wielopolskim, pomiędzy Piłsudskim a Dmowskim, musi zakończyć się syntezą; musimy zrozumieć, że w konfliktach tych obie strony były jednakowo patriotyczne, a różniły się tylko w wyborze metody prowadzącej do wspólnego celu, którym jest dobro i niezależność Polski. Synteza jest możliwa: można połączyć patriotyzm z umiarkowaniem i cierpliwością, pragnienie czynu z rozsądkiem, miłość ojczyzny ze zdolnością do trzeźwego politycznego myślenia, odwagę z ostrożnością.

STEFAN KISIELEWSKI

Wojciech Niedzielko

Autokrytyka młodego postendeka

Fot. narodowcy.net

„Jesteśmy ludźmi, nie ideologią" – krzyczy tęczowa młodzież, gdy ktokolwiek chociażby zasugeruje, że LGBT to coś więcej niż tylko akronim oznaczający tzw. osoby nieheteronormatywne. Stwierdzenie, że coś jest ideologią lub że ktoś „wyznaje" jakąś ideologię, jest stwierdzeniem z pogranicza obelgi – ideologia jako taka kojarzy się bowiem z pragnieniem narzucenia własnego światopoglądu innym osobom, często wbrew ich woli.

Najwięcej medialnego szumu wokół „ideologii LGBT" wywołały oczywiście słowa Andrzeja Dudy podczas ostatniej kampanii prezydenckiej. Dotychczas monopol na oskarżanie kogoś o ideologizowanie miały środowiska kojarzone z liberalnym establishmentem. Stygmatyzacja dotykała często środowisko narodowe – sam Adam Michnik ewokował przecież „demona polskiego nacjonalizmu", a salonowy inteligent, zwalczając rodzimą kołtunerię, mógł uczynić zadość wymogom własnego sumienia. A wróg ponoć nie był wyimaginowany – instynktowna ksenofobia, wrodzona ciemnota, nieuleczalne wstecznictwo, słowem: ciemnogród, miały być nieodłączną częścią tożsamości Polaka-katolika. Na tych cechach miały żerować polityczne reinkarnacje endecji, z których najbardziej znaczącą była Liga Polskich Rodzin.

Czy aby jednak obawy salonu III RP były uzasadnione, patrząc nawet z liberalnej perspektywy? Czy może nieco przecenił on swojego politycznego wroga bądź po prostu wzniósł chochoła, którego można było wdzięcznie atakować, mobilizując przy tym elektorat? Być może Waldemar Łysiak powinien pisać nie o salonie kłamców, lecz o salonie głupców. Patrząc na obecną żenadę „totalnej opozycji" – mowa tutaj, rzecz jasna, o konglomeracie partyjno-medialno-intelektualnym – książka Łysiaka z takim tytułem byłaby bardziej aktualna.

Jak skończyło ucieleśnienie „demona polskiego nacjonalizmu", czyli LPR, obrazuje najlepiej droga polityczna jego byłego lidera. Kogo nie obeszły ciarki wstydu podczas oglądania podskakującego Giertycha na manifestacji Komitetu Obrony

Demokracji? Ale czego nie robi się w imię *realpolitik*, wszak nie tak dawno temu niektórzy w polskim środowisku narodowym bez cienia żartobliwości mówili, że „Roman ma plan".

Hasło polityki realnej nie zostało tutaj przywołane jedynie dla złośliwości. Realizm polityczny do dziś jest przedstawiany jako szczególna własność spadkobierców endecji, zazwyczaj w opozycji do neoromantycznej polityki spadkobierców sanacji. Chyba każdy narodowiec miał w swoim życiu epizod, w którym z wypiekami na twarzy czytał erudycyjne wywody Dmowskiego o tym, że w polityce liczą się tylko siła i słabość, o zasadach ekonomii krwi, o wytrwałej narodowej pracy organicznej, która w przeciwieństwie do pracy organicznej pozytywistów za pierwszy cel stawiała sobie dobro narodu.

Dzięki środowisku politycznemu Romana Giertycha polska idea narodowa została przekopiowana w XXI w. Chcąc nie chcąc, nawet piszący te słowa w młodzieńczym okresie swojego życia całkiem przypadkowo natknął się na szyld Młodzieży Wszechpolskiej. Po upadku LPR-u i dezercji jej lidera kilkudziesięciu osobom nadal chciało się pchać przysłowiowy wózek. Jeśli mamy przypisać jakąś trwałą zasługę Giertychowi, to będzie nią właśnie reaktywacja ruchu narodowego w III RP, dzięki której polski nacjonalizm wszedł do mainstreamu politycznego i z lepszymi bądź gorszymi efektami jest w nim do dziś.

Na tym lista zasług się kończy. Prawdą jest, że Liga pod przywództwem Giertycha osiągnęła spore sukcesy polityczne, ale poddane próbie historii okazały się sukcesami krótkotrwałymi. Byli członkowie LPR-u zasilili prawie wszystkie okrągłostołowe partie, czasem tłumacząc to, a jakże, potrzebą prowadzenia polityki realnej, rozwalania systemu od środka, zdrowym rozsądkiem i tak dalej. Wszak Roman Dmowski był posłem do carskiej Dumy!

Nie ma chyba bardziej kuriozalnej sytuacji niż ta, w której specjaliści od *realpolitik*, pogromcy neoromantyzmu i piewcy politycznej skuteczności koniec końców ponoszą sromotną polityczną klęskę, aby pełnić funkcję dworaków i klaunów w obozach dawnych wrogów.

Co było zasadniczą przyczyną takiego obrotu spraw? Skąd wypływa praźródło nie tylko politycznej, ale przede wszystkim moralnej i ideologicznej klęski polskiego ruchu narodowego prowadzonego przez Giertycha? I co najważniejsze: czy przyczyny te zostały przezwyciężone?

≡ TRADYCJA POLITYCZNA ZAMIAST IDEOLOGII

Gdybyśmy chcieli analizować jedynie polityczną koniunkturę, to sprawę potraktowalibyśmy powierzchownie. Nie można umniejszać również wpływu czynników materialno-bytowych poszczególnych działaczy politycznych. Co ma zrobić młody człowiek, który zjadł zęby na rozklejaniu plakatów, rozdawaniu ulotek i knuciu politycznych intryg, kiedy z dnia na dzień jego pracodawca bankrutuje, a szef odpływa ostatnią szalupą z tonącego okrętu?

Pytanie to mogłoby być zasadne wobec działaczy tzw. partii systemowych, przeżartych koniunkturalizmem i cynizmem. Ale przecież nie mówimy tutaj

o okrągłostołowych aparatczykach, tylko o spadkobiercach stuletniej tradycji ruchu narodowego, uczniów szkoły Dmowskiego, dzień i noc mozolnie wykuwających Wielką Polskę. Tu chyba moglibyśmy wymagać czegoś więcej – przegrupowania, przemyślenia kilku spraw, ponownego zwarcia szeregów i wyczekiwania wiatru historii, który – jak się okazało – miał niebawem nadciągnąć. Tak właśnie uczyniła garstka ligowych niedobitków, co przyniosło nieoczekiwany efekt w postaci fenomenu Marszu Niepodległości.

Nie umniejsza to jednak skali porażki Ligi Polskich Rodzin i degrengolady jej byłych działaczy z liderami na czele. Wybór politycznych dróg, którymi zaczęli podążać ku zażenowaniu swoich ekskolegów, każe jednak zapytać, czy ruch narodowy ery giertychowskiej w ogóle miał w sobie jakąś ideologię, jakiś kompas metapolityczny, czy raczej należy mówić o zamiennikach ideologii, jej substytutach, które nadają danej grupie wewnętrzną spoistość i mobilizują aktyw, ale nic poza tym?

Niektórzy starsi koledzy mogliby się obrazić na sam dźwięk słowa „ideologia". Jak bowiem pisał nie kto inny, tylko sam Roman Dmowski, należy wystrzegać się wszelkich „-izmów", a co za tym idzie, także ideologii, która w skonkretyzowanej formie musi przybrać formę jakiegoś „-izmu". Stąd nie powinno mówić się o polskim nacjonalizmie, tylko polskim ruchu narodowym, i nie o ideologii ruchu, tylko idei. Tak brzmi wykładnia jednej z podstawowych prawd endeckiej wiary, które przedstawiał w swojej szkole Dmowski. *Roman locuta, causa finita.*

W praktyce ten retoryczny wybieg zmieniał tylko tyle, że w medialnej przestrzeni łatwiej było odeprzeć liczne zarzuty o ideologiczną indoktrynację czy promowanie postaw nacjonalistycznych – oba bowiem sformułowania kuły w uszy elektorat, który przecież trzeba było pozyskać. *Casus* ten jednak dobrze oddaje najwydatniejszą cechę neoendeków – epigonizm. Ideologia została zastąpiona tradycją polityczną (idącą po linii giertychowskiej frakcji Stronnictwa Narodowego), gardłowanie o wielkiej idei zastąpiło wielką ideę, zamiast żywej, krytycznej myśli przerzucano się cytatami z klasyków niczym z Pisma Świętego, a w miejsce oryginalnej publicystyki i pracy wydawniczej wszedł zatęchły antykwaryzm. Największym przewinieniem, najcięższym grzechem było odłączenie się od szczepu – zdrada, zupełnie jak przed wojną, gdy niektóre frakcje narodowców zbaczały z „prawowitej" drogi. Podważanie mitów wyrosłych z tejże tradycji politycznej oznaczało podważanie samych fundamentów ruchu[1]. A podważanie fundamentów ruchu prowadziło wprost do sabotowania budowy Wielkiej Polski, ponieważ tak jak poza Kościołem katolickim nie ma zbawienia, tak poza polską ideą narodową nie może istnieć coś takiego jak silne państwo polskie.

Taka mentalność doskonale mobilizowała grupę i nadawała jej radykalny, fanatyczny sznyt. Faktycznym skutkiem było także – nie bójmy użyć się tego słowa – sekciarstwo, które daje o sobie znać po dziś dzień. Dla neoendeków patriotyzm w pierwszej kolejności oznacza umiłowanie własnej tradycji politycznej – tradycji jako wartości samej w sobie. Zamach na endecką tradycję to zamach na Polskę.

[1] Próbkę takiego zachowania mieliśmy w sierpniu br. po publikacji na portalu Nowy Ład tekstu dotyczącego roli Józefa Piłsudskiego w bitwie warszawskiej 1920 r. (G. Ulicz, *Kto wygrał bitwę warszawską, czyli o micie i obsesjach*, https://nlad.pl/kto-wygral-bitwe-warszawska-czyli-o-micie-i-obsesjach/).

O wielkim pietyzmie dla tradycji politycznej świadczy fakt, że orbitujące wokół środowiska firmy wydawnicze specjalizują się wręcz w publikowaniu przedruków sprzed kilkudziesięciu lat, które są uważnie studiowane przez kolejne generacje młodych narodowców. Nie ma chyba drugiego tak przesiąkniętego antykwaryzmem środowiska, jak polski ruch narodowy. Kogo można wydawać, skoro nikt nie chce pisać – ktoś może zapytać. Ale po co pisać, skoro wszystko zostało już wyłożone, objaśnione, należy tylko dokonać uwspółcześnienia i skutecznymi metodami wcielać wielką ideę w życie?

Nie idzie tutaj o wzmożoną, przeintelektualizowaną działalność, która – jak również pokazuje życie – często kończy się na nic nieznaczących dąsach i wątłych pohukiwaniach. Działalność polityczna jest nieuniknioną konsekwencją działalności publicznej. Bez wątpienia trzeba przyznać, że współczesnemu pokoleniu nacjonalistów brakuje zacięcia politycznego, swoistego parcia na politykę. Niemniej jednak bez solidnych metapolitycznych podstaw, krytycznego namysłu nad tym, w co się wierzy, bez szczerego i dogłębnego próbowania własnej idei w ogniu dyskusji, polityka szybko zamienia się w politykierstwo, a polityczny realizm w oportunizm.

Po przeszło trzydziestu latach funkcjonowania w nowej rzeczywistości politycznej polski ruch narodowy nie dał odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytania: czym jest naród? Kto do niego należy? Po co właściwie człowiekowi naród? Czy ludzie go sobie „skonstruowali", a jeżeli nie, to na czym polega jego „naturalność" i jakie ma ona znaczenie etc. Odpowiedź na te pytania bynajmniej nie załatwia sprawy, życie społeczne to nie mechanizm z pokrętłem, które można ustawiać wedle własnej woli po zdobyciu wiedzy tajemnej. Ale czy ktoś znalazł na to lepszy sposób niż połączenie pracy społecznej i politycznej z pracą intelektualną? Zresztą w pierwszej kolejności nie powinno nam chodzić o „plan", tylko o zaspokojenie własnej ciekawości, o elementarną chęć poznania prawdy, o nadawanie własnemu i zbiorowemu życiu sensu.

Ta ciekawość została w naturalny sposób zabita chorobliwym przywiązaniem do określonej tradycji politycznej. To w pismach klasyków (Dmowski, Giertychowie, ewentualnie konserwatywni pisarze katoliccy) należało szukać odpowiedzi na nurtujące pytania i wątpliwości. Nacjonalizm Stronnictwa Narodowego i jego współczesnych kontynuatorów jest tutaj zwieńczeniem polskiego nacjonalizmu jako takiego. Fiksacja na punkcie własnego obozu i konieczności jego budowania przesłoniła fakt, że w centrum zainteresowania każdego nacjonalizmu powinien stać przede wszystkim naród – nikt nie dopuszczał w ogóle możliwości, że własny obóz polityczny, pomimo niesienia sztandarów ze Szczerbcem, mógł błędnie interpretować interes narodowy lub w niektórych momentach dziejowych nawet mu szkodzić. Zabrakło spojrzenia na nacjonalizm z szerszej, historycznej perspektywy – obecnie mówi się o trzech falach nacjonalizmu, które głosiły niekiedy sprzeczne hasła. W omawianym kontekście reaktywowany ruch narodowy w III RP ideowo był *de facto* przedłużeniem drugiej fali, po której odziedziczył spadek z dobrodziejstwem inwentarza.

Ruch narodowy do nowej rzeczywistości społeczno-politycznej przeszczepił także tendencję do przypisywania dużego znaczenia zakulisowym grom, tajnym związkom czy międzynarodowym spiskom z jednej strony, a z drugiej do pomijania woli politycznej, ideologii, światopoglądu czy nawet roli zwykłego przypadku.

W przedwojennej publicystyce występuje nadpodaż treści dotyczących masonerii i międzynarodowego żydostwa. Były to dwa uniwersalne klocki, które pasowały do każdej logicznej układanki, odkrywającej rzekomo skrzyżowanie twardych, przeważnie ekonomicznych interesów. Pomijając fakt, iż taka agenda wynikała w dużej mierze z oparcia się na drobnomieszczańskim elektoracie i z „klimatu", jaki panował wówczas w Europie, myślenie to deprecjonowało sprawczość i woluntaryzm grupy politycznej. Realna podmiotowość zawsze leżała gdzieś poza zasięgiem ręki polityka, zawsze należało ją odczytywać w skomplikowanej grze obiektywnych interesów. Być może ta mentalność była jedną z przyczyn, dla której główny nurt polskiego ruchu narodowego po przewrocie majowym nie miał za bardzo pomysłu, jak sięgnąć z powrotem po władzę. Koniec końców to znienawidzony Piłsudski okazał się większym realistą w tej materii.

Współcześnie oprócz wspomnianego oportunizmu byłych frontmanów ruchu narodowego prymat polityki zakulisowej nad polityką masową, interesu materialnego nad ideą, ma jeszcze jeden negatywny skutek. Endecka spiskologia przygotowała na prawicy podatny grunt na treści płynące z tzw. filmów z żółtymi napisami. Abstrahując od wątpliwych źródeł, na których opierają swoje rewelacje różni kuglarze, większość teorii spiskowych spina się w niezbyt przenikliwym wniosku, że tak naprawdę chodzi tylko o „władzę i kasę", że wszelkie ideologie zostały powołane właśnie w tym celu. W swojej istocie jest to postawa wsteczna: nie tylko rewolucje, lecz także głębokie ewolucyjne zmiany społeczne, choć najczęściej sprzyjały im określone warunki socjoekonomiczne, wyrastały z danego podglebia intelektualnego. Nie byłoby filozofii katolickiej bez św. Augustyna i św. Tomasza, nie byłoby rewolucji francuskiej bez Rousseau, nie byłoby sowieckiego komunizmu bez Marksa i Lenina. Wszystkie ideologie i światopoglądy to w gruncie rzeczy systemy wartości, których nie można zamknąć w bytowo-materialnych ramach. Ktoś złośliwy może w tym miejscu dodać, że najczęściej widzimy świat taki, jacy sami jesteśmy i jakiego sami pragniemy. Źle pojmowany realizm, realizm – jak go zgrabnie zdefiniował Ronald Lasecki – mierzony łokciem kramarza, w ostateczności przyczynia się do błędnej oceny rzeczywistości, ponieważ nie uwzględnia czynników wolicjonalnych i irracjonalnych w ludzkim działaniu. Tu także zachodzi sprzężenie zwrotne – skoro liczą się tylko interesy, to zgłębianie świata idei wydaje się nudne, nieatrakcyjne czy wręcz zbędne. Oczywiście z wyjątkiem znajomości „klasyków" polskiego ruchu narodowego.

Inną składową głównego nurtu polskiego nacjonalizmu był i jest katolicyzm. Koncepcja nacjonalizmu chrześcijańskiego jest dość znana i nie ma sensu jej tutaj szczegółowo omawiać. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że każdy działacz narodowy na pamięć zna formułkę o hierarchii bytów, na których czele stoi Bóg, a w świecie doczesnym pierwsze miejsce przypada narodowi. Jak się ma to do powyższych zarzutów o skostnienie i brak ideologii?

Pozostają one w znacznej mierze zasadne. Jakkolwiek polska synteza katolicyzmu i nacjonalizmu jest czymś zasadniczo wartościowym, polski ruch narodowy w III RP oparł się na formułach wypracowanych przed kilkudziesięcioma latami, nie widząc potrzeby ich przepracowania i aktualizacji. W tym czasie katolicyzm przeszedł duże przeobrażenie, czego wyrazem są zmiany w Kościele dziejące się po soborze

watykańskim II. W drugiej połowie XX w. Kościół dogłębniej zajął się tematem kultury i tożsamości oraz wyzwaniami świata współczesnego (soborowa konstytucja duszpasterska *Gaudium et spes*). W Polsce za sprawą kard. Stefana Wyszyńskiego, papieża Jana Pawła II i później ks. prof. Czesława Bartnika wypracowano oryginalną teologię narodu. Polski nacjonalizm czerpie z tego dorobku wybiórczo, nie wnikając zbytnio w całokształt filozofii personalizmu, na której została oparta polska teologia narodu. A co do zasady – jest ona nastawiona do nacjonalizmu negatywnie, nawet biorąc poprawkę na jego chrześcijańską i specyficznie polską wersję.

Cóż bowiem znaczy, że naród stanowi „najwyższą wartość doczesną"? Personalizm jednoznacznie w centrum swojego zainteresowania stawia „autonomiczną wartość człowieka jako osoby" – to ona jest fundamentem i wyznacznikiem tej filozofii, nie zaś naród. Jak pisał ks. Bartnik, naród może stanowić najwyższą wartość doczesną tylko pod warunkiem, że będzie on „narodem osób". A czym się różni „naród osób" od zwykłego „narodu"? Takie pytania można mnożyć, zwłaszcza że społeczne nauczanie Kościoła i posoborowa teologia są wręcz programowo nieprecyzyjne.

O ile przedwojenny nacjonalizm potrafił wypracować oryginalne (choć niekoniecznie zawsze słuszne) propozycje ustrojowe, gospodarcze i społeczne, nierzadko balansując na granicy społecznego nauczania Kościoła lub wychodząc poza jego obręb (*vide* totalistyczny program RNR „Falanga"), o tyle z czasem zaczął tracić własną autonomię ideową. Można nawet pokusić się o tezę, że funkcjonalnie polski ruch narodowy w III RP jest mocno zakonserwowaną chadecją z głośną i wyraźną narracją w sprawach, w których nie zachodzi konflikt z nauczaniem Kościoła. W ostatnich latach pojawił się zgrzyt w postaci stosunku do migrantów. Co znamienne, hierarchia kościelna zareagowała wówczas alergicznie, nie tylko piętnując sprzeciw wobec przyjmowania jakichkolwiek uchodźców, lecz także przypominając o różnicach między patriotyzmem a nacjonalizmem. Narodowcom zaś udzielił się syndrom bitej żony.

W praktyce politycznej – dotyczącej spraw wewnętrznych – nacjonalizm chrześcijański w III RP potrafił zająć jednoznaczne stanowisko tylko w kwestiach bioetycznych i obyczajowych. Mowa oczywiście o aborcji, eutanazji i stosunku do mniejszości seksualnych. Kwestie te zazwyczaj rozpalały w aktywie i elektoracie największe emocje, co przekładało się na mobilizację, a w konsekwencji na mentalność oraz tożsamość ruchu. Tymczasem wali się ustalony porządek: polskie społeczeństwo gwałtownie się laicyzuje, głos Kościoła traci swój dawny autorytet, permisywizm staje się coraz powszechniejszy. Formuła Polaka-katolika, którą z powodzeniem wyzyskiwał ruch narodowy i polska prawica w ogóle, powoli przestaje mieć znaczenie. Jeśli polscy narodowcy w porę nie dostrzegą tych zmian, staną się skansenem.

≡ CZY PROBLEM JEST AKTUALNY?

Opisane wyżej cechy polskiego ruchu narodowego nie zostały wykorzenione przez nowe pokolenie aktywistów, którzy związali się z nim na fali Marszu Niepodległości i tzw. mody na patriotyzm. Lata 2010–2015 zostały zdominowane przez kult

Żołnierzy Wyklętych i łączący się z nim antykomunizm. Schemat był prosty: establishment medialno-polityczny jest w prostej linii spadkobiercą „komuny, która upadła na cztery łapy", naszym zaś celem jest „obalić Republikę Okrągłego Stołu". Mit Żołnierzy Wyklętych doskonale się wpasował w tę narrację, ciesząc się dużym zainteresowaniem ze strony patriotycznie nastawionej części społeczeństwa.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że wówczas to polityka historyczna zastąpiła ideologię. Owszem, nacjonalizm jako taki zawsze będzie odwoływał się do historii i opowiadał ją na nowo, a samej mobilizacji społeczeństwa nie da się przecież ani zaplanować, ani stworzyć – trzeba umiejętnie wykorzystać moment wrzenia, wejść na falę i na niej płynąć. Trzeba jednak powiedzieć, że zabrakło wówczas szerszej refleksji oraz próby odpowiedzi na pytanie, dokąd ruch narodowy właściwie zmierza i jaka jest jego tożsamość[2]. Warunki cieplarniane nie sprzyjały tego typu rozmyślaniom – liderzy i najbardziej zaangażowani działacze byli pochłonięci pracą organizacyjną, na której efekty nie trzeba było długo czekać. Przekaz kierowany do sympatyków był prosty: należy kochać Polskę, to znaczy trzeba zapisać się do jakiejś organizacji narodowej lub po prostu każdego dnia pracować organicznie na rzecz kraju i w ten oto sposób kiedyś powstanie Wielka Polska – cokolwiek miałoby to znaczyć. Paradoksalnie sukcesy narodowców, takie jak zdominowanie polityki historycznej czy wprowadzenie tradycji ruchu narodowego na [illegible]alony, dużo mówią o nieprzepracowanej tożsamości ruchu. Gdy centroprawica sięgnęła po pełnię władzy w 2015 r. i bez ceregieli zaczęła wyzyskiwać patriotyczną narrację, polski nacjonalizm stracił jakby rozpęd. Wszak mamy w końcu rząd i prezydenta, którzy mówią dużo o Polsce, a na dodatek od czasu do czasu wspomną o doniosłej roli Romana Dmowskiego. Misja została wykonana.

Mentalność aktywistów organizacji narodowych była nastawiona na przeprowadzanie rozmaitych, najczęściej głośnych, medialnych akcji. Rzecz jasna, podkreślano potrzebę formacji intelektualnej, lecz w praktyce była ona ograniczona do przerabiania dzieł klasyków myśli narodowej i próby dopasowywania ich myśli do czasów współczesnych. Stąd wynika m.in. nikłe zainteresowanie prądami ideowymi i filozoficznymi, które rozwijały się poza szeroko rozumianą bańką konserwatywno-narodową. Zresztą formacja ta była i jest w dużej mierze powierzchowna – wpisana w kulturę organizacyjną, której fundament, jak już wielokrotnie podkreślono, opiera się na tradycji historycznej ruchu. Innymi słowy, moralny nakaz brzmi: musimy się formować, ponieważ przed wojną obóz narodowy stanowił intelektualną potęgę. Nie chodzi o zwykłą ciekawość świata, chęć poznania prawdy czy zdobywania wiedzy dla samej wiedzy – chodzi o zbliżenie się do ideału sprzed lat.

Jako osoba biorąca aktywny udział w budowaniu ruchu narodowego wielokrotnie słyszałem z ust liderów i szeregowych działaczy, że istotą narodowca powinien być czyn. Nieraz drwiąco wypowiadano się o kawiarnianych dyskutantach, którzy wolą „gadać" o rewolucji francuskiej niż wyjść na ulicę i zorganizować manifestację.

---

[2] Chlubnym wyjątkiem jest pismo, w którym ukazał się niniejszy artykuł. W ciągu ostatnich dziesięciu lat często publikowaliśmy wbrew temu, co można nazwać oficjalną linią polskiego ruchu narodowego. Wiele naszych artykułów wywołało pozytywny ferment i stało się przyczynkiem do przewartościowania niektórych zagadnień. Niemniej oddziaływanie „Polityki Narodowej" wciąż ograniczone jest do wąskiej grupy odbiorców.

Wiele z tych bardzo aktywnych niegdyś osób obecnie albo nie robi nic (zajmuje się „życiem"), albo znalazło się poza środowiskiem narodowym. Notabene „czyn" często polegał na akcjach *stricte* medialnych, które tak naprawdę wymagały pomysłu oraz przyciągnięcia uwagi dziennikarzy. Mityczna działalność społeczna, owa niezliczona sieć formalnych i nieformalnych podmiotów wykonujących mrówczą pracę u podstaw, często okazywała się propagandą sukcesu skierowaną do wewnątrz i na zewnątrz ruchu. Należy dodać, że zarzut deprecjonowania pracy intelektualnej nie jest nowy – w 2016 r. na łamach „Polityki Narodowej" ówczesny kierownik główny ONR, Aleksander Krejckant, podkreślał w udzielonym wywiadzie potrzebę stworzenia „mody na intelektualizm". Potrzeba ta jest wciąż aktualna.

Ważnym czynnikiem spajającym aktyw organizacji narodowych są zaspokojenie potrzeby przynależności do grupy rówieśniczej i zawiązane przyjaźnie. Nie ma w tym nic złego ani nadzwyczajnego – gorzej, jeśli czynnik ten staje się kluczowy dla funkcjonowania organizacji. Konsekwencją takiej postawy na gruncie politycznym jest rozpoznanie wroga lub przyjaciela nie przez pryzmat jego ideowej postawy lub poglądów, ale przez pryzmat powiązań personalnych. Również i to niekiedy było przedstawiane jako sukces ruchu („jesteśmy wszędzie"), ale jednocześnie osłabiało jego ideową tożsamość. Inaczej rzecz ujmując, poza oczywistymi względami wynikającymi z przywiązania do religii katolickiej i powiązaniami personalno-organizacyjnymi w zasadzie nie wiadomo, co oznacza bycie narodowcem i czym tak naprawdę jest nowoczesny polski nacjonalizm. W gruncie rzeczy granica między nacjonalizmem a konserwatyzmem, a nawet jego liberalną odmianą, jest bardzo płynna.

Budowanie wspólnoty opartej na sentymencie i związkach przyjaźni przy jednoczesnym braku potrzeby wypracowania pogłębionej ideologii nieuchronnie prowadzi do depolityzacji aktywu i w dalszej perspektywie do jego demobilizacji. Podkreślmy, że mowa tu nie o tej „oficjalnej" stronie medalu, ale faktycznej, którą każdy działacz narodowy zna z praktyki. Bądźmy szczerzy: większość członków organizacji narodowych działa, ponieważ zżyło się z grupą rówieśniczą, a „ideologia" jest tylko kwiatkiem do kożucha. Większość po wkroczeniu w dorosłe życie spycha aktywność na drugi plan lub w ogóle ją zarzuca. Nagle okazuje się, że walka o Wielką Polskę jest mniej ważna niż etos mieszczucha, który wyraża się trzech cnotach: praca, dom, rodzina. Czasem ów etos jest wręcz starannie pielęgnowany, jako że rodzina jest „podstawową komórką życia społecznego". Dobra praca, domek na przedmieściach, gromadka dzieci, msza co niedzielę – oto ideał życia społecznego przeciętnego polskiego narodowca. Tymczasem niejaki „Margot" – aktywista prowadzący życie lumpa – jedną radykalną akcją, po której trafił do aresztu, sprawił, że znaczna część dziennikarzy zaczęła pisać o jemu podobnych, używając żeńskich zaimków, a cała Polska pochyliła się nad „problemem osób transpłciowych". Działa tutaj stara, znana każdemu radykałowi zasada, że bagniste centrum ulega silnym wpływom z lewej bądź prawej strony. Nie chodzi tutaj o pochwałę życia jakiejś politycznej cyganerii. Nie jest to także atak na instytucję rodziny. Wszystko sprowadza się do kwestii, czym naprawdę są dla nas wartości, które wykrzykujemy na manifestacjach i co jesteśmy w stanie dla nich poświęcić? Nasi bohaterowie często oddawali życie za idee – podkreślamy z dumą. Po czym, gdy zapał opada, zamykamy się w czterech kątach i cichutko budujemy domowe

ognisko, czyniąc z tego cnotę kardynalną. Nasze osobiste życie zawsze jest najlepszym sprawdzianem naszych haseł, które na poziomie werbalnym są przecież bardzo wzniosłe i radykalne.

Brak autonomicznej ideologii nacjonalistycznej nie zostanie zrekompensowany sprawnością organizacyjną. Można bowiem mieć materialne środki do prowadzenia skutecznej akcji, ale co po tym, skoro nie znamy celu, do którego zmierzamy albo jest on na tyle rozmyty, że co kilka lat kolejna fala energii działaczy idzie jak para w gwizdek? Można być także... skutecznym szkodnikiem. **Sprawność organizacyjna, powiększanie zasobów ludzkich i materialnych są wtórne wobec idei i właściwego rozeznania rzeczywistości społeczno-politycznej. I znowu należy dodać, że nie zamierzamy tu lekceważyć żmudnej, przyziemnej pracy, lecz przypomnieć o właściwej hierarchii priorytetów.** Parcie na profesjonalizację może przyćmić ideę i niejako ją zastąpić – celem samym w sobie staje się wówczas zdobycie kolejnego grantu, zrekrutowanie jeszcze większej liczby osób, zatrudnienie kolejnych osób w organizacji, założenie nowej fundacji czy stowarzyszenia. Może to być działalność sama w sobie bardzo pociągająca, tak jak niegdyś pociągające były marsze ku czci Żołnierzy Wyklętych w Pcimiu Dolnym, na których bez większego wysiłku gromadziły się setki osób. Chodzi o uzyskany natychmiastowy efekt, który przez swoją „namacalność" daje dużą satysfakcję i poczucie ideowego spełnienia. Nie można pozwolić, aby mentalność „profesjonalisty" zastąpiła mentalność „ideowca". Nieustannie musi nam towarzyszyć pytanie: po co to wszystko?

≡ ZAMIAST PODSUMOWANIA

Jeśli uznamy, że współczesnemu ruchowi narodowemu brakuje wyrazistej ideologii, jest ona przesiąknięta epigonizmem bądź co gorsza, jest po prostu wydmuszką, to odpowiedź na klasyczne pytanie „co robić?" wydaje się oczywista. Trzeba tę ideologię wypracować. Ten proces został już w polskim ruchu narodowym zapoczątkowany. Jednak naiwne jest myślenie, że zmiana rzeczywistości polega po prostu na wykreowaniu jakiegoś światopoglądu i przekonaniu do niego odpowiedniej liczby osób przy użyciu wyszukanej argumentacji. Życie społeczne to nie akademicka debata. Nacjonalizm XXI w. musi odpowiadać na wyzwania historii, jakkolwiek pompatycznie to brzmi. Tak zresztą było w przeszłości i – co tu dużo mówić – na tej zasadzie opierają się wszelkie znaczące idee. Samo intersubiektywne przekonanie o tym, że nasz światopogląd jest potrzebny jakiejś większej społeczności, nie jest ostatecznym sprawdzianem. Niemniej jednak zanim nasze idee zweryfikuje sprawdzian historii, trzeba „badać każdy twór ducha stupudowym młotem, bić weń ciężarem, jakim wali w nas los: co nie wytrzyma próby, niech od razu ginie".

Jan Hucuł

O co właściwie nam chodzi? Rozważania nad celami i wyzwaniami nacjonalizmu w XXI w.



Kim jesteśmy i dokąd zmierzamy? Pytania te, dotyczące istoty i celu naszej bytności, należą do najbardziej elementarnych i konstytuujących naszą działalność. Są to pytania egzystencjalne w szerokim rozumieniu – to właśnie przez samoświadomość własnej istoty i odróżnienie się od otoczenia kształtuje się tożsamość, a tym samym istnienie w społecznym odbiorze. Podobnie jak żaden byt nie może istnieć bez nakreślenia jego granic – tego, co go obejmuje i co mieści się poza nim, tak samo żadne środowisko społeczne i polityczne nie może przetrwać bez wyartykułowania i ugruntowania swoich pryncypiów oraz celów odróżniających go na tle społecznej mozaiki. Brak tychże prowadzi do stopniowego rozmycia granic ideowych i organizacyjnych, co w najlepszym przypadku kończy się osłabieniem wewnętrznej spójności, a w najgorszym – stopniowym bytem ideologicznym. Właśnie to spotkało konserwatywną niegdyś centroprawicę na Zachodzie i w coraz większym stopniu dotyczy także jej polskich odpowiedników.

Jaki jest nasz cel? Co chcemy osiągnąć i zrealizować? Pytania te nabierają nowego znaczenia właśnie teraz – w okresie, w którym różne środowiska szeroko pojętej prawicy mogą być zadowolone z własnych sukcesów politycznych: czy to centroprawica dzierżąca drugą kadencję władzy, czy też prawica antysystemowa, osiągająca najlepsze wyniki sondażowe od lat i posiadająca stabilne poparcie, gwarantujące obecność w Sejmie, a być może i w przyszłym rządzie. Pytanie jednak o to, co jest naszym celem, jest również pytaniem o wymiar naszego sukcesu, o moment, w którym możemy powiedzieć, że zwyciężyliśmy. Dookreślenie zwycięstwa, podobnie jak dookreślenie istnienia bytów, możliwe jest przez zaprzeczenie i zarysowanie ich granic – sukces może istnieć jedynie w obliczu dopuszczalnej [illegible], w przeciwnym wypadku, gdyby nie istniała sfera, która nie wchodzi w jego

zakres, nie byłby dającym się wyróżnić pojęciem. Zastanówmy się, czym zatem jest zwycięstwo w obliczu możliwej klęski?

≡ Czym jest zwycięstwo?

Wyjątkowego znaczenia pojęciu zwycięstwa nadały wydarzenia z jesieni 2020 r., które dla wielu były momentem otrzeźwienia – pokerowym „sprawdzam", po którym momentalnie został zweryfikowany budowany od lat blef na temat polskiego społeczeństwa. Nie bez powodu Karol Kaźmierczak na łamach portalu Kresy.pl pisał, że „polski maj '68 nadszedł jesienią", nawiązując do wydarzeń, do których doszło przed laty na Zachodzie. Analogia jest aż nazbyt oczywista – wybuch społecznego niezadowolenia motywowany kwestiami nie materialnymi, lecz czysto światopoglądowymi, ujawnił, jak daleko zaszły skrywane skrzętnie zmiany społeczne. O przełomowości tych wydarzeń można przeczytać również na portalu Nowy Ład w tekście *Przegapiona rewolucja. Symboliczny koniec III RP* z kwietnia 2021 r.

To właśnie jesienne strajki pokazały dobitnie rzeczywistą stawkę w grze o władzę – w kontrze do wspomnianych sukcesów politycznych prawicy momentalnie i niespodziewanie doszło do skruszenia całej dotychczasowej wizji społecznego ładu. Mówiąc słowami Marcina Kędzierskiego – nastąpił rozpad imaginarium. To poczucie możliwej klęski, tak podobnej do scenariusza znanego na Zachodzie, ten mroźny powiew grozy odczuwany na niejednym karku, był jednocześnie najlepszym możliwym dookreśleniem pojęcia zwycięstwa – zwycięstwa, które nie wyraża się jako sukces polityczny, ale jako rząd dusz. Zwycięstwa, które – powiedzmy to wprost – jak na razie coraz bardziej się od nas oddala.

By to uwypuklić, przeprowadźmy prosty eksperyment myślowy *à rebours*. Wyobraźmy sobie nie klęskę, lecz zwycięstwo przedstawione tak, jak je rozumie wielu. W wyniku niespodziewanego zbiegu okoliczności jako środowisko zdobywamy pełnię władzy, nie ma problemu koalicyjnych rozgrywek, sytuacja państwa jest stabilna, a rząd jest akceptowany międzynarodowo. Wszystko jednak dzieje się w warunkach Anno Domini 2021. Co następuje dalej? Większość zapewne odpowie, że w tym momencie zaczyna się proces reform: zmieniamy programy edukacji, zakazujemy propagandy LGBT, przejmujemy telewizję, uwypuklając narodową narrację i zaczynamy prowadzić wielowektorową politykę zagraniczną. Choć wszystkie te rzeczy można by rzeczywiście przeprowadzić, to tak przedstawiona wizja nie zawiera jednego kluczowego wątku: oporu społecznego.

Na szeroko pojętej prawicy przeciętne wyobrażenie o rządzeniu przypomina system znany z gier strategicznych studia Paradox[1] – po dojściu do władzy wydaje się dekrety i przeciąga suwaki w celu dostosowania polityki, a ewentualne bunty tłumi się przemocą. Problem polega jednak na tym, że w rzeczywistości nie ma ani suwaków, ani przycisków, ani też listy dostępnych działań. Wszystkie zaś reformy podlegają społecznej ocenie i jak to często bywa – społecznemu niezadowoleniu, pod wpływem którego dochodzi do ich modyfikacji. Bez uwzględnienia tego

[1] Wydawca takich serii jak *Europa Universalis* czy *Hearts of Iron*.

czynnika władza staje się niesprawna – przepisy wdrażane są wadliwie, po czym nie wykonuje się ich lub wykonuje jedynie fasadowo. Rosnący dysonans między zapisami prawa a poczuciem ich słuszności powoduje narastanie oporu, który ujawnia się w postaci protestów i manifestacji obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Wiele osób może zadać sobie pytanie, czym są manifestacje w obliczu sprawowania władzy. Wszak reformy wprowadza się w Sejmie, a nie na ulicy. Częsta odpowiedź na pytanie „co byś zrobił w obliczu jesiennych protestów?" sprowadza się do krótkiego „pałowałbym". Jak pisał włoski marksista i teoretyk polityczny Antonio Gramsci – przemoc państwa wymaga przyzwolenia, a eskalacja agresji bez przyzwolenia jest typowym przejawem kryzysu władzy, po którym dotychczasowa dominacja przeradza się w panowanie. Ono z kolei wymaga zazwyczaj dalszej przemocy do podtrzymania władzy, a sama władza traci autorytet – w ten sposób realizuje się scenariusz znany m.in. z Białorusi.

Jaki finał wyłania się z przedstawionego scenariusza? Rozwiązania są zasadniczo trzy. Pierwszym jest oczywisty upadek tego typu władzy, który w najlepszym przypadku następuje w momencie kolejnych wyborów – skompromitowane w oczach opinii publicznej stronnictwo przechodzi do opozycji lub całkowicie wypada ze sceny politycznej. Drugim jest przerodzenie się władzy w autorytaryzm, utrzymujący się narzędziami panowania – przemocą, aparatem bezpieczeństwa i masową kontrolą. Trzecim – rozmycie postulatów politycznych i ograniczenie reform pod wpływem społecznej presji.

W tym momencie należy zadać sobie kluczowe pytanie – który z wymienionych scenariuszy należy uznać za zwycięstwo? Jest to pytanie oczywiście retoryczne. W pierwszym przypadku sukces jest nietrwały, po nim możliwe jest wręcz pogorszenie sytuacji w wyniku społecznej kontrreakcji. Drugi scenariusz, nawet jeśli ktokolwiek uznałby go za sukces, to sam w sobie jest absurdalny. Czy naszym celem powinno być czekanie na cud samodzielnej władzy tylko po to, by dzięki niemu wprowadzić autorytaryzm? Nawet jeśli, to czy ten „sukces" byłby trwały? Oczywiście pytania te są celowo prowokacyjne, jednak wiele gorących głów piszących w Internecie wygłasza tego typu tezy. Trzeci z wymienionych scenariuszy byłby oczywistym kapitulanctwem lub wyrazem słabości, choć pewnie i tak scenariuszem realnie wnoszącym najwięcej dobrego ze wszystkich trzech.

Ktoś mógłby zarzucić, że przedstawiona wizja jest celowo pesymistyczna i że przecież wiele rządów trwa dalej mimo społecznego niezadowolenia. Jest to prawdą, jednak rządy te sprawowane są w ramach dominującego paradygmatu demoliberalnego, głęboko zakorzenionego w świadomości większości naszych rodaków, i nie mają na celu dogłębnej zmiany systemu. Pomimo tego ich koniec następuje albo po jednej kadencji bez przeprowadzenia większych zmian, albo też trwają dalej dzięki rozmyciu postulatów, co oznacza realizację pierwszego lub trzeciego z wymienionych scenariuszy.

Jakie płyną z tego wnioski? Nie należy oczywiście twierdzić, że zdobywanie instytucji jest bez znaczenia. Władza polityczna daje wiele narzędzi pozwalających realizować własne cele, samo zwycięstwo polityczne nie jest jednak zwycięstwem, do którego dążymy, lecz potencjalnym narzędziem do jego osiągnięcia. Jeśli naszą klęską będzie realizacja scenariusza liberalizacji światopoglądowej i przyjęcie przez

społeczeństwo ideologii lewicowo-liberalnej, a zwycięstwo polityczne z dużym prawdopodobieństwem nie będzie trwałe, oznacza to, że gra toczy się o inną stawkę. Co zatem nią jest?

Stawką w grze, w której podjęliśmy się rywalizacji, jest wspomniany już rząd dusz. Mówiąc inaczej – naszym celem nie jest zdobycie władzy politycznej, lecz doprowadzenie do sytuacji, w której będziemy sprawowali dominację pomimo nieposiadania tej władzy. Nie walczymy o to, by kontrolować, lecz o to, by nie musieć tego robić. Naszym celem nie jest to, by większość na nas głosowała, lecz to, by większość myślała tak jak my. Trzeba to podkreślić – jedynym realnym wymiarem naszego zwycięstwa może być wyłącznie osiągnięcie hegemonii kulturowej. Inne cele rozważać można tylko w kontekście taktyki.

≡ HEGEMONIA KULTUROWA

Najbardziej znanym teoretykiem, który rozwijał koncepcję hegemonii kulturowej był włoski marksista tworzący w okresie międzywojennym – Antonio Gramsci. Jego demonizowana na prawicy twórczość, wiązana często z tzw. marksizmem kulturowym, powinna być obecnie jedną z głównych inspiracji dla narodowców XXI w. Dlaczego można stawiać tak śmiałą, a dla niektórych być może obrazoburczą tezę? Wynika to z prostej obserwacji – teoria władzy kryjąca się pod pojęciem hegemonii kulturowej po odsianiu czysto marksistowskich naleciałości wydaje się poprawnym opisem mechanizmów sprawowania rządu nad społeczeństwem. Wraz z jej postmodernistycznymi rozwinięciami w postaci m.in. teorii dyskursu dobrze wpasowuje się w strategię przyjętą przez środowiska nowolewicowe – strategię, która, powiedzmy to otwarcie, osiąga realne sukcesy. W tym sensie, w zakresie wyjaśniania praktycznych mechanizmów władzy, socjologia i filozofia osiągnęły większe sukcesy niż politologia i jakkolwiek zabrzmi to prowokacyjnie – należy czytać marksistów i postmodernistów, by lepiej rozumieć świat, w którym żyjemy.

Jednym z kluczowych pojęć nad którymi skupiał się Gramsci, a które powinniśmy omówić, jest społeczeństwo obywatelskie. Współcześnie często ograniczamy jego znacznie do organizacji pozarządowych, takich jak stowarzyszenia i fundacje. W teorii włoskiego marksisty społeczeństwo obywatelskie miało jednak szersze znaczenie – był to cały obszar instytucji znajdujący się pomiędzy państwem a obywatelem. W jego zakres, poza wymienionymi organizacjami, wchodziły także np. Kościół, instytucje edukacyjne, wszelkie grupy nieformalne, media, instytucje kultury i związki zawodowe.

Ważną cechą społeczeństwa obywatelskiego, która może nas interesować, jest fakt, że instytucje wchodzące w jego skład są źródłem ładu normatywnego. Dzięki zjawisku konformizmu wytwarzają one regulacje kulturowe, które choć pozbawione narzędzi przymusu, pozwalają kontrolować działania jednostek poprzez wytwarzanie wspólnych idei, wartości i rytuałów. W ten sposób, w odróżnieniu od państwa działającego w ramach formalnych przepisów i sankcji, społeczeństwo obywatelskie kształtuje przyzwolenie swoich członków przy wykorzystaniu mechanizmów dobrowolnych.

Działając obok państwa, jest ono jednym z kluczowych elementów sankcjonujących i utrwalających hegemonię grup dominujących i dominującej ideologii, lecz w określonych okolicznościach może być również narzędziem oporu wobec nich. Gramsci, omawiając rolę społeczeństwa obywatelskiego, wykorzystywał metaforę wojny pozycyjnej, w której grupy hegemoniczne przejmują kolejne instytucje społeczeństwa obywatelskiego, a te stają się „fortecami" utrwalającymi ich dominację. W przypadku jednak naruszenia stabilności hegemonicznej władzy działa owych fortec mogą ulec odwróceniu, ograniczając wpływ grup dominujących i stanowiąc narzędzie społecznego oporu.

Działanie tego mechanizmu niejednokrotnie widzieliśmy w Polsce, gdzie choćby lekkie naruszenie dominującego, demoliberalnego paradygmatu wiązało się ze zmasowanym atakiem instytucji społeczeństwa obywatelskiego – często różnej maści szemranych fundacji i stowarzyszeń próbujących się wypowiadać w imieniu wszystkich obywateli. Przez pierwsze lata istnienia III RP brak własnych instytucji obywatelskich po stronie prawicowej, może poza instytucjami okołokościelnymi, był jedną z przyczyn permanentnego zdominowania sceny politycznej przez establishment okrągłostołowy. Dopiero poważne naruszenie spójności tej grupy związane z szokiem, jakim była afera Rywina w 2002 r., pozwoliło na przetasowanie sceny politycznej i utworzenie umiarkowanie antysystemowego – pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości. Kto pamięta tamte czasy, ten wie, z jaką siłą ujawnił się wtedy opór społeczeństwa obywatelskiego, który szybko doprowadził do przejęcia władzy przez ugrupowania centrowo-liberalne. Dopiero katastrofa smoleńska i następujące po niej wydarzenia, równolegle z falą patriotycznego odrodzenia wokół Marszu Niepodległości, rozpoczęły proces tworzenia własnych, prawicowych instytucji społeczeństwa obywatelskiego – głównie prasy, mediów internetowych i stowarzyszeń. Były to czynniki, które miały niebagatelne znaczenie w powrocie centroprawicy do władzy. Poprzez społeczeństwo obywatelskie, rozumiane tak jak rozumiał je Gramsci, złamano monopol grup hegemonicznych. Również błędy popełnione przez Donalda Tuska pod koniec jego rządów są dobrą ilustracją gramsciańskiego „odwracania dział". Najlepiej obrazują to głośne słowa Moniki Olejnik: „całe środowisko dziennikarskie jest przeciwko Panu" – wypowiedziane do premiera po wtargnięciu służb do redakcji dziennika „Wprost".

Jakie wnioski można wyciągnąć z powyższego opisu? Społeczeństwo obywatelskie, będąc nośnikiem norm i wartości oraz narzędziem zarówno utwierdzenia hegemonii, jak i budowania wobec niej sprzeciwu, jest kluczowym zasobem w walce o zdefiniowane wcześniej zwycięstwo, czyli utrwalenie własnej hegemonii kulturowej. W tym kontekście niezrozumiała jest występująca czasem na prawicy pogarda do instytucji pozarządowych i samej idei dynamicznego zrzeszania się. Bez ugruntowania swojej pozycji w instytucjach pośredniczących między państwem a jednostkami nasze środowisko nie będzie w stanie skutecznie rywalizować o rząd dusz z instytucjami przejętymi przez nową lewicę. Zwróćmy uwagę, że strategia ta jest przez naszych przeciwników realizowana już od wielu lat. Co by nie mówić, oni również pozostają w opozycji do dominującego paradygmatu demoliberalnego (choć niewątpliwie liczba różnic jest zdecydowanie mniejsza niż w naszym przypadku), budując jednak wytrwale swoje wydawnictwa, koła dyskusyjne,

TOŻSAMOŚCIOWO

stowarzyszenia i fundacje, oddziałują na społeczeństwo i oswajają je z własnymi radykalnymi poglądami. Determinacji rodzimych ideologów i poziomu ich u[illegible]ciowienia nie da się w prosty sposób zbyć częstymi na prawicy argumentami o finansowaniu zza granicy. Choć bez wątpienia polska nowa lewica może liczyć na hojne wsparcie, to jest ono narzędziem, a nie przyczyną jej działań. To właśnie nowa lewica dała nam przykład skuteczności i odpowiedniej strategii prowadzącej do zwycięstwa. Zamiast obruszać się na zasady gry, powinniśmy je zrozumieć i wykorzystać najlepiej, jak się da, na rzecz własnego sukcesu. Powinniśmy budować własne instytucje społeczeństwa obywatelskiego, formalizować stowarzyszenia, zakładać fundacje, zdobywać w tym zakresie kompetencje i pogłębiać wzajemną sieć współpracy, tak by na różnych polach móc oddziaływać na masy społeczne poprzez kulturowe narzędzia dominacji.

Zmiana podejścia do instytucji tworzących gramsciańskie społeczeństwo obywatelskie nie jest jedynie wyzwaniem natury organizacyjnej, lecz również mentalnej. Rozpowszechniona na prawicy postawa indywidualizmu, wyrażająca się w ideologii świętego spokoju, jest w opisywanym kontekście przykładem intelektualnego samoobezwładnienia. Wojna kulturowa, której ważnym narzędziem jest wykorzystywanie naturalnego ludzkiego odruchu konformizmu, nie może być prowadzona skutecznie, jeśli dominującą postawą pozostaje przekonanie o dobrowolności poglądów i stylów życia. Nie da się również urabiać mas, jednocześnie za wzór mając idylliczne wizje spokojnego życia w dworku na wsi. Mówiąc wprost, zarówno klasyczny liberalizm, jak i tradycyjny polski, postszlachecki indywidualizm ze względu na same swoje paradygmaty pozostają bezsilne wobec toczącego się konfliktu społecznego. Pożądany ład normatywny nie jest stanem naturalnym, do którego powrócimy samoczynnie, jeśli tylko zapewnimy spokój. Jest on jednym z wielu możliwych stanów społecznej organizacji, i to nie determinizm historyczny, lecz historyczna determinacja zadecydują, który z nich zostanie zrealizowany.

≡ PRZYZWOLENIE

Dynamiczny rozwój społeczeństwa obywatelskiego w wielu krajach, który nastąpił w XX w., dał masom społecznym nowe narzędzia do przedstawiania ich interesów. Zmieniło to relacje pomiędzy władzą a obywatelami, przekształcając wcześniejsze stosunki panowania opartego na aparacie przymusu w stosunki hegemonicznej dominacji. Dominacja, a co za tym idzie – sama władza, wymaga jednak kluczowego czynnika, którym jest przyzwolenie społeczne. Właśnie do tej kwestii odnosił się przykład przytoczony na początku niniejszego artykułu – władza, aby mogła być sprawowana, musi uzyskać przyzwolenie większości mas społecznych, inaczej może utrzymać się jedynie aparatem przemocy (notabene, którego przedstawiciele sami muszą wyrażać przyzwolenie). Czym jednak są owe masy?

W tradycyjnym gramsciańskim rozumieniu masy wyrażające przyzwolenie lub jego brak i podlegające działaniom hegemonicznym stanowią klasę podporządkowaną – zbiór niesamodzielnych politycznie i zmarginalizowanych jednostek. Cechą charakterystyczną tej grupy jest brak możliwości realizacji celów zgodnie

z własnym interesem, a zamiast tego realizacja celów grupy dominującej. Jednocześnie ze względu na niski poziom świadomości nie zdają sobie one sprawy z własnego podporządkowania i nie znajdują z niego dróg wyjścia. Masy również nie wyrażają własnych ekspresji kulturowych, a przyjmują i dostosowują formy ekspresji podtrzymujące ich podporządkowanie. W pewnych jednak okolicznościach mogą one nabrać podmiotowości – odpowiednio zaktywizowane i nakierowane, stają się aktorem politycznym wyrażającym zbiorową wolę, czego najlepszym przykładem była Wielka Rewolucja Francuska w swoim szczytowym – jakobińskim – stadium, gdy masy pociągnięte oświeceniowymi ideami nabrały niejako zbiorowej woli przebudowy świata i dla tego celu były w stanie dokonać rzeczy zarówno wielkich, jak i okrutnych.

Oczywiście wiele się zmieniło od czasu, gdy Antonio Gramsci tworzył swoje *Zeszyty więzienne*. Opis społeczeństwa XXI w. ma już niewiele wspólnego z zacofanymi rejonami południowych Włoch, do których odnosił się przytaczany marksista. Również przebijający się przez powyższy opis paradygmat marksistowskiej walki klas wydaje się nie przystawać do warunków współczesności. Powszechna edukacja, masowy dostęp do kultury, zwiększona mobilność oraz zmiany strukturalne w gospodarce sprawiły, że pojęcie masy społecznej nabrało nowego, zdecydowanie bardziej skomplikowanego znaczenia. Przede wszystkim doszło do znaczącej heterogenizacji społecznej, która była skutkiem procesów indywidualizacyjnych. Ponadto, współczesne społeczeństwo jest zdecydowanie mniej bezrefleksyjne i bardziej świadome własnych poglądów oraz tworzących je fundamentów. Sprawia to, że ustanowienie trwałej hegemonii staje się dużo trudniejsze, a cały proces uzyskiwania przyzwolenia – bardziej płynny. Nie zmienia to jednak faktu, że w pewnym znaczeniu masy społeczne przetrwały. Nadal cechuje je niższy poziom samoświadomości i decyzyjności od grup dominujących, choć uzyskały skuteczne narzędzia ekspresji własnych potrzeb, a potrzeby te są wyrazem ich samoświadomości.

W tych warunkach przyzwolenie nabiera cech konsensusu, w którym masy, wyrażając zgodę na sprawowanie władzy przez daną grupę, jednocześnie muszą rzeczywiście wierzyć, że władza realizuje ich interes i zaspokaja ich potrzeby. Z perspektywy teorii hegemonii nie należy tego jedynie rozumieć jako aktu demokratycznego wyboru. Elementem przyzwolenia, być może nawet kluczowym, są również kwestie etyczne i światopoglądowe. Masy, aprobując politykę danej grupy hegemonicznej, zgadzają się jednocześnie na określone wartości i idee. Tym samym podzielają nie tylko cele, lecz także wartości i wyobrażenia na temat kluczowych czynników tworzących ład społeczny. Tworzy to wspólne punkty odniesienia i wspólny dopuszczalny obszar interpretacji, wypychając poza niego poglądy mogące podważać kulturową legitymację władzy. Tym samym z perspektywy hegemonicznej przyzwolenie mas dokonuje również ich (pozornej) unifikacji, utrudniając zaistnienie oporu.

W oczywisty sposób narzędziem urabiania przyzwolenia mas są opisane wcześniej instytucje społeczeństwa obywatelskiego. To właśnie one poprzez kreowanie ładu normatywnego wytwarzają jednocześnie przyzwolenie na określone wartości, a tym samym dookreślają granice wspomnianego obszaru interpretacji. Ponownie tłumaczy to znaczenie tych instytucji w teorii hegemonii.

Współcześnie, wraz z heterogenizacją społeczeństwa postindustrialnego, coraz trudniejsze jest osiągnięcie przyzwolenia zupełnego i trwałego. Samo przyzwolenie może przybierać różną intensywność – od spontanicznej ekspresji poparcia dla władzy po zwykłą bierność względem działań władz. Heterogeniczne społeczeństwo, szarpane sprzecznymi interesami, coraz rzadziej wyraża tę spontaniczną formę przyzwolenia, a coraz częściej po prostu akceptuje tymczasowo czyjąś władzę. Z naszej perspektywy stanowi to dodatkowe wyzwanie. Jak zostało wspomniane wcześniej – stawką, o którą walczymy w tej grze, nie jest po prostu zdobycie władzy, lecz zdobycie rządu dusz. Naszym celem nie jest samo przyzwolenie, lecz hegemonia w pełnym rozumieniu. Z tej perspektywy kontrola instytucji społeczeństwa obywatelskiego w sposób pozwalający na dyktowanie i utrwalanie ładu normatywnego jest jeszcze istotniejsza, gdyż odpowiednie zawężenie dopuszczalnego obszaru interpretacji, jeśli będzie skuteczne, pozwoli wypchnąć lewicowy sposób interpretacji poza granice dopuszczalnych ram. Nie daje to w żaden sposób trwałej gwarancji np. na zapewnienie długich i samodzielnych rządów przez przedstawicielstwo środowiska narodowego, zapewnia jednak, że dopuszczalny zakres społecznego wyboru nie wyjdzie poza określone przez nas ramy.

W ostatnich latach coś takiego obserwujemy m.in. na Węgrzech, gdzie *de facto* centroprawicowa partia, jaką jest Fidesz, realizuje wiele elementów z kanonu idei nacjonalistycznej. Stopniową zmianę dyskursu obserwujemy również we Francji, gdzie nawet przedstawiciele liberalnych elit tego kraju zaczynają mówić językiem Marine Le Pen. Oczywiście można dyskutować, na ile jest to szczere i trwałe, na ile wynika z wyrachowania politycznego – na pewno jednak nie byłoby to możliwe, gdyby nie zaszła istotna zmiana w samym społeczeństwie węgierskim i francuskim. Podobnie może się okazać, że żadna partia narodowa nigdy nie będzie sprawowała władzy politycznej, jeśli jednak uda się osiągnąć chociaż namiastkę hegemonii kulturowej, to pomimo braku przedstawicielstwa realizowane będą podstawowe cele polityki narodowej – i to będzie naszym prawdziwym zwycięstwem, do którego dążymy.

≡ ZDROWY ROZSĄDEK I WIEDZA POTOCZNA

Kluczowe pytanie brzmi jednak: w jaki sposób dokonuje się proces społecznego przyzwolenia na poziomie jednostkowym, czyli co sprawia, że zróżnicowane masy zgadzają się na politykę i działania grup hegemonicznych? W tym kontekście teoria hegemonii daje szczególne miejsce pojęciu zdrowego rozsądku.

Stanowi on zbiór głęboko zinternalizowanej i niepodważalnej wiedzy o świecie oraz zestaw społecznych punktów odniesienia. Podzielanie tej samej wiedzy potocznej, a co za tym idzie, wytwarzanie podobnego zdrowego rozsądku, umożliwia gładką egzystencję społeczną. To na tym poziomie odbywa się większość interakcji międzyludzkich, rozumienie wspólnego kodu kulturowego, taka sama interpretacja znaków i symboli czy jednolite sposoby postępowania w określonych sytuacjach. Wiedza potoczna i zdrowy rozsądek konstytuują sferę potoczności, a więc także – codzienności. Bez niej nie moglibyśmy wchodzić w społeczne interakcje.

Budowanie przyzwolenia odbywa się w dużej mierze właśnie poprzez kształtowanie tak rozumianego zdrowego rozsądku. Dzięki temu określone idee, poglądy i działania zaczynają być odbierane jako obiektywne, gdyż poprzez wzajemne odwołania tworzą spójne uniwersum (imaginarium) człowieka. Wejście danych poglądów w sferę zdroworozsądkowej „niepowątpiewalności" jednocześnie nadaje im cechy prawdy obiektywnej (choć jedynie w jednostkowym, subiektywnym rozumieniu). To właśnie przenikanie naszych idei w sferę zdrowego rozsądku i wiedzy powszechnej jest warunkiem osiągnięcia hegemonii kulturowej. Tego typu przenikanie umożliwiają instytucje społeczeństwa obywatelskiego poprzez swoją zdolność do inicjowania ludzkich interakcji i na ich bazie tworzenia ładu normatywnego.

Warto przy tej okazji zauważyć, że proces przenikania pewnych idei w sferę zdrowego rozsądku wykorzystuje dwie naturalne ludzkie postawy: postawę konformizmu i potrzebę wewnętrznej spójności. W pierwszym przypadku mamy do czynienia ze zjawiskiem, które wymusza na nas, byśmy zachowywali się tak jak inni. Choć odstając od przyjętych norm, najczęściej nie musimy się liczyć z żadną formalną sankcją, to czujemy związany z tym dyskomfort – myślimy o tym, co inni o nas pomyślą, czujemy obcy wzrok na naszych plecach czy odczuwamy alienację społeczną. Tego typu napięcie jest nieformalną sankcją, którą najczęściej sami na siebie podświadomie nakładamy, a która w skrajnych przypadkach może nawet zagrozić naszemu zdrowiu psychicznemu. Choć lubimy krytykować postawę konformistyczną, to należy zauważyć, że wytworzenie tej cechy na przestrzeni wieków dało człowiekowi możliwość tworzenia społeczności wykraczających poza krąg rodziny, a więc było warunkiem wytworzenia się cywilizacji.

Instytucje społeczeństwa obywatelskiego wykorzystują ten konformistyczny mechanizm do tworzenia ładu normatywnego. Na poziomie mikro, wchodząc w interakcje z jednostkami i organizując je w różnej maści grupy i stowarzyszenia, sprawiają, że wewnątrz tych grup wytwarza się wspólny kod pojęciowy. Na pewno każdy z nas był częścią jakiejś organizacji, w której wytwarzały się wspólne rytuały lub wspólne poczucie humoru, czy w których pewne zachowania były niedopuszczalne, choć nienaganne z ogólnoludzkiego punktu widzenia. Nowe osoby, próbując wejść w tego typu grupy, muszą od podstaw uczyć się wszystkich przyjętych tam zachowań i dopiero, gdy to nastąpi, są traktowane jako „swoi".

Na poziomie makro z kolei postawa konformistyczna jest wykorzystywana wraz z poczuciem zdroworozsądkowego rozumienia prawdy obiektywnej. Przykładowo: jeśli tyle różnych organizacji i znanych postaci mówi nam, że wybory są świętem demokracji, a głosowanie obywatelskim obowiązkiem, to zdroworozsądkowo rzecz biorąc – nie mogą się oni mylić. Podobnie mówią nam szkoła, znajomi i influencerki na Instagramie. Jeśli zatem „wszyscy zdroworozsądkowi ludzie" tak uważają, to oznacza, że nie wypada wygłaszać innej opinii. Nie chodzi tutaj oczywiście o podważanie istotności procesu wyborczego w reżimach demokratycznych, lecz o zwrócenie uwagi, że wszystkie te instytucje społeczeństwa obywatelskiego (a można to powiedzieć również o wspomnianych influencerkach, które w XXI w. stanowią element szeroko pojętych mediów) nie tylko oddziałują na nas, lecz także na siebie nawzajem, utwierdzając się w posiadanych poglądach i konieczności ich wyrażania. Jest to jedna z przyczyn, dla których tak wiele znanych postaci

lubi się wypowiadać publicznie na tematy, o których nie ma pojęcia, lecz które są w danym momencie dyskutowane. Jest to również powód, dla którego hegemonia wymaga przejmowania jak największej liczby instytucji społeczeństwa obywatelskiego i ich wzajemnego wchodzenia ze sobą w interakcje. Właśnie w ten sposób poprzez naturalny konformizm internalizuje się określone poglądy, wytwarzając poczucie ich wszechobecności.

Druga wspomniana postawa, czyli potrzeba wewnętrznej spójności, jest swego rodzaju ogranicznikiem postawy konformistycznej. Każde nowe idee, zachowania i rytuały, które trafiają do świadomości jednostek, są oceniane z perspektywy zdroworozsądkowej, ta jednak została wytworzona na podstawie wcześniejszego bagażu doświadczeń. Jeśli więc promujemy idee, które są kategorycznie sprzeczne z dotychczasową wiedzą poszczególnych osób, to zapatrywania te będą odrzucane jako irracjonalne lub nieprawdziwe. Oczywiście im mniej odniesień do poszczególnych poglądów znajduje się w jednostkowej świadomości, tym wątlejsze podstawy będzie miał mechanizm ich akceptacji lub odrzucenia. Przykładowo, gdy słuchamy w telewizji dyskusji z mikrobiologiem na temat jakiegoś nowego patogenu, to w obszarze wiedzy potocznej większość z nas ma niewiele informacji z tego zakresu. Proces akceptacji lub odrzucenia głoszonych tez bazuje więc na wyglądzie, ubiorze i sposobie mówienia rzeczonego eksperta oraz na naszej wierze, że osoba z tytułem naukowym wie lepiej niż my. W skrajnych przypadkach oczywiście decydować może to, że „mamy znajomego, który ma znajomego, który podobno to przeszedł i on uważa, że jest inaczej, niż mówi mądra głowa w telewizji". W obu przypadkach jest to jednak nadal poszukiwanie ekwiwalencji między wiedzą nową a zastaną.

Z perspektywy naszych ideowych celów postawa wewnętrznej spójności wymusza na nas, aby w promocji pewnych nowych idei wykorzystywać wiedzę powszechną jako argument w dyskusji oraz by ją odpowiednio dawkować. Nie bez powodu od lat mówi się, że nowa lewica wykorzystuje tzw. strategię małych kroczków do promowania swojej agendy politycznej – wynika to wprost ze zrozumienia opisywanej postawy wewnętrznej spójności. Przykładowo, aby doprowadzić do zawierania „małżeństw" homoseksualnych i adopcji dzieci przez te pary, zaczyna od haseł tolerancji i argumentacji w stylu: „nie trzeba się z tym zgadzać, ale przecież nie trzeba też dyskryminować ludzi", „oni się tacy urodzili, nic z tym nie zrobią" lub „czy to ważne, co robią w domu?". Tego typu argumenty wykorzystują „wiedzę potoczną" na temat tego, że każdy z nas ma swoje indywidualne zachowania i że sami nie chcielibyśmy, aby ktoś wtrącał się w nasze życie oraz że pewna egalitarność w podejściu do ludzi jest traktowana jako moralna. W kolejnym kroku po tolerowaniu zaczyna się akceptacja, gdyż w końcu: „to może być twój sąsiad", „w sumie to jest wiele takich osób, tylko bały się ujawniać" lub „co byś zrobił, gdyby to był twój syn?". Droga od tolerancji do akceptacji jest bardzo krótka, bo gdy już jakaś postawa staje się nam obojętna, to nietrudno jest ją zaakceptować jako element normy. Kolejnym krokiem są oczywiście związki partnerskie i słynne: „oni chcą się tylko odwiedzać w szpitalach" oraz „skoro i tak razem mieszkają, to lepiej to sformalizować". Te postawy odwołują się oczywiście do potocznej wiedzy na temat budowy relacji między dwojgiem dorosłych ludzi – jeśli już zaakceptowaliśmy, że homoseksualiści są tacy sami jak my i przestało nam przeszkadzać ich sąsiedztwo

to przecież gdy dwoje dorosłych ludzi mieszka ze sobą, lepiej by ten związek był jakkolwiek ujęty w ramy prawne.

Nie bez powodu, zgodnie z wiedzą potoczną, konkubinaty kojarzą się z patologią i przemocą, a tego nikt by nie chciał. Od związków partnerskich do małżeństw droga jest prosta, tłumaczy się ją zaś najczęściej zwykłą zmianą nazwy tej instytucji społecznej. Mechanizm zdroworozsądkowy opiera się na przekonaniu, że skoro w związku partnerskim te osoby mogą prawie wszystko co w małżeństwie, to po co nazywać to inaczej? Z grubsza podobnie argumentował brytyjski premier David Cameron, który namawiając do legalizacji tego typu związków, mówił, że „jest wielkim zwolennikiem małżeństwa w ogóle i nie chce, aby geje byli wyłączeni z tej wspaniałej instytucji". Ostatnim krokiem w agendzie jest oczywiście adopcja dzieci. Jeśli dwóch dorosłych mężczyzn może być uważanych za małżeństwo, a ich zachowanie budzi akceptację, to właściwie dlaczego nie mają mieć takich samych „praw" jak inni? W ten sposób metodą małych kroczków, przez stopniową modyfikację wiedzy powszechnej o świecie i stosowanie jej jako nowego punktu odniesienia w celu wpływania na zdrowy rozsądek, wdraża się określoną ideologię. Co istotne, dzieje się to poza poziomem jednostkowej świadomości. Osoby, które na pewnym etapie stają się zwolennikami związków homoseksualnych, najczęściej kiedyś były ich przeciwnikami, lecz ten fakt jest wypierany z ich świadomości. Tego typu wyparcie jest również metodą zachowania wewnętrznej spójności. Gdy się o tym przypomina, to zazwyczaj twierdzą, że „czasy się zmieniają", co przecież nie jest argumentem racjonalistycznym, lecz czysto konformistycznym.

Opisany na powyższym przykładzie mechanizm „małych kroczków" jest mechanizmem, który musimy nie tylko rozumieć, lecz także potrafić zastosować – dopiero wtedy zaczniemy walczyć o hegemonię kulturową przy użyciu tej samej broni co nasi przeciwnicy. Warto podkreślić, że nie chodzi tu o jakiś makiawelizm czy wyrachowanie, lecz o zrozumienie mechanizmów społecznych. Jeśli działają one tak, jak zostało to opisane, a przykłady z dokonań naszych oponentów wydają się to udowadniać, to ich rozumienie i stosowanie jest kwestią analizowaną w kategoriach skuteczności, a nie moralności. Kwestią moralności mogą być co najwyżej poszczególne działania w ramach walki o hegemonię, a na pewno jest nią cel głębokiej przebudowy społecznej opartej na zasadach narodowo-katolickich, który – wierzymy – jest moralnie słuszny i ufundowany na prawdzie.

≡ Intelektualiści i infrastruktura ideologiczna

Jak zostało opisane wcześniej, współczesne masy społeczne stanowią przedmiot procesów hegemonicznych, lecz jednocześnie nie zdają sobie sprawy z natury tych procesów, traktując zastaną rzeczywistość społeczną jako w pełni obiektywną. Ponieważ nie są one świadome natury zachodzących zmian, to ich udział w całym procesie jest również nieświadomy, a mimo tego działania służące podtrzymywaniu lub zwalczaniu określonej hegemonii wykonują całkowicie świadomie i nierzadko z determinacją. Wynika to z faktu, że pojęcie mas coraz częściej przeplata się z pojęciem społeczeństwa obywatelskiego w związku ze wzrostem partycypacji

politycznej, społecznej i kulturowej. Co jednak bardziej istotne, masy społeczeństwa XXI w. po odpowiednim nakierowaniu mogą cechować się żywiołowością i objawiać zbiorową wolę przez protesty, manifestacje, wyrazy obywatelskiego nieposłuszeństwa czy również rewolucje. Są więc w stanie wyrażać żywiołowe przyzwolenie na władzę lub żywiołowy opór względem niej, co ma niebagatelne znaczenie w kontekście budowy hegemonicznej dominacji i wygrywania przyzwolenia.

Przykładem takiego masowego pobudzenia w ostatnim czasie były wspominane już strajki z jesieni 2020 r. Jest to przykład o tyle dobry, że prezentuje nie tylko sposób działania mas, lecz również element kierowniczy. Każda żywiołowa reakcja społeczna, aby mogła osiągnąć jakiekolwiek cele, musi posiadać właśnie ową warstwę kierowniczą. Nie chodzi tu o komitet stojący na czele strajków, lecz o grupę tworzącą podwaliny do jego zaistnienia na długo przed samym wydarzeniem – mowa więc o intelektualistach i ideologach.

W teorii hegemonii intelektualiści, obok instytucji społeczeństwa obywatelskiego, stanowią kluczowy zasób w walce o hegemonię. Sam Gramsci dzieli ich na dwie grupy: intelektualistów tradycyjnych i organicznych. Ci pierwsi mieli stanowić grupę wyalienowaną od problemów społecznych, czystych estetów duchowych tworzących dla samego tworzenia. Współcześnie moglibyśmy powiedzieć, że mieści się tu spora część kadry akademickiej, elit intelektualnych, niezależnych filozofów, twórców, dziennikarzy, pisarzy, filmowców i artystów, ale też niezaangażowanych politycznie ekspertów i komentatorów w różnych dziedzinach. Ich szczególna, zdystansowana pozycja nadaje im status osób obiektywnych, a tym samym mogących swobodnie wygłaszać sądy o charakterze wartościującym bez narażania się na krytykę. W warunkach hegemonii intelektualiści tradycyjni powielają przekaz grup dominujących, utwierdzając masy w głoszonych przekonaniach. Tym samym są oni istotnym elementem utrwalania władzy hegemonicznej. Pozyskanie intelektualistów tradycyjnych ułatwia wygrywanie przyzwolenia mas.

W przeciwieństwie do nich intelektualiści organiczni są ściśle związani z poszczególnymi grupami społecznymi i ideowymi. Stanowią rodzaj personelu eksperckiego i służą do osiągania celów stricte ideologicznych. Oznacza to, że reprezentują interesy danej grupy, formułują i spajają jej światopogląd, mają dominujący głos w grupowej interpretacji rzeczywistości i dbają o jej rozwój intelektualny, kulturowy oraz ideowy. Bez wytworzenia własnej grupy intelektualistów organicznych nie jest możliwa żadna zmiana społeczna. Intelektualiści są zatem nie tylko zasobem istotnym, lecz wręcz kluczowym dla ustanowienia hegemonii kulturowej. To oni są grupą oddziałującą na masy, kierującą instytucjami społeczeństwa obywatelskiego, wyznaczającą cele i narzucającą zdroworozsądkowe interpretacje, które stają się elementem wiedzy powszechnej. Bez wytworzenia własnej grupy intelektualistów i ich wytrwałej, twórczej pracy jako środowisko nie mamy szans na podjęcie równej walki z nową lewicą. Konieczne jest nie tylko doprecyzowanie celów naszych działań, przedstawienie pryncypiów ideowych, które będą elementem nowej hegemonii, lecz także stworzenie alternatywnej interpretacji świata, stanowiącej odpowiedź na współczesny postmodernizm, postmarksizm i liberalizm.

Praca intelektualistów, w przeciwieństwie do pracy polityków czy działaczy społecznych, charakteryzuje się znacznym odroczeniem w czasie jej efektów.

W niektórych przypadkach może ono trwać nawet 30–50 lat i taka mniej więcej powinna być perspektywa, w której musimy myśleć o naszym zwycięstwie. Na pierwszy rzut oka może brzmieć to szaleńczo – po tylu latach wielu z nas, z różnych przyczyn losowych, może nawet już nie żyć. Nie byłby to wcale odosobniony w dziejach przypadek.

By zrozumieć znaczenie intelektualistów, spójrzmy przez moment na doświadczenia historyczne. Nie byłoby Wielkiej Rewolucji Francuskiej, gdyby nie lata pracy intelektualistów okresu oświecenia – Voltaire'a, Monteskiusza czy Rousseau. Sama rewolucja była zwieńczeniem ich wytrwałej twórczości, choć żaden z nich jej nie dożył. Pomimo tego, że nie byli oni przywódcami politycznymi, to stworzone przez nich koncepcje wdrażali później m.in. Robespierre, Danton, Marat czy w końcu sam Napoleon Bonaparte. Podobnie, nie doszłoby do rewolucji bolszewickiej w 1917 r., gdyby nie wytrwała praca intelektualna m.in. Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, tworzących pół wieku wcześniej swój *Manifest komunistyczny* i organizujących nowy ruch polityczny, który zawładnął wyobraźnią mas. Idąc dalej, nie doszłoby do rewolucji nazistowskiej, gdyby nie poprzedzający ją XIX-wieczny ruch volkistów i szerzące się w tym okresie idee rasizmu. W końcu, współczesny postmodernizm, którego – jak się wydaje – szczytową fazę właśnie obserwujemy, nie mógłby zadomowić się w naszej codzienności, gdyby nie twórczość takich postaci, jak Foucault, Barthes, Derrida, Bauman, Mouffe czy Laclau. Choć większość głównych koncepcji tego nurtu filozoficznego powstawała między końcem lat 60. a początkiem lat 90., to praktyczne skutki w postaci głębokich przemian społecznych widoczne są właśnie dzisiaj – w epoce masowej dekonstrukcji.

Wspomniane jesienne strajki są późną konsekwencją tych zmian, które w Polsce z przyczyn historycznych zachodzą z dużym opóźnieniem. Jednak także i u nas szczególną rolę we wspomnianym procesie odgrywają intelektualiści. Chociaż ich rola nie skupia się na tworzeniu i rozbudowywaniu postmodernistycznych koncepcji, to są oni niejako pasem transmisyjnym tych idei na polski grunt. Stanowią rolę tłumaczy przekładających ugruntowany na Zachodzie sposób myślenia na polską mentalność. Szczególną rolę w tym procesie odegrało środowisko skupione wokół „Krytyki Politycznej" i stowarzyszonych z nią fundacji oraz stowarzyszeń, ale też grupy zaangażowanych politycznie wykładowców akademickich z różnej maści katedr socjologii i filozofii, którzy pragnęli płynąć w głównym nurcie światowego dyskursu akademickiego i wedle tego wzorca zmieniać świat.

Takie rozumienie intelektualistów rodzi naturalne skojarzenie z inną, bliską im grupą – ideologami. Nie jest to przypadek. Ideologia, choć w potocznym rozumieniu ma wydźwięk pejoratywny i jest rozumiana jako narzędzie oszukiwania mas, to posiada również swoje istotniejsze, pozytywne znaczenie. Jest ona po prostu systemem interpretacyjnym, więc jest ściśle powiązana z pojęciem zdrowego rozsądku i wiedzy powszechnej, choć definicyjnie ma bardziej usystematyzowany charakter. Zdecydowana większość ludzi spotykanych na ulicy wyznaje jakąś ideologię, mimo że często nie jest tego świadoma (współcześnie szczególnie rozpowszechniona jest ideologia demoliberalna). Granica między intelektualistami organicznymi a ideologami jest rozmyta i z perspektywy teorii hegemonii – drugorzędna. To, co istotne, to fakt, że hegemonia musi czynnie i nieustająco wpływać na opinię publiczną,

kształtując określone postawy i światopogląd. Z tego też powodu każda hegemonia potrzebuje ideologii, a co za tym idzie – ideologów.

Aby mogli oni działać, niezbędna jest odpowiednia infrastruktura ideologiczna, pozwalająca na rozprzestrzenianie określonych komunikatów i narracji wśród mas. Kiedyś infrastruktura ta sprowadzała się do książek, prasy drukowanej i bibliotek, współcześnie wachlarz ten jest zdecydowanie szerszy, a kluczową rolę odgrywają szeroko pojęte media. To właśnie one są głównym nośnikiem ideologii pozwalającym na jej zaszczepienie wśród mas. Odgrywając rolę obiektywnych źródeł informacji, zapraszając ekspertów i wielokrotnie powielając swój przekaz, oddziałują na społeczny zdrowy rozsądek i kształtują wiedzę powszechną o świecie. Jeszcze do niedawna prym wiodła tu telewizja, jednak rozwój Internetu stał się jednocześnie szansą i ryzykiem w zakresie tworzenia alternatywnych narracji i dostępu do zbiorowej świadomości przez grupy kontestujące zastaną hegemonię. Szansą, gdyż ułatwia wymianę poglądów i ujawnia społeczną heterogeniczność, ryzykiem, gdyż wbrew nadziejom tworzy bańki informacyjne i poprzez kontrolę głównych, platformowych węzłów komunikacji pozwala na manipulację w skali dotychczas niespotykanej. Nie ma jednak wątpliwości, że tworzenie i przejmowanie mediów oraz wykorzystywanie dostępnych platform komunikacyjnych jest kolejnym ważnym elementem strategii hegemonicznej, w który, jako środowisko, musimy się aktywnie zaangażować. Już w 2006 r. pisał o tym w słynnym tekście *Dywersja w świecie popkultury* Krzysztof Bosak.

Oprócz mediów szczególnym elementem infrastruktury ideologicznej jest szkolnictwo. Oddziałując na obywateli od samej młodości, czyli od momentu, gdy świadomość i krytyczne myślenie są jeszcze nieukształtowane, buduje jednostkowe wyobrażenie o świecie i jest głównym źródłem kształtowania wiedzy powszechnej. Szkolnictwo jest również istotnym elementem utwierdzania dominacji grup hegemonicznych, gdyż siłą rzeczy znajduje się pod kontrolą władzy politycznej, którą najczęściej sprawują właśnie te grupy. Ponieważ jednak w reżimach demokratycznych może się zdarzyć, że okresowo władzę polityczną przejmują ugrupowania przynajmniej częściowo kontestujące zastaną hegemonię, to wbrew krytyce z początku niniejszego artykułu należy przyznać, że sama walka o władzę polityczną ma również sens w kontekście zdefiniowanego przez nas zwycięstwa. Umożliwia ona przynajmniej chwilowe przejęcie części infrastruktury ideologicznej, do której poza wspomnianym szkolnictwem należy zaliczyć m.in. media publiczne, instytuty filmowe oraz państwowe fundusze i wydarzenia kulturalne. To właśnie powinien być nasz cel w przypadku ewentualnego przejęcia władzy i należy pamiętać, że nie jest to cel samoistny. Posiadanie władzy ma sens tak długo, jak pozwala na budowanie i utrwalanie własnej hegemonii, bez tego pozostaje zbędnym marnotrawieniem czasu i zasobów.

≡ PODSUMOWANIE

Jak zostało wskazane w niniejszym artykule, XXI w., w którym przyszło nam żyć, wymaga od nas zmiany myślenia o naszych celach i przedefiniowania pojęcia zwycięstwa. Wbrew utrwalonym przez lata poglądom w grze, w której

uczestniczymy, stawką nie jest zdobycie i utrzymanie władzy politycznej, lecz osiągnięcie hegemonii kulturowej. Wyzwanie to jest dużo trudniejsze, lecz jako jedyne daje szanse na utrwalenie pożądanego przez nas porządku społecznego. Zmiana sposobu myślenia o celach wiąże się z ponownym przemyśleniem naszej strategii i przeproszeniem się z takimi zagadnieniami, jak społeczeństwo obywatelskie, rola intelektualistów, zdobywanie społecznego przyzwolenia czy działalność w obszarze mediów i kultury.

Mamy cel i dla jego osiągnięcia jesteśmy gotowi na poświęcenia. Choć świat, w którym przyszło nam żyć i zasady nim rządzące nieraz budzą nasze obrzydzenie, to zadanie, które przyszło nam zrealizować, narzuca nam wyzwania, których gotowi jesteśmy się podjąć. Rozumiemy, że wybór, którego dokonujemy, nie jest odruchem chwili, lecz wymogiem dziejów.

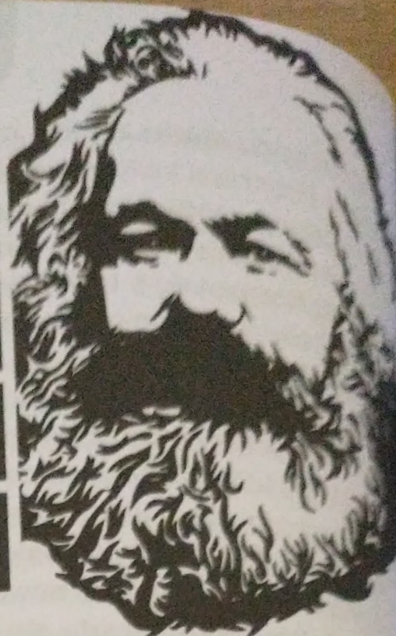
Polska wymaga od nas nowoczesności, a my jesteśmy na nią gotowi. Jak pisał Roman Dmowski przeszło sto lat temu: „Trzeba świat znać i rozumieć, a życie samemu urabiać według własnych wymagań. Świat wtedy nie będzie tak brzydki, a życie na nim tak złe, jak to nam się często zdaje. Jest ono tylko twarde dla zniewieściałych próżniaków i bezlitosne dla nierozumiejących ducha czasu". Wymóg, który sobie stawiamy, to zrozumienie czasów, w których przyszło nam żyć, i podjęcie walki o ich zmianę. Kiedy jest to konieczne, gotowi jesteśmy czerpać z doświadczeń naszych przeciwników, tak by miecz skierowany przeciwko nam, stał się naszym orężem.

Czas zrozumieć, że każdy z nas jest węzłem w skomplikowanej sieci powiązań, a trwałość tego węzła i liczba przeplatających się przezeń interesów oraz oddziaływań będzie w swojej masie decydowała o rezultacie naszych działań. Punktem, do którego dążymy, jest to, by ta sieć stała się również narzuconą społeczeństwu siatką pojęciową, która będzie określała granice interpretacyjne otaczającego nas świata. Nie walczymy o to, by rządzić, lecz o to, by nasze myśli i cele stały się myślami i celami naszej epoki.

Pisząc niniejszy artykuł, autor w wielu miejscach inspirował się opracowaniem naukowym autorstwa Michała Wróblewskiego pt. Hegemonia i władza. Filozofia polityczna Antonia Gramsciego i jego współczesne kontynuacje. *Ze względu na konieczność częstych odwołań oraz modyfikacje i reinterpretacje wielu myśli wspomnianego autora, pominięto cytowania. Zainteresowanych tematem hegemonii kulturowej odsyłam do oryginału.*

Krzysztof Arton

Myśl społeczno-polityczna Karola Marksa w interpretacji Erica Voegelina[1]



Truizmem jest stwierdzenie o nieprzystawalności poglądów wyznawanych przez Erica Voegelina do dominujących prądów ideowych jego czasów. Upatrując sensu filozofii w dążeniu do „absolutnej doskonałości bytu", nie mógł on przecież obojętnie spoglądać na samozatrucie społeczeństw, którego źródło dostrzegał w kolejnych błędach intelektualnych pogrążających Zachód od ponad siedmiuset lat[2]. Receptę na destrukcyjny wpływ ideologii autor *Nowej nauki polityki* widział w otwarciu się duszy na transcendentnego wobec niej Boga, a więc w podejściu tak zasadniczo eksponowanym zarówno przez klasyczną filozofię grecką, jak i tradycję judaistyczną oraz chrześcijańską. Stąd próby stworzenia społeczeństwa na nowo – w oderwaniu od pytania o boskie źródło – Voegelin łączył z potencjalnymi katastrofami i intelektualną fantazją, których jedną z najwymowniejszych manifestacji okazał się marksizm. O wyjątkowości niemieckiego myśliciela jako badacza zapoczątkowanej przez Karola Marksa tradycji intelektualnej świadczy dostrzeżenie w niej symboliki chrześcijańskiej – wulgarnej i zdeformowanej, gdyż oderwanej od transcendencji – a także elementów właściwych gnostycyzmowi. To właśnie ten obszar refleksji Voegelina stanowić będzie przedmiot analizy przeprowadzonej w niniejszym studium.

U źródeł filozoficznych poszukiwań Voegelina odnajdujemy wyrażone już wcześniej przez Carla Schmitta przekonanie o antropologicznym charakterze wszelkich koncepcji społeczno-politycznych[3]. Za kwestię prymarną wobec rozważań

---

[1] W niniejszym tekście pod pojęciem marksizmu rozumieć będziemy credo tej ideologii, a więc poglądy wyłożone przez Karola Marksa i Fryderyka Engelsa.

[2] Za J. Bartyzel, *Wielkość i problematyczność Erica Voegelina*, https://teologiapolityczna.pl/prof-jacek-bartyzel-wielkosc-i-problematycznosc-erica-voegelina-1 (dostęp 17.09.2019).

[3] Więcej na ten temat zob. C. Schmitt, *Pojęcie polityczności*, [w:] Tegoż, *Teologia polityczna i inne pisma*, Kraków 2000.



o polityce uznaje on bowiem ludzką duszę. To właśnie stan indywidualnych psyche, a nie ustrój polityczny czy sytuacja gospodarcza, stanowi czynnik rozstrzygający o sposobie bycia danego społeczeństwa. Innymi słowy: zdaniem Voegelina porządek polityczny jest wyrastającym z porządku ludzkiej duszy „makroantroposem"[4]. Zapytajmy zatem następująco – jaka jest kondycja *psyche* Karola Marksa?

≡ Marksa krytyka religii

Poszukiwania odpowiedzi na to pytanie należy rozpatrywać w szerszym kontekście ludzkiej egzystencji, który przez autora *Porządku i historii* zostaje utożsamiony z „pierwotną wspólnotą istnienia"[5]. Być może wystawiając siebie na zarzut symplifikacji, dla potrzeb niniejszego tekstu ograniczmy naszą uwagę wyłącznie do relacji pomiędzy dwoma z czterech elementów tej struktury: zależności człowieka od Boga. Aby ukazać jej sens, zacznijmy od charakterystyki ludzkiej egzystencji[6]. Spowijająca ludzki żywot aura tajemniczości sprawia, że jawi się on niczym spektakl, w którym występują aktorzy nieposiadający żadnej wiedzy na temat odgrywanej przez siebie roli. Sens egzystencji ujawnia się dopiero wraz z zamanifestowaniem świadomości istnienia tego, co przekraczające człowieka. Wkroczenie transcendencji w dotychczas przemijającą i opartą na nietrwałym fundamencie ludzką egzystencję sprawia, że zostaje ona „odkupiona na wieczność"[7]. Kwestią dla nas najistotniejszą pozostaje jednak odkrycie w ramach tego procesu wzorca porządku, swoistej miary, podług której dokonuje się oceny ludzkiej *psyche*. A zatem – zestrajając się z Bogiem, dusza wprowadza ład w samą siebie, co pozwala jej „żyć w zgodzie z prawdą swojej egzystencji"[8]. W świetle tych rozważań postawmy teraz diagnozę duszy Marksa. Uwzględniwszy odrzucenie przez teoretyka komunizmu jakiegokolwiek wzorca porządku wykraczającego poza człowieka, jego duszę należy określić jako znajdującą się w stanie permanentnego nieładu. Ucieczka przed Bogiem wprowadza jego *psyche* w stan chaosu, który w lekarskim żargonie autora *Nowej nauki polityki* jawi się jako „choroba ducha". Negatywna musi być także ocena kreślonych przez Marksa projektów społeczno-politycznych. Budowane są one przecież na fałszu – u ich źródeł znajdujemy nieprawdziwy, gdyż wyabstrahowany od Boga obraz rzeczywistości. Wyłożona na kartach *Wstępu do krytyki heglowskiej filozofii prawa* krytyka religii wydaje się stanowić najwymowniejszy tego przykład. Przyjrzyjmy się jej bliżej.

Ateistyczne implikacje myśli Marksa dostrzegamy już na poziomie pryncypiów „materializmu dialektycznego". Przyjęcie założenia, że każdy byt można sprowadzić do materialnej podstawy, oznacza niemożliwość istnienia tego, co niematerialne.

[4] E. Voegelin, *Izrael i objawienie*, Warszawa 2014, s. 27.
[5] Tamże, s. 21.
[6] W tym miejscu należy zaznaczyć, że partycypację w istnieniu Voegelin ukazuje jako zjawisko dalece wykraczające poza nasze przemyślenia. Jej istotnym elementem pozostaje chociażby problematyka świadomości. Więcej na ten temat zob. E. Voegelin, *Poszukiwanie ładu*, Warszawa 2017, s. 39–45.
[7] Tamże, s. 25.
[8] E. Voegelin, *Nowa nauka polityki*, Warszawa 1992, s. 71.

Tożsamościowo

Stąd jedynym źródłem wiedzy pozwalającej na zrozumienie wszechświata pozostaje, jak to ujmuje Voegelin: „ruch intelektu w świadomości empirycznej jaźni"[9]. Wobec powyższego Bóg nie może istnieć, gdyż niemożliwe jest udowodnienie materialnej podstawy Jego bytu. Skąd zatem w ludzkim umyśle pojawiła się idea Stwórcy? Zupełnie ignorując dziedzictwo intelektualnych dociekań poświęconych temu problemowi – istotowych dla myśli Platona czy Arystotelesa, następnie kontynuowanych chociażby przez Augustyna i Tomasza – w odpowiedzi na to pytanie Marks odwołuje się wyłącznie do przemyśleń Ludwika Feuerbacha. Podążywszy za przemyśleniami autora *O istocie chrześcijaństwa*, teoretyk komunizmu konkluduje następująco: „Człowiek w fantastycznej rzeczywistości nieba, gdzie szukał nadczłowieka, znalazł tylko odbicie samego siebie"[10]. Zdaniem Marksa Bóg to iluzja, zdaniem Voegelina zaś Marks to kolejny z myślicieli, który padł ofiarą stale towarzyszącej człowiekowi pokusy. Dziewiętnastowieczny ideolog powiela przeświadczenie, w nieco innej formie obecne również w średniowieczu, polegające na „doświadczeniu człowieka, który wchłaniając w siebie boskiego ducha, pozostawia Boga samemu sobie w jego transcendencji"[11]. Marksowska koncepcja pretenduje jednak do miana samodzielności – ubóstwienie ma się odbywać bez religijnych mrzonek, wyłącznie w świecie pojęć oddających to, co rzeczywiście ludzkie. Realizacja tego celu jest jednak niemożliwa, ponieważ „współczesne przebóstwienie ma swe źródło w samym chrześcijaństwie", korzysta wszakże z tych idei, które „jako heretyckie zostały przez Kościół powszechnie stłumione"[12]. Oznacza to, że bez chrześcijaństwa – deformacji obecnych w nim symboli – niemożliwe byłoby sformułowanie marksistowskich koncepcji społeczno-politycznych. „Demaskując" oblicze religii, współautor *Manifestu komunistycznego* nie poprzestaje na uwagach przybliżonych przez nas do tej pory. W religii dostrzega on coś ponad „ideologię", „autoalienację", „fałszywą świadomość". Odkrywa także dogłębny związek, w który wchodzi ona z tym, co społeczne i polityczne. Z jednej strony, religia określa logikę tego świata, z drugiej zaś sama powodowana jest jego politycznymi i społecznymi uwarunkowaniami[13]. Głoszona przez Marksa rewolucja musi być zatem wymierzona w systemy stanowiące wyraz odniesienia człowieka do sacrum[14]. Człowiek stanie się najwyższą istotą dla człowieka tylko wówczas, gdy Bóg zostanie wyrugowany

---

[9] E. Voegelin, *Od oświecenia do rewolucji*, Warszawa 2011, s. 368.

[10] K. Marks, *Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 1, Warszawa 1960, s. 457.

[11] E. Voegelin, *Nowa...*, s. 118.

[12] Tamże, s. 103.

[13] K. Marks, *Przyczynek...*, s. 457.

[14] Skoro wyobrażenie Boga jest *de facto* projekcją prawdziwej istoty człowieka, wiara religijna powinna odgrywać rolę drogowskazu w odkrywaniu i tworzeniu tego, co rzeczywiście ludzkie. Tak jednak nie jest. Ustanawiając Boga jako główny podmiot zobowiązań moralnych jednostki, religia pełni funkcję swoistego hamulca na drodze radykalnej przebudowy świata. W jej istotę wpisany jest bowiem „transfer" ludzkich zobowiązań – od tego, co rzeczywiste, ku temu, co wyobrażone. Innymi słowy – człowiek religijny trwa w iluzji, która sprawia, że obowiązki względem społeczeństwa porzuca na rzecz troski o własne zbawienie. Możemy pokusić się nawet o stwierdzenie, że w narracji Marksa wizja niebiańskiej szczęśliwości stanowi narzędzie skutecznie odciągające jeszcze „nieuświadomionego" człowieka od próby naprawy rzeczywistości; prowadzi do pogodzenia z nią.

z hierarchii jego wartości. Podsumowując tę część naszego wywodu, zauważmy, że próba zbudowania społeczeństwa zsekularyzowanego nie przesądza o wyzbyciu się przez Marksa potrzeb, których częściowe zaspokojenie jest możliwe poprzez religijną aktywność człowieka. Wręcz przeciwnie – w swych pismach w zaskakująco wymowny sposób daje wyraz posiadaniu owych skłonności. Dopuszcza się jednak „immanentyzacji eschatonu" – ich pełne zaspokojenie postrzegając jako możliwe w świecie doczesnym. To właśnie ten aspekt myśli Marksa przesądza o uznaniu jej przez Voegelina za gnostycką *par excellence*.

≡ MARKSIZM JAKO GNOZA

Poszukiwania z zakresu historii idei prowadzą Voegelina do bardzo nowatorskiego spojrzenia na gnostycyzm. Nie jest on jednak ani jedynym, ani pierwszym z myślicieli, którzy odwołali się do tego pojęcia w celu diagnozy politycznych fenomenów nowożytności[15]. Dość wspomnieć w tym kontekście o Józefie Hoene-Wrońskim, współczesnych Voegelinowi Alainie Besançonie, Leszku Kołakowskim, Jacobie Talmonie czy w końcu jego polemiście – Raymondzie Aronie. Na tle przytoczonych przez nas badaczy Voegelin wyróżnił się przede wszystkim rozciągnięciem swej koncepcji na całość ideologii politycznych, nie wyłączając z ich grona liberalizmu. Był to główny powód wymierzonej w niego krytyki; do gnostyków zaliczał on bowiem często różniących się względem siebie myślicieli, chociażby: Machiavellego, Rousseau, Nietzschego, Heideggera[16]. Wyjdźmy od tego, że publikujący w Stanach Zjednoczonych filozof nie traktował gnozy jako jednolitego zbioru poglądów[17], ponieważ w jej obrębie wyróżniał trzy nieco odmienne stanowiska. Interesujący nas marksizm – obok pozytywizmu Augusta Comte'a oraz hitleryzmu – uznany zostaje za emblematyczny przykład gnozy aktywistycznej (nazywanej przez Voegelina również wolicjonalną), która na tle pozostałych odmian: aksjologicznej i teleologicznej, wyróżnia się przekonaniem o konieczności podejmowania zdecydowanych działań na rzecz urzeczywistnienia ziemskiego raju[18]. Możliwe jest jednak wyróżnienie rdzenia gnostycyzmu. Przybliżmy zatem konstytuujące go założenia. Po pierwsze, źródłem myślenia gnostyckiego jest sprzeciw wobec otaczającej rzeczywistości. Niezadowolenie gnostyka ze swojej sytuacji prowadzi do buntu wobec obecnego w świecie zła; rozumianego nie w sensie substancjalnym (jak w przypadku chrześcijańskiej antropologii, naturę człowieka definiującej jako skażoną grzechem pierworodnym), ale jako coś przygodnego. Oznacza to, że zło

---

15 E. Voegelin, *Nowa nauka…*, s. 121.

16 M.J. Czarnecki, *Człowiek wobec świata. Gnoza nowożytna Erica Voegelina a gnostycyzm antyczny – próba porównania*, „Dialogi polityczne" 2007, nr 8, s. 157.

17 Na kartach *Poszukiwania ładu* Voegelin zwraca uwagę na różnicę pomiędzy gnostycyzmem starożytnym i nowożytnym, w sposób charakterystyczny dla języka swoich pojęć charakteryzując ją następująco: gnoza starożytna – dąży do zlikwidowania rzeczywistości i ucieczki do „pełni poza", nowożytna zaś dąży do zaprowadzenia ładu „pełni-poza" w rzeczywistości. E. Voegelin, *Poszukiwanie ładu*, Warszawa 2017, s. 71.

18 Tamże, s. 160.

może zostać ze świata usunięte, a środkiem wystarczającym do dokonania tego jest człowiek. Ruchom gnostyckim towarzyszyć zatem musi przeświadczenie o konieczności nadejścia świata fundamentalnie lepszego; inaczej dążność do zmiany okazałaby się pozbawiona sensu. Ponadto – musi pojawić się także ktoś, kto ową konieczność odkryje, a następnie niczym dobrą nowinę rozgłosi ludzkości. Potrzebny jest zatem gnostyk-paraklet. Elementy składające się na gnostycyzm postarajmy się teraz odnaleźć w myśli Marksa.

Jako zwolennik radykalnej przebudowy charakteru ludzkiej egzystencji, dziewiętnastowieczny teoretyk za przyczynę zła uznaje dwa, zresztą wzajemnie się wspierające, czynniki: charakter stosunków społeczno-ekonomicznych oraz religię. Obecność tego pierwiastka w świecie jest jednak czymś akcydentalnym: wkroczenie ludzkości na drogę rozumu spowoduje odejście religii do lamusa, a z momentem likwidacji własności prywatnej nastanie kres tak jednoznacznie manifestujących się w kapitalizmie nierówności społecznych. Zauważmy, że kreślona przez autora *Ideologii niemieckiej* wizja społeczeństwa porewolucyjnego umożliwiona zostaje wyłącznie dzięki idealistycznemu poglądowi na ludzką naturę. Gdyby ludzie byli chciwi, zazdrośni, wreszcie dążący do podporządkowania sobie innych, niemożliwa byłaby wspólnotowa egzystencja według przykazania: „każdemu według jego potrzeb, od każdego według jego możliwości". Aspektem myśli Marksa, szczególnie istotnym z perspektywy Voegelina, okazuje się moment przejścia od społeczeństwa burżuazyjnego do bezklasowego. Umożliwione ono zostaje nie przez transformację instytucjonalną, ale na drodze *metanoia*, a więc poprzez przemianę ludzkich serc. Stąd też rewolucję nazywa on „oczyszczeniem", zapewne rozumianym w kontekście apokatastazy. Dlatego też przedrewolucyjny proletariat nie może być uznany za „Lud Boży". Jako „Lud Boży" konstytuuje się on dopiero z doświadczenia rewolucji[19]. Tym zaś, który ogłosi nieuchronność nastania raju na ziemi – gnostykiem-parakletem – jest Karol Marks. Odkrył on bowiem rządzące rzeczywistością prawa determinizmu; na drodze „rozumu" ujawnił sens ludzkiej egzystencji.

≡ WARSTWA SYMBOLICZNA

Zmierzając ku końcowi naszych rozważań, pochylmy się jeszcze nad wytworzaną przez ruchy gnostyckie warstwą symboliczną, którą Voegelin powiązał z postacią Joachima z Fiore. Żyjący na przełomie XII i XIII w. mnich jako jeden z pierwszych dokonał swoistej immanentyzacji eschatonu. Dowodem tego jest jego narracja historiozoficzna, obfitująca w elementy mające w pewnym sensie wyznaczyć ramy nowożytnego gnostycyzmu. Są nimi: idea Trzeciego Królestwa, uduchowiana wspólnota, wódz, zwiastun. Pierwszy z nich Joachim osadza w kontekście trynitarnej koncepcji dziejów, obejmującej okres: Ojca, Syna, Ducha Świętego, z których to w ostatniej wyrazić ma się pełnia doskonałości[20]. Voegelin w tej narracji dostrzega antycypację Marksowskiej historiozofii, zwłaszcza w wymiarze

---

[19] Tenże, *Od oświecenia…*, s. 356.
[20] Tenże, *Nowa…*, s. 106.

następujących po sobie faz dziejów: pierwotnego komunizmu, społeczeństwa burżuazyjnego, w końcu społeczeństwa bezklasowego. Za kolejny z symboli, czyli zwiastuna, Joachim uznaje samego siebie (stawiając siebie w roli wieszcza nadciągającej epoki Ducha) oraz Jana Chrzciciela (jako tego, który zapowiada nadejście Chrystusa). Rola ta w przypadku marksizmu przypada jego najważniejszemu ideologowi: odkrywszy teleologiczny sens historii, obwieszcza on rychłe nadejście epoki wiecznego spełnienia. Ostatnim z wymienionych symboli jest postać wodza. Z perspektywy charakteryzowanej przez nas tradycji intelektualnej jest to metafora dość niejednoznaczna. Z jednej strony wydaje się, że to kolejna z ról przypadających Marksowi, z drugiej zaś strony – w czym dostrzegamy wcale nie taki oczywisty sarkazm – to przecież dopiero Lenin i Stalin stworzyli „królestwo".

≡ ZAMIAST PODSUMOWANIA

W niniejszym studium ukazaliśmy pogląd Voegelina na stworzoną przez Marksa wizję społeczeństwa. Nawet jeśli przemyślenia autora *Od oświecenia do rewolucji* czasami wydają się nadinterpretacją – jak w przypadku przypisywania znajomości pism Joachima z Fiore nowożytnym gnostykom – to jednak stworzył on siatkę pojęciową pozwalającą spojrzeć na marksizm jako fenomen niemieszczący się wyłącznie w kategoriach politycznych. Miejmy jednak świadomość, że wyłożone przez nas przemyślenia stanowią wyłącznie zarys najistotniejszych wątków tej problematyki. Autor *Od oświecenia do rewolucji* na myśl Marksa spogląda szerzej, chociażby z nieuwzględnionej przez nas nielogiczności argumentacji współautora *Manifestu komunistycznego*. Podsumowując nasz wywód, refleksję Voegelina ujmijmy poprzez pryzmat następującej konstatacji: ostatecznych celów ludzkiej egzystencji nie można osiągnąć przy użyciu środków społecznych i politycznych.

Adam Szabelak

Święta Trójca współczesności

Źródło: englishfinecottons.co.uk

Współczesna oś sporu ideologicznego dawno już nie przebiega wzdłuż wyświechtanego podziału „lewica-prawica". Mówienie o sporze między „lokalistami" czy „tożsamościowcami" a „globalistami", czy między liberałami a nieliberałami jest z pewnością bliższe prawdy. Wciąż jednak pozostawia niedosyt, nie dociera do sedna, nie przedstawia w sposób jasny i pełny aksjologicznej genezy danego ustosunkowania się do rzeczywistości. Zasadniczym kryterium, na podstawie którego należałoby grupować ideologie, jest ich stosunek do, rozumianego szeroko, Absolutu. Spór toczy się więc między obiektywizmem a subiektywizmem – którego „świętą trójcę" stanowią trzy zjawiska dominujące w naszej epoce: liberalizm, kapitalizm i goszyzm (nowolewicowość).

≡ Absolut kontra człowiek

Ruch, który dzisiaj tworzymy, który nie jest partią, lecz właśnie ruchem i który możemy nazwać antypartią, nie jest ani prawicowy, ani lewicowy. Dlatego że w gruncie rzeczy prawica jest dążeniem do zachowania organizacji ekonomicznej, chociaż jest niesprawiedliwa, a lewica jest w istocie pragnieniem zniszczenia organizacji ekonomicznej, chociaż zniszczenie jej pociągnie za sobą zniszczenie wielu rzeczy dobrych. Następnie ozdabia się to, zarówno u jednych, jak i drugich, całym szeregiem względów duchowych. Wszyscy, którzy słuchają nas z dobrą wiarą, wiedzą, że wszystkie te względy duchowe mieszczą się w naszym ruchu, lecz nasz ruch w żadnym wypadku nie zwiąże swoich losów z interesami jakiejś grupy lub klasy, które kryją się pod powierzchownym podziałem na prawicę i lewicę.

José Antonio Primo de Rivera

Współczesną oś sporu najłatwiej zdefiniować można poprzez odwołanie się do podziału zaproponowanego przez Karla Poppera, który stwierdził, że społeczeństwa podzielić można z grubsza na dwie grupy – „społeczeństwa otwarte" i „społeczeństwa wrogów społeczeństwa otwartego". Te pierwsze oparte są na centralnej roli jednostki i negacji pojęcia prawdy, odrzuceniu jakiejkolwiek formy Absolutu, który dominowałby nad jednostką i ograniczał jej możliwości do samookreślenia. Społeczeństwo takie jest „otwarte", ponieważ w grupie niepowiązanych ze sobą atomów liczba kombinacji między nimi jest nieograniczona, a ich istnienie nie jest w żaden sposób ukierunkowywane przez przyczynę czy sens. Ideałem takiego społeczeństwa jest bytowanie, stan nieważkości, dynamicznej równowagi. Popper, podobnie jak założyciel Fundacji Społeczeństwa Otwartego i autor książki *W obronie społeczeństwa otwartego*, George Soros, określał się jako zwolennik „społeczeństwa otwartego".

Wrogowie „społeczeństwa otwartego" to wszyscy ci, którzy swoje koncepcje opierają na pojęciu Absolutu, dominującego nad jednostką i zaprzeczającego jej centralnej roli. Istnienie Absolutu zakłada pewną formę przymusu, podporządkowania jednostki pozaindywidualnym czynnikom, naruszając tym samym jej atomistyczną swobodę i negując „otwartość" społeczeństwa. Istnienie Absolutu implikuje konieczność uspójnienia indywidualnej postawy z obiektywnymi normami. Wykroczenie poza tak wyznaczone granice oznacza, że jednostka zbacza ze ścieżki wytyczonej bez najmniejszego jej udziału i zaczyna błądzić po bezdrożach fałszu. Wedle Poppera wrogami „społeczeństwa otwartego" byli Platon (którego uznał za ojca filozofii totalitaryzmu), Hegel, Marks czy Spengler. Każdy z nich opierał swoje rozumowanie na elementach metafizycznych, etycznych, socjologicznych (uznając obiektywne prawa, wedle których funkcjonują ludzkie zbiorowości) czy rozpoznaniu zasad rządzących ekonomią, co było równoznaczne z zanegowaniem „społeczeństwa otwartego" oraz jednostki jako elementu centralnego i nadrzędnego. W ramach tego ujęcia uwypukla się fundamentalne kryterium, które paradoksalnie jednoczy idee i filozofie na pierwszy rzut oka usytuowane wobec siebie na antypodach, niezależnie od tego czy są one „lewicowe" czy „prawicowe", „postępowe" czy „reakcyjne". W jednym szeregu stają katolicy i muzułmanie, faszyści i komuniści, konserwatyści i moderniści. Jakkolwiek szokująco wyglądałoby takie nakreślenie osi sporu, wobec faktu hegemonicznej pozycji (coraz częściej jednak kwestionowanej) „społeczeństwa otwartego" wydaje się ono odpowiadać rzeczywistemu stosunkowi sił.

Oddajmy teraz głos Stanisławowi Brzozowskiemu, który tak pisał w *Legendzie Młodej Polski*:

> Idzie wciąż o to, aby zrozumieć, że zapanować nad życiem, stać się swobodnymi, możemy jedynie przez zrozumienie i opanowanie tych sił, które stworzyły naszą psychikę. Idzie o całkowite przeniknięcie się tą myślą, że historia nie jest czymś, co stoi na zewnątrz nas, względem czego możemy zajmować dowolne stanowiska. Psychika związana jest z bytem jedynie i wyłącznie przez ten proces życiowy, który ją wytworzył: gdy uważa samą siebie za istnienie niezawiłe od tego procesu, traci możliwość zapanowania nad nim. Sen o swobodzie staje się istotną niewolą. Gdy dumnie zamykamy się w granicach naszego ja, poddajemy się ślepo tym siłom, które je stworzyły i przekształcają.

W innym miejscu dodawał:

> Odpowiedzialność wobec historii – oto jest rys zasadniczy każdej mającej doniosłej kulturalną działalności. Wrogiem najgroźniejszym jest dziś życie bez historycznego planu, miękki i bezkostny subiektywizm. Brak kulturalnej, historycznej woli, brak męstwa, odległych historycznych perspektyw – oto cechy, rzucające się w oczy nowoczesnej europejskiej psychice kulturalnej. Tym kanałem wycieka najszlachetniejsza krew naszej myśli. Kultura dzisiejsza to w znacznej mierze system złudzeń i iluzji, przesłaniających ten istotny stan rzeczy: to system ucieczek przed historią. Niewiara w historię, bezsiła dziejowa – oto treść przybierająca najróżnorodniejsze formy. Jedną z najniebezpieczniejszych jest optymistyczna wiara w przyszłość powstającą automatycznie, zabija ona to, co jest najniezbędniejsze – heroizm woli, i to dziś, gdy jest on dla nas, nieposiadających nad sobą żadnej istniejącej obowiązującej formy – jedynym gruntem.

Człowiek jest istotą społeczną – jest to twierdzenie jednoznacznie udowodnione przez naukę. Nie możemy w pełni realizować się jako ludzie bez innych przedstawicieli naszego gatunku. Nasze społeczeństwa funkcjonują wedle zasad opisywanych przez socjologię, gospodarki działają wedle reguł opisywanych przez ekonomię. Świat w jakiś sposób zaistniał i najlogiczniejszym wyjaśnieniem tego faktu jest istnienie wszechmogącego Absolutu – Boga, Wielkiego Poruszyciela. Człowiek został również zaprojektowany w określony sposób – odczuwa pociąg płciowy, głód, potrzebę bezpieczeństwa. A także potrzebę transcendencji – na co wskazywał Abraham Maslow, który pod koniec życia wpisał ją w swoją słynną piramidę, na samym jej szczycie. Oznacza to, że w człowieka wpisana jest też idea Absolutu. Jednak, jako że jest to potrzeba najwyższego rzędu, łatwo ją zagłuszyć przez przywiązanie nadmiernej uwagi do potrzeb mniej zaawansowanych (do tego tematu jeszcze wrócimy). Poznając objawienie Jezusa Chrystusa, można dojść do wniosku, że to faktycznie On jest „drogą, prawdą i życiem" – wszystko, co zostało przez Niego przekazane ludzkości, jest w pełni koherentne z naszą naturą, wskazując drogę do doskonałości i prawdziwej wolności. Nie miejsce to jednak na rozstrzyganie, która prawda jest faktycznie prawdziwa. Teraz chodzi jedynie o wskazanie, że słuszna jest wiara w Absolut. Człowiek nie jest miarą wszechrzeczy, jest tylko kluczowym punktem odniesienia. Poszczególne ideologie obiektywistyczne zazwyczaj poprawnie definiują część prawdy, ale wyciągając ją do rangi prawdy absolutnej stają się mniej lub bardziej fałszywe – mimo wszystko wykraczają poza człowieka, co jest jednak współcześnie działaniem o fundamentalnym znaczeniu.

Takie wyznaczenie osi podziału nie oznacza postulatu „sojuszu ekstremów" – dokonanie takiego rozróżnienia ułatwić może przede wszystkim przeprowadzenie właściwej gradacji wrogów. Uświadomienie sobie, że zasadniczym wrogiem nacjonalizmu, katolicyzmu, konserwatyzmu itd. jest indywidualizm, posiadający oblicze prawicowe (w dziedzinie ekonomii) i lewicowe (wyrażające się w „postępowości"), jest kwestią kluczową. Współcześnie zwalczanie marksizmu jest rzeczą całkiem anachroniczną, z islamem na wielu płaszczyznach nawiązać można nić porozumienia, a zagadnienia typu aborcja, eutanazja czy eugenika nie powracają za sprawą szowinizmu rasowego, a poprzez właśnie doprowadzony do ekstremum

indywidualizm, który w języku filozofii niemal zawsze utożsamiany jest z „subiektywizmem". Tak więc pytanie współczesności nie brzmi „prawica czy lewica?" albo „materializm czy idealizm?". Na współczesnej osi sporu występuje z jednej strony idealizm subiektywny, który istnienie całej rzeczywistości sprowadza do wrażeń, wyobrażeń, myśli istniejących w podmiocie i sytuuje człowieka poza dobrem i złem; oraz materializm subiektywny, ideologia typowa dla społeczeństwa konsumpcyjnego, w którym zaspokojenie potrzeb materialnych i osobowościowych jednostki jest główną motywacją dla jej czynów – rzeczywistość nie istnieje w świadomości jednostki, ale w jej odczuciach, związanych z czysto cielesnymi funkcjami – jednym z przejawów takiej postawy filozoficznej jest hedonizm. Z drugiej strony mamy do czynienia z idealizmem obiektywnym – przejawiającym się np. wiarą w Boga; i materializmem obiektywnym – którego bodaj najwyrazistszym przedstawicielem był Karol Marks z jego koncepcją determinizmu ekonomicznego.

≡ KAPITALIZM

Trzy zjawiska znamionują naszą epokę – liberalizm, kapitalizm i goszyzm (nowa lewica). Wszystkie wyrastają z jednego pnia – indywidualizmu, zamknięcia człowieka w więzieniu jego własnego „ego". Pytanie, jakie należy sobie zadać to: jaka relacja zachodzi między nimi? Dopiero, kiedy sobie na nie odpowiemy, uzyskamy jasność na temat istoty sił wrogich człowieczeństwu. Aby tego dokonać, warto zastosować marksowski aparat pojęciowy, który stanowi przydatne narzędzie do analizy rzeczywistości (sam Marks miał sporo wartościowych obserwacji, ale niewiele słusznych wniosków).

Mamy więc bazę – materialne warunki życia; oraz nadbudowę – sposób myślenia. Według Marksa relacja między nimi jest jednostronna, tzn. byt kształtuje świadomość. Jest to twierdzenie bez wątpienia prawdziwe, jednak jedynie częściowo. Jeśli społeczeństwo żyje w skrajnej biedzie, będzie ono naturalnym gruntem dla wzrostu ideologii dążących do zmiany tego stanu rzeczy. Ale to od pojedynczych jednostek, sumy ich doświadczeń i przemyśleń, zależy, czy nowa ideologia będzie miała charakter rewolucyjny czy ewolucyjny. Może też zaistnieć sytuacja, gdy społeczeństwo przyjmie postawę pełnej akceptacji swojego położenia, np. poprzez odpowiedni system wierzeń religijnych. Tak więc słuszniejsze wydaje się twierdzenie, że między bazą i nadbudową występuje sprzężenie zwrotne, materia oddziałuje na ducha, a duch oddziałuje na materię, i to tylko od danego momentu historycznego zależy, który biegun oddziaływać będzie silniej.

Współcześnie bazą jest system kapitalistyczny, nadbudową liberalny sposób myślenia, a narzędziem, za pomocą którego sprzężenie między nimi nabiera jeszcze większej mocy – ideologia nowolewicowa. Ich celem jest tworzenie świata swobodnego przepływu kapitału, środków produkcji i pracowników, bez granic i ceł; kreowanie człowieka jednowymiarowego, wykorzenionego i pozbawionego tożsamości, stanowiącego uniwersalnego konsumenta i efektywnego, mobilnego pracownika; promocja postaw egoistycznych, konsumpcjonistycznych i hedonistycznych – w celu zagłuszenia potrzeby transcendencji. Dlaczego? Kapitalista

chce akumulować kapitał; liberał, który swoim bożkiem uczynił „wolność", dąży do obalania wszelkich barier, z których najpoważniejszą jest fakt istnienia prawdy, a goszysta jest po prostu dzieckiem buntującym się przeciwko swoim rodzicom, ale w nakreślonych przez nich ramach.

Aby liberalizm jako sposób myślenia mógł zaistnieć, musiał mieć najpierw ku temu odpowiednie warunki w „świecie posiadania". W świecie preindustrialnym dominowały korporacyjne relacje społeczne. W grupach takich jak rodzina, klan czy plemię nie było przestrzeni na rozrost postaw indywidualistycznych. Ta pojawiła się w pełni dopiero wraz z postępującym wykorzenieniem człowieka, oderwaniem go od naturalnych wspólnot w wyniku wzmożonej urbanizacji, powiązanej z procesem industrializacji, która to umożliwiła koncentrację środków produkcji w rękach niewielu posiadaczy kapitału, dzięki czemu ci uzyskali możliwość jeszcze większej jego akumulacji. W ten sposób kapitalizm doprowadził do całkowitego odwrócenia tradycyjnej hierarchii wartości. Kapitalistyczna organizacja pracy w społeczeństwie wytworzyła odwróconą piramidę autentycznych osobowych potrzeb. Na jej szczycie znalazł się kapitał finansowy, ekwiwalent czystej przedmiotowości, której dobrowolnie podporządkowali się kapitaliści, wybierając – dzięki posiadaniu odpowiednich ku temu warunków – służbę Mamonie. Przyrost kapitału stał się więc ich nadrzędnym celem. W celu generowania jak największego zysku gospodarka kapitalistyczna organizuje świat kapitału wytwórczego – produkcję – ukierunkowany na uzyskanie najwyższej wydajności. To prowadzi do alienacji pracy i uprzedmiotowienia robotnika. Człowiek staje się „siłą roboczą", „zasobem", który traktowany jest instrumentalnie, posiada wartość jedynie o tyle, o ile może zwiększyć zysk finansowy. Innym, również kluczowym zadaniem człowieka w systemie kapitalistycznym, jest konsumpcja, która w celu maksymalizacji zysku musi mieć jak najszerszy zakres, a więc stara się zapewnić substytut dla wszystkich innych naturalnych potrzeb człowieka. Kreowana „utopia obfitości", rozciągnięta po II wojnie światowej także na masy robotnicze, pozwala uczestnikom tego systemu na błogość bezrefleksyjnego bytowania, nieliczne jednostki wyłamujące się na drodze świadomego buntu pozostają na marginesie takiego społeczeństwa, a liczni jego uczestnicy, wyeksploatowani i w pewnym stopniu odczłowieczeni, nie mają w sobie potencjału do inicjowania przemian. W taki sposób ze świata posiadania narodziła się cywilizacja mieszczańska: wyalienowana, wewnętrznie sprzeczna, antyludzka i przez swoje zaślepienie zyskiem prowadząca do autodestrukcji.

Francuski myśliciel Emmanuel Mounier „światem posiadania" określał sposób usytuowania jednostkowej jaźni wobec samej siebie, świata zewnętrznego i innych podmiotów – dominujące kategorie stanowią tutaj: nierozporządzalność, własność i spojrzenie uprzedmiatawiające. Oznacza to rozpatrywanie kapitalizmu jako fenomenu duchowego i – w ramach nakreślonych wcześniej ram rozważań – przejście do analizy fundamentu, na którym wzniesiono z czasem solidną niematerialną nadbudowę. Świat posiadania wynika z relacji między ludzką świadomością a światem zewnętrznym, który można objąć w posiadanie, utrzymując swoją indywidualną podmiotowość – po odniesieniu go do jaźni jako centrum przekształca się go w przedmiot, który następnie degradowany jest w towar. Wszystko staje się obiektem obrotu ekonomicznego i to cena zostaje wyznacznikiem wartości danego

wycinka rzeczywistości. Naturalną konsekwencją przyjęcia takiej perspektywy będzie przeniesienie jej także do wnętrza jednostki. Wtedy ona sama, jej ciało i życie, staje się swoją własną własnością, rodzi się postawa nierozporządzalności – zamknięcia na świat innych osób i ich potrzeb, całkowitego oddania idei samoposiadania. Oznacza to pełne skupienie się na pomnażaniu swojej wartości. Każda inna jednostka, która również uprzedmiotawia świat zewnętrzny, staje się zagrożeniem, potencjalnym zaborcą. Wywołuje to odruch obronny, odcięcie się od agresora. Mounier świat posiadania obrazuje przykładem paranoika – osoby, w której świadomości świat zewnętrzny stracił na wartości przy jednoczesnym przeroście indywidualnej samoświadomości. Samotny pośród ruin paranoik widzi w każdym człowieku naruszającym jego przestrzeń intruza czyhającego na jego własność. Dla kogoś, kto wkroczył do świata posiadania, obce są pojęcia takie jak altruizm, empatia, bezinteresowność, poświęcenie, oznaczające stratę, marnotrawstwo zasobów – gdyż błędnie utożsamił on relacje z samym sobą z przedmiotowym posiadaniem, przez co zamyka się na sferę ducha i potencjalnych korzyści odnoszonych w tym właśnie zakresie. Ten stan rzeczy umacnia pieniądz z jego depersonalizującą siłą. Pomaga on przetłumaczyć rzeczywistość na język abstrakcyjnych liczb, pozwala na jej wycenę i umożliwia sprowadzenie nawet relacji z innymi ludźmi do procesu kupna-sprzedaży. W tym świecie istnienie zależne jest od konkretnej wartości, zysku – naczelnego celu świata posiadania. Oznacza to śmierć człowieka transcendentnego.

Fundamentem kapitalizmu jest ideologia ubóstwienia własności prywatnej. Jedyną zasadą, wyznacznikiem statusu w systemie, jest zdolność do wytwarzania bogactwa i prawo silniejszego, dzięki czemu wielkie zyski osiągają jednostki niemające oporów przed postępowaniem niesprawiedliwym, co czyni je częścią grupy hegemonicznej, dysponującej narzędziami kontroli nad nieuprzywilejowanymi masami – przez co system się domyka. Własność w ujęciu kapitalistycznym jest absolutnym i niezbywalnym podporządkowaniem określonych dóbr jednemu człowiekowi, który sprawuje nad nimi pełną kontrolę i może dowolnie nimi dysponować. Próba zewnętrznej ingerencji w ten stosunek postrzegana jest w kategoriach ataku na wolność. Relacja posiadacza i własności nie jest ograniczona przez jakikolwiek system aksjologiczny. Jedyną zasadą pozostaje całkowita swoboda używania posiadanych dóbr dla osiągnięcia indywidualnego zysku, taka nihilistyczna wolność prowadzi do atomizacji, paranoicznej izolacji, zaniku więzi społecznych, uprzedmiotowienia relacji międzyludzkich i rozpadu wspólnoty. A także w naturalny sposób do oligarchizacji władzy ekonomicznej i zaniku realnej wolności wymiany handlowej – nieskrępowana konkurencja rynkowa prowadzi do rozrostu wielkich podmiotów gospodarczych i powstawania monopoli. Sprowadza także coraz szersze rzesze ludzi do roli pracowników najemnych zależnych od woli posiadacza kapitału (obejmującego wszystkie czynniki produkcji inne niż ludzka praca – ziemię, budynki, maszyny, technologie, wiedzę w postaci patentów, tajemnic handlowych, algorytmów, bazy klientów, reputację, markę), który współcześnie ponownie coraz bardziej od pracy izoluje. We wszystkich krajach rozwiniętych udział pracy w wytwarzaniu PKB (mierzony poziomem partycypacji pracowników w wytwarzanych zyskach) maleje. Na przykład udział w PKB wynagrodzeń za pracę, uwzględniając w tym samozatrudnionych, w dziewięciu krajach rozwiniętych (Australia, Francja,

Hiszpania, Japonia, Kanada, Niemcy, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Włochy) spadł z ok. 65% w połowie lat 70. XX w. do poziomu ok. 56% w 2014 r. Nie oznacza to wcale, że pazerni kapitaliści zgarniają dla siebie większość zysków, którym nie dzielą się w odpowiednim stopniu ze swoimi pracownikami. Ba! Pracownicy mogą otrzymywać współcześnie znacznie więcej, niż faktycznie wypracowują – wedle wyliczeń Louisa Kelso z lat 80. XX w. udział pracy w tworzeniu PKB może stanowić jedynie wartość rzędu 20%. Dlaczego? Kluczem do sukcesu we współczesnej gospodarce jest technologia, która znajduje się w rękach posiadaczy kapitału. Nie można więc precyzyjnie określić wartości tego, co pracownicy i właściciele kapitału wkładają w produkcję. Zmniejszenie roli człowieka w procesie produkcji (np. przez zastąpienie pracowników fabrycznych maszynami) odbyło się za sprawą zwiększenia roli technologii, a więc umocnienia pozycji tych, którzy są w ich posiadaniu. To kapitał sprawia, że ilość pracy wykonanej przez jednego człowieka w jednostce czasu wzrasta. Tak więc w krajach rozwiniętych pracownicy mogą otrzymywać nawet więcej w postaci wynagrodzeń, niż wynosi ich realny wkład w produkcję, kapitał zaś otrzymuje mniej, niż mu się z tego samego powodu należy.

Czy oznacza to, że praca znalazła się na łasce kapitału i powinna cieszyć się, że dostaje choć tyle, ile dostaje, bo w rzeczywistości powinna dostawać dużo mniej? W żadnym wypadku. System jest tym bardziej „kapitalistyczny", im mocniejsza jest w nim pozycja kapitału, który współcześnie nierzadko ma władzę i możliwości oddziaływania szersze od wielu państw. Kapitał wyalienowany z jednej strony od pracy (czyli pracowników, realnych ludzi), a z drugiej uniezależniony od władzy państwowej (jeśli chodzi np. o USA, ojczyznę globalnego kapitalizmu, można mówić nawet o częściowym podporządkowywaniu aparatu państwowego interesom kapitału – za wojną w Afganistanie bardzo aktywnie lobbował przemysł zbrojeniowy, który zarobił na niej kosmiczne pieniądze; firmy z Doliny Krzemowej w każdej administracji starają się umiejscowić swoich ludzi itd.), traci nad sobą jakąkolwiek demokratyczną kontrolę, która ukierunkowywać go może na służenie (oczywiście na marginesie głównej działalności – zwiększania zysku) człowiekowi i dobru wspólnemu, choćby przez narzucanie pewnych norm ekologicznych czy warunków zatrudnienia. Powstaje potężna oligarchia finansowa, której jedynym celem jest dalsza akumulacja kapitału, działająca w całkowitej próżni aksjologicznej, co jest pierwszym krokiem do świata totalitaryzmu pieniądza, wizji absolutnie przerażającej.

≡ LIBERALIZM

Tak skonstruowana „baza" potrzebowała odpowiedniej „nadbudowy", aby ugruntować swoją pozycję. Stała się nią ideologia liberalna.

Liberalizm nie jest pochwałą wolności jako takiej, ale wolności czysto indywidualnej. Wolne są wyłącznie jednostki, wyzwolone ze wszystkich układów odniesień nieskrępowane wartościami czy tradycją. Ideologia liberalna zakłada, że jednostka nie rodzi się we wspólnocie, lecz dopiero ją wybiera. Tak też ma powstawać społeczeństwo – suwerenne indywidua podejmują decyzję o jego powstaniu, postrzegając to w kategoriach interesu i tak zapoczątkowują nowy byt oparty na kontrakcie.

Gdyby jednostka miała pewną z góry narzuconą tożsamość (cywilizacyjną, narodową, płciową) oznaczałoby to ucisk i ograniczenie jej autonomii. Człowiek ze swojej natury cieszy się przyrodzonymi prawami, ale nie obciążają go obowiązki o tym samym charakterze. Jedyne powinności to te sztucznie narzucone przez wspólnotę i te, które w ramach kontraktu, relacji wymiennej, decyduje się wziąć na siebie. Prawo nie służy realizacji wspólnego ideału dobra, a jedynie tworzy ramy, gdzie człowiek sam może określać swoje wartości i cele życiowe, akceptowalne o tyle, o ile nie kolidują z analogicznymi wyborami innych. Podstawą podejmowania decyzji powinien być rachunek indywidualnych zysków i strat, bez uwzględnienia abstrakcji w postaci historycznego dziedzictwa, tła społecznego czy interesu przyszłych pokoleń.

To właśnie jest wielkie złudzenie liberalizmu, ogromnego błędu antropologicznego. Nie możemy wybrać, czy jesteśmy Polakami czy Niemcami (siłą rzeczy podczas socjalizacji pierwotnej nasiąkamy określonym habitusem), kobietami czy mężczyznami, nie możemy wybrać ojca i matki, ani przeszłości wspólnoty, która nas wychowuje. Uwikłaniom tym można się sprzeciwiać, układać swoje życie w kontrze do nich, ale nie możemy wyjść poza nie. Jeśli człowiek zostanie pozbawiony wszystkich więzi, które łączą go z innymi ludźmi, nie zostanie z niego wiele człowieczeństwa. Pozostanie wielka pustka.

Genezą współczesnego liberalizmu jest strach i przeświadczenie, że najlepszym sposobem na uchronienie świata przed okrucieństwem, do którego zdolny jest człowiek w imię abstrakcyjnych idei, to zabronić wspólnotom odwoływania się do nich. Gdy państwa nie będą wyznawały żadnych wartości, nie będą miały powodów, żeby między sobą walczyć. A przecież wojny religijne nie zanegowały istnienia Boga, a zbrodnie nazistów nie czynią faktu istnienia narodów czymś z gruntu złym. Liberalizm jednak właśnie z takich założeń wychodzi i chce, aby człowiek wzrastał bez korzeni i słońca. Brak organicznej wspólnoty tworzonej z innymi ludźmi i zdolności do oderwania się od rzeczy ziemskich nakłada na jednostkę kajdany nihilizmu, konsumpcjonizmu i hedonizmu, które liberałowie w ramach okrutnego żartu określają mianem „wolności". Jednostka obdarta z tożsamości przeobraża się w homo oeconomicus. Jej jedynym celem i zadaniem w życiu stają się praca i konsumpcja.

Państwo liberalne jest wrogiem demokracji, która dosłownie oznacza „rządy ludu". Demokracja zakłada istnienie „ludu", grupy ludzi o wspólnych wartościach i celach – co liberalizm neguje. Cały system „państwa prawa" paraliżuje wolę ludu przez nakazy i zakazy narzucane przez siły nieposiadające demokratycznej legitymizacji, dysponujące jednak odpowiednimi środkami nacisku (powiązanymi głównie z kapitałem) i dążące do realizacji swoich partykularnych interesów, często sprzecznych z racją stanu. Tym samym osłabiane jest państwo narodowe, które jest jedynym posiadającym legitymizację podmiotem zdolnym do przeciwstawienia się woli potężnych podmiotów gospodarczych, i staje się ono jedynie fasadą służącą uspokojeniu mas.

Liberałowie dopuszczają pluralizm jedynie w ramach przyjętego paradygmatu – idei kwestionujących sam system nie akceptują i wykluczają je właśnie poprzez narzędzie „państwa prawa". Siły liberalizmowi nominalnie wrogie są akceptowane na „wolnym rynku idei" tylko o tyle, o ile nie zagrażają interesom tych, którzy

na atomizacji narodu najwięcej korzystają i stanowią grupę hegemoniczną, klasę dominującą (w systemie liberalnym posiadacze kapitału mający duże możliwości korupcyjne). W ten sposób tworzona jest koncesjonowana opozycja, którą dodatkowo wikła się w całkowicie sztucznie wykreowane spory, obracające się w sferze niemal całkowitej abstrakcji, dotyczące spraw szczegółowych (aborcja, geje itd.), nie systemowych. Działanie takie zapewnia zwornik bezpieczeństwa chroniący system przed jego potencjalnymi kontestatorami i ich nadmierną radykalizacją, umożliwiając akumulację ich potencjału w „strefach bezpiecznych". Ani w III RP, ani nigdy nigdzie nie było liberałów (oprócz jednostkowych przypadków), którzy faktycznie postępowali w myśl zdania przypisywanego Wolterowi: „Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale po kres moich dni będę bronił twojego prawa do ich głoszenia". Jest to sztuczny konstrukt ideologiczny, który po prostu nie oddaje rzeczywistości walki o władzę – w obliczu tej liberałowie zawsze stają po stronie władzy (silniejszego). Światopogląd liberalny (w formie wolterowskiej) był ostatnie dekady narzucany przez hegemona społeczeństwu, aby to miało ideologiczną podbudowę do nienaruszania jego pozycji, jednak gdy dochodzi do faktycznego starcia, jest bardzo szybko odrzucany przez wykluczanie z debaty określanych idei czy konkretnych grup. Schizofreniczne próby łączenia liberalizmu z jakimikolwiek obiektywistycznymi systemami myśli najlepiej bodaj skomentował Alain de Benoist:

> Jak można chcieć regulować imigrację, jeśli wpisujemy się w gospodarczy paradygmat liberalny, który polega na ideale mobilności, elastyczności, otwarcia granic i powszechnego nomadyzmu (*pozwólcie czynić, pozwólcie przechodzić*, czy to kapitałowi, towarom czy ludziom)? Jak można zachwalać *skuteczność rynku*, nie przyznając, że ta skuteczność oznacza obowiązek ignorowania granic, które dzielą, a zatem odróżniają od siebie rozmaite kultury ludzkie? Jak można bronić tożsamości ludów czy narodów, jeśli uznamy, że te społeczności są tylko skupiskami odizolowanych jednostek? Jak można skarżyć się na seryjne bankructwa małych przedsiębiorstw przy jednoczesnym celebrowaniu wolnej konkurencji i logiki wolnego handlu, które je powodują? Jak można wzywać do *moralności* i zarazem powoływać się na doktrynę, która usprawiedliwia *maksymalizację interesu jednostkowego*, zawsze potępianą przez wszelką autentyczną moralność? Jak można odrestaurować *tradycyjne wartości*, nie kwestionując kapitalizmu, który wszędzie pracuje na rzecz ich zniszczenia?

≡ NOWA LEWICA

Dzieckiem narodzonym z mariażu kapitalizmu i liberalizmu – czasem zbuntowanym (podobnie jak z Marksem – ideologowie nowej lewicy bardzo często słusznie diagnozują problemy związane z konsumpcjonizmem, indywidualizmem, kapitalizmem itd., tylko ich wnioski są tragicznie błędne), ale w pełni uzależnionym od swoich rodziców, jest nowa lewica, którą określić można mianem „rewolucyjnego liberalizmu". Jest to akcelerator dla przemian społecznych podążających w stronę pożądaną przez rodziców. Goszyzm to jedynie doprowadzenie liberalnej logiki do ekstremum. Największa ofensywa nowej lewicy związana jest z zaostrzającym się

sporem o hegemonię. Czas, gdy system mógł się utrzymywać siłą rozpędu, minął, bo w wielu przypadkach okazał się wadliwy i zrodził reakcję w postaci populizmu. Sprawujący władzę jednak jej tak łatwo nie oddadzą, więc wykorzystują jako swoją awangardę działających wedle liberalnej logiki, już otwarcie opresyjnych wobec przeciwników, nowolewicowców. Liberałowie pozamykali ludzi w pustelniach pośrodku niczego, aby zapewnić im „wolność" decydowania o sobie. Goszyści chcą zniszczyć nawet te cztery ściany, aby i one człowieka nie ograniczały. Liberałowie dostają w wyniku rewolucyjnych przemian człowieka całkowicie „wolnego" od wszelkich powiązań społecznych i tożsamości, a kapitaliści otrzymują rzesze beztożsamościowych nomadów, idealnych pracowników i konsumentów.

Ani ideologia liberalna, ani nowolewicowa nie jest w pełni, na pierwszy rzut oka, ideologią subiektywistyczną. Za ramę dla podejmowanych działań służy „ideologia praw człowieka" – koncept z gruntu chrześcijański, odarty jednak z idei dziecięctwa Bożego stracił fundament i stał się, wraz z postępującą utratą hegemonii kulturowej przez Kościół i przeobrażaniem się naszego świata w świat postchrześcijański, zwykłym konstruktem. „Prawa człowieka" liberałom długo zapewniały moralne uzasadnienie i spokój sumienia (a więc i subiektywiści, mimo wszystkich zapewnień, potrzebują jakiegoś zakorzenienia w Absolucie!), a dla nowolewicowców stały się dodatkowo narzędziem służącym kreowaniu „zdroworozsądkowych" postaw. Aborcja prawem człowieka? Związki homoseksualne? Średnia hawajska dla każdego? Czemu nie. W tej chwili „prawa człowieka" są tworem bez solidnego fundamentu filozoficznego, który można urabiać w dowolnym kierunku, zgodnie z interesami grupy hegemonicznej. System kapitalistyczny zyskał w ten sposób moralną sankcję, usypał kolejny szaniec, bez którego naruszenia nie można dotrzeć do istoty problemu.

Aby ukazać rolę nowej lewicy, pod którym to pojęciem zamykają się wszelkiej maści ruchy gejowskie, feministyczne, proimigranckie itd., najlepiej posłużyć się przykładami.

Masowa imigracja do Europy Zachodniej w drugiej połowie XX w. stymulowana była przez wielki kapitał. Ruch ten poczyniono w celu wywarcia oddolnego nacisku na zarobki lokalnych robotników, zredukowania ich zapału do protestów oraz osłabienia jedności w ruchu pracowniczym. Posiadacze kapitału nie muszą się martwić społecznymi konsekwencjami starcia odmiennych tożsamości. Z pieniędzmi zarobionymi przez ich firmy, których rentowność jest w ten sposób zapewniona, mogą rezydować w pięknych dzielnicach, pozostawiając swych mniej majętnych rodaków, by radzili sobie sami z obcą populacją w ubogich, podmiejskich obszarach. Dopiero później do tego stanu faktycznego dorobiono ideologię multikulturalizmu. Nowolewicowcy rekrutują się spośród warstw lepiej sytuowanych (przeciętny dochód w gospodarstwie konsumenta LGBT w Europie jest 23 proc. wyższy niż średnia; wedle badań przeprowadzonych w Polsce w 2003 r. aż 75 proc. gejów i lesbijek zarabiało powyżej średniej krajowej), przez co odczuwają z kapitalistami klasową solidarność. Multikulturalizm stał się potężnym sojusznikiem kapitału, na czym tracą… najbiedniejsi. Multikulturalne społeczeństwo, złożone z pogubionych tożsamościowo nomadów, stanowi perfekcyjny materiał pracowniczy. Nie bez powodu należąca do Amazona firma Whole Foods oceniała ryzyko powstania związku

zawodowego na podstawie m.in. różnorodności rasowej w miejscu pracy. Obcy dla siebie ludzie nie zjednoczą się w celu walki o lepsze warunki pracy lub wyższe płace, a więc nie będą przeszkodą w osiągnięciu większego zysku.

Globalna multikulturalna unifikacja i destrukcja naturalnych tożsamości sprzyja konsumpcjonizmowi. Po pierwsze – prowadzenie sprzedaży jest dużo prostsze, gdy wszędzie występuje ten sam człowiek, jednowymiarowy, homo oeconomicus. Po drugie – człowiek potrzebuje tożsamości. Jeśli zabierze się mu tożsamości prawdziwe, zastąpi je tanimi substytutami, proponowanymi przez wielki kapitał. Nie bez powodu osoby utożsamiające się z ruchem LGBT (dla których tym samym główny składnik tożsamości stanowią zachowania seksualne, w swojej istocie stanowiące rozciągnięcie logiki konsumpcjonistycznej nawet na drugiego człowieka; akt płciowy z natury wykluczający prokreację jest czystą konsumpcją) określane są na forach i blogach marketingowców jako „konsumenci idealni". Wydają one więcej pieniędzy na siebie, bo nie mają potomstwa (czyż nie współgra to idealnie z opisywaną egocentryczną duchową podstawą kapitalizmu?). Dwa razy więcej z nich w porównaniu z resztą społeczeństwa chce podążać za trendami, 40 proc. kupiło w ciągu roku nowy telefon, 45 proc. ma tendencje do kupowania nowych wersji tych samych produktów, 94 proc. środowiska LGBT deklaruje swoją lojalność wobec marek, które promują się w mediach skierowanych do tej grupy. Podstawą tożsamości staje się więc konsumpcja. Nowolewicowy „nowy proletariat" nie jest w stanie w jakikolwiek realny sposób zbuntować się przeciwko kapitalizmowi, choćby całymi nocami czytał Marcusego (notabene – pracownika Office of Strategic Services, prekursora CIA; amerykański *deep state* mocno promował kanon teorii krytycznej, odrzucający rdzeń myśli marksistowskiej i konieczność pracy nad „bazą" w celu kontroli radykalnej lewicy i uniemożliwienia powstania zjednoczonej partii robotniczej; Marks twierdził, że opresja społeczna jest wynikiem ucisku klasowego, a patrzenie na nią przez jakikolwiek inny pryzmat – np. rasy czy płci – jest mistyfikacją burżuazji, a dokładnie to zrobił Marcuse w *Człowieku jednowymiarowym* przez wprowadzenie pojęcia „intersekcjonalności", które legło u podstawy teorii krytycznej) i malował najpiękniejsze antykapitalistyczne transparenty. „Nowy proletariat" bardzo dobrze odnajduje się w warunkach „tęczowego kapitalizmu" i do jego umacniania dąży podświadomie, realizując swój klasowy interes. Nie jest zdolny nawet do podjęcia próby obalenia tego systemu (a na pewno nie próby rewolucyjnej). Wielkie korporacje masowo wspierają parady równości, proaborcyjne inicjatywy czy manifestacje BLM – goszyści nie mogą po prostu nagle zacząć kąsać ręki, która ich karmi.

W XX w. do systemu produkcji włączono na masową skalę wcześniej „ekonomicznie bierną" grupę ludności – kobiety. W tym przypadku również jak na dłoni widać, jak baza z czasem ukształtowała nadbudowę. Kobieta zobligowana jest przez naturę do rozsądnego doboru swoich partnerów seksualnych. To ona więcej ryzykuje podczas stosunku seksualnego, to ona będzie nosiła dziecko przez 9 miesięcy pod swoim sercem, to ona w tym czasie potrzebuje opieki. Potomstwo jednak w systemie kapitalistycznym powoduje zastój w produkcji i zwrócenie lojalności pracownika w innym kierunku niż firma. Dlatego jest zasadniczo niepożądane (nowi pracownicy przyjadą z Afryki albo Azji). Kiedyś dzieci były

gwarantem ekonomicznego przetrwania podstawowej komórki społecznej – rodziny. To one pracowały w polu, nie jacyś najemnicy o ciemniejszym kolorze skóry lub wschodnim akcencie. Dziś stanowią jedynie finansowe obciążenie i żeby znaleźć ekonomiczne uzasadnienie ich posiadania, naprawdę potrzeba byłoby bardzo kreatywnej księgowości. Kapitalistyczna „baza" z czasem ukształtowała więc liberalną „nadbudowę", która zaczęła wpajać młodym kobietom, że ich „wolnością" jest zupełnie dowolny dobór partnerów seksualnych, a w razie „wpadki" – zabicie jej owocu, dziecka, i pozbycie się w ten sposób „problemu". W tak okrutny sposób zaowocowała kapitalistyczna „nierozporządzalność". Efektem takiego podejścia jest to, że kobiety są zwyczajnie… nieszczęśliwe. Według badań przeprowadzonych w USA profil najnieszczęśliwszej osoby wśród tzw. białych kołnierzyków to 42-letnia kobieta nieposiadająca męża ani potomstwa, ale za to o wysokiej pozycji zawodowej – lekarka lub prawniczka. Cóż, w tym wieku naprawienie swojej sytuacji może być bardzo trudne, więc pozostaje jej jakaś racjonalizacja, znalezienie nowego sensu w życiu. Wtedy taka osoba zaczyna angażować się w „kontrolowaną rewolucję", włączając się w działania np. grup feministycznych, zapewniających poczucie wspólnoty i wyimaginowany cel. A gdy praca rewolucyjna przestanie już wystarczać, pozostanie… eutanazja, idealne narzędzie do pozbywania się bezproduktywnych uczestników systemu. Koło się domyka. Mamona zagarnia kolejne obszary rzeczywistości, utowarowiając nawet człowieka.

≡ Z KIM WALCZYĆ?

Nowolewicowa ideologia jest jak hydra o wielu głowach. Po odcięciu jednej na jej miejsce wyrosną kolejne, jeszcze bardziej absurdalne. Jest ona jedynie wytworem, narzędziem świata liberalno-kapitalistycznego. I to ten świat winien być negowany w celu odkłamania prawdy o człowieku i uratowania milionów niewinnych istnień każdego dnia mordowanych w klinikach aborcyjnych oraz eksploatowanych przez zabieranie im nie pieniędzy, ale czasu i przestrzeni. Nie oznacza to, żeby nie sprzeciwiać się goszystom – ich szaleństwo można powstrzymać jedynie przez czynny opór połączony z „odcinaniem tlenu": dekonstrukcją ideologii liberalnej i systemu kapitalistycznego. Jeżeli kapitalizm był pierwotny wobec liberalizmu, to teraz należy przejść drogą powrotną – bez zmiany sposobu myślenia nie uda się ostatecznie zmienić materialnej bazy.

Prymat pracy nad zmianą sposobu myślenia nie oznacza rezygnacji z konieczności równoczesnych działań również w dziedzinie bazy. Potrzebne jest korygowanie systemu, sam proces mobilizacji społecznej w tym kierunku może okazać się bardzo przydatnym narzędziem służącym wyzwoleniu uczuć wspólnotowych, które później będzie można ugruntowywać. System jest tym bardziej „kapitalistyczny", im większe jest wyobcowanie kapitału na dwóch głównych płaszczyznach – społecznej i politycznej. To pierwsze przejawia się przez brak szerokiej partycypacji w zyskach wynikających z jego pomnażania szerokich mas społecznych, np. poprzez płace lub jakąś formę akcjonariatu pracowniczego. Mamy dziś do czynienia z potężną akumulacją kapitału, który jest po prostu zamrażany w gospodarce.

Pod tym względem wracamy w pewnym stopniu do XIX w., co z pewnością będzie powodowało napięcia. Drugi rodzaj wyobcowania jest fenomenem XXI w. Kapitał uniezależnił się od struktur mających demokratyczną legitymizację (państw narodowych) jak jeszcze nigdy w dziejach. Rozrost struktur ponadnarodowych korporacji doprowadził do sytuacji, w której są one w stanie sterować całymi państwami oraz prowadzić swoją samodzielną, nastawioną na zysk, politykę, chociażby w Afryce – to właśnie działania wielkiego kapitału doprowadziły np. do ludobójstwa w Rwandzie, co w przekonujący sposób opisał prof. Kieżun. Dzięki zmniejszaniu „kapitalistyczności" systemu na tych dwóch płaszczyznach z czasem powinien utworzyć się nowy, bardziej ludzki system gospodarczy, w którym człowiek zyska przewagę nad pieniądzem.

Współcześnie refleksja zbyt często utyka na poziomie dyskusji o władzy kulturowej, a przecież żadna wartościowa zmiana w tej dziedzinie nie dokona się bez końcowej reorganizacji systemu. Myślący człowiek musi się więc dziś ogłosić rewolucjonistą, osobą dążącą do zasadniczych zmian rzeczywistości. Nieład współczesności jest zbyt wrośnięty w ciało społeczne, aby można go było usunąć bez gruntownego obalenia, bez głębokiej rewizji wartości, bez reorganizacji struktur i odnowienia elit.

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

Prawdziwy patriotyzm nie tylko polega na tym, ażeby kochać jakąś idealną ojczyznę, ale – ażeby kochać, badać i pracować dla realnych składników tej ojczyzny, którymi są ziemia, społeczeństwo, ludzie i wszelkie ich bogactwa.

BOLESŁAW PRUS

Tomasz Szczepański

Koncepcja Międzymorza w programie i praktyce Politycznej Konfederacji Polski Niepodległej w latach 1989–1997



Fot. Twitter

Idea Międzymorza jest trwałym elementem polskiej myśli geopolitycznej. Historycznie związana była z obozem, osobą i tradycją Józefa Piłsudskiego[1] i jego kontynuatorów. Warto jednak zaznaczyć, że zyskiwała akceptację także wśród działaczy związanych z ruchem socjalistycznym, ludowym czy narodowym[2]. W okresie PRL ze zrozumiałych względów mogła być propagowana jako program polityczny jedynie w środowiskach opozycyjnych – wśród nich od początku swojego istnienia potrzebę budowy układu skupiającego kraje Międzymorza za jeden z celów politycznych uznawała Konfederacja Polski Niepodległej. Nie zmieniło się to także w III RP, kiedy to w warunkach legalnych, w okresie przejściowym (1989–1991), KPN rozbudowała swoją strukturę, a od wyborów w październiku 1991 r. stała się partią parlamentarną. Okresowi, w którym partia ta mogła realnie zaznaczyć swoje postulaty na scenie politycznej III RP, poświęcony jest ten artykuł.

[1] P. Okulewicz, *Koncepcja „międzymorza" w myśli i praktyce politycznej obozu Józefa Piłsudskiego w latach 1918–1926*, Poznań 2001.

[2] B. Grott, *Idea „Międzymorza" w ujęciu Adama Doboszyńskiego*, [w:] M. Piotrowski (red.), *Na przełomie stuleci: naród – Kościół – państwo w XIX i XX wieku: księga jubileuszowa dedykowana profesorowi Ryszardowi Benderowi*, Lublin 1997, s. 331–339; P. Okulewicz, *Koncepcja „międzymorza" w ujęciu Włodzimierza Wakara*, „Mazowieckie Studia Humanistyczne" 2002, t. 8, nr 2.

≡ Międzymorze w programie i działalności KPN w III RP

Za początek omawianego okresu uznano wybory czerwcowe 1989 r., zgodnie postrzegane jako symboliczny początek upadku systemu komunistycznego w Polsce, a za cezurę końcową – wybory 1997 r., po których KPN znika z parlamentu, a wkrótce potem przestaje istnieć, przynajmniej jako znacząca siła polityczna.

Jesienią 1990 r. Leszek Moczulski, będący nie tylko liderem partii, lecz także jej ideologiem, publikuje broszurę *U progu niepodległości. 2. część Rewolucji bez rewolucji*[3], gdzie przedstawia stosunek do głównych zagadnień politycznych w okresie przejściowym, w którym znajdowała się Polska. W jednym z jej rozdziałów postuluje wykorzystanie istniejącego kryzysu Imperium Rosyjskiego (ZSRR traktowany był jako kontynuacja Imperium sprzed rewolucji październikowej) do rozpoczęcia procesu integracji Międzymorza.

W styczniu 1991 r. decyzją Leszka Moczulskiego w strukturze władz centralnych KPN został powołany Referat Międzymorze – komórka mająca koordynować działalność partii na tym odcinku. Kierownikiem Referatu (w ciągu całego omawianego okresu) był Tomasz Szczepański.

Wybory parlamentarne w 1991 r. dały KPN 51 mandatów poselskich i 4 senatorskie, czyniąc z niej – wobec rozdrobnienia Sejmu RP – jedną z głównych sił parlamentarnych[4].

IV Kongres KPN, który odbył się w Warszawie w kwietniu 1992 r., stanowił okazję do programowego podsumowania okresu przejściowego w polityce polskiej i określenia celów w nowym okresie dziejów kraju. Wydane jako broszura *Tezy programowe Konfederacji Polski Niepodległej uchwalone przez IV Kongres* zawierają rozdział *Budowanie bezpiecznej struktury międzypaństwowej Międzymorza*. Czytamy w nim:

> Układ polityczny i ekonomiczny kształtujący się zarówno na wschód, jak i na zachód może się okazać niestabilny. Polska znajduje się dziś w systemie państw postkomunistycznych, posiadających takie same lub podobne problemy i stających przed wspólnymi wyzwaniami i zagrożeniami. Wielką możliwością, jaka stoi przed krajami naszej części Europy jest powstanie federacji środkowo i wschodnioeuropejskiej. Podstawą tej federacji winny być Polska, Ukraina, Czechosłowacja, Węgry, Białoruś, Litwa, kraje bałkańskie. Każdy z tych krajów jest zbyt słaby, aby móc być traktowanym jak równorzędny partner wobec potężnej, zintegrowanej gospodarki zachodnioeuropejskiej czy też jako partner polityczny wobec nadal potężnej Rosji. Wszystkie nasze kraje, potencjalnie mogące stworzyć nową strukturę międzypaństwową, połączone wspólną wolą działania, stanowią nie tylko największy rynek konsumpcyjny Europy, ale także ogromny potencjał gospodarczy, intelektualny, technologiczny i surowcowy. Wyzwaniem

---

[3] L. Moczulski, *U progu niepodległości: Rewolucja bez rewolucji*, cz. 2, Warszawa 1990.

[4] A. Anusz, Ł. Perzyna, *Konfederacja. Rzecz o KPN*, Warszawa 2009 (dokładne wyniki wyborów: s. 90-91). Zob. także: A. Słomka, *Historia KPN*, Warszawa 1994.

historii jest zbudowanie wspólnego rynku Międzymorza oraz zintegrowanego systemu bezpieczeństwa wzajemnego[5].

W zwięzłym ujęciu problemu zwraca uwagę rozumienie Międzymorza jako „obszaru ABC" – Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne – a także rozumienie tej koncepcji jako sojuszu państw niepodległych (zatem nie była to wizja „superpaństwa", co spotyka się niekiedy w dziennikarskich ujęciach problemu). IV Kongres uchwalił też osobną uchwałę – wezwanie do narodów Europy Wschodniej – wyjaśniającą omawianą koncepcję[6].

Wagę problematyki potwierdził w tymże roku raz jeszcze przewodniczący KPN w udzielonym Tadeuszowi Kraśce i Ewie Sochackiej wywiadzie, wydanym w postaci broszury[7].

≡ Problematyka środkowoeuropejska, wschodnioeuropejska oraz „prometejska" w wydawnictwach KPN

Mówiąc o wydawnictwach KPN, mam na myśli zarówno publikacje oficjalnie sygnowane przez KPN, jak i te, którymi faktycznie KPN kierowała, niezależnie od formalnego wydawcy. W omawianym okresie były to: tygodnik „Opinia" (1990), tygodnik „Razem" (1991–92), biuletyn „Gazeta Polska" oraz jego kontynuacja „Gazeta Polska KPN" (z modyfikacjami)[8]. Ponadto wychodził wewnętrzny „Biuletyn Informacyjny KPN" oraz pisma (czasem efemerydy) struktur lokalnych partii, jak „Konfederat Cieszyński", „Konfederat Krakowski", „Opinia Świętokrzyska", „Zapora. Biuletyn informacyjny okręgu bialskopodlaskiego KPN".

Umieszczanie materiałów dotyczących problematyki „międzymorskiej" w wydawnictwach KPN posiadało walor nie tylko informacyjny, lecz także propagandowy i wychowawczy, przy czym w pierwszym rzędzie chodziło o oddziaływanie na członków i zwolenników KPN (wobec częściowo wewnętrznego kolportażu to oni stanowili główną grupę odbiorców tych wydawnictw). Otóż niezależnie od obecności omawianego tematu w programie partii wśród członków mniej świadomych politycznie pojawiało się podejście w konsekwencji zaprzeczające tej części nominalnie wyznawanego programu. Wiązało się to z – całkowicie skądinąd

---

[5] *Tezy programowe Konfederacji Polski Niepodległej* (IV Kongres, marzec 1992 r.), Warszawa 1992.

[6] *Apel IV Kongresu KPN do społeczeństw i sił politycznych krajów Międzymorza*, Zob. Aneks do tekstu.

[7] T. Kraśko, E. Sochacka, *Leszek Moczulski: wygram tę wojnę!*, Warszawa 1992, zwł. s. 51–57.

[8] Pismo pt. „Gazeta Polska" wydawała KPN w podziemiu do 1989 r. W warunkach legalności rozpoczęto wydawanie gazety o tej nazwie, jednak zaniedbano rejestrację sądową tytułu. Tytuł ten sądownie zarejestrował działacz endecki Edward Mastej i następnie odsprzedał go Piotrowi Wierzbickiemu, który rozpoczął wydawanie „Gazety Polskiej". KPN procesowała się z nim, ale sprawę przegrała i od 1993 r. rozpoczęła wydawanie „Gazety Polskiej KPN". W tekście cytowane są oba tytuły, dla tych z lat 1992–1993 dodaję (KPN) – nie było ono wówczas częścią tytułu – dla odróżnienia od wychodzącego wówczas pisma Wierzbickiego. O dziejach tego tytułu zob. K. Król, *Nasza GaPa*, „Gazeta Polska" (KPN) 1994, 19 marca, nr 1/164.

zrozumiałym w środowiskach patriotycznych – sentymentem za utraconymi Kresami Wschodnimi, który niekiedy przeradzał się wprost w polityczne nadzieje ich odzyskania. Nie dysponuję odpowiednimi badaniami, ale można zaryzykować hipotezę, że jeszcze częściej takie nastroje pojawiały się wśród elektoratu. Kiedy na łamach „Gazety Polskiej" (KPN) pojawił się artykuł wyjaśniający, że partia opowiada się przeciwko programowi rewizji granic wschodnich, do niektórych działaczy KPN zaczęły wpływać protesty[9]. Działała tutaj też propaganda sił niechętnych KPN – zarówno postkomuniści, jak i obóz „europejski" (lewicowo-liberalny, którego główną emanacją polityczną w tym czasie była Unia Demokratyczna i Unia Wolności, a emanacją medialną – „Gazeta Wyborcza") przedstawiały KPN jako partię szowinistyczną i ekspansjonistyczną. Paradoksalnie napędzało to partii nowych sympatyków, jednak niekoniecznie takich, jakich byśmy chcieli (można zaryzykować hipotezę, że w omawianym okresie wobec przewagi medialnej sił postkomunistycznych oraz lewicowo-liberalnych KPN nie panowała nad własnym obrazem medialnym, który poważnie odbiegał od rzeczywistego). Stąd też poza podjęciem akcji odczytowej o koncepcji Międzymorza dla członków i sympatyków KPN Referat Międzymorze generował w pismach partii materiały poświęcone problematyce Europy Wschodniej[10]. Oficjalne stanowiska władz KPN dotyczące tej problematyki (np. poparcie dla niepodległości Litwy „w jej obecnych granicach" ogłoszone 6 lutego 1990 r.) nagłaśniano w wydawnictwach partii, także tych lokalnych[11]. Oprócz autorów-działaczy Konfederacji w prasie KPN wykorzystywano osoby kompetentne i sympatyzujące przynajmniej z tym punktem konfederackiego programu[12]. Na łamach prasy konfederackiej pojawiały się też materiały dotyczące „wschodnich" mniejszości narodowych w Polsce, przy czym wiązało się to nie tyle z samą wagą tego zjawiska (mniejszości narodowe w Polsce po 1945 r. były i są kwestią marginalną statystycznie), ile z chęcią uwrażliwienia czytelnika na problematykę[13]. Zasygnalizowaniem partnerskiego podejścia do odzyskujących swoją niepodległość sąsiadów na wschodzie było też zorganizowanie przez Referat Międzymorze wywiadu Leszka Moczulskiego dla białoruskiej „Niwy" (najdłużej ukazującego się pisma mniejszości białoruskiej w Polsce, czytywanego także

---

9 T. Szczepański, *Dlaczego nie dążymy do rewizji granic*, „Gazeta Polska" (KPN) 1992, 7 czerwca, nr 2. Ostra polemika z tym stanowiskiem KPN zob. R. Wiernik, *Jeszcze jeden nieomylny*, „Nasze Porozumienie" 1995, luty–marzec, nr 1–2 (31–32).

10 Tenże, *W trzy kolory. Po wyborach na Ukrainie* „Gazeta Polska KPN" 1994, 15–28 maja, nr 170–171; *Mińskie impresje*, „Gazeta Polska KPN", 1995, 28 maja–10 czerwca, nr 221–222; *Żółto-błękitni Polacy – rozmowa z Romanem Malowskim przewodniczącym kijowskiego stowarzyszenia Polaków „Zgoda"*, „Gazeta Polska KPN" 1995, nr 239–240.

11 „Zapora. Biuletyn informacyjny okręgu bialskopodlaskiego KPN" 1990, kwiecień, nr 2; tamże list Moczulskiego do Vytautasa Landsbergisa (przewodniczącego ruchu „Sajudis").

12 Autorami byli m.in. Tadeusz M. Trajdos i hungarysta Maciej Tutak.

13 T. Szczepański, *W Białymstoku i gdzie indziej – rozmowa z Jarosławem Iwaniukiem przewodniczącym oddziału warszawskiego Białoruskiego Zrzeszenia Studentów*, „Razem" 1991, 8 sierpnia, nr 32; *Mniej bezpieczeństwa – więcej wolności. Rozmowa z Bogumiłą Berdychowską dyrektorem Biura ds. Mniejszości Narodowych MKiS*, „Gazeta Polska" (KPN) 1992, nr 8; *Polityką zajmuję się od zawsze – z Olegiem Łatyszonkiem przewodniczącym Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego rozmawia Tomasz Szczepański*, „Gazeta Polska KPN" 1993, 21 lutego, nr 8 (102).

na Białorusi) oraz cykl wywiadów z dyplomatami z krajów Europy Wschodniej na łamach „Gazety Polskiej KPN"[14].

Elementem wyżej wspomnianych działań było opublikowanie broszury *Międzymorze. Polityka środkowoeuropejska KPN*[15], zwięźle wyjaśniającej ten aspekt programu Konfederacji. W tymże roku staraniem KPN wydano też tłumaczenie broszury na język ukraiński i białoruski (egzemplarze w tych językach rozdawano odpowiednio na Ukrainie oraz Białorusi podczas wizyt działaczy KPN). Broszura spotkała się publicystycznymi reakcjami, jednak poza ówczesnym głównym nurtem publicystyki politycznej[16]. Należy pamiętać że zarówno omawiane tu ogólne stanowisko geopolityczne KPN, jak i wynikające z niego podejście do spraw szczegółowych (np. wspomniane wyżej poparcie dla uznania niepodległości Litwy w 1990 r., z czym rząd Mazowieckiego zwlekał) stały w sprzeczności z kierunkiem polityki zagranicznej tego rządu i następnych, w których ministrem spraw zagranicznych był Krzysztof Skubiszewski (1989–1993)[17]. Rzutowało to na możliwości prezentacji tej koncepcji w mediach głównego nurtu, poczuwających się do obowiązku obrony tej linii politycznej.

≡ Liga Partii Krajów Międzymorza 1994–1997

Praktyczną próbą działania na rzecz realizacji tej koncepcji, przynajmniej w skali możliwej dla partii opozycyjnej i dysponującej skromnymi środkami, było powołanie Ligi Partii Krajów Międzymorza (LPKM). To porozumienie niepodległościowych partii politycznych powołano w Kijowie w lipcu 1994 r. W I kongresie (założycielskim) uczestniczyli przedstawiciele 15 partii politycznych z 6 krajów (Białorusi, Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Ukrainy). Z partii polskich, poza KPN, wzięły udział w tej inicjatywie Ruch Trzeciej Rzeczypospolitej (RTR, kierowany przez Jana Parysa; jego przedstawicielami w pracach LPKM byli Wojciech Bogaczyk i Adam Chajewski[18]) oraz (w pierwszych dwóch kongresach) marginalna Polska Partia Republikańska – Trzecia Siła. Ukrainę reprezentowały Ukraińska Partia Republikańska, Demokratyczna Partia Ukrainy, Kongres Ukraińskich

Społecznie i politycznie

---

[14] I. Iwaniuk, *My prysudżanyja na supracounictwa* [rozmowa z Leszkiem Moczulskim], „Niwa" 1992, nr 35; T. Szczepański, *Wykorzenić stereotypy. Rozmowa z Teodozjuszem Starakiem, charge d' daffaires Ukrainy w Polsce*, „Gazeta Polska" (KPN) 1992, nr 9; T. Szczepański, J. Oporski, *Co nas łączy, co nas dzieli. Rozmowa z ambasadorem Republiki Litwy Dainiusem Juneviciusem*, „Gazeta Polska" (KPN) 1994, nr 13 (107).

[15] T. Szczepański, *Międzymorze. Polityka środkowoeuropejska KPN*, Warszawa 1993.

[16] W. Trojan, *„Międzymorze" – koncepcja polityki środkowoeuropejskiej*, „Szczerbiec" 1994, nr 10; J.C. Kamiński, *Międzymorze*, „Myśl Polska" 1–15 grudnia 1993; T.A. Olszański, *Czym ma być Międzymorze?*, „Dyskusja-Dyskusija" 1993, wrzesień, nr 2.

[17] Więcej o ówczesnej polityce wschodniej rządów RP zob. J. Strzelczyk, *Ucieczka ze Wschodu. Rosja w polskiej polityce 1989–1993*, Warszawa 2002.

[18] Jego ocena polskiej polityki wschodniej była w wielu punktach zbieżna z opiniami KPN, zob. A. Chajewski, *Polityka marnotrawionych szans: Cele i zadania polityki polskiej*, cz. 1. „ABC. Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne", Warszawa 2000.

Nacjonalistów, Partia Zielonych Ukrainy, a Białoruś – Białoruski Front Narodowy i Zjednoczona Demokratyczna Partia Białorusi[20]. Zwraca uwagę nieobecność najsilniejszego wówczas ugrupowania antykomunistycznego na Ukrainie, jakim był Narodowy Ruch Ukrainy, kierowany przez Wiaczesława Czornowiła. Wynikało to z rywalizacji, jakie obie ukraińskie partie toczyły w tym czasie o elektorat antykomunistyczny i niepodległościowy. KPN utrzymywała kontakty z „Ruchem" niezależnie od LPKM. Delegacje KPN (z udziałem m.in. Leszka Moczulskiego i Dariusza Wójcika) były obecne na zjazdach „Ruchu". Poza założycielskim odbyły się trzy kongresy LPKM – w Jarosławiu n. Sanem[21] (1995), w Mińsku (1996) i w Kijowie (1997). Na kongresach LPKM przyjmowano wspólne stanowiska dotyczące problematyki regionu. Liga stanowiła też płaszczyznę wymiany informacji między uczestniczącymi w niej partiami. W miarę możności pomiędzy kongresami utrzymywano kontakt korespondencyjny lub też osobisty z okazji jakichś istotnych wydarzeń (np. referendum i wyborów na Białorusi)[22]. Przejawem współpracy politycznej była manifestacja zorganizowana przez KPN wiosną 1996 r. przed ambasadą Białorusi w Warszawie w obronie dwóch działaczy BFN (Jury Chadyki i Wiaczesława Siwczyka) aresztowanych po demonstracjach w Mińsku (tzw. „Mińska Wiosna" 1996 r.). W demonstracji tej oprócz działaczy KPN brali udział lider BFN, Zenon Paźniak, i przedstawiciele mniejszości białoruskiej w Polsce. Rozłam w KPN w 1996 r., postępująca marginalizacja tej partii po jej wypadnięciu z Sejmu (1997) oraz przemiany polityczne w krajach regionu (zwłaszcza upadek znaczenia BFN na Białorusi jako lidera tamtejszych sił narodowych oraz URP na Ukrainie) spowodowały zanik inicjatywy.

≡ UDZIAŁ KPN W PRACACH KOMITETU POLSKA-CZECZENIA

W grudniu 1994 r. wybuchła pierwsza wojna czeczeńska[23]. Wkrótce potem do biura KPN w Warszawie (w omawianym okresie znajdowało się ono przy ul. Nowy Świat 18/20) przybył emisariusz prezydenta Czeczenii (Czeczeńska Republika Iczkerii) Dżochara Dudajewa – Ali Ramazan Ampukajew, w towarzystwie swojego polskiego współpracownika Macieja Jachimczyka. Po rozmowie z Leszkiem Moczulskim i innymi przedstawicielami kierownictwa KPN zdecydowano poprzeć sprawę niepodległości Czeczenii politycznie oraz – w miarę posiadanych możliwości – organizacyjnie.

---

[19] W niektórych tłumaczeniach polskich jako „Białoruski Front Ludowy". To samo dotyczy ukraińskiego „Narodowego Ruchu Ukrainy". Słowo „narodnyj" można przetłumaczyć na oba te sposoby, jednak biorąc pod uwagę fakt, że obie partie to przede wszystkim ruchy narodowo-wyzwoleńcze za właściwsze uważam tłumaczenie „narodowy".

[20] Pełna lista – „Intersea Bulletin" 1994, nr 1. Zob. także http://www.barnimregalica.pl/dokumenty-konferencji-krajow-Miedzymorza.html.

[21] T. Szczepański, *II Kongres Ligi Partii Krajów Międzymorza*, „Gazeta Polska KPN" 1995, 25 czerwca–8 lipca, nr 225–226. Był tam wówczas wiceburmistrzem działacz KPN Andrzej Tadeusz Mazurkiewicz, którego pomoc bardzo ułatwiła organizację kongresu.

[22] J.C. Kamiński, *Regres białoruskiego odrodzenia. Rozmowa z Tomaszem Szczepańskim, szefem Referatu Międzymorze KPN, obserwatorem wyborów i referendum na Białorusi*, „Myśl Polska" 1995, 4 czerwca.

[23] Geneza i przebieg wojny zob. Z. Czarnota, Z. Moszumański, *Czeczenia 94–95*, Warszawa 1996.

W siedzibie KPN wydzielono pomieszczenie dla biura Ampukajewa (funkcjonowało tam kilka miesięcy, do momentu, gdy dostał pomieszczenie od władz Warszawy w PKiN) oraz zdecydowano zainicjować proczeczeńskie demonstracje w Warszawie i niektórych innych miastach. Pierwsze manifestacje, a także publiczne wystąpienia (m.in. „Towarzystwo Pomost” zorganizowało spotkanie publiczne z Ampukajewem) przyciągnęły grupę osób zainteresowanych tematem i chcących wesprzeć Czeczenię jako zorganizowane ciało społeczne. W ten sposób w 1995 r. powstał Komitet Polska Czeczenia, mający charakter stowarzyszenia społecznego grupującego osoby z różnych opcji politycznych, głównie antykomunistycznej „prawicy” (Adam Borowski, Wojciech Bogaczyk, Zdzisław Bielecki, Zofia Romaszewska, Tomasz Szczepański, Wojciech Ziembiński). Przewodniczącym KPC został Wojciech Bogaczyk. Miejscem spotkań Komitetu było warszawskie biuro KPN.

Komitet zorganizował manifestację poparcia dla walki Czeczenii o niepodległość[24], a także ogłaszał swoje stanowisko w postaci listów otwartych[25]. Udzielono też pomocy kierowanej przez Zdzisława Bieleckiego Fundacji Dzieło Odbudowy Miłości, wspierając jej starania o lokal u władz Warszawy, a także uczestnicząc w zbiórce darów na rzecz poszkodowanych w wojnie. Dary te zostały przewiezione do Czeczenii przez konwój firmowany przez Fundację DOM. Do końca istnienia KPN jako siły sejmowej Komitet korzystał z jej wsparcia.

≡ KONTAKTY Z NIEPODLEGŁOŚCIOWCAMI GRUZIŃSKIMI

Za pośrednictwem przebywających w Polsce studentów z Gruzji (m.in. studiujący w Warszawie Gocza Szatiriszwili) został nawiązany kontakt z liderem gruzińskiej Partii Narodowo-Demokratycznej, Giorgim Czanturią. Podczas swojej wizyty w Polsce (1993) odwiedził on biuro KPN w Warszawie, gdzie spotkał się z Leszkiem Moczulskim i niektórymi innymi członkami władz KPN. Planowano stałą współpracę obu partii oraz przyjazd Moczulskiego do Gruzji[26]. Współpraca ta jednak upadła wobec śmierci Czanturii w zamachu w 1994 r.

≡ AKTYWNOŚĆ POSŁÓW KPN NA RZECZ POLITYKI WSCHODNIEJ

Część posłów KPN wyróżniała się dużym zainteresowaniem polityką wschodnią. Poza stale zaabsorbowanymi tą problematyką Leszkiem Moczulskim i Krzysztofem Królem, który z racji obecności w sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych (do 1996 r.

---

24 (PZ), *W rocznicę inwazji* „Gazeta Polska KPN” 1995, nr 251/254; A. Zambrowski, *Trybunał Norymberski dla Graczowa*, „Głos” 1996, 26–27 marca, nr 24 (145); Lecki, *Pikietujący i pikietowani byli zaskoczeni przez obstawę*, „Życie Warszawy” 1996, 9 maja; PAR, *Solidarność z Czeczeńcami*, „Gazeta Stołeczna” 1996, 9 maja.

25 *Całkowita likwidacja imperium* (list członków KPC do redakcji „Myśli Polskiej”, tytuł od red.), „Myśl Polska” 1995, 28 maja.

26 Autor był uczestnikiem tego spotkania. Zob. także sprawozdanie z działalności Referatu Międzymorze KPN z „Biuletyn Informacyjny KPN”, 1993. http://www.barnimregalica.pl/Konfederacja-Polski-Niepodleglej-dokumenty.html.

pełnił funkcję wiceprzewodniczącego) zajmował się tym zagadnieniem niejako z urzędu, należy tu wymienić wspomnianego Dariusza Wójcika (w latach 1991–1993 wicemarszałek Sejmu) oraz Andrzeja Tadeusza Mazurkiewicza. Ten ostatni, będąc posłem na Sejm I kadencji (w latach 1991–1993), sprawował funkcję przewodniczącego międzyparlamentarnej Grupy Polsko-Białoruskiej. Zorganizowała ona m.in. spotkanie z pierwszym prezydentem niepodległej Białorusi, Stanisławem Szuszkiewiczem, oraz pierwszym ambasadorem Białorusi w Polsce – Uładzimirem Sieńką[27].

Omawiana problematyka znalazła też swoje odzwierciedlenie w wystąpieniach posłów Leszka Moczulskiego i Krzysztofa Króla dotyczących polskiej polityki zagranicznej[28].

Należy jednak pamiętać, że znaczenie sejmowych wystąpień partii opozycyjnej, zwłaszcza politycznie izolowanej, a taką KPN była, mogło mieć wyłącznie znaczenie propagandowe i symboliczne.

≡ KPN A ORGANIZACJE SPOŁECZNE NA RZECZ WSPÓŁPRACY ŚRODKOWOEUROPEJSKIEJ

Lata transformacji zaowocowały powstaniem wielu inicjatyw „wschodnich", tj. stowarzyszeń pism czy środowisk zajmujących się problematyką obszaru postsowieckiego czy też jakimś jego wycinkiem[29]. Jednym z nich było Towarzystwo Pomost, którego część działaczy była członkami KPN (Tomasz Szczepański, Andrzej Izdebski, sympatyzował z KPN także Tadeusz Andrzej Olszański). Działalność stowarzyszenia polegała głównie na organizowaniu odczytów i dyskusji poświęconych problematyce narodowościowej Europy Środkowo-Wschodniej, dobrze więc nadawała się do realizacji wymienionego celu edukacyjnego, także w stosunku do członków i sympatyków KPN[30]. Kierowany przez Andrzeja Izdebskiego oddział krakowski Towarzystwa Pomost oprócz organizowania spotkań wykładowo-dyskusyjnych wydał kilka broszur popularyzujących różne aspekty tej koncepcji[31].

Nawiązano też kontakty z Ogólnopolskim Klubem Miłośników Litwy (wydającym pismo „Lithuania"), kierowanym przez dr. Leona Brodowskiego, oraz grupą jego współpracowników powołujących stowarzyszenia współpracy Polaków z narodami Europy

---

[27] T. Szczepańki, *Rozmowa z Andrzejem T. Mazurkiewiczem*, „Dyskusja-Dyskusja" 1995, 5 grudnia, nr 5.

[28] *Konfederacja Polski Niepodległej a polska polityka zagraniczna. Wybór dokumentów sejmowych*, Warszawa 1993.

[29] Lista tych inicjatyw (zapewne niepełna) zob. „Biuletyn Obywatelski" 1992, nr 1. Numer ten zawiera materiały z konferencji „Inicjatywy Wschodnie" zorganizowanej przez Instytut Obywatelski, na której byli obecni przedstawiciele tych inicjatyw.

[30] A. Zambrowski, *Jak powstało „Towarzystwo Pomost"*, „Tygodnik Solidarność" 1994, 27 maja, nr 22.

[31] Np. M. Boruta, *„Międzymorze" w myśli politycznej ośrodków emigracji narodów Europy Środkowej i Wschodniej w latach 1945–1985*, Kraków 1998; A. Izdebski, *Kapitan Gołębiewski żołnierz Międzymorza*, Kraków 1993; tenże, *W drodze do Międzymorza. Od Piłsudskiego do Moczulskiego*, Kraków 1999. Ww. Marian Gołębiewski, żołnierz AK i WiN, został tak nazwany jako autor lokalnego porozumienia podziemia polskiego z OUN-UPA w maju 1945 na terenie Lubelszczyzny. W latach 90. Gołębiewski kontaktował się z KPN.



Środkowo-Wschodniej. Były to m.in. Towarzystwo Polska-Ukraina (Adam Bajcar, Bazyli Nazaruk, Ryszard L. Załuska), Towarzystwo Polska-Białoruś (Tadeusz Kłopotowski) i inne – niektóre z nich okazały się zresztą efemerydami. Delegacja KPN była obecna na zorganizowanym przez OKML Sejmiku Młodzieży Europy Środkowo-Wschodniej (Kraków, 1994)[32]. Utrzymywano też kontakty z kierowanym przez prof. Jerzego Damrosza Stowarzyszeniem Współpracy Narodów Europy Wschodniej „Zbliżenie".



Demonstracja pod Ambasadą Białorusi w Warszawie w obronie białoruskich działaczy niepodległościowych J. Chadyki i W. Siwczyka, maj 1996 r . Od lewej: Antoni Zambrowski (dziennikarz „Tygodnika Solidarność"), NN, Krzysztof Król (wówczas poseł KPN), Zenon Paźniak (lider BNF), Tomasz Szczepański, Jarosław Iwaniuk (dziennikarz Polskiego Radia, członek „Towarzystwa Pomost").

WNIOSKI. PRÓBA ODPOWIEDZI NA PYTANIE O ŹRÓDŁA KLĘSKI KONCEPCJI MIĘDZYMORZA W POLITYCE III RP

Polityka zagraniczna tylko w niektórych momentach staje się główną osią podziału politycznego. Zasadniczo jakakolwiek partia, aby wpływać na politykę zagraniczną swojego państwa, musi mieć realne oparcie w swoim kraju, wtedy też, ewentualnie, staje się pożądanym partnerem dla bliskich sobie sił zagranicznych. Wyjątkiem są ugrupowania o charakterze mafijnym albo stanowiące agenturę jakiegoś podmiotu zewnętrznego (najczęściej państwa), ale przypadki takie wykraczają poza tematykę podejmowaną w artykule. Podstawowym podziałem politycznym w omawianym okresie był podział na siły postkomunistyczne i (szeroko rozumiane) postsolidarnościowe (postopozycyjne). Do rangi lidera tych ostatnich aspirowała również KPN (pomimo iż z formalnego punktu widzenia nigdy nie była częścią NSZZ „S"). Status lidera dałoby jej przejęcie elektoratu postsolidarnościowego, ale na przeszkodzie stanęła stopniowa utrata wiarygodności KPN w tym elektoracie, szczególnie

32 O Sejmiku zob.: „Lithuania" 1995, nr 1. Tam m.in. zapis wystąpień Andrzeja Izdebskiego i Tomasza Szczepańskiego. W Sejmiku wziął też udział działacz KPN z Poznania Restytut Staniewicz, a także przedstawiciele „młodzieżówki" KPN – Marek Albiniak, Radosław Sosnowski, Sergiusz Trzeciak.

po udziale tej partii w obaleniu rządu Jana Olszewskiego (4 czerwca 1992). Pomimo takiego biegu zdarzeń nigdy nie udało się siłom „magdalenkowym" zamieść pod dywan sprawy lustracji, a udział KPN w „nocnej zmianie", skwapliwie przypominany przez „prawicowych" konkurentów, odbierał KPN wiarygodność w jej elektoracie. Pamiętajmy, że poza wiarygodnością KPN nie miała innych zasobów politycznych pozwalających na przetrwanie złej koniunktury (nie posiadała ani układów biznesowo-mafijnych jak postkomuniści, ani poparcia zewnętrznego jak środowisko „Gazety Wyborczej", ani oparcia w Kościele katolickim, jak niektóre inne środowiska prawicowe). Utrata wiarygodności w średniej perspektywie czasowej oznaczała utratę wszystkiego. To sprawiało, że KPN nie powtórzyła swojego sukcesu z 1991 r., przez omawiany okres pozostając na marginesie politycznym. Powstanie Akcji Wyborczej Solidarność i rozłam w KPN w 1996 r. (wówczas wyodrębnił się KPN-Obóz Patriotyczny Adama Słomki) ostatecznie uczyniły KPN partią planktonu politycznego, odbierając znaczenie także animowanym przez nią inicjatywom międzynarodowym.

Należy pamiętać, że w rozumieniu KPN Polska zawsze miała dwóch wrogów – imperializm rosyjski oraz imperializm niemiecki (jest to zresztą zgodne z tradycją myślenia obozu piłsudczykowskiego). Koncepcja Międzymorza miała (i w moim pojęciu nadal ma) wymiar tyleż antyrosyjski, co antyniemiecki, w tym znaczeniu, że zwiększając nasze możliwości na wschodzie, utrudnia także ewentualny sojusz niemiecko-rosyjski o charakterze antypolskim (i szerzej antyśrodkowoeuropejskim). Także z tego powodu nie mogła być poparta przez te siły, które przyszłość Polski widziały w Unii Europejskiej, zdominowanej przecież przez Niemcy. Ponieważ większość społeczeństwa wierzyła wówczas, że UE jest rodzajem ziemskiego raju, wszelkie alternatywne koncepcje geopolityczne łatwo było dezawuować. Było tak tym bardziej, że większość mediów znajdowała się wówczas w rękach zwolenników akcesji do UE, co praktycznie uniemożliwiało uczciwe przedstawienie argumentów jej przeciwników w skali masowej.

Tekst wygłoszony na konferencji pt. „Międzymorze. Historia, polityka, prawo", Łódź, 22 stycznia 2017 r., z poprawkami i uzupełnieniami.

≡ BIBLIOGRAFIA

Dokumenty publikowane

Apel IV Kongresu KPN do społeczeństw i sił politycznych krajów Międzymorza [W-wa 1992].

Konfederacja Polski Niepodległej. Deklaracja ideowa, statut, program, Warszawa 1989.

Konfederacja Polski Niepodległej a polska polityka zagraniczna. Wybór dokumentów sejmowych, Warszawa 1993.

Tezy programowe Konfederacji Polski Niepodległej (IV Kongres, marzec 1992 r.).

Literatura

Polskie partie polityczne. Charakterystyki i dokumenty, pod red. K.A. Paszkiewicz, Wrocław 1996.

Anusz Andrzej, Perzyna Łukasz, *Konfederacja. Rzecz o KPN*, Warszawa 2009.

Boruta Mirosław, *Niepodległość Białorusi polską racją stanu. Z historii polskiej myśli politycznej lat 1950–1985*, Towarzystwo Pomost, Kraków 1996.

Boruta Mirosław, *„Międzymorze" w myśli politycznej ośrodków emigracji narodów Europy Środkowej i Wschodniej w latach 1945–1985*, Kraków 1998.

Boruta Mirosław, *Wolni z wolnymi, równi z równymi. Polska i Polacy o niepodległości wschodnich sąsiadów Rzeczypospolitej*, Kraków 2002.

Chajewski Adam, *Polityka marnotrawionych szans: Cele i zadania polityki polskiej*, cz. 1, „ABC. Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne", Warszawa 2000.

Grott Bogumił, *Idea „Międzymorza" w ujęciu Adama Doboszyńskiego*, [w:] *Na przełomie stuleci: naród – Kościół – państwo w XIX i XX wieku: księga jubileuszowa dedykowana profesorowi Ryszardowi Benderowi*, pod red. Mirosława Piotrowskiego, Klub Inteligencji Katolickiej, Lublin 1997.

Iwaniuk Jarosław, *My prysudżanyja na supracounictwa* [rozmowa z Leszkiem Moczulskim], „Niwa" 1992, nr 35.

Izdebski Andrzej, *Kapitan Gołębiewski żołnierz Międzymorza*, Towarzystwo Pomost, Kraków 1993.

Izdebski Andrzej, *W drodze do Międzymorza. Od Piłsudskiego do Moczulskiego*, Kraków 1999.

Kamiński Jacek C., *Międzymorze*, „Myśl Polska" 1993, 1–15 grudnia.

Kamiński Jacek C., *Regres białoruskiego odrodzenia. Rozmowa z Tomaszem Szczepańskim, szefem Referatu Międzymorze KPN, obserwatorem wyborów i referendum na Białorusi*, „Myśl Polska" 1995, 4 czerwca.

Kraśko Tadeusz, Sochacka Ewa, *Leszek Moczulski: wygram tę wojnę!*, Warszawa 1992.

Moczulski Leszek, *U progu niepodległości: Rewolucja bez rewolucji*, cz. 2, Warszawa 1990, wyd. 2, Lublin 1990.

Okulewicz Piotr, *Koncepcja „Międzymorza" w myśli i praktyce politycznej obozu Józefa Piłsudskiego w latach 1918–1926*, Poznań 2001.

Okulewicz Piotr, *Koncepcja Międzymorza w ujęciu Włodzimierza Wakara*, [w:] „Mazowieckie Studia Humanistyczne" 2002, nr 8/2, s. 209–219.

Olszański Tadeusz Andrzej, *Czym ma być Międzymorze?* [w:] „Dyskusja-Dyskusija" 1993, wrzesień, nr 2.

(PZ) *W rocznicę inwazji*, „Gazeta Polska KPN" 1995, nr 251/254.

Strzelczyk Joanna, *Ucieczka ze Wschodu. Rosja w polskiej polityce 1989–1993*, Warszawa 2002.

Szczepański Tomasz, *Międzymorze. Polityka środkowoeuropejska KPN*, Warszawa 1993.

Szczepański Tomasz, *Dlaczego nie dążymy do rewizji granic*, „Gazeta Polska" (KPN) 1992, 7 czerwca, nr 2.

Szczepański Tomasz, *Rozmowa z Andrzejem T. Mazurkiewiczem*, [w:] „Dyskusja-Dyskusija" 1993, grudzień, nr 5.

Szczepański Tomasz, *II Kongres Ligi Partii Krajów Międzymorza*, [w:] „Gazeta Polska KPN" 1995, 25 czerwca–8 lipca, 225–226.

Trojan Wojciech, *„Międzymorze" – koncepcja polityki środkowoeuropejskiej*, „Szczerbiec" 1994, nr 10.

Wiernik Romuald, *Jeszcze jeden nieomylny*, „Nasze Porozumienie" 1995, luty–marzec, nr 1–2 (31–32).

Zambrowski Antoni, *Jak powstało „Towarzystwo Pomost"*, „Tygodnik Solidarność" 1994, 27 maja, nr 22.

Prasa i czasopisma

„Biuletyn Informacyjny KPN"

„Gazeta Polska KPN"

„Dyskusja-Dyskusija"

„Intersea Bulletin"

„Lithuania"

„Opinia" 1990

„Razem" 1991

Strony internetowe

http://www.earchiwumkpn.pl/

Malwina Gogulska

Stopnie „wtajemniczenia" patriotycznego, czyli dlaczego krytyka romantyzmu jest niewychowawcza

Artur Grottger – „Bitwa", z cyklu „Polonia"

Od razu ostudźmy zapał do krytyki tych, którzy przeczytali tytuł niniejszego artykułu. Nie będziemy mówić tu o romantyzmie politycznym, który nie rozumie zadań tego prądu w życiu narodowym i próbuje jego bogactwo wprząść w swoje złe decyzje strategiczne. Takiego rozróżnienia niestety nie robi dzisiaj wiele środowisk prawicowych, głównie konserwatywnych, co jest przyczyną całej lawiny nieporozumień i oskarżeń, jakoby współczesny ruch narodowy miał proweniencję „insurekcyjną". Przybliżę nieco czytelnikom, czym był ten mityczny romantyzm – dla nas – w tej wielkiej opowieści, jaką jest polska historia.

≡ Odwaga prostego żołnierza

Spróbujmy zadać sobie na początku banalne pytanie – co spowodowało, że nasze poczucie polskiej tożsamości stało się tak silne? Co miało wpływ na nasze rozumienie polskości? Czy były to rozmowy gabinetowe księcia Adama Czartoryskiego z carem Aleksandrem? Czy może wymiana listów ostatniego króla Polski z pruskim królem Fryderykiem II? Trembecki karmiący wróble w Tulczynie? Krytyczne uwagi Aleksandra Świętochowskiego w „Przeglądzie Tygodniowym"?

Tożsamość zbudowały nam zorze nad syberyjskimi grobami Słowackiego, lilie na wodach Świtezi Mickiewicza, ruiny szalonego szlachcica z podziemiami pełnymi relikwii… to Goszczyński. Czy mocniej bije serce na widok pomnika Kilińskiego czy dagerotypu z hrabią Wielopolskim?

Jeśli odpowiemy sobie na to pytanie szczerze, bez intelektualnego zadęcia, to zrozumiemy, dlaczego w ogóle Horacy w 65 r. przed Chrystusem napisał, że „słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę", co upodobał sobie wieki później nasz wielki wódz – Stanisław Żółkiewski. Jak widać, nie sposób w morzu kultury polskiej pozostać tylko przy jednym zjawisku, od razu mnożą się kolejne. Tu pojawia się motyw wojownika-poety, który w polskiej kulturze odegrał ogromną rolę. Weźmy chociaż generała lejtnanta wojsk litewskich w powstaniu kościuszkowskim, Jakuba Jasińskiego.

Jego ciągot jakobińskich bał się sam Tadeusz Kościuszko, odsuwając go w czasach insurekcji wileńskiej, po straceniu Kossakowskiego, od inicjatyw decyzyjnych. Co jednak ten poeta-generał chciał nam przekazać w swoich nielicznych wierszach? W poemacie *Do narodu* wypowiadane są ważne strofy:

Narodzie!
[...] Dumnych jesteś igrzyskiem i pastwą swywoli.
Ty coś orężem obce przemierzał narody,
Patrz, co z tobą zrobiły domowe niezgody!

Tę prawdę o porażkach polskiego narodu, jego wewnętrzne słabości, skazy, największe wady znali już przedstawiciele lewicy w końcówce XVIII w. Czy jednak wyciągnęli z tej lekcji wnioski na przyszłość?

Koncepcja romantycznego ujmowania polskich kolei losu na tle europejskiej historii była obecna już w XVII w., kiedy to wielcy hetmani – mecenasi kultury, dobrzy chrześcijanie, wierni tradycjom swojego rodowodu – wprowadzili do swoich alokucji dwa pojęcia: „chwałę zwycięstwa" oraz „potrzebę zginięcia". Widoczne są te dwa blisko siebie stojące a biegunowe wizje zarówno w mowach Chodkiewicza, jak i Żółkiewskiego, rzecz jasna, rozsławione i wprowadzone w kulturę przez ówczesnych poetów, którzy również brali udział w bitwach. XVII w. fantastycznie oddaje, czym jest w ogóle i jak objawiała się w naszym regionie cywilizacja łacińska. To ze słów Cycerona: „rodzimy się żyjemy i umieramy dla ojczyzny", czerpali zwycięscy wodzowie z wieków, kiedy nasza Ojczyzna władała obszarem prawie od morza do morza. To właśnie poezja tyrtejska była kolumną, na której budowano wielkość Rzeczpospolitej – kodeks honorowy rycerza, ceremoniał, oracje tak niesamowicie rozwinięte w czasach hetmańskich, to wszystko stanowiło zwierciadło romantycznej idei „zwyciężym albo zginiem". Czy gdyby przed bitwą hetman miast płomiennych mów o chwale zwycięstwa lub chwale śmierci rozwijał wobec prostych żołnierzy wielką mapę i macając znaczniki obozowe, tłumaczył trudność położenia wielce rzeczowym tonem, charakterystycznym dla gabinetów, byłoby to odpowiednim „wychowaniem" patriotycznym dla mas? Prosty żołnierz musiał mieć zapewnienie, że jego walka, nawet jeśli on sam zginie, nie będzie bez sensu, że ma charakter zbawczy. Jak pisał Wacław Potocki w *Wojnie chocimskiej*:

Mógł był żyć, mógł się był i nie dać
Żółkiewski, lecz się *wstydził panu* odpowiedać,
Że wojsko zgubił, że się *porwał bez uwagi*,

Kulturalnie

Że dał sromotne Rzeczypospolitej plagi,
Wolał przeto bijąc się paść w marsowym polu!
Głowa jego czas długi w Konstantynopolu,
Znak pompy i tryumfu, odcięta od szyi,
U najwyższej wisiała wieże na kopiji.
Tak rzymski Emiliusz, choć z okrutnym żalem,
Wolał trupem w przegranej paść pod Hannibalem,
Niżeli się do miasta wróciwszy i domu,
Sprawować się wyroku niebieskiego komu.
Wolał być Koniecpolski żywcem raczej wzięty
I który czas pobrząkać dla Ojczyzny pęty,
Łacniej z turmy, niż z trumny powrócić się do niej,
A kto dziś pęto kładzie, pętem mu oddzwoni[1]

Wychowanie młodzieży, od początku istnienia w społeczeństwie świadomości cnót zarówno kardynalnych, jak i heroicznych, dokonywało się oczywiście za pomocą filozofii starożytnej i nauki płynącej z Ewangelii. Owidiuszowe *Żale* i *Pieśni* Horacego, *Eneida* Wergiliusza towarzyszyły kształcącym się w Polsce już od średniowiecza (by wymienić choćby Wincentego Kadłubka). Głównym zarzutem wobec romantyzmu jest właśnie niezrozumienie myśli przewodniej tego nurtu na gruncie polskim. Dziwnym sposobem łączy się przegrane powstania właśnie z romantyczną myślą naszych narodowych filozofów i wieszczów – Słowackiego, Krasińskiego, Norwida – czemu towarzyszy oskarżenie tych poetów o sianie „politycznego romantyzmu". Sam Dmowski pisał w *Myślach nowoczesnego Polaka*, że romantycy polscy wyrodzili niezwykle dojrzałą myśl polityczną, która wyróżniała się na tle innych krajów europejskich. Czy jednak ktoś pochylił się nad głębią filozoficzną, a nawet teologiczną, która wyziera z kart listów Słowackiego i Krasińskiego? Nie mam żalu do współczesnych konserwatystów, którzy ze szkoły pamiętają wytarte hasła i słowa klucze, jak „Polska Chrystusem Narodów" i „cierpienie odrodzi Polskę", które podawane były młodzieży w wyzutej z głębi formie podręcznikowej. Szkoda również, że nie prezentowano nam romantyzmu, który polemizował z romantyzmem – bo przecież nie mamy tutaj jednego tylko nurtu, określanego pogardliwie jako „bogoojczyźniany" i „rewolucyjny", obecnego w tomikach pod tytułem „poezja powstańcza" i w głównej mierze w twórczości Mickiewicza, ale cały niezgłębiony, fantastyczny świat – romantyków myślicieli, romantyków karcących, romantyków rozumiejących przyczynę wszelkich niepowodzeń Polski. I tak, z dzisiejszej perspektywy myśli te wydają się niepragmatyczne, bełkotliwe jak ekstatyczne uniesienia świętych i błogosławionych, których też dzisiaj prawie nikt nie czyta. A szkoda.

Mieliśmy ciekawy epizod w historii literatury i myśli, który jest dzisiaj mało znany, bo osadzony w zupełnie innych realiach, i tak oprócz Konstantego Gaszyńskiego czy Ryszarda Berwińskiego, którzy pisywali głównie „ulotki" z poezją rewolucyjną, mamy Słowackiego i Krasińskiego, którzy punktowali płyciznę Zachodu.

---

[1] W. Potocki, *Wojna chocimska*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa 2012, s. 39.

nie odmawiając jednak kunsztu np. zepsutemu Keatsowi, i wydawali tak znakomite filozoficzno-liryczne treści jak *Przedświt* i *Król Duch*.

Nie myślmy, że świat rozumu wśród inteligencji pisującej wiersze nie istniał. Wręcz przeciwnie, kiedy Niemcy zrodziły idealizm heglowski, w Polsce zaczęły się wyłaniać prądy oparte w formie na heglizmie, ale próbujące wytworzyć własną, niepowtarzalną interpretację historiozoficzną. Towianizm, spory emigracyjne, wydarzenia we Francji – rewolucje lipcowa i lutowa – służba wielu rodaków w obcym wojsku, to wszystko bardzo mocno wpłynęło na racjonalizację pewnych idei wśród nieśmiało na razie wydawanych filozofów, jak August Cieszkowski, Bronisław Trentowski, Zygmunt Krasiński. Obok grup romantyków szukających czegoś, co mogłoby pogodzić ich rozumienie Ewangelii z potrzebą socjalizacji, np. towiańczyków, mamy rzesze wspaniałych ludzi wierne katolickiej nauce i teologii wypracowanej przez Ojców Kościoła, jak Zygmunt Szczęsny Feliński – święty Kościoła Katolickiego, Jan Koźmian, Cyprian Kamil Norwid, ks. Konstanty Łubieński, abp Antoni Fijałkowski, Kornel Ujejski, Wincenty Pol, Józef Korzeniowski, Ludwik Kondratowicz.

Nasi narodowi wieszczowie odznaczali się niesamowicie pluralistyczną paletą myśli: politycznych, literackich, historiozoficznych. Bogactwo postaw, rozwijająca się dynamicznie filozofia polemiczna względem Hegla – mesjanizm, życie salonów paryskich, a więc wielka emigracyjna rodzina, do której należeli praktycznie wszyscy wielcy ludzie tamtego czasu – to wszystko ma ogromne znaczenie dla prób rozwikłania zagadki, czym jest i był dla Polaków romantyzm, bo jeśli był tylko *Balladami i romansami* wydanymi w 1822 r. w Wilnie w drukarni Józefa Zawadzkiego i egzaltowanym patriotyzmem warszawskich młodzieżówek studenckich, to trudno się dziwić tej niesprawiedliwej ocenie epoki, która zaprowadziła przecież polską kulturę do wrót dojrzałości.

≡ Oryginalność myśli polskiej w XIX w. – mesjanizm, opcja rosyjska i pierwsze próby wciągnięcia ludu do tożsamości narodowej

Dzieje emigracji polskiej nie zaczynają się wcale w XIX w., ale już pod koniec XVIII, kiedy sytuacja na arenie międzynarodowej zaczyna się gwałtownie zmieniać, początkowo na naszą korzyść. Po upadku powstania kościuszkowskiego w różne strony Europy emigrują twórcy Sejmu Wielkiego i uczestnicy Insurekcji Kościuszkowskiej, np. Julian Ursyn Niemcewicz, Stanisław Małachowski, Adam Jerzy Czartoryski – syn Adama Kazimierza, Jan Henryk Dąbrowski, Józef Poniatowski. Wszyscy mają jeden cel – pozyskać przychylność opinii publicznej za granicami utraconego kraju, rozszerzyć działalność dyplomatyczną, rozeznać wypadki europejskie, które mogłyby przysłużyć się sprawie polskiej. Był to czas, gdy do nałożenia cesarskiego diademu zaczął sposobić się Napoleon Bonaparte.

W 1806 r. zwyciężyliśmy w pierwszym powstaniu wielkopolskim przeciwko Prusom, dzięki czemu powstało Księstwo Warszawskie, a w 1809 r. wygraliśmy wojnę z Austrią, wykorzystując jej chaotyczne stosunki z Francją rządzoną przez Napoleona oraz sojusz rosyjsko-francuski, który nie pozwolił Imperium Rosyjskiemu przeszkodzić nam w walkach z Austriakami. Fantastyczne wyczucie czasu,

Kulturalnie

doskonałe dowództwo, przychylność cesarza Francuzów, ogromny sukces Legionów we Włoszech – czynniki te pozwoliły nam odzyskać sporą część ziem utraconych i poszerzyć terytorium Księstwa.

Całkowicie inną koncepcję odzyskania Polski jako zintegrowanego organizmu miał książę Adam Czartoryski, który wówczas piastował wysokie stanowiska na dworze cara Aleksandra I, będąc zresztą jego powiernikiem i najbliższym doradcą. Nie wyobrażał sobie hegemonii napoleońskiej w Europie ani niepodległości z nadania Pierwszego Konsula, nie wierzył w dobre intencje państwa, które chwałę wyniosło z krwi monarszej i powszechnego terroru, nie chciał takiego brudnego zapewnienia odbierać od rewolucyjnej Francji. W latach 20. założył słynne ugrupowanie emigranckie, które nosiło nazwę Towarzystwa Konstytucji 3, precyzyjnie wskazującą kierunek ideowy, jakim podążał wielki książę. Niestety jego potężny plan odzyskania Polski, który wyłożył Aleksandrowi I w 1803 r. pt. *Sur le systeme politique devrait suivre la Russie* (*O systemie politycznym, który winna stosować Rosja*), zakładający sojusz Rosji z Austrią, a wojnę z Prusami, odebranie im ziem i przyłączenie Galicji do Królestwa Polskiego wskrzeszonego w niepodległości pod berłem Aleksandra jako króla, został zniweczony przez dziwaczną woltę polityczną cara. Ten złożył wraz z królem pruskim przysięgę wiecznej przyjaźni przy grobie Fryderyka Wielkiego. Nasz książę podał się do dymisji i zajął budowaniem oświaty w okręgu wileńskim, co zresztą szło mu wyśmienicie do czasu rozpoczęcia rządów słynnego Nowosilcowa i cara Mikołaja, którzy pogrzebali wszystkie nadzieje tlące się jeszcze za panowania poprzedniego Romanowa. Potem już losy Czartoryskiego obserwujemy w paryskich salonach Wielkiej Emigracji.

Podczas gdy we Francji na wyższych szczeblach drabiny społecznej króluje spirytualizm spod szyldu Maine'a de Biran, a niżej wykrzykuje się jeszcze hasła głosiciela naturalizmu i równości, który swoje dzieci oddał do sierocińca – Jana Jakuba Rousseau, w Polsce wybucha mesjanizm pod przeróżnymi postaciami. Idee słowianofilstwa i czterech okresów dziejowych (Wschód, Rzym i Grecja, średniowiecze i dzieje nowożytne) głosił w fantastycznym przygotowaniu naukowym Józef Maria Hoene-Wroński, który był czołowym przedstawicielem nurtów racjonalistycznych i metafizycznych w Europie. Był on o tyle ciekawy, że pisał dzieła z zakresu nauk ścisłych, w tym matematyki i fizyki. W jego pracach matematycznych odnaleźć można wielkie pragnienie poruszania się po zagadnieniach dotyczących transcendencji. Być może dzisiaj absurdem wyda nam się, że Hoene-Wroński pisał od 1830 r. tajne listy do władców Europy, w których przedstawiał im receptę rządzenia w postaci… wzorów matematycznych. Wyłożył, na czym polega podział epok: wschodni (materialny), grecko-rzymski (moralny), średniowieczny (religijny) i nowożytny (umysłowy). Wiek XIX uważał za okres przejściowy (podobnie jak Cieszkowski), w którym ścierają się dwa obozy: konserwatywny, którego celem jest dobro, oraz liberalny, którego celem jest prawda[2]. Jednak w przeciwieństwie do naszych pisarzy i filozofów stricte romantycznych nie uznawał ściśle określonego Mesjasza, tak jak było w religii katolickiej. Dlatego być może nie przyjął się na polskim gruncie i został w pewnym stopniu zapomniany, a jego filozofia

---

[2] P. Pragacz, *Życie i dzieło Józefa Marii Hoene-Wrońskiego*, Warszawa 2007, s. 18.

odbywała metempsychiczną wędrówkę po umysłach narodowych wieszczów. Niesiety przez swój nieprzyjemny sposób bycia, oskarżanie poetów o konszachty masońskie i używanie przez nich pojęcia mesjanizmu w fałszywych interpretacjach został odsunięty na margines życia publicznego. Wywarł jednak ogromny wpływ na filozofię i literaturę polską w XIX w. Symboliczne są tutaj dwa obrazki – Rousseau porzucającego rodzinę i Hoene-Wrońskiego adoptującego Batyldę Conseillant pod koniec swojego życia.

Wydaje się, że na tle moralności obcych krajów nie wypadaliśmy wtedy aż tak źle, dlatego że polski mesjanizm, czy to mickiewiczowsko-królikowski, „polsko-chrystusowy", czy to Krasińskiego i Cieszkowskiego – millenarystyczny, wskazywały drogę do naprawy moralnej ducha narodowego, nie tkwiąc jednak na poziomie myśli, a wychodząc „do ludzi" i głosząc ideę czynu, co stanowiło pierwsze echa późniejszych kwestii socjalnych. Fantastycznie do prezentacji tej idei nastrajały naszych wieszczów ruiny – była to epoka muzeów, drogocennych gruzów, pamiątek, pielgrzymowania. Zarówno w poezji Słowackiego, jak i Krasińskiego zobaczymy pośród zwalisk rzymskiego kolosa niezłomnie opierający się wiekom krzyż, kopułę Kościoła.

Przede mną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad nimi kościół ten, co jest olbrzymem.

Rzym, J. Słowacki

Zygmunt Krasiński w liście do Konstantego Gaszyńskiego z 1833 r. pisał: „Lubię te gruzy, lubię tę karę, która spadła na miasto wieczne, na miasto ucisku i podłości [...]. Lud i Cezar nie znali nic, nie umieli nic [...]. Z Rzymu przodków swoich zrobili rynsztok rozkoszy i legli w nim i przeszło lat trzysta leżeli w nim, aż... przyszli barbarzyńcy i znieśli ich precz na wieki! – Ale razem tu jest świętszy widok: Krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swojem obronił ostatki starego świata"[3].

Spójrzmy, jak w tej krótkiej wypowiedzi nasz filozof-poeta ujął większość elementów swojej całościowej idei – odrodzenia się narodu przygniecionego gruzami w życiodajnym cieniu krzyża. Nie łączy się to jednak z chęcią odrzucenia cywilizacyjnej szaty świata próbującego niegdyś krzyż obalić. Doskonalenie ducha w ustawicznym postępie dziejowym, tak aby stał się podobny aniołom, najbliższym Bogu – to chyba jedna z najważniejszych koncepcji narodowego odrodzenia wśród polskich mesjanistów. I choć jedni rozumieli czyn jako zbrojny opór przed imperialnym katem, a drudzy jako pracę nad szlachectwem duszy i cierpliwe oczekiwanie na nadejście tysiącletniego Królestwa Bożego, żaden z nich nie widział innego sposobu na odzyskanie Polski niż przyobleczenie się w zbroję strażnika Krzyża, strażnika Chrystusa w świecie omotanym religią „obywatelską". Może to właśnie dzięki romantyzmowi nie porzuciliśmy wiary jak Zachód?

Mamy też rozróżnienie na zwolenników „szabli" i zwolenników „oczekiwania" – w tej dychotomii widzimy Krasińskiego i Słowackiego. Obaj poeci zresztą pisywali

[3] Z. Krasiński, *Irydion*, oprac. T. Sinko, Kraków 1923, s. 10.

do siebie polemiczne listy na ten temat. Słowacki widział doskonałość w XVII-wiecznym jeszcze nieskażonym prywatą obrazie polski szlacheckiej, nad którą świeciły zawsze liberum veto i sztandar Maryi Królowej Polski. Na początku swej drogi twórczej dobre cechy przypisywał „buntowi ducha" – najlepiej ukazuje to jego niedokończony dramat *Samuel Zborowski*, gdzie przeciwstawił Jana Zamoyskiego, jako siłę niszczącą duchowe wyzwolenie, Zborowskiemu – tak, temu który został ścięty przez Batorego za nieposłuszeństwo i domniemaną zdradę. Pomimo tego, że Słowacki swoją ideę genezyjską wyprowadził z przeświadczenia o prywatnym objawieniu, jego przyjaciel bp Zygmunt Feliński – święty Kościoła Katolickiego – nigdy nie potępił tej filozofii, tłumacząc, że była to wizja stricte literacka, niemająca rewolucjonizować nauki Kościoła. Ujście dla swoich koncepcji pojagiellońskich znalazł Słowacki podczas walnego zgromadzenia emigracji polskiej w Paryżu przed powstaniem wielkopolskim (1848). Tam zaproponował, aby zorganizować się pod konfederacją, jak za starych czasów. Pomysł ten przedstawiono Mickiewiczowi, który wygłosił krytyczną perorę wobec pułkownika Dwernickiego i Zygmunta Felińskiego, zarzucając środowiskom emigranckim brak ścisłego i jednego kierunku, chaos w działaniach oraz zbyt duże pokładanie wiary w „urzędowym Kościele" (tak, Mickiewicz był straszliwym antyklerykałem). W ostateczności nie poparł projektu[4].

Nie poparł go też świeży rząd francuski poety Lamartine'a, który na prośbę Dwernickiego, czy nie mógłby chociaż wesprzeć sprawy polskiej w obszarze zasobów finansowych i militarnych, odpowiedział: „Niepodobna wskrzeszać umarłych". Był to duży cios dla patriotów liczących na pomocną dłoń galijską, bo przecież kilka miesięcy wcześniej w pochodzie pogrzebowym pod kolumnę lipcową szło liczne przedstawicielstwo najznakomitszych Polaków pod wodzą księcia Adama Czartoryskiego, który uważany był ówcześnie za „króla Emigracji". I za ten gest Polacy dostali pomoc od francuskiego ludu, nie od francuskich polityków. Nawet proletariat przynosił do komisji po kilka centów, aby wspomóc nas w walce z Prusakami.

Wymieniając tutaj krótko najbardziej oryginalnych protoplastów filozofii narodowej, trzeba nieco więcej powiedzieć o Auguście Cieszkowskim, którego opis – nie wiedzieć czemu – spłyca się dziś do zdania „wywarł duży wpływ na Marksa". Jest to bardzo krzywdząca etykieta, całkowicie niesłusznie przypisana temu filozofowi w późniejszym czasie. Śmiem twierdzić, że to właśnie dzięki Cieszkowskiemu marksizm nie znalazł wielu entuzjastów w Polsce w epoce międzypowstaniowej.

Był słuchaczem szkoły heglowskiej, ale odszedł od niej tak daleko, jak mógł sobie pozwolić filozof XIX-wieczny – oprócz osobowego ducha podniósł wolę i czyn do rangi istoty bytu, a racjonalizm odsunął na rzecz irracjonalizmu. Epoka Ducha pomału rozkwitała, Cieszkowski opierał się bowiem na trivium temporalnym: Starożytność → Średniowiecze → Nowożytność (która ma nadejść). Ideę tę podzielał również Krasiński. Tak jak trzy epoki, istnieli też odpowiadający im trzej orędownicy: Adam → Chrystus → Paraklet. Zrywa się tutaj bardzo widocznie ze scholastyką i pojmowaniem dwoistości natury ludzkiej. Cieszkowski uważa, że przez frazę „chleba naszego powszedniego" w modlitwie Pańskiej materia została zrehabilitowana, co nie oznacza wybrania jej jako jedynej słusznej drogi. Zrywamy

---

[4] Z. Feliński, *Pamiętniki*, Warszawa 1986, s. 322.

tutaj natomiast z przesadnym „umartwianiem materii". Krasiński również uważał, że ta odwieczna walka materii i ducha, opanowana i sprowadzona do jedności, staje się transpozycją boskiej doskonałości.

Pojawiają się również takie paralele, jak: Królestwo Boże z Królestwem Ojczyzny, Bóg-Ojciec → Ojczyzna-Matka, synostwo narodowe → synostwo religijne. Cieszkowski odrywa się więc od myślenia o nieokreślonym Absolucie, odnosząc się do antropologii, którą stworzyło przyjście Chrystusa na świat. Bardzo też klarownie odcina się od idei komunistycznych, jako pierwszy chyba używając określenia „solidaryzm" w ujęciu filozofii narodowej. Nic u Cieszkowskiego nie wygląda na doktrynerskie, choć był za życia posądzany o herezję „prywatnego objawienia", podobnie jak większość romantyków polskich.

≡ *IRYDION* – ROZSĄDNY PATRIOTYZM

Personą całkowicie niedocenioną na polu filozoficznym był w XIX w. wspomniany już Zygmunt Krasiński, syn generała Wincentego, powszechnie znienawidzonego przez emigrację za swoją legitymistyczną postawę wobec cara. Jego nowoczesna myśl konserwatywna osadzała się na doskonałej znajomości współczesnych zależności kulturowych, politycznych, a z drugiej strony na ogromnej wiedzy historycznej, upodobaniu romantycznego kultu Słowa i niezwykłej miłości do Ewangelii. Zostawił po sobie olbrzymie archiwum korespondencji, które objętościowo przewyższa jego dokonania poetyckie, a jest przecież głównie znany jako poeta i trzeci wieszcz. To głównie w listach znajdziemy rozwinięcie jego poglądów z *Nie-Boskiej Komedii*, *Irydiona*, *Przedświtu* i *Psalmów przyszłości*. Prawdziwą skarbnicą filozoficznej idei są listy do Cieszkowskiego. Tutaj zachwycając się nad pracą hr. Augusta – *Bóg i Palingeneza* – pisał: „Ironią, którą Wolter i Hegel żartowali z nieśmiertelności i osobowości Boga, Ty z nich żartujesz – z żartujących – i przewybornie Ci się to udało! […] Dopiero człowiek jest Boga obrazem. Natury wielkie symbola stosują się tylko do ducha przedmiotowego, morze, kopuła błękitna niebios itd., itd. W istocie tylko hieroglif natury zrozumieli hegliści – fale i ocean, chmury i widnokres, ale ducha nie, ale człowieka i Boga nie!"[5].

To, czego nie chcą dostrzec w romantyzmie malkontenci na prawicy, otwiera się w dramacie Krasińskiego, mniej znanym niż *Nie-Boska Komedia*. *Irydion* to polemika z Mickiewiczem, odważne stanięcie w obronie dziedzictwa Chrystusa, nie tylko samego Chrystusa, pierwsze manifestacyjne zejście z Parnasu. Sam Krasiński, podobnie jak Norwid i Słowacki, doceniając geniusz poetycki Mickiewicza, żył z nim jednak w prawie wrogich stosunkach. Tak więc w pamiętnikach przeczytamy arcyciekawą wzmiankę: „Adam ryczał spowiadając się tak, że w gmachu całym go słychać było". Krasiński opisuje tu powrót Mickiewicza na łono Kościoła katolickiego – to w klasztorze Trinità dei Monti za namowami słynnej Makryny Mieczysławskiej nasz wielki Wieszcz odsunął się nieco (bo nie za bardzo)

---

[5] Z. Krasiński, *Listy do Cieszkowskiego, Jaroszyńskiego, Trentowskiego*, t. 1, Warszawa 1988, s. 78.

Kulturalnie

od towianizmu, a papież pozwolił mu utworzyć legiony. *Irydion* to na wskroś romantyczny dramat, który był pierwszą próbą zaproponowania innej drogi do odzyskania niepodległości niż krwawa zemsta na „innym Rzymie". Wspaniale Krasiński wybrał tu motyw do paraleli, Grecja dopiero co odzyskała bowiem niepodległość pod sztandarem chrześcijaństwa. Lecz zamysł ideowy dramatu sam Krasiński nam wyłuszczy, pisząc o „zemście":

> Zstąpili oni do grobu hańbą pozorną okryci, wielu ludzi ich przeklęło; oni święci byli uczuciem, wielcy męstwem; błędem ich było to, że nie wymiarkowali czasu, sił, zasobów, słowem całego mechanizmu i matematyki życia. – Tacy ludzie należą duszą i ciałem do poezji. Polityka mało o nich, lub nic nie powie, historja więcej, poezja najwięcej, wszystko może. I po wszystkie wieki byli tacy bohaterowie nieszczęścia, żadnem nie uwieńczeni zwycięstwem, bezsławni, o grobach bezpomnikowych, co przeczuwali daleką zorzę, ale jej nie mogli ujrzeć i zginęli przez to, że raczej w przeczuciu żyli, w żądzy swojej, niż w rzeczywistości faktów ziemskich. Z masy takich bohaterskich serc złożone (są) pokłady ziemi, na której zakwitnie później kwiat dni pogodnych.

To jeden z ważniejszych wykładów nowej idei romantyzmu Krasińskiego.

W postaci Irydiona właśnie objawia się „ta masa bohaterska, ale pełna żądzy", syn tęczy bezwzględnie prze do celu – poświęca cześć swojej siostry, udaje chrześcijanina, słucha podszeptów doradcy szatańskiego – wszystko po to, by dokonać zemsty, nie licząc się z ceną, która jest ogromna.

> Chór głosów: Źle, źle nam – mdło i posępnie – co z naszych mąk umarłej ojczyźnie?
> Irydion: Chwała, bluźnierce!

Jednak pomimo tego, że Irydion ogląda upadły Rzym, z uśmiechem zaspokojonej żądzy na ustach, z szatanem Massynisą u boku, który wciąga go w otchłań pychy, nadchodzi odkupienie, i to jest wykładnia filozofii „uchrystusowienia" narodu, ery „przesilenia w Chrystusie", której hołdował zarówno Krasiński, jak i Cieszkowski.

Aby naród mógł być zbawiony, musi być prawdziwie przygotowany – myślą, mową i uczynkiem.

> Idź i czyń! Choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich...

≡ JAK ZROZUMIEĆ LITERATURĘ ROMANTYCZNĄ?

Każdy czytał (a przynajmniej powinien) *Kordiana*. Czy jednak każdy wysnuł z tej lektury odpowiednie wnioski? Problem tkwi w tym, że polskie szkoły nie uczą historii literatury polskiej, ale bliżej nieokreślonego przedmiotu, jakim jest „język polski". Dlatego też biedna młodzież w niewygodnych ławach poddawana jest nagłemu rozkazowi zagłębienia się w słowa, które bez odpowiedniego przygotowania,

bez wiedzy z kilku obszarów, jest dla niej jak skok do suchego basenu… na główkę. A schody zaczynają się już w przypadku epoki średniowiecza. Jak człowiek zrozumie *Krzyżaków* bez znajomości *Kroniki* Jana z Czarnkowa, albo przynajmniej bez znajomości tła historycznego, stosunków społecznych, gospodarczych, kulturowych w tamtych czasach? *Transakcję wojny chocimskiej* Wacława Potockiego czy wiersze Sarbiewskiego bez znajomości mitologii, Horacego, choć trochę historii Hannibala, ale też postaci jak Żółkiewski czy Chodkiewicz? Czy jesteśmy w stanie, nie znając postaci historycznych takich jak Niemcewicz, Chłopicki, Skrzynecki, Lelewel, a także nie znając skomplikowanych stosunków politycznych wewnątrz Sądu Narodowego, przejść od razu do interpretacji *Kordiana*? Jest to zbrodnia popełniona zarówno na dziełach, jak i na szkolnej młodzieży. Historia i literatura przenikają się jak ptak i powietrze w jego skrzydłach, w polskich szkołach natomiast nie ma żadnej symbiozy między przedmiotami, więc młodzież już od pierwszej strony jest zmęczona romantyzmem, kojarząc go tylko z banalnymi hasłami: „miłosny zawód" „cierpienie i miłość" „ginięcie za Ojczyznę" oraz „Słowacki wielkim poetą był" – przy czym w tym ostatnim chyba nikt Gombrowicza dobrze nie zrozumiał.

Sztandarowe dzieła naszych romantyków są nie tylko stricte „polonistyczne", ale także historiozoficzne. Mając na uwadze fakt, że taki Krasiński w młodym wieku tłumaczył dzieła z greki, a nawet z arabskiego, a w wieku 13 lat napisał Rozmowę *Napoleona z Aleksandrem I na Polach Elizejskich*, nie sądźmy, że dzisiejsza podstawówka jest przygotowana intelektualnie do czytania poety. Nie chodzi o dmuchanie jakiejś fantastycznej bańki wokół wieszczów, która ma ukazać niższość merytoryczną współczesnych, chodzi o zwrócenie uwagi na problem, jakim jest rzeczywista przepaść między wbijaniem do głowy formułek a rzeczywistym studiowaniem historii literatury. Z racji tego, że w szkole przez natłok innych zadań i spraw nie ma czasu na takie głębokie przeżywanie literatury, warto by było, aby nauczyciele i program nauczania zwracali uwagę na cywilizacyjny charakter polskiej twórczości literackiej, tak aby młodzież widziała związek między upadkiem Rzymu a trwaniem chrześcijaństwa i dziełami Krasińskiego, między skałami w Pornic i czuwaniem u Grobu Pańskiego a *Raptularzem* Słowackiego, między *Księgami narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* a rozmową Mickiewicza z papieżem Piusem IX.

Podobny problem zauważymy na polu wirtualnych batalii „wszystkowiedzących", którzy rzucają w eter utarte schematy bez głębszego pochylenia się nad rysem historycznym, np. w temacie krucjat, inkwizycji, świętych, a ostatnio właśnie po-… z odległej historii. Nie ma nic gorszego niż zdogmatyzowanie tego, co się już wydarzyło – zaczarowania historii we własne formy i perspektywy, ograniczone współczesnym pojmowaniem zjawisk polityczno-społecznych.

Na historię musimy patrzeć holistycznie, nie zapominając o jej głębokim sensie …ania się". Jeśli patrzymy na nią przez pryzmat własnych poglądów, ukonstytuowanych przez współczesne myślenie, współczesne odnośniki semantyczne – uderzamy w ścianę, a na samą historię śmiertelnie się obrażamy, co prowadzi do takich absurdów jak próba wymazania (przez lewicę) z panteonu prześwietnych …ców Rzeczpospolitej np. Stefana Czarnieckiego.

Mistrz Słowacki – *Patria monumentum*. Łańcuch przyczynowo-skutkowy: Niemcewicz i Winkelried

Czasy przedpowstaniowe obfitowały w różne, mniejsze lub większe, wypadki. Książę Konstanty dokazywał w koszarach, często zwyczajnie ze strachu zachowując się jak zwykły pomyleniec, wymyślający „podejrzanym oficerom" niestworzone kary, jak 24-godzinna musztra i zakaz karmienia koni gwardyjskich. Brat jego, a nasz ówczesny król – Mikołaj – we wszystkim prawie się go słuchał, Konstanty natomiast słuchał Nowosilcowa – tak jak on człowieka niezrównoważonego i obracającego swój strach w tyranię; tak powstały warunki do gnębienia Polaków w Królestwie na wszystkie możliwe sposoby.

A to wysłano na Sybir znanego księgarza Wileńskiej Akademii, Kazimierza Kontryma (powodem było „zbyt dobre wychowanie polskiej młodzieży"), a to zakazano rozbudowy kolei czy postawienia mostu, a to wzywano Niemcewicza na posłuchanie, „czy aby czegoś nie knuje" przed wygłoszeniem mowy w rocznicę urodzin Kopernika. Chaos dwaj bracia (bo do początków lat 30. nie wiadomo dokładnie, kto naówczas rządził) wprowadzali również w pracę sejmu Kongresówki, ustalając zwoływanie posiedzeń często na nieokreślone terminy, robiąc zamieszanie w ustawodawstwie. Od czasów osadzenia na namiestnikowskim krześle Nowosilcowa zaczynają się też prześladowania w oświacie, głównie studentów, podejrzewanych zawsze o najgorsze knowania.

W pamiętnikach okresu powstania, pisanych rękami różnych politycznie i ideowo person, widoczna jest jedna i ta sama skarga: „przegraliśmy, bo nie mieliśmy króla, nie mieliśmy wodza" – to bardzo ciekawe zjawisko, ponieważ takie sugestie są widoczne w pamiętnikach generała Chłapowskiego, Niemcewicza czy Ostrowskiego. Wszyscy zaś wskazują na chaos i pośpiech, chaos działania, chaos myśli, chaos dyplomatyczny i hierarchiczny – to samo próbują nam przekazać polscy romantycy, głównie zaś Słowacki. Podobnie jak Norwid, Krasiński widzi upadek w źle rozumianym przez Polaków chrześcijaństwie, które „w suknie ubrane piękne, a pod spodem robactwo je zżera". W tym miejscu również chciałabym przeciwstawić się fałszywemu rozumieniu romantyzmu jako poezji karmiącej się „krwią poległych" i opiewaniem „cierpienia". Jeden z ważniejszych fragmentów *Kordiana*:

> Naród ginie, dlaczego? aby wieszcz narodu
> Miał treść do poematu.

I choć Słowacki początkowo był przeciwny idei mesjanistycznej, w której najważniejszym elementem było „czekanie na zmartwychwstanie w odrodzeniu duchowym narodu", a forsował dzielność i zdecydowane działanie, wytykając błędy zarówno konserwatystom, jak i demokratom, w powstańczym „pośpiechu" również przyjmował, początkowo za towianizmem, potem się od niego odcinając, duchowe dorastanie do przewodnictwa dusz. Stąd w wielkim dramacie postać Niemcewicza naprzeciwko Winkelrieda.

Jego podróż do Ziemi Świętej (dogłębnie zbadana dopiero w XXI w.) zaowocowała filozofią genezyjską, filozofią, która w poetyckiej formie próbowała przekazać Polakom nowy sposób trwania w tragicznej sytuacji narodowej.

Słowacki w 1836 r. udał się w podróż wschodnią, odwiedzając Neapol, Rzym, a nawet Syrię i Ziemię Świętą. Profesor Jan Kieniewicz uważa, że nasz poeta chciał dokonać transgresji w rozumieniu Ojczyzny, wynieść ją poza dawne granice zamazane przez zaborców, a nawet poza granice skupisk emigranckich[6]. Jego podróż była oczywiście czymś na kształt pielgrzymki, poszukiwaniem odniesień kulturowych i utwierdzaniem się w swoich ramach kulturowych, odkrywaniem nowych lub zapomnianych symboli, które mogłyby ubrać koncepcję patriotyczną po upadku państwa w nowe szaty, odchodząc już od dwóch skrajnych postaw: czekania na zbawienie i zatracania się w bezmyślnej zemście.

Słowacki szukał Boga, zawiedziony Kościołem pod wodzą papieża, szukał go jednak w tajemnicy posłuszeństwa, spędzając noce na medytacji w klasztorze Betcheszban w Libanie (tam powstał *Anhelli*) oraz kontemplując biblię w Bazylice Grobu Pańskiego, gdzie służył do Mszy przy polskim jezuicie (przypomnijmy, że Słowacki bardzo krytykował jezuitów) Maksymilianie Ryłło. Takim to był nasz Słowacki „heretykiem", jak go miał czelność nazwać biskup Puzyna. Pielgrzymka ta spowodowała ogromną przemianę wewnętrzną Słowackiego, pisał o odrzuceniu *„światowych omamień"*, pogrążając się w życiu prawie że pustelniczym. Pokłosiem tej przemiany był nieukończony *Król Duch*.

Mistrz z Krzemieńca umarł na rękach późniejszego świętego – Zygmunta Felińskiego w 1849 r.

> Duch mój odpowie. Lecz wy jak ieciątka,
> Jak białych jagniąt jesteście gromada.
> Wszystko, com czynił, szło z jednego wątka
> I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
> W kurhanach tylko zostanie pamiątka
> I w pieśni długiej wędrownego iada,
> Żem żył. Chwasty mi porosną na grobie.
> Inny was anioł rozmiłuje w sobie...

Słowacki wierzył, że można stworzyć w Polsce elitę przewodników, którzy wypracowawszy swoją osobowość, wydoskonaliwszy ducha, mieliby patronować narodowi nad jego przemianą wewnętrzną – wszystko w bliskości z nauką Chrystusa, w „kontemplacji rzeczy wiecznych". Pytanie do biografów Piłsudskiego – czy marszałek nie wziął sobie zbyt głęboko do serca nauki genezyjskiej, którą z pewnością znał bardzo dobrze, będąc miłośnikiem literatury Słowackiego? Czy można traktować jego polityczną brutalność jako wcielanie w życie idei „króla ducha", który usprawiedliwia swoje czyny półboskim posłannictwem? Ciekawa byłaby to analiza

---

[6] J. Kieniewicz, *Polska orientalność i europejski orientalizm jako kontekst podróży wschodniej Słowackiego*, [w:] *Raptularz wschodni Juliusza Słowackiego – studia i interpretacje*, Warszawa 2019, s. 388.

w duchu historyczno-literackim, ze względu na to, że postacie polityczne zawsze bardzo „sucho" oceniamy, nie widząc w historii wielkiej opowieści, a jedynie mnogość faktów do przeskanowania.

Mamy tu obraz romantyzmu dwóch pokoleń oraz romantyzmu dwóch obozów – pokolenie Mickiewicza, mocno „uczuciowe" i ideologiczne, oraz pokolenie „dojrzewających myślicieli", którzy z buntowników na drugim etapie twórczości wyrodzili się w pierwszych krytyków narodowych; mowa tu o Słowackim po 1847 r., a także Krasińskim, Polu, Syrokomli, Korzeniowskim i Norwidzie.

PERSPEKTYWA HISTORYCZNA DLA NARODU I PERSPEKTYWA HISTORYCZNA DLA POLITYKÓW

Czy dzisiaj możemy uczyć się od romantyków? Tak, ale nie tylko składania słów i wzniosłych uczuć podczas uroczystości patriotycznych. To zdecydowanie głębsza filozofia, wypływająca z uwielbienia Słowa – nie słowa poetyckiego, ale w pierwszej kolejności Słowa Bożego. Mistycyzm włączony w myśl polityczną jest unikatowym zjawiskiem na tle historii idei Europy. Nie utraćmy tego, wychowanie patriotyczne osadza się bowiem na dziedzictwie kulturowym danego narodu (w Grecji tzw. *paideia*), a literatura romantyczna jest naszym wielkim dziedzictwem narodowym. Obrażanie się na kulturową spuściznę romantyków jest próbą zdeptania najważniejszego przełomu myślowego i językowego w polskiej historii. Umniejszanie dokonań XIX-wiecznych poetów przypomina próbę wymazania greckich Termopil z kulturowego etosu – to wszystko stanowi historię i dziedzictwo, służy wychowywaniu w miłości Ojczyzny, a to od nas, współczesnych, zależy, kiedy i jak wykorzystamy mit narodowy.

Jeśli będziemy podawać go jako receptę na działanie w dzisiejszej polityce, uzyskamy skutek odwrotny od zamierzonego – ludzie mit będą kojarzyć z nieudolnością obrzydłych elit i robić wszystko, żeby go zburzyć na rzecz „zdroworozsądkowej perspektywy", która często w prostacki sposób niszczy dorobek leczącej przeszłości. Historia to oprócz nauki pokoleń przede wszystkim piękna opowieść. Jeśli będziemy odzierać ją z bogatej szaty, obecnej pod postacią naszej kultury, nikt oprócz „elit" tego nie zrozumie i będzie ją zwyczajne wyszydzał, zamiast skupić się na jej kontemplacji i wyciąganiu z niej wniosków na przyszłość.

Powinny więc istnieć sfera przedstawiania historii dla ludzi chcących wziąć na barki ciężar odpowiedzialności za kraj oraz sfera przedstawiania historii jako swego rodzaju kulturowe perpetuum mobile, łącznik społeczeństwa, gdzie obecna jest kategoria wzniosłości, dla całości narodu.

Romantyzm polski natomiast nie kończy się na kategorii wzniosłości, nasz „środek wieku XIX" jest zdecydowanie bardziej wymagający niż lektura Wertera, jak próbowałam dowieść w niniejszym artykule.

Dzisiaj „zdroworozsądkowi" politycy chcą zrzucać odpowiedzialność za klęskę powstań narodowych na romantyzm jako całość, nie określając, czy jest to krytyka źle zrozumianej przez dyktatora Mierosławskiego poezji Mickiewicza, czy krytyka ówczesnej romantycznej literatury – zwykli, zabiegani ludzie nie rozumieją takich ogólników, powtarzając później bezmyślnie hasła zasłyszane z ust ulubionego posła.

Ludzie ze środowisk politycznych powinni potrafić posługiwać się konkretnymi przykładami, biorąc odpowiedzialność za swoje kontestujące ogólniki dotyczące bardzo ważnych sfer życia Narodu – jego historii i kultury. Pokazywanie w Internecie portretu cara Mikołaja I jako „z Bożej łaski" króla Polski jest popisem wyjątkowego braku roztropności i braku zrozumienia swojej roli w społeczeństwie jako mentora i wzoru, ale też niejako przedstawiciela polskiej elity. Nie jesteśmy już pod zaborami – o tym zdają się zapominać dzisiejsi „monarchiści". Wygłupianie się, nieodpowiedzialność, nieodpowiednie ważenie słów i lekkomyślność – cechy te zbyt długo opisywały polityków, przez co nieufność społeczna wobec tej „służby" (kto dzisiaj tak rozumie pracę polityka?) przybiera obecnie monstrualne rozmiary.

Mówiąc o patriotyzmie implikowanym historią kraju oraz historią kultury oczywiście nie mówimy tylko o patriotyzmie „uczuć", ale bierzemy pod uwagę rozum patriotyczny i wolę patriotyczną[7]. Historię należy przedstawiać tak, aby rozróżniać ofiarność od politycznych decyzji, młodzież nie powinna bowiem mieszać szlachetnych odruchów ze złymi ideami. Jeśli doprowadzimy do pomieszania tych zjawisk, stworzymy niezadowolonych z wartości narodowych, szydzących z dziedzictwa kulturowego malkontentów, niezdolnych ani do głębszych refleksji nad obrzydzoną w ten sposób Ojczyzną, ani do wzniosłych uczuć (wtedy kiedy są potrzebne), które pozwalają w godzinie próby mobilizować społeczeństwo. Dlatego tak ważne jest nauczanie dziejów polskich bojów z przedstawianiem momentów chwały i klęski, przy jednoczesnym przybliżaniu prądów kulturowych i filozoficznych działających na umysłowość społeczności narodowej w danej epoce. Przedstawiając tylko patriotyzm rozumowy, zakłamujemy definicję patriotyzmu, pomijamy bowiem w procesie dojrzewania do miłości Ojczyzny dwa pozostałe składniki; musimy kierować się tym „trójpodziałem" cech składających się na świadomego obywatela: rozum, wola, uczucie. Jak pisał Ludwik Popławski w jednym ze swych artykułów, krytykując brak równowagi i chaos w politycznej myśli polskiej inteligencji: „Rzekomo pozytywna i utylitarna polityka, odrzucając zasady, popełnia taki sam błąd, jak wtedy, gdy z programu działania wykreśla uczucie. Co innego jest polityka uczuć, a co innego liczenie się w polityce z uczuciami, które są siłą bardzo realną. Co innego jest naciąganie faktów życia do jakiejś doktryny, a co innego wyprowadzanie z tych faktów ogólnych norm, zasad"[8].

Musimy znać wartość swojej literatury, która rozkwit przeżywała w epoce romantyzmu, oddzielając pojęcie wąskie od pojęcia ogólnego, którym posługiwali się ze zrozumiałych względów publicyści i politycy w początkach XX w. **Nie jesteśmy pod zaborami, pamiętajmy, że kiedyś „romantyzm" jednoznacznie kojarzył się z „polityczną bezrefleksyjnością", z brakiem pomysłu na przyszłość po odzyskaniu niepodległości, z czekaniem na „złoty róg", z głową przystrojoną zwiędłym kwiatem i zeschniętym laurem, o którym pisał Asnyk. Taka skrajność funkcjonowała obok drugiej skrajności – nazywania nowych prądów osadzonych na zachodnich modach utylitarystycznych mianem „ekonomii**

---

[7] M. Tytko, *Wychowanie patriotyczne w polskiej tradycji niepodległościowej*, [w:] Pedagogia Ojcostwa, 2015, s. 4.

[8] L. Popławski, *Polityka nerwowa*, „Przegląd Wszechpolski" 1897.

bez polotu". Miejmy tę perspektywę na uwadze, czytając XX-wiecznych publicystów. Wielcy przywódcy Stronnictwa Narodowego nigdy nie odcinali się od kulturowej spuścizny XIX w.

„Wyrwawszy się z niemowlęctwa estetycznego, czyż na zawsze pozostać mamy w niemowlęctwie filozoficznym? Nauka polska musi wyjść z tego obwinienia, na tym zależy realny postęp naszej literatury. Albowiem wiek nasz jest czasem emancypacji we wszelkim względzie"[9].

Dlatego wszyscy romantycy pytali: „Polska, ale jaka?". Powstanie narodu polskiego to nie jest bitwa, to praca myśli, którą romantyzm wytworzył i chciał ją „wydoroślić", a której potomkami byli najwięksi Polacy – ojcowie polskiej niepodległości.

≡ BIBLIOGRAFIA

I. Chrzanowski, *Ojcze nasz Augusta Cieszkowskiego*, Kraków 1918.

Z. Feliński, *Pamiętniki*, Warszawa 1986.

M. Kalinowska, E. Kiślak, Z. Przychodniak, *Raptularz wschodni Juliusza Słowackiego – edycja – studia – komentarze*, t. 3, Warszawa 2019.

Z. Krasiński, *Irydion*, oprac. T. Sinko, Warszawa 1923.

Z. Krasiński, *Listy wybrane*, Fundacja Nowoczesna Polska.

Z. Krasiński, *Listy do Cieszkowskiego, Trentowskiego, Jaroszyńskiego*, t. 1, Warszawa 1988.

M. Mochnacki, *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*, Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej.

J.U. Niemcewicz, *Pamiętniki z 1830–1831 roku*, Kraków 1909.

J.L. Popławski, *Polityka nerwowa*, „Przegląd Wszechpolski" 1897.

P. Pragacz, *Życie i dzieło Józefa Marii Hoene-Wrońskiego*, Warszawa 2007.

J. Słowacki, *Samuel Zborowski*, [w:] *Dzieła wybrane*, t. 3, Zakład imienia Ossolińskich, Wrocław 1979.

J. Słowacki, *Raptularz wschodni Juliusza Słowackiego*, oprac. M. Kalinowska i in., Warszawa 2019.

W. Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, Warszawa 1978.

M. Tytko, *Wychowanie patriotyczne w polskiej tradycji niepodległościowej*, [w:] *Pedagogia Ojcostwa*, 2015.

A. Witkowska, *Literatura Romantyzmu*, Warszawa 1986.

---

[9] M. Mochnacki, *O literaturze polskiej w wieku XIX*, Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej, s. 64.

Malwina Gogulska

Herbert i Miłosz – spór o narodowy honor



Przyjaźń, początkowo zdystansowana z uwagi na różnicę wieku i relację mistrz-uczeń, rozpoczęła się platonicznie. Herbert w 1954 r. wpisał do swojego dziennika wiersz *Dziecię Europy* z krótką, ale wiele mówiącą adnotacją: „nie moje. Niestety". Wszystko zrodziło się podczas wyjazdu Herberta do Paryża w 1958 r., kiedy to Byrscy polecili Miłoszowi młodego autora dwóch dramatów: *Jaskini filozofów* i *Drugiego pokoju*, jako dobrze zapowiadającego się poetę-erudytę[1]. Wkrótce po powrocie z krótkiej wizyty u Miłosza w Montgeron Herbert wysyła starszemu koledze najsłynniejszy wiersz – *Tren Fortynbrasa*, z pokornym dopiskiem: „proszę przyjąć *Tren Fortynbrasa* na własność, to znaczy ofiarowuję Panu nie tylko rękopis, ale też świętą chwilę poczęcia". Pierwsze listy naładowane są czułym obustronnym podziwem, może nawet chłopięcą beztroską, zapraszającą do zdrowej rywalizacji.

Historia trudnej przyjaźni Herberta i Miłosza to nie tylko opowieść o dwóch poetach, których połączyła miłość do najwyższych lotów estetyki, lecz także opowieść o ludziach, którzy tę przyjaźń zarejestrowali, opisali i zinterpretowali; to opowieść o ciężkich czasach, trudnym chlebie, ale też o fascynujących zwrotach akcji, ideologicznych kompilacjach i wspomnieniach godnych powieści awanturniczej, okraszonych wierszem i epistolarną sentencją.

Starszy o 13 lat Miłosz, dawno pogodzony z losem, z utratą miejsca urodzenia, właściwie już od najmłodszych lat wprzęgnięty był w proces przyzwyczajania się do bycia wyrzutkiem. Ze względu na to, że w rodzinie można było znaleźć bardzo wielu odszczepieńców – obieżyświatów, liberałów skłonnych do mezaliansów, uniwersalistycznych uniesień odbiegających od tradycji, która tak mocno wpisywała

---

1 J. Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Warszawa 2011, s. 559.

się w portret polskiej rodziny ziemiańskiej – Miłosz przejął schedę osobowościową po skomplikowanej cyganerii przodków – Kunatów. Portret dziadka Kunata, którego Miłosz z talentem kronikarza zaprezentował w jednym z ostatnich tomów poezji. To, jest odbiciem samego poety.

Czesław Miłosz prowadził przed poznaniem Herberta korespondencję z wieloma wybitnymi postaciami świata literatury, m.in. z Gombrowiczem, Iwaszkiewiczem, Błońskim, Turowiczem, Andrzejewskim czy później z Barańczakiem – niektórzy z nich wymieniali listy również ze Zbigniewem Herbertem. Barańczak stanął niejako w obronie księcia poetów, gdy wieszano na nim psy po burzy, jaką rozpętał swoimi publicystyczno-politycznymi wynurzeniami w „Tygodniku Solidarność".

Humanizm obu poetów, pomimo podobnych tonów i celów, diametralnie się różnił. Miłosz inną wybrał sobie definicję Ojczyzny, inną również religię, inny autorytet i inną służbę czytelnikom. Tomaszek z *Doliny Issy* między polowaniami na króliki snuł w myślach intrygi i meandrujące jak rzeka – ulubiony symbol poety – homeryckie, ale przeplecione chłopięcą wulgarnością refleksje o świecie. Taki pozostał Miłosz właściwie do końca, nie kryjąc swojej buńczuczności, tendencji utopijnych i rozległych jak morski horyzont teorii wywiedzionych z nieprzebranej ilości ksiąg europejskiej cywilizacji. Ale nie należy również zapominać o tym, że mimo mało konserwatywnego, w ogóle niedoktrynalnego i niestałego spojrzenia na działalność literacką potrafił wznieść laudację na cześć swojego koszmaru gimnazjalnego – prefekta ks. Chomika. **Potrafił znaleźć słowa uznania dla Kościoła Trydentu, stanąć w obronie Starej Liturgii – pomyślałby kto: prawdziwy katolik, ale to był tylko kolejny z fragmentów olbrzymiej mozaiki światopoglądowej Miłosza, nie jego kręgosłup, nie podwaliny spiżowego pomnika.**

Trudno powiedzieć, co tak naprawdę spowodowało, że Herbert przeżył tak mocno w latach 90. znane już wcześniej przecież wypowiedzi Miłosza wymierzone w Polskę; niektórzy dopatrują się tu wpływu postępującej depresji, argumentując, że człowiek robi się zgorzkniały i czepia się byle czego. Tak jest w istocie, ale przecież już w latach 50. Herbert postrzegany był jako trudny w relacjach koleżeńskich zawadiaka i satyryk. Nic nie uprawnia też badaczy do stawiania takich mało racjonalnych diagnoz. „Miał sarkastyczne, kostyczne poczucie humoru, śmieszności, teatralności; moim zdaniem powinien pisywać rzeczy satyryczne, może byłby jeszcze lepszy? [...] Kpił nawet w Laskach, gdzie zabrał mnie kilka razy, odwiedzając Jerzego Zawieyskiego, [...] panie Sobańskie, Przewłockie, Kossakowskie. Ciągał siostry za welony, piszczały zachwycone. A jedna z nich, siostra Teresa, intelektualistka pisująca do Verbum, spytała go poważnie i uczenie, żeby powiedział jej, ale tak wprost, jak poezja ma trafiać do odbiorców. Tak wprost? – odparował. To tak jakby wziąć karabin i strzelić – pif, paf"[2].

To jeden z wielu cytatów bliskiego kolegi Herberta, Mikołaja Bieszczadowskiego, opisującego już *a posteriori* swobodny charakter poety i jego humor. **Początkowo wiele łączyło Herberta i Miłosza – niechęć do „endeckości", miłość dla klasyki w sztuce, te same przyjaźnie, rozróżnienie *sacrum* i *profanum*, sympatia dla narodu żydowskiego, ale też podobnie postrzegana praktyka**

---

[2] J. Siedlecka, *Pan od poezji*, Warszawa 2002, s. 241.

religijna. **Jak widać, bardzo wiele z wymienionych cech stanowi lwią część konstrukcji światopoglądowych, jednak przekonamy się, że to tylko skrawek zasłony, za którą znajdziemy prawdziwą relację obu poetów.** Pomimo notorycznego wytłuszczania przez badaczy i krytyków „publicystycznych" epizodów w twórczości Herberta należałoby zwrócić uwagę na pewną nierzetelność statystyczną: Miłosz napisał więcej publicystycznych dzieł, które wchodzą w skład twórczości pisarskiej: *Rodzinna Europa*, *Rok myśliwego*, *Ogród nauk*, *Wyprawa do lasu*). Zarówno Herbert, jak i Miłosz objawiali spore tendencje do politykowania i w sferze twórczej, i w publicznej. To Miłosz jednak uchodzi za zjadliwego eseistę, który jako ekspert od kultury" często używał wyrazów „nacjonalizm", „endecja", „socjalizm", antysemityzm", „lewicowi koledzy" i „patriotyzm" (do którego w *Roku myśliwego* podał dookreślenie „nacjonalizm"). **Herbert raczej na przestrzeni swojej twórczej i autobiograficznej formy komunikacji z publiką nie używa w nadmiarze rozróżnień, które podpinają dyskurs pod politykowanie. Długoletnie obserwowanie dziejów z widokowego tarasu pozwalało mu nie rzucać takich ocen, uciekał od nich, wolał wplątywać swoje rozważania w ścisłą, poetycką perspektywę, o czym świadczą utwory *Węgrom*, właściwie cały tom *Rovigo* czy poetycki zbiór mitycznych biogramów *Król Mrówek*. Paradoksem jest, że pod tym względem bliżej chyba mu było do romantyków polskich niż metafizycznemu Miłoszowi, który szczególnie u schyłku życia pisywał wieloaspektowe, przepastne dzieła z wyraźnym ukierunkowaniem naukowym i teoretycznym (przede wszystkim *Szukanie Ojczyzny*, *Wyprawa w Dwudziestolecie*).** Miłosz oprócz wgryzania się w dzieje dopiero co doświadczone przez siebie i innych bardzo często przypominał, bez zabawy w skromność średniowiecznego anonima, o swoim dorobku twórczym i o dyskusjach z nim związanych. Nie stronił od komentowania na bieżąco krytyki własnych dzieł, znał wartość i format swojej twórczości. Często jednak przy okazji komentowania poglądu wypowiedzianego przez badacza zawieszał uwagę na jego osobie i wtłaczał go w *vox populi* narodu, z którego ów krytyk pochodził. Tak było, kiedy Miłosz odpierał zarzuty polskiej poetki Joanny Salomon, posądzającej go o ezoteryczność[3]. Znamienne są też fragmenty mówiące o poglądach Miłosza na literaturę krajową w drugiej połowie XX w.:

> Zaczęło się to dopiero, kiedy on emigrant i ja emigrant, po prostu chyba na zasadzie braku innych poważnych pisarzy, z którymi mógłbym stowarzyszyć się czy polemizować. Poważny był Józef Mackiewicz, ale zupełnie inne rejestry, zawiłości myślowe naszego stulecia niewiele go obchodziły. I nasze polemiki, i osoba naszego wspólnego promotora (czy słowo to ma prawo obywatelstwa w polskim?) Jeleńskiego stopniowo doprowadziły do zbliżania nas według mocno osiadłego w Polsce modelu pary wieszczów, tak że ciągle czytam w polskiej prasie literackiej *Gombrowicz, Miłosz*, i może błędem było wprowadzać Gombrowicza do Ziemi Ulro. Albo w ogóle pozwalać sobie na taką fantazję i pisać książkę, która wyłącza mnie spośród Polaków, narodu rdzennie antymetafizycznego[4].

---

[3] C. Miłosz, *Rok myśliwego*, s. 91.
[4] Tamże, s. 39.

Miłosz był poetą pewnym swego *exegi monumentum*, należał w Polsce do uprzywilejowanego kręgu pisarzy tzw. drugiego obiegu, podobnie jak Gombrowicz czy Konwicki – jakkolwiek nazwa ta niekoniecznie stanowiła esencję tego, czego oczekiwalibyśmy od wzniosłego jej brzmienia. Herbert w 1990 r. mówił o Miłoszu: „On jest człowiekiem rozdartym: o nieokreślonym statusie narodowym, metafizycznym, moralnym. [...] Gnozą się bardzo zajmował – ja zresztą też, dopóki nie doszedłem do wniosku, że jest to niebezpieczne zawracanie głowy”[5].

Charakter noblisty był dobrze znany Herbertowi; być może stwierdzenie Herberta w jednym z wywiadów, że zna Miłosza lepiej niż on sam, ma spore podstawy. Nikt z przyjaciół nie wspomina Miłosza jako uroczego, skromnego, ale kiedy trzeba – walecznego „wiecznego prymusa” i ulubieńca dziewcząt, tak jak to było w przypadku Herberta. W stosunku do Miłosza znajdziemy zupełnie inne określenia i oceny, nie skupiając się wcale na negatywnych.

Karl Dedecius w swoim szkicu *Uprawa filozofii*, interpretując *Jaskinię filozofów*, tak charakteryzuje twórczą drogę Herberta: „Sokrates wierzy w niezniszczalność definicji”[6]. Taki też jest rys aksjologiczny Herberta, lecz czy Miłosz wierzy w niezniszczalność definicji? Spójrzmy na fragment *Traktatu moralnego*:

Patrz, jak zmieniona perspektywa:
Już nie to wielkim się nazywa,
Co się nam wielkim wydawało.

Pomijając kontekst totalitaryzmu, słowa te są dowodem na mały powiew relatywizmu u Miłosza. Można wersy te zestawić z wypowiedziami na temat filozofii św. Tomasza z Akwinu: „Tomizm. Cudowna aparatura pojęciowa wypracowana w XIII wieku była tak długo skuteczna, jak długo człowiek organizował przestrzeń w hierarchicznie ułożone obrazy Nieba, Ziemi i Piekła”[7]. Jeszcze bardziej zdumiewa nas ogromna przestrzeń myślowa i duchowa Miłosza, na której prowadzą intelektualną batalię sprzeczne wobec siebie prądy, idee i wartości. No bo jak pogodzić uwielbienie tradycji łacińskiej w przestrzeni sakralnej, powracające we wspomnieniach rodzinne Szetejny i wyśrubowany katolicyzm św. Tomasza z gombrowiczowskim zniesieniem decorum (nie tylko, mamy tu też Becketta), ze wstrętem do bogoojczyźnianych tonów utrwalonych w Polsce historyczną tradycją i z fascynacjami gnozą, manicheizmem, a w ostateczności odrzuceniem tomistycznej praktyki – odrzuceniem sakramentalności katolicyzmu? Nie wspominając o dozgonnej obronie albigensów, wszelkiej maści średniowiecznych herezji, które w nauce Tomasza stały na początku kolejki pod miecz świeckiego kata. Można się tu zgodzić z badaczami, że Miłosza nie da się włożyć do szufladki z fiszkami oklepanych postaw światopoglądowych, nie można jednak przyjąć, że poeta z Kresów jest mimowolnym, oderwanym od rzeczywistości historyczno-politycznej lepszym bytem, którego nie da się ocenić, a tym bardziej skrytykować na podstawie tego,

---

[5] *Korespondencja – Zbigniew Herbert. Czesław Miłosz*, s. 148.
[6] K. Dedecius, *Uprawa filozofii: Zbigniew Herbert w poszukiwaniu tożsamości*, s. 229-230.
[7] A. Franaszek, *Miłosz...*, s. 629.

co mogliśmy przeczytać w „Kulturze Paryskiej", w Rodzinnej Europie czy wy- wodach rzekach. Wbrew temu, co mówią postmoderniści, nie da się uciec od jednoznacznej opinii, od tego jedynego wyboru, jaskrawej plamy na tle pstroka- cizny innych, bo relatywizowanie świata prowadzi do nędzy kondycji „wydrążonych ludzi", jak określił to T.S. Eliot. **Można zgodzić się ze stwierdzeniem Zofii Zarębianki, że takie zawłaszczanie poety przez dwie strony sporu politycznego w ówczesnej Polsce miało miejsce i stanowiło główny wektor pomocniczy w interpretowaniu twórczości.** Jednak czy to jest zjawisko aberracyjne z punktu widzenia zdrowia życia publicznego na przestrzeni dziejów? Czy to jest coś, czego nie znaliśmy dotychczas w Polsce? Z jednej strony badacze próbują odnieść się do arystotelesowskiej zasady złotego środka, polecając ją społeczeństwu po obu stronach sporu, sami jednak z niej nie korzystają, co widać już w pierwszym akapicie artykułu – autorka naciska na prawą flankę, stojącą rzekomo po stronie Herberta, Miłosza trzymając w arkadyjskiej, bezpiecznej odległości od „żenujących demonstracji" grupy niezgadzającej się na pomnik wawelski dla zmarłego noblisty, ale też podkreśla, że swoje istnienie na Zachodzie Herbert zawdzięcza wyłącznie Miłoszowi[8]. Próbuje też zbagatelizować ostre słowa Herberta o kłótni u Bogdany Carpenter, w których poeta w sposób dobitny wyznaje, że był to jaskrawy punkt jego trudnej przyjaźni z Miłoszem. Sam fakt zerwania po tym incydencie bliskich i częstych jak do tej pory kontaktów zdaje się przeczyć metodzie bagatelizowania sporu między poetami przez badaczy.

Jeśli mamy mówić o sporze o honor Miłosza i Herberta, musimy zatrzymać się przy zagadnieniu Ojczyzny i postrzeganiu jej w kontekście społecznym, wspólnotowym, a więc noszącym w sobie zalążek historyzmu. Zacznijmy od cytatu profesora Feliksa Konecznego na temat narodu polskiego i porównajmy to bądź co bądź naukowe spostrzeżenie ze spostrzeżeniem pełnoetatowego poety: „Teraz np. zamiast, żeby ogół powiedział sobie, że niechby sobie państwo polskie było jak najgorsze, byle było, i oddawać się bezwzględnej radości z tego, że ono jest — my smucimy się nad ujemnymi stronami naszej państwowości, przekonani, że państwo polskie jest od tego, żeby być lepszym od innych. Teraz, skoro mamy własne państwo polskie, wszystkie polskie ideały muszą się urzeczywistnić — tak rozumuje przeciętny inteligentny Polak.

Różnica kapitalna od tylu innych narodów! Niechże kto wyliczy Ideały przyświecające rozmaitym państwom europejskim — i potem sięgnie w polską umysłowość, a znajdzie się w jednej chwili jakby w innym świecie"[9].

Ani Herbert, ani Miłosz nie ujmowali w ten sposób istoty fenomenu narodu polskiego, uciekali w ogóle od jakichś romantycznych, emocjonalnych pochwał, uderzających w struny wieszcza Ojczyzny, afirmującego siłę i charakter społeczności narodowej. Wręcz przeciwnie, zarówno Herbert, jak i Miłosz podkreślali swoją niechęć do etnicznego ujmowania patriotyzmu, co oznaczało także odcinanie się od klasycznego, mocno zaznaczonego w polskim społeczeństwie przywiązania

[8] Przypomnijmy, że Herbert stał w większej mierze również za rozpropagowaniem Miłosza w Europie niemieckojęzycznej z pomocą Karla Dedeciusa.

[9] F. Koneczny, *Polskie Logos a Ethos*, Poznań 1921, s. 16

Kulturalnie

do sarmackiego przekonania o byciu wyrazicielami najlepszych, cywilizacyjnych wartości. Istotnie na przykładzie historii możemy wysnuć takie wnioski, jakie wysnuł prof. Koneczny – że w narodzie polskim jest jakiś pierwiastek dążenia do szczytu podium i nie jest to podium „chłodnorozsądkowo” wzniosłe, opiewające imperialność, ale podium wartości ducha. Miłosz i Herbert nigdy nie czynili takich historiozoficznych i socjologicznych wycieczek, które miałyby usprawiedliwić w jakiś pełnoprawny sposób ich światopoglądowe czy polityczne zacietrzewienie. Istniała jednak pewna różnica w stylizowaniu wypowiedzi na ten temat; Miłosz starał się używać języka rozprawki, języka znawcy i świadka, języka dyskursu analizy historycznej i publicystycznej – przywoływał liczne urywki z gazet, wypowiedzi ministrów, *exposé*, ulotki, a nawet cytował innych pisarzy zaangażowanych np. w reformę rolną – Marię Dąbrowską czy Witolda Gombrowicza (*Wyprawa w Dwudziestolecie*). Były to jednak materiały wyraźnie dobrane pod kątem samych poglądów Miłosza. Mówiąc o głodzie na wsi w okresie międzywojennym, nie wspomina o rządach sanacji, kiedy Polska pogrążała się w stopniowej stagnacji gospodarczej. Mówiąc o „psychozie” prawicy związanej ze sprawą Żydów polskich, przywołuje liczne wypowiedzi ludzi ze świata „Przeglądu Wileńskiego”, ludzi związanych ze Stronnictwem Narodowym i ludzi ze związków syjonistycznych – doszukiwanie się w tej niechęci do gospodarki żydowskiej faszyzmu jest niestety bardzo jaskrawym nadużyciem. Miłosz przechodzi do ofensywy, stwierdzając, że takie nastroje wynikały z nastrojów naszego zachodniego sąsiada i w ogóle nastrojów w Europie, a więc uznaje wszelkie konserwatywne i reakcyjne głosy narodu za faszystowskie[10]. Problematykę tę w nowatorski i naukowy sposób ujmował profesor Feliks Koneczny na początku dwudziestolecia, za co przez ówczesną profesurę został zepchnięty na naukowy margines. Chodziło mianowicie o konflikt cywilizacyjny, który przez wieki względnej tolerancji pęczniał jak wrzód i w końcu został przebity, niestety w najmniej adekwatnym do tego momencie historycznym. Podkreślał problem różnic, jakie dzieliły dwie cywilizacje: judaistyczną i łacińską. Problem nie do rozwiązania, ponieważ tkwiący, według koncepcji Konecznego, w samej specyfice, w istocie danej cywilizacji[11].

A więc Miłosz nie uzasadnia dalszej analizy przyczyn antysemityzmu polskiego, opierając się również na jednym wycinku z „Małego Dziennika”, którego patronem, jak wiemy, był sam Maksymilian Maria Kolbe – święty Kościoła Katolickiego. Wytyka tym organizacjom „psychozę” antyżydowską i antymasońską, bagatelizując zupełnie znaczenie kół masońskich na uniwersytetach czy w parlamencie. Sam Maksymilian na własne oczy widział czarne sztandary z Lucyferem napierające na Bazylikę Piotrową, wtedy to postanowił codziennie odmawiać akt strzelisty

---

10 Wśród Żołnierzy NSZ było sporo osób wyznania mojżeszowego czy prawosławnego. Jednym z bardziej znanych przykładów jest mjr Ostwind – oficer żydowskiego pochodzenia, komendant powiatowy NSZ w Węgrowie, zamordowany przez NKWD 2 lutego 1945 roku. Z jego sylwetką można zapoznać się na stronie IPN-u lub w książkach pod redakcją Leszka Żebrowskiego. Przypomnijmy także, że organizacje syjonistyczne, takie jak Bund, były w okresie międzywojnia uzbrojone równie dobrze co bojówki prawicowe. Miłosz robi zaś z Żydów ofiary, które przyjmowały ciosy na odkrytą głowę. Tak jednak nie było.

11 C. Miłosz, *Wyprawa w Dwudziestolecie*.

do Niepokalanego Serca Maryi[12]. Spójrzmy, co o. Kolbe pisał w liście do o. Wójcika z Nagasaki (gdzie prowadził misje):

> *Mówiąc* o Żydach, bardzo bym uważał na to, żeby czasem nie wzbudzić albo nie pogłębić nienawiści do nich w czytelnikach i tak już nastrojonych do nich czasem nawet wrogo. Na ogół więcej bym się starał o rozwój polskiego handlu i przemysłu, niż piętnował Żydów. Oczywiście zdarzają się i wypadki złej woli z ich strony, kiedy to trzeba będzie wystąpić energiczniej, nie zapominając jednak o tym, że naszym pierwszorzędnym celem jest zawsze n a w r ó c e n i e i uświęcenie dusz, czyli zdobycie ich dla Niepokalanej, miłość ku wszelkim duszom, nawet Żydów i masonów, i heretyków itp.[13]

Dlaczego hasło „swój do swego po swoje" tak bardzo znieczuliło Miłosza na głosy Polaków, na ich trudy i codzienną walkę z rozrastającym się obcym kapitałem, jest kwestią ciągle niewyjaśnioną. Najbardziej fascynującym jednak elementem tego ideowego, a może raczej duchowego sporu jest język, jaki obaj poeci wykorzystywali do wyjaśnienia własnej twórczości przy okazji interpretacji rzeczywistości politycznej, w której żyli od lat 20. do 90. Wydawałoby się, że Herbert ze swoją męską, trafiającą w punkt epitetowo poetyką podobną stylistykę podejmie w sporze ideowym na łamach dzienników literackich i politycznych. Jest jednak odwrotnie – to język mocno emocjonalny, naszpikowany określeniami intymnymi, przeczuwającymi. Miłosz zaś przeciwnie, pozbywając się całej swojej metafizyczności, kreśli „badawcze" szkice o kształcie politycznym i kulturalnym ówczesnej Polski i świata, unikając w ogóle poetyckiej subiektywizacji (nie stroniąc jednak od światopoglądowej subiektywizacji) i manifestów duszy wrażliwej. Widać to niesłychanie przecież w korespondencji poetów; to Herbert wydaje się bardziej otwarty i nawet w jakiś sposób delikatniejszy w stosowanej formie wypowiedzi już od pierwszych listów, to Herbert bardziej naciska starszego poetę na większą poufałość: „Wróciłem z Paryża naładowany lasem i szczęśliwy", pisze w pierwszym liście po powrocie do kraju. Jest to przecież bardzo intymna informacja, wykraczająca poza mocno sformalizowany – przez dystans świeżego zaznajomienia – kontakt obu panów. Przejdźmy jednak do meritum – do miejsca i godziny, które na wiele lat „złe" zaczarują opinię publiczną, stworzą podziały i wywołają literacką burzę.

Rok 1968 – zakrapiane przyjęcie u Carpenterów, które poprzedza wymiana obszernych w treść polityczną i historyczną listów. Z nich dowiadujemy się o bardzo ważnych różnicach uniemożliwiających bagatelizowanie racji obu stron konfliktu, tak jak robią to niestety dziś znawcy literatury (Paweł Hertz, Jacek Żakowski, Tadeusz Komendant), rzucając ciężkie klątwy przede wszystkim na Zbigniewa Herberta. Wróćmy do owych listów, które zapoczątkowały konflikt między poetami. Po ekstremalnie króciutkim zaznaczeniu, że Norwid był absolutnie czystym Litwinem[14],

---

[12] Maksymilian Maria Kolbe, *Pisma*, t. I, list z 26 X 1918 r., http://www.niepokalanow.pl/pisma,tom-1,21-do-br-alfonsa-kolbego,21 (dostęp: 23.05.2016).

[13] N. Wójtowicz, *Maksymilian Kolbe i zorganizowane zło*, http://www.opoka.org.pl/biblioteka/I/IH/m_kolbe_i_zlo.html (dostęp: 23.05.2016).

[14] *Korespondencja...*, s. 88.

Kulturalnie

Miłosz przechodzi do biczowania „kwestii polskiej”, co jest o tyle zaskakujące, że
bardzo dobrze znał psychikę swojego adwersarza, wiedział, jakiej granicy nie prze-
kraczać, a jednak coś popchnęło tego wysublimowanego obrońcę pojedynczego
człowieka w trudne do przyjęcia na zimno rewiry wojny błyskawicznej. Jak pisał:
„Polacy są rasą niezdolną do jakiejkolwiek twórczości, polityki, handlu, przemysłu,
religii, filozofii, mogą tylko uprawiać rolę i logikę matematyczną, jak też poczucie
swojej podrzędności wyładowywać na biciu Żydów i Murzynów. Janka mówi, że po
ostatnich pogromach robionych przez Polaków w Milwaukee przestaje przyznawać
się do polskiego pochodzenia. Ktoś mnie zapytał, czy taki religijny kraj jak Polska
wydał mistyków – ja na to, że w przeciwieństwie do prawosławia ani jednego”[15].

Należy zaznaczyć, że Herbert niestety w wielu poruszonych tu kwestiach zwy-
czajnie zgadzał się z Miłoszem. Trudno odnaleźć w odpowiedzi, która nadeszła
do Berkeley kilka tygodni później, jakąś patetyczną złość i żal, te objawią się do-
piero w pełnej krasie owego feralnego wieczoru u Carpenterów. Korespondencja
poetów naznaczona jest przemyśleniami „na zimno”, obecny jest tutaj ogromny
obopólny szacunek, ale czasami mocno napięta grzeczność. Wymiana poglądów
jest mało wyrazista, Herbert próbuje iść w sukurs niektórym odczuciom Miłosza,
ale w ostateczności nie zgadza się z nim: **„Co myślę o Polsce? Myślę podobnie
jak ty, bo nie jestem z tym krajem (jeszcze mniej niż ty) związany wspólnotą
krwi. Ale ta *Erde* (*ohne Blut*) jest moja, jak zaraza albo choroba weneryczna,
i żebym nie wiem jak podskakiwał, nie wyzwolę się z tego”[16].**

Wyraz temu poglądowi dał w zupełnie odmiennym stylu na owej słynnej kolacji,
kiedy po wypowiedzeniu zdania przez Miłosza, że Polska powinna być przyłączona
do ZSRR, Herbert wstał od stołu demonstracyjnie, oznajmiając *erga omnes*, że idzie
po rewolwer[17]. W niezwykle dżentelmeński, charakterystyczny dla siebie sposób
wypowiada te słowa w filmie Jerzego Zalewskiego *Obywatel Poeta*, później zaś
cytuje kilkukrotnie na łamach różnych czasopism. Bardzo wyraźnie określał swoje
stanowisko względem Miłosza, który w owym czasie wydawał *Rok myśliwego*,
a później *Szukanie Ojczyzny* – dzieła dość mocno akcentujące wady polskie, po-
dobnie jak *Rodzinna Europa*, która zapoczątkowała u poety niejako epokę krytyki
pozostawionego za sobą świata. Herbert eseje pisywał, w esejach tych dawał wyraz
również swoim emocjom dotyczącym sytuacji w Polsce i w polskiej literaturze,
jednak głównym tłem tych dygresji były gęste ekfrazy. To sztuka zajmuje Herberta
najbardziej i jeśli ma do Polski stosunek podobny do Miłosza – brak poczucia
jakiejś rozbudowanej metafizycznej jedności z narodem – to jednak w zupełnie
różny sposób demonstruje ową niechęć metafizyczną połączoną z odwiecznym
obowiązkiem obywatela. Miłosza nie hamuje etos obowiązku wobec Ojczyzny i ta
jedyna różnica dzieląca poglądy poetów na patriotyzm stanie się kością niezgody aż
do śmierci jednego z nich. Niechęć Miłosza do narodu polskiego objawiała się na
niejednej stronicy jego twórczości eseistycznej i publicystycznej – nic dziwnego, że
po jego śmierci rozpętała się burza, której nie należy jednoznacznie przypisywać

---

[15] Tamże.

[16] Tamże, s. 92.

[17] J. Siedlecka, *Pan...*, s. 365.

stronie zbuntowanej. Miłosz niestety miał w tym podziale spory udział – był zwyczajnie jego twórcą. W *Roku myśliwego* pisał:

> Tak czy owak, Warszawa okupacyjna była dla mnie miejscem i czasem spotkania z polskim nacjonalizmem w jego najwyższym natężeniu, kiedy to występował wyłącznie jako patriotyzm, którego nikt nie ma prawa krytykować. Niósł on ze sobą cały swój system wartości i nie wyzwoliłbym się z niego, to znaczy zostałbym w jego władzy, nie mogąc go ogarnąć niejako z zewnątrz, gdyby nie wewnętrzna moja niewygoda jako poety, intuicyjne odgadnięcie jakiejś jałowości i fałszu, co da się sprawdzić na poetyckim warsztacie. Za podniosłe. Za wysokie. Za szlachetne. Zanadto uduchowione[18].

Słowa ogromnie krzywdzące, odchodząc nawet od politycznie ukierunkowanych zapatrywań zarówno Miłosza, jak i czytającego owe przemyślenia. Określanie Polski będącej pod butem agresywnego zaborcy zanadto nacjonalistyczną było dla ludzi zmagających się z niewolą zwyczajnie krzywdzącym chwytem ze strony poety, który do swojej czysto estetycznej i etnicznej niechęci dorobił ideologię literata-misjonarza, potrzebnego światu, a nie czczemu organizmowi zwanemu narodem. Trudno obronić taką postawę, zakładając że wszyscy rozumiemy definicję swojego pochodzenia, definicję własnego narodu, definicję dziedzictwa, tradycji, kultury i religii. Trudno obronić również ze względu na niezrelatywizowany jeszcze świat wartości, o którym Miłosz stara się w poezji przypominać, a z drugiej strony zaprzecza mu w prozie, esejach, publicystyce, poddaje go dekonstrukcji, której nie powstydziłby się sam Derrida. Zadziwiające jest też to, że takie krzywdzące słowa wypowiada właśnie o Polsce, która dla dzisiejszego Polaka jest Polską najbliższą sercu, najczystszą i najdumniejszą, ponieważ broniła wartości, które podpierały ją i budowały od zarodka, od Piasta Kołodzieja. Nie sposób obejść się bez słów oburzenia, gdy spojrzy się na sekwencję tematyczną – **Miłosz, pisząc zdanie o wątpliwej szlachetności „nacjonalistów polskich" za okupacji, stronę dalej w iście malarski sposób wspomina, jak z Janką podczas wybuchu powstania jak gdyby nigdy nic wybrali się „z wizytą do Krońskich"**[19].

Herbert po okresie milczenia, jakie wywołała kłótnia u Carpenterów, napisał do Miłosza wymowny, pełen oddania i pokory list, w którym prosił adresata, aby był dla niego „wspaniałomyślny i wybaczający" – okaże się, czy tak się w istocie stało.

≡ BOHATEROWIE HERBERTA

„Rozważając wiersze Świrszczyńskiej, znalazłem u niej, obok agnostycyzmu czy ateizmu, ślepe przywiązanie do jednego imponderabilium: ojczyzny. Coś podobnego u Herberta. Jeden absolut"[20]. Powyższa konstatacja Miłosza jest niesłychanie trafna. Wiemy, że Herbert teologii katolickiej z całym dobrodziejstwem inwentarza

---

[18] C. Miłosz, *Rok...*, s. 40.
[19] Tamże, s. 17.
[20] *Korespondencja...*, s. 176.

nie przyjął jedynie to, co mogło pokrywać się ze starożytną etyką i demokratyczną wizją państwa, której przekaźnikiem tradycja katolicka przecież nie była. Spójrzmy na tę różnicę na przykładzie omówionego już nieco utworu *Obrona templariuszy* – **Herbert całym swoim intelektualnym wysiłkiem broni tej najbardziej kontrowersyjnej (dziś uznawanej za kontrowersyjną) historii Kościoła właśnie przez wzgląd na odwieczne, ukonstytuowane w starożytności, a opiewane w średniowieczu, wartości zwane cnotami. Przede wszystkim przez wzgląd na męstwo, które św. Tomasz z Akwinu określił jako „warunek każdej cnoty"**[21]. Akwinata zgadzał się tutaj nie tylko z Cyceronem, podkreślając udział nadziei i odwagi w narodzinach postawy mężnej, ale również ze św. Augustynem, którego słowa „męstwo to jest miłość, która wszystko znosi łatwo dla czegoś umiłowanego"[22] na stałe wpiszą się w definicję miłości Ojczyzny. Herbert zanurzał się w psychikę bohaterów średniowiecznych *chanson de geste*, nie usprawiedliwiał zbrodni, ale też nie odcinał się od specyfiki bohaterstwa tamtych czasów, od niezwykłej rycerskiej glorii, która pozyskana tylko na chwałę Imienia Bożego tak bardzo zastanawiała późniejsze pokolenia i którą tak bezlitośnie krytykował Miłosz, nieustannie podkreślając swoje współczucie dla albigensów, Żydów i innych ludów uciemiężonych przez historię (Herbert również temu hołdował, ale w zupełnie innym stylu). Do napisania *Obrony templariuszy* Herberta popchnęły przede wszystkim okrutne metody manipulacji rządzących sowietów – metody państwa totalitarnego i policyjnego. Było też jednak inne podłoże. Bo dlaczego akurat templariusze? Wymazani z pamięci na 700 lat rycerze, których dobroć, wielmożność, szlachetność pobudek stanowiła ość w gardle Filipa Pięknego. Choć znawca tematu zapewne zarzuciłby Herbertowi słabe podkreślenie cnót rycerskich zakonu templariuszy, bo skupiał się w tym szkicu przede wszystkim na słabościach ludzkich, na przytłoczeniu człowieka niesprawiedliwymi metodami, które prawym nie mieszczą się w głowach, to jednak widoczny jest tutaj hołd oddany Hugonowi de Payens i historycznej wielkości owej katolickiej ze wszech miar organizacji, organizacji, której koniec jest najlepszym oddaniem znaczenia sentencji *si vis pacem para bellum* i błogosławieństwa Chrystusa z Ewangelii: „Szczęśliwi jesteście, jeśli z mojego powodu lżą was i prześladują, i kłamliwie przypisują wam wszelkie zło. Cieszcie się i radujcie, bo czeka was sowita zapłata w niebie. Tak bowiem prześladowali proroków, którzy żyli przed wami"[23].

W wierszu *Dawni mistrzowie* Herbert, jak wspomniane było wcześniej, poddaje się zachwytowi nad absolutną pokorą wobec Boga, której dzisiaj nie sposób szukać wśród uczonych. Pokora ta nie wiązała się z żadnymi innymi względami oprócz bogobojności, świętej wiary w to, że Bóg zna ich godność, reszta jest marnością. Miłosz nigdy nie pochylał się nad specyfiką duchowości średniowiecza, a szkoda, bo to właśnie w średniowieczu ukonstytuowały się narody, narodów przywary i zdolności, nikczemności i wielkoduszność, ale też nauka, filozofia i pojęcie męstwa, które w kształcie podanym przez Tomasza z Akwinu do dziś funkcjonuje

---

[21] Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, Londyn 1963, t. 27, s. 7.

[22] Tamże, s. 8.

[23] *Ewangelia wg św. Mateusza*, 5,3–12.

jako składowa definicji patriotyzmu. **Oszczędna, szczera poetyka Herberta, zaczerpnięta ze stylistyki Tukidydesa, objawia się nie tylko na poziomie estetycznym, na poziomie konstruktu wiersza, Herbert w zadziwiający sposób zasymilował swoje poglądy z retoryką najznamienitszego historiografa starożytności[24]. Czyż zdanie z mowy pogrzebowej Peryklesa nie jest czystym odzwierciedleniem herbertowskiej postawy – stosunku poety do rzeczywistości? „Kochamy bowiem piękno, ale z prostotą, kochamy wiedzę, ale bez zniewieściałości, bogactwem się nie chwalimy, lecz używamy go w potrzebie; przyznanie się do ubóstwa nie przynosi nikomu ujmy, jednakże jest ujmą, jeśli ktoś nie stara się z niego wydobyć".**

Sympatie dla politei, doskonalszej postaci demokracji, ubóstwianie piękna pojętego klasycznie, z harmonią i niewybujałością, męska szczerość i celna prostota artystyczna. Wszystkie te cechy, począwszy od *Struny światła* aż do bardziej antropologicznego zbioru *Pan Cogito*, budowały zarówno kręgosłup moralny piszącego, jak i jego rozumienie sztuki. O arystotelejskiej dzielności w zagadnieniu Ojczyzny u Herberta pisał obszernie Józef Maria Ruszar w artykule *Ojczyzna jako wspólnota losu*. Zobaczmy jednak, co Tukidydes powiedział o wielkich wartościach: „Narody, tracąc pamięć, tracą życie". I inny związany z kwestią Ojczyzny aforyzm: „Podstawą szczęścia jest wolność, a podstawą wolności odwaga". Słowa te często przypisywane są Norwidowi, który stworzył cały system antropologiczny, od wysokiego człowieczeństwa, związanego z Bogiem, po prosty, ale rozumny patriotyzm – którego definicji nie powstydziłby się sam Arystoteles ze swoją zasadą złotego środka. Norwid jest wyjątkowo ciekawą postacią, która łączy zarówno Miłosza z Herbertem, jak i Miłosza z Janem Pawłem II. Te drogi gdzieś się nawzajem przecinają, a jest to obrona ułomności ludzkiej, o której mówi św. Paweł w II liście do Koryntian: „moc w słabości się doskonali", klasyczne fundamenty kultury i w ogóle kategoria empatii, oczywiście różna u wszystkich trzech osobistości, jednak mająca jeden wspólny punkt – dobro większej całości, dobro wychodzące od jednostki i obejmujące wspólnotę. U Miłosza jest to nieokreślona ludzkość i świat, u Herberta – zniewolony naród, plemię, lud pradawny, u Norwida – człowiek, który buduje bożą cywilizację. Jakież tu są różnice w rozumieniu człowieczeństwa i misji, którą człowiek ma wykonać na ziemi we wspólnocie! Spójrzmy, czy Norwid w ostateczności wygrał dusze obu poetów:

Co znaczyłaby ludzkość, gdyby ją kto zmierzył,
Jak ona jest i w taką, jak jest ona, wierzył?
Co ona by znaczyła, widziana tak szczerze,

Jak ją znam i oglądam, nie zaś, jak w nią wierzę?
Co by ona znaczyła?[25]

[24] K. Dedecius, *Uprawa...*, s. 28.
[25] C.K. Norwid, *Rzecz o wolności słowa*, https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rzecz-o-wolnosci-slowa.html (dostęp online: 23.05.2016).

Czy któryś z poetów zadaje sobie to pytanie? I czy na nie odpowiada? Tak, jednogłośnie za Norwidem, a może bardziej za Mirceą Eliade, woła Miłosz o zapobieżenie „erozji teologicznej" i metafizycznej[26], równocześnie Herbert potępia „magizmy" współczesności, demonologię i bylejakość sakralną w przestrzeni estetycznej (*Pan Cogito o magii*), pozbawioną dostojności, purpury. Widzimy więc że na poziomie duchowym głębiej przeżywał poetykę Norwida Miłosz, nie Herbert, który – pytany o związki intelektualne z czwartym wieszczem – nieraz się od tego odcinał.

Biorąc pod uwagę wszystkie konteksty filozoficzne i artystyczne, które zajmowały Herberta na poziomie duchowym oraz poglądowym, przypatrzmy się lepiej spiżowym bohaterom, którzy skłonili go do historiozoficznego zachwytu, co wiązało go wyraźnie z Norwidem. Jak pisze A. Kaliszewski: „Przedmiotem troski podmiotu lirycznego są wtedy zawsze obrzeża: odległe prowincje, podbite ludy, zgładzone plemiona, przegrani rebelianci. Sprawnie, z pozoru sprawiedliwie, zgodnie z racją większości rządzone państwa, perły cywilizacji, z tej perspektywy, jak i perspektywy pojedynczego obywatela, mogą okazać się i okazują totalitarnymi molochami. Herbert staje więc zwykle po stronie podbitej przez Greków Samos, po stronie Kurdów, afgańskich górali, wyznawców Dalaj Lamy, Etrusków, Gallów, Utyczan. Nie imponują mu triumfalne pochody centurionów, ale beznadziejne obrony, samobójcze bunty w imię wartości straconych" (nazywa to „czytaniem pod freskiem")[27].

To chyba właśnie tutaj leży kość niezgody między księciem poetów a noblistą. **Herbert opiewał czyny, na jakie nie pozwalał rozsądek, w tym polskie zrywy narodowe, które Miłosz przy każdej okazji bardziej lub mniej merytorycznie krytykował: „oceniałem jednak polską patriotyczną umysłowość fatalistycznie, jako skazaną"[28]. Herbert zarzucał Miłoszowi porywanie się z biczem intelektualisty na najlepszą ówcześnie młodzież, która uwikłana w poezję stała się pokoleniem Kolumbów.** W latach 90. pisał o tendencyjnej i jednostronnej opinii Miłosza na temat poezji Baczyńskiego i Gajcego:

> U obu poetów ani cienia narodowej frazeologii czy egzaltacji patriotycznej. Poczucie fatalizmu i daremnej (ale nie bezsensownej) ofiary. Tutaj Miłoszowi do sztambucha. Jeśli jest człowiekiem dobrej wiary, czego nie można wykluczyć, powinien uderzyć się w piersi i zaprzestać ataków na zmarłych, nawet gdy są mu niewygodni. Starożytni, a za nimi św. Tomasz z Akwinu uczył, że zanim przystąpimy do dyskusji, należy gwoli ścisłości przeprowadzić logiczny zabieg distinguo (rozróżniam), o czem zapomina – bo trudno sądzić, żeby zapominał – Miłosz. Z uporem uważa on obu poetów za nacjonalistów, co zwalnia go z analizy wierszy, a nawet ich czytania i pozwala jednym ruchem oba te nazwiska, które są chlubą poezji polskiej – wyrzucić na śmietnik historii[29].

---

[26] O. Oryniak, *Ukryty Lechita*, http://philology.knu.ua/files/library/polonist/26/25.pdf (dostęp: 23.05.2016).

[27] A. Kaliszewski, *Zbigniew Herbert*, [w]: *Historia literatury polskiej. Tom X: Literatura współczesna 1956-2006*, s. 13.

[28] C. Miłosz, *Rok…*, s. 135.

[29] Z. Herbert, *O kanon języka i literatury*, fragment niedrukowanego szkicu (maszynopis z odręcznymi poprawkami Herberta, archiwum Zbigniewa Herberta, Warszawa; pisownię i interpunkcję uwspółcześniono), [w:] *Korespondencja…*, s. 145.

Ten obszerny cytat najlepiej chyba oddaje stopniowe „błyskanie" między poetami. Zaczęło się od kwestii najogólniejszych – politycznych i historycznych, a skończyło niestety na osobistych i prywatnych. Herbert nawet w dyskursie publicystycznym i literaturoznawczym nie może uwolnić się od swojej niezwykłej, głębokiej maniery słów kluczy, krótkich, jednoepitetowych, poetyckich, ale celnych opinii, co widzimy na powyższym przykładzie. Zupełnie innym tonem rozmawiał z Jackiem Trznadlem w słynnej *Hańbie Domowej*, gdzie możemy zobaczyć czarno na białym, kto był dla niego bohaterem, kto był znośny, a kogo by „zrugał" w charakterystyczny dla siebie, dyplomatyczny sposób. Dość ostro wyraża się o Tadeuszu Konwickim oraz Jerzym Andrzejewskim:

> *Popiół i diament*, wydawany bez przerwy i zatruwający umysły młodzieży. Mówi się, że to było ukąszenie Heglem. Bardzo przepraszam, ale Hegel leżał już od stulecia pod darnią, a kąsał Berman, kąsał Sokorski, kąsał Kroński... Oni kąsali – nie Hegel. Ile razy się mówi o tych rzeczach, to stare konie są nadąsane – ci, którzy pisali te brutalne, głupie i haniebne szmiry – i żądają, abym podchodził do nich z delikatnością Prousta lub żebym wczuwał się w tajnie ich duszy jak Dostojewski. A jeśli mówię o zbrodni, to mówię o zbrodni dokonanej na młodych ludziach, na pokoleniu, które po nich przyszło i które teraz ma dwadzieścia, trzydzieści lat. Oni się wychowują w dalszym ciągu na tej literaturze. I to jest zbrodnia przeciwko Duchowi Świętemu. Grzech przeciwko Duchowi jest niewybaczalny. Ja jestem rzymski katolik, ale bardziej rzymski niż katolik. I tutaj nie ma usprawiedliwień[30].

Grzechy Andrzejewskiego, pisarza rozpowszechniającego zmanipulowane literacko historie, są, zgodnie z obawami Herberta w latach 90., wybielone i brane pod szkolną lupę do dziś bez jakichkolwiek komentarzy i wyjaśnień. To, że nie można pozostawić suchej nitki na paszkwilanckiej powieści autobiograficznej Konwickiego pt. *Rojsty*, Herbert podkreśla w wywiadzie, mówiąc o Polsce, która cieszyła się z kaloryfera i suchego chleba w domu, i o Polsce, która w pozycji półstojącej w ciemnej, mokrej, raniącej stopy celi czekała na wyrok. Mowa o celi, którą odkryto podczas kręcenia filmu na Rakowieckiej w Warszawie – sensacyjne odkrycie, które uświadamia współczesnemu społeczeństwu, jaka była skala gnębienia najlepszych Polaków. Bo kimże może być bohater, jeśli nie tym, który wychodząc na proces po raz ostatni, po ciężkim śledztwie, wiedząc, że z kołchoźnika córka i syn usłyszą hasło – „zdrajca", kolegom współwięźniom rzuca silne... „z Bogiem Panowie" (ostatnie słowa ppłk. Łupaszki). O fatalnej roli, jaką odegrali pisarze, wpływając na późniejsze pokolenia (co jest widoczne dziś), traktuje napisana w 2014 r. książka Mariusza Soleckiego *Literackie portrety Żołnierzy Wyklętych*. Merytorycznie wytyka w niej zmyślnemu technicznie i literacko Konwickiemu zwykłe paszkwilanctwo, tym bardziej brutalne, że sam Konwicki należał do partyzantki AK po powstaniu[31].

KULTURALNIE

---

[30] J. Trznadel, *Wypluć z siebie wszystko. Rozmowa ze Zbigniewem Herbertem* (9 lipca 1985), [w:] Tegoż, *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*, Lublin 1993.

[31] Doskonałym świadectwem popełnionej przez Konwickiego zbrodni intelektualnej jest wspomnienie Marii Orzeszkowej – uczennicy toruńskiej polonistyki, zawarte na jej blogu: archiwummeryorzeszko.blogspot.com. Po wprowadzeniu w świat lektury *Rojstów* autorka

Podczas gdy Miłosza nie za bardzo interesuje historia bohaterstwa w Polsce i zdecydowanie woli pogrążać się w listach Oskara Miłosza czy wspomnieniach z lektury *Dziejów starożytnych narodu litewskiego* Teodora Narbutta, Herbert wydaje tom *Rovigo* – przez badaczy literatury uznawany za najbardziej bezpardonowy i szorstki w dorobku pisarza. Weźmy jednak pod lupę to dalece idące rozróżnienie, które będzie dzieliło aksjologię obu poetów. Niech najlepszym komentarzem-tezą będzie wypowiedź Zdzisława Najdera, notabene bliskiego kolegi Herberta, który już po jego śmierci w zbiorowej pracy *Portret z początku wieku* napisał empatyczny artykuł pt. *Poezja jako obowiązek*, w którym zwrócił uwagę na niezwykle istotną, żeby nie powiedzieć – najważniejszą kwestię wpisującą się w spór o wartości: „W świecie Miłosza jest polemika ze zmarłymi, być może nawet ich potępienie; u Herberta zmarli zawsze mają rację”[32].

Przywołując również, podobnie jak w niniejszej pracy, wiersz Miłosza *W Warszawie* i słowa Herberta z *Prologu*, które dźwięczą nieustannie melodią Przemysława Gintrowskiego, autor wskazuje to, co spowodowało wyrwę w ogromnej przyjaźni – szacunek dla umarłych.

Wilki – wiersz, któremu poświęcono wyjątkowo niewiele uwagi, co właściwie da się usprawiedliwić latami zapomnienia, które minęły od prawdziwej historii Żołnierzy Niezłomnych, historii całego podziemia po II wojnie światowej. Ballada napisana typowym dla Herberta stylem objawionej tajemnicy, nie do końca oczywistej, a jednak bliskiej, kiedy próbujemy odszyfrować sformułowania klucze: „prawo wilka” „historia głucho milczy”. Zbiór tych słów daje nam wspaniały, spójny obraz wszystkich cech i ról, które przypisane zostały bohaterom wiersza. **Porównanie żołnierzy NSZ-u do wilków było tak sugestywne, że stało się współcześnie symbolem – zaraz obok jaszczurki – Żołnierzy Wyklętych, właśnie dzięki wizji Herberta.** Zwróćmy uwagę, jakich określeń używa poeta w tym obrazie – obok archaicznych i podniosłych zwrotów „kędy”, „mściwa rozpacz”, „biały bór”, „nie opłakała ich Elektra” stoją mało patetyczne wyrażenia, odnoszące się do fizjologicznych i zwyczajnie ludzkich odruchów: „żółtawy mocz”, „pili samogon”. **Prostota estetyki Herberta nie objawia się w obniżaniu czy kwestionowaniu wartości, których nosicielami są osoby opiewane w wierszu. Równowaga w chęci ukazania zarówno ludzkiej, jak i tej heroicznej, niejako boskiej sfery, podkreśla, że Herbert nie zawija człowieka w fantazmaty, pamięta o jego człowieczeństwie – słabościach, i o zdolności do szlachectwa. Ten zabieg jest przeprowadzony w taki sposób, aby po lekturze wiersza wiedzieć, że Herbert przedstawił nam właśnie bohaterów pomimo absolutnej równowagi w ujmowaniu**

przechodzi do zaskakującego rozwinięcia – opisuje nam surowego, apodyktycznego i śmiertelnie wymagającego docenta Malinowskiego, wszystkie jego „odchylenia” naukowe, przed którymi drżeli studenci. Z tego kanciastego jak brzytwa portretu wyłania się jednak ktoś zgoła inny: „Przerażający docent M., postrach bydgoskich studentów polonistyki, to nieżyjący już Leszek Jan Malinowski, Żołnierz Wyklęty, który w czasie wojny walczył w 3. Wileńskiej Brygadzie AK, zaś po wojnie był kurierem przeprowadzającym na Zachód ludzi, których należało ratować przed NKWD. M.in. pomagał w przerzucie pisarza Sergiusza Piaseckiego, który w czasie okupacji był egzekutorem AK”.

32 Z. Najder, *Poezja jako obowiązek*, [w]: *Portret z początku wieku*, red. W. Ligęza, Lublin 2005, s. 200.

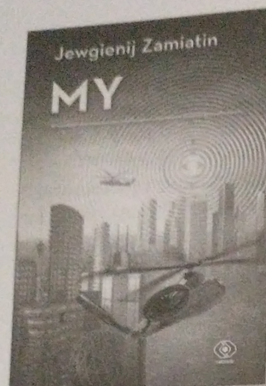
opozycyjności postaw etycznych. To jest niezwykłość poezji byłego „kadzidło-wego". Ogromna pokora, niski ukłon i minuta ciszy przed grobowcami tych, którzy szli wąwozami byłych ulic", zawiera się w wersie, na który również zwrócił uwagę Andrzej Kaliszewski[33], znamienne „Ocaleli niegodni" – najpiękniejsze chyba wyznanie z opuszczoną głową i zapewnienie stróżowania przy schodach mauzoleum tych godnych, w postawie klęczącej. To dzieliło wielkiego noblistę i księcia poetów. Herbert wykorzystał również motyw rzeki w swojej poezji, lecz z zupełnie innym założeniem niż Miłosz. Rzeka jako szansa dla dobrej i złej postawy etycznej – kolejny ważny krąg *moralitas*: „płynie się zawsze do źródeł pod prąd, z prądem płyną śmiecie" powiedział Herbert w „Krytyce"[34]. Połączył też niejako misje umarłych z misją żywych w wierszu *Prolog:*

Płynę pod prąd a oni ze mną
Nieubłaganie patrzą w oczy
Uparcie szepczą słowa stare
Jemy – nasz gorzki chleb rozpaczy
Muszę ich zawieźć w suche miejsce
I kopczyk z piasku zrobić duży
Zanim im wiosna sypnie kwiaty
I mocny zielny sen odurzy.

Herbert bierze na siebie misję zachowania cokołów po starych, zapomnianych herosach, których szlachetne głowy, ręce, nogi i spiżowe serca wrzucono w otchłanie machiny socjotechnicznej. Najbardziej jednak w tych strofach porusza sformułowanie „Muszę ich zawieźć w suche miejsce i kopczyk z piasku zrobić duży" – czyż nie wyobrażamy sobie małego chłopca, który wyciąga ze śmietnika popsute artefakty, zabawki, niedziałające figurki superbohaterów, ukochane pamiątki narodzenia? Herbert odnajduje Wielkich i Godnych pod gruzami dziejów, jakby cały dorosły świat, poważny świat, doświadczony świat sprawił zawód, nie wykonał obowiązku – przecież tego najważniejszego obowiązku – oddania hołdu tym, którzy podtrzymują ojczyźnianą ziemię, ziemię starego kontynentu, żołnierskimi rękami w kolorze moro i krwi. Widać tu absolutne przeświadczenie Herberta o swojej małości, może naiwności i małostkowości, a nawet dziecinności w stosunku do tych, których chce otoczyć czcią – stąd porównanie do małego chłopca i odkopywanych pierwszych zabawek. Stąd powrót do źródła, do korzeni, do miejsca urodzenia człowieczeństwa – do mężności, do dzielności i pięknoduchostwa. A co mówi Miłosz? **„Kraj, Ojczyzna, naród: les choses vagues, rzeczy mgliste, jak je nazywał Paul Valery, to znaczy wymykające się definicjom, zbyt naładowane uczuciowymi znaczeniami"[35].**

---

[33] A. Kaliszewski, *Zbigniew Herbert...*, s. 2.
[34] Zbigniew Herbert, *Płynie się zawsze do źródeł, pod prąd, z prądem płyną śmiecie*, rozm. przepr. Adam Michnik, pierwodruk: „Krytyka" 1981, nr 8.
[35] C. Miłosz, *Rok...*, s. 164.



Bezlitosny ciężar ładu, niszczący żar chaosu. Zamiatin i *My*, współcześni

Pozwól, że słowa moje będą krótkie – krótkie jak zagłada. Na chwilę zabłysła jakaś dziwna, posępna światłość, rozwidniająca i przenikająca wszechrzeczy. Potem – ukórzmy się, Charmionie, przed nieograniczoną chwałą wielkiego Boga! – potem rozległ się donośny, przeraźliwy głos, jak gdyby wytchnięty z własnych ust JEGO, i wszystek otaczający nas ogrom eteru buchnął nagle przepotężnym płomieniem, dla którego nieporównanej jaśni i niszczycielskiego żaru nie mają miana nawet aniołowie na wysokościach niebieskiej czystej wiedzy. Taki był koniec wszystkiego[1].

Za nami trudne, pandemiczne półtora roku, w którym groteska nieraz spotykała się z tragedią. Rządzący, reagując na bądź co bądź dawno niewidziane zjawisko, podjęli sporo kontrowersyjnych decyzji, rządzeni, wyrażając dla nich dezaprobatę, sami czasami balansowali na granicy śmieszności. Z jednej strony niepokój mogą budzić pojawiające się w różnych rejonach świata pomysły wprowadzenia covidowych paszportów, ograniczanie możliwości praktykowania kultu, sposób zarządzania służbą zdrowia, z drugiej – buntownicy tracą wiarygodność, kiedy w ich oczach już nie zapowiedzią, ale wręcz wyrazem nowego totalitaryzmu staje się „maseczkowy terror". Nieufności między rządzącymi a rządzonymi bynajmniej nie łagodzi nomenklatura wieszcząca wielkie zmiany – określenia takie jak „nowa normalność" co bardziej podejrzliwym każą powątpiewać w dobre intencje politycznych elit. W tym szczególnym czasie wydawnictwo Rebis postanowiło przypomnieć napisaną w 1920 roku powieść *My* Eugeniusza Zamiatina, utwór prekursorski wobec późniejszych antyutopii, a przy tym cały czas aktualny ze względu na napięcie rodzące się w wyniku współistnienia dwóch nowożytnych paradygmatów: z jednej strony emancypacji, z drugiej – utylitaryzmu/racjonalizmu wraz z wyrosłą na ich gruncie statolatrią,

---

[1] E.A. Poe, Rozmowa Eirosa z Charmionem, tłum. Stanisław Wyrzykowski, [w:] E.A. Poe, *Opowieści miłosne, śmiertelne i tajemnicze*, Poznań 2010, s. 255.

W Zamiatinowskiej powieści zenitowy punkt osiąga ten drugi kierunek. Nie wiemy, kiedy dokładnie rozgrywa się jej akcja, ale nasze czasy nazywane są w tej rzeczywistości Starożytnością. Д-503, główny bohater utworu, a zarazem jego narrator, pisze pamiętnik, aby uczcić zbliżający się start Integralu, statku kosmicznego, którego załoga ma „narzucić dobroczynne jarzmo rozumu nieznanym istotom z obcych planet"[2], a więc przekonać je siłą do własnych zasad. A są to zasady cokolwiek osobliwe z naszego punktu widzenia, chociaż kryjące się pod znajomą nazwą Dekalogu. Można powiedzieć, że ich istotą jest ograniczenie człowieka prywatnego do minimum (ma on dwie Godziny Osobiste w ciągu dnia) przy jednoczesnej maksymalizacji człowieka publicznego, który staje się zaledwie śrubką w maszynie, liczbą, stąd specyficzne „imiona" bohaterów. Dzieci są tu odbierane rodzicom i hodowane, życie intymne reglementowane i uwspólnotowione, rodziny nie istnieją, domy są szklane, żeby wszyscy jak w panoptykonie mogli się obserwować, a nad obywatelami czuwają Opiekunowie. Miasto-państwo otoczone jest zaś Zielonym Murem, za który nikt się nie udaje – to bowiem domena dzikiej, nieobliczalnej natury.

Wprawdzie już w pierwszych partiach powieści dowiadujemy się, że trafiają się jacyś niesubordynowani obywatele, którzy kończą żywot pod złowieszczym dzwonem gazowym, ale sam Д-503 jest w pełni oddany Państwu Jedynemu, a jego zasady wydają mu się czymś oczywistym. Budowana z pieczołowitością konstrukcja człowieka publicznego, którego życie wyznaczają precyzyjnie zakreślone ramy, sypie się jednak, gdy poznaje on kobietę, I-330. Rozum, dotąd odmierzający każdą myśl z laboratoryjną dokładnością, zostaje zmącony przez uczucie, śrubka w maszynie ulega poluzowaniu.

W tym miejscu warto wspomnieć, że zapoznawanie się, a tym samym konfrontowanie z duchem emancypacyjnym wniesionym przez I-330 przybiera czasami postać dowcipnej groteski. Nie dziwi to, gdy wspomni się, że w twórczości Braci Serafiońskich, grupy literackiej stworzonej przez autora, było miejsce na potoczność, nieraz wyraźnie sięgającą do komizmu. Niepokój głównego bohatera, przeradzający się wręcz w przerażenie tym, co się z nim dzieje pod wpływem nieznanych mu emocji, czyni z niego momentami postać równie niefrasobliwą jak te, które można spotkać w humoreskach Michaiła Zoszczenki. Humor ten nie ma wszędzie tej samej, wysokiej temperatury, niemniej czytelnik, dla którego reprezentatywnym dziełem antyutopijnym jest *Rok 1984*, może być zaskoczony obecnością takiego tonu w *My*.

Istotne jest jednak to, że towarzyszy on mocno eksponowanej warstwie intelektualnej, w czym na pewno pomaga narracja imitująca wpisy do pamiętnika. Д-503 bardzo skrzętnie objaśnia nam prawa rządzące Państwem Jedynym i życiem jego obywateli, wchodząc w polemikę z irracjonalną w jego oczach Starożytnością. Kluczowy jest dla niego antagonizm wolności i szczęścia. Nie można być jednocześnie wolnym i szczęśliwym, ba, „jedyny sposób, by uwolnić człowieka od zbrodni, to uwolnić go od wolności"[3]. Człowiek wolny poddaje się bowiem emocjom i namiętnościom, to zaś prowadzi go do chaosu i unieszczęśliwia zarówno jego, jak i innych. Krótko mówiąc, warunkiem szczęścia staje się niewola.

Recenzyjnie

[2] J. Zamiatin, *My*, tłum. Adam Pomorski, Poznań 2020, s. 5.
[3] Tamże, s. 38.

Prawdą jest, że ludzie, niewłaściwie korzystając z wolnej woli, popełniają zło, niemniej Państwo Jedyne jest zorganizowane podług utopijnego przekonania, że tę ułomność ludzkiej natury, czy też używając bliższego wierzącym języka: skłonność do grzechu, da się definitywnie wymazać bądź przekroczyć. Totalitarna rzeczywistość, którą pokazał Zamiatin, jest zatem wyrazem rozkwitłej szczególnie na gruncie oświecenia wiary człowieka w to, że za pomocą rozumu jest się w stanie zbawić tu i teraz, tworząc raj na ziemi. Idei tej narrator bynajmniej nie podaje nam między wierszami, nie musimy się jej domyślać ani wyciągać jej na światło dzienne, uciekając się do dalekich, karkołomnych skojarzeń. Mówi się o niej wprost w powieści.

> Starożytny Bóg – i my – obok, przy jednym stole. Tak! Pomogliśmy Bogu ostatecznie zwyciężyć diabła – to przecież on podkusił [pierwszych ludzi – przyp. autora], by złamali zakaz i skosztowali zgubnej wolności, on – wąż podstępny. A my główkę pod obcas – trrach! I po krzyku: znowu mamy raj. Znowu jesteśmy prości, niewinni jak Adam i Ewa. Bez tego całego mętliku – dobro, zło: wszystko proste jak drut, rajsko, dziecinnie proste[4].

To jeden z wielu fragmentów za punkt odniesienia biorących chrześcijaństwo, przewrotnie zresztą, bo nie w jawnej opozycji do niego, tylko jako rozwinięcie i ulepszenie, oczywiście z perspektywy ludzi takich jak Д-503. Chrześcijanie to niedoskonali poprzednicy mieszkańców Państwa Jedynego, którzy historię zbawienia opowiedzieli na nowo, już bez religijnego balastu, za to opierając się na samym rozumie. Trudno w takim przedstawieniu świata powieściowego nie zauważyć tonu obciążającego chrześcijaństwo, jako idei, która – szczególnie po okrzepnięciu w instytucjonalnych ramach Kościoła – przetarła szlak dla świeckiego raju „idealnej nie-wolności".

Dla Zamiatina, który był nie tylko starym bolszewikiem i ateistą, lecz także synem popa, Partia wkrótce po rewolucji przybrała ponurą twarz „nowego katolicyzmu"[5]. W powieści to przekonanie znajduje odzwierciedlenie w częstych odwołaniach do „starego katolicyzmu", którego emanacją jest – a jakże – złowieszcza inkwizycja, pierwowzór opresyjnego apartau władzy. Dlatego mimo że *My* co prawda weryfikuje pomysł samozbawienia na przykładzie głównego bohatera – który gdy tylko „zachoruje na istnienie duszy", traci zdolność bycia częścią „jednego milionorękiego ciała" – to dla samego Zamiatina problemem nie jest gnoza polityczna człowieka pooświeceniowego, gotowego kolejnymi przepisami zaprojektować na Ziemi Eden, ale antagonizm stałości i ruchu, porządku i rewolucji czy używając już charakterystycznych dla niego pojęć: entropii i energii.

Jeśli odczytamy *My* przede wszystkim jako groteskę i satyrę, w uwodzącej głównego bohatera I-330 zobaczymy femme fatale, po uwzględnieniu zaś licznych biblijnych kontekstów narzuci się nam oczywiste skojarzenie z Ewą, która – sama skuszona przez diabła – zachęca do sięgnięcia po owoc z Drzewa Poznania. Dlatego

---

4 Tamże, s. 63.

5 Cyt za: Tenże, *I am afraid*, [w:] *A Soviet Heretic: Essays by Yevgeny Zamyatin*, University Press of Chicago, Chicago 1970, http://soviethistory.msu.edu/1921-2/death-of-a-poet/death-of-a-poet-texts/zamiatin-i-am-afraid/ (dostęp: 12.10.2021).

…krytyki Państwa Jedynego, kulminującego w terrorze harmonii i perfekcji, …sposób nie zauważyć, chrześcijaństwu zaś jako jego antycypacji religijno-insty…nalnej również przypisuje się winy, o tyle grupa Mefi, której I-330 przewodzi, …już bardziej enigmatyczną stroną konfliktu. Bohaterka ta wykorzystuje prota…istę, a credo, którym się dzieli w rozmowie z Д-503, brzmi co najmniej nie…kojąco, nosi wszakże znamiona, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, daleko posuniętej …nsgresji, za cel biorącej sobie destrukcję.

> Więc tak: dwie siły na świecie – entropia i energia. Jedna – dla świętego spokoju, szczęśliwej równowagi, druga – dla zburzenia równowagi, dla męczeńsko nieskończonego ruchu. Entropię – nasi czy raczej – wasi przodkowie, chrześcijanie, wielbili jako Boga. A my, antychrześcijanie, my…[6]

I dalej, kiedy Д-503 nadal próbuje zasłaniać się ideałem harmonii, I-330 odpowiada mu:

> Aha! Równomiernie, wszędzie! Tu właśnie doszliśmy do niej – to entropia, psychiczna entropia. Czy dla ciebie, matematyka – nie jest oczywiste, że tylko różnice – różnice – temperatur, tylko kontrasty cieplne – tylko w nich tkwi życie. A jeśli wszędzie, w całym wszechświecie, ciała jednakowo ciepłe – albo jednakowo chłodne… Trzeba je zderzyć – żeby był ogień, eksplozja, piekło. I my je – zderzymy[7].

Czytelnik, często mimowolnie szukający w dziele wskazówek, które pozwoliłyby mu ocenić, kto według samego autora ma moralną rację, może być lekko zdezorientowany, ale to można poczytać za walor *My*, które daje odbiorcy wolną rękę w interpretacji. Po uwzględnieniu jednak tego, co Zamiatin pozostawił po sobie poza antyutopijną powieścią, uzyskamy niemalże pewność, że radykalne stanowisko I-330 nie było mu obce. „Tylko heretycy odrzucający *dziś* w imię *jutra* są wiecznym zaczynem życia, zapewniają mu wieczny ruch do przodu", rozbijając zdogmatyzowaną naukę, religię, sztukę i życie społeczne – twierdził autor *My*[8] – i tylko przez ogień ziemia może się stać znowu młoda.

Kultura nie może obyć się bez ofiary, i tak jest też w *My*, Państwo Jedyne tworzy bowiem rytuał poświęcenia pod dzwonem gazowym w ramach kultu Dobroczyńcy i rozumu, buntownicy zaś modlą się do ognia, wierząc w odnowienie świata w jego płomieniach. Jedni i drudzy, żeby osiągnąć stan idealny – bądź przez porządkujące wszystko Państwo, bądź przez ekstremum wolności: anarchię – odrzucają prawdę o człowieku, któremu natura nie pozwala żyć ani w stanie absolutnego, narzuconego dekretami ładu (idealnej nie-wolności), ani absolutnej swobody. Wymaganie

RECENZYJNIE

---

6 Zamiatin, *My*, s. 158.

7 Tamże, s. 168.

8 Cyt za: Anna Gildner, *Myślenie uniwersalistyczne Eugeniusza Zamiatina*, [w:] „Rusycystyczne Studia Literaturoznawcze" 1992, t. 17, https://bazhum.muzhp.pl/media/files/Rusycystyczne_Studia_Literaturoznawcze/Rusycystyczne_Studia_Literaturoznawcze-r1992-t17/Rusycystyczne_Studia_Literaturoznawcze-r1992-t17-s67-75/Rusycystyczne_Studia_Literaturoznawcze-r1992-t17-s67-75.pdf (dostęp: 12.10.2021).

tego pierwszego zderza się z tym, co w człowieku osobiste, z jego emocjami i pragnieniami, popchnięcie zaś go w stronę skrajnej wolności nie tylko sprowadza chaos – tego akurat Mefi chcą – ale też uzależnia od instynktów i wspomnianych emocji, czyli czyni paradoksalnie niewolnym. Tego *My* nie opowiada, ale XXI w. nieustannie przekonuje, że brak granic dla transgresji jest iluzoryczny.

* * *

Zamiatin, wybiegając swoją historią daleko w przyszłość, opowiedział o czasach mu współczesnych nie tylko przez oczywiste nawiązania do Rosji bolszewickiej, lecz także z uwagi na wyczucie kierunku, w jakim zmierzać będzie nowoczesność człowieka pozostawionego samemu sobie. Nasz świat łączy z rzeczywistością Państwa Jedynego postchrześcijański charakter, nie z powodu, rzecz jasna, udanej falsyfikacji chrześcijaństwa, ale w wyniku jego wyparcia z kultury, świadomości ludzi i ich życia codziennego. Wypisanie Boga z historii człowieka, a zasuflowanie mu dwóch opowieści – obu wyrastających z tego samego pnia pychy – a więc o możliwości przeorganizowania wszystkiego zgodnie z tym, co wykoncypował rozum, i o pokonywaniu kolejnych szczebli emancypacji: od politycznych przez społeczne, kończąc dzisiaj na biologicznych, musi rodzić napięcie. Demokratyzacja rzesz ludzi, która już się dokonała, a którą same elity polityczne i kulturalne skore są łączyć obecnie często z populizmem, i technologia, dająca odpowiednie narzędzia kontroli rządzącym, a rządzonym tworzenia zamkniętych baniek w internecie, tego antagonizmu nie łagodzą, przeciwnie – wyostrzają.

Człowiek jeszcze łatwiej traci wiarę w człowieka niż w Boga, i jeszcze szybciej przestaje wierzyć człowiekowi niż Bogu. Ci, którzy wypatrują nowej energii, która rozbije spetryfikowaną, więdnącą demokrację liberalną, mogą być w przyszłości zdziwieni tak żwawością, jak i brutalnością rozleniwionego *no risk society*. Jeśli jacyś władcy świata marzą dzisiaj rzeczywiście o, jak to się mówi, domykaniu systemu, byle utrzymać go w stanie wątpliwej równowagi, to w tym samym czasie coraz więcej anarchizujących Mefi modli się do oczyszczającego ognia.

Adam Namięta

Jewgienij Zamiatin, *My*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2020, ss. 248.



CO CZYTA JAROSŁAW KACZYŃSKI, CZYLI KOLEJNA KSIĄŻKA BARTOSIAKA

Stwierdzenie, że działalność Jacka Bartosiaka dawno już stała się fenomenem, jawić się może jako truizm. Abstrahując od tego, co myślimy o wygłaszanych przez niego tezach, nie da się zaprzeczyć, że w ostatnich latach zainteresował on tysiące Polaków zagadnieniami z zakresu geopolityki. Za podsumowanie tego czasu można uznać wydany przez „Nową Konfederację" zbiór jego tekstów z ostatnich lat. Lektura ta daje szansę nie tylko weryfikacji trafności formułowanych przez Bartosiaka diagnoz, lecz także możliwość szerszego spojrzenia na zmiany dokonujące się w dynamicznym świecie.

Aktywność publicystyczna Bartosiaka w minionej dekadzie wskazywała, że tego typu publikacja właściwie musiała prędzej czy później ujrzeć światło dzienne. Książka *Koniec końca historii* liczy 40 artykułów z lat 2012–2021. Obok tych mniej znanych przeczytać w niej możemy takie, które zapewne kiedyś będą uznawane za klasyczne dla polskich rozważań geopolitycznych, m.in. *Nowa Jałta. Gotujmy się na strategiczny koszmar* (2013), *Polska droga od słabości do siły* (2014) czy *Rewizja doktryny Mieroszewskiego i Giedroycia potrzebna od zaraz* (2020). A okres jest to przecież wyjątkowy. Poza znaczącymi zmianami na arenie międzynarodowej, na których opis nie starczyłoby tu miejsca, mieliśmy do czynienia z faktycznym renesansem zainteresowania właśnie geopolityką. Pojęcia takie jak Heartland, Rimland, środek siły, głębia strategiczna – przestały być znane jedynie specjalistom. Wiedza o podstawowych zagadnieniach geopolitycznych zstąpiła pod strzechy. Nikt nie zabierze Bartosiakowi tego, że miał w tym swój bardzo istotny udział. Zdaje się, że świadome tego faktu są również czynniki rządzące naszym państwem. Wszak do lektury omawianej publikacji przyznał się przed kilkoma miesiącami sam Jarosław Kaczyński. Można się oczywiście zżymać na determinizm wielu geopolityków, udzielający się poniekąd czasem także samemu Bartosiakowi. Nie zmienia to jednak faktu, że popularyzacja perspektywy osadzonej mimo wszystko w paradygmacie

realistycznym jest sporym krokiem naprzód, jeśli brać pod uwagę skalę naznaczenia polskiego sposobu postrzegania świata niepoprawnym idealizmem.

Wydaje się również, że na podkreślenie zasługuje rola Bartosiaka w uświadomieniu społeczeństwu znaczenia geopolitycznego naszego regionu czy samej Polski. Słynna teza Eugeniusza Romera: „rzut oka na mapę Europy wskazuje, że Polska to wielka rzecz", doczekała się swojego współczesnego popularyzatora. Jak wskazywał w 2016 r. Bartosiak, Polska, leżąc na europejskiej osi handlowej wschód-zachód i północ-południe, zajmuje kluczowe miejsce w sercu Niziny Środkowoeuropejskiej. Patrząc szerzej, „pomost bałtycko-czarnomorski jest zawieszony pomiędzy oceanem światowym a masami lądowymi Eurazji. Takie położenie stawia wiele wymagań, ale daje Rzeczypospolitej niemało instrumentów nacisku, które dają siłę i *głos* w polityce międzynarodowej. To prymarna cecha geopolityczna całego pomostu, która powoduje przemożny nacisk zewnętrznych sił na Rzeczpospolitą. Zwłaszcza w momentach zmiany porządku światowego". Autor pracy wielokrotnie rozważał, jak w takiej sytuacji Polska powinna lewarować swoją pozycję wobec nieporównanie większego potencjału mocarstw.

Jak stwierdzał, położenie geopolityczne Polski może dawać Chinom ewentualną możliwość wejścia na rynki Unii Europejskiej. Z drugiej strony, w myśli polskich elit wciąż dominujące jest twierdzenie, że to USA powinny być głównym partnerem naszego kraju. Sam Bartosiak nieraz już studził ten proamerykański zapał. „USA bardziej potrzebują dziś nas niż my ich: uczynienie z Polski amerykańskiej *warowni przy granicy* z Rosją to dla Waszyngtonu dobry sposób na niedopuszczenie do odrodzenia się wielkiej Rosji, bez brudzenia sobie rąk" – pisał w 2014 r. Jego poglądy były na tym polu zresztą dość labilne. Swego czasu – i w omawianym tomie znajdziemy tego potwierdzenie – Bartosiak pisał o trzech możliwych opcjach geopolitycznych stojących przed Polską: o wzmacnianiu sojuszu z USA i budowaniu na jego podstawie Międzymorza, o lawirowaniu pomiędzy wszystkimi zainteresowanymi regionem mocarstwami (nie wyłączając Chin) oraz o powzięciu kursu na eurofederalizm. Zważywszy na fakt niedawnego opowiedzenia się przez niego w debacie z dr. Leszkiem Sykulskim za trzecią opcją, ktoś złośliwy mógłby napisać, że Bartosiak zdążył w ciągu kilku ostatnich lat popierać już każdy z wymienionych wariantów. Z drugiej strony, można byłoby na tej podstawie stwierdzić, że świadczy to o żywym umyśle geopolityka, który musi nieustannie konfrontować się z nowymi informacjami i wydarzeniami na arenie międzynarodowej. Z pewnością nie należy autor tomu do osób o zamkniętym umyśle – samo w sobie jest to w polskiej dyskusji na tyle rzadkie, że aż godne odnotowania.

Autor *Końca końca historii* nie ma zresztą złudzeń co do możliwości, jakie stoją przed polskimi politykami. Nie jest bowiem polityka zagraniczna – jak dowodzi – sztuką kreowania rzeczywistości, ale raczej polem do wyzyskiwania szans, które powstają w wyniku zaistniałych koniunktur. „Uwarunkowania geopolityczne oraz tarcia pomiędzy krajowymi grupami interesów zakreślają przestrzeń działania przywódcy. Zawsze jest ona bardzo mała, nader często skrajnie mała i beznadziejnie ograniczona. I właśnie po tym poznaje się wielkich przywódców, że rozumiejąc ciasny kaganiec rzeczywistości, potrafią pośród tych ograniczeń wyrębywać przestrzeń i pole manewru, podejmować decyzje. Wszystko po to, by wzmacniać potęgę

[...]ego państwa, któremu są wierni i któremu służą. W ten sposób zmieniają historię. Zapisując się w jej annałach i zaświadczając o potędze ducha ludzkiego" – pisze Bartosiak, i trzeba przyznać, że tkwi w tym stwierdzeniu głęboka nauka.

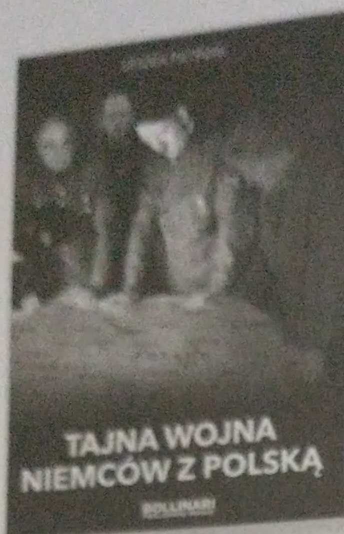
Z całą pewnością – pisze autor – elity naszego państwa na ogół nie radziły sobie z tym wyzwaniem. Jak zauważa z żalem, przez 30 lat trwania III RP jej rządzący nie byli w stanie zdobyć się na budowę regionalnej pozycji Polski z prawdziwego zdarzenia. Łatwiej było im się zdać na szeroko pojęty Zachód, olśniewający początkowo swoim potencjałem gospodarczym (UE, USA) i militarnym (USA). „To właśnie siłami Zachodu prowadziliśmy naszą politykę *zachodniości* i demokratyzacji, a może lepiej powiedzieć: forsowaliśmy ją poprzez rozmaite instytucje zachodnie" – pisze Bartosiak. I nawet jeśli nie zgadzać się z serwowanymi przez niego postulatami, to uświadomienie tego faktu tysiącom Polaków jest z pewnością jego wielką zasługą.

Idzie on zresztą w swoich refleksjach dalej, wskazując trafnie na głębokie zakompleksienie naszego narodu (i sąsiednich). Jak pisał, na obszarze między Niemcami a Rosją społeczeństwa nie umieją „się określić w sposób autonomiczny, bez oglądania się na innych, będących dla nich punktem pozytywnej lub negatywnej idealizacji. W ten sposób społeczeństwa te dają się uwięzić w logice *uciekania* i *doganiania*, która zupełnie nie ma zastosowania odnośnie do państw Europy Zachodniej. Co ciekawe, nie ma ona także zastosowania wobec Rosji czy innych społeczeństw – Persów, Turków czy Chińczyków, które to społeczeństwa czują się autonomicznym swoim światem, obszarem rdzeniowym zdolnym do formułowania własnej polityki i tworzenia własnego oddziaływania cywilizacyjnego". Trudno się również z tymi spostrzeżeniami nie zgodzić. Wybijanie się na suwerenność polityczną i ekonomiczną zawsze poprzedza osiągnięcie suwerenności mentalnej. Każdy może sobie łatwo odpowiedzieć na pytanie, na jakim etapie tego procesu są Polacy.

Kojarzony z kręgami umiarkowanej prawicy autor książki – jak wiadomo – na ogół unika odpowiedzi na zadawane mu pytania dotyczące spraw światopoglądowych. Wydaje się on chyba jednak świadomy przynajmniej niektórych dysfunkcji zachodniego modelu. Dysfunkcji, które być może przyniosą mu klęskę w nasilającym się starciu cywilizacji. Jak pisze, „Komunistyczna Partia Chin dowiodła, że kapitalizm w żaden sposób nie wyklucza odgórnej organizacji społeczeństwa". Jest wręcz przeciwnie, ponieważ „taka organizacja wydaje się dyskontować oczywiste przewagi rywalizacyjne nad chimerycznymi gospodarkami i decyzjami przedstawicieli społeczeństw zachodnich, zmuszonych do zaspokajania potrzeb konsumpcyjnych swoich obywateli, co często nie idzie w parze z potrzebami inwestycyjnymi i rozwojowymi państwa" – zauważa Bartosiak. Czy nie czas wyciągnąć z tego konstruktywne wnioski? Postawić kropkę nad i, rozpoczynając rozważania nad przyjęciem porządku ustrojowego innego niż demoliberalny? Nawet jeśli stroniący od tematyki wykraczającej poza *stricte* geopolityczną Bartosiak się na to nigdy nie zdobędzie, to nauka, którą możemy wynieść z jego twórczości nieuchronnie wydaje się prowadzić w tym kierunku.

Grzegorz Ulicz

Jacek Bartosiak, *Koniec końca historii*,
Wydawnictwo Nowej Konfederacji, Warszawa 2021, ss. 360.

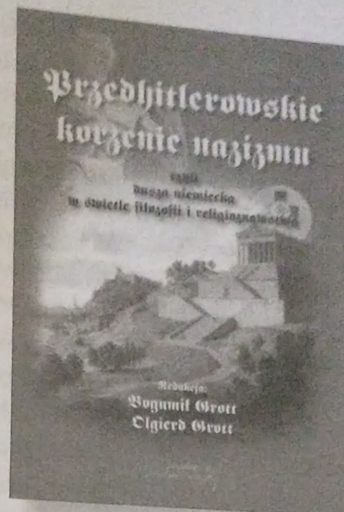


DRUGI FRONT WSPÓŁCZESNYCH RELACJI NIEMIECKO-POLSKICH

NIERZADKO SPOTYKA SIĘ DZIŚ W POLSCE LUDZI, KTÓRZY PODKREŚLAJĄ DOBRE STOSUNKI ZE WSPÓŁCZESNYMI NIEMCAMI I ROZWIJAJĄCĄ SIĘ WSPÓŁPRACĘ. PRZYCZYNY TAKIEGO STANU RZECZY ZAPEWNE SĄ RÓŻNE.

Może to być wynik wpływu trendów kosmopolitycznych i satelickiego sposobu rozumienia europejskości, które także sugeruje odsuwanie na dalszy plan problematyki narodowościowej. Może to być również przejawem dość ograniczonej perspektywy tych osób, skutkującej tym, że są pod zbyt dużym wrażeniem niemieckiej cywilizacji materialnej, a nie dostrzegają innych aspektów naszych relacji. Słyszy się więc o różnych epizodach, w przypadku których wrażliwość na polskie interesy powinna dyktować inne zachowania. Można tu wspomnieć blokowanie oznaczania nazw nowych ulic czy placów, szczególnie na ziemiach zachodnich, nazwiskami osób zasłużonych dla repolonizacji tych terenów, czy też wręcz przyjazne nastawienie do tradycji niemieckiej, która często miała oblicze skrajnie antypolskie. Tak było z wetem większości radnych Szczecina w stosunku do propozycji nadania jednemu z nowych rond w tym mieście nazwiska Lecha Neymana, okupacyjnego eksperta od spraw repolonizacji tych ziem i autora odnośnych publikacji, straconego po wojnie przez komunistów, czy też z kluczborską konferencją upamiętniającą syna burmistrza tego miasta i poczytnego pisarza Gustawa Freytaga (1810–1895), autora powieści *Die Ahnen* (*Przodkowie*) czy *Bilder aus der deutschen Vergangenheit* (*Obrazy z niemieckiej przeszłości*), które stały się czymś w rodzaju narodowej epopei i zostały zaliczone do lektur w pruskich szkołach. Odnośną twórczość Freytaga już dawno oceniono w Polsce jako antypolską i stanowiącą ważną pozycję w procesie kształtowania szowinizmu niemieckiego. We wzmiankowanej konferencji istotną rolę odegrał jeden z wrocławskich germanistów, który proszony przez piszącego te słowa o informację, o czym tam mówiono, wykręcił się przed spotkaniem zaplanowanym wcześniej w rozmowie telefonicznej.

Przykładów takich można znaleźć o wiele więcej, ale nie ma tu miejsca na choćby trochę dokładniejsze ich relacjonowanie. Ogólnie rzecz biorąc, zauważa się,



ta miejscowa tradycja niemiecka na zachodnich ziemiach dzisiejszej Polski niejednokrotnie inspiruje osadników przybyłych tam po wojnie z dawnych terenów naszego kraju, czemu towarzyszy pomijanie najnowszej tradycji polskiej, która też ma już swoją historię. Z sarkazmem pisze o tym szczecinianin i dr historii Wojciech Lizak w publikowanych cyklicznie na portalu Nowy Ład wspomnieniach, dokładniej mówiąc, we fragmencie zatytułowanym znacząco – *Szczecinerzy*[1]. Autor traktuje ludzi zajmujących takie postawy jako typowych półinteligentów, dla których polski topos jest obcy, ponieważ nie wyrośli w kręgu tradycyjnej kultury polskiej. Przed około stu laty Dmowski poruszał do pewnego stopnia podobny temat w swoim artykule *Półpolacy*. Jak można sądzić, mamy tu do czynienia z następną generacją ludzi podobnego typu i podobnej mentalności. Problematyka tego rodzaju ma wiele odgałęzień i czeka na poważniejsze opracowania. Jest warta nie tylko wysiłku publicystów, lecz także badań naukowych. Nie można zapominać, że kulturowe wpływy niemczyzny walnie przyczyniały się do ograniczenia naszego stanu posiadania na zachodzie i chociaż wniosły pewne pozytywy, szczególnie w zakresie kultury materialnej, to w ogólnym bilansie stanowiły duże zagrożenie dla polskości. Pewna ambiwalencja pod tym względem wielu współczesnych Polaków jest więc zjawiskiem stanowczo niepożądanym, zwłaszcza w dzisiejszej epoce, kiedy to Niemcy powoli stają się czynnikiem dominującym w Europie, a jednolity front Zachodu w stosunku do Rosji sowieckiej, dzielący interesy Niemiec od interesów rosyjskich, należy już do przeszłości. Dlatego też sprawy te należy śledzić z uporem i dużą uwagą.

Za pewien wstępny przyczynek do tej problematyki można uznać niedawno opublikowaną książkę dr. Leszka Pietrzaka pt. ***Tajna wojna Niemców z Polską***. Autor jest absolwentem Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, historykiem i analitykiem. Pracował jako funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa oraz w Instytucie Pamięci Narodowej. Był również współautorem raportów BBN dla prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz działał jako członek Komisji Weryfikacyjnej WSI. Jak widać, nie zamykał się w wąskich ramach tej czy innej instytucji naukowej, co wzbogacało jego spojrzenie na zachodzące współcześnie procesy, które nie należą do gatunku szeroko upublicznianych i dobrze znanych. Bez wątpienia patrzył na poruszane przez siebie sprawy ze znacznie szerszej perspektywy, co pozwala sądzić, iż podawane przez niego dane dotyczące międzynarodowych gier są rzetelne i sprawdzone, a wręcz nie do przecenienia.

Leszek Pietrzak stoi na stanowisku, że „dziś Niemcy nie prowadzą wojny przy pomocy czołgów, Luftwaffe i Wehrmachtu. Równie skuteczna okazuje się polityka, gospodarka i propaganda". Autor przestawia bardzo ważne fakty, które świadczą o tym, że pokój między Polską a Niemcami to tylko pozory. Uważa, iż „nadal toczy się

Recenzyjnie

[1] W. Lizak, *U źródeł szczecinerstwa*, https://nlad.pl/u-zrodel-szczecinerstwa/ (dostęp: 10.08.2021).

wojna, którą Niemcy wypowiedzieli nam w 1939 r." Oczywiście przedstawiane przez niego wydarzenia nie są zupełnie nieznane w Polsce. Wiele pojedynczych faktów dociera do opinii publicznej, niemniej są to ułamki, które dopiero trzeba sprowadzić do wspólnego mianownika i wyciągnąć z nich wnioski, odczytując właściwe znaczenie. Umieszczone na okładce książki osoby, przynależne do różnych pokoleń i pełniące bardzo różne funkcje w życiu Niemiec, mają symbolizować ową ciągłość podstępnego zainteresowania naszym krajem ze strony zachodniego sąsiada.

W jedenastu rozdziałach autor rozwija swoją narrację, zarysowując istotne punkty tytułowego procesu. Wskazuje na znaczenie pojawiających się od lat licznych przekłamań propagandy niemieckiej. Wyjaśnia, jak takie terminy jak „hitlerowcy" czy „naziści" weszły w miejsce „Niemców", a więc określenia, które w latach powojennych, a nawet i później, było dla wszystkich Polaków oczywiste. Wskazuje, jak ważne w tym kontekście było pojawienie się komunistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, w której interesie leżało odgrodzenie jej w świadomości ludzkiej od zbrodni wojennych popełnianych także w imię jej narodu. Zbrodnie zaczęto więc nazywać hitlerowskimi czy nazistowskimi, a nie niemieckimi. Wskazuje na znaczenie takich sformułowań, jak np. „polskie obozy koncentracyjne" czy „polskie getta", które dla świadomych sensu wydarzeń historycznych na ziemiach polskich podczas drugiej wojny światowej oznaczają tylko miejsce ich występowania, a nie sprawców. Ale ilu ludzi w Europie i na świecie dysponuje dokładną wiedzą o tym, co dokładnie działo się w Polsce w latach okupacji niemieckiej, zwłaszcza że warunki w okupowanych krajach zachodniej Europy były znacznie mniej dotkliwe? Hasła podobne do tych wyżej przytoczonych żerują na nieświadomości mas i mają za zadanie wpajać im pewien odruch warunkowy, którego celem jest obrzydzanie Polski i Polaków, tak by odbierani oni byli jako sprawcy zbrodni lub co najmniej współodpowiedzialni za ich popełnianie. Przyjmowanie za dobrą monetę takich zbitek pojęciowych pozostawia ślad w ludzkich umysłach, i to taki, który jest korzystny dla Niemiec, bo jego istotę stanowi szkalowanie Polski. Te same ośrodki na zachód od Odry i Nysy Łużyckiej celebrują więc „wiedzę" o „polskim udziale w zagładzie Żydów" i „polskim antysemityzmie", wykorzystując ludzką niewiedzę w zakresie faktów historycznych oraz polskiej kultury i cech mentalnych polskiego społeczeństwa, tak różnych od właściwości Niemców. Oczywiście w tej narracji nie ma miejsca na uczciwą refleksję nad samymi Niemcami, które już od pierwszej połowy XIX w. zaczęły przejawiać bardzo istotne i specyficzne rysy w swojej kulturze duchowej. Obok postaci o wielkich zasługach dla kultury i nauki mamy tam poszerzający się z czasem prąd podważania zasad chrześcijaństwa, szczególnie w protestanckiej części kraju. Pojawiają się więc pomysły jakiejś odrębnej „religii narodowej"[2], w konsekwencji zaś koncepcja „germanizacji chrześcijaństwa", co oznaczało nic innego jak pozostawianie fasady przy jednoczesnym rugowaniu wartości etycznych. Takie słowa jak ***Germanisierung des Christentums*** spotyka się w tytułach i tekstach wielu prac już od schyłku XIX w. Nieco później pojawiają się tzw. ruchy neopogańskie, zrywające całkowicie z chrześcijaństwem, co oznaczało dalszą ewolucję w sferze etyki społecznej. Niemałe znaczenie na tym polu miała

---

[2] Zob. P. de Lagarde, *Nationale Religion*, 1878. Praca była wznawiana wiele razy aż po 1945 r.

[illegible] kompozytora Ryszarda Wagnera, który w swoich utworach upowszech[illegible] wizję pogańskich Germanów i przypisywany im surowy i barbarzyński etos. [illegible] się więc dziwić, że pod koniec lat międzywojennych pojawia się pogląd [illegible] Niemiec z Europy". O tym byli przekonani przedstawiciele polskiej [illegible] przedwojennej oraz powojennej. O tym świadczą także publikowane [illegible] końcu lat 40., i to po dwa razy, teksty takich polskich wybitnych uczonych [illegible] prof. Bogdan Suchodolski i Leon Halban. Zostały one razem wznowione w po[illegible] jednej książki w 2018 r. pod tytułem ***Przedhitlerowskie korzenie nazizmu. [illegible] dusza niemiecka w świetle filozofii i religioznawstwa***. Wydawnictwo to w ostatnim okresie również było często reklamowane w Internecie.

Przedstawiane tam informacje oczywiście są niezgodne z obecnym interesem Niemiec. Dlatego też propaganda tego kraju robi wiele, aby tak zmontować sieć [illegible] skojarzeń w świecie zachodnim, ażeby duchowy wizerunek Niemiec odpowiednio wybielić, zniekształcając obraz przeszłości. Starają się wytworzyć dystans pomiędzy własnym narodem a tym wszystkim, co wywołuje stanowczy sprzeciw w cywilizowanym świecie. Dlatego też w swojej propagandzie usiłują kreować siebie jako również uciemiężonych przez jakichś „nazistów" i „hitlerowców", jako ofiary wojennych bombardowań, np. Drezna, czy wysiedleń z terenów naszych Ziem Zachodnich, Czech oraz z innych obszarów w Europie Środkowo-Wschodniej. Temu mają służyć takie inicjatywy jak Centrum przeciwko Wypędzeniom, reklamowane przez Erykę Steinbach, czy działalność tzw. ziomkostw. W tym wszystkim brak jest jednak zasadniczego elementu, jakim jest kwestia kolejności wydarzeń (np. dlaczego bombardowano Niemcy) i wymowa głównych idei po stronie niemieckiej – to one zaowocowały zbrodniami, za które przecież trzeba by było zapłacić.

Dr Leszek Pietrzak opisuje rolę i znaczenie „Organizacji Gehlena" w konstruowaniu planu swoistego fałszowania historii. Jego wynikiem miał być poprawiony wizerunek Niemiec, obliczony na uzyskanie wymiernych korzyści politycznych i handlowych. Stwierdza on jednoznacznie: „Niemieckie państwo wydało Polsce tajną wojnę. Celem strategicznym tej wojny miało być przynajmniej częściowe przerzucenie odpowiedzialności na Polskę za niemieckie zbrodnie na Żydach i zminimalizowanie zbrodni popełnionych na Polakach". Do realizacji powyższego zadania miało się przyczynić ujawnione w 2006 r. przekazanie niemieckim prokuratorom [illegible] oryginalnych dokumentów, które stanowią dowody zbrodniczej działalności Niemców w Polsce podczas drugiej wojny światowej. O zasięgu i skuteczności takiej polityki wizerunkowej świadczą różne, wręcz niesłychane wiadomości, które można spotkać również i w prasie amerykańskiej. Jako przykład Pietrzak przytacza zamieszczoną w tamtejszych mediach opowieść jednej z żyjących w tym kraju osób, wspominającej swoją bytność w „polskim obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie". Termin „polskie obozy" pojawia się od czasu do czasu w wielu niemieckich środkach przekazu. Autor omawianej tu książki zaobserwował powyższą praktykę w takich gazetach, jak: „Der Spiegel", „Bild", „Der Tagesspiegel", „Stern", „Focus", „Die Welt", „Westdeutsche Zeitung", „Junge Welt", „Thurgauer Zeitung", „Die Zeit" i „Saarländischer Rundschau". To samo można powiedzieć o niemieckich agencjach informacyjnych. Autor wymienia znacznie więcej przykładów tego typu propagandy praktykowanej na różnych innych płaszczyznach życia.

Temu wątkowi towarzyszy powielana teza o udziale Polaków w zagładzie Żydów, czemu sprzyjać miał polski antysemityzm. Tu także widać wielkie przekłamanie wykorzystujące nieznajomość polskich realiów kulturowych i polskiej historii przez większość Europejczyków oraz Amerykanów. Każdy, kto w sposób uczciwy i profesjonalny zagłębi się w historię ideologii polskich ugrupowań uznawanych dzisiaj na lewicy za skrajne, musi zauważyć, że „polski antysemityzm" nie miał podłoża rasistowskiego. Rasizm w tych środowiskach bywał nawet nazywany „blefem XX w." i odrzucany jako teoria materialistyczna, sprzeczna z duchowością chrześcijańską. Sprzeczne interesy Polaków i Żydów były spowodowane bardzo dużym udziałem tych ostatnich w Komunistycznej Partii Polski oraz kwestiami ekonomicznymi z bezrobociem na czele. Byli i tacy członkowie ONR-u, którzy dostali się do obozu koncentracyjnego z powodu wstawiania się za Żydami, a jeden z założycieli tej organizacji, Jan Mosdorf, jako więzień KL Auschwitz został zadenuncjowany za pomoc Żydom i skazany na śmierć[3]. Innego z liderów tego środowiska, Edwarda Kemnitza, oraz jego ojca Instytut Jad Waszem odznaczył w 1983 r. orderem i tytułem „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata". Kemnitz w czasie okupacji działał także w Radzie Pomocy Żydom „Żegota". Po polskiej stronie obowiązywał inny system wartości, a istniejące sprzeczności plasowały się na zupełnie innej płaszczyźnie niż w Niemczech. Oczywiście i u nas, i w innych narodach istniał pewien margines społeczny, który zazwyczaj nie kieruje się żadnymi innymi wartościami jak tylko własna korzyść materialna. Natomiast w Niemczech autorami skrajnej ideologii nacjonalistycznej byli ludzie elit. Również zbrodnie planowali i dokonywali ich nie przedstawiciele marginesu społecznego, ale szanowani przez ziomków ludzie tychże elit. Tak więc żadna polska ideologia nie może być porównywana z niemieckimi ideologiami nacjonalistycznymi, które oddziaływały na ten naród, poczynając od schyłku XIX w., nie mówiąc już nawet o narodowym socjalizmie, który nie był czymś zupełnie nowym, ale stanowił tylko kolejny etap w dziejach tego narodu. W Polsce tak tę sprawę stawiał prof. Leon Halban w publikacji ***Mistyczne podstawy narodowego socjalizmu.***

Na ludzkiej nieświadomości, a także złej woli, zmierzającej do zatarcia śladów niesławnej przeszłości, żerują twórcy takich dokonań jak np. film *Nasze matki, nasi ojcowie* czy promotorzy projektów typu Centrum Przeciwko Wypędzeniom. Niemcy chcą przerzucić swoje winy na inne narody.

Z punktu widzenia przeciętnego zachodniego odbiorcy prasy, radia czy telewizji takie sprawy bynajmniej nie są oczywiste. Są wręcz nieznane. Trudno nawet jest się temu dziwić, skoro w samej Polsce spora część społeczeństwa, także i ta, która ma wyższe wykształcenie, pozostaje pod wpływem schematów myślenia lansowanych w czasach PRL-u oraz uprawianych przez różne obecnie istniejące środowiska o charakterze liberalno-lewicowym. One również deformowały wiele stron rzeczywistości historycznej na potrzeby własnej wizji świata. Nasz dorobek naukowy także nie jest odpowiednio promowany za granicą, czego skutki są, jak to widać choćby z przytaczanych tu przykładów, nie najlepsze. Tak więc zbieg wielu okoliczności jest stanowczo niekorzystny. Z takiego stanu rzeczy korzysta propaganda niemiecka, której przez wiele lat nie dawała żadnego odporu komunistyczna

---

[3] Zob. J. Ptakowski, *Oświęcim bez cenzury i bez legend*, Nowy Jork 1985.

władza w Polsce. Nie interesowała się czymś takim jak opinie o Polsce i Polakach, nie uprawiała należytej polityki historycznej.

Poza takimi uwarunkowaniami dr Leszek Pietrzak dopatruje się istotnej przyczyny takiego stanu rzeczy w kolaborowania przez inne narody z III Rzeszą podczas drugiej wojny światowej. Podkreśla, że Polska stanowiła na tej płaszczyźnie pewien wyjątek. Nie było u nas kolaborującego rządu, a fakt ten, jak ocenia, jest niemile widziany w innych krajach, one bowiem, znajdując się pod okupacją niemiecką, takie rządy posiadały.

Odmienna sytuacja w powojennej Polsce i powojennych Niemczech może wydawać się niektórym zagadką. Zwyciężeni dysponują bowiem potężną infrastrukturą gospodarczą i ponoszą bardzo niewielką odpowiedzialność za popełnione zbrodnie i inne niedozwolone czyny, np. kradzież mienia innych narodów. Natomiast Polska, która formalnie znalazła się wśród zwycięzców, daleka była, i w dalszym ciągu jest, od osiągnięcia pożądanej prosperity. Natrafia na różne przeszkody ze strony Niemiec, pozostając nadal bez należnych jej odszkodowań. Ten problem również porusza książka Leszka Pietrzaka. Autor wskazuje na różne przyczyny takiej sytuacji.

Bez wątpienia po rozpoczęciu „zimnej wojny", kiedy to Niemcy Zachodnie, odzyskując status państwa, stały się krajem „frontowym" w walce z „obozem socjalistycznym", kraj ten nabrał nowego znaczenia. Spowodowało to opory przed przeprowadzeniem dogłębnej denazyfikacji. Tysiące byłych funkcjonariuszy III Rzeszy zostało wykorzystanych do umacniania nowej państwowości, jaką stała się w 1949 r. Republika Federalna Niemiec. Odbudowano przemysł i całą gospodarkę. Reaktywowano armię, która w planach Zachodu miała stać się zaporą przeciwko sowieckiej ekspansji. Równocześnie Niemcy zdołali się uchylić przez zwrotem pokaźniej części zagrabionych dóbr, które stanowiły poważny wkład w rozruch powojennej infrastruktury tego państwa. Jak pisze Pietrzak, „to nie powojenny Plan Marshalla, którego Niemcy w przeciwieństwie do Polski były beneficjentem, ale powrót wytransferowanego w czasie wojny kapitału otworzył drzwi do potęgi gospodarczej współczesnych Niemiec".

Istotną rolę w ukształtowaniu sytuacji Niemiec po wojnie odegrał również Związek Sowiecki. Stalin przekreślił widoki na reanimację narodu łużyckiego, który znalazł się po wojnie na terenie rozciągającym się wzdłuż granicy Polski. Decyzja ta właściwie położyła kres jego istnieniu, ponieważ Łużyce zostały z czasem zalane niemieckimi przesiedleńcami z terenu polskich Ziem Zachodnich, a mieszkańcy Niemiec Wschodnich stali się „budowniczymi socjalizmu" i jako tacy nie mogli już być w całości identyfikowani z nazizmem. Polska nie otrzymała należnych jej odszkodowań, a pozbawiona dobrodziejstw Planu Marshalla oraz dużej części swoich elit, pozostałych po wojnie na emigracji lub wymordowanych przez Niemców, Związek Sowiecki i krajowe organy, wkroczyła w okres dekoniunktury. Na zły stan rzeczy wpłynęły także polityka kulturalna i wzmagająca się z czasem propaganda nowej władzy oraz system zaniedbujący wychowanie społeczeństwa w duchu walki o interes narodowy. Wiele spraw zostało zaniedbanych, a skutki takiego rozwoju sytuacji na wielu polach są widoczne do dzisiaj.

Leszek Pietrzak jeden z rozdziałów swojej książki zatytułował *Przygotowania do odbicia Ziem Zachodnich*. Jest tam oczywiście mowa o antypolskiej propagandowej

działalności współczesnego państwa niemieckiego, które dąży do opanowania pewnych gałęzi polskiej gospodarki, a także ziemi ornej, szczególnie na zachodzie kraju.

Osobnym polem destrukcyjnej działalności Niemców w Polsce jest popieranie tendencji separatystycznych, np. Ruchu Autonomii Śląska. Z książki Pietrzaka czytelnik dowie się również o zapatrywaniach samych Niemców na podpisywane z Polską układy graniczne. Dobrze ilustruje je fakt, że po podpisaniu 17 czerwca 1991 r. z Polską traktatu Niemcy nie dokonały korekty swojej konstytucji ani przepisów prawa. Autor zamyka V rozdział książki taką oto konkluzją: „Jedno nie ulega dzisiaj żadnej wątpliwości, że Niemcy od ponad siedemdziesięciu lat podejmują starania, aby Polskie Ziemie Zachodnie były z powrotem niemieckimi ziemiami wschodnimi. Zmieniają się tylko formy i drogi tych starań, ale ich główny cel dalej pozostaje niezmienny”.

Bardzo ważny, a przy tym ciekawy, jest ostatni rozdział książki *Tajna wojna Niemców z Polską*, zatytułowany: ***Kontrofensywa potrzebna od zaraz***. Autor wytyka „polską bierność” i obawy przed „narażaniem się” i „zadrażnianiem stosunków”. Nie są to bynajmniej nowe zarzuty. Już ponad sto lat temu Roman Dmowski, odnosząc się do kwestii polskiego charakteru narodowego, pisał to samo. Jest to bardzo ważny moment, gdyż poza zachowaniem organów państwowych, w których gestii leży dawanie odporu różnym przejawom nieprzyjaznej nam polityki, ważne jest także zachowanie poszczególnych obywateli, którzy w zgiełku dnia powszedniego powinni piętnować i w miarę swoich indywidualnych możliwości eliminować różne objawy antypolonizmu niezależnie od tego, w czym by się one objawiały.

Książka Leszka Pietrzaka, badacza naukowego oraz człowieka, który z racji pełnionych funkcji uzyskiwał daleko lepszy wgląd w wiele istotnych dla naszego państwa spraw, jest ciekawa i zmusza czytelnika do wielu przemyśleń. Dlatego przedstawiając jej krótkie omówienie i sygnalizując jedynie najważniejsze z poruszanych w niej spraw, zachęcam do jej uważnego przeczytania nie tylko politologów czy historyków, lecz także inne osoby, które chcą zrozumieć mechanizmy otaczającej nas rzeczywistości, bo **jak się okazuje, wojna, chociaż w innej formie, toczy się nadal.** Wielu spośród nas nie chce jednak nic o tym wiedzieć, zwracając uwagę na współpracę z zachodnim sąsiadem. Niemcy zaś nawet w czasie wojny potrafili w relacjach prywatnych zachowywać się w sposób względnie cywilizowany, co nie przeszkadzało im w tym samym czasie, jako funkcjonariuszom państwa, dopuszczać się zbrodni, za które w swoim mniemaniu nie ponosili odpowiedzialności, czuli się bowiem od niej zwolnionymi poprzez otrzymywany z góry rozkaz czy poczucie „obowiązku służbowego”. Taka postawa jest skutkiem ich specyficznej kultury, w której państwo i władza dominowały nad indywidualnym sumieniem. Nie darmo pisywali więc różni historycy, że np. **„faszyzm włoski nie zabijał”** (prof. Krystyna Kersten w *Czarnej księdze komunizmu*), a Hiszpanie z Błękitnej Dywizji walczącej w Rosji przeciwko komunizmowi ramię w ramię z Wehrmachtem byli jednak innymi ludźmi niż Niemcy (Tadeusz Zubiński, *Cara al Sol: El fundador José Antonio Primo de Rivera i Falanga Hiszpańska*).

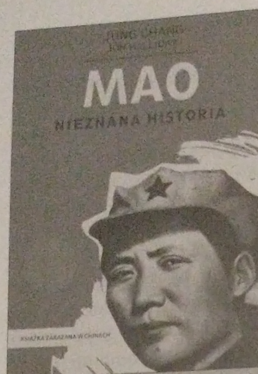
Piszący te słowa zapamiętał historię z lat okupacji – opowiadaną potem wielokrotnie przez matkę – w praktyczny sposób ukazującą poruszony tu problem. Pewnego razu miał do naszego mieszkania zadzwonić oficer niemiecki, jak się

okazało noszący takie samo czy bardzo podobnie brzmiące nazwisko. Nazwisko matki wraz z zaznaczonym tytułem „dr" widniało przy dzwonku, który był łatwo widoczny z chodnika. Niemiec również był doktorem i dopiero co pojawił się w Warszawie, podobno na dłuższy pobyt. Powiedział, że w takiej sytuacji chciałby zadzierzgnąć jakieś stosunki towarzyskie z osobami o podobnym wykształceniu. Wypadek miał miejsce po niedawnych ulicznych egzekucjach, które zdarzały się w okupacyjnej Warszawie często. Zdenerwowana matka zapytała go, jak on sobie wyobraża taką sytuację, i wskazała na niedawno zaszłe wypadki. Oficer na to miał stwierdzić, że przychodzi prywatnie, a nie służbowo! Na tym rozmowa się urwała i Niemiec musiał opuścić nasze mieszkanie. Zobaczyliśmy jakby dwóch ludzi w jednej osobie. Wprasowana i bezrefleksyjna uległość wobec machiny państwa i jego woli powiązana z marginalizacją czynnika etycznego w świadomości – oto co było jedną z istotnych cech naszych zachodnich sąsiadów. Tego typu stereotypy psychiczne nie mijają z pokolenia na pokolenie. Są one zakorzenione głębiej i musi upłynąć dużo czasu, aby wyparowały całkowicie. Włosi, co wykazała także druga wojna światowa, nie identyfikowali się zbytnio z planami Mussoliniego, chociaż ich rzymscy przodkowie odznaczali się dużą bezwzględnością w stosunku do nieprzyjaciół i wartością bojową. Ale ile czasu musiało upłynąć, aby dokonała się taka metamorfoza! Musi się zmienić cała formacja kulturowa, w ramach której ukształtowała się taka mentalność, jaką zademonstrowali Niemcy w XIX i XX w. Dlatego też zachwyty tych z nas, którzy zbyt optymistycznie i naiwnie oceniają sąsiadów zza Odry i Nysy Łużyckiej, są płytkie, trywialne i świadczą o ciasnych horyzontach. Trzeba przed takimi ludźmi i ich postawami przestrzegać i przeciwdziałać im, nie kryjąc swoich krytycznych poglądów na to zjawisko.

Pozycją, która wyjaśnia wiele spraw wspomnianych tu w telegraficznym skrócie, jest współredagowana przez autora niniejszego tekstu i wspomniana już wyżej książka ***Przedhitlerowskie korzenie nazizmu, czyli dusza niemiecka w świetle filozofii i religioznawstwa***. I to właśnie do niej odsyłamy zainteresowanych problemem niemieckim w wymiarze kulturowym i mentalnym – celem zrozumienia wielu mechanizmów, które stanowiły o jego istocie i które trwać będą jeszcze zapewne długo.

Bogumił Grott

Leszek Pietrzak, *Tajna wojna Niemców z Polską*,
Bollinari Publishing House, Warszawa 2018, ss. 127.



MAO – HISTORIA NIEZNANA

W ostatnich latach przeżywamy wzrost zainteresowania Chinami w Polsce. Jeszcze niedawno polscy specjaliści – w szczególności właśnie sinolodzy – narzekali, że w sąsiednich krajach drukuje się stosy materiałów na temat Państwa Środka, podczas gdy w naszych księgarniach trudno było dostać cokolwiek merytorycznego na ten temat. Regułę tę potwierdza wyjątek, który bez wątpienia zainteresował polskiego czytelnika – *O Chinach* Henry'go Kissingera. Sytuację na dobre zmieniło chyba pojawienie się koronawirusa, który skierował oczy całego świata w kierunku Chin. W tej chwili liczba publikacji na temat Chin stale rośnie i trudno nadążyć z czytaniem tych prac na bieżąco. Recenzowana przez nas książka nie należy do nowych, nie należy też do tych, które ukazują się w Polsce pierwszy raz – jest to drugie wydanie jednego z poczytnych dzieł, które dają sygnał, że popyt na wiedzę o Chinach stale rośnie.

W języku polskim możemy przeczytać kilka biografii przewodniczącego Mao, ale ta jest bez wątpienia najbardziej krytyczna. Drugie wydanie zawiera nawet informację, że publikacja została zakazana w Chinach. Zapewne mamy tu do czynienia raczej z zabiegiem marketingowym, który ma na celu przyciągnąć czytelnika negatywnie nastawionego do Państwa Środka. Bez wątpienia występuje szeroka rozbieżność między tym, co wyczytamy we wznowionej ostatnio książce, a tym, co przedstawia się nam nawet w amerykańskich produkcjach. Z recenzowanej lektury można wynieść mieszane uczucia. Mimo wiedzy o potwornych zbrodniach Mao może pojawić się pewien rodzaj uznania dla konsekwencji i przebiegłości w dążeniu do realizacji wyznaczonych celów. „Cel uświęca środki", można byłoby napisać o tym, co robił przez kilkadziesiąt lat późniejszy przewodniczący KPCh.

Recenzowana biografia nie jest pracą naukową, chociaż gdzieniegdzie pojawia się aparat naukowy. Nie znajdziemy tu jednak wielu przypisów, które odsyłałyby

nas do innych prac. Na końcu publikacji umieszczono bibliografię, kalendarium wydarzeń, wykaz skrótów oraz krótkie notki na temat działalności pojawiających się na stronach książki postaci.

Mao. Historia nieznana ma w zasadzie jednego autora, którym jest światowej sławy brytyjska pisarka chińskiego pochodzenia Jung Chang (张戎 – Zhāng Róng). Chang doświadczyła rewolucji kulturalnej, co stało się przyczyną jej ucieczki z Chińskiej Republiki Ludowej. Rodzice autorki byli pozbawiani pracy, torturowani i upokarzani, co wywarło widoczny wpływ na recenzowaną pracę. Z samej lektury da się wyczuć osobistą niechęć bądź wręcz nienawiść do Mao. Chang nie stroni od emocjonalnych wyrzutów, co – wbrew pozorom – nie utrudnia bardzo lektury.

Publikacja liczy prawie 800 stron i dzieli się na 58 rozdziałów. W środku na czytelnika czekają dwie dość obszerne wkładki ze zdjęciami, które ułatwiają przyswojenie prezentowanej wiedzy.

Autorka zabiera nas w podróż przez intrygę, śmierć, słabość i siłę. Książka pełna jest kontrastów i prób odkłamania mitów, które leżą u podstaw Chińskiej Republiki Ludowej, począwszy od wstąpienia Mao do KPCh, przez „długi marsz", aż do czasów rewolucji kulturalnej. Widzimy tu bezwzględnego Mao i płaczliwego Czang Kaj-szeka; honorowych narodowców i niewartych zaufania komunistów, potrafiących zabijać swoich, by osiągnąć cel; oddanie żony i zdrady męża; miłość ojcowską i obojętność. Te przeciwieństwa pojawiają się na stronach całej książki. Wspomnijmy o próbie dekompozycji mitu heroicznego fanatyka, który przeprowadził tysiące ludzi przez góry, doliny, jeziora – Chang pisze, że Mao przez większość tzw. długiego marszu był niesiony w lektyce, w której spokojnie czytał sobie książki. To samo z bitwą, która ponoć wydarzyła się na drewnianym moście łańcuchowym. Zdaniem autorki nigdy do niej nie doszło, czego mają dowodzić źródła.

Jednym z ważnych elementów pracy Jung Chang jest ukazanie życia rodzinnego TWÓRCY Chińskiej Republiki Ludowej. Wątek ten przeraża i zwraca uwagę, do czego może prowadzić egoizm. Wyśmiewanie własnej żony, że ta „wypluwa dzieci jak kura jajka" podczas długiego marszu, ponoć gorszyło nawet najbardziej zatwardziałych komunistów. Podobnie chłodne podejście miał Mao do dzieci, które – z wyjątkiem jednego syna – nigdy nie mogły pochwalić się zainteresowaniem ojca. Ten wolał zabawiać się z młodymi kobietami, które przyprowadzali mu walczący o wpływy wysocy rangą towarzysze.

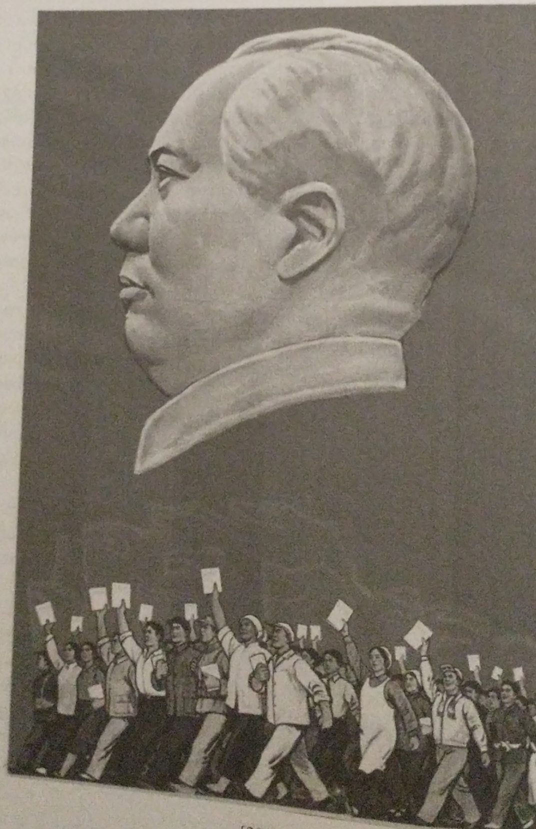
Trudno polemizować z faktami, które autorka przedstawia na temat tzw. wielkiego skoku naprzód, bezsensownej walki z czterema plagami czy samej rewolucji kulturalnej. Przecież sam Deng Xiaoping przyznawał, że proporcja zasług do czynów godnych potępienia wynosi (zaledwie!) 70 do 30.

W lekturze pojawiają się także polskie wątki. Możemy przeczytać tu nie tylko o komunistach polskiego pochodzenia, ale także o wpływie polityki Mao na wydarzenia w Polsce. Na kilku stronach została przedstawiona rzekomo propolska polityka Mao, któremu zawdzięczamy brak interwencji ZSRR w Polsce w 1956 r. Także wybór Gomułki miał być podyktowany naciskami przewodniczącego Mao. Na ile jest to prawda, trudno powiedzieć. Głosy są sprzeczne, zostawmy więc to czytelnikowi chcącemu wejść głębiej w zagadnienie.

Reasumując, na pewno warto przeczytać recenzowaną biografię chińskiego przywódcy zanim sięgnie się po naukowe monografie na ten temat. Być może język pracy jest przesadnie emocjonalny, jednak czytelnik powinien bez trudu wychwycić te fragmenty, w których autorka „przesadza". Jest to publikacja, która – prowadząc przez życie przewodniczącego Mao – obfituje w wiedzę geograficzno-przyrodniczą. Zainteresowana Chinami osoba znajdzie w tej pracy informacje, które pogłębią jej wiedzę.

Konrad Smuniewski

Jung Chang, Jon Halliday, *Mao. Historia nieznana*, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak", Kraków 2021, ss. 768.

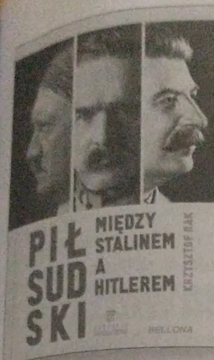




POKUTU
JAKO
ALIZMEM, A
NOFILA) NIE
TO PRZEDE
PO 1926 R.
KIEDY POLS
SOWAĆ POM
GIONIE, PRO
TEMU WŁA
MIESIĄCAM
I *STALINEM*

Kolejna[1] ks
Abstrahując o
natem, prowad
wzbudziła ona
czyński. To ks
sudskiego jako
randem, Mette
że zabrakło M
prof. Sławomi
mego Raka. N
kuje on polityk
wewnętrznych.
warto zwrócić
polityki zagrani

[1] Zob. K. Rak, *Pol*



MIĘDZY HITLEREM A STALINEM. JAK OCENIAĆ POLITYKĘ ZAGRANICZNĄ SANACJI?

Pokutujący w polskim myśleniu wizerunek Józefa Piłsudskiego jako polityka na wskroś romantycznego, pogardzającego realizmem, a na dodatek niepohamowanego rusofoba (a może i germanofila) nie cieszy się uznaniem w środowiskach historyków. Widać to przede wszystkim w ocenach jego polityki zagranicznej, której po 1926 r. był głównym kreatorem. A mówimy tu przecież o okresie, kiedy polska dyplomacja była w stanie niemal perfekcyjnie balansować pomiędzy sąsiednimi potęgami, wpływać na układ sił w regionie, prowadzić zręczną grę zarówno z Berlinem, jak i Moskwą. Temu właśnie zagadnieniu poświęcona jest wydana przed kilkoma miesiącami książka dr. Krzysztofa Raka *Piłsudski między Hitlerem i Stalinem*, która już doczekała się statusu bestsellera.

Kolejna[1] książka Raka odbiła się niemałym echem na rynku wydawniczym. Abstrahując od sporu autora z profesorami Mariuszem Wołosem i Markiem Kornatem, prowadzonego o raczej szczegółowe (z punktu widzenia czytelnika) wątki, wzbudziła ona sporo emocji, a wśród jej czytelników znalazł się sam Jarosław Kaczyński. To książka, „która ostatecznie przekonała mnie do wielkiego kunsztu Piłsudskiego jako kreatora polityki zagranicznej, która każe mi go zestawiać z Talleyrandem, Metternichem czy Bismarckiem. Pozostaje we mnie tym większy smutek, że zabrakło Marszałka w roku 1939" – stwierdzał raczej niechętny Piłsudskiemu prof. Sławomir Cenckiewicz. Piłsudczykiem trudno zresztą nazwać również samego Raka. Nawet na YouTubie znajdziemy nagrania dyskusji, w których krytykuje on politykę Marszałka na różnych polach, szczególnie w zakresie stosunków wewnętrznych. Rzecz w tym jednak, by umieć znaleźć proporcje. Tym bardziej warto zwrócić uwagę na tezy, które stawia Rak w odniesieniu do piłsudczykowskiej polityki zagranicznej.

[1] Zob. K. Rak, *Polska – niespełniony sojusznik Hitlera*, Warszawa 2019.

Autor charakteryzuje swoją książkę jako „próbę opisania historii trzech niedoszłych do skutku sojuszy: sowiecko-niemieckiego (1924–1925), polsko-sowieckiego (1933–1934) oraz polsko-niemieckiego (1933–1935)". Publikację poprzedziła solidna kwerenda źródłowa. Rak opierał się na setkach dokumentów – przede wszystkim sowieckich, których dotychczas nie opracowywano. Wynikiem jego pracy jest licząca ponad 1000 stron publikacja, szczegółowo opisująca relacje trzech stolic.

≡ LOCARNO

Jak wspomniano, pierwsze rozdziały książki traktują o polityce zagranicznej przed przewrotem majowym. Przed traktatem z Locarno z grudnia 1925 r. polska dyplomacja niemal bezkrytycznie stawiała na mocarstwa zachodnie, mimo że te miały coraz mniejszą ochotę na wywiązywanie się ze swoich zobowiązań, a Londyn wręcz otwarcie szukał porozumienia z Niemcami. Zadziwia ta bierność polskiej polityki. W dobie negocjacji lokarneńskich w pewnym momencie szef polskiego MSZ Aleksander Skrzyński zlecił ambasadorowi Chłapowskiemu wręcz wyłączne wysłuchiwanie informacji na temat przebiegu rozmów dotyczących paktu. Miał on nie wygłaszać opinii na jego temat, czyli *de facto* zrezygnować z forsowania polskiego stanowiska, zdać się na łaskę i niełaskę Zachodu. Jak sądzi Rak, było to spowodowane zmianą nastawienia Paryża do Warszawy. W marcu 1925 r. premier Herriot zasugerował bowiem, że Polska mogłaby wyrazić zgodę na rewizję swojej granicy z Niemcami. Skrzyński uważał, że zbyt stanowcza linia utrudni wpływanie na stanowisko Francji. Nawet znany z uległości wobec Paryża Władysław Sikorski uważał taką postawę za kapitulancką. Jak konkluduje autor książki, politykę polskiego rządu charakteryzował brak realizmu, a nawet brak orientacji w odniesieniu do negocjacji Niemiec z Anglią i Francją. „Wiara Warszawy w to, że uda się przekonać Paryż i Londyn, aby postawiły Berlin przed jednoznacznym wyborem jednej z tych orientacji, okazała się mrzonką. Brało się to chyba z naiwnego przekonania o możliwości wywierania skutecznego wpływu na politykę mocarstw zachodnich i ich dobrą wolę w stosunku do Polski" – podsumowuje Rak. Po podpisaniu paktu będącego „największą klęską polskiej dyplomacji okresu międzywojennego" Skrzyński słał do Warszawy triumfalistyczne wieści o zapewnieniu pokoju. Sytuacja kuriozalna – pakt stawiał przecież Niemcy w roli mocarstwa, właściwie też podważał sens sojuszu polsko-francuskiego.

Można oczywiście wątpić, czy inny polityk byłby w stanie doprowadzić do lepszych dla Polski rezultatów. Ogląd działań Skrzyńskiego zmusza jednak do negatywnej oceny jego idealistycznej, naiwnej polityki. Jak pisze Rak, z jednej z instrukcji wysłanych przez Skrzyńskiego „emanuje idealistyczna wiara w możliwości realizacji dobra wspólnego na arenie międzynarodowej, stąd pretensje do Niemiec, że próbują realizować swoje partykularne interesy. Wydaje się wątpliwe, że tego typu argumentacja mogła znaleźć jakiekolwiek zrozumienie w stolicach mocarstw europejskich". Locarno miało swoje konsekwencje. Już 24 kwietnia 1926 r. został podpisany traktat berliński, dalej zacieśniający stosunki Niemiec i ZSRR. Jeśli dodamy do tego kompromitującą polski wywiad operację „Trust", w wyniku której RP

właściwie nie miała tajemnic militarnych przed ZSRR, bilans polityki zagranicznej rządów przedmajowych wypada naprawdę źle. Niestety konstruktywnej wizji działań na tym polu nie posiadała wówczas również endecja, utożsamiana w kręgach prawicowych z paradygmatem realistycznym. Jak opisywał to zagadnienie w jednej ze swoich prac prof. Janusz Faryś, „obóz narodowy przyjął jednoznacznie krytycznie zachodzące zmiany. Wnikliwie dostrzegał zagrożenie, nie był jednak w stanie wytworzyć realnego programu, trwał w negacji. Widoczne było zagubienie myśli politycznej narodowców. […] Pozostała [im] jedynie wiara, że Francja zrozumie swój interes narodowy i porzuci politykę złudzeń związanych z Locarno, a Czechosłowacja dostrzeże zagrożenie niemieckie i zbliży się do Polski”[2].

≡ JAKIM POLITYKIEM BYŁ PIŁSUDSKI?

Jakość polskiej polityki zagranicznej zmienia dopiero maj 1926 r. Nowy-stary przywódca państwa rozumiał rozbieżność interesów Polski i państw zachodnich. Bliskie stosunki z Francją, oparcie na niej całej polityki bezpieczeństwa w sytuacji, w której Polska była krajem od niej znacznie słabszym, sprawiały, że Warszawa w zasadzie stawała się wasalem Paryża. Zachód nie kwapił się też, by bronić polskich interesów w konfrontacji z Niemcami, czego Locarno było najdobitniejszym dowodem. Piłsudski już w maju 1926 r. podjął działania na rzecz zbliżenia zarówno z Berlinem, jak i z Moskwą, odrzucając tym samym kurs „płynięcia z prądem”, utrzymywany przez polityków przedmajowych.

Nie ma wątpliwości, że to właśnie Piłsudski był w czasach sanacji głównym kreatorem polskiej polityki zagranicznej. Jak opisuje Rak, osobiście angażował się on w jej realizację, np. spotykając się z szefami zagranicznych placówek dyplomatycznych już w pierwszych tygodniach po przewrocie. Było to dość niezwykłe dla dyplomatów zachodnich, nieprzywykłych do tak dużej aktywności głowy państwa na tym polu. Jak można opisać podstawowe założenia polityki zagranicznej Marszałka? Jak konkluduje Rak, „stałym elementem polityki zagranicznej Piłsudskiego od roku 1926 było uniezależnianie od obcych wpływów. Był on niewątpliwie fanatykiem niezależności i ta jego postawa miała uzasadnienie, ponieważ przez przeszło pół wieku swojego życia doświadczał on braku bytu państwowego Polski. Dlatego po odzyskaniu przez nią niepodległości on sam i całe jego pokolenie musieli mieć wyidealizowaną wizję niezależności własnego, świeżo zdobytego państwa. Ta wizja nie przeszkadzała jednak Piłsudskiemu dostrzegać rzeczywistości”.

Piłsudski nie miał złudzeń co do potencjału Polski. Obca była mu mocarstwowa retoryka podjęta (nie bez przyczyny) przez jego następców. „[…] jesteśmy za słabi, by coś forsować, coś narzucać obcym we własnych nawet bezpośrednio sprawach za słabi” – mówił w 1930 r. w rozmowie z Władysławem Baranowskim. Piłsudski dowodził, „że naród polski jest słaby wewnętrznie, że z trudem zdobywa się na prawdy mocne, silne, samodzielne i dlatego łatwo służy obcym, dlatego nie widzi

[2] J. Faryś, *Między Moskwą a Berlinem. Wizja polskiej polityki zagranicznej 1918–1939*, Szczecin–Warszawa 2019, s. 187, 233.

Recenzyjnie

wstrętu do służby obcemu – a nie dla siebie jedynie – że zatem jest mniej wartościowy w porównaniu z innymi narodami, u których tego nie znajduje”.

Podstawowa wykładnia polityki Piłsudskiego – jak deklarował Augustowi Zaleskiemu sam Marszałek – wyrażała się w przekonaniu, że Polska miała być neutralna wobec Niemiec i Rosji, tak by oba państwa miały pewność, że nie połączy się z jednym przeciw drugiemu. Poza tym konieczne było utrzymanie sojuszów z Francją i Rumunią. Egzystencjalnym zagrożeniem był dla Piłsudskiego nie tylko sojusz Niemcy-ZSRR, lecz także ewentualny Francja-Niemcy, grożący rewizją polskiej granicy zachodniej. Kluczowe były tu dobre stosunki z sąsiadami i przestrzeganie zobowiązań wynikających z sojuszy. „Stopień zainteresowania Polski krajami Europy i świata zależy od odległości geograficznej, w dążeniu do celu trzeba przechodzić jak pług od śniegu; usuwanie przeszkód zaczynać trzeba zawsze od strony najtrudniejszej, za wszelką cenę trzymać się swego i bronić swego; sprzeciwiać się wszelkiej decyzji powziętej bez udziału Polski w sprawach ją obchodzących; wreszcie – nigdy nikomu nigdzie nie kłaniać się bez potrzeby” – mówił do Józefa Becka Marszałek. Piłsudski nie wierzył też przesadnie w Ligę Narodów, rozważał wystąpienie z niej, choć nie przeszkadzał swoim podwładnym próbować ugrać czegoś i na tym odcinku. Przede wszystkim uznawał jednak, że to suwerenne państwa są podmiotem polityki – nie organizacje międzynarodowe, w praktyce realizujące wolę graczy najsilniejszych.

Piłsudski podchodził więc do polityki międzynarodowej nie „po szlachecku”, ale „po kupiecku” – trzymał się ściśle zasady wzajemności. Ustępstw mogła się podejmować Polska jedynie wtedy, gdy strona przeciwna też się na nie decydowała. Swoje znaczenie miały tu względy charakterologiczne. Jak pisze Rak, „Piłsudski, podobnie jak Stalin, posiadł podstawową zdolność każdego skutecznego polityka i potrafił manipulować ludźmi”. Sporo było w tym pewnego rodzaju przebiegłości. Autor książki przekonuje, że wysłannicy Piłsudskiego potrafili nawet kusić Niemców rozmowami na temat terytorialnych ustępstw – mimo że przecież utrzymanie granicy wersalskiej było podstawowym właściwie wyznacznikiem polskiej polityki wobec Berlina, a żaden polski rząd w praktyce nie mógł się zdecydować na ustępstwa na tym polu.

Była to polityka realizmu – nie miała ona nic wspólnego z romantyzmem przypisywanym piłsudczykom przez płytką na ogół publicystykę. Nie bez powodu na łamach głównego organu tego obozu, „Gazety Polskiej”, można było przeczytać: „Nie zamierzamy urządzać świata ani po swojemu, ani wespół z kimkolwiek innym i nie może liczyć na nasz udział ani na tranzyt przez nasze terytorium żadna nowoczesna krucjata, czy na wschód, czy na zachód od nas”. Aż ciśnie się na usta apel o porównanie tych słów z wywodami, które można znaleźć we współczesnej „Gazecie Polskiej”…

Działania Piłsudskiego na arenie międzynarodowej to jednak polityka nie tylko asertywności, lecz także mocnych (bynajmniej nie pustych) gestów. Przykładowo, podpisany w Wersalu traktat mniejszościowy, uznawany za rozkładający Polskę od wewnątrz, we wrześniu 1934 r. został wypowiedziany przez Warszawę. Z kolei w czerwcu 1932 r., gdy do portu gdańskiego wpłynęła jednostka Royal Navy, Polska wysłała tam niszczyciel ORP „Wicher”, który miał czynić honory gospodarza wobec

Brytyjczyków. Dowódca polskiego okrętu otrzymał wówczas rozkaz ostrzelania najbliższego budynku należącego do Wolnego Miasta, gdyby jego władze podjęły próbę uczynienia despektu polskiej banderze. Skutkiem tej demonstracji siły było odnowienie wypowiedzianej kilkanaście miesięcy wcześniej przez gdańskie władze umowy o korzystaniu przez polskie okręty z należącego do miasta portu. Podobnych gestów wobec Berlina wykonano również kilka już po przejęciu władzy przez Adolfa Hitlera. Trzeba jednak pamiętać, że w opisywanym okresie wobec liczącej wówczas 100 tys. żołnierzy Reichswehry Wojsko Polskie stanowiło potęgę.

≡ Między Rosją a Niemcami

Jak to ujął historyk Tomasz Serwatka, po dojściu do władzy Piłsudski chciał porozumienia z Gustavem Stresemannem, „ale nigdy za cenę odejścia od ducha i litery sojuszu z Francją"[3]. Sam Stresemann nie był jednak chętny poprawiać relacji z Polską. Ukierunkowana na rewizję granicy z Polską dyplomacja republiki weimarskiej nie była zdolna utrzymywać z Polską normalnych stosunków. Inaczej wyglądało wówczas podejście Moskwy, czego nie omieszkał wykorzystać Piłsudski. Już w lipcu 1926 r. Marszałek spotkał się z posłem ZSRR w Polsce Piotrem Wojkowem na kolacji, która przebiegła w bardzo przyjaznej atmosferze. Ciekawe, że później sam Feliks Dzierżyński komentował to spotkanie słowami: „Piłsudski wystrychnął na dudka Wojkowa jak smarkacza. Przez trzy godziny kpił z niego, a nasz Wojkow łykał wszystko, i to mu jeszcze bardzo pochlebiało".

Sanacyjna Polska nie odrzucała wprost sowieckich ofert, tworząc wrażenie, że cały czas trwają negocjacje na temat paktu o nieagresji. Fakt ten wykorzystywała potem w relacjach z Francją, Wielką Brytanią i Niemcami. Piłsudski był przy tym zawsze jak najdalszy od myśli o ataku na Sowietów, co wiemy m.in. z jego narad z kierownictwem MSZ. Sowiecka dyplomacja od dawna jednak rozpowszechniała pogłoski o nadchodzącej napaści Polski na ZSRR. Miało to utrzymać nastrój mobilizacji wewnętrznej, a także usprawiedliwiać przed Berlinem dążenia do zawarcia traktatu o nieagresji z Polską. Ofiarą sowieckich działań stał się nie kto inny jak Roman Dmowski. W trakcie operacji „Trust" przywódca endecji utrzymywał relacje z rzekomymi rosyjskimi monarchistami, którzy byli najprawdopodobniej agentami sowieckimi[4]. Dziś wiemy, że również teksty Dmowskiego z 1930 r., opublikowane później w tomie Świat powojenny i Polska, dotyczące planowanej rzekomo inwazji na ZSRR, powstawały z inspiracji samych Sowietów. „Te artykuły Dmowskiego zostały, jakoby bez wiedzy autora, przetłumaczone na rosyjski i wydane w Moskwie. Były niewątpliwie istotnym wsparciem sowieckiej propagandy dotyczącej rzekomej interwencji szykowanej przez kapitalistów przeciwko ZSRR. [...] Tym samym wpisał się w propagandową kampanię Kremla, a jego tezy były

Recenzyjnie

[3] T. Serwatka, *Józef Piłsudski a Niemcy*, Wrocław 1997, s. 113.

[4] Więcej na ten temat pisał prof. Wołos. Zob. M. Wołos, *O Piłsudskim, Dmowskim i zamachu majowym. Dyplomacja sowiecka wobec Polski w okresie kryzysu politycznego 1925–1926*, Kraków 2013.

tym cenniejsze, że był powszechnie postrzegany jako zaprzysięgły wróg lewicy i komunistów. Stawiał również w niezwykle trudnym położeniu polski rząd. Jakkolwiek nie posądzał go o udział w tym spisku, to zawarte na końcu tego cyklu ostrzeżenie przed rezygnacją z Pomorza Gdańskiego w zamian za nabytki na Wschodzie można uznać za aluzję, że w kręgach rządowych w Warszawie istnieją takie pomysły" – pisze Rak. Jak dodaje, teksty te sprawiły sporo problemów polskiej dyplomacji, której przedstawiciele musieli odpierać ataki swoich sowieckich odpowiedników. W książce Raka padają zresztą na temat ówczesnej aktywności Dmowskiego i jego otoczenia jeszcze ostrzejsze słowa, być może przesadne – cała jednak sytuacja dowodzi, że nie ma w polityce ludzi nieomylnych i nieraz gracze mający wybitne zasługi potrafią w innych sytuacjach dawać wodzić się za nos.

Ciekawym faktem sugerowanym przez Raka jest to, że być może już przed majem 1926 r. Piłsudski miał nieoficjalne kontakty z polskimi komunistami. Wiadomo o rozmowach komendanta Związku Strzeleckiego (a później Legionu Młodych) Kazimierza Kierzkowskiego z prominentnym politykiem KPP Adolfem Warszawskim. Łudząc Warszawskiego poparciem piłsudczyków dla radykalizmu społecznego, Kierzkowski urabiał przychylne stanowisko komunistów wobec nadchodzących wypadków majowych. I tę rozgrywkę wygrał Piłsudski – w momencie zbrojnego wystąpienia jego oddziałów KPP przewrót poparła, aby już 20 maja sowieckie Politbiuro uznało to za błąd.

Interesujący jest model negocjacyjny Piłsudskiego. W dyskusjach z sowieckimi dyplomatami polska taktyka polegała na podbijaniu maksymalnie zakładu tak, by mieć pewność wygrania właściwej stawki – najpierw Warszawa proponowała Sowietom układ regionalny wiążący nie tylko ZSRR i Polskę, lecz także sąsiednie państwa, po to by później zejść do negocjowania układu bilateralnego. Polityka zbliżenia i kursu na pakt dokonywała się właściwie zakulisowo. Piłsudski i Stalin prowadzili ją przede wszystkim za pośrednictwem swoich najbliższych współpracowników – takich jak Bogusław Miedziński i Karol Radek – w mniejszym stopniu zdając się na oficjalne kanały dyplomatyczne. Jak wynika z niebadanej do niedawna notatki Radka znajdującej się w archiwum Stalina, na wiosnę 1933 r. Piłsudski zaproponował Stalinowi współpracę, mającą uniemożliwić niemiecką ekspansję na wschód. „Marszałek doskonale wyczuł przy tym obawy sowieckiego wodza, wskazując na to, że Hitler zagraża nie tylko Polsce, ale również sowieckiej Rosji" – pisze Rak. Stalin z aprobatą odniósł się do tych propozycji. Owa „gra dezinformacyjna" przynosiła efekty.

Z różnych źródeł wynika, że to Polska była stroną inicjatywną – w tym momencie to od niej wychodziły propozycje zbliżenia. Jak mówił Miedzińskiemu Marszałek, dążyć należy nie tylko do tego, by pakt z Rosjanami był „instrumentem dyplomatycznym" – powinien być również faktycznym środkiem zbliżenia między państwami. W rozmowach z Sowietami polska dyplomacja potrafiła bronić praw do Pomorza i Śląska nawet za pomocą argumentów klasowych, podkreślając, że po przejęciu tych ziem polscy chłopi i robotnicy przepędzili stamtąd kapitalistów i obszarników niemieckich. Ostatecznie Radek, reprezentujący państwo podważające przecież traktat wersalski, był w stanie pisać w złotej księdze miasta Gdyni, że „morze łączy Polskę ze Związkiem Sowieckim"!

Obrotem spraw zaskoczeni byli Niemcy, uważający, że Piłsudski nie będzie w stanie dogadać się z ZSRR. Było to poważne uderzenie w ich interesy, bardzo utrudniające ubieganie się o rewizję granicy polsko-niemieckiej. Interesujące, że również sam Stalin przekonany był o niemożliwości pogodzenia interesów Polski z Niemcami i zbliżenia obu państw. Był to okres, kiedy polska dyplomacja była w stanie przełamywać schematy, działać nieszablonowo.

Relacje między Polską a Niemcami zaczęły się ocieplać na wiosnę 1933 r. Na początku maja Hitler przyjął polskiego ambasadora Alfreda Wysockiego. Rozmowa przebiegła w dobrej atmosferze, obawiający się zbytniego zbliżenia polsko-sowieckiego wódz III Rzeszy stanął bowiem na pozycjach koncyliacyjnych. W tym samym czasie, gdy odbywała się rozmowa Wysocki-Hitler, Piłsudski rozmawiał z sowieckim posłem Władimirem Antonowem-Owsiejenką w Warszawie, a Miedziński z Radkiem w Moskwie. Rozpoczynała się gra Piłsudskiego, który chciał „wyrównać" stosunki z oboma mocarstwami „za pomocą klasycznej techniki dyplomatycznego balansowania" – pisze Rak. W następnych miesiącach Marszałek i jego ludzie spotykali się z dyplomatami zarówno sowieckimi, jak i niemieckimi, demonstrując zarówno otwartość na rozmowy, jak i swobodę wyboru geopolitycznego stojącego przed Polską. Jak pisze Rak, „Piłsudski dzięki blefowi zarówno w grze ze Stalinem, jak i Hitlerem, osiągnął bardzo dogodną pozycję. Nie tylko poprawił w znaczący sposób stosunki z obydwoma wrogami, których do niedawna łączył sojusz wymierzony przeciwko Polsce, nie tylko wbił klin pomiędzy nich, ale co więcej, doprowadził do tego, że z każdym z tych państw Polska miała lepsze relacje aniżeli one pomiędzy sobą". Podobnie później, po spotkaniach polskich dyplomatów z Hitlerem, Piłsudski starał się uspokajać obawy Stalina. Równoważąc układ z Niemcami o nieagresji (1934 r.), proponował Sowietom współdziałanie na rzecz ukrócenia niemieckich wpływów w państwach bałtyckich.

Mimo zbliżenia z Berlinem rządzona przez „fanatyka suwerenności" Polska nigdy nie stoczyła się na pozycje wasala Niemiec. Odrzucenie krucjaty antysowieckiej było ostatnią ważną decyzją, jaką w zakresie polityki zagranicznej podjął Piłsudski. Ostatecznie porozumienie z Niemcami znacząco umacniało pozycję Polski, niwelowało możliwość uzależnienia jej od polityki sowieckiej, co – wobec dysproporcji potencjałów – zapewne by się stało w wypadku pogłębiania się relacji Warszawy z Moskwą. Oba mocarstwa chciały współpracy z Polską, ale nie na równych warunkach. Warszawa umiała sprawnie balansować w tym układzie, dzięki czemu zyskała możliwość wpływu na układ równowagi sił w Europie. Pakty z ZSRR i Niemcami to wielkie osiągnięcie polskiej dyplomacji. Jak ujmuje prof. Wołos, dzięki temu drugiemu Polska uniknęła wręcz stania się „pierwszą ofiarą polityki *appeasementu*", a – pomimo upadku państwa w 1939 r. – miało to swoje doniosłe znaczenie dziejowe. Kontrast z okresem sprzed 1926 r., kiedy to RP była *de facto* satelitą Francji, wydaje się potężny.

Trudno nie widzieć w tym ostatniego wielkiego sukcesu Marszałka. „*Spryt* Piłsudskiego to zdolność dostrzeżenia i wykorzystania nadarzającej się okazji, a więc swoisty polityczny oportunizm, który w swoim źródłowym, niewartościującym znaczeniu oznacza zdolność wykorzystywania przychylnych wiatrów. Jest więc rodzajem realizmu, czyli postawy politycznej charakteryzującej się poszanowaniem

rzeczywistości i świadomością, że polityk przede wszystkim powinien jej się poddawać, a nie próbować ją zmieniać, bo po prostu nie jest w stanie tego zrobić. Krótko mówiąc, skutecznego polityka winna cechować pokora wobec rzeczywistości" – podsumowuje Rak.

≡ WNIOSKI

Skoro więc polityka zagraniczna II RP prowadzona była tak sprawnie, to dlaczego już kilka lat po śmierci Marszałka doszło do zniszczenia państwa? Wina nie leży bynajmniej po stronie Józefa Becka, który – zdaniem części publicystów – miał rzekomo sprzeniewierzyć się wskazaniom Piłsudskiego. Nie ma przecież racji Piotr Zychowicz ze swoimi fantastycznymi rozważaniami na temat przymierza z Niemcami i wspólnej krucjaty przeciw Moskwie. Beck był bowiem zaufanym człowiekiem Piłsudskiego, jego uczniem. Problem polega raczej na tym, że wspomniana przed chwilą zdolność wykorzystywania przychylnych wiatrów nie zawsze wystarcza. W 1939 r. Polska znalazła się w strefie zgniotu – oba sąsiednie mocarstwa były już na tyle potężne, by darować sobie dyplomatyczne konwenanse i przejść do realizacji swoich ekspansywnych zamierzeń, umocowanych doktrynalnie zarówno w *Mein Kampf*, jak i założeniach światowej rewolucji. Sytuacji tej nie zmieniłby żaden inny polityk, tym bardziej jeśli wziąć pod uwagę fakt, że ogół polskich stronnictw popierał deklaracje Becka z maja 1939 r., a np. dogmatycznie antyniemieccy endecy byli skłonni przeciwstawić się Berlinowi jeszcze mocniej.

Żadna stojąca wówczas przed Polską opcja nie była dobra, a – co w kontekście ogromu wojennych strat może się wydać zaskakujące – możliwe były scenariusze dla naszego kraju znacznie gorsze niż ten, który ostatecznie stał się naszym udziałem. „Balansujcie dopóki się da, a gdy się już nie da, podpalcie świat!" – miał powiedzieć swoim współpracownikom Marszałek. Ci do apelu się zastosowali i należy wątpić, czy znajdowało się przed nimi lepsze wyjście. Również w tym kierunku idą snute pod koniec omawianej publikacji rozważania autora.

Książka Krzysztofa Raka nie jest pierwszą, która dowodzi, że postrzeganie Piłsudskiego jako germanofila i dogmatycznego rusofoba, człowieka kierującego się romantyzmem politycznym czy też w ogóle ignoranta, trąci aberracją bądź zwyczajną niewiedzą. Nie piszemy tu przecież o publikacji, w której po raz pierwszy opisano realizm polityki zagranicznej Marszałka. Przy wszystkich różnicach zdań zachodzących pomiędzy badaczami w podobnym duchu wypowiadali się już wspomniani profesorowie Janusz Faryś czy pozostający w sporze z Rakiem Marek Kornat i Mariusz Wołos. Generalnie panuje w środowisku historycznym konsensus co do bardzo dodatniej oceny posunięć polityki zagranicznej Polski w tym okresie. W dobie zalewu rynku wydawniczego tandetą koncentrującą się na atakach na Piłsudskiego dobrze rozreklamowana publikacja na ten temat stanowi jednak istotną wartość.

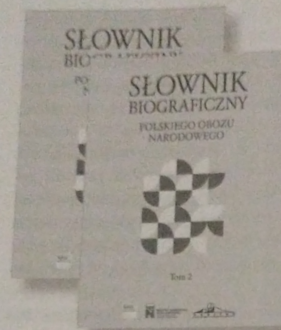
Powodzenia polityki zagranicznej Piłsudskiego warto odnotować tym bardziej, że schyłek jego życia nie stanowił najlepszego okresu w jego karierze. Schorowanemu Komendantowi daleko już było do energii znanej z czasów Legionów czy sprawowania urzędu Naczelnika Państwa w pierwszych latach niepodległości.

Czy z tego wynikał fakt, że sanacja skapitulowała ze śmiałych postulatów społecznych, charakteryzujących wcześniej obóz piłsudczykowski, stając na pozycjach *de facto* konserwatywnych? Choć pod koniec lat 20. osłabiony udarem Piłsudski zadeklarował zajmowanie się wyłącznie sprawami wojska i właśnie polityki zagranicznej, to przecież na nim, jako niekwestionowanym przywódcy, spoczywa pośrednia odpowiedzialność np. za brak reformy rolnej czy w ogóle kontynuację biernej polityki rządów przedmajowych w sferze społeczno-ekonomicznej. Omawiana publikacja pokazuje jednak, że nawet wówczas Marszałek potrafił zachować trzeźwość umysłu, a nawet błyszczeć. Nie bez powodu odległy przecież od sanacji, mający jednak na koncie bogate doświadczenie zmagań dyplomatycznych z Niemcami, ZSRR i Zachodem, Władysław Grabski był w stanie napisać, że polityka zagraniczna Piłsudskiego jest najlepszą, jaką prowadził nasz kraj od setek lat. Dr Rak doskonale to czytelnikowi uświadamia.

Być może jeszcze ważniejsze wnioski z opisywanej przez Raka historii można wyciągnąć na zupełnie innej płaszczyźnie. Czytelnik powyższego omówienia zapewne niejednokrotnie zdążył zauważyć, jak bardzo niektóre jej wątki można byłoby odnieść do współczesności. Książka Raka doskonale ukazuje, jak mocno mylą się ci, którzy dopatrują się analogii pomiędzy polityką zagraniczną prowadzoną po 2015 r. przez PiS i tą prowadzoną przez Piłsudskiego. Jak bowiem mają się cechujące rządy PiS uległość wobec Waszyngtonu, nieumiejętność negocjowania czy dogmatyczna rusofobia do niezwykle elastycznej, a jednocześnie suwerennej do bólu polityki, którą prowadził Marszałek? Różnice są fundamentalne i chyba nawet nie ma potrzeby zagadnienia tego rozwijać. Polityka Piłsudskiego wobec Niemiec i Rosji to bowiem majstersztyk, na którym uczyć się powinny kolejne pokolenia polskich przywódców.

Grzegorz Ulicz

Krzysztof Rak, *Piłsudski między Stalinem a Hitlerem*,
Bellona, Warszawa 2021, ss. 1040.



SŁOWNIK BIOGRAFICZNY DZIAŁACZY NARODOWYCH

Musiały minąć aż trzy dekady III Rzeczpospolitej, abyśmy mogli wziąć do ręki *Słownik biograficzny polskiego obozu narodowego*. Są to na razie dwa tomy z planowanych siedmiu, które mają zapełnić dotychczasową lukę na rynku wydawniczym. Opracowania te ukazały się dzięki Instytutowi Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego, który został powołany – między innymi – właśnie w celach wydawniczych. Ministerstwo Kultury zdecydowało się na ten krok, aby wyciągnąć rękę do środowisk zainteresowanych spuścizną endecji, co może jedynie cieszyć. Jest tak tym bardziej dlatego, że recenzowana publikacja stoi na bardzo wysokim poziomie. Kolejne tomy słownika z pewnością ułatwią dostęp do wiedzy nie tylko historykom, lecz także pasjonatom zagadnienia.

Pierwszy tom ukazał się pod koniec 2020 r., drugi zaś w połowie 2021 – oba pod redakcją obecnego od wielu lat w środowisku narodowym dr. Krzysztofa Kawęckiego, we współpracy z historykiem młodego pokolenia – Mikołajem Kwiatkowskim. Zespół, który pracował nad ukazaniem się tomów, liczy ponad dwadzieścia osób i zawiera nazwiska wielu uznanych badaczy dziejów endecji. Wymieńmy kilka z nich: prof. Tomasz Sikorski, prof. Adam Wątor, prof. Piotr Biliński, dr hab. Wojciech Turek, dr hab. Paweł Skibiński, dr Marta Cywińska, dr Wojciech Muszyński, dr Rafał Sierchuła, dr Mirosław Orłowski, dr Arkadiusz Meller czy wspomniani już dr Krzysztof Kawęcki i sam prezes IDMN, prof. Jan Żaryn. Tomy recenzuje m.in. nestor badań nad dziejami endecji – prof. Krzysztof Kawalec. Już sam powyższy zestaw nazwisk robi duże wrażenie.

Pierwszy tom liczy sobie 424 strony, a znajduje się w nim 61 biogramów osób związanych z szeroko pojętym ruchem narodowym, działających w czasach zaborów, II Rzeczypospolitej, okupacji niemieckiej i sowieckiej, a także w latach powojennych. Biogramy sporządzone są w układzie alfabetycznym, a sam wybór postaci

został podyktowany chęcią ukazania wcześniej wymienionych czterech okresów, a nie hierarchią ważności, co – jak podkreśla Kawęcki – byłoby bardzo ryzykowne. Tom I opatrzony jest przedmową prezydenta Andrzeja Dudy, której fragment warto zacytować:

> Obóz polityczny, do którego założycieli i głównych liderów należał jeden z Ojców Niepodległej, Roman Dmowski, czerpiąc z tradycji i dziedzictwa, zarazem dążył do modernizacji, pragnąc wzmocnić jedność narodu i uwolnić potencjał potrzebny do mierzenia się z wyzwaniami naszych czasów. Dlatego też narodowcy byli ze szczególną zaciekłością zwalczani przez okupantów niemieckich i Sowietów, a po II wojnie światowej przez reżim narzucony z Moskwy.

Co interesujące, Duda wspomniał również o współczesnych narodowcach, którzy są aktywni w życiu politycznym i kulturalnym Polski. Deklaracje takie cieszą tym bardziej, że przecież środowisko partii rządzącej nie zawsze ustosunkowywało się do dziedzictwa ruchu narodowego przychylnie. Abstrahując od niuansów bieżącej polityki, należy tę metamorfozę docenić.

Swoją przedmowę do serii napisał także wicepremier prof. Piotr Gliński, który wyraził zadowolenie z możliwości udziału w realizacji takiego projektu. Z uznaniem wypowiada się on na temat opisywanych w słownikach postaci, które – według niego – zasługują na miejsce w panteonie polskich bohaterów narodowych. Wielkim zadaniem bowiem serii – zdaniem prof. Żaryna – jest ukazanie zapomnianej pracy politycznej, kulturalnej i społecznej polskiego obozu narodowego, która „nie przebija się do dziś do powszechnej opinii publicznej". „Chcemy to zmienić" – deklaruje prezes IDMN. Cieszy także wyrażone zapotrzebowanie na prace naukowe, o których wspomina prezes IDMN. Mowa o brakujących do tej pory na rynku wydawniczym monografii poświęconych np. historii Ligi Narodowej czy Stronnictwa Narodowego (szczególnie emigracyjnego 1944–1989), a także kompletnych biografii mniej znanych działaczy środowiska narodowego. Żaryn zaznacza także, że przemilczanie przynależności do obozu narodowego wielu postaci prowadzi do wypaczenia pojmowania zasług tego obozu. Z wypowiedzi prezesa IDMN wprost wybrzmiewa zapotrzebowanie na umocnienie pamięci o dokonaniach endecji w polskiej edukacji, nazwach ulic czy w patronatach szkół. O kolejnych publikacjach naukowych coraz sprawniej działającego Instytutu z pewnością usłyszymy jeszcze nieraz[1].

We właściwym dla serii wstępie dr Kawęcki wprowadza czytelnika w temat wszechobecnego w życiu politycznym Polski ruchu narodowego, a także opisuje jego wielonurtowość – uwidocznioną szczególnie w latach po zamachu majowym, podczas II wojny światowej, a także po jej zakończeniu.

---

[1] Warto nadmienić, że równolegle ze słownikiem poświęconym narodowcom, IDMN wydaje również kolejne tomy *Słownika biograficznego polskiego katolicyzmu społecznego*, pod redakcją dr. Rafała Łatki. Dotąd opisano w nich związane z działaczy chrześcijańskiej demokracji bądź aktywnych politycznie i społecznie duchownych, takich jak kard. Stefan Wyszyński, ks. Maksymilian Kolbe, ks. Franciszek Blachnicki, Kazimierz Studentowicz, Karol Popiel, ale także mających związki z ruchem narodowym Bolesława Piaseckiego, Jerzego Hagmajera, gen. Józefa Hallera.

W I tomie umieszczono raczej bardziej rozpoznawalne postacie związane ze środowiskiem ruchu narodowego niż w tomie II, chociaż i tam nie brakuje takich osób. Roman Dmowski, Zygmunt Balicki, Władysław Konopczyński, Adam Doboszyński, Karol Stefan Frycz, Tadeusz Gajcy, Marian Seyda, Wojciech Wasiutyński to współcześnie jedni z najpopularniejszych narodowców. Znajdziemy tu jednak również postaci znacznie mniej znane, jak – zamordowany przez działacza sanacyjnego – Jan Chudzik, sekretarz Romana Dmowskiego. W I tomie znaleźli się także – liczni w obozie narodowym – księża katoliccy, jak Jan Salamucha, prawdopodobnie członek Organizacji Polskiej. Nie zapomniano także o kobietach, w I tomie pojawił się bowiem biogram Marii Holder-Eggerowej, która była m.in. posłem na Sejm RP.

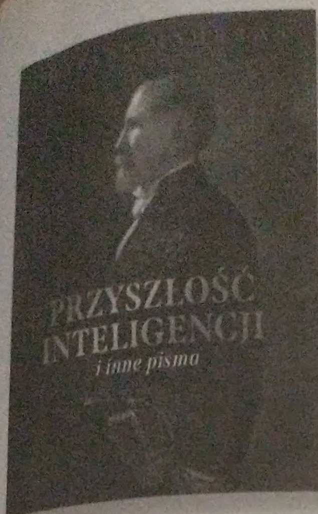
W II tomie słownika, na 432 stronach, znajdziemy aż 65 nazwisk. Także tutaj nie zabrakło znanych postaci, co potwierdza tezę recenzenta serii, że pierwszy z tomów nie był zarezerwowany dla najważniejszych działaczy. Wiesław Chrzanowski, Adam Heydel, Leon Mirecki, Lech Neyman, Jan Gwalbert Pawlikowski, Jan Ludwik Popławski, ks. Szymon Poradowski, Karol Rostworowski, Andrzej Trzebiński czy Leonard Zub-Zdanowicz również zaliczają się do postaci, których sylwetki kojarzą młodsi działacze narodowi w XXI w. Znajdziemy tu również szereg narodowców mniej znanych, jak np. ks. Stanisław Tworkowski – autor powieści *Kainka*, jeden z pionierów walki z aborcją w Polsce. Warto zaznaczyć, że w tym tomie pojawia także sześć biogramów kobiet – w tym działaczek katolickich i polonijnych, powstańców, posłów.

Prezentowana seria jest kolejnym krokiem na drodze do odkłamania mitów na temat ruchu narodowego, szerzonych nie tylko przez okupantów, lecz także przez pospolitych kłamców już w latach III RP. Oba tomy słownika stanowią rzetelne źródło wiedzy, które – jeśli w kolejnych tomach utrzyma się aktualna liczba biogramów – mieścić będzie życiorysy ok. 400 postaci. Biogramy są obszerne (liczą od 10 do 40 tys. znaków), a przy tym przygotowane profesjonalnie, z użyciem aparatu naukowego. Na uznanie zasługuje także patronat władz Rzeczypospolitej nad tym projektem, co podnosi jego rangę, legitymizując ciężką pracę znamienitych badaczy środowiska narodowego. Mamy nadzieję, że zainteresowanie słownikami wydanymi przez IDMN będzie odpowiadało wysokiej randze przedsięwzięcia.

Konrad Smuniewski

Słownik biograficzny polskiego obozu narodowego, t. I,
Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego
i Ignacego Jana Paderewskiego, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2020, ss. 424.

Słownik biograficzny polskiego obozu narodowego, t. II,
Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego
i Ignacego Jana Paderewskiego, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2021, ss. 432.



MAURRAS – NACJONALISTA NIETYPOWY

Charles Maurras to postać, której polskiemu narodowcowi przedstawiać nie trzeba. Tym bardziej zadziwia fakt, że do niedawna polskojęzyczny czytelnik mógł zapoznać się z jego myślą niemal wyłącznie dzięki opracowaniom zajmujących się nim badaczy, takich jak Jacek Bartyzel czy Adam Wielomski. Lukę tę wypełniły w ostatnich miesiącach Wydawnictwo Dębogóra i Fundacja św. Benedykta, których nakładem ukazał się liczący ponad tysiąc stron tom tekstów ideologa francuskiego integralnego nacjonalizmu. Publikacja ta skłania do refleksji nad tym, jak dziś ustosunkować się do stawianych przez Francuza tez.

Lider Action Française był z pewnością postacią wybitną. Nazywany „Marksem prawicy", wywarł istotny wpływ nie tylko na nacjonalizm francuski, lecz także na jego odpowiedniki w krajach takich jak Hiszpania, Portugalia czy Włochy. Głośno o Maurrasie było również w Polsce, choć – jak twierdzi jeden z tłumaczy wydanego niedawno tomu, Marek Jurek – bardziej posiłkowały się jego myślą niektóre frakcje obozu piłsudczykowskiego niż endecy. Nie dziwi to przesadnie, jeśli zważyć na statokratyzm i konserwatywne inklinacje sanacji. Paradoksalnie był jednak Maurras przede wszystkim twórcą myślenia na swoje czasy radykalnego, wręcz wywrotowego. Wszak kwestionowanie wszystkich świętości Republiki w I połowie XX w., gdy wydawało się, że monarchizm schodzi już ze sceny dziejów Francji, wymagało niemałej odwagi i samozaparcia. Francuski faszysta, a zarazem jeden z wychowanków Maurrasa, Lucien Rebatet, pisał o nim, że to „katolik bez Boga, rojalista bez króla i terrorysta bez rewolweru". Niemało w tym prawdy – i kiedy sięgniemy po obszerny tom jego tekstów, o obrazoburczym wymiarze głoszonych przez Francuza poglądów nie powinniśmy zapominać.

Publikację rozpoczyna obszerny wstęp wybitnego znawcy Action Française, prof. Bartyzela. Na I część tomu składają się pisma polityczne Maurrasa, m.in. *Przyszłość inteligencji*, *Kilonia i Tanger*, *Moje idee polityczne*. II część to pisma poświęcone estetyce oraz kilkadziesiąt napisanych przez Francuza utworów poetyckich. Można

dyskutować, czy taki układ jest fortunny. Jak twierdzi inny z badaczy Maurrasa, prof. Wielomski, zważywszy, że to pierwszy tak obszerny wybór jego tekstów po polsku, być może warto byłoby jednak więcej miejsca poświęcić zagadnieniom *stricte* politycznym. Wszak pisarzem politycznym Maurras był z całą pewnością wybitnym i to nie wiersze sprawiły, że przeszedł do historii.

Postronnego czytelnika wiele poglądów autora tomu może zaskoczyć. W oczy rzuca się swoisty kult państwa, odległy jednak od tego, co przez to hasło rozumieli faszyści, bo tradycjonalistyczny. Co prawda Maurras uważa, że „każde rozwiązanie politycznej kwestii nieodnoszone do ogólnych interesów Ojczyzny jest tylko częściowe. Nacjonalizm do wszystkich rozważanych zagadnień przykłada wspólny mianownik, którym jest interes narodu", szczególna jednak rola przypada w tym zestawieniu właśnie państwu. Autor zawartych w tomie tekstów, podobnie zresztą jak Roman Dmowski, uważał bowiem, że to nie naród jest twórcą państwa – przeciwnie, to państwo tworzy naród i go ochrania, „częstokroć wbrew niemu". To państwo organizuje nację, tworzy jej jedność w miejsce zbioru często zupełnie luźno związanych ze sobą grup. To wokół państwa organizuje się wspólnota. „[...] Państwo nie jest jedynie żandarmem. Nie ma wprawdzie zarządzać gospodarką, musi jednak nad nią panować i ją kontrolować, i jest rzeczą oczywistą , że jego ochrona ma dotyczyć nie tylko towarów, ale musi przed wszystkim obejmować ludzi, którzy gospodarkę tworzą" – pisał Maurras w *Moich ideach politycznych*.

Francuz uderza w liberalne fantazmaty, cytując uwielbianego przez siebie Comte'a: „Nie ma czegoś takiego jak wolność sumienia w astronomii, w fizyce, w chemii, nawet w fizjologii, tak że byłoby absurdalnym nie uznawać zasad, które ustanowili kompetentni ludzie. Jeżeli w polityce jest inaczej, to tylko dlatego, że obalono dawne zasady, a nowe jeszcze nie powstały". W innym miejscu Maurras pisze:

> Wolność szaleńca nazywa się szaleństwo, wolność głupca – głupota, wolność bandyty – bandytyzm, zdrajcy – zdrada i tak dalej. Można słusznie przyjąć, że w stanie barbarzyństwa czy anarchii swobody ograniczają się wzajemnie. Znaczy to jedynie tyle, że silni mogą tak długo uciskać i wyzyskiwać słabych, póki ci nie zbuntują się przeciw silnym, i że ewentualne ofiary buntu nie znalazłyby sposoby, by zawczasu z karabinów maszynowych wystrzelać jak kaczki swoich możliwych katów. Wolność uznana za zasadę i ustrój to chaos, bolesny dla wszystkich.

Słowa te mogłaby wziąć sobie do serca nasza anarcho-prawica.

Ów Maurrasowski antyliberalizm znamionowało ostrze wymierzone w elity ówczesnej Republiki. Jak wspomina Bartyzel, „wrogość Maurrasa w stosunku do plutokracji była tak silna, że przynajmniej aż do wybuchu rewolucji bolszewickiej skłonny był on do bardziej życzliwej oceny ruchu socjalistycznego oraz do proponowania – uprzednio *unarodowionej* – klasie robotniczej sojuszu w walce z burżuazyjną republiką". Był to okres *Cercle Proudhon* i sojuszu z syndykalistami Sorela, być może ideowo najciekawszy w dziejach AF. Ów radykalizm społeczny od początku łączył się jednak u Maurrasa z negacją zasady równości. Jak bowiem pisał później Francuz, „równość może zaistnieć na najniższym stopniu rozwoju, u zarania życia, ale sam proces rozwoju życia niszczy ją. Postęp jest arystokratą".

Odnosząc się do poglądów lidera AF, trudno nie wspomnieć o tradycjonalistycznym obliczu, jakie nosił jego nacjonalizm. Jak pisał, „Ojczyzna to pola, mury, wieże i domy; to ołtarze i groby; to żywi ludzie, ojciec, matka i bracia, dzieci bawiące się w ogrodach, chłopi, którzy sieją pszenicę, ogrodnicy, którzy hodują róże, kupcy, rzemieślnicy, robotnicy, żołnierze; na świecie nie ma nic bardziej konkretnego" – ujęcie to kontrastuje z charakterystycznym dla wcześniejszych faz francuskiego nacjonalizmu ujęciem jakobińskim. Trudno bowiem nie dostrzec, że tradycjonalistyczne wątki myśli Maurrasa w niektórych miejscach wręcz „pochłaniają" nacjonalizm. Mimo że współtwórca AF szafował pojęciem nacjonalizmu integralnego, a więc pełnego, całościowego, to wiele z wyznawanych przez niego poglądów jednak odbiega od typowych dla przedstawicieli idei narodowej. Maurras nie wierzył bowiem w suwerenność ludu. „Ani implicite, ani explicite nie akceptujemy zasady suwerenności narodowej, ponieważ zasadzie tej przeciwstawiamy zasadę suwerenności ocalenia publicznego, albo dobra publicznego, albo dobra ogólnego" – pisał. Maurras co prawda nie neguje samej idei dopuszczenia narodu do pewnego wpływu na polityczny kurs państwa, deklarując, że „głosowanie powszechne ma charakter konserwatywny"[1] i jego ruch nigdy mu się nie sprzeciwiał. Z drugiej strony, przekonanie to znamionuje pewien widoczny dystans. Aktywność mas raczej przeszkadza, niż pomaga rządowi, zapewne najlepiej by pozostały one bierne, nie buntowały się co pokolenie, jak to widać było w XIX-wiecznej Francji.

Mimo wszystko nieco zadziwia zatwardziała, bezkrytyczna wiara Maurrasa we władzę monarchiczną. Francuz postulował „zastąpienie autorytetu z wyboru przez autorytet z urodzenia oraz prawa wyborczego przez prawo dziedziczne". Widać tu swoisty determinizm – u Maurrasa republika nie może się sprawdzić, a monarchia długofalowo musi – nawet jeśli ten czy inny król okaże się nieudolny, to system (bądź następcy) zniweluje jego ułomności. Trudno przyjmować dziś taki punkt widzenia. Nie ujmując monarchii jej bezsprzecznych zalet, wywód broniący jej jako jedynej prawdziwie narodowej formy władzy wypada jednak nieprzekonująco. W pismach Maurrasa czytamy: „Królestwo jest instytucją, która uruchamia całość sił narodowych, prawie nic nie trwoniąc, dzięki czemu maksymalizuje efekty swej pracy. W republikańskich Prusach Bismarck, Moltke i Roon mieliby wszelkie widoki, by podjąć wojnę, jednak ich polityka miałaby siłę równą partii tego z nich, który by wygrał walkę o władzę, pomniejszoną o siłę partii tych, którzy by tę walkę przegrali". W kontrze do tych twierdzeń można byłoby znaleźć ledwie kilkadziesiąt lat wcześniejszy przykład z samej Francji. Wszak jakobińska republika przy zaangażowaniu czołowych postaci reżimu była w stanie w ciągu zaledwie kilku miesięcy znaleźć i wypromować legion samych tylko wybitnych wojskowych, którzy przez następnych 20 lat bili dla Francji armie całej niemal Europy: Hoche, Kléber, Jourdan, Masséna, Augereau, Marceau, Pichegru czy wreszcie Bonaparte z uwagi na niskie urodzenie nie mieliby w monarchii szans na wybicie się. Przykładów tego typu prostych do obalenia tez znajdzie czytelnik znajdzie u Maurrasa więcej.

Podobnie mało typowe dla nacjonalizmu wydają się Maurrasowskie uprzedzenie do romantyzmu (które chyba słusznie wytykają mu redaktorzy tomu)

RECENZYJNIE

[1] „Głosowanie powszechne powinno wybierać przedstawicielstwo, a nie rząd" – pisał Maurras.

czy gloryfikacja regionalizmów. Monarchista wyraźnie nie doceniał faktu zasług rewolucyjnej (i postrewolucyjnej) centralizacji dla budowy jedności narodowej Francji. Wszak w kraju złożonym z mnóstwa udzielnych ziem, mających nieraz zupełnie inne prawa, mówiących innymi dialektami, niepołączonych czasem niczym poza wiernością dynastii – a z tym mieliśmy do czynienia w przedrewolucyjnej Francji – trudno byłoby widzieć wzór możliwy do pogodzenia z pryncypiami nacjonalistycznymi, o ile oczywiście traktować je konsekwentnie. Nieco tylko trywializując, można byłoby powiedzieć, że po to, by Barrès i Maurras mogli w swojej epoce uprawiać gloryfikację regionalizmów, najpierw jednak musiało się dokonać scalenie wszystkich ziem francuskich przez republikę, i to właśnie za cenę tępienia lokalnych odmienności. W innym wypadku najpewniej współczesna Francja przedstawiałaby sobą obraz dzisiejszej Hiszpanii, od której to chcą się odseparowywać kolejne prowincje niezrośnięte dostatecznie z kastylijskim rdzeniem.

Pewną niejednoznaczność widać również w stosunku do rewolucji francuskiej, którą – jak wiadomo – Maurras oceniał bardzo negatywnie. Był jednak w stanie docenić jej narodotwórcze wątki. Jak pisał, wojenne zagrożenie sprawiało, że rewolucyjny rząd „powoli się upatriotyczniał, militaryzował, jednym słowem wracał na drogę naszego najwyższego wspólnego interesu". Dziać się to jednak miało raczej pomimo republikańskiego ustroju niż dzięki niemu. Również w przypadku cesarstwa rewolucyjna legitymizacja zaważyła na negatywnej ocenie tego fenomenu, choć warto odnotować, że ewidentnie uprzedzony do Napoleona Maurras nie odmawiał mu wielkości – także w wymiarze *stricte* narodowym[2].

Fakt, że Maurras był nacjonalistą nietypowym, nie stanowi, rzecz oczywista, ujmy. To, że na niektórych polach z Maurrasem nie tyle można, ile wręcz należy polemizować, nijak nie umniejsza wartości publikacji. Z całą pewnością od twórcy francuskiego nacjonalizmu integralnego możemy się wiele nauczyć również dziś – szczególnie w zakresie dowartościowania roli państwa, z czym tkwiący nieustannie w opozycji główny nurt polskiego nacjonalizmu miewał problemy. Trudno byłoby jednak podejmować się przeszczepiania na polski grunt całości ideologii Maurrasowskiej z jej bezwarunkowym monarchizmem, uprzedzeniem do mas oraz niepasującym do naszych warunków regionalizmem. Z myśli Francuza polski narodowiec może czerpać inspirację, ale raczej wybiórczo – będąc świadomym, że mamy tu do czynienia z refleksją osadzoną w specyfice kraju zupełnie innego niż nasz.

Jakub Siemiątkowski

Charles Maurras, *Przyszłość inteligencji i inne pisma*,
Fundacja św. Benedykta, Wydawnictwo Dębogóra, Dębogóra 2020, ss. 1024.

---

[2] „Nie ma nic bardziej sprzecznego ze złą polityczną i dyplomatyczną literaturą, nic bardziej realistycznego, nic bardziej pozytywistycznego, nic bardziej narodowego, jak Napoleon wódz wojskowy. Rozbudził i ożywił wojennego ducha narodu, tak jak generałowie z 1792 roku. Zebrał żywioły francuskie, utworzył z nich jedną całość i uderzył nią w obce potęgi; tak wypróbował i zjednoczył. Dzięki niemu ujawniły się i skupiły nowe zasoby patriotycznego uczucia, którymi posłużył się wódz, aby przeciwstawić ideologii literatów niespodziewany system gwałtownych sił" – stwierdzał Maurras w pracy *Przyszłość inteligencji*.

JAKIE IDEE GŁOSI „POLITYKA NARODOWA"?

Uznajemy się za kontynuatorów wielkiego dziedzictwa Narodowej Demokracji i Narodowego Radykalizmu. W narodowym wysiłku społecznym, politycznym, kulturalnym i militarnym widzimy przykład do naśladowania i praktykę do konfrontacji z zastaną rzeczywistością. Nieobce są nam inspiracje czerpane z dorobku innych autorów, nacjonalistów z pozostałych obozów politycznych oraz dziedzictwa innych narodów europejskich. Jednocześnie staramy się nie zamykać w kręgu gotowych rozwiązań, opracowanych dawniej. Szukamy swojej drogi rozwoju Idei Narodowej.

NACJONALIZM. Jesteśmy narodowcami. Uznajemy Naród za najdoskonalszą formę zbiorowości ludzkiej, za swoistą rodzinę rodzin, organiczną wspólnotę, której jesteśmy winni swoje poświęcenie. Naród stanowi dla nas wspólnotę kultury, pochodzenia, tradycji i tożsamości politycznej. Zgodnie z maksymą Platona, uważamy, że „nie urodziliśmy się dla nas, lecz dla naszej Ojczyzny", w związku z czym nasze postrzeganie polityki tak międzynarodowej, jak i wewnętrznej, a także samej działalności społecznej warunkowane jest interesem narodowym.

KATOLICYZM. Nasz nacjonalizm ma oblicze katolickie. Jedyną wartością, którą stawiamy ponad Narodem jest Bóg. Uznajemy wartości moralne płynące z nauczania Kościoła katolickiego, również te, sprzeciwiające się szowinizmowi i nienawiści do innych narodów. Jednocześnie nie zamykamy się na nacjonalistów niewierzących lub wyznających inne, tradycyjne dla polskiej kultury religie.

SOLIDARYZM. Nasza wizja stosunków społeczno-ekonomicznych opiera się o zasadę solidarności wszystkich warstw składających się na Naród – jesteśmy wierni XIX-wiecznej zasadzie wszechpolskości. Solidaryzm tworzy podstawy do harmonijnego rozwoju narodu z uwzględnieniem potrzeb jednostki. Sprzeciwiamy się zarówno leseferyzmowi i utopii nieuczestniczenia państwa w gospodarce, jak i kolektywistycznemu socjalizmowi.

PAŃSTWO NARODOWE. Naturalną przestrzenią do rozwoju Narodu jest państwo. Stanowi ono formę organizacji wspólnoty narodowej, narzędzie realizacji jego interesów. Czujemy się więc republikanami – nie w sensie demoliberalnym, a klasycznym. Wierzymy w silną władzę, reprezentującą Naród. Pragniemy wyplenić pierwiastki anarchistyczne i egoistyczne wciąż tkwiące w polskiej duszy i charakterze narodowym.

MIĘDZYMORZE. Drogę wzmacniania pozycji międzynarodowej Polski widzimy we współpracy narodów Europy Środkowo-Wschodniej, a w szczególności Pomostu Bałtycko-Czarnomorskiego. To tutaj, pośród słowiańskich na ogół ludów, zagrożonych przez imperialne zapędy Niemiec i Rosji, Polska znalazła siłę, aby realizować swoje projekty mocarstwowe w przeszłości. Tak samo dziś, uważamy, że Polska powinna wykorzystywać swoje położenie geopolityczne.

CYWILIZACJA EUROPEJSKA. Polska nie zaistniała w próżni. Ukształtowani zostaliśmy przez rzymski katolicyzm, klasyczną filozofią starożytnej Grecji oraz rzymską tradycję polityczno-prawną. Polska zawsze była częścią szerszej rodziny narodów, zwanej Christianitas, Europą, Zachodem bądź cywilizacją łacińską. Nasza kultura jest kulturą narodu europejskiego, zakorzenioną w tych samych tradycjach i nurtach myśli ludzkiej, co kultura innych nacji. Stąd bliską nam jest walka nacjonalistów innych narodów Europy przeciw wspólnemu wrogom, jakim są demoliberalizm, globalizm, laicyzm oraz upadek wartości etyczno-moralnych. Nie negując potrzeby współpracy narodów Europy na tym polu, dalecy jesteśmy jednak od paneuropejskich wizji budowy kontynentalnego superpaństwa, widząc w niej szkodliwą utopię, a nie remedium na wspólne zagrożenia. Szacunek i przywiązanie do więzi z Europą nie oznaczają zamknięcia się na kontakty z krajami Orientu, które mogą przysłużyć się interesom Polski w przyszłości.

IDEALIZM. Choć jesteśmy świadomi ograniczeń jakie niesie otaczająca nas rzeczywistość, a służbę narodowym interesom widzimy w pragmatycznym mierzeniu siły na zamiary, nasze cele formułujemy odważnie i bez kompleksów. Nie zadowala nas powierzchowne reformowanie wadliwego systemu demoliberalnego. Mamy ambicję uczestniczyć w kreowaniu nowych idei dla urzeczywistniania ponadczasowych wartości.

TRADYCJA I NOWOCZESNOŚĆ. Ponad 1000–letnie tradycje narodowo-państwowe Polski oraz liczące kilka tysiącleci tradycje Europy i chrześcijaństwa stanowią dla nas jeden z podstawowych punktów odniesienia. Wierzymy, że na tych podstawach należy budować przyszłość, a odrywanie się od korzeni prowadzi do wykolejenia rozwoju. Jednocześnie nie jesteśmy konserwatystami. Za Jüngerem powtarzamy, że człowiek jest panem form. Naszym celem nie jest i nigdy nie będzie – w istocie niemożliwe – odtwarzanie stanu sprzed dekad czy wieków. W przyszłość patrzymy śmiało, wolimy rysować perspektywy rozwoju naszego Narodu zamiast skupiać się jedynie na przeszkodach i zagrożeniach.

JEŚLI PODZIELASZ NASZE POGLĄDY I WIZJĘ POLSKI, WESPRZYJ NAS:

– słowem – wysyłając nam do publikacji teksty, niepublikowane wcześniej nigdzie,
– czynem – promocją i reklamą – propagując nas i nasze poglądy w każdy możliwy sposób, wspomagając aktywnie działania naszego pisma i jego wydawcy, czyli Narodowego Instytutu Społecznego,
– finansowo – wpłacając choćby najdrobniejszą kwotę na konto wydawcy – **Narodowego Instytutu Społecznego**: nr konta: 10 1020 1185 0000 4202 0230 8401, ul. Wilanowska 16/20/16 00–422 Warszawa.

JUTRO NALEŻY DO NAS!

ADAMUS DAMIAN

Redaktor naczelny portalu Nowy Ład. Absolwent Akademii Morskiej na kierunku Logistyka. Członek redakcji pisma „Polityka Narodowa". Interesuje się stosunkami międzynarodowymi, Chinami oraz transportem.

ARTON KRZYSZTOF

Student filozofii, zainteresowany zwłaszcza filozofią polityki i etycznym wymiarem nowych technologii.

BATOR WIESŁAW ADAM

Urodzony w 1952 r. w Krakowie, archeolog, historyk i religioznawca, syn Vince Batora, kapitana Królewskiej Armii Węgierskiej. W 1989 r. uzyskał tytuł doktora nauk historycznych broniąc rozprawy pt. *Funkcjonalna teoria bytu, osobowości i społeczeństwa w starożytnym Egipcie.* W r. 2003 objął stanowisko adiunkta w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w zakładzie Historii Religii, gdzie pracował do przejścia na emeryturą (2017). Od 2014 roku prezes Galicyjskiego Towarzystwa Historycznego. Był wraz z synem Juliuszem konsultantem filmu węgierskiego „Nieśmiertelni" (poświęconego bitwie pod Limanową 2014). Na UJ i na KUL powadził wykłady z historii, mitologii węgierskiej, historii religii i politologii religii. Głównym polem jego zainteresowania stały się związki pomiędzy mitologią i doktrynami religijnymi a sferą polityki ze szczególnym uwzględnieniem wpływu etyk religijnych na idee polityczne ruchów nacjonalistycznych i tożsamość narodową Węgrów. Od 1998 do 2013 roku współpracował m.in. z ośrodkami religioznawczymi na Ukrainie i na Krymie, wydawniczo: z SIW „Znak" i SW „Nomos", z PWN (udział w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, Encyklopedii „Religia") oraz Międzynarodowym Towarzystwem św. Tomasza z Akwinu (filia w Lublinie), a także z Encyklopedią Katolicką oraz Konsulatem Węgier w Krakowie. Współpracował z czasopismami: „Studia Religiologia", „Studia Filozoficzne" (PAN) „Przegląd Religioznawczy", „Przegląd Humanistyczny", „Sprawy Narodowościowe" (PAN).

BOHUSZ TOMASZ

Były działacz organizacji narodowych. Katolik. Ekonomista. Pracownik sektora finansowego. Interesuje się stykiem etyki i gospodarki.

BUCA RAFAŁ

Prezes okręgu pomorskiego Młodzieży Wszechpolskiej i redaktor portalu Narodowcy.net. Interesuje się historią ruchów politycznych, poezją i wrestlingiem.

DANEK ADAM

Urodzony w 1985 r. Doktor nauk społecznych w zakresie nauk o polityce. Członek redakcji portalu Myśl Konserwatywna. Niegdyś również w Klubie Zachowawczo-Monarchistycznym, Organizacji Monarchistów Polskich i organizacji Falanga. Autor m.in. monografii *Demokracja nacjonalistyczna. O myśli politycznej Zygmunta Cybichowskiego* (2018).

GOGULSKA MALWINA

Magister filologii polskiej w specjalności dziennikarskiej, absolwentka Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Interesuje się historią podziemia antykomunistycznego, historią średniowiecza, polską literaturą romantyczną, dziełami J.R.R. Tolkiena oraz zagadnieniami społeczno-politycznymi, szczególnie w obszarach związanych z rodziną. Matka dwójki dzieci.

GROTT BOGUMIŁ

Prof. zw. dr hab. Habilitacja z nauk politycznych w zakresie historii myśli politycznej (1986), tytuł naukowy profesora nauk humanistycznych (1997). Był zatrudniony do emerytury na stanowisku profesora zwyczajnego w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie pełniąc funkcję kierownika Zakładu Stosunków Państwowo-Kościelnych zajmował się problematyką politologii religii. Obecnie jego zainteresowania nadal koncentrują się wokół historii myśli politycznej, ze szczególnym uwzględnieniem ruchów narodowych i nacjonalizmu oraz stosunków narodowościowych w Polsce i w krajach europejskich. Wśród jego zainteresowań poczesne miejsce zajmują też dzieje polityczne i etniczne kresów państwa polskiego. Przewodniczący rady naukowej Instytutu Kresów Rzeczypospolitej. Autor m.in. *Nacjonalizm chrześcijański* (1991), *Zygmunt Balicki ideolog Narodowej Demokracji* (1995), *Dylematy polskiego nacjonalizmu: powrót do tradycji czy przebudowa narodowego ducha* (2014).

HUCUŁ JAN

Wieloletni działacz narodowy zainteresowany w szczególności przemianami społecznymi i zagadnieniami ekonomicznymi. Posiada kilkuletnie doświadczenie zawodowe jako ekonomista w instytucjach publicznych i trzecim sektorze.

KITA KACPER

Katolik, Krakus, obserwator polityki międzynarodowej i kultury. Sympatyk Fiodora Dostojewskiego i Richarda Nixona. Członek redakcji Nowego Ładu, stały współpracownik „Polityki Narodowej".

KOWALSKI WSZERAD

Pracownik korporacji. Filolog, religioznawca i fan René Guénona. W przeszłości działacz społeczno-polityczny.

NAMIĘTA ADAM

Urodzony w 1988 r. w Lublinie. Absolwent filologii polskiej UMCS w Lublinie i Uniwersytetu Warszawskiego. Redaktor, korektor, sporadycznie autor tekstów o szeroko rozumianej kulturze.

NIEDZIELKO WOJCIECH

Redaktor „Polityki Narodowej", mąż i ojciec, do niedawna wiceprezes Młodzieży Wszechpolskiej. Interesuje się filozofią i naukami społecznymi.

NOWAK MICHAŁ
Bydgoszczanin. Studiował historię ma Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, obecnie student Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Interesuje się Bliskim Wschodem.

OKONIEWSKI PATRYK
Urodzony w 1994 roku, sympatyk polskiego ruchu narodowego. Interesuje się polską i zagraniczną muzyką niezależną, historią idei oraz filozofią polityki.

SMUNIEWSKI KONRAD
Absolwent studiów wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego, aktualnie studiuje na kierunku China Studies na Jinan University w Kantonie. Dawniej działacz Młodzieży Wszechpolskiej, dziś Ruchu Narodowego.

SZABELAK ADAM
Członek Rady Naczelnej Młodzieży Wszechpolskiej, urodzony w Radomiu. Student Uniwersytetu Jagiellońskiego na kierunku bezpieczeństwo narodowe. Redaktor portali Narodowcy.net, Nowy Ład i Kresy.pl, stały współpracownik „Polityki Narodowej". Zainteresowania: wschód – najbliższy i daleki, Republika Południowej Afryki po 1994 roku, geopolityka, dzieje *Ecclesia militans*, analiza informacji.

SZCZEPAŃSKI TOMASZ
Doktor nauk humanistycznych, pisarz. Działacz społeczny i polityczny, m.in. Polskiej Partii Socjalistycznej (do roku 1990) i Konfederacji Polski Niepodległej (w latach 1991–1997). Publicysta m.in. „Gazety Polskiej", „Templum Novum" i „Trygława". Przewodniczący Stowarzyszenia na Rzecz Tradycji i Kultury „Niklot".

ULICZ GRZEGORZ
Student UW, wszechpolak, warszawiak. Publikuje w „Polityce Narodowej" i na portalu Nowy Ład. Interesuje się lewicowymi nurtami nacjonalizmu.

WIŚNIEWSKI SZYMON
Prawnik, rusycysta. Redaktor portalu Nowy Ład. Analityk Instytutu Prawa Wschodniego im. Gabriela Szerszeniewicza.

ZIMNY ADRIAN
Urodzony w 1993 r. Prawnik, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (2017), obecnie aplikant adwokacki. Wychowanek I LO im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu (2012), Kujawiak. Konserwatysta, państwowiec i monarchista, aczkolwiek doceniający dziejową wagę idei narodowej, świadom, że w obecnych realiach więcej powinno łączyć niż dzielić. Organizator upamiętnienia Ludwika XVI w rocznice jego śmierci (2017, 2018, 2019), współorganizator obchodów setnej rocznicy deklaracji niepodległości Polski przez Radę Regencyjną (2018). Prywatnie pasjonat historii.

FUNDACJA
POMOC PATRIOTY



NIP: 7393904362
REGON: 36852129000000
KRS: 0000699576

- POMAGAMY POTRZEBUJĄCYM RODAKOM
- OPIERAMY SIĘ W NASZEJ DZIAŁALNOŚCI O WARTOŚCI KATOLICKIE
- KIERUJEMY SIĘ SOLIDARYZMEM NARODOWYM
- KSZTAŁTUJEMY POSTAWY PRAKTYCZNEGO PATRIOTYZMU
- GENERUJEMY ROZWIĄZANIA, KTÓRE ZBLIŻAJĄ NAS DO SIEBIE
- STAWIAMY NA PRACĘ U PODSTAW
- WYBIERAMY PRZEDE WSZYSTKIM DOBRO NARODU POLSKIEGO

Znajdziesz nas:

www.pomocpatrioty.pl
www.facebook.com/Fundacja-Pomoc-Patrioty-890858827717728

Skontaktuj się z nami:

✉ pomocpatrioty@pomocpatrioty.pl
✆ +48 607 964 172

Wesprzyj nas:

Bank WMBS 24 9364 0000 2010 0034 0018 0001
z dopiskiem w tytule przelewu: Darowizna na cele statutowe



RTOŚCI KATOLICKIE

TRIOTYZMU

Ą NAS DO SIEBIE

DU POLSKIEGO

8827717728

atutowe

Zmierzch hegemona




11

9 771899 434108